

SCOTT TURÓW

BŁĘDY ODWRACALNE

Z angielskiego przełożył Jan Pyka

Tytuł oryginału REVERSIBLE ERRORS

Dla Jonathana Galassiego

błąd odwracalny

popołniony przez sąd pierwszej instancji bład prawny, który jest tak znaczący, że sąd apelacyjny przeprowadzający rewizję sprawy musi uchylić orzeczenie sądu pierwszej instancji. Sąd pierwszej instancji zostaje następnie poinstruowany, żeby albo oddalił sprawę, albo rozpatrzył ją od początku, albo w inny sposób zmienił swoje orzeczenie.

CZEŚĆ PIERWSZA

Śledztwo

1

20 kwietnia 2001

Obrońca i klient

Klient, jak większość klientów, mówił, że jest niewinny. Miał umrzeć za trzydzieści trzy dni.

Arthur Raven, jego obrońca, stanowczo postanowił, że nie będzie się tym martwić. Ostatecznie, jak przekonywał sam siebie, nie był nawet ochotnikiem. Został powołany przez sąd apelacyjny, który wyznaczył mu zadanie sprawdzenia, czy po dziesięciu latach sporów sądowych obrona nie przegapiła jeszcze jakichś mocnych argumentów, które mogłyby ocalić życie Rom-my'ego Gandolpha. Martwienie się nie należało do zawodowych obowiązków Arthura Ravena.

Mimo to się martwił.

- Słucham? — zapytała z siedzenia dla pasażera Pamela Towns, jego młoda asystentka.

Z ust Arthura wyrwał się bolesny jęk, gdy raz jeszcze stanął oko w oko z samym sobą

- Nic takiego — odparł. — Po prostu nie znoszę, gdy z góry jestem skazany na przegraną.

- W takim razie nie powinniśmy przegrać. - Pamela, która ze swoją świeżą, dziewczęcą urodą nadawała się na prezenterkę wiadomości telewizyjnych, błysnęła szerokim jak kontynent uśmiechem.

Byli już daleko od miasta. Jechali nowym niemieckim seda-nem Arthura ze stałą, ustawioną na ograniczniku prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. W tej części kraju droga była tak płaska i prosta, że Raven nie musiał nawet dotykać kierownicy. Za oknami przesuwały się powstałe na prerii pola uprawne, ścierniska po kukurydzy i gliniasta gleba, ciche

11

i wieczne w bladym świetle poranka. Wyjechali z Center City o siódmej rano, żeby nie utknąć w korku. Arthur miał nadzieję, że w więzieniu stanowym w Rudyard odbędzie krótkie wstępne spotkanie z nowym klientem, Rommym Gandolphem, i o

drugiej będzie już z powrotem za swoim biurkiem — lub o trzeciej, jeśli zdecyduje się zaryzykować i zaprosić Pamelę na lunch. Przez cały czas był głęboko świadomy bliskiej obecności tej młodej kobiety, płowych włosów opadających delikatnie na jej ramiona, i dłoni, która zsuwała się co kilka mil na udo, żeby ściągnąć podwijającą się kraciastą spódnicę.

Chociaż Arthur piekielnie chciałby sprawić jej przyjemność, nie miał zbyt wielkich nadziei w związku ze sprawą.

— Zgodnie z prawem - powiedział - na tym etapie równoznaczny z błędem odwracalnym mógłby być jedynie nowy, silny dowód świadczący o niewinności. A my go nie znajdziemy.

— Skąd wiesz? — zapytała Pamela.

— Skąd wiem? Ponieważ facet przyznał się do winy każdemu oprócz „Daily Planet”. — Przed dziesięciu laty Gandolph powiedział to policji, następnie oświadczył to, na piśmie, prokurator Muriel Wynn, a na koniec powtórzył przed kamerą. Za każdym razem potwierdzał, że to on zastrzelił tych dwóch mężczyzn oraz kobietę i zostawił ich zwłoki w restauracyjnej chłodni. Sprawę tę prasa z typową dla siebie powściągliwością wciąż nazywała „masakrą z czwartego lipca”.

— Cóż, w rozmowie telefonicznej utrzymywał, że jest niewinny — odparła Pamela.

— To możliwe, czyż nie?

Arthur, który jeszcze przed siedmiu laty, nim przeszedł do kancelarii O'Grady'ego, Steinberga, Marconiego i Horgana, pracował jako zastępca prokuratora, był pewien, że to absolutnie niemożliwe. Ale Pamela miała dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat i właśnie zaczęła praktykę. Uratowanie niewinnego klienta było przygodą z rodzaju tych, które wyobrażała sobie na studiach prawniczych, marząc, że niczym Joanna d'Arc jedzie ku promiennej Sprawiedliwości. Zamiast tego wybrała wielką kancelarię adwokacką i sto dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie. Dlaczego jednak nie mieć wszystkiego? Cóż, nie można winić ludzi za ich fantazje. Bóg wiedział, że Arthur Raven dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

— Posłuchaj, co znalazłam o Rommym w aktach nadzoru kuratorskiego — powiedziała Pamela. - Piątego lipca został skazany za naruszenie warunków zwolnienia warunkowego. Mor-

12

derstwa popełniono wczesnym rankiem czwartego lipca. A więc to, że został skazany, powinno oznaczać, że siedział wtedy w a-reszcie, zgadza się?

— To znaczy, że był w areszcie w którymś momencie. Niekoniecznie czwartego lipca. Jego akta policyjne nie wskazują na to, że był w nim czwartego lipca, prawda?

— Prawda. Ale jest to coś, co warto zbadać, czyż nie?

To coś warto było zbadać przed dziesięciu laty, kiedy akta, na podstawie których można by udowodnić, że to nonsens, jeszcze istniały. Jednak bardzo prawdopodobne, że nawet tak wąła przesłanka wystarczy, aby sąd apelacyjny ogłosił krótką zwłokę w egzekucji Gandolpha, podczas której Arthur i Pamela będą musieli wytrwale — i bezowocnie — szarpać się, próbując zbadać tę iluzoryczną teorię.

Rozgoryczony perspektywą kolejnych straconych dni, Arthur uniósł nieznacznie dźwazek kontroli prędkości i reakcja wielkiego samochodu sprawiła mu pewną satysfakcję. Kupił go kilka miesięcy temu, gdy został pełnym partnerem w swojej kancelarii adwokackiej, i uważał za swego rodzaju trofeum. Był to jeden z niewielu luksusów, na które sobie kiedykolwiek pozwolił, ale kiedy tylko przekręcił kluczyk, poczuł, że okazuje tym brak poszanowania pamięci niedawno zmarłego ojca, kochanego człowieka, ale jednego z tych, do których dziwactw należała niezrozumiała oszczędność.

— I posłuchaj tego — mówiła dalej Pamela. Wyjęła z grubej teczki akta policyjne Gandolpha i odczytała Arthurowi część zapisów. Gandolph był złodziejem i paserem. Miał na koncie pół tuzina wyroków: za włamanie, kradzież, kilka razy za posiadanie skradzionych przedmiotów. — Ale nic związanego z bronią— powiedziała Pamela.— Żadnej przemocy. Żadnych ofiar płci żeńskiej. Jak nagle stał się gwałcicielem i mordercą?

— Praktyka, praktyka, praktyka — odparł Arthur. Kątem oka dostrzegł, że pełne usta Pameli na krótko się

wykrzywiły. Knocił sprawę. Jak zwykle. Arthur nie wiedział dokładnie, jaki błąd popełniał w postępowaniu z kobietami, że w wieku trzydziestu ośmiu lat był samotny. Zdawał sobie sprawę, że jedną z przyczyn jest jego wygląd. Od czasów szkoły średniej garbił się i miał bladą cerę jak mężczyzna w średnim wieku. Na studiach ożenił się z Marją imigrantką z Rumunii. Był to krótki i bolesny dla niego związek, toteż przez jakiś czas nie miał ani ochoty, ani czasu, żeby zacząć jeszcze raz. Całko-

13

wicie poświęcił się prawu — tyle pasji włożonej w każdą sprawę, tyle wieczorów i weekendów, kiedy był wręcz zadowolony z tego, że jest samotny i może się skoncentrować na pracy... Poza tym przez lata absorbowało go pogarszające się

zdrowie ojca i przyszłość jego siostry, Susan. Jednak teraz, wypatrując najmniejszej oznaki, że Pamela mogłaby się nim zainteresować, czuł się upokorzony swoją głupotą. Nadzieje, które wiązał z tą dziewczyną, były równie iluzoryczne jak jej dotyczące Gan-dolpha. Poczul, że musi utemperować jedne i drugie.

— Posłuchaj — powiedział- nasz klient, Gandolph... Rom-my?... Rommy nie tylko przyznał się szybko i wielokrotnie, ale do tego, kiedy stanął przed sądem, jego linią obrony była niepoczytalność. To z kolei wymagało, by jego obrońca przyznał, że Rommy popełnił tę zbrodnię. Potem mamy dziesięć lat apelacji, petycji, a w końcu postępowanie habeas corpus*, z dwoma różnymi zespołami obrońców, z których żaden nawet nie napomknął, że to nie Rommy'ego powinno się sądzić. Nie wspominając o samym Rommym, który przypomniał sobie, że tego nie zrobił, dopiero gdy od igły z trucizną dzieliło go czterdzieści pięć dni. Naprawdę, Pamela, czy myślisz, że on powiedział swoim poprzednim adwokatom, że jest niewinny? Każdy recydywista zna tę grę - nowi obrońcy, nowa historia.

Arthur uśmiechnął się, usiłując wyglądać na kogoś, kto ma wielkie doświadczenie życiowe, choć w rzeczywistości nigdy nie zetknął się z kręactwami oskarżonych o przestępstwa kryminalne. Rzadko występował w roli obrońcy, zwykle wtedy, kiedy na jedną z wielkich spółek będących klientami kancelarii, lub na jej szefów, padało podejrzenie o jakieś finansowe nadużycia. Prawo cywilne, którym zajmował się przez większość czasu, było bardziej uporządkowanym, szczęśliwszym prawem, dotyczącym drobnych sporów natury ekonomicznej. Wydawało mu się teraz, że przez lata spędzone w prokuraturze każdego dnia musiał oczyszczać zalaną piwnicę, w której bakterie coli i zgnilizna z kanalizacji przeżarły prawie wszystko. Ktoś powiedział, że władza deprawuje wszystkich, którzy się o nią ocierają. Ale to samo powiedzenie można zastosować do zła. Jedna jedyna odrażająca zbrodnia psychopaty, wykraczająca poza granice tego, co inni mogą sobie wyobrazić — ojciec, który wy-

* Postępowanie sądowe w wyniku skargi habeas corpus, czyli na bezprawne aresztowanie (przyp. tłum.).

14

rzuca niemowlę z okna na dziesiątym piętrze, były uczeń, który siłą wlewa ług w gardło swojego nauczyciela, lub ktoś taki jak nowy klient Arthura, który nie dość, że zabija, to jeszcze odbywa stosunek analny ze zwłokami jednej z ofiar — może splugawić wszystkich, którzy się o nią otarli. Gliniarzy. Prokuratorów. Obrońców. Sędziów. Wobec takich okropności nikt nie reagował z wymaganą przez prawo bezstronnością. Wynikała z tego jedna lekcja: wszystko się rozpada. Arthur nie miał najmniejszej ochoty wracać do tego świata, któremu wciąż zagrażał chaos.

Po piętnastu minutach dotarli na miejsce. Rudyard było małym miasteczkiem jakich wiele na Środkowym Zachodzie, z kilkoma ciemnymi pokrytymi sadzą budynkami w centrum i paroma blaszanymi hangarami o dachach z falistego plastiku, w których mieściły się różne firmy świadczące usługi dla rolnictwa. Na peryferiach wyrastało coś na kształt miniprzed-mieść z centrami handlowymi i osiedlami domów, wynik ekonomicznej stabilności gwarantowanej przez kluczowy dla tej miejscowości, choć raczej nietypowy zakład pracy — więzienie.

Skęcili w ulicę biegnącą wśród klonów oraz małych domków tworzących scenerię godną planu filmowego i za następną przecznicą niczym wyskakujący z szafy potwór wyłonił się nagle kompleks więzienny, półmilowy ciąg przypadkowo połączonych budynków z żółtej cegły, łatwo rozpoznawalnych z uwagi na okna — wąskie i nieliczne. Gmachy te otaczały z kolei starą kamienną budowlę tak masywną, jakby wzięto ją z wczesnego średniowiecza. Na obrzeżu całości, oprócz dziesięciostopowego muru, ciągnęła się wysypana żwirem fosa najeżona stalowymi szpikulcami, a za nią wysokie na pięć stóp ogrodzenie zakończone błyszczącymi w słońcu spiralami drutu kolczastego.

Zgłosili się w wartowni, gdzie wskazano im podniszczoną ławkę, na której dość długo czekali, aż sprowadzą Rommy'ego na dół. Podczas tego oczekiwania Arthur jeszcze raz przeczytał jego list, który przez różnych pośredników dotarł do sądu apelacyjnego. Był to prawdziwy galimatias pełen wielokolorowych podkreśleń i innych uwypukleń zbyt nieregularnych, żeby tę bazgraninę można było nazwać choćby dziecięcym pismem. Wystarczyło tylko spojrzeć na ten list, by stwierdzić, że Rommy Gandolph jest zarówno zdesperowany, jak i szalony.

15

Drogi Sędzio

Czekam na wykonanie WYROKU ŚMIERCI za ZBROd-NIE, której nigdy nie PoPeiniłem. Mówią Mi, że miałem już wszystkie ApelaCje i wszystkie wypadły przeciwko mnie, CHOCIAŻ jestem NIEWINNY, adwokaci, którzy złożyli mają skargę w sądzie STanowym, mówią, że NIE mogą mnie teraz reprezentować, bo to jest sprzeczne z prAWEM Federalnym, co mam robić? moja egzekucja ma się odbyć 23 maja!!!! nie mogę uzyskać odroczenia ani niczego, chyba że w mojej sprawie będzie się toczyło habeus, a ja nie mam Prawnika, nie mam. Co mam robić? Czy Nikt tam nie może mi Pomóc? Zostanę zabity, a nigdy nikogo nie skrzywdziłem, ani w tej sprawie, ani we wszystkich innych razach, które sobie TeraZprzypominam. POMÓŻCIE MI. JA NIKOGO NIE ZABIŁEM, nigdy!!!!!!

Sąd apelacyjny uznał list Rommy'ego Gandolpha za kolejny wniosek o uwolnienie od

zarzutu na podstawie ustawy habeas corpus prawa federalnego i wyznaczył mu adwokata — Arthura. Sędziowie często wymachiwali na chybił trafił swymi czarodziejskimi różdżkami, by zamienić jakąś niechętną ropuchę — całkowicie zajętego prawnika — w działającego pro bono księcia, przydzielając mu nowego, nie płacącego klienta z bardzo trudną sprawą, którego zgodnie z przepisami musiał przyjąć. Niektórzy mogli potraktować to mianowanie jako wyraz uznania — sąd proszący szanowanego byłego prokuratora stanowego o dokonanie prawnego odpowiednika ostatniego namaszczenia. Jednakże był to uciążliwy dodatek do już przeciążonego pracą prawniczego życia.

W końcu wywołano nazwisko Rommy'ego. Prowadzeni przez strażnika Pamela i Arthur opuścili poczekalnię. Uruchomiono pierwszy z wielu elektronicznych rygli, po czym ze szczękiem sprawiającym wrażenie, że dokonuje się coś nieodwracalnego, zamknęły się za nimi żelazne drzwi z szybą ze szkła kuloodpornego. Od czasu, gdy Arthur zjawił się ostatnio w więzieniu, upłynęło wiele lat, ale Rudyard było na swój sposób ponadczasowe, niezmiennie. Nie chodziło tu o procedury. Te, jak pamiętał, zdawały się zmieniać co kilka dni. Władze — legislatura stanowa, gubernator, administracja więzienna — stale próbowały poprawić dyscyplinę, przerwać napływ kontrabandy, kontrolo-

16

wać gangi, oduczyc więźniów, weteranów oszustwa, oszukiwać. Zawsze był jakiś nowy formularz do wypełnienia, nowe miejsce do przechowywania pieniędzy, kluczy, telefonów komórkowych — wszystkich rzeczy zakazanych. Zawsze jakaś kolejna brama do przejścia, nowa procedura przeszukiwania.

Ale nastrój, atmosfera, ludzie — to wszystko było stare jak świat. Farba na ścianach była świeża, podłogi błyszcząły, ale to nie miało znaczenia. Mogli tu malować i szorować do upojenia. Z powodu tak wielu ludzi stłoczonych na tak małej powierzchni i otwartych ubikacji w każdej celi powietrze było skażone wonią odchodów i jakimiś mocniejszymi wyziewami, które już po pierwszym wdechu, jak przed laty, przyprawiły Arthura o lekkie mdłości.

Niskim ceglanym korytarzem dotarli do zielonych metalowych drzwi z lapidarnym napisem „Skazani”. Przeszli przez nie i zostali skierowani do pokoju obrońców, który właściwie nie był jednym pokojem, lecz dwoma: pomieszczeniem nie szerszym niż na pięć stóp, przedzielonym ścianą, która w połowie wysokości miała coś w rodzaju okienka z banku dla zmotoryzowanych — szybę z metalową rynienką u dołu, dzięki której adwokat i więzień mogli wymieniać dokumenty. Chociaż było to złamaniem wszystkich zasad poufności w stosunkach między obrońcą jego klientem, władze

więzienne zapewniły sobie prawo do umieszczania strażnika w rogu pokoju po stronie więźnia.

Za oknem był Rommy Gandolph, brązowoskóre widmo człowieka ze zmierzwionymi włosami. Tonął w fałdach luźnego żółtego kombinezonu, jednego z tych, które nosili wyłącznie skazani na śmierć. Był w kajdankach, toteż oburącz musiał sięgnąć po słuchawkę, która miała mu umożliwić rozmowę z nowymi obrońcami. Arthur podniósł jedyną słuchawkę po swojej stronie szyby i trzymał ją między sobą oraz Pamelą, kiedy oboje się przedstawiali.

— Jesteście pierwszymi prawdziwymi adwokatami, jakich miałem — powiedział Rommy. — Poprzedni byli z urzędu. Myślę, że teraz, kiedy mam prawdziwych obrońców, może mam szansę. — Rommy zbliżył się do szyby, żeby wyjaśnić swoje kłopotliwe położenie. - Jestem następnym Żółtkiem w kolejce na drugą stronę, wiecie? Wszyscy mi się już przyglądają. Jakby było we mnie coś innego, bo niedługo będę trupem.

Pamela pochyliła się natychmiast ku rynience na dokumen-

17

ty i zaczęła dodawać mu odwagi. Obiecała, że jeszcze tego samego dnia załatwią odroczenie egzekucji.

— Taa... — odparł Rommy — bo jestem niewinny, ludzie. Nikogo nie zabiłem. Chcę testu DMA, dopilnujcie, żeby mi go zrobili.

Badanie DNA, zawsze pierwsze przychodzące na myśl w tych czasach i takich okolicznościach, nie dawało żadnej nadziei Rommy'emu, ponieważ oskarżenie nigdy nie twierdziło, że zostawił na miejscu zbrodni jakiegokolwiek identyfikowalne ślady genetyczne. Nie znaleziono tam ani kropli jego krwi czy nasienia, ani jednego włosa bądź strzępka skóry.

Niespodziewanie Gandolph wycelował w Pamelę palec.

— Jesteś tak śliczna, jak sobie wyobrażałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon — powiedział do niej. — Myślę, że powinniśmy się pobrać.

Uśmiech Pameli nagle zgasł, gdy uświadomiła sobie, że Rommy jest śmiertelnie poważny.

— Mężczyzna powinien się ożenić, zanim umrze, prawda? — zapytał Rommy. — Czy to nie dobry pomysł?

Wspaniale, pomyślał Arthur. Konkurencja.

— Ochajtniemy się — mówił dalej Rommy. — Mogę dostać celę małżeńską.

Sądząc po sztywnej pozie Pameli, nie pasowało to do jej wyobrażeń o Joannie d'Arc palestry. Arthur, który nie miał pojęcia, jak rozpocząć to widzenie, wyjął szybko wyrok oraz nakaz osadzenia w więzieniu wydane przez sędzię Gillian Sulli-van, która w roku 1992 skazała Rommy'ego na śmierć, i zaczął go czytać na głos.

— Augu-jak? Kto teraz? - zapytał Rommy Gandolph.

— Augustus Leonidis - odparł Arthur.

— Czy ja go znam? — zapytał Rommy. Powieki jego zamkniętych oczu drgały, gdy usiłował dogrzebać się w pamięci do tego nazwiska.

— On jest jednym z tych trojga — wyjaśnił spokojnie Arthur.

— Jakich trojga?

— Trojga osób, które według oskarżenia zabiłeś. — I do których zabicia się przyznałeś, pomyślał Arthur. Chwilowo nie było jednak potrzeby robienia z tego wielkiej sprawy.

— Hmm - mruknął Rommy. - Nie wydaje mi się, żebym go znał. — Pokręcił głową jakby przegapił sposobność wizyty towarzyskiej.

Gandolph zbliżał się do czterdziestki. Miał ciemne oczy o żół-

18

tawym odcieniu i, wszystko na to wskazywało, krew obu Ameryk w żyłach. Według współczesnych pojęć był czarny, ale miał w sobie także coś z białego, Indianina i Latynosa. Jego włosy były poskręcane i nie przystrzyżone, brakowało mu kilku zębów, ale nie był brzydki. Można było jedynie odnieść wrażenie, że szaleństwo zjadło go od środka. Patrząc, jak oczy Rommy'ego biegają gorączkowo we wszystkich kierunkach niczym owady nocą w pobliżu światła, Arthur nie dziwił się specjalnie, dlaczego jego poprzedni adwokaci opierali linię obrony na problemach natury psychicznej. Rommy Gandolph bez wątpienia był szalony w potocznym znaczeniu tego słowa. Jednakże nie był szalony wystarczająco. Socjopata. Człowiek z zaburzeniami osobowości, może nawet typ schizoidalny. Ale jeszcze nie całkowicie zagubiony w dziczy, nie pozbawiony zupełnie moralnej busoli pozwalającej odróżnić zło od dobra, a więc nie spełniający warunku wymaganego przez prawo do obrony opartej na założeniu niepoczytalności.

— Nie jestem taki, co to kogoś zabija — dodał po namyśle Rommy.

— Cóż, zostałeś skazany za zabójstwo trojga ludzi: Augus-tusa Leonidisa, Paula Judsona i Luisy Remardi. Mówią że zastrzeliłeś ich i zostawiłeś w chłodni. — Oskarżenie twierdziło także, że seksualnie zbezcześcił zwłoki Luisy, chociaż Rommy, najpewniej ze wstydu, nie przyznał się do tego. Jednakże sędzia Sullivan, która prowadziła rozprawę sama, bez ławy przysięgłych, uznała go winnym również tego zarzutu.

— Nic o tym nie wiem - powiedział Rommy i popatrzył w bok, jakby ta uwaga miała zamknąć temat. Arthur, którego siostra Susan była jeszcze bardziej szalona od Rommy'ego, po-stukał w szybę, by z powrotem ściągnąć jego spojrzenie na siebie. Chcąc przeprowadzić do końca jakąkolwiek rozmowę z ludźmi takimi jak Rommy czy Susan, czasem trzeba było pochwycić ich wzrok.

— Czyj to charakter pisma? — zapytał łagodnie Arthur i wsunął pod szybę napisane przez Rommy'ego przyznanie się do winy. Strażnik zerwał się z krzesła i zażądał, aby pokazali mu każdą stronę, bo chce się upewnić, że niczego tam nie ukryto.

Rommy przez jakiś czas studiował dokument.

— Co myślicie o akcjach? — zapytał w końcu. — Mieliście kiedyś akcje? Jak to jest?

19

Po dłuższej chwili Pamela zaczęła mu wyjaśniać, jak funkcjonują giełdy.

— Nie, miałem na myśli, jak to jest, kiedy się ma akcje. Co to za uczucie i tak dalej. Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, kupię trochę akcji. Potem będę to wszystko oglądał w telewizji. Wzrost o ćwierć procenta. Indeks Down Jones. Będę wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Pamela mówiła dalej, próbując wyjaśnić w ogólnym zarysie zasady własności spółek akcyjnych, a Kommy sumiennie kiwał głową po każdym zdaniu, ale już wkrótce wyraźnie się pogubił. Arthur ponownie wskazał na kartki, które jego klient trzymał w ręce.

— Oskarżenie mówi, że to napisałeś.

Rommy spuścił na chwilę swoje atramentowe oczy.

— Tak wtedy myślałem - odparł. - Patrząc na to wszystko, jakoś tak powiedziałem, że to ja.

— Cóż, z tego dokumentu wynika, że to ty zabiłeś tych troje ludzi.

Rommy wrócił wzrokiem do pierwszej kartki.

— To tutaj — powiedział — nie ma dla mnie żadnego sensu.

— To nieprawda?

— Człowieku, to było dawno temu. Kiedy to się stało? — Arthur mu powiedział, a Rommy wyprostował się na krześle. — Jestem tu tak długo?

— Czy napisałeś dla policji to przyznanie się do winy? - zapytał Arthur.

— Wiedziałem, że coś napisałem tam na tym komisariacie. Nikt mi nie powiedział, że to było dla sądu. — W aktach znajdowało się oczywiście podpisane przez Rommy'ego ostrzeżenie, że każde jego oświadczenie może być użyte przeciwko niemu w ten właśnie sposób. — I nie słyszałem też nic o tym, że mogę dostać igłę - dodał. - Tego jestem cholernie pewny. Był tam glina, który mówił mi wiele różnych rzeczy, a ja to zapisywałem. Ale nie pamiętam, żebym pisał coś takiego jak to tutaj. Nikogo nie zabiłem.

— A dlaczego zapisywałeś to, co mówił ten glina? - zapytał Arthur.

— Bo się... tak jakby zabrudziłem. — Jednym z bardziej kontrowersyjnych dowodów w sprawie było to, że Rommy dosłownie narobił w spodnie, kiedy prowadzący dochodzenie detektyw, Larry Starczek, zaczął go przesłuchiwać. Podczas procesu

20

oskarżeniu zezwolono na przedstawienie zabrudzonych spodni Rommy'ego jako dowodu świadomości winy. To z kolei stało się jedną z podstawowych kwestii podnoszonych w jego licznych apelacjach, problemem, do którego żaden z sądów nie zdołał się odnieść z powagą, bez prześmiewczych podtekstów.

Arthur zapytał jeszcze, czy Larry, ten detektyw, pobił Rommy'ego, odmówił mu picia lub jedzenia albo uniemożliwił kontakt z obrońcą. Rommy, chociaż rzadko odpowiadał wprost, raczej niczego takiego nie twierdził — utrzymywał tylko, że napisał szczegółowe przyznanie się do winy, które było całkowicie nieprawdziwe.

— Czy pamiętasz, gdzie byłeś trzeciego lipca 1991 roku? — zapytała Pamela. Rommy otworzył szeroko oczy, całkowicie zdezorientowany, więc wytłumaczyła, że zastanawiają się, czy nie siedział wtedy w więzieniu.

— Nie miałem żadnego poważnego wyroku przed tym tu — odparł Rommy. Najwyraźniej sądził, że to pytanie dotyczy jego skłonności przestępczych.

— Nie o to nam chodzi — powiedział Arthur. — Czy mogłeś być za kratkami, kiedy dokonano tych morderstw?

— Ktoś tak mówi? — Rommy pochylił się konfidencjonalnie ku szybie, czekając na odpowiedź. Kiedy dotarło do niego, co to może oznaczać, zdołał się roześmiać. — To by było niezłe. — Wszystko to stanowiło dla niego nowość, chociaż potwierdził, że w owych czasach regularnie nachodziła go policja, czym nieco podparł hipotezę Pameli.

Rommy naprawdę nie miał nic do zaoferowania w swojej sprawie, a jednak w czasie całej rozmowy zaprzeczał każdemu z punktów aktu oskarżenia. Funkcjonariusze, którzy go aresztowali, zeznali, że znaleźli w jego kieszeni naszyjnik należący do jednej z ofiar, Luisy Remadi. To także, powiedział, było kłamstwem.

— Oni, policja, mieli już tę rzecz. Nie ma mowy, żebym to miał przy sobie, kiedy mnie zamknęli.

W końcu Arthur przekazał słuchawkę Pameli, która zaczęła zadawać dalsze pytania. Rommy przedstawił własną, ekscentryczną wersję smutnej historii ujawnionej przez jego akta. Był nieślubnym dzieckiem; jego matka, czternastolatka, piła w czasie ciąży. Nie mogła zarobić na utrzymanie chłopca, wysłała go więc do jego mieszkających w DuSable dziadków ze strony ojca, fundamentalistów religijnych, którzy w jakiś spo-

21

sób doszli do przekonania, że kara jest ważną częścią wiary. Rommy nie był właściwie buntowniczy, ale dziwny. Uznano go za opóźnionego w rozwoju, w szkole nie nadążał za innymi. I zaczął się źle zachowywać. Kradł od małego. Narkotyzował się. Wpadł w towarzystwo podobnych sobie. Rudyard było pełne Rommych, białych, czarnych i brązowych.

Siedzieli tak ponad godzinę. Arthur wstał, obiecując, że wraz z Pamelą zrobią co w ich mocy.

— Kiedy tu wróćcie, przywieź ze sobą suknię ślubną, dobrze? — powiedział Rommy do Pameli. — Mamy tu księdza, zrobi to jak należy.

Kiedy Rommy także wstał, strażnik ponownie zerwał się na nogi i chwycił koniec łańcucha, który opinał więźnia w pasie i biegł do jego kajdanek na rękach i kajdan na nogach. Nawet przez szybę słyszeli gaworzenie Rommy'ego. To sąprawdziwi adwokaci. Dziewczyna wyjdzie za niego za męż. Wyciągną go stąd, bo jest niewinny. Strażnik, który sprawiał takie wrażenie, jakby go lubił, uśmiechnął się pobłaźliwie,

po czym skinął przyzwalająco głową, kiedy Rommy poprosił o zgodę na odwrócenie się. Gan-dolph przycisnął białe, skute dłonie do szyby, i na tyle głośno, że było go słychać przez ściankę dzielącą pokój, powiedział:

— Jestem wdzięczny za to, że tu przyjechaliście, i za wszystko, co dla mnie robicie, naprawdę wdzięczny.

Arthur i Pamela również zostali wyprowadzeni. Idąc przez więzienie, nie rozmawiali ze sobą. Gdy znaleźli się znowu na świeżym powietrzu i ruszyli do samochodu Arthura, Pamela z ulgą potrzęsła szczupłymi ramionami. Jak można było przewidzieć, wciąż myślała o obronie Rommy'ego.

— Czy on wygląda jak morderca? — zapytała. — Jest dziwaczny. Ale czy tak wygląda morderca?

Jest dobra, pomyślał Arthur, dobry z niej prawnik. Kiedy się do niego zgłosiła na ochotnika w tej sprawie, założył z góry, że jest zbyt zielona, aby mogła mu wielce pomóc. Zgodził się, bo nie lubił sprawiać ludziom przykrości, choć pewien wpływ na jego decyzję miało też to, że była pełna wdzięku i wolna. Odkrycie, że jest także utalentowana, tylko zaostrzyło jego pociąg do niej.

— Powiem ci, na kogo na pewno mi nie wygląda — odparł. — Na twojego męża.

— To było dopiero coś, prawda? - zapytała. Była tak śliczna, że nie poczuła się dotknięta zalotami Rommy'ego. Mężczyźni,

22

uświadomił sobie Arthur, musieli często głupiec w jej towarzystwie. Pośmiali się i wymienili kilka dowcipów.

Potem, wciąż się przekomarzając, Pamela powiedziała:

- Ostatnio jakoś nie mogę spotkać nikogo odpowiedniego, ale to — wyciągnęła rękę w stronę odległej autostrady - byłaby dla mnie zbyt długa droga.

Stała przy drzwiczkach pasażera. Wiatr rozwał jej jasne włosy, gdy znowu się roześmiała, a Arthur poczuł, że serce mu mocniej zabiło. Mimo że miał już trzydzieści osiem lat, wciąż wierzył, że gdzieś w nim jest inny Arthur, wyższy, smuklejszy, przystojniejszy, mężczyzna o uwodzicielskim głosie i beztroskim sposobie bycia, który potrafiłby wykorzystać wzmiankę Pameli o jej obecnej posusze z mężczyznami i lekko dwuznacznie zaprosić ją na lunch, a może nawet na jakieś znaczące przyjęcie towarzyskie. Jednak wróciwszy do tej paraliżującej krawędzi, na której jego fantazje stykały się z rzeczywistością uświadomił sobie, że jak zwykle nic

nie robi. Bał się upokorzenia, oczywiście, ale gdyby był wystarczająco nonszalancki, odmówiłaby, czego był prawie pewny, równie niefrasobliwie i niewinnie. Jednakże tak naprawdę powstrzymała go przed tym chłodna myśl, że postąpiłby nieuczciwie. Pamela była jego podwładną, na pewno zatroskana o swoją przyszłość, a on -wspólnikiem kancelarii. Nie można było zmienić tej nierówności, nie było żadnego sposobu, żeby Arthur Raven mógł opuścić swój świat rządzony przez utrwalone zasady przyzwoitości, jedyny, w którym czuł się dobrze sam ze sobą. A jednak, chociaż nie mógł nic zarzucić swojemu rozumowaniu, wiedział, że w jego stosunkach z kobietami zawsze wyłania się taka lub inna przeszkoda, która pozostawia go w szponach bezowocnych i beznadziejnych pragnień.

Wyjął z kieszeni pilota i odblokował drzwiczki. Kiedy Pamela wsiadała do samochodu, a w zasadzie zagłębiała się w nim, Arthur stał w tumanach gryzącego kurzu wznoszących się nad parkingiem. Śmierć nadziei, nieważne jak bezpodstawnych, zawsze jest bolesna. Ale wiatr z nad prerii powiał znowu, tym razem oczyszczając powietrze i niosąc zapach świeżo zaoranej ziemi z pól poza miastem, aromat wiosny. I nagle po raz pierwszy zastanowił się nad Rommym Gandolphem. A jeśli on naprawdę jest niewinny? Myśl o tym była prawie tak rozkoszna jak ta o miłości. A jeśli Rommy jest niewinny?

I wtedy ponownie sobie uświadomił, że Rommy nie jest

23

niewinny. Poczul, że przygniata go ciężar życia. Był wspólnikiem. Człowiekiem niekochanym. Jego ojciec zmarł. I wciąż była Susan. Zważył to brzemie i znowu potwierdził, że w sumie otrzymał od losu mniej niż to, na co od tak dawna miał nadzieję, lub nawet miał prawo oczekiwać, po czym otworzył drzwiczki, wsiadł do samochodu i ruszył z powrotem do tego wszystkiego.

2 5 lipca 1991

Detektyw

Kiedy dziesięć lat wcześniej Larry Starczek usłyszał o morderstwie Gusa Leonidisa, był w łóżku z prokuratorką Muriel Wynn, która właśnie poinformowała go, że zamierza się związać na poważnie z kimś innym.

— Dan Quayle — odparła, kiedy zażądał, żeby mu powiedziała, kto to taki. — Uległ mojemu czarowi.

Rozdrażniony Larry wsunął stopę w leżący na hotelowym dywanie kłęb swoich rzeczy, poszukując slipek. Kiedy dotknął palcem bipera, poczul, że urządzenie

wibruje.

— Kiepska sprawa - powiedział do Muriel, odłożywszy słuchawkę telefonu. — Dobry Gus kopnął w kalendarz. Znaleźli go razem z dwojgiem klientów w jego chłodni. Wszyscy zginęli od strzału w głowę. — Strzepnął spodnie i powiedział jej, że musi iść. Komendant chciał mieć wszystkich na pokładzie.

Muriel, filigranowa i ciemnowłosa, siedziała wyprostowana w wykrochmalonej na sztywno pościeli hotelowej.

— Przydzielono już do tej sprawy prokuratora? — zapytała. Larry nie miał pojęcia, ale wiedział, jak załatwia się takie

rzeczy. Gdyby pojawiła się na miejscu zbrodni, wszyscy przyjęliby, że ktoś ją przysłał. To była jeszcze jedna cecha Muriel, którą tak lubił. Tak jak i on uwielbiała pracować na ulicy. Zapytał jeszcze raz, kim jest ten facet.

— Po prostu chcę posunąć się do przodu — odparła Muriel. — Myślę, że ta sprawa... mogłaby się rozwinąć. Może nawet wyjdę za mąż.

— Za mąż!

— Do diabła, Larry, to nie choroba. Sam jesteś żonaty.

24

— Ach — westchnął. Przed siedmiu laty ożenił się po raz drugi, gdyż wydawało mu się, że to ma sens. Nancy Marini, pielęgniarka o dobrym sercu, była ładna, miła i dobra dla jego chłopców. Ale jak mu to Nancy ostatnio kilka razy wytknęła, on nie rezygnował z tego, co doprowadziło do ruiny jego pierwsze małżeństwo. Wciąż włóczył się po nocach i wciąż czuł się przede wszystkim związany z trupami, które zbierał z ulic. Jego małżeństwo numer dwa właśnie odchodziło w przeszłość, ale nawet z Muriel Larry wolał o tym nie rozmawiać. — Zawsze mówiłaś, że twoje małżeństwo było katastrofą — powiedział.

- Tak, moje małżeństwo z Rodem było katastrofą. Ale miałam wtedy dziewiętnaście lat. — Trzydziestoczteroletnia Muriel wyróżniała się tym, że od ponad pięciu lat była wdową.

Był to weekend, w który wypadła Czwarty Lipca, i w hotelu Gresham, mimo wczesnego popołudnia, panowała dziwna cisza. Jego kierownik miał u Larry'ego dług wdzięczności za kilka problemów, od których policjant go uwolnił — od gości, którzy nie chcieli opuścić swych pokoi, czy prostytutki, która pracowała w holu. Gdy więc Larry prosił go o pokój na kilka godzin, zawsze go dostawał.

Kiedy Muriel przeszła obok niego, idąc do lustra, chwycił ją z tyłu i zbliżył usta do krótkich czarnych loków okalających jej ucho.

- Czy ten twój nowy adorator daje ci tyle frajdy co ja?

— Larry, to nie są krajowe zawody z cyklu „odpieprz się”, w których właśnie zostałeś wyeliminowany. Zawsze się dobrze bawiliśmy.

Ich związek zasadał się na współzawodnictwie, a nawet walce. Lubił to chyba bardziej niż seks. Poznali się przed siedmiu laty, kiedy oboje podjęli wieczorowe studia prawnicze. Muriel została gwiazdą i przeniosła się na studia dzienne. Larry postanowił zrezygnować, zanim jeszcze uzyskał prawo do opieki nad swymi synami, ponieważ uznał, że podjął naukę z niewłaściwych powodów. Starał się pozbierać po rozwodzie, trzymać z dala od knajp, nawet poprawić swój wizerunek w oczach rodziców i braci, którzy uważali pracę w policji za coś poniżej jego godności. W ostatecznym rachunku sporadyczne spotkania z Muriel okazały się chyba najlepszą z konsekwencji tego doświadczenia. W jego życiu były kobiety, zbyt wiele, kiedy ich pragnął, ale to nigdy nie było tak naprawdę w porządku. Zwykle ciągnęli to, zapewniając się nawzajem, jak im jest wspa-

25

niale, ale we wszystkim, co się między nimi działo, była jakaś smutna kalkulacja. Z Muriel nigdy tak nie było. Ze swoimi nierównymi zębami, perkatym nosem i sylwetką tak szczupłą, że mogłaby spłynąć rurą kanalizacyjną, nie miała szansy trafienia na zbyt wiele okładek magazynów ilustrowanych. Jednakże Larry, który poślubił dwie kobiety głównie dla ich wyglądu, będąc z nią, czuł czasem, że na samą myśl o tym, jak mało wie o sobie, coś go ściska za gardło.

Kiedy Muriel pokryła już pudrem swoje letnie piegi, Larry włączył radio. Wszystkie stacje nadające wiadomości donosiły już o morderstwach, ale Geer, komendant, odmówił podania szczegółów.

— Bardzo bym chciała złapać tę sprawę — powiedziała Muriel. Od trzech i pół roku była prokuratorem i przez cały ten czas nawet nie otarła się o dochodzenie sądowe w sprawie przestępstwa zagrożonego karą śmierci, nawet jako druga czy trzecia asystentka oskarżyciela. Jednak z Muriel nie można było wiele osiągnąć, mówiąc jej, żeby sobie odpuściła. Jej czarne oczy odbite w małym lusterku nad toaletką szukały jego oczu. — Kocham historię — dodała. — Wiesz, wielkie wydarzenia. Wydarzenia z konsekwencjami. Być częścią historii... Kiedy byłam małą dziewczynką, matka ciągle mi to mówiła.

Pokiwał głową. To będzie duża sprawa.

— A co do śmierci Gusa - powiedział — ktoś powinien za to dać głowę, nie sądzisz?

Trzasnęła zamykana puderniczka i Muriel ze smutnym uśmiechem skinęła głową.

— Wszyscy lubili Gusa — powiedziała.

Augustus Leonidis był właścicielem restauracji Paradise od ponad trzydziestu lat. Dzielnica North End, w której mieścił się ten lokal, popadła w ruinę krótko po jego otwarciu, kiedy miejskie lotnisko DuSable Field, ostatni bastion chroniący ją przed upadkiem, zostało na początku lat sześćdziesiątych porzucone przez główne linie lotnicze, bo jego pasy startowe były zbyt krótkie dla odrzutowców. Mimo to Gus, pełen świeżego imigracyjnego optymizmu, nie chciał się przenosić gdzie indziej. Był patriotą wymarłego już gatunku. Czy jakieś miejsce może być złe, skoro jest w Ameryce?

Pomimo smętnego otoczenia interes Gusa prosperował, a to dzięki temu, że dokładnie przed jego drzwiami wejściowymi

26

przebiegał zjazd z 843. międzystanowej, i za sprawą legendarnych śniadań, których głównym elementem były omlety wielkości balonów. Paradise była w hrabstwie Kindle znaną restauracją. Krzyżowało się tu wiele dróg, a gadatliwy właściciel każdego witał z entuzjazmem. Gus nosił przezwisko Dobry od tak dawna, że nikt już nie pamiętał, skąd się wzięło — czy od darmowych posiłków dla biednych, jego działalności społecznej, czy też wylewnego, radosnego stylu bycia. Przez lata był stale wymieniany w corocznych sondażach „Tribune” jako jeden z najbardziej lubianych obywateli hrabstwa Kindle.

Kiedy Larry przyjechał na miejsce, stwierdził, że gliniarze z wydziału patrolowego, bardzo się starając podkreślić, jak są ważni, zaparkowali swoje czarno-białe wozy z włączonymi kogutami na całej szerokości ulicy, co przyciągnęło uwagę najróżniejszych włóczęgów i porządnych obywateli. Był lipiec i wszyscy nosili się raczej lekko, gdyż instalacje elektryczne w starych domach mieszkalnych z sąsiedztwa były zbyt słabe jak na potrzeby klimatyzatorów. Biedne dziewczyny z fryzurami biednych dziewczyn — koronami włosów sterczących jak kolce jeża lub na beton pokrytych lakierem — gromadziły się po drugiej stronie ulicy, zajmując się swoimi dziećmi. Kilka telewizyjnych wozów transmisyjnych, których ekipy na chodniku przygotowywały się do wejścia na wizję, wzniosło anteny wyglądające jak monstrualne patelnie.

Muriel, która przyjechała osobno, czaiła się przy szerokich oknach restauracji, czekając, aż Larry wciągnie ją jakoś do śledztwa. Rozpoczął od tego, że podszedł do

niej spacerowym krokiem i wskazawszy na nią palcem w geście świadczącym o tym, że skądś ją zna, powiedział:

- Hej.

Nawet ubrana dosyć zwyczajnie, Muriel była w pantofelkach na wysokim obcasie. Larry podejrzewał, że zawsze chciała być wyższa, a poza tym zawsze szukała okazji do uwypuklenia swych bardzo kształtnych pośladków. Wykorzystywała, co dał jej los. Patrząc na jej nogi w niebieskich, powiewających na wietrze szortach, wspomniał ciało, które kryły, i poczuł dreszcz podniecenia.

Błysnął odznaką dwóm stojącym przy drzwiach mundurowym. W restauracji, przy jednym ze stolików po lewej, siedziało troje cywilów — czarna mężczyzna w fartuchu, zmęczona, jakby wyżęta kobieta w beżowej domowej sukience oraz dość mło-

27

dy facet o zaokrąglonych plecach i z kolczykiem tak wielkim, że Larry świetnie go widział z trzydziestu stóp. Wszyscy troje zdawali się przebywać we własnym wszechświecie, całkowicie odizolowani od krzątających się wokół policjantów. Pracownicy lub rodzina, uznał Larry, czekający na przesłuchanie lub okazję do zadania pytań. Dał znak Muriel, która usiadła blisko nich na jednym z obrotowych stołków, które niczym rząd muchomorów sterczały przed kontuarem.

Miejsce zbrodni zabezpieczało kilkunastu ludzi — co najmniej sześciu techników w koszulkach khaki zbierało odciski palców— ale atmosfera była wyraźnie przygaszona. Kiedy w jednym miejscu zbiera się tak wiele glin, zwykle robią spory hałas, wybuchają śmiechem w przyływach humoru, panuje ogólny gwar. Jednak tego dnia wszyscy zostali odwołani z urlopu w środku czterodniowego weekendu, co oznaczało, że byli zrzedliwi lub senni. Poza tym na miejscu zbrodni zjawił się także komendant, człowiek z natury poważny. A zbrodnia była potworna.

Komendant Harold Greer urządził sobie punkt dowodzenia w malutkim biurze Gusa za kuchnią, a zespół detektywów, których wezwał, właśnie się tam zbierał. Gus, co stanowiło dla nich pewną niespodziankę, utrzymywał tu wszystko we wzorowym porządku. Na ścianie nad biurkiem wisiał prawosławny krzyż, kalendarz z panienkami od hurtownika towarów spożywczych i zdjęcie rodziny Gusa zrobione, jak przypuszczał Larry, podczas powrotnej podróży z Grecji. Fotografie żony, dwóch córek i syna musiały mieć z piętnaście lat, ale był to czas — o czym Larry dobrze wiedział -który Gus, jak większość facetów, chciał pamiętać, bo to wtedy naprawdę ciągnął cały rodzinny wózek, budując i rozwijając interes, wychowując dzieci. Zona,

uśmiechnięta i całkiem ponętna w pogniecionym kostiumie kąpielowym, była tą samą biedną nieszczęśnicą, która siedziała przy drzwiach lokalu.

Greer, zatykając jedno ucho palcem, a drugie słuchawką, opisywał sytuację komuś z biura burmistrza, podczas gdy zgromadzeni w pomieszczeniu detektywi patrzyli na niego. Larry podszedł do Dana Lipranzera i usiadł obok niego. Lip, który miał zaczesane gładko do tyłu włosy w stylu młodocianego przestępcy z lat pięćdziesiątych, siedział jak zwykle sam w rogu. Lipranzer zawsze sprawiał wrażenie przeziębionego, nawet w lipcu, a jego skulona sylwetka przywodziła na myśl pierzą-

28

cego się ptaka. Był pierwszym gliną na miejscu zbrodni i przesłuchał kierownika nocnej zmiany, Rafaela.

Paradise zamykano tylko dwa razy w roku — na Boże Narodzenie i Czwartego Lipca, urodziny Boga i Ameryki, czyli dwie okazje, które Gus przysiągł święcić. Każdego innego dnia od piątej rano aż do południa przed drzwiami restauracji stały kolejki, a w pozostałych godzinach ruch nieco słabł. Klientami byli gliniarze, taksówkarze i wielu pasażerów jadących z lub na lotnisko DuSable Field, które ożyło, kiedy kilka lat wcześniej linia Trans-National Air wznowiła loty regionalne.

Zgodnie z tym, co kierownik nocnej zmiany powiedział Li-pranzerowi, Gus przyjechał w środę, trzeciego lipca, tuż przed północą, żeby zabrać gotówkę i odesłać pracowników do domu. Każdy z nich otrzymał sto dolarów z kasy. Kiedy już mieli powiesić tabliczkę „Zamknięte”, do środka weszła Luisa Remar-di, która pracowała dla Trans-National jako przedstawicielka agencji sprzedaży biletów. Była stałąbywalczynią Gus, który miał słabość do wszystkich klientów płci żeńskiej, kazał Rafaelowi, kucharzowi i pomocnikowi kelnera jechać do domu, a sam zajął się kuchnią. W jakimś momencie w ciągu następnej godziny lub dwóch Gus, Luisa oraz trzecia osoba zostali zamordowani. Ostatnią ofiarą był biały mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, wstępnie zidentyfikowany jako Paul Judson. Identyfikacja ta opierała się na numerze rejestracyjnym jednego z samochodów wciąż grzejących się na słońcu przed restauracją Gusa oraz na tym, że dzień wcześniej żona Judsona zgłosiła jego zaginięcie. Pani Judson powiedziała, że Paul miał być czwartego lipca o dwunastej dziesiąt w południe na lotnisku DuSable Field.

Rafael, kierownik nocnej zmiany, przyjechał tego dnia otworzyć restaurację o czwartej trzydziści rano. Nie zastanawiał się zbytnio nad nieporządkiem, który zastał, założył bowiem, że gdy tylko Gus pozbył się klientów, wyszedł, by uniknąć nowych. Około piątej rano zadzwoniła do niego pani Athena Le-onidis, bardzo zaniepokojona i zdenerwowana, ponieważ Gus nie pojawił się poprzedniego dnia w

ich letnim domku w pobliżu Skagen. Rafael zauważył, że cadiłlac Gusa wciąż stoi na parkingu, i zaczął się obawiać, że ślad krwi koło kasy nie pochodzi z rozmrażającego się mięsa, które Gus zawlókł po schodach na górę do kuchni. Kiedy przyjechał kucharz, wezwali razem policję i, po krótkiej dyskusji, pociągnęli w końcu kłam-

29

kę chłodni w piwnicy, licząc, że ktoś jeszcze żyje. Nie znaleźli nikogo takiego.

Było blisko wpół do czwartej po południu, kiedy Greer odłożył słuchawkę i oświadczył dwunastce detektywów, których wezwał, że nadszedł czas, by zabrali się do roboty. Mimo że było piekielnie gorąco, komendant miał na sobie sportową wełnianą marynarkę i krawat, gdyż zdawał sobie sprawę, że przeznaczone jest mu wystąpienie przed kamerami. Stał przy przenośnej tablicy, którą dla niego rozstawiono, i zaczął przydzielać zadania, tak by każdy glina znał swoją działkę, gdy będą badać miejsce zbrodni. Hal miał kierować całością i sam, jako szef grupy specjalnej, odbierać wszystkie raporty. To zrobi wrażenie na dziennikarzach, ale Larry wiedział, że jedynym rezultatem będzie sześć zespołów detektywów wpadających na siebie, podążających tymi samymi tropami i nie zauważających innych. Za tydzień Greer, mimo wszystkich dobrych intencji, będzie musiał zacząć się zajmować innymi sprawami, które tymczasem spiętrzą mu się na biurku, a policjanci, jak koty, rozleżą się na wszystkie strony.

Larry próbował zachować kamienny wyraz twarzy, kiedy Greer poinformował go, że będzie pracował z Wilmą Amos. Główną zaletą Wilmy było to, że uosabiała politykę wspierania grup dyskryminowanych w policji, a największym z niej pożytkiem — to, że z powodzeniem mogła zastąpić stojak na kapelusze. Co gorsza, okazało się, że Larry nie ma co marzyć o kierowniczej roli w tej sprawie. Zamiast tego Wilma i on zostali oddelegowani do zbadania wszystkich szczegółów życia Luisy Remardi.

— Zwiedzanie z przewodnikiem — zarządził Harold i wyszedł przez kuchnię. Hal Greer, spokojny, systematyczny i poprawnie się wyrażający Murzyn o sporych rozmiarach, robił duże wrażenie na większości ludzi. Larry'emu Harold nie przeszkadzał - był w mniejszym stopniu politykiem niż większość wysokich stopniem funkcjonariuszy policji i jednym z niewielu, których Larry uważał za równie bystrych jak on sam.

Technicy oznaczyli taśmami szlak i Harold poinstruował gliniarzy, żeby szli gęsiego i trzymali ręce w kieszeniach. Ktoś z doktoratem z kryminologii powiedziałby zapewne, że komendant oszalał, wprowadzając kilkunastu niepotrzebnych ludzi na miejsce przestępstwa. Groziło to zatarciem śladów i chociaż każdy miał na nogach kapcie, obrońca mógł przedstawić to

zwiedzanie jak przejście przez Alpy Hannibala ze słoniami. Jednak Harold wiedział, że żaden śledczy nie będzie czuł, że to jest jego sprawa, jeśli nie dokona oględzin miejsca zbrodni. Psy tropiące muszą złapać woń zwierzyny.

— Teorie robocze — odezwał się Harold zza kasy stojącej na szklanej szafce z pochyłymi półkami, na których leżały wyschnięte cygara i batoniki. Jasnopurpurowe smugi pozostawione na szkle przez zdejmujących odciski palców techników wyglądały jak jakiś element zdobniczy. — Teoria numer jeden, która jest całkiem prawdopodobna: doszło tu do napadu z bronią w ręku, który źle się skończył. Kasa jest pusta, torba na depozyt bankowy znikła, a żadna z ofiar nie ma zegarka, portfela oraz biżuterii.

Druga teoria: był jeden sprawca. Nie ma ona zbyt mocnych podstaw — ciągnął Harold — ale z każdą chwilą podoba mi się coraz bardziej. Wygląda na to, że wszystkie pociski, które znaleźliśmy, są kalibru .38 i noszą podobne ślady. Jeden strzelec, to pewne. Mógł mieć współników, ale nie wydaje się, żeby tak było.

Gus został zabity właśnie tutaj — kontynuował — za kasą. Wydaje się, że właśnie sięgał po telefon. Jeden strzał w lewą tylną część czaszki. Po wstępnych oględzinach zwłok Bezbolesny mówi, że odległość wynosiła trzy do sześciu stóp, z czego wynika, że strzelający stał tuż obok kasy. Nieudany napad z bronią w ręku — powtórzył Hal. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął eleganckie srebrne pióro i wskazał nim krew, wielką kałużę zaschniętą na brudnym linoleum i plamki na zielonym, wiszącym na ścianie telefonie. — Kiedy sprawca zabił Gusa, zorientował się, że ma poważny problem, gdyż w restauracji było jeszcze dwoje klientów. Tu dochodzimy do miejsca, w którym przypadkowe zabójstwo zmienia się w brutalne i ohydne morderstwo. — Te słowa miały duże znaczenie, gdyż w tym stanie „brutalne i ohydne morderstwa” były zagrożone karą śmierci. — Zamiast rzucić się do drzwi jak przeciętny opryszek, nasz facet decyduje się załatwić świadków. Pani Remardi zostaje zabita dokładnie tu, pojedynczym strzałem w brzuch.

Harold przeszedł dwadzieścia stóp do boksu znajdującego się naprzeciw drzwi wejściowych w najstarszej części restauracji. Zanim Gus ją kupił i rozbudował po stronie wschodniej i zachodniej, musiał to być lokal o atmosferze średniowiecznej. Podkreślały ją dwa rzędy boksów zbudowanych z grubych ciem-

nych desek, pokrytych nierówno wieloma warstwami uretanu. W rogach sali stały kwadratowe wieszaki na płaszcze przypominające zamkowe wieżyczki.

— Wiele wskazuje na to, że pani Remardi uznała, że jeśli chce ująć z tego z życiem, musi wyrwać napastnikowi broń. Na rękach ma siniaki, a jeden z palców jest złamany. Ale się nie udało. Materiał jej uniformy jest opalony wokół rany, a w skórze utkwili ziarnka prochu, co świadczy o tym, że strzał oddano z bardzo małej odległości. Na podstawie wyglądu rany wyjściowej Bezbolesny stwierdził wstępnie, że kula przeszła przez wątrobę i przebiła aortę, a więc pani Remardi zmarła w ciągu kilku minut.

Ze ściany boks technicy wyjęli pocisk.

W miejscu, gdzie strzaskał drewno, odsłaniając surową sośninę, widać było nierówny pierścień zaschniętej krwi. Oznaczało to, że Luisa umarła w pozycji siedzącej. Na stole wciąż stała filizanka z jaskrawym półksiężycem jej szminki i pełna niedopałków popielniczka.

— Gdyby widziała współnika, to jej próba podjęcia walki nie miałyby większego sensu. Tak więc jest to jeszcze jeden powód, dla którego myślimy, że to była solówka. — Harold wskazał pod stół, gdzie leżał rozbity podczas walki płaski talerz obiadowy pokryty smugami sosu od steku. Między fragmentami ceramiki widać było całowy kawałek tłuszczu z wołowiny, jak również pół paczki papierosów oraz jednorazową zapalniczkę.

— Pan Judson jadł z tyłu, w rogu przy oknie. Rafael sprzątnął dziś rano z tego stołu talerz, szklankę i puszkę 7-Up. Na prawej stronie marynarki pana Judsona jest pasmo kurzu, co sugeruje, że prawdopodobnie był pod stołem, być może chował się przed kulami. A może tylko się chował. Ale sprawca go znalazł.

Sądząc po odciskach butów na krwi — mówił dalej komendant — śladach wleczenia i układzie plam pośmiertnych na ciałach Gusa i Luisy, pan Judson pod groźbą użycia broni został zmuszony do wciągnięcia obu ciał do chłodni w piwnicy.

Harold poprowadził swoich detektywów, jak klasę ze szkoły podstawowej, wzdłuż kontuaru, przy którym wciąż siedziała Muriel, i przez wąskie drzwi. Po oświetlonych pojedynczą żarówką drewnianych schodach zeszli do piwnicy o ścianach z cegieł, gdzie stanął obozem Bezbolesny. Po drugiej stronie pomieszczenia stały trzy pary noszy na kółkach, czekające na cia-

32

ła, których jeszcze na nich nie położono, ponieważ były zamrożone. Policyjny patolog, Bezbolesny Kumagai, nie pozwolił im dotąd odtajać, bo zostało mu do przeprowadzenia kilka testów i pomiarów. Kiedy detektywi podeszli bliżej, Larry usłyszał ostry, zabarwiony akcentem głos Bezbolesnego, który wydawał polecenia

swojemu personelowi. Harold ostrzegł idących za nim gliniarzy, żeby uważali na przeciągnięte na podłodze kable elektryczne zasilające halogenowe lampy, które zespół Bezbolesnego ustawił w chłodni, żeby zrobić zdjęcia.

Używając swojego pióra, Harold otworzył szerzej drzwi chłodni. Ciało Judsona leżało tuż przy wejściu, jedną nogą w drzwiach. Komendant wskazał na jego buty, których czubki były brązowe od krwi. Wzory podeszew pasowały do śladów pozostawionych na górze. Bezbolesny i jego zespół pracowali w gumowych rękawiczkach po drugiej stronie pomieszczenia.

— Po tym, gdy pan Judson wciągnął ciała do chłodni, został związany kablem, zakneblowany ręcznikiem do naczyń i zabity w stylu znanym z egzekucji, strzałem w tył głowy. — Srebrne pióro Harolda szybowało w powietrzu niczym pocisk, wskazując każdy interesujący szczegół. Siła strzału odrzuciła Judsona na bok.

— I wtedy, jak sądzę, żeby uczcić swój sukces, nasz bohater odbył stosunek analny ze zwłokami pani Remardi. - Jeden z patologów odsunął się, odsłaniając całkowicie ciało Luisy Remardi. Po wstępnym badaniu ułożyli ją z powrotem w pozycji, w której ją znaleźli. Zgięta we dwoje, leżała twarzą w dół na pięćdziesięciofuntowym worku mrożonych frytek. Powyżej pasa miała na sobie rdzawy uniform linii Trans-National. W miejscu rany wylotowej w plecach widać było małe rozdarcie materiału, prawie tak, jakby po prostu zaczepiła o coś kamizelką, a pierścień z krwi, który Larry widział niewyraźnie odcisnięty na ścianie boksu na górze, tutaj był znacznie większy; materiał wyglądał w tym miejscu jak nierówno zafarbowany. Jej pasująca do kamizelki spódnica i czerwone majtki były ściągnięte do kostek, a pod białą wykrochmaloną koszulą widniały krągłości wystawionych w górę pośladków, między którymi ciemniał owal zwieracza odbytu, rozszerzonego w chwili śmierci. Ktoś się tam z nią zabawiał — widać było czerwień, co oznaczało, jeśli Harold się nie mylił, że stało się to tuż po śmierci, kiedy podstawowe reakcje ciała wciąż były możliwe.

— Wyniki badania śladów gwałtu są negatywne, ale w jej majtkach znajdziecie górną część opakowania po prezerwaty-

33

wie, a wokół odbytu coś, co wygląda na środek nawilżający. — Na polecenie Greera młodszy patolog skierował latarkę we właściwą stronę, żeby zilustrować ten ostatni punkt. Z powodu niskiej temperatury żel nie wyparował. Gwałciciele w tych czasach boją się AIDS — i słyszeli o badaniach DNA. Nie było żadnego współnika, pomyślał Larry. Nie, skoro wydarzyło się coś takiego. Nekrofile i miłośnicy drugiej dziurki nie dają publicznych występów. Nawet takie kreatury się wstydzą.

Harold wydał kilka rozkazów, po czym ruszył na górę. Larry został w chłodni i zapytał Bezbolesnego, czy może się rozejrzeć.

- Tylko niczego nie dotykaj - odparł patolog. Pracował w policji od dwudziestu lat i świetnie wiedział, że każdy następny gliniarz jest głupszy od poprzedniego.

Larry pierwszy zdradził się z tym, że kiedy prowadzi śledztwo, zwykle czuje coś niesamowitego, jakby nie z tego świata, ale nie był w tym przekonaniu odosobniony. Połowa znanych mu gliniarzy z wydziału zabójstw wyznała, po kilku szklaneczkach whisky, że od czasu do czasu czuje się tak, jakby kierowały nimi duchy. Nie twierdził, że to rozumie, ale zdawało mu się, że zło na dużą skalę powoduje jakiś wręcz kosmiczny dysonans. W każdym razie często rozpoczynał pracę, całkowicie poważnie próbując osiągnąć duchową bliskość z ofiarami.

Przez minutę stał nad zwłokami Gusa. Nie licząc różnych opryszków, którzy jednego dnia byli podejrzanymi, a drugiego ładowali w kostnicy, Larry'emu rzadko zdarzało się osobiście poznać ofiarę za życia. Nie znał Gusa zbyt dobrze, ale lubił jego rozbuchany sposób bycia energicznego imigranta i lubił jego omlety, podawane zawsze na koszt firmy. Gus jednak wyróżniał się czymś jeszcze. Miał dar, jak dobry nauczyciel lub ksiądz - potrafił nawiązać kontakt ze swymi klientami. Czulo się w nim bratnią duszę.

Jestem z tobą, compadre, pomyślał Larry.

Kula przebiła część potyliczną głowy Gusa, roznosząc tkankę mózgową i kości czaszki. Leżał tak, jak go znaleziono, twarzą na pudle wołowych hamburgerów, z otwartymi ustami. Martwa ryba. Oni wszyscy wyglądali jak martwe ryby.

Jak zawsze w takich chwilach, Larry był głęboko świadomy siebie. Morderstwa. To był jego zawód. Jak każdy inny myślał o kupieniu nowego węża do podlewania ogródka, o jutrzejszym meczu hokeja i o tym, czy uda mu się wpaść na trening piłki

34

nożnej synów, ale każdego dnia wślizgiwał się na chwilę do omszałej jaskini mordy, zatapiał się w wilgotnym, fascynującym mroku zbrodni.

Nie miał za co przeproszać. Morderstwo było częścią ludzkiego bytu. Społeczeństwo istniało dlatego, by to ograniczać. Dla Larry'ego jedynym zadaniem ważniejszym od tego, które wykonywał, było macierzyństwo. Poczytajcie sobie jakąkolwiek książkę z antropologii, mawiał cywilom, którzy o to pytali. Te wszystkie wykopane szkielety z kamienną siekierą tkwiącą wciąż w dziurze. Myślicie, że to się zaczęło dopiero teraz? W każdym siedzi morderca. Larry także zabijał. W Wietnamie. Bóg jeden wie, kogo

rozwalil, prujac w mrok ze swego M16. Prawda byla taka, ze znacznie lepiej znal poległych po własnej stronie. Ale pewnego dnia, podczas krótkiego okresu, gdy brał udział w patrolach, wrzucił granat do tunelu i patrzył, jak grunt się rozstępuje i w fontannie ziemi oraz krwi w powietrze wznoszą się ciała. Pierwszy człowiek wystrzelił w kawałkach, tułów z jedną ręką i osobno nogi. Ale dwaj następni byli nietknięci. Larry wciąż pamiętał, jak lecieli. Jeden krzyczał, a drugi, prawdopodobnie nieprzytomny, miał wyraz twarzy, który bez dwóch zdań świadczył o głębokim namyśle. A więc to jest właśnie to, myślał ten facet - równie dobrze mógłby trzymać tabliczkę z takim napisem. Larry wciąż, przez cały czas, widywał takie miny. Teraz dostrzegł to na twarzy Gusa, najważniejszą rzecz w życiu — śmierć — i jak za każdym razem zapierało mu dech w piersiach to samo uczucie, które ogarnia człowieka na widok tych perfekcyjnie realistycznych obrazów Hoppera lub Wyetha. Ta myśl: to jest właśnie to.

To był koniec dla ofiar, chwila kapitulacji. Ale tylko niektórzy poddawali się dobrowolnie. Kiedy śmierć jest tak bliska i nieoczekiwana, każda ludzka istota zostaje zredukowana do dwóch uczuć: przerażenia i pragnienia — pragnienia życia i nieopisanego przerażenia związanego z nagłym zrozumieniem, że to życie właśnie dobiega końca. W tych okolicznościach, jak wierzył Larry, nikt nie mógł umrzeć z godnością. Na pewno nie Paul Judson, który leżał przy drzwiach. Był zwyczajnym, niczym się nie wyróżniającym mieszkańcem dzielnicy podmiejskiej, poczciwcem na pierwszy rzut oka, który właśnie zaczął tracić swoje jasne, cienkie włosy. Prawdopodobnie nie należał do ludzi, którzy uzewnętrzniają swoje uczucia. Ale teraz je oka-

35

zał. Uklękawszy, Larry dostrzegł ślady soli w kącikach jego oczu. Paul umarł, tak jak zrobiłby to on sam, błagając o życie.

Na koniec Larry podszedł do Luisy Remardi, której sprawę mu przydzielono, wymagała więc jego największej uwagi. Krew poplamiała wielkie worki, na których leżało jej ciało, ale umarła na górze. Z porozrywanych przez kulę arterii i organów wewnętrznych tryskała krew, którą wciąż pompowało głupie serce. Luisa najpierw stała się senna, a potem, w miarę jak do mózgu docierało coraz mniej tlenu, zaczęły się halucynacje, prawdopodobnie straszne, aż w końcu jej sny rozplynęły się w niezgłębionym oceanie światła.

Uzyskawszy zgodę patologa, przeszedł przez wał worków. Luisa miała ładną twarz o trochę zbyt miękkim podbródku, ale ze ślicznymi, wysokimi kośćmi policzkowymi. Jej ciemne włosy przecinały jasne pasemka i chociaż pracowała na nocnej zmianie,

nałożyła staranny makijaż, poświęcając szczególną uwagę swym dużym, brązowym oczom. Na szyi widać było linię, na której kończyła się warstwa podkładu oraz różu i górę brała jej naturalna bladość. Była jedną z tych włoskich babek - Larry znał ich wiele — które po trzydziestce rozrastają się w biodrach, ale wciąż myślą o sobie jak o gorącym towarze.

Jesteś teraz moją dziewczyną, Luiso. Zatrąszczę się o ciebie.

Wróciwszy na górę, Larry zaczął szukać Greera, chcąc sprawdzić, czy uda mu się wciągnąć do tej sprawy Muriel. Po drodze zatrzymał się przy stoliku, na którym technik zajmujący się dowodami, dzieciak nazwiskiem Brown, spisywał rozłożoną na podłodze przy drzwiach zawartość torebki Luisy.

— Jest coś? — zapytał.

— Notatnik z adresami. — Rękami w rękawiczkach Brown przewrócił kilka kartek, żeby Larry mógł na nie spojrzeć.

— Piękny charakter pisma - zauważył Larry.

Na resztę drobiazgów z torebki składał się zwykły groch z kapustą: klucze do domu, paragony, miętówki. Brown wskazał dwie nawilżone prezerwatywy zatknięte pod okładką książeczki czekowej Luisy. Były w takich samych rdzawoczerwonych opakowaniach jak to, które znaleziono w jej majtkach. Co to oznacza, zastanawiał się Larry, oprócz tego, że Luisa była zapobiegliwa? Może napastnik znalazł je, szukając w jej torebce portfela, i to go podnieciło.

Wiedział jednak, że nigdy nie uda im się dokładnie zrekonstruować wszystkich wydarzeń. Życie go już tego nauczyło.

36

Przeszłość jest przeszłością, zawsze wymyka się pamięci lub najlepszym technikom kryminalistycznym. I nie ma to większego znaczenia. Najważniejsza informacja dotarła do teraźniejszości: umarło troje ludzi. Bez godności. W przerażeniu. A jakiś okrutny skurwiel cieszył się swoją władzą za każdym razem, gdy naciskał spust.

Stojąc obok miejsca, gdzie została zamordowana Luisa, Larry zamknął oczy, by jeszcze raz przekazać światu swoje myśli. Był pewny, że gdzieś, prawdopodobnie niezbyt daleko, jakiś mężczyzna poczuł bolesny skurcz serca.

Idę po ciebie, skurwysynu, powiedział mu Larry.

3

4 maja 2001

Była sędzia

Gillian Sullivan, lat czterdzieści siedem, niedawno zwolniona z Federalnego Zakładu Karnego dla Kobiet w Alderson w Wirginii Zachodniej, siedziała z papierosem w ręce w małym barze kawowym w Center City, czekając na Arthura Ravena. Podczas rozmowy telefonicznej Raven, którego znała grubo ponad dziesięć lat, podkreślił, że chce się z nią spotkać w sprawach zawodowych. Jak wielu innych, najwyraźniej nie chciał, aby myślała, że chce ją pocieszać lub zaoferować pomoc. Któryś już raz zastanawiała się, dlaczego zgodziła się przyjść na to spotkanie, kiedy zobaczyła Arthura, który z teczką pod pachą szybkim krokiem wchodził przez szklane drzwi do lokalu.

— Sędzio— powiedział i podał jej rękę. Natychmiast zabrzmiało to fałszywie. Nawet przed skandalem, który okrył ją hańbą, rzadko tak się do niej zwracał w prywatnych rozmowach.

- Gillian wystarczy, Arthurze.

— Przepraszam.

- To krępujące. - Zdusiła papierosa, dopiero teraz pomyślawszy o tym, że dym może mu przeszkadzać. W tym barze nikt nigdy nie skarżył się na dym. Palenie było dozwolone.

W swoim czasie Gillian przesiadła się zza biurka prokuratora na fotel sędziego, a na koniec posadzono ją na ławie oskarżonych i skazano. Był to ekstremalny przykład, ale nawet jej

37

powikłana kariera odzwierciedlała naturę systemu sądowego, w którym, jak w stałym zespole teatralnym, co jakiś czas odgrywało się inną rolę. Prokurator, przeciwko któremu występowałaś w jednej sprawie, w następnej był sędzią, a kilka lat później doił klientów w swojej prywatnej kancelarii. Przez te lata animozje, rywalizacje lub przyjaźnie umacniały się albo były zapominane, podczas gdy każde osiągnięcie i każda porażka pozostawały gdzieś w zbiorowej pamięci środowiska.

Gillian rozumiała to wszystko, niemniej okoliczności, które doprowadziły do jej ponownego spotkania z małym, smutnym, zdążającym z determinacją do celu Arturem Ravenem, uznała za nieco niestrawne. Przed trzynastu laty, po dwudziestu miesiącach od czasu, gdy została sędzią otrzymała swój pierwszy przydział do sądu karnego, w którym prowadziła sprawy o wykroczenia i przesłuchania w celu

ustalenia, czy zaistniały wiarygodne powody, aby można było dokonać rewizji lub zatrzymania. Arthur Raven był wtedy zastępcą prokuratora delegowanym do jej sali rozpraw. Dla obojga była to nowa praca, ale na tym etapie Gillian była pewna, że jej przyszłość rysuje się w znacznie jaśniejszych barwach niż przyszłość Arthura. W praktyce sądowej co rusz spotykało się mężczyzn i kobiety, którzy z wielką wprawą nosili czarujące przyjacielskie maski, mistrzowsko opanowali gesty mające świadczyć o szczerości i pokorze, choć skrywały one kipiące w nich niczym lawa pokłady egocentryzmu i ambicji. Arthur był taki, na jakiego wyglądał: nieustępliwy i wręcz desperacko żądny wygranej. Przez połowę czasu, jaki spędził przed nią, chciała mu powiedzieć, żeby wziął jakąś pigułkę. I pewnie powiedziała, bo nawet ona uważała, że nigdy jako sędzia nie była specjalnie miła ani cierpliwa. Ale kto mógł ją za to winić? Poza tym Arthur zdawał się kurczowo trzymać dziwnego przekonania, że dzięki zwycięstwom rozbudzi się w nim inny człowiek, bardziej od niego przebojowy, ktoś, kim tak wyraźnie pragnął zostać.

— Jak się miewasz? — powiedział teraz, jakby nie zdawał sobie sprawy z absurdalności tego pytania.

- Tak sobie - odparła. Prawda była taka, że po kilku latach prób uporania się ze swoimi problemami uświadomiła sobie, że wcale się z nimi nie uporała. Były takie okresy - przez większość czasu obecnie i niemal bez przerwy przez kilka poprzednich lat - kiedy wstyd, że znalazła się w takim położeniu, do-

38

prowadzał ją do szału. Trzęsło ją wtedy tak, że nie mogła zebrać myśli, jakby zjeżdżała ostro w dół po wybojach.

— Wciąż wyglądasz wspaniale — dodał.

Z doświadczenia Gillian wynikało, że motywy, jakimi kieruje się mężczyzna, prawiać kobiecie komplementy, są zawsze podejrzane, i zwykle chodzi mu o zaciągnięcie jej do łóżka lub osiągnięcie jakiegoś innego, mniej ambitnego celu. Zapytała nagle, o co w tym wszystkim chodzi.

— Cóż — odpowiedział — pozwól, że użyję twojego określenia. To trochę krępujące. Sąd apelacyjny przydzielił mi sprawę. Drugie habeas. Rommy Gandolph. Pamiętasz go?

Naturalnie, że pamiętała. W ciągu tych lat, kiedy sądziła w wydziale ciężkich przestępstw, tylko dwie sprawy zakończyły się wyrokami śmierci. W tym drugim przypadku karę główną narzuciła ława przysięgłych. Za Rommy'ego Gandolpha ponosiła odpowiedzialność sama. Oskarżony przyznał się do winy, mogła więc orzec

winę bez udziału ławy przysięgłych. Rozważyła ponownie tę sprawę kilka miesięcy wcześniej, kiedy otrzymała z Ruyard list z typowymi szalonymi zapewnieniami więźnia, który - dziesięć lat po morderstwach - nagle zaczął utrzymywać, że ma informacje o decydującym znaczeniu dla sprawy i chce się nimi z nią podzielić. Prawdopodobnie był to ktoś, kogo posłała do więzienia, i teraz miał nadzieję ściągnąć ją tam, żeby móc napluć jej w twarz. Szukając w pamięci szczegółów procesu Gandolpha, stwierdziła, że wciąż pamięta fotografie trojga ofiar zrobione w chłodni restauracji. Podczas rozprawy jeden z gliniarzy wyjaśnił, że chłodnia była tak duża, gdyż menu Paradise jest bardzo bogate. Dziwna kolej rzeczy.

— Tak jest — powiedział Raven, kiedy opisała sprawę. — Dobry Gus. Ale znasz zasady. Muszę przeorać każdą grządkę. Są chwile, kiedy nachodzą mnie złudzenia i zaczynam myśleć, że on może być niewinny. Mam taką współpracowniczkę — ciągnął — która rozbiera całą sprawę na kawałki i znajduje zdumiewające rzeczy. O, popatrz na to.

Raven wyciągnął ze swojej grubej teczki kilka z wielu kartek i podał je Gillian. Najwyraźniej próbował dowieść, że w czasie, kiedy popełniono morderstwa, Gandolph był w areszcie za pogwałcenie warunków nadzoru ochronnego. Pozostało tylko kilka protokołów, a kartoteka Gandolpha nie potwierdzała tej teorii. Jednakże w czasie kilku ostatnich dni Arthur odnalazł listę przewozową, z której wynikało, że rano piątego lipca 1991 roku

39

jego klient został przetransportowany z zakładu karnego do sądu.

— A co na to Muriel? — zapytała Gillian.

Muriel Wynn, która przed dziesięciu laty była młodszym oskarżycielem w sprawie, pełniła teraz funkcję pierwszego zastępcy prokuratora Neda Halseya i miała wszelkie szanse objąć jego stanowisko po przyszłorocznych wyborach. Gillian nie lubiła specjalnie Muriel, jednej z tych twardych, cynicznych kobiet będących często wytworem sal sądowych, w których rozpatrywano ciężkie przestępstwa. Ale, mówiąc prawdę, uznanie Gillian dla prokuratorów, chociaż kiedyś była jedną z nich, zupełnie się rozwiało w wyniku jej doświadczeń z ostatnich kilku lat.

— Ona myśli, że kurator Rommy'ego musiał go dorwać tego ranka, żeby nie przegapił daty swojego przesłuchania w sądzie - powiedział Arthur. — Nie kupuję tego, zwłaszcza że było to w piątek tuż po święcie, kiedy nikomu nie chciało się pracować. Muriel również mówi, że to śmieszne myśleć, że zarówno klient, jak i obrońca nie zauważyli, iż Rommy był za kratkami, kiedy popełniono morderstwa.

Jednak aresztowano go dopiero cztery miesiące po zbrodni, a Rommy nie potrafi odróżnić dzisiaj od jutra.

Gillian gotowa była się założyć, że Muriel ma rację. Nie chciała się jednak spierać. Obecność Arthura sprawiła, że poczuła się wezwana do świata, który — jak sądziła — zostawiła już za sobą: próbowała myśleć jak sędzia. Jednak mimo że starała się zachować neutralność, Arthur zdawał się wyczuwać jej sceptycyzm.

— Wiele świadczyło przeciwko Rommy'emu — powiedział. -Wiem o tym. Ze dwadzieścia razy przyznał się do winy. Nawet gdyby Chrystus wrócił na ziemię, żeby zeznawać na korzyść mojego klienta, na tym etapie i tak przegrałbym sprawę. Ale facet nie miał historii brutalnych napaści ani rabunków z bronią w ręku. Co Molo i Muriel wyjaśnili podczas procesu, twierdząc, że mój klient był naćpany PCP, tyle że wszystkie badania świadczą, że nie ma związku między nadużywaniem tego środka a skłonnością do agresji. A więc, jak widzisz, jest się nad czym zastanawiać.

— A jak doszło do tego, że sąd apelacyjny wyznaczył ciebie, Arthurze?

— Nie mam pojęcia. Oni zawsze myślą, że wielkie firmy

40

prawnicze mają mnóstwo pieniędzy. Poza tym ktoś tam zapewne przypomniał sobie, że mam doświadczenie z karą śmierci z procesu Francesca Fortunata, w którym oskarżałem.

— Tego gościa, który wytruł swoją rodzinę?

— Trzy pokolenia, od dziadków po dzieci, i śmiał się głośno w sądzie za każdym razem, gdy wspominaliśmy jedno z ich imion. Mimo to niemal zemdlałem, kiedy ława przysięgłych ogłosiła werdykt. To wtedy przeniosłem się do wydziału przestępstw finansowych. Prawdopodobnie sam bym umarł, gdybym musiał nacisnąć guzik w celi śmierci, ale wciąż wierzę w zasadność kary głównej.

To dziwne, ale Gillian nie wierzyła — ani teraz, ani przedtem. Ujmując to w kilku słowach, uważała, że wiąże się z tym zbyt wiele kłopotów. Przed dziesięciu laty, po zakończeniu procesu Gandolpha, jego obrońca, Ed Murkowski, przyznał się Gillian, że zgodził się na rozprawę bez udziału ławy przysięgłych, ponieważ słyszał pogłoski na temat jej poglądów. Ale ona nie siedziała tam jako ustawodawca. Jeśli kiedykolwiek jakiś zbrodniarz zasługiwał na karę śmierci, był nim Gandolph.

— I co chcesz ode mnie usłyszeć, Arthurze? Czy mam wątpliwości? — Na tym etapie jej opinia nikogo nie będzie obchodziła. A poza tym nie miała żadnych wątpliwości co do winy Gandolpha - rozstrzygnęła to ponownie, w myślach, kilka

miesiący wcześniej, kiedy dotarł do niej list więźnia z Rudyard. Wciąż pamiętała inną uwagę Murkowskiego, obrońcy Gandolpha, wygłoszoną po wydaniu wyroku, kiedy oni wszyscy, łącznie z oskarżycielami, zebrali się na chwilę w jej gabinecie, by nieco ochłonać po tym, jak usłyszeli te straszne słowa. Gillian skomentowała wtedy sucho linię obrony opartą na twierdzeniu o niepoczytalności, a Ed odparł: „To było lepsze od historii, którą miał do opowiedzenia, wysoki sędzie. Nie było to nic innego jak powolne przyznanie się do winy”.

Pomyślała, żeby wyjaśnić to wszystkemu Arthurowi, ale on spuścił nagle swoje czarne oczy na jej popielniczkę, studiując szary popiół z taką uwagą, jakby to były fusy po herbacie. Uświadomiła sobie, że zamierza w końcu przejść do rzeczy.

— Sąd apelacyjny zabija mnie swoja dobrocią- wyznał.-Prawdopodobnie robią to dlatego, że mnie wyznaczyli. Błagałem, żeby mi dali szansę znalezienia czegoś, a oni przekazali sprawę sądowi dystryktowemu do trzydziestego czerwca, kiedy to zadecydują, czy pozwolą Gandolphowi złożyć nową skargę

41

habeas. Szukam więc pod każdym kamieniem. — Dał wreszcie spokój swym wystudionym wysiłkom, żeby na nią nie patrzeć. — Posłuchaj, muszę o to zapytać. Czy kiedy pracowałaś w wydziale ciężkich przestępstw, robiłaś to, co potem wpędziło cię w kłopoty, gdy prowadziłaś sprawy o obrażenia ciała?

Cała ta rozmowa nie była dla niej zbyt przyjemna, ale teraz, kiedy dowiedziała się, w jakim kierunku zmierza, ogarnęło ją znajome uczucie chłodu.

— Czy ludzie tak mówią?

— Gillian, nie kręć proszę. Ani się nie obrażaj. Robię to, co || muszę zrobić.

||

— Nie, Arthurze, nie brałam pieniędzy, kiedy prowadziłam *1 procesy karne. Nikt nie przekupił mnie w sprawie Rommy'ego Gandolpha... ani żadnej innej w tamtym czasie. To zaczęło się

w sądzie stanowym, gdzie takie praktyki, jak się zdaje, były na porządku dziennym.

— Pokręciła głową, jakby zadziwiona zarówno zakrawającym na czysty obłęd bezsensu tego wszystkiego, jak i tym, że jej uwaga zabrzmiała trochę jak usprawie-
« dliwienie. ||

— W porządku — powiedział, ale widać było, że potraktował is tę odpowiedź jak prawnik, oceniając, czy jest prawdziwa. Gdy § rozważał jej słowa, doszła do wniosku, że nie wygląda szczegól- 1 nie dobrze. Był niski i nigdy nie sprawiał

wrażenia kogoś w wy- i sokiej formie, ale teraz widać było, że się szybko starzeje. Jego ciemne oczy zapadły się, a pod nimi widniały sine worki sugerujące przepracowanie i kiepską dietę, wyraźnie też przerzedziły mu się włosy. Najgorsze jednak było to, że wciąż tryskał zapalem psa gończego, tak że odnosiło się wrażenie, iż lada chwila z jego ust wysunie się język. Przypomniało jej się nagle, że miał jakieś problemy rodzinne, kogoś chronicznie chorego. Może to go tak postarzyło.

— A co z piciem, sędzio?

— Z piciem?

— Czy miałaś problemy alkoholowe, kiedy prowadziłaś sprawę Rommy'ego Gandolpha?

— Nie.

— Nie piłaś?

Był sceptyczny — nie bez powodu, jak musiała przyznać.

— Co o tym mówią inni, Arthurze?

— To, co mówią inni, nie ma większego znaczenia, jeśli zeznasz, że w tamtym czasie nie piłaś za dużo.

42

— Piłam, Arthurze. Ale nie w nadmiarze.

— W tamtym czasie?

Przesunęła językiem po wewnętrznej stronie warg. Kierując się zdrowym rozsądkiem, Raven chybił celu. Mogła go poprawić albo powiedzieć: „nigdy” i zobaczyć, czy w końcu uda mu się dojść prawdy, ale przypomniała sobie rady, których udziela każdy dobry prawnik, przygotowując świadka: Odpowiadaj na pytanie, które ci zadano. Zwięźle, jeśli to możliwe. Nie dodawaj nic od siebie.

- Tak, w tamtym czasie. — Wrzuciła papierosy do zamszowej torebki i zatrzasnęła ją zdecydowanym ruchem. Chciała już odejść i zapytała, czy Raven skończył, ale nie odpowiedział. Zamyślił się, przesuwając palcem po brzegu swojej filiżanki z kawą.

— Chciałbym ci zadać osobiste pytanie — odezwał się po chwili — jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Prawdopodobnie zapyta ją o to, nad czym wszyscy się zastanawiali. Dlaczego? Dlaczego pozwoliła, by jej życie, które miało tak obiecujące, wręcz nieograniczone

perspektywy, skończyło się uzależnieniem i, ujmując to krótko, przestępstwem? Wiedziała, że Raven jest zbyt niewyrobiony towarzysko, żeby zawahać się tam, gdzie grzeszność powstrzymywała innych od grzebania w cudzych sprawach, i poczuła, że na jej sercu zaciska żelazne palce znajoma uraza. Dlaczego ludzie nie mogli zrozumieć, że to było dla niej niepojęte? Skoro nawet teraz była dla siebie tak głęboką tajemnicą, skąd miała wiedzieć, dlaczego upadła tak nisko? Jednakże Ravena interesowało coś zwyczajnego.

- Zastanawiam się, dlaczego tu wróciłaś. Mam na myśli to, że jesteś taka jak ja, prawda? Samotna? Bez dzieci?

Gdyby wypuszczono go z klatki, Raven najwyraźniej odleciałby w dal. Mimo że miał rację z tymi podobieństwem, odczuwała impulsywną niechęć do porównywania się z nim. Była sama z wyboru, ale zawsze uważała to za stan przejściowy. Tej nocy, gdy u jej drzwi pojawili się agenci federalni, miała już trzydzieści dziewięć lat, ale małżeństwo, rodzina wciąż były trwałymi elementami jej wizji własnej przyszłości.

- Moja matka umierała. A Departament Więziennictwa zaliczył na moją korzyść to, że się nią opiekowałam. To była decyzja departamentu, szczerze. — Podobnie jak pozostałe odpowiedzi, których udzieliła Ravenowi, ta również była niekom-

43

piętna. Wyszła z więzienia zrujnowana: władze i adwokaci zabrali jej wszystko. A Duffy Muldawer, jej „sponsor” w języku programu dwunastu stopni, zaproponował jej dach nad głową. Jednak nawet wzięwszy to wszystko pod uwagę, podzielała czasem zdziwienie Ravena, że wróciła do tego, co pod każdym względem było miejscem przestępstwa. — Gdy skończy mi się okres nadzoru, prawdopodobnie poproszę o zgodę na wyjazd.

- Umarła? Twoja matka?

— Cztery miesiące temu.

— Przykro mi.

Gillian wzruszyła ramionami. Jeszcze nie ustaliła, co czuje w związku ze śmiercią każdego z rodziców — chociaż przez długi czas sądziła, że jedną z jej kilku mocnych stron jest to, że nie rozpamiętuje takich spraw. Miała dom i dzieciństwo, gorsze od wielu, lepsze od niektórych. Było ich sześćoro rodzeństwa i dwoje rodziców alkoholików i wszyscy ciągle ze sobą rywalizowali, żyli wręcz w stanie wojny. Dla Gillian cała wartość jej wychowania sprowadzała się do tego, że pchnęło ją do wyrwania się z tego świata. To było jak opuszczenie Pompejów — z dymiących ruin

i zatrutej atmosfery można tylko uciec. Cywilizację odbuduje się gdzie indziej. Wszystkie nadzieje na przyszłość oparła na dwóch fundamentach: inteligencji i urodzie. Była piękna i bystra i mając takie dwa atuty, nie widziała powodu, by dać się ściągnąć w dół przez to, co pozostawiała za sobą. Urodzona w takim domu Jill Sullivan wyłoniła się jako Gillian, którą siłą swej woli powołała do życia. A potem zniszczyła.

- Mój ojciec zmarł trzy miesiące temu i wciąż nie mogę się po tym pozbierać - powiedział Arthur. Zmarszczył czoło w wyrazie bólu. — Ani na chwilę nie przestał doprowadzać mnie do szału. Prawdopodobnie był najbardziej nerwowym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Te ciągłe obawy powinny go zabić wiele lat temu. Wiesz, chodził wokół mnie jak kwoka... nieustannie czułem, jak bardzo się o mnie troszczy. — Wciąż pogrążony we wspomnieniach Raven uniósł na nią oczy, wyznając jej żałośnie ponurym spojrzeniem, jak rzadkie w jego życiu były takie osoby. Arthur był niczym szczenię, które ciągle wtyka człowiekowi mokry nos w rękę. Przez chwilę wyglądał nawet na zażenowanego, być może dlatego, że uświadomił sobie, jak wiele wyjawiał na swój temat, bądź też widząc, że jest zakłopotana. — Dlaczego ci to opowiadam? - zapytał.

44

— Prawdopodobnie myślisz, że ktoś taki jak ja nie ma nic lepszego do roboty, niż tego słuchać - odparła.

Powiedziała to tonem czysto konwersacyjnym i w pierwszym momencie pomyślała, że te słowa muszą znaczyć coś innego, niż mogłoby się wydawać. Ale nie znaczyły. Przez chwilę siedzieli nieruchomo, jakby ogłuszyła ich czysta brutalność tej uwagi. Po ziemistej twarzy Ravena przebiegł grymas. Wyprostował się i zapiął jeden guzik płaszcza.

- Przepraszam, że zawracałem ci głowę. Myliłem się, sądząc, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Pochłonięta myślą że koniecznie musi wziąć się w garść, Gillian znalazła w swojej skórzanej torebce papierosy i znowu zapaliła. Kiedy potarła zapalką po trzaskę, zauważyła jednak, że drży jej ręka. Bała się, że znowu podda się wstydomi. A kiedy się to zaczęło, nigdy się nie wydobędzie spod tego gigantycznego rumowiska. Obserwowała pełznący płomień, który zmieniał szare włókna w popiół. Po chwili usłyszała, że po drugiej stronie stolika Raven zamyka swoją teczkę na zamek błyskawiczny.

— Może będę musiał cię wezwać do stawienia się w sądzie i złożenia zeznania pod

przysięgą— powiedział.

Trafiona, pomyślała. Rozerwie ją na strzępy, gdy tylko będzie miał okazję. Co więcej, zasłużenie.

- Mogę wysłać wezwanie pocztą? - Zapytał, jak ją znaleźć bez pośrednictwa biura kuratora sądowego. Odpowiedziała, że ma mieszkanie w piwnicy domu Duffy'ego Muldawera. Duffy, były ksiądz katolicki, przed laty był głównym obrońcą z urzędu w sali rozpraw Gillian i jej stałym oponentem. Mimo że Arthur znał tę całą historię, nawet nie powstało mu w głowie, żeby z grzeczności zapytać, jak też się Duffy'emu wiedzie. Nie patrząc na nią zapisał sobie adres Muldawera w elektronicznym notatniku, jednym z tych milionów cudownych cacek, coraz mniejszych i mniejszych, które stały się niezbędne Amerykanom w czasie tych czterech i pół lat, kiedy była nieobecna. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc na unoszące się między nimi niebieskie smużki dymu. Przechodząca obok kelnerka zatrzymała się i zapytała, czy któreś z nich ma ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy. Gillian odczekała, aż dziewczyna odejdzie.

- Nie miałam powodu, żeby być wobec ciebie niegrzeczna, Arthurze.

— Nie ma sprawy, Gillian. Wiem, że zawsze uważałaś mnie za nudziarza.

45

Uśmiechnęła się gorzko. Mimo wszystko budził w niej pe-, wien podziw. Dorósł. Potrafił teraz dokopać. I trafiał w dzie-: siatkę. Niemniej spróbowała jeszcze raz.
}

— Nie jestem zbyt szczęśliwa, Arthurze. I spotkanie siei z ludźmi, których niegdyś znałam, jeszcze bardziej mnie uniesz- f szczęśliwia. Wspomnienia bywają bolesne.

To oczywiście było głupie. W końcu kto jest szczęśliwy? Na pewno nie Arthur Raven, niezgrabny, nieurodzivy, samotny, za to obarczony problemem rodzinnym, którym —jak sobie teraz przypomniła —była nieźrównoważona psychicznie siostra. A poza tym nikogo i tak nie interesował emocjonalny stan Gil-lian. Nie, nie wątpili, że cierpi. Uważali jednak, że na to zasłużyła.

Raven wstał bez odpowiedzi, powiedział jedynie, że będzie z nią w kontakcie, i skierował się do drzwi. Odprowadzając go wzrokiem, pochwyciła przypadkiem swoje odbicie w tanich lustrach, którymi obłożono filary podtrzymujące sufit lokalu. Często ją zaskakiwał jej własny widok, ponieważ wyglądała o wiele lepiej, niż się czuła. Było coś zastanawiającego w tym, że podobnie jak na nierdzewnej stali, po ciosach nie pozostawał na niej żaden ślad. Była wysoka, miała silne ciało i czas nie

odcisnął jeszcze piętna na jej twarzy. Jednakże wjasnorudych włosach zaczynały się pojawiać pierwsze nitki siwizny i, co od dawna wiedziała o ludziach z jasną karnacją, przez jej skórę niczym przez cieniutką porcelanę przeświecała każda żyłka. Ale nosiła się modnie — dobrze dopasowany kostium z diagonalu, sznur pereł, wymyślna, ułożona na piance do włosów fryzura -co podkreślało aurę spokoju, jaka zdawała się z niej emanować. Pozę tę przyjęła jeszcze jako nastolatka i była ona równie fałszywa jak maski przybierane na użytek innych przez większość dorosłych. Nigdy jednak nie zarzuciła ani jej, ani wiążącego się z nią sposobu zachowania, sugerującego, że całkowicie panuje nad sytuacją. Zawsze też towarzyszyło jej uczucie, że bez skrupułów wszystkich oszukuje.

Z pewnością oszukała Arthura Ravena. Wprowadziła go w błąd swoimi odpowiedziami, potem ostro zaatakowała, by mieć gwarancję, że zaraz sobie pójdzie i nie pozna prawdy. Ravena sprowadziła na manowce pogłoska, złośliwa plotka na jej temat, krążąca przed laty, kiedy jej życie runęło w gruzy. Mówili, że jest pijaczką - ale wcale tak nie było. Mówili, że upija się już podczas lunchu i po południu przychodzi do sądu na

46

wpół urżnięta. To prawda, że raz tam zasnęła. Nie zdrzemnęła się na chwilę, ale położyła głowę na stole sędziowskim i zapadła w tak głęboki sen, że kiedy urzędnik sądowy ją obudził, zobaczyła w lustrze odciski prążków ze skórzanej okładki jej książki. Wyśmiewali jej pijacki bełkot i przekleństwa, które się jej wyrwały. Ubolewali nad tym, że zaprzepaściła talent, dzięki któremu została sędzią w wieku trzydziestu dwóch lat, że utopiła w alkoholu swoje zdolności. Zdolności, które umożliwiły jej ukończenie prawa na Harvardzie. Cmokali, mówiąc, że nie potrafiła wziąć pod uwagę wielokrotnych ostrzeżeń, by przestała pić. I przez ten cały czas udawało jej się zachować swój sekret. Gillian Sullivan nie była bowiem pijaczką jak chciała plotka, ani nawet lekomanką, o co podejrzewali ją jej podwładni, którzy uparcie twierdzili, że nigdy nie wyczuli woni alkoholu w jej oddechu. Nie, Gillian Sullivan, niegdyś zastępca prokuratora, a później sędzia sądu wyższej instancji, była ćpunką narkomanką, heroinistką.

Nie dawała sobie w żyłę — nigdy. Wysoko ceniła swój wygląd, toteż nawet w najbardziej desperackim stanie nie posunęłaby się do tego, żeby się zeszpecić. Zamiast tego paliła heroinę. Goniła smoka. Trąbiła. Fajką rurką z aluminiowej folii, wciągała opary, gdy podgrzany proszek zmieniał się w brązową breję. Trwało to dłużej, raczej minuty niż sekundy, zanim pojawiała się ta bajeczna nagła przyjemność, ale przez całe życie we wszystkich sprawach postępowała z rozwagą i niespiesznie, toteż ten rodzaj luksusowego uzależnienia pasował do jej wyobrażenia o

sobie samej — żadnych śladów po igle, żadnych charakterystycznych krwotoków z nosa po niuchach.

Zaczął się to od faceta. Czyż nie tak to się zawsze zaczyna? Tobby Elias był wspinałym, przystojnym i zdeprawowanym stworzeniem, asystentem w stanowym departamencie sprawiedliwości. Przez jakiś czas Gillian myślała o tym, żeby go poślubić. Pewnego wieczoru wrócił do domu z heroiną podebraną z materiału dowodowego w sprawie, którą prowadził. To była próbka towaru, którą jeden z handlarzy dał drugiemu jako preludium do większej transakcji. Znalazła się pośród dowodów w sprawie, ale nie została zwrócona po wyroku. „Dlaczego nie?”, zapytał. Tobby zawsze potrafił przedstawić zepsucie jako coś eleganckiego. Jego ironiczna niechęć do postępowania zgodnie z regułami stworzonymi dla wszystkich innych urzekła ją. Pierwszej nocy wciągali heroinę nosem, a w następne reduko-

47

wali stopniowo dawki. Czuli po tym nieziemski spokój, ale nie było to coś, co wymagałoby powtarzania.

Miesiąc później Tobby wpadł pod osiemnastokolową ciężarówkę. Gillian nigdy nie uzyskała pewności, czy to był rzeczywiście wypadek. Nie zginął. Miesiącami był ciałem na łóżku, a potem śliniącym się ludzkim wrakiem na wózku. Zostawiła go. W końcu nie była żoną tego człowieka. Nie mogła dać mu swojego życia, kiedy on nie obiecał jej swojego.

A jednak był to smutny punkt zwrotny. Wiedziała to teraz. Tobby nigdy nie doszedł do siebie, ona też. Trzy lub cztery miesiące po tym wypadku po raz pierwszy spróbowała wziąć szczyptę prochu na własną rękę. Podczas procesu pozwoliła chemikowi reprezentującemu obronę otworzyć przed nią zapieczętowaną torbę z dowodami, żeby mógł zważyć, jak dużo heroiny przechwycono. Przyjemność, którą odczuła, wydała się jej wtedy większa i cudowniejsza niż poprzednio. Postanowiła kuć żelazo póki gorące i nakazała przeprowadzenie testów,

o które nikt nie prosił, po czym zachęciła oskarżycieli, żeby zamiast taszczyć dowody rzeczowe z powrotem do prokuratury, przechowali je w jej gabinecie. Ostatecznie odkryto, że ktoś grzebał w materiale dowodowym, ale podejrzenie padło na strażnika sądowego, którego zesłano do jakiegoś dalekiego okręgu. Po tym wszystkim musiała zdobywać towar na ulicy.

I potrzebowała pieniędzy.

Miała już wtedy opinię pijaczki. Traktując to jako ostrzeżenie, przeniesiono ją z wydziału przestępstw ciężkich sądu powszechnego do sądu stanowego, w którym

rozpatrywała sprawy o obrażenia ciała. Tam ktoś się dowiedział. Jeden ze skazanych przez niąćpunów rozpoznał ją, śliczną białą damę, która przemykała się ukradkiem przez dzielnicę wyglądającą jak po bombardowaniu, mniej niż milę od sądu. Powiedział o tym gliniarzowi, któremu donosił. Od gliniarza informacja dotarła do przewodniczącego sądu stanowego, łotra nazwiskiem Brendan Tuohey, i jego pachółka, Rollo Kosica. Kosie odwiedził ją z tą wiadomością, ale nie zaproponował odwyku, tylko pieniądze. Miała od czasu do czasu przyjmować jego rady co do werdyktów w niektórych rozprawach. Wtedy będą pieniądze.

I stosowała się do tego, zawsze żalując, że to robi, ale wtedy jej życie było już pasmem udreki między kolejnymi odlotami. Pewnej nocy usłyszała pukanie do drzwi, po czym rozegrała się scena jak z Roku 1984 lub Ciemności w południe. Na jej progu

48

stali prokurator i agenci FBI. Dopadli ją za przekupstwo, nie narkotyki. Kiedy wyszli, rozplakała się, plotła coś bez sensu, po czym wzięła działkę.

Po tej nocy zwróciła się do Duffy'ego, jej obecnego gospodarza, powracającego do zdrowia alkoholika, który miał wielkie doświadczenie jako psychoterapeuta z czasów, gdy był księdzem. Kiedy ją skazano, była już uleczona z uzależnienia, a jej nałóg pozostał jedynym sekretem z okresu, w którym czuła się tak, jakby została rozebrana do naga i szła w łańcuchach przez Marshal Avenue. Nie miała teraz ochoty wracać do tego, a już z pewnością nie dla Arthura Ravena lub mordercy, który był tak zezwierzęcony, że zgwałcił martwą kobietę.

Jednakże wraz z Arthurem Ravenem opuściła ją nagle złośliwa satysfakcja, co było to dla niej takim wstrząsem jak niespodziewane odkrycie, że stoi nad przepaścią. Zamiast oszczędzić sobie dalszego wstydu, do czego dążyła, doprowadziła do tego, że go spotęgowała. Przez całe godziny będzie teraz rozmyślać o Ravenie i o tym, jak jego usta zmiękły po jej wypowiedzi, układając się w pełne niedowierzania „o”. Dziś w nocy będzie potrzebowała Duffy'ego i jego uspokajających rad, żeby nie utonąć.

Ustaliwszy to, wstała od małego stolika i jeszcze raz dostrzegła swoje odbicie. Na pierwszy rzut oka była szczupłą, elegancką dystyngowaną kobietą. Jednakże w duchu toczyła nieustanną walkę ze swoim najzagorzalszym wrogiem, nieokiełznanym demonem, który nawet po jej uwięzieniu i hańbie pozostał niezaspokojony i — poza tym, że lubił się przyglądać, jak ona cierpi — nieznanym.

4

5 lipca 1991

Prokurator

Z boksu znajdującego się naprzeciw lady z saturatorem, przy której siedziała Muriel, nagle dobiegło tak głośne kobiece zawodzenie, że omal nie stanęło jej serce. Czarny mężczyzna w długim fartuchu, prawdopodobnie kucharz, podniósł się, zamierzając odejść. Kobieta przytuliła się do niego mocno, a że była chuda i miała ciemną karnację, wyglądało to tak, jakby

49

się w niego wtopiła. Za nimi stał bezradnie młody mężczyzna z błyszczącym kolczykiem w uchu.

— Wdowa — wyszeptał jeden z techników, zbierający odciski palców z przedniej ścianki szafki pod kasą. — Nie chce iść do domu.

Kucharz uwolnił się z jej objęć i przekazał ją temu młodemu facetowi, który z ociąganiem położył rękę na jej ramieniu, podczas gdy pani Leonidis kontynuowała swój niepokonany lament. W jednym z tych momentów beznamietnej jasności umysłu, z jakich była już znana w biurze prokuratora, Muriel nagle zrozumiała, że wdowa po Gusie wykonuje standardowe gesty żałobne, starając się zachować tak, jak swoim zdaniem;¹ powinna. Płacz i krzyki były jej obowiązkiem. Na bardziej szczerą reakcję na śmierć męża, prawdziwy żal, a może nawet ulgę, | przyjdzie czas dużo później, kiedy zostanie sama. ;(

Od pierwszego dnia na stanowisku prokuratora Muriel po- > trafiła instynktownie zrozumieć osoby, które na skutek przemocy utraciły bliskich. Nie potrafiła powiedzieć, jak blisko była , z rodzicami albo czy jakkolwiek mężczyzna, łącznie z jej zmar- ![łym mężem, naprawdę wrył się w jej serce, jednakże o rodziny ofiar troszczyła się z nuklearną gwałtownością. Szybko pojęła, że ich ból wyrasta nie tylko z poczucia straty, ale także niezrozumienia istoty tego, co się wydarzyło. Ich cierpienie nie było wynikiem jakiejś brzemiennej w skutki katastrofy w rodzaju tajfunu lub działania wroga tak nieprzewidywalnego i bezrozumnego jak choroba, ale obłąkańczej woli napastnika i niezdolności systemu opartego na rozumie oraz prawach do powstrzymania go. Ofiary były szczególnie uprawnione do myślenia, że coś takiego nigdy nie powinno się wydarzyć-ponieważ, zgodnie z prawem, nie powinno.

Kiedy pani Leonidis zapanowała w końcu nad sobą, przeszła obok Muriel do damskiej toalety. Młody mężczyzna, który ją odprowadził, spojrzął na młodą prokurator z zażenowaniem.

— Nie mogę się z nią porozumieć - wyjaśnił. — Moje siostry już tu jadą. Mieszkają

za miastem. Zabiorą ją stąd. Nikt mnie nie słucha. — Młodzieniec, wyglądający na delikatnego i nerwowego, zaczął już łysieć i miał włosy przystrzyżone na rekruta. Z bliska Muriel dostrzegła, że jego nos i oczy są mocno zaczerwienione. Zapytała, czy był spokrewniony z Gusem.

— Jestem jego synem - odparł z posępnym naciskiem na ostatnie słowo. - Greckim synem. — W tym, co powiedział, zna-

50

lazł coś gorzko zabawnego. Przedstawił się jak John Leonidis i podał jej lepką od potu rękę.

— Dzięki Bogu — westchnął, kiedy Muriel powiedziała, jak się nazywa i co robi. — Na to właśnie czeka moja mama. Żeby porozmawiać z prokuratorem. — Poklepał się po kieszeniach i dopiero po chwili uświadomił sobie, że już trzyma w ręce paczkę papierosów. — Mogę panią o coś zapytać? — Usiadł obok niej na stołku barowym. — Czy jestem podejrzany?

— Podejrzany?

— Sam już nie wiem. Wszystko mi się kotłuje w głowie. Mam wrażenie, że jedyną osobą która mogłaby chcieć zabić Gusa, jestem ja sam.

— A zrobiłeś to? - zapytała swobodnym tonem Muriel. John Leonidis poprawił żarzący się koniec papierosa. Jego

paznokcie były poogryzane do żywego mięsa.

— Nigdy bym się nie zdobył na odwagę — odparł. — Ale wie pani, całe to gadanie o „Dobrym Gusie” było na użytek innych. W domu był świnią. Na przykład zmuszał moją matkę, żeby mu obcinała paznokcie u nóg. Może to sobie pani wyobrazić? Latem siedział jak sułtan w słońcu na tylnej werandzie, podczas gdy ona to robiła. To mogło przyprawić człowieka o torsje.

John z goryczą pokiwał głową, a potem niespodziewanie się rozplakał. Muriel przeżyła ciężkie chwile z własnym ojcem, zanim umarł przed dwoma laty, dlatego natychmiast zdała sobie sprawę, że w głowie Johna panuje gigantyczne zamieszanie. Tom Wynn był prezesem lokalnego oddziału Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Samochodowego w fabryce Forda na przedmieściach Fort Hill.

Człowiekiem, który w pracy mówił o braterstwie, a w domu tryskał żółcią. Po jego śmierci i krótkim wdowieństwie, matka Muriel wyszła za dyrektora szkoły, w której uczyła, i była szczęśliwsza niż kiedykolwiek jej córka. Podobnie jak teraz John, Muriel musiała się wtedy zmagać z uczuciami, które rodziły się już martwe, niepełne

i towarzyszyły każdej jej myśli. Patrząc na syna Gusa, który usiłował się uspokoić, masując górną część nosa, przykryła ręką jego dłoń na laminowanym kontuarze.

Do czasu, gdy jego matka wróciła z toalety, zdołał się już wziąć w garść. Jak to przewidział, kiedy przedstawił Muriel jako panią prokurator, Athena Leonidis, która jeszcze przed chwilą słała się bezsilnie z bólu, wyprostowała się i przekazała Muriel, co miała do powiedzenia.

51

— Oni powinni umrzeć, chcę, żeby dali głowy — wyrzuciła z siebie — te psy, które zrobiły to mojemu Gusowi. Mają umrzeć. Na moich oczach. Nie będę spała, dopóki tego nie zobaczę. — Znowu zalała się łzami i padła w ramiona syna, który nad jej ramieniem posłał Muriel jeszcze jedno smętne spojrzenie.

Muriel rozumiała ją jednak. Ona także wierzyła w karę. Jej matka, nauczycielka, była łagodną kobietą z rodzaju tych, co nadstawiają drugi policzek, natomiast Muriel zawsze zgadzała się z ojcem, który bronił niektórych bezwzględnych poczynań związku, mówiąc, że ludzie sami z siebie nie będą dobrzy, że potrzebują do tego zachęty. W idealnym świecie każdemu, kto żył właściwie, można by dać medal. Jednakże w tym świecie nie było na to wystarczająco dużo cyny oraz czasu. A zatem potrzebna była inna lekcja — tak, by ci dobrzy mieli coś za swoje wysiłki. Żli powinni poznać ból. Nie dlatego, że ich cierpienia miały dać innym jakąś szczególną przyjemność, ale dlatego, że w dobroci jest ból — ból wyrzeczeń, nabrzmiewający jak pęcherze pod twardą ręką powściągliwości. Dobrzy zasługiwali na równe szanse. Morderstwo wymagało śmierci. To była część tworzących prawo zasad fundamentalnej wzajemności.

W tym momencie pojawił się komendant detektyw Harold Greer. Zachęcił panią Leonidis, żeby poszła do domu, ale chciał porozmawiać z Muriel. Weszli razem do małego biura Gusa.

- Od dwóch godzin czekam na kogoś z biura prokuratora. Nie mogą nigdzie znaleźć Tommy'ego Molto. — Molto, szef wydziału zabójstw, wrócił niedawno do swej dawnej pracy w wydziale powództw cywilnych po tym, gdy został zwolniony za rzekome wrobienie oskarżonego. Nikt jeszcze do końca nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. — Larry mówi, że jesteś bystra.

Muriel wzruszyła ramionami.

— Weź pod uwagę, od kogo to usłyszałeś.

Chociaż Greer był z natury poważny, roześmiał się głośno. Larry pewnie nigdy nie

miał szefa, którego nie zmieniłby w rywala.

- Cóż, jeśli jesteś dość bystra, żeby w weekend uzyskać nakaz rewizji, to mi wystarczy - powiedział Greer.

Skończyło się na tym, że Muriel zaczęła robić notatki na jednej z tych zielonych tabliczek używanych przez kelnerów do zapisywania zamówień. Harold chciał mieć nakazy przeszukania samochodów stojących na parkingu i, dla pewności, miesz-

52

kań pracowników Gusa. Zanim się jednak rozstali, Muriel uznała, że ma obowiązek powtórzyć mu słowa Johna Leonidisa o tym, że chciał zabić ojca.

— Cholera — mruknął Harold i zmarszczył czoło. Nikt nie lubił dobijać rodzin zmarłych.

— To tylko szok — powiedziała Muriel. — Wiesz, jak to jest. Rodziny.

— Zgadza się — oparł Greer. On także miał rodzinę. - Zdobądź mi te nakazy, dobrze? I daj mi swój numer na wypadek, gdybym jeszcze czegoś potrzebował.

Nie miała pojęcia, gdzie znajdzie sędziego, który podpisze jej nakazy w piątek o czwartej po południu w świąteczny weekend. Po wyjściu Harolda została na jakiś czas sama w małym biurze Gusa. Bliskość jego osobistych rzeczy wprawiła ją w przygnębienie, które jej nie opuszczało, kiedy dzwoniła do domów sędziów zajmujących się ciężkimi przestępstwami. Gil-lian Sullivan, jej ostatni wybór, jak zwykle sprawiała wrażenie, że jest na niezłym rauszu i senna, ale wyraziła zgodę. Muriel udała się do swojego biura w County Building, gdzie musiała sama napisać na maszynie wszystkie nakazy.

Była podekscytowana. W prokuraturze przestrzegano stałej zasady: gdy raz dotkniesz jakiejś sprawy, należy ona do ciebie. Ta maksyma utrudniała zastępcom prokuratora pozbywanie się trudnych przypadków, a politycznym grubym rybom zyskiwanie na znaczeniu dzięki udziałowi w głośnych, gwarantujących doskonałą prasę, procesach. Mimo to najprawdopodobniej zostanie najwyżej trzecim oskarżycielem, ponieważ będzie tu chodziło o wyrok śmierci. Tylko w wypadku, gdyby John i Athena byli na tyle mili, żeby powiedzieć „dosyć już zabijania”, prokurator mógłby się zawahać, czy ma żądać egzekucji winnego, ale rodzina Leonidisów najwyraźniej nie była w takim nastroju. A więc będzie to wielki proces. Zanim dobiegnie końca, Muriel zobaczy swoje nazwisko na pierwszej stronie „Tribune”. Ta perspektywa sprawiła, że roziskrzyły się wszystkie jej nerwy.

W dzieciństwie długo bała się śmierci. Często, leżąc w łóżku, drżała, myśląc o tym,

że cała długa podróż w wiek dorosły zbliży ją jedynie do tego punktu przerażającej ciemności, który czeka na końcu. Jednak z czasem zaakceptowała radę matki, która mówiła, że istnieje tylko jedna droga wyjścia — zaznaczyć swoje istnienie, zostawić po sobie ślad, którego nawet wiecz-

53

ność nie wymaże. Chciała, żeby za sto lat ktoś o niej powiedział: „Muriel Wynn dokonała wielkich rzeczy i dzięki niej wszyscy mamy się lepiej”. Nigdy nie uważała, że to będzie łatwe. Częścią tej wizji były ciężka praca i ryzyko. Ale uzyskanie sprawiedliwości dla Gusa, dla tych wszystkich ludzi, było ważne, było częścią tej nie mającej końca pracy polegającej na podpieraniu barkiem wału obronnego i powstrzymywaniu fali przerażającego barbarzyństwa, która w innym razie ogarnęłaby świat.

Wychodząc, na chodniku przed restauracją natknęła się na Larry'ego, który oganiał się od Stanleya Rosenberga, dziennikarza śledczego z kanału piątego. Chociaż Larry powtarzał mu, żeby porozmawiał z Greerem, Stanley nie przestawał przymilnie wykrzywiać swojej szczurzej twarzy, aż w końcu Larry, który generalnie nie przepadał za dziennikarzami, odwrócił się po prostu do niego plecami i odszedł.

— Cholerny sęp — powiedział do Muriel, która szła obok niego. Ich samochody stały blisko siebie. Miała wrażenie, że groza, którą powinni zostawić za sobą, ciągnie się za nią przez szare ulice, jakby ich ubrania przesiąknęły jej wonią.

— A zatem Harold cię zatrudnił?

— Wykonałeś dobrą robotę — odparła. Dotarli do jej hondy. Podziękowała mu powściągliwie i powiedziała do zobaczenia, ale on złapał ją za rękę.

— Kto to jest? - zapytał.

Kiedy w końcu zrozumiała, o co mu chodzi, zażądała, żeby o tym zapomniał.

— Hej, czy ty myślisz, że to do mnie nie dotrze? - zapytał. Stoczyli jeszcze kilka rund, zanim się poddała.

— Talmadge — powiedziała w końcu.

— Talmadge Lorman?

— Daj spokój, Larry. Ilu innych ludzi o imieniu Talmadge spotkałeś w życiu?

Talmadge, były kongresman, a teraz znany prawnik specjalizujący się w sprawach gospodarczych i lobbysta, był kontraktowym profesorem na ich uczelni, kiedy Larry i

Muriel studiowali prawo. Przed trzema laty żona Talmadge'a zmarła w wieku czterdziestu jeden lat na raka piersi i to, że oboje przedwcześnie stracili współmałżonków, połączyło go z Muriel. Był to namiętny związek, ale często się rozstawali, by ponownie zejść, co wydawało się typowe dla jej stosunków z mężczyznami.

54

Ostatnio jednak nabierali rozpędu. Teraz, gdy obie jego córki były już w college'u, Talmadge miał wyraźnie dosyć samotności. Ona z kolei lubiła otaczające go pole siłowe — kiedy się było z Talmadge'em, miało się wrażenie, że zawsze się jest w centrum wydarzeń o prawdziwie epickiej skali.

- Naprawdę zamierzasz wyjść za Talmadge'a Lormana?

- Nie pobieramy się. Powiedziałam ci, że czułam, że to być może, prawdopodobnie, pewnie nie doprowadzi do czegoś. Obecnie jesteśmy jeszcze milion mil od tego. Chciałam ci po prostu dać ogólnie do zrozumienia, dlaczego nie będę przybiegać za każdym razem, kiedy zagwiżdżesz.

- Zagwiżdżę?

Być może była to rozmowa, która obu stronom mogła się wydać dziwaczna, ale Muriel czuła, jak się wycofuje, jakby unosiła się ponad sceną, poza sobą. W ciągu kilku ostatnich lat często odnosiła wrażenie, że realna i prawdziwa Muriel jest właśnie tam, jako niewykrywalne, małe jądro czegoś, co istnieje, ale nie ma widzialnej postaci. Była kiedyś typową nieznośną nastolatką, która uważała, że cały świat jest jednym wielkim oszustwem, i na swój sposób nigdy nie przestała tak myśleć. Wiedziała, że w gruncie rzeczy każdy dba tylko o własne interesy. Właśnie to przyciągnęło ją do prawa — znajdowała przyjemność w tym aspekcie roli adwokata, który wymagał, żeby zdierała noszone przez wszystkich maski. Jednak te same przekonania utrudniały jej przełamywanie lodów w kontaktach z innymi.

To chyba dlatego Larry wracał do niej raz za razem, jak na karuzeli — znała go. Był bystry — bardziej bystry niż miły — i podobało jej się jego cyniczne poczucie humoru oraz to, że znał i rozumiał ją równie dobrze jak ona jego. Był wielkim mężczyzną o polsko-niemieckich korzeniach, dużej okrągłej twarzy i jasnych włosach, które zaczynał już tracić. Raczej męski niż przystojny, ale pełen pierwotnego uroku. Zabawianie się z nim należało do tego rodzaju zwariowanych zachcianek, które charakteryzowały lata jej młodości, kiedy myślała, że bycie nieokielznanym dzieckiem jest przezabawne. Ale on miał żonę - i był gliną do szpiku kości.

Rozejrzała się po ulicy, aby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, i chwyciła jeden guzik jego luźnej koszuli ze sztucznego jedwabiu, którą nosił pod sportowym płaszczem z popeliny. Pociągnęła go tak, jak robiła, gdy byli sami, co było swoistą

55

prośbą o litość. Następnie wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zagrał, a jej serce zabiło mocniej, kiedy przypomniała sobie sprawę.

5

3 października 1991

Tropy

W drodze na lotnisko DuSable, gdzie zamierzał zadać kilka dodatkowych pytań o Luisę Remardi, Larry zatrzymał się w Point, żeby obejrzeć dom. Jakies dziesięć lat temu, zaraz po tym, gdy rozpracował sprawę zabójstwa pośrednika w handlu nieruchomościami, wszedł w interes polegający na tym, że mniej więcej raz na osiemnaście miesięcy kupował stary dom, remontował go i sprzedawał, nieźle na tym zarabiając. Kiedy był młodszy, uważał służbę w policji za etap przejściowy w swym życiu. Lubił tę pracę, ale póki nie zrezygnował ze studiów prawniczych i nie uznał policji za swoje ostateczne przeznaczenie, sądził, że w przyszłości zajmie jakieś ważniejsze miejsce wśród elity władzy. Obecnie te wszystkie wizje na temat swojej przyszłej pozycji, jakie jeszcze zachował, opierały się na handlu nieruchomościami.

W to ciepłe jesienne popołudnie Larry zastanawiał się nad kupnem domu, który zgodnie z cynkiem od pośrednika miał zostać wystawiony na sprzedaż pod koniec tygodnia. Point, od dłuższego czasu sanktuarium afroamerykańskiej klasy średniej z hrabstwa Kindle, zaczęło ostatnio przyciągać osoby stanu wolnego i młode pary różnych ras szukające okazji blisko Center City. Przyglądając się tej konkretnej nieruchomości, wielkiemu domowi w stylu wiktoriańskim, doszedł do wniosku, że jeśli jest w okolicy coś, co może być magnesem dla yuppies, ma to właśnie przed oczami. Dom podzielono na mieszkania, ale wielu z jego oryginalnych elementów nie tknięto, włączając w to balkoniki wokół wieżyczek po obu stronach i żeliwne ogrodzenie z prętami zakończonymi grotami, przy którym, po obu stronach, zaległy miękkie sterty żółtych liści.

Przed frontem budynku był także wspaniały, dobrze nasłoneczniony kawałek ziemi, który mógł przeznaczyć na grządki pod nasturcje, mieczyki, nagietki i chryzantemy, tak by kwiaty

56

kwitły tam od maja do października. Po latach odkrył, że pieniądze zainwestowane w kwiaty zwracają się trzykrotnie, gdyż ukwiecona posiadłość wydaje się znacznie bardziej atrakcyjna. Dziwne, ale praca w ogrodzie powoli stała się tą stroną całego przedsięwzięcia, którą najbardziej lubił. Ojciec jego ojca był w Polsce rolnikiem. I teraz Larry wrócił do tego zajęcia. Kochał w nim to, że pozwoliło mu odkryć sprawy, które nigdy przedtem nie miały dla niego znaczenia. W środku zimy rozmyślał o skutej mrozem glebie, o ginących drobnoustrojach i ożywczej roli śniegu. Śledził ką padania promieni słonecznych i każdego dnia zmieniał zdanie, czy chce, żeby padało, czy też nie. Pod ulicą była ziemia — tak zawsze o tym myślał.

Kiedy przyjechał na lotnisko, było już dobrze po szesnastej. Grupa specjalna, którą Greer utworzył w Paradise, szalała po Tri-Cities przez jakieś pięć tygodni, ale jak przewidział Larry, Greer nie mógł mieć szczęścia, skoro prowadził śledztwo z komendy głównej w wielkim kamiennym gmachu McGrath Hall. Panowała tam atmosfera średniowiecznego pałacu, pełnego plotek o tym, kto posuwa kogo i którego nic niewartego gnojka faworyzuje komendant oraz inni dowódcy. Nikt tam nie zajmował się żadną poważną pracą policyjną a czas upływał wszystkim na stałych gliniarskich rozrywkach, czyli na politykier-stwie i narzekaniu. W sierpniu ludzie z FBI myśleli, że złapali właściwego faceta w Iowa. W końcu wyszło na to, że się pomylili, ale do tego czasu większość detektywów wróciła do swoich starych zadań. O ile Larry się nie mylił, był teraz jedynym gliną z grupy specjalnej, który wciąż składał raporty częściej niż co dwa tygodnie.

Luisa okazała się na tyle tajemnicza, że wciąż był nią zainteresowany. Już po autopsji pojawiły się pytania dotyczące okoliczności jej śmierci. Wokół jej odbytu Bezbolesny dostrzegł kilka powierzchownych pęknięć skóry z nieznacznymi strużkami krwi. Martwi ludzie nie krwawią. Zgodnie z najnowszą teorią Larry'ego, Luisa została także zgwałcona za życia, lecz się nie broniła, mając nadzieję, że dzięki temu się uratuje. Ale co w tym czasie robił Judson, trzecia ofiara, który potem zwłókł jej ciało po schodach do piwnicy? Czy wspólnik zabójcy trzymał go na muszce?

Larry zaparkował przed wejściem do ogromnego centrum administracyjnego wybudowanego niedawno przez TN Air. Wraz z pojawieniem się odrzutowców zdolnych do krótkiego

lądowania linia ta wróciła na lotnisko DuSable, nastawiwszy się na wyróżniającą się grupę docelową, mianowicie biznesmenów i hazardzistów. Trans-National oferowała tanie, bo bez żadnych luksusów, loty do innych miast na Środkowym Zachodzie oraz do Las Vegas i Atlantic City, dokąd samoloty latały przez dwadzieścia cztery godziny

na dobę. Posunięcie to zdumiewająco się powiodło. W rezultacie prawo do prowadzenia działalności na tym lotnisku wykupili jeszcze trzej inni przewoźnicy krajowi, a lokalne władze lotnicze zezwoliły na imponującą rozbudowę jego obiektów, w nadziei, że dzięki temu rozładują bałagan, który stale panował w ogromnym Tri-Cities Airport. Jedna z wielkich sieci hotelarskich przygotowywała już w pobliżu grunt pod budowę, a TN niedawno otworzył, z wielkimi fanfarami, swoje nowe centrum administracyjne, które wzniesiono w miejscu, gdzie przed pięciu laty zrezygnowano z postawienia osiedla domów mieszkalnych. Przed frontem tej betonowej budowli stała szklana konstrukcja w kształcie walka do ciasta. Była to typowa nowoczesna budowla — cienkie ściany i jasne światła. Larry niezbyt przepadał za nowoczesnością.

Poprosił pracownika ochrony TN, żeby umówił go na kolejną rozmowę z Genevieve Carriere, przedstawicielką agencji sprzedaży biletów, którą wszyscy uważali za najlepszą przyjaciółkę Luisy. Nancy Diaz, która jak większość personelu działu ochrony pracowała kiedyś w policji hrabstwa Kindle, zdążyła ściągnąć Genevieve do swojego gabinetu, zanim Larry tam dotarł. Wychodząc, żeby zająć się jakimiś swoimi sprawami, zatrzymała się w drzwiach i powiedziała:

- Erno chce z tobą porozmawiać, kiedy tu skończysz. - Erno Erdai był zastępcą szefa ochrony linii i wszystkim tu rządził. Larry znał go od lat - zaczęli razem studia w akademii policyjnej - ale Erno nie pofatygował się nawet go przywitać, kiedy poprzednio wpadał na lotnisko, żeby trochę powęszyc. Erdai chciał, by Larry wiedział, jaki się zrobił ważny.

W gabinecie Nancy było biurko pokryte drewnopodobnym laminatem i mocna jarzeniówka, która miała zrekompensować brak okna. Ubrana w swój rdzawy uniform, Genevieve siedziała skromnie jak nauczycielka, którą zresztą kiedyś była. Utrzymywała męża studiującego medycynę i uznała, że jeśli podejmie tu pracę na nocne zmiany, zarobi więcej i łatwiej jej będzie

58

spędzać dni w domu z ich rocznym dzieckiem. Odrobinę pulchna, ze srebrnym krzyżykiem na szyi, miała pyzate policzki, których krągłość lekko podkreślał zły zgryz. Nauczono ją, żeby unosiła podbródek i patrzyła prosto w oczy ludziom, do których niówi, i Larry, kiedy przesłuchiwał ją dwa i pół miesiąca temu, pomyślał, że wraz z jej słowami dobiegał go szmer czegoś niewypowiedzianego.

Przez chwilę rozmawiali o dziecku. Ostatnim razem Larry zadawał jej pytania przy jej stanowisku pracy, gdzie stała potrójna skórzana ramka z trzema fotografiami niemowlęcia. Teraz powiedział jej, że chciałby pogadać o pieniądzach.

— O pieniądzach? — zdziwiła się Genevieve. — My nie wiemy zbyt dużo o pieniądzach. Chciałaby wiedzieć o nich trochę więcej.

— O pieniądzach Luisy — sprecyzował Larry.

To wprawilo Genevieve w jeszcze większą konsternację. Powiedziała, że Carmine, były mąż Luisy, doił ją przez większość czasu i dziewczyna musiała żyć bardzo oszczędnie. Mieszkała z dwiema córkami i matką w podeszłym wieku. Mniej więcej przed pięciu laty została przeniesiona na lotnisko DuSable z głównego portu lotniczego i pracowała na zmianę z Genevieve od ósmej wieczorem do szóstej rano jednego dnia i od szóstej po południu do północy następnego. Były w ten sposób jedynymi przedstawicielkami linii lotniczej na służbie, kiedy obsługiwano loty do i z Las Vegas. Taki plan pracy pozwalał jej odwozić dziewczynki rano do szkoły i spotykać się z nimi, kiedy wracały do domu, a nawet bywać w domu na kolacji w nieparzyste wieczory. Spała w dzień.

Zgodnie z relacjami, które Larry zebrał podczas przesłuchań, Luisa sprawiała wrażenie bystrej i dynamicznej miejskiej dziewczyny, która dała się złapać w dobrze znaną pułapkę. Urodziła Carmineowi dzieci, po czym została przez niego rzucona — może przytyła kilka funtów, może przypominała mu jakoś nieprzyjemnie matkę lub teściową. Kiedy odszedł, Luisa została z wielką hipoteką na ich wymarzonym domu z czterema sypialniami w West Bank, ale była zdecydowana nie dopuścić do tego, żeby jej córki cierpiały z powodu głupoty ojca. Rezultatem były długie. Wielkie. Larry doliczył się, że jeszcze przed rokiem jej karty kredytowe były obciążone kredytem w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów. Później zaczęła jednak przysyłać do banku swoje czeki z całymi poborami. Jak więc płaciła

59

za takie rzeczy jak żywność i przybory szkolne? Okazało się, że gotówką. Dokądkolwiek szła Luisa, miała w ręku gotówkę.

Jeśli był jeszcze jakiś inny detektyw z wydziału zabójstw, który wiedział, jak rozgryźć cudze finanse, Larry go nie znał, czuł się więc trochę dumny, kładąc przed Genevieve dokumenty, które wydobyl z banków w ciągu ostatnich miesięcy. Uznał Luisę za rozhukaną przyjaciółkę Genevieve - więcej brzydkich słów z jej ust, więcej nocy w klubach, więcej facetów w jej łóżku, niż Genevieve kiedykolwiek ośmieliłaby się wpuścić do swojego. Podejrzewał, że gdy rozmawiały, Genevieve dużo słuchała i zdumiona kręciła głową.

— Nigdy nic o tym nie słyszałam. Przysięgam.

Kiedy się widzi zbyt wiele banknotów, dochodzi się do wniosku, że jest w tym coś

nieczystego. Dlatego Larry wpisał wszystkie nazwiska z notatnika Luisy do NCIC, kryminalnej bazy danych FBI, ale niczego nie odkrył. Postanowił zatem, że spróbuje znaleźć mniej skandaliczne wyjaśnienie pochodzenia tych pieniędzy. Zapytał więc Genevieve, czy może w życiu Luisy był jakiś starszy dżentelmen.

— Jeśli był — odparła — ja o tym nie słyszałam. Nie ciągnęło jej zbyt do mężczyzn. Zwłaszcza po Carmine. W każdym razie nie tak, żeby związać się z kimś na stałe. Wie pan, bawiła się w sobotnie noce, ale nigdy nie wspomniała o jakimś podta-tusiałym lowelasie.

— Czy przychodzi pani do głowy coś, co mogłoby wyjaśnić, skąd miała gotówkę? Jakaś inna działalność lub wspólnicy?

— Na przykład?

— Narkotyki? — Larry spodziewał się jakiejś odpowiedzi, ale Genevieve chyba zatkało ze zdumienia. — W jej dokumentach jest pewna podejrzana sprawa — wyjaśnił. W interesie bezpieczeństwa lotów od wszystkich pracowników TN wymaga się, żeby raz na kwartał poddali się badaniu moczu. Dwa miesiące przed śmiercią Luisa miała pozytywny wynik. Potem, kiedy ludzie z ochrony prowadzili dochodzenie, otrzymali donos, że ona sprzedaje towar na terenie lotniska. Wezwano przedstawiciela związków zawodowych, po czym ochroniarze zażądali przeprowadzenia rewizji osobistej, której Luisa poddała się po gwałtownych sprzeciwach. Przeszukanie do niczego nie doprowadziło, a po drugim badaniu moczu okazało się, że poprzednio popełniono jakiś błąd i wynik jest negatywny. Jednakże gdy tylko Larry dowiedział się o jej gotówce, zaczął myśleć, że w tej

60

całej sprawie mogło jednak coś być. Jeśli osoba zatrudniona na lotnisku zdecydowała się brać udział w przemyśle narkotyków, miała do tego wyjątkowo sprzyjające warunki. Genevieve przedstawiła inną teorię.

- To było ukartowane — powiedziała. — Słyszałam o tym wszystkim. Lu była oburzona. Przez dziesięć lat, które przepracowała w tej linii lotniczej, badanie ani razu niczego nie wykazało. A potem ją zrewidowali. Czy to nie wygląda jakoś mętnie?

- Więc kto ją zrobił?

- Luisa nie liczyła się ze słowami. Wie pan, jak to jest. Pewnie komuś nadepnęła na odcisk.

- Podejrzewa pani, kto to mógł być?

Genevieve popatrzyła na Larry'ego tak, jakby miała na myśli jakieś nazwisko lub nazwiska, ale nie zamierzała popełnić błędu Luisy i zbyt wiele mówić. Próbował, i to na kilka sposobów, przekonać ją żeby mu jednak powiedziała, ale ona tylko uśmiechała się do niego milutko i przewracała oczami. Robiło się już późno. Nie chciał się minąć z Ernem, pozwolił więc odejść Genevieve, zapowiadając, że może się jeszcze z nią skontaktuje. Nie wydawała się zbyt podkoczona tą perspektywą. Niefortunną stroną jego pracy było to, że często robił sobie wrogów z ludzi takich jak Genevieve, o których w gruncie rzeczy myślał, że są w porządku. Czy ona wiedziała, skąd się wzięły pieniądze Luisy? Siedemdziesiąt trzy procent zapytanych o to Amerykanów odpowiedziałyby „tak”. Najwyraźniej jednak była przekonana, że nie miało to nic wspólnego z morderstwem. Tak czy inaczej, Genevieve prawdopodobnie chroniła pamięć przyjaciółki i Larry w gruncie rzeczy szanował ją za to. Może Luisie pomagał jakiś powiązany z mafią wujek. Może jej matka, kobieta jakby dopiero co przybyła ze Starego Świata, prowadziła grę w numerki wśród swoich byłych sąsiadów z Kewahnee, lub — co bardziej prawdopodobne — wyciągnęła córkę z kłopotów dzięki gotówce, którą od dawna trzymała w materacu.

Larry kilka minut krążył wśród roślin doniczkowych przed gabinetem Erna, zanim sekretarka wprowadziła go do środka. Szef ochrony TN rezydował na głównym lotnisku, toteż Erno był tu główną szychą i miał gabinet zbyt wielki dla mebli, które mu przydzielono. Błat jego biurka, na którym nie było nicze-

61

go, nawet kurzu, błyszczał w świetle padającym z ogromnych okien.

— Mogę zapytać, co się szykuje? — zaczął Erno, kiedy już usiedli. — Grube ryby z Center City lubią wiedzieć pierwsze, że ktoś tu był niegrzeczny, jeśli mają potem przeczytać o tym w gazetach.

Erno został przeschmuglowany z Węgier w 1956 roku po tym, jak Rusczy powiesili jego ojca na latarni przed rodzinnym domem, i ślady obcego akcentu wciąż pobrzmiewały w jego mowie niczym jakieś dziwaczne tło muzyczne, wydłużając niektóre samogłoski i wpychając mu inne dźwięki w głąb gardła. Udawanie, że nie widzi, iż inni to zauważają, weszło mu już w nawyk. Był jednym z tych facetów, którzy chcą sprawiać wrażenie dobrze poinformowanych, toteż można było oczekiwać, że będzie się starał wydobyć z Larry'ego, do czego doszedł. Jednakże jego ciekawość dawała Larry'emu przewagę. Otworzył więc tylko swój mały notatnik i powiedział, że nie znalazł najmniejszego śladu w związku ze wspomnianym w aktach osobowych Luisy poszukiwaniem narkotyków. Zastanawiając się nad ceną

przyznania się do błędu, Erno wykrzywił przez chwilę usta, aż w końcu pochyliwszy się nad biurkiem, oparł łokcie na blacie.

- Nie chciałbym, żebyś to zapisywał - zaczął — ale myślę, że moi chłopcy dali się ponieść entuzjazmowi. Z tego, co słyszałem, ta młoda dama, Luisa, przyprawiała wszystkich o nieżyły ból głowy. Widziałeś jej oceny w aktach. Wiesz, „niesubordynowana”. Powtarza się to kilka razy. Myślę, że się nieźle rozzłościła, kiedy się okazało, że ma pozytywny wynik, tak mocno, by podejrzewającego coś faceta jeszcze umocnić w podejrzeniach, t

Temu ostatniemu zdaniu towarzyszyło cierpkie spojrzenie. | Erno sugerował nim, że jego ludzie wymyślili ten donos, żeby I mieć powód do rewizji. Na ulicach gliniarze postępowali tak i przez cały czas. Genevieve miała w tej sprawie rację: Luisa M gadaniem ściągnęła na siebie kłopoty. m

- A więc tu mamy zero?

W

— Kompletnie pudło - odparł autorytatywnie Erno. Sięgnął M do szuflady biurka i wyjął z niej wykałaczkę, którą wetknął J| w kącik ust. Erno był nerwowy i szczupły. Miał pociągłą słona-wiańską twarz, długi i wąski nos oraz brwi tak jasne, że prawie niewidzialne. Larry'emu nigdy nie udało się go polubić. "|| Erno wprowadzał atmosferę napięcia i często marszczył nos, 1

62

jakby wyczuwał jakiś smród, który mógł dochodzić od jego rozmówcy. Prawdopodobnie zostałby dobrym gliną, dość bystrym i poważnie podchodzącym do pracy, gdyby nie to, że kiedy był jeszcze w akademii, wziął udział w rodzinnej awanturze, podczas której zastrzelił swoją teściową. Wprawdzie żona Erna zeznała, że starsza pani rzuciła się na niego z nożem w rękę, ale policyjna góra nie zgodziła się przyjąć do służby faceta, który zabił kogoś ze swojego służbowego rewolweru, zanim jeszcze dostał gwiazdę.

Dziwne, ale okazało się to pozytywnym przełomem w życiu Erna. Pewni gliniarze z akademii załatwili mu pracę w dziale ochrony linii TN. Utrzymywał spokój na lotnisku, pomagał celnikom przejmować szmuglowane prochy i próbował dopilnować, żeby nikt nie poleciał samolotem na gapę. Do pracy udawał się w garniturze i krawacie. Miał teraz ładny dom na przedmieściu, ubezpieczenie emerytalne, plik akcji swojego przedsiębiorstwa oraz duży zespół byłych gliniarzy pod sobą. Powiodło mu się w życiu. Ale od lat był tylko niedorobionym gliną przesiadującym w Ike's, najpopularniejszym w Tri-Cities barze dla glin. Chciał mieć broń, gwiazdę i zaświadczenie, że jest twardzielem. Sączył zwykle piwo, słuchając

opowieści policyjnych z miną człowieka w średnim wieku, który żałuje, że ominęło go tyle rzeczy, miną charakterystyczną dla wielu ludzi na tym etapie życia, łącznie, być może, z Larrym.

- A swoją drogą, skąd ci się wziął ten pomysł z prochami? -zapytał Erno. - Myślałem, że Greer uważa, że załatwił jajakiś przypadkowy bandzior, który postanowił obrobić kasę. Niewłaściwy czas, niewłaściwe miejsce.

— Być może. Ale ta twoja Luisa dostawała skądś duże pieniądze.

To wyraźnie ożywiło Erna. W opinii Larry'ego był on jednym z tych emigrantów z Europy Środkowej, którzy mieli silnie rozbudzone zainteresowanie pieniędzmi, zwłaszcza swoimi. Tak naprawdę to się nie przechwalał: kiedy opowiadał o kursach swoich akcji, zachowywał się bardziej jak facet mówiący o tym, jaki ma niski poziom cholesterolu. Ale ze mnie szczęściarz, co? Przypominał Larry'emu jego starych polskich krewnych, którzy potrafili opowiedzieć historię każdego dolara, którego kiedykolwiek zarobili lub wydali. To było coś charakterystycznego dla Starego Świata, przekonanie, że pieniądze równają się bezpieczeństwu. Jeśli się jednak było gliną z wydziału

63

zabójstw, wiedziało się o nich dwie rzeczy. Po pierwsze, że ludzie z ich powodu umierają a jedynym powodem, dla którego umierają częściej, jest miłość. Po drugie, nigdy nie jest ich wystarczająco dużo, kiedy najbardziej ich potrzeba.

— Skąd dostawała pieniądze? — zapytał Erno.

— O to właśnie chciałem was zapytać, chłopaki. Kradła coś? Erno, zastanawiając się nad pytaniem, obrócił się ku oknu.

Po drugiej stronie ulicy, na pasie biegnącym z północy na południe, niczym kaczor siadający na stawie lądował boeing 737. Samolot, ryczące silnikami cudo z nitowanego aluminium, opadał na pas pod trochę złym kątem, ale spokojnie wyrównał. Lar-ry doszedł do wniosku, że w oknach muszą tu być po trzy szyby, bo prawie nic nie było słychać.

— Nie kradła biletów, jeśli o tym myślisz - odpowiedział w końcu Erno.

— Zastanawiałem się raczej, czy nie podkładała pieniędzy z kasy.

— Wykluczone. System księgowania gotówki jest na to zbyt szczelny.

— A dlaczego nie bilety?

— Bilety? To najlepsze, co można tu ukraść. Jeden taki kawałek papieru na ulicy może być wart tysiąc dolarów. Ale ludzie zawsze dają się złapać. — Erno w ogólnym zarysie przedstawił procedurę. Przedstawiciel agencji sprzedaży wypisuje bilety, zwykle na komputerze, czasem ręcznie. Bilet nie jest ważny, dopóki osoba, która go wystawiła, nie zostanie zidentyfikowana, albo dzięki jej osobistemu kodowi komputerowemu, albo — jeśli bilet jest wypisany ręcznie — dzięki matrycy przedstawiciela agencji. Ta matryca to metalowa płytką, pasująca do urządzenia podobnego do drukarek odciskowych do kart kredytowych, którego używa się do nadania ważności biletowi. - Za każdym razem, gdy ktoś wybiera się w podróż, księgowość porównuje kartę pokładową z dowodem wpłaty. Jeśli go nie ma, dzwoni mój telefon. W pierwszej kolejności puka się wtedy do drzwi osoby, która wydała bilet.

— I co? Twój telefon dzwoni?

— Co jakiś czas. Jeden lub dwa bilety. Ale nie jest to coś, na czym ktoś mógłby zarobić tysiące, jeśli o tym mówimy. Nie zginęła też żadna matryca. To byłaby wielka sprawa. Linie lotnicze bardzo są uczulone. Zgłaszają sprawę policji, pozywają do sądu i nie ma dla nich znaczenia, że chodzi o dolara i dzie-

64

więćdziesiąt pięć centów. Zero tolerancji. Co więcej, to się sprawdza. Wszyscy się cholernie boją. Jak tam twoja rozmowa z Genevieve? Ma jakieś pojęcie, gdzie Luisa trzymała tę kurę, która zносиła jej dolary? Larry chrząknął.

- Ani słowa.

- Naprawdę? — Erno się skrzywił.

- Naprawdę. Czy jest jakaś szansa, że tkwiła w tym samym gównie co Luisa?

- Nigdy nie mów nigdy... ale i tak to powiem. Zbyt święta. Przestrzega wszystkich przepisów. Dlaczego nie wezwiesz jej na przesłuchanie przed wielką ławą przysięgłych? Ktoś taki jak ona nie wykiwa cię, gdy już przysięgnie na Boga. Założę się, że gdy jąprzyciśniesz, dowiesz się, co kombinowała Luisa.

To był dobry pomysł i Larry zanotował to sobie, ale wiedział, że Muriel i Tommy Molto nie podpiszą takiego wezwania. Wielka ława przysięgłych oznaczała obrońców, którzy podniosą wrzask o to, że na podstawie zwykłego przeczcucia prześladowuje się porządnych białych obywateli.

Erno zapytał, o czym Larry myśli.

- Cóż, niewiele mi pozostało, prawda? — odparł Larry. — Nie widzę Luisy w roli bukmacherki, zwłaszcza że połowa przewijających się tu ludzi jest w drodze do Las Vegas.

Erno kiwnął głową uznając ten wywód za logiczny.

- Jakie tu macie problemy? — zapytał Larry.

- To małe miasto. Największy nasz kłopot to włóczędzy w zimie. Wiesz, te łażęgi, które żyją na ulicach w North End, chcą się wtedy ukryć w jakimś ciepłym miejscu. Znajdujemy tych facetów wszędzie... w kłopach, pochowanych za karuzelami w bagażowniach. Kradną, straszą ludzi, rzygają na podłogi.

- Jakież dziwki?

Wielu samotnych podróżnych poszukiwało towarzystwa. Taka młoda kobieta jak Luisa, w mundurku linii lotniczych, mogła by spełniać czyjeś fantazje o stewardesie — w czasie lunchu, przerwy na kawę, po pracy, w środku nocy, kiedy i tak nic się nie działo. Jednakże Erno zwrócił uwagę, że w okolicy prawie nie ma hoteli, w których młoda dama o tej specjalności mogłaby uprawiać swój zawód.

- Nie powiem, żebyś był cholernie pomocny - skwitował to Larry.

65

Erno wypchnął językiem policzek, co u niego mogło uchodzić za uśmiech.

— W gruncie rzeczy— rozpoczął, machając wykałaczką— mogę mieć coś dla ciebie. Nie jestem nawet pewny, czy powinienem o tym wspominać. Jest taki dzieciak... nie, nie dzieciak... facet. Hm, właściwie nie facet, nie taki sobie facet. Prawdę mówiąc, Larry, to mój pieprzony siostrzeniec. Nie domyśliłbyś się tego, gdybyś go zobaczył.

— Nie tak przystojny?

— Nie, on jest przystojny. Jego tatuś był wielkim przystojnym ogierem i on też jest wielkim przystojnym ogierem. Ale innej maści niż ty i ja.

— Aha — mruknął Larry.

— Moja siostra, wiesz... kiedy byłem dzieciakiem, starsi w South End bez przerwy gadali tylko o tym, żeby pozbyć się z miasta tych Nubijczyków. Mieliśmy tych brązowych łądaków z ich prochami i kurwami na trzech ulicach i nie chcieliśmy ich tam. Fekete. Ciemni. Tak to brzmi po węgiersku. „Fekete!”, wołaliśmy przez cały czas, jakby to było przekleństwo. No i były dziewczyny, które dorastały do wieku

„pieprzę was, mamusiu i tatusiu, i te katolickie brednie". Ich pomysłem na ciekawe życie było dać tak szybko, jak tylko można, pierwszemu czarnemu facetowi, który powiedział im się masz. Moja młodsza siostra, Ilona, jest jedną z tych puszczalskich damulek, którym nigdy nie było dosyć czarnego miecha między nogami.

Tak właśnie na świecie pojawił się mój siostrzeniec. Moi rodzice nie wiedzieli, kogo zabić najpierw, moją siostrę czy siebie, a więc od samego początku pomocną ręką służył jej starszy brat, twój uniżony sługa. To prawdziwa opera mydlana w sześciuset odcinkach. Chcesz usłyszeć wersję okrojoną? Lepiej zrozumiesz resztę.

— Zapiszę to sobie jako nadgodziny.

— Cóż, dzieciak, wiesz, jest brązowym bękartem bez ojca. Nie lubi starego sąsiedztwa, a ludzie z sąsiedztwa lubią go jeszcze mniej. Moja siostra chce postąpić dobrze, ale tylko wszystko pogarsza. Posyła go do szkoły publicznej, zamiast do Saint Jerome, i już niedługo chłopak jest nie tylko czarny z zewnątrz, ale po prostu czarny, gada jak oni, jest za pan brat z gangami i prochami. A ja przez cały czas trzymam rękę w ogniu, próbując go wyciągnąć. Kiedy dostaje pierwszy wyrok - za T's and Blues, wydawany na recepty środek przeciwbólowy i syrop na

66

kaszel, który w latach osiemdziesiątych, przed krakiem, był tanim sposobem na odlot — idę do banku przysług i załatwiam mu pobyt na farmie poprawczej.

Ale wiesz - podjął Erno po krótkim milczeniu — myślę, że oni muszą to mieć w genach. Naprawdę tak myślę. Ciągłe do tego wraca. Do narkotyków, oczywiście. Próbował wszystkiego. A jakie ma zdolności, możliwości osiągnięcia czegoś? Ogromne. Ale wiesz, ta kwestia rasowa... gryzie się tym. Nienawidzi matki, gardzi mną. Nie mamy prawa mówić mu, co ma robić, ponieważ nie wiemy, jak to jest być czarnym w białej Ameryce. Och, może ci powtórzyć każdą durną gadkę na ten temat, jaką kiedykolwiek słyszałeś. Załatwiłem mu pracę tutaj, kiedy ponownie otworzyliśmy lotnisko, ale on musi być jakimś cholernym kierownikiem, a nie czarnuchem stojącym przy wykrywaczu metalu, poza tym chce podróżować. To może wojsko, co? Po ośmiu miesiącach zwalniają go karnie — za narkotyki, naturalnie! — a więc wysyłamy go do starego kraju. To nie jego korzenie, odpowiada, i wypada do Afryki. Ale wiesz co? Nikt tam nie gra w kosza i nie urządzają tam Tygodni Starego Domu*. Wraca więc i mówi, że jest już gotów być dorosłym. Postanowił ostatecznie, że chce pracować w tym biznesie.

- Czyli?

— Przewozów lotniczych. Zwiedzić świat i dostawać jeszcze za to pieniądze. To

przezabawne, bo wszystkie linie lotnicze bardzo szczegółowo prześwietlają kandydatów na pracowników i prędzej zatrudniłyby orangutana niż chłopaka, który zadarł z prawem, i to przez narkotyki. Ja jednak znam wiele wielkich biur podróży. Zdzieram sobie kolana, ale w końcu zatrudniają go w Time To Travel, i niech mnie piorun strzeli, dobrze sobie tam radzi. Collins... tak ma na imię, Collins... a zatem Collins kończy college i zdobywa licencję agenta. Lubi nosić garnitur i krawat. Lubi rozmawiać z ludźmi. Dobrze sobie radzi z komputerami. Dostaje awans na prawdziwego agenta, zamiast chłopca na posyłki. I mniej więcej przez pięć minut myślę sobie: To może się udać, ten dzieciak może coś osiągnąć. Ale oczywiście znowu go dopadają za narkotyki i wsadzają za sprzedaż. To recydywa. Pierwszy wyrok zostaje odwieszony. Dostaje osiemnaście miesięcy. I traci licencję agenta w naszym stanie.

* Old Home Week - popularne w USA tygodniowe zjazdy byłych mieszkańców miasta, połączone z najróżniejszymi imprezami rozrywkowymi (przyp. tłum.).

67

— Kiedy wyszedł - ciągnął Erno — to ostatnie, przysięgam, irytowało go bardziej niż czas spędzony w pudle. Radzę mu, żeby się stąd wyniósł, żeby wyrwał się spod wpływu środowiska. W trzydziestu sześciu stanach wciąż jeszcze jest licencjonowanym agentem. Ale możesz się domyślić końca. W zeszłym tygodniu odebrałem telefon. Jest na utrzymaniu hrabstwa.

— W więzieniu czy szpitalu?

— W motelu „Za Kratami”

— Za?

— Aresztowany podczas kontrolowanego zakupu.

— Ile?

— Sześć stref, jak to oni mówią. Sześć uncji. Klasa X.

— Kiepska sprawa.

— Cholernie kiepska. To zrobi z niego Potrójnego X. — Potrójny X, trzy wyroki za narkotyki, mogło oznaczać dożywocie, bez możliwości zwolnienia warunkowego, chyba że siostrzeniec Erna zaoferuje coś prokuratorowi. Larry wiedział o tym, ale wciąż jeszcze nie rozumiał, do czego zmierza rozmówca. Erno znał w wydziale narkotykowym wielu facetów, których mógł całować po pierścieniach.

— Będzie musiał śpiewać — powiedział.

— Taa, tyle że bandziory, z którymi robił interesy... on uważa, że jeśli sypnie choć jednego z nich, to będzie wyglądał jak tarcza do rzutek. Ale może mieć coś innego. Wiesz, dzwoni do mnie, ile razy wsadzi łapę w wyżymaczkę. Mówię sobie, żeby nie podnosić słuchawki, ale co można zrobić? Wczoraj płakał i plótł różne rzeczy, i w środku tego wszystkiego powiedział, że słyszał lub widział coś, co ma związek z twoją sprawą.

— Tą sprawą?

— Tak powiedział. Powiedział, że widział faceta z biżuterią. I myśli, że ta biżuteria należała do jednej z twoich ofiar.

— Której?

— Nie pytałem. Wiedziałem, że tu będziesz, i obiecałem mu o tym wspomnieć. Prawdę mówiąc, o ile go znam, myślę, że to jakieś więzienne bzdury w stylu: Rudy powiedziała Trudy, która powiedziała Judy. Ale jeśli coś w tym rzeczywiście jest, Larry, jeśli on ci to da, to musisz go wyciągnąć.

— Nie będę miał z tym żadnego problemu - odparł Larry -ale lepiej by dla niego było, gdyby trafił w dziesiątkę.

— To byłby pierwszy raz — powiedział Erno.

Larry zapisał sobie nazwisko — Collins Farwell. Kiedy wy-

68

chodził z budynku, już się ściemniało, a po drugiej stronie ulicy odrzutowiec z zygzakowatym logo TN na ogonie wznosił się w powietrze z majestatyczną mocą, która zdawała się wprawiać wszystko w drżenie. Larry był szczęśliwy, choć w pierwszej chwili nie bardzo wiedział dlaczego. Potem to zrozumiał: miał powód, żeby zadzwonić do Muriel Wynn.

6

15 maja 2001

List Gillian

Mimo że padał deszcz, Gillian Sullivan, wchodząc do środka, wyglądała tak, jak zawsze wyglądała w oczach Arthura Ravena, jak kobieta opanowana i pogodnie jaśniejąca urodą. Otrząsnęła parasol w ogromnej recepcji kancelarii O'Grady'e-go,

Steinberga, Marconiego i Horgana, po czym oddała szatniarzowi gładki plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Jej krótkie, nastroszone włosy nieco opadły w wilgotnym powietrzu, ale była w dobrze jej pasującym czarnym, szytym na miarę kostiumie.

Arthur zaprowadził ją do sali konferencyjnej, której dominującym elementem był stół z zielonego, poprzecinanego białymi żyłkami granitu. Przez okna budynku IBM widać było płynącą trzydzieści parę pięter niżej rzekę Kindle, która wraz z gasnącym światłem dnia stopniowo pogrążała się w mroku. Gillian zadzwoniła poprzedniego dnia, informując go bez wchodzenia w szczegóły, że jest pewna sprawa, którą powinni omówić, i zakończyła rozmowę jeszcze jednym przeprosinami za swoje zachowanie podczas ich pierwszego spotkania. Arthur odpowiedział jej, że już o tym zapomniał. Miał głęboko zakorzeniony zwyczaj puszczania w niepamięć wszelkich przykrości, które wyrządziły mu kobiety, a w tym wypadku być może nawet sam się trochę przyczynił do tego, jak zareagowała na jego zwierzenia. Nie można przecież oczekiwać uprzejmości od kogoś po tym, gdy się zasugerowało, że był zbyt pijany lub skorumpowany, żeby przejmować się cudzym życiem.

Podniósł słuchawkę i wezwał Pamelę. Czekając na nią, zapytał Gillian, czy znalazła pracę.

- Sprzedają kosmetyki w sieci Mortona.

69

— I jak?

— Spędzam dzień, wygłaszając niezbyt szczere komplementy. Co dwa tygodnie dostaję czeki, z których większość, szczerze mówiąc, wydaję na uzupełnienie braków w mojej garderobie. Ale czuję się kompetentna. Robienie makijażu i ubieranie się to oprócz prawa chyba jedyne rzeczy, na których się dobrze znam.

— Zawsze byłaś efektowna.

— Nigdy tak się nie czułam.

— Och, wyglądałaś tam po królewsku. Naprawdę. Durzyłem się w tobie - wyznał Arthur. Czuł się jak uczeń stojący przy biurku nauczycielki, ale jego widoczne zażenowanie wywołało przelotny uśmiech na jej twarzy. Oczywiście „durzenie się” nie było właściwym określeniem. Uczucia Arthura do kobiet rzadko bywały tak niewinne. Zwykle miał na ich temat barwne, płomienne i całkowicie nieokiełznane fantazje. Od czasu, gdy ukończył dwanaście czy trzynaście lat, mniej więcej co sześć miesięcy zakochał się desperacko w jakiejś cudownej i nieosiągalnej dziewczynie czy kobiecie. Gillian Sullivan, gwiazda sądu, fizycznie uderzająco piękna,

intelektualnie onieśmielająca, była wręcz stworzona do tej roli, stracił zatem dla niej głowę już krótko po tym, gdy przydzielono go do jej sali rozpraw. Podczas narad stron z sędzią lub wygłaszania przez nią pouczeń, kiedy był blisko niej, zawsze pedantycznie przygotowanej i roztaczającej wokół mocny zapach perfum, musiał trzymać swój żółty blok w strategicznej pozycji, żeby ukryć rosnący wzwód. Nie był też jedynym zastępcą prokuratora, na którym zmysłowa atrakcyjność Gillian robiła tak wielkie wrażenie. Mick Goya, który po kilku kieliszkach w knajpie niedaleko sądu zobaczył raz przechodzącą obok Gillian, chłodną, wręcz wyniosłą i jak zwykle elegancką, powiedział: „Wypieprzyłbym ścianę, gdybym wiedział, że ona jest za nią”.

Nawet teraz, po tylu latach od czasu, gdy spadła ze szczytu, Gillian wciąż działała na Arthura. Przez swoje kłopoty zachowała na tyle szczupłą sylwetkę, że można ją było nazwać chudą, ale wyglądała o niebo lepiej niż wtedy, gdy ją widział ostatnio przed laty, bladą i wycieńczoną przez alkohol. Był wręcz podniecony myślą o jej wizycie.

W końcu przyszła Pamela i oficjalnie, bez uśmiechu uściśniła im ręce. Już samo skazanie Rommy'ego na śmierć wystarczyłoby, żeby Gillian zdobyła sobie miejsce na liście wro-

70

gów młodej prawniczki, ale prawdziwym wstrząsem dla niej było to, co Arthur opowiedział jej o okolicznościach, które doprowadziły do upadku byłej sędzi. Sędzia łapówkarz! Obserwując lodowate zachowanie Pameli, Arthur uświadomił sobie, że Gillian musiała często budzić takie reakcje, zwłaszcza gdy trafiała do któregoś z sanktuariów prawa. Przychodząc do kancelarii, dała dowód wielkiej odwagi.

Siedli w trójkę przy końcu granitowego stołu, na który padało miedziane światło lampy. We wcześniejszej rozmowie z Pamela Arthur spekulował, że być może ich spotkanie sprzed dziesięciu dni odświeżyło pamięć sędzi Sullivan i przypomniała sobie jakiś szczegół. Gillian miała jednak dla nich coś lepszego.

— Przyniosłam coś, co moim zdaniem powinniście zobaczyć. — Wyjęła z torebki białą kopertę. Jeszcze zanim mu ją podała, Arthur rozpoznał jej oznaczenia. W górnym lewym rogu był wydrukowany adres zwrotny więzienia w Rudyard, a poniżej zapisany odręcznie numer więźnia.

W kopercie był list z marca tego roku, skreślony starannym pismem na dwóch żółtych kartkach. Kiedy Arthur go czytał, Pamela stała nad jego ramieniem.

Droga pani Sędzio

Nazywam się Erno Erdai. Jestem więźniem na oddziale o maksymalnie zaostrzonym nadzorze więzienia w Ruyard, gdzie odsiaduję wyrok dziesięciu lat za czynną napaść przy użyciu niebezpiecznego narzędzia, jak zakwalifikowano fakt, że postrzeliłem człowieka w samoobronie. Powinienem wyjść w kwietniu 2002 roku, ale nie spodziewam się dożyć tej daty, gdyż mam raka i nie jestem najlepszego zdrowia. Prawdopodobnie pani mnie nie pamięta, ale kiedyś byłem zastępcą szefa ochrony linii TN odpowiedzialnym za stan bezpieczeństwa na lotnisku DuSable Field i w tym charakterze zjawiałem się kilka razy u pani w sądzie, kiedy to składaliśmy różne pozwy w związku z sytuacjami zaistniałymi w porcie, głównie przeciwko niezdyscyplinowanym pasażerom.

Nie próbuję tu jednak odświeżać wspomnień, choć mam więcej czasu na takie sprawy, niż pani kiedykolwiek miałaby ochotę mieć. (To żart.) Piszę do pani dlatego, że mam pewne informacje dotyczące procesu, w którym skazała pani człowieka na karę główną. Znajduje się on tutaj w celi śmierci i jest następny w kolejce do

71

igły, a więc sprawa jest dosyć pilna, ponieważ spodziewam się, że to, co mam do powiedzenia, może wiele zmienić i odegrać poważną rolę w podjęciu decyzji, czy w ogóle do tego dojdzie.

Nie jest to coś, o czym chciałbym rozmawiać ot tak po prostu z kimkolwiek, i mówiąc szczerze, mam ogromne problemy z przekonaniem właściwych ludzi, żeby poświęcili temu uwagę. Kilka lat temu napisałem do Larry'ego Starczeka, detektywa prowadzącego śledztwo w tamtej sprawie, ale teraz, kiedy nie mogę już nic dla niego zrobić, przestałem go interesować. Napisałem także do Stanowego Biura Obrońców z Urzędu, ale ci ludzie nie odpowiadają nawet na listy swoich klientów, a co tu dopiero mówić o korespondencji od skazańca, o którym nigdy nie słyszeli. Może to wynika z tego, że przeżyłem tyle lat jako na wpół glina, ale nigdy nie spotkałem obrońcy, którego bym lubił lub któremu mógłbym do końca zaufać. Może pani ma lepsze doświadczenia. Ale odbiegłem od tematu.

Gdyby nie miała pani swoich problemów, prawdopodobnie skontaktowałbym się z panią jakiś czas temu. Słyszałem, że jest już pani na wolności i, patrząc na to z mojego punktu widzenia, pewnie łatwiej mi będzie porozmawiać z panią teraz. Przestępcy nie osądzają się nawzajem. Mam nadzieję, że zechce pani zadać sobie trud naprawienia błędu, który był wynikiem tego, że nie miała pani wszystkich informacji. Poczta, którą stąd wysyłam, jest przeglądana - pewnie sama pani o tym wie - wolałbym zatem nie pisać nic więcej. Nigdy nie można wiedzieć, jak ludzie tutaj zareagują na coś takiego. Jest to dosyć daleko, ale powinna pani tu przyjechać i

wysłuchać tego osobiście. Kiedy spojrzy mi pani w oczy, będzie pani wiedziała, że nie kłamię.

Szczerze pani oddany Erno Erdai

Pamela ścisnęła ramię Arthura —prawdopodobnie wtedy, gdy dotarła do linijki o więźniu, który ma informację mogącą wiele zmienić i odegrać poważną rolę w podjęciu decyzji, czy odbędzie się następna egzekucja — i w rezultacie poczuł, że ponownie musi wygłosić kazanie o zaletach ostrożności w wyciąganiu wniosków. Autor tego listu nawet nie wspomniał o Rommym. Poza tym nie było końca groteskowym wymysłem pragnących zwrócić na siebie uwagę więźniów, którzy byli, dosłownie, najgorszymi ludźmi, jakich można spotkać.

72

Gillian czekała, co powiedzą. Arthur zapytał ją, czy przypomina sobie Erna Erdaia, ale pokręciła głową.

- A dlaczego jesteś pewna, że on pisze o moim kliencie? — dodał.

- Wydałam tylko dwa wyroki śmierci, Arthurze, a tego drugiego człowieka, McKessoną Winga, już dawno temu stracono w Teksasie. Poza tym Starczek nie prowadził śledztwa w tamtej sprawie.

Odwrócił się ku Pameli, oczekując, że zobaczy radość na jej twarzy, ale ona w skupieniu przyglądała się kopercie, w której przyszedł list Erdaia, koncentrując uwagę, tak to wyglądało, na znaczku pocztowym.

- Widzę, że dostała pani ten list w marcu. — Popatrzyła Gillian prosto w oczy. — Tak po prostu trzymała go pani u siebie przez dwa miesiące? — Jej agresywny ton zaskoczył Arthura. Pamela zwykle, jak całe jej pokolenie, odnosiła się życzliwie do wszystkich, uważając zapewne, że za nic w życiu nie warto nedwierać sobie nerwów jakimś konfliktem.

- Teraz gramy w jednej drużynie— wtrącił pojednawczo Arthur, chociaż było dla niego jasne, że Pamela ma w tej sprawie rację.

Gillian się nie spieszyła, deliberując, co powinna zrobić i czy w ogóle chce coś robić.

- Zastanowiłam się nad tym głębiej po naszym spotkaniu -wyj aśniła Arthurowi.

Pameli to nie wystarczyło.

- Ale wciąż jeszcze nie pojechała pani zobaczyć się z tym człowiekiem?

Gillian zmarszczyła czoło.

- To już nie należy do moich obowiązków, panno Townes.

- A należy do nich przyglądanie się, jak tracą człowieka, który nie powinien zostać skazany?

- Och, na litość boską! —Arthur uniósł rękę jak gliniarz kierujący ruchem ulicznym. Pamela zamilkła, ale rzuciła byłej sędzi złowrogie spojrzenie. Arthur zapytał Gillian, czy Pamela może skopiować list, i Gillian, która zasłoniła twarz smukłą, pokrytą piegami dłonią, skinęła głową. Pamela chwyciła kartki, a Arthur nie miał wątpliwości, że Gillian zastanawia się w tej chwili, dlaczego w ogóle zadawała sobie trud, żeby przyjść do tej kancelarii.

73

Podczas tych lat, kiedy Gillian zajmowała się prawem, zarówno jako prokurator, jak i sędzia, artykułem wiary było dla niej nigdy nie tracić panowania nad sobą.

Niezależnie od tego, jak wielkim draniem był podsądny lub któryś z prawników, nigdy nie sprawiła im tej przyjemności, że dała się ponieść emocjom. Kiedy młoda współpracownica Arthura, w swych sięgających kostek butach i skórzanej spódnicy, wychodziła zamaszystym krokiem z sali, Gillian miała ochotę udzielić dziewczynie rady. Panuj nad sobą, chciała jej powiedzieć. Ale Pamela oczywiście odpowiedziałaby, i całkiem słusznie, że nie chce jej w niczym przypominać.

— Czym ją karmisz, Arthurze? — zapytała, kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem.

— Benzyną wysokooktanową?

— Będzie świetną prawniczką—odpowiedział. Ton jego głosu sugerował, że nie uznał tego za komplement.

— Wciąż dostaję korespondencję od więźniów, Arthurze. Nawet nie wiem, jak oni mnie znajdują. I cała jest pokrecona. — Listy zawierały pornograficzne fantazje, które w tych złych, zamkniętych za kratami mężczyznach budziło wspomnienie atrakcyjnej, mającej władzę kobiety, a czasem inne wiadomości, nie różniące się wcale od tej od Erdaia, wysyłane ze słabą nadzieją, że Gillian jeszcze raz przemyśli sprawę i teraz, kiedy sama już dobrze wie, jak wygląda odsiadka, jakoś im pomoże. - Nie mogę brać tego wszystkiego serio — dodała. -Wiesz, co to jest, Arthurze, ten list. Jestem przekonana, że to wiesz. Ci członkowie gangów zawsze coś kombinują.

— Erno Erdai? Nazwisko raczej wskazuje na to, że jest biały. Roramy jest czarny. Ale zbyt porąbany, żeby chciał go jakikolwiek gang. W jego aktach zresztą nie ma nic o gangach.

— Oni wszyscy zawierają tam najróżniejsze sojusze. To coś jak Wojna Dwóch Róż.

Arthur wzruszył ramionami i odparł, że dowiedzieć się prawdy można jedynie, rozmawiając z Erdaiem.

— Myślę, że powinieneś - powiedziała. — To dlatego przyniosłam ci ten list.

— W liście napisał, że chce rozmawiać z tobą.

— Och, daj spokój - odparła. Sięgnęła do torebki. - Mogę tu zapalić?

Raven powiedział, że w tym pomieszczeniu to zabronione. Gdzieś tam była palarnia, ale powietrze w niej było tak przesiąknięte dymem, że równie dobrze mogłaby wdychać popiół.

74

Gillian zamknęła torebkę, postanawiając, jak zwykle, okiełznać swój głód nikotynowy.

— To nawet nie jest stosowne, żebym tam jechała — powiedziała.

Arthur zrobił minę, która być może była efektem wysiłku, z jakim powstrzymał uśmiech, ale ona szybko zrozumiała. Nie mogli już jej ukarać za nieetyczny postępek, nikt nie mógł wyrzucić jej z sądu lub zabrać jej uprawnień prawnika. To wszystko już zrobili. Każde posunięcie, za które nie mogli jej ukarać więzieniem, było na tym etapie stosowne.

— Gillian, nikt nie będzie krytykował mnie, lub ciebie, jeśli o to chodzi, za zrobienie tego, co musimy zrobić, żeby wysłuchać jego opowieści. Facet otwarcie napisał, co sądzi o obrońcach.

— Może mimo wszystko zechce z tobą porozmawiać.

— Lub zareaguje z nienawiścią i nie będzie chciał później gadać ani z tobą ani ze mną. Gillian, zostało mi sześć tygodni do dnia, kiedy sąd apelacyjny zadecyduje, czy ten człowiek pójdzie do piachu. Na tym etapie nie mogę marnować czasu ani ryzykować.

— Nie mogę pojechać do Rudyard, Arthurze. — Na samą myśl o tym skurczył się jej żołądek. Nie chciała znowu poczuć tej atmosfery beznadziejności ani mieć do czynienia z dewiacjami więźniów. Dużą część swego wyroku przesiedziała na oddziale specjalnym, odseparowana od większości innych więźniarek, ponieważ w Departamencie Więziennictwa uznano, że ustalenie, kto jest siostrą lub córką kogoś, kogo kiedyś oskarżała lub skazała, to zbyt trudne zadanie. I to jej odpowiadało.

Rzadko czuła się swobodnie w towarzystwie innych więźniarek, z którymi ją umieszczono, kobiet będących w ciąży, kiedy trafiły za kraty, lub takich, które zostały usunięte ze zwykłych oddziałów za naruszenie tego czy innego przepisu. Wszystkie były ofiarami pomyłki sądowej, na pewno w swoim mniemaniu i często rzeczywiście. W większości nie miały nic, z czym mogłyby zacząć nowe życie, i były skazane na klęskę. Niektóre były bystre. Kilka okazało się naprawdę zabawnymi towarzyszkami. Ale kiedy się je dobrze poznało, prędzej czy później dostrzegało się wady charakteru rozmiaru skały gibraltarskiej: zamięłowanie do kłamstwa, nieprzewidywalną niczym wybuch wulkanu skłonność do wpadania w złość, fałszywe postrzeganie świata, które można było porównać ze ślepotą na kolory, w tym sensie,

75

że pewnych jego aspektów one po prostu nie widziały. Trzymała się na uboczu, pomagała innym w rozwiązywaniu problemów prawnych i mimo że starała się je od tego odwieść, była nazywana Sędzią. Wydawało się, że wszystkim - więźniarkom, a nawet personelowi — sprawiało przyjemność, iż ktoś spośród wielkich i potężnych upadł tak nisko.

Jednakże Raven nie miał zamiaru się poddać.

— Posłuchaj, nie chcę prawić kazań — powiedział — ale ten Erdai ma w jednej sprawie rację, prawda? To ty podjęłaś decyzję. Ty uznałaś tego człowieka za winnego, ty skazałaś go na śmierć. Czy nie ponosisz pewnej odpowiedzialności, jeśli mój klient nie zasłużył sobie na to?

— Arthurze, mówiąc bez ogródek, zrobiłam już więcej, niż musiałam. - Zmagala się z tym problemem przez kilka dni, zanim zdecydowała się przynieść ten list. Wiedziała, że ryzykowanie podtrzymywaniem kontaktów z Ravenem, który mógł zacząć zadawać bardziej szczegółowe pytania o jej przyszłość, było głupotą. I nie odczuwała żadnej lojalności wobec prawa, którego skomplikowane metody i problemy tak ją kiedyś zachwycały, ale które, jak surowy monarcha, wyгнаło ją ze swego królestwa. Piekło ją jednak wspomnienie tej jednej okrutnej uwagi, którą rzuciła Arthurowi. To nie prawo, ale zasady, które dla siebie stworzyła z pomocą dobrodusznego Duffy'ego, wymagały, żeby tu przyszła. Żadnego więcej bałaganu, żadnych krzywd zadanych mimochodem innym i sobie. Kiedy to konieczne, staraj się wynagrodzić komuś to, co kiedyś odebrałaś.

Wciąż głodna nikotyny, wstała i przeszła w róg pokoju. Przez te wszystkie miesiące, które upłynęły, odkąd wyszła z więzienia, nie była jeszcze w żadnej kancelarii prawniczej i panująca tu afektowana atmosfera wydawała jej się zabawna. Wszyscy

tak się wzbogacili, kiedy jej nie było. To było wręcz niewyobrażalne, że normalni ludzie mogą żyć w takim luksusie - granitowy stół, srebrna maszynka do kawy szwedzkiego projektu i fotele obite cielecą skórą w kolorze masła. Nigdy nie pragnęła niczego podobnego. Mimo to ciężko jej było patrzeć, że Raven, sprawny i z determinacją zdążający do celu, ale może niezbyt utalentowany prawnik, jest tak pieszczony przez los.

Arthur, obserwując ją, nieświadomie głaskał swoje włosy, które sterczały mu na głowie w tych kilku miejscach, gdzie jeszcze były. Jak zwykle wyglądał tak, jakby ciężko pracował - jego krawat był ściągnięty w dół, na prawej dłoni i mankiecie ko-

76

szuli miał plamy po atramencie. Intuicyjnie szukała jakiegoś sposobu, żeby odciągnąć go od głównego tematu ich rozmowy.

- Co u twojej siostry, Arthurze? Czy dobrze pamiętam? Ona była chora, tak?
- Ma schizofrenię. Załatwiłem jej mieszkanie z opieką, ale i tak ciągle u niej bywam. Ostatnie słowa, które ojciec do mnie powiedział, brzmiały: „Opiekuj się Susan”. Co nie było zbyt zaskakujące. Powtarzał mi to od czasu, gdy ukończyłem dwanaście lat.
- Masz jeszcze inne rodzeństwo?
- Jesteśmy tylko Susan i ja.
- A kiedy umarła twoja matka?
- Moja matka jest w świetnej formie. Umyła po prostu ręce i zostawiła nas trzydzieści lat temu, kiedy Susan zachorowała. Wyjechała na długo do Meksyku, a potem tu wróciła. Jest kimś w rodzaju wolnego ducha. Tworzyli z ojcem dziwną parę. Ma małe mieszkanie w Center City i utrzymuje się z pozowania na lekcjach rysunku w Museum Art School.
- Pozuje nago?
- Och, oczywiście. „Ludzkie ciało jest cudowne w każdym wieku, Arthurze”. Pewnie rysowanie zmarszczek jest większym wyzwaniem. Naprawdę nie wiem. — Raven uśmiechnął się nieco niepewnie, trochę zdumiony tym, co wyznał.
- Widujesz się z nią?
- Od czasu do czasu. Ale to jest tak jak odwiedzanie dalekiej krewnej. W szkole średniej miałem kilku przyjaciół, czarnych gości, których wychowały babcie. Oni znali swoje matki, tak jak ja swoją... to jak człowiek miałby znacznie starszego

kumpla. Tak dorastałem. Co jeszcze wiesz o mnie?

Uśmiechnęła się równie niepewnie jak on. Pani Raven najwidoczniej znajdowała się na przeciwnym biegunie niż pani Sullivan, która żądała, aby wszyscy członkowie jej rodziny zajęli wysokie pozycje w społeczeństwie. Miała błyskotliwy umysł i nie znała litości, gdy chciała kogoś pognębić, ale każdego popołudnia, kiedy Gillian wracała ze szkoły do domu, na kuchennym blacie stała otwarta butelka Triple Sec. Wieczory zawsze upływały w nerwach. Na kogo dziś mama ruszy? Będzie tylko krzyczała czy, jak to często było podczas kłótni z tatą, posunie się do rękoczynów? Jej napady wściekłości pogrążały dom w lękliwej ciszy, która trwała całymi godzinami.

Chociaż Arthurowi wyraźnie spodobało się, że budzi zainte-

77

resowanie Gillian, znów spróbował namówić ją, żeby odwiedziła Erdaia. Konsekwencja, przypomniała sobie, była zawsze jedną z jego zawodowych cnot.

- Nie wiem, jak cię do tego przekonać - powiedział. — Nie proszę o wiele. Po prostu postaraj się urobić tego faceta. - Arthur obiecał jej, że jeśli nie chce, nie będzie nawet musiała wysłuchać opowieści Erdaia, i że sam ją tam zawiezie, aby mieć pewność, że odbędzie całą drogę do i z więzienia w jeden dzień. - Posłuchaj, Gillian, nigdy nie chciałem tej sprawy. Sąd po prostu zwał mi ją na kark. W rezultacie od czterech tygodni nie miałem ani jednego wolnego dnia. Ale robię to, gdyż tak pojmuję mój obowiązek. I muszę cię prosić o pomoc.

Rozbrajająco pokorny w tej swojej płacziwej otwartości, Arthur wyciągnął ku niej swoją krótką rękę. Uśmiechnął się jak wtedy, gdy mówił o matce: to było wszystko, co wiedział, i nie było innego wyjścia, jak się z tym pogodzić. Gillian uświadomiła sobie, że jest sympatyczny. Wyrósł na miłego człowieka, który dowiedział się o sobie więcej, niż kiedyś przewidywała. Wiedział, że jest jednym z tych gorliwych ludzkich bobrów pragnących wykonywać wszystko dobrze i obawiających się, że to, co robią, może się nie powieść. Wiedział także, jak to powiedział ostatnio, że są tacy ludzie jak ona, którzy podobnych mu uważają za nudziarzy. Nagle pojęła, że to był jej błąd. Nie jedyny zresztą. Od dawna była winna Arthurowi i ludziom takim jak on znacznie więcej szacunku. Ta myśl, która właśnie ją naszła, stała się pierwszym krokiem na drodze do jej rehabilitacji. Ponieważ przyszło jej właśnie do głowy, że rehabilitacja jest celem jej planu. Gdzieś w zakamarkach swego umysłu, nieświadomie, przez cały czas zamierzała, gdy już odzyska siły, przemienić się, stworzyć nową wersję siebie, wypełnić nową treścią bezdenny krater, który wybiła w swoim życiu.

- Pojadę — powiedziała. Gdy tylko padły te słowa, wydały się jej bezcenną porcelaną strąconą z półki. Obserwowała, jak spadają i roztrzaskują się na podłodze — oraz jak na twarzy Ravena rozkwita uśmiech — czując, że popełniła straszny błąd. Pragnęła tylko bezpiecznie i spokojnie żyć. Żyła zgodnie z codziennym planem: weź pigułkę przeciwko depresji i minimalizuj wszelkie kontakty z przeszłością. Na myśl, że jej determinacja się załamie, ogarnęła ją typowa dla byłych narkomanów panika.

Odprowadzając ją do okazałej recepcji, Raven wypowiedział

78

szereg nieudolnych podziękowań, po czym odebrał z szatni jej mokry parasol i płaszcz przeciwdeszczowy. Wypolerowany parkiet pokrywał gigantyczny dywan, cudownie zaprojektowany przez współczesnego mistrza, który przerzucił się z malarstwa na tekstylia, i Gillian, ciągle jeszcze głęboko wstrząśnięta, wbiła wzrok w abstrakcyjne figury. Miała wrażenie, że w obecności Arthura Ravena dwukrotnie w ciągu dwóch tygodni jakiś duch, niczym leśny elf nawiedzający drzewo, przemówił w jej imieniu. Pożegnała się nieco nagle i zjechała szybkobieżną windą zupełnie zbita z tropu przez samą siebie, a zwłaszcza przez krótkie, roztrzepotane uczucie w piersiach, które było niczym mały płomyczek płonący w rogu klatki. Uczucie to nie trwało długo i dlatego nie musiała rozstrzygać, czy to mogła być nadzieja.

7 4 października 1991

Areszt

Większość zatrzymanych w areszcie miejskim miała po kilka nazwisk. Jeśli Prawo dowiedziało się, że masz już kartotekę, malała szansa na wyjście warunkowe lub zwolnienia za kaucją. Dlatego sprawcy różnych przestępstw mieli po aresztowaniu skłonność do zapominania, jak nazwała ich mamusia. Zwykle goście leżakowali przez wiele tygodni, zanim w wydziale identyfikacji w McGarth Hill porównano karty z odciskami dziesięciu palców pobranymi podczas aresztowania z tymi, które były w aktach, i ustalono, kto jest kim.

Niefortunnym dla Collinsa Farwella zbiegiem okoliczności jego zidentyfikowano wcześniej. Chociaż przedstawił się jako Congo Fanon, w dniu, kiedy Larry zadzwonił do Muriel, w areszcie wiedziano już, że jest znany również jako Collins. Muriel brała udział w rozprawie dotyczącej napadu na bank, ale zgodziła się spotkać z Larrym w areszcie miejskim po zakończeniu pracy w sądzie i kiedy się pojawiła, on już czekał na nią w holu na jednym z granitowych bloków służących za ławki. Przez cały czas, gdy szła w jego stronę, prowadził ją uporczywym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Świetnie wyglądasz — powiedział na powitanie.

Była ubrana do sądu w czerwony kostium i miała na sobie

79

znacznie silniejszy makijaż niż wtedy, gdy przekładała papiery w biurze. Larry, jak zawsze nieco zbyt poufały, wyciągnął rękę i dotknął jednego z jej wielkich kolczyków.

— Afrykański?

— Prawdę powiedziawszy, tak.

— Ładny — odparł.

Zapytała, dlaczego ją ściągnął, i Larry obszerniej, niż to zrobił przez telefon, zrelacjonował, co mu poprzedniego dnia powiedział Erno. Była piąta po południu i więźniów zamykano, żeby ich policzyć, co znaczyło, że Larry i ona będą musieli poczekać na rozmowę z Collinsem.

— Chcesz go sobie tymczasem obejrzeć? - zapytał Larry. Po wylegitymowaniu się weszli do środka i wspięli się na

kratownicowy pomost ciągnący się na zewnątrz cel. Muriel zostawała trochę z tyłu. Nie miała czasu zmienić butów i musiała uważać, żeby jeden z jej wysokich obcasów nie utknął w oku kraty. Potknięcie mogło doprowadzić do czegoś więcej niż tylko do zenującej sytuacji. Odwiedzający, mężczyźni i kobiety, nauczyli się trzymać z dala od cel. Zdarzyło się już, że więźniowie podduszali mężczyzn ich własnymi krawatami, a kobiety musiały znosić jeszcze gorsze upokorzenia. Zastępcy szeryfa, którzy pełnili tu funkcję strażników, utrzymywali z aresztantami rozejm na zasadzie żyj i pozwól żyć innym i nie zawsze spieszyli się z interwencją.

Kiedy tak szli, wokół nich rozgrywały się zwykłe sceny więzienne. Widzieli ciemne twarze, dobiegały ich nieprzyjemne f j wonie, obelgi i seksualne drwiny rzucone za ich plecami. II W niektórych celach ludzie porozwieszali bieliznę, dzieląc nie- I wielką przestrzeń, jaką mieli do dyspozycji. Na wielu kratkach 1 były przyklejone fotografie - rodzinne lub rozkładówki z nagi- i mi dziewczynami. W czasie, gdy cele były zamknięte, aresz- f tanci wylegiwali się lub spali, słuchali radia, pokrzykiwali je- | den do drugiego, często slangiem gangów. Do Muriel i Larry'e- * go podszedł strażnik, który poprowadził ich na ostatni poziom. Był to wielki czarny mężczyzna w mundurze burego koloru, wyraźnie poirytowany, że zawracają mu głowę. Zastukał dwa razy pałką w kratę, dając im znać, że dotarli do celi Collinsa, M po czym oddalił się niespiesznie, przejeżdżając pałką po kra- 9 tach kolejnych cel, by chłopcy wiedzieli, że jest w pobliżu. m

— Który z was to Collins? - zapytał Larry dwóch mężczyzn, "

80

którzy byli w środku. Jeden siedział na muszli klozetowej, a drugi grał w karty przez kraty z więźniem z sąsiedniej celi.

- Ja, człowieku. Nie można tu mieć trochę prywatności czy co? — Collins, siedzący na muszli z nierdzewnej stali, wskazał ręką Muriel, ale dalej robił swoje, pewnie w ten sposób sprzeciwiając się ich najściu.

Odeszli na chwilę na bok. Kiedy wrócili, Collins właśnie zapinał zamek błyskawiczny swojego pomarańczowego kombinezonu.

- Jesteś od narkotyków czy jak? — zapytał Collins, kiedy Larry pokazał mu swoją odznakę. Collins Farwell był koloru mlecznej czekolady, miał jasne oczy i krótko przyszczyżone gęste, kręcone włosy. Tak jak został zareklamowany, był wielki i przystojny. Oczy miał niemal pomarańczowe i świetliste jak u kota. Najwyraźniej świetnie zdawał sobie sprawę, że jest przystojny. Zerkając na Muriel, poprawił kombinezon na ramionach, żeby lepiej leżał.

- Od zabójstw — odparł Larry.

- Nikogo, do cholery, nie zabiłem. Nie robię takich numerów, człowieku. Pewnie miałeś przyjść do jakiegoś innego czarnucha. Nie jestem zabójcą. Jestem kochankiem. — Collins zaśpiewał fragment piosenki Otisa Reddinga, aby dowieść swojej racji, czym wzbudził wesołość ludzi w kilku celach na piętrach pod nim i nad nim. Skończywszy, rozpiął znowu zamek kombinezonu i podszedł do miski klozetowej. Stanąwszy tam, popatrzył prosto na Muriel, spodziewając się, że ucieknie, ale ona jeszcze przez minutę wytrzymała na miejscu.

- Co o nim myślisz? — zapytał ją Larry, kiedy wracali na dół.

- Piekielnie przystojny - odpowiedziała Muriel. Przypominał jej ulubieńca matki, Harry'ego Belafonte.

- Może uda mi się zdobyć jego policyjne zdjęcie, żebyś mogła je sobie oprawić w ramkę. Marnujemy czas?

Zapytała, co on o tym sądzi.

- Myślę, że jest przeciętnym więziennym kawałkiem gówna - odpowiedział Larry. - Ale mam dla niego godzinę, jeśli i ty ją masz.

Po posiłku, kiedy Collins dołączy do reszty więźniów, będą niogli bez fanfar

sprowadzić go do pokoju przesłuchań. Larry poprosił oficera dyżurnego w biurze, aby to zaaranżował, mówiąc mu tylko tyle, że chcą przesłuchać Farwella w sprawie

81

o morderstwo. Połowa klawiszy stała jedną nogą w gangach lub miała z nimi jakieś inne układy i gdyby pomyśleli, że Collins współpracuje z policją błyskawicznie by to się rozeszło. Oficer dyżurny zaprowadził Larry'ego i Muriel do małego pokoju przesłuchań, trapezoidu z tanich płyt gipsowych poznaczonych śladami obcasów do wysokości kilku cali. Usiedli na plastikowych obrotowych krzesłach, które - tak jak i mały stolik między nimi, były solidnie przyśrubowane do podłogi.

— I co u Talmadge'a? — Larry natychmiast odwrócił wzrok, jakby pożałował, że mu się to wyrwało. Wiele osób pytało teraz Muriel o Talmadge'a. W ostatnim tygodniu w prasie ukazało się ich wspólne zdjęcie zrobione na balu charytatywnym. Ale wciąż nie chciała rozmawiać o tym z Larrym.

— Wiesz, Larry, nigdy nie myślałam, że możesz być zazdrosny.

— To było pytanie ogólne - zaprotestował. — Wiesz, jak o pogodę. Jak o zdrowie twoje i twojej rodziny.

-Aha.

— I?

— Daj spokój, Larry. Widuję się z nim. Dobrze nam ze sobą.

— I nie widzujesz się ze mną.

— Larry, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widywała się z tobą nazbyt często. Nigdy o mnie nie pomyślałeś, gdy nie byłeś napalony.

— No i co w tym złego? — zapytał Larry. Prawie dała się nabrać, ale w ostatniej chwili zorientowała się, że Larry ją podpuszcza. — Teraz będę ci codziennie przysyłał kwiaty i liściki miłosne.

Liściki miłosne. Zawsze potrafił ją zaskoczyć. Popatrzyła na niego.

— Daję ci od siebie odpocząć — powiedział. — Myślałem, że potrzebujesz więcej przestrzeni.

— Potrzebuję przestrzeni, Larry. — Kiedy zamknęła oczy, można było odnieść wrażenie, że jej rzęsy przyklepiły się do makijażu. Larry, który w życiu kierował się instynktem, jakoś wyczuł, że coś się szykuje. Dwa dni przedtem Talmadge,

wychodząc od niej, przycisnął jej głowę do swojej piersi i powiedział: „Może powinniśmy zacząć myśleć o tym, żeby zrobić z tego coś stałego”. Dawno już uświadomiła sobie, że do tego właśnie zmierzają, ale jego słowa i tak nią wstrząsnęły. Od tego czasu bardzo się starała nie myśleć o tym, co powiedział, i w rezultacie nie myślała o niczym innym.

82

Czuła się tak, jakby patrzyła w głąb Wielkiego Kanionu. W jakiś sposób jej pierwsze małżeństwo, o którym ostatnio rzadko myślała, znajdowało się gdzieś daleko w jego niebezpiecznej, przepastnej głębi. Wyszła za męża w wieku dziewiętnastu lat, kiedy to ludzie robią mnóstwo głupich rzeczy, i jej się wydawało wtedy, że złapała Boga za nogi. Rod, który uczył ją angielskiego w szkole średniej, był błyskotliwym facetem o zjadliwym poczuciu humoru i mimo czterdziestu dwóch lat wciąż nie miał żony — Muriel nigdy nie przyszło do głowy, żeby się zastanowić dlaczego. Latem po ukończeniu szkoły pewnego razu wpadła na niego na rogu ulicy i zaczęła z nim śmiało flirtować, gdyż odkryła w tych latach, że bezczelność w tych sprawach wręcz cudownie zwiększa atrakcyjność dziewczyny, której wygląd nie zatrzymuje ruchu ulicznego. Uganiała się za nim potem, błagała, żeby poszedł z nią na lunch, zabrał do kina, zawsze ukradkiem. Jej rodzice wpadli w przerażenie, kiedy powiadomiła ich o ślubie. Ale pracowała, w pięć lat ukończyła college, uczyła w szkołach publicznych, a wieczorami studiowała prawo.

Z czasem, oczywiście, urok Roda zbladł. Nie, nie była to do końca prawda. Pozostał jednym z najbardziej zniewalająco dowcipnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznała — przemądrzałym pijaczkiem siedzącym na końcu baru, który w angielskich komediach wygłasza najlepsze teksty. Ale nigdy nie dorósł. Był błyskotliwym chłopcem spętany własnymi problemami, i wiedział o tym. Często mówił, że jego największym problemem jest to, że nie może jednocześnie trzymać kieliszka stolicznej, papierosa i pilota do telewizora, bo ma tylko dwie ręce. Prawdopodobnie był gejem, ale brakowało mu odwagi, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. W każdym razie jego zainteresowanie seksem z nią nie trwało o wiele dłużej od ich narzeczeństwa. W trzecim roku ich małżeństwa jego obojętność wobec tej sfery życia pchnęła ją w ramiona innych mężczyzn. Rod wiedział o jej romansach, ale niezbyt się tym przejmował. Co więcej, załamywał się, kiedy tylko wspominała o rozwodzie. Nie mógł znieść myśli, że będzie o tym musiał powiedzieć matce, surowej, chłodnej kobiecie w typie babki z wyższych sfer, której już wieki wcześniej powinien kazać się odpieprzyć. Zamiast tego stale pozwalał jej osądzać siebie. Do śmierci. Zmarł na zawał serca, który od dawna wróżyły mu przedwczesne zgony jego ojca i dziadka. Pomimo wszystkich znaków ostrzegawczych Rod

nigdy się nie gimnastykował, a do lekarza chodził jedynie po to, żeby z niego podrwić. Dla Muriel ta strata okazała się nadspodziewanie wielka, gdyż utraciła nie tylko samego Roda, ale i wspomnienie radosnej dumy, jaką z jego powodu odczuwała, gdy miała dziewiętnaście lat.

Jeśli się poślubiło człowieka wystarczająco starego, żeby mógł być twoim ojcem, patrzy się wstecz i mówi: miałam wtedy swoje powody. Jednakże mimo upływu lat podstawowy powód wciąż był aktualny: po prostu chciała coś zrobić ze swoim życiem. Tyle że Rod, nieodpowiedzialny pijak, i Talmadge, człowiek, który zostawiał ślady mogące przetrwać wieki, różnili się jak niebo i ziemia. Co więcej, piętnaście lat, które upłynęły od jej pierwszego ślubu, to było dosłownie całe życie. Ale pamięć o tym, jak bardzo może się mylić, jak niepojęta może być dla siebie samej w tych sprawach, wciąż ją prześladowała. Nie zamierzała jednak zdradzać się z tymi wątpliwościami przed Larrym.

- Nie mogę uwierzyć, że Talmadge jest dla ciebie takim problemem — powiedziała.

- Sam nie wiem — odrzekł. - Wygląda na to, że jestem wolny. Rozwodzimy się. — Tym razem zdawał się mówić to serio. • Poszli razem z Nancy do prawniczki, która najpierw próbowała ich namówić, żeby jednak postarali się wytrzymać ze sobą. ' Nie było żadnych problemów z podziałem własności. Jediną trudność stanowiła kwestia jego chłopców. Nancy zbyt się do nich przywiązała, by ich zostawić, i wręcz zaproponowała, że wystąpi o przyznanie jej opieki nad nimi, ale Larry to wykluczył. Na jakiś czas znaleźli się w sytuacji patowej, ale uważał, że w końcu dojdą do porozumienia. Oboje chcieli to skończyć. — Smutna sprawa - dodał. To także zdawał się mówić poważnie. Nie zadał sobie przy tym trudu, żeby na nią spojrzeć. Na jego korzyść świadczyło to, że nie potrzebował taniego współczucia.

Zza drzwi dobiegła ich więzienna muzyka podzwaniających łańcuchów. Strażnik zapukał raz, po czym wprowadził do pokoju Collinsa Farwella. Nogi i ręce więźnia były skute, a kajdany łączył łańcuch przechodzący przez klamrę w skórzanym pasie, Klawisz posadził go przy sąsiednim stoliku, a następnie przypiął ten łańcuch do czarnego skobla osadzonego w podłodze.

- Chcę skrócenia wyroku, człowieku — powiedział Collins, gdy tylko strażnik zniknął za drzwiami.

- Zwolnij trochę — odparł Larry. —A najlepiej zacznij od początku, stary. Może od „jak się masz”.

— Powiedziałem, że chcę skrócenia wyroku — powtórzył Collins. Poza całą jego akcent był wyraźnie bielszy. Zwracał się do Muriel, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że jest prokuratorem, i to ona będzie podejmowała decyzje.

— Ile prochu miałeś przy sobie, kiedy cię dorwali? — zapytała.

Collins pomasaował twarz, na której widać było krótki, kilkudniowy zarost, będący przypuszczalnie wyrazem jego przekonań o tym, co jest modne. W areszcie nie można go było przesłuchać, nie ostrzegając ponownie, że jego zeznania mogą być użyte przeciwko niemu, czego Muriel i Larry nie zrobili. Zgodnie zatem z pokrętną logiką prawa nic z tego, co teraz mógł powiedzieć, nie można by było w tym celu wykorzystać. Muriel wyjaśniła mu tę kwestię, ale Collins miał już wystarczająco duże doświadczenie w tych sprawach i sam to wiedział. Zastanawiał się po prostu przez chwilę nad taktyką, którą powinien przyjąć.

— Miałem pół funta, człowieku — odpowiedział w końcu — tyle że ci od narkotyków zgarnęli swoją działkę. Dwie uncje. Zostało tyle, że dalej wychodzi mi X. — Collins roześmiał się, myśląc o tych zdeprawowanych glinach. Opchną teraz te dwie uncje na ulicy albo sami je wciągną. A on ma przed sobą dożywocie bez prawa do warunku.

— Może nam powiesz, co wiesz? — zaproponowała Muriel.

— Może wy mi powiecie, o ile krócej mogę pudłować, i przestaniecie mnie traktować jak durnego czarnucha, który da się wziąć glinom na lewe sanki.

Larry wstał. Przeciągnął się, ale zrobił to tylko po to, żeby Collins nic nie podejrzewał, gdy zajdzie go od tyłu. Kiedy tam się znalazł, chwycił pod udem więźnia łańcuch łączący jego ręce i nogi i pociągnął w górę. Ucisk na pachwinę był tak mocny, że Collins odchylił się gwałtownie do tyłu. Muriel rzuciła Larry'emu ostrzegawcze spojrzenie, ale on wiedział, jak daleko może się posunąć. Oparł rękę na ramieniu więźnia i powiedział:

— Powinieneś nieco zmienić swoją postawę, przyjacielu. Nie musisz z nami rozmawiać. Naprawdę nie musisz. My możemy sobie stąd pójść, a ty możesz dostać dożywocie. Jeśli jednak chcesz się stąd wydostać, lepiej zacznij się zachowywać, bo nie widzę za drzwiami kolejki prokuratorów czekających, żeby zaproponować ci lepszy układ.

Kiedy Larry puścił łańcuch, Collins rzucił mu bezczelne spoj-

rzenie, a następnie przeniósł wzrok na Muriel. Niemal wbrew jego woli pojawiło się

w nim błaganie. Sam nie wiedział, jak wielkim był dupkiem. Muriel skinęła na Larry'ego i wyszli z pokoju-

— Nie cierpię targować się z dealerami - zaczął Larry, gdy II zastępca szeryfa poszedł przypilnować więźnia. — Są w tym lep- M si ode mnie.
fl

Muriel roześmiała się głośno. Larry potrafił kpić z siebie. To II była jedna rzecz, jakiej Talmadge nigdy się nie nauczy. Larry wciąż miał na sobie czarną skórzaną kurtkę do połowy ud i szepcząc z nim teraz w tym ciasnym więziennym pomieszczeniu, czuła zwierzęce ciepło promieniujące z jego zwalistego ciała.

— Nie wiem, czy ten śmieć próbuje dostać coś za nic — kontynuował Larry — czy też naprawdę ma klucze do królestwa.

— Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić - odparła. — To nie jest oglądanie witryn sklepowych. On musi wyłożyć na stół to, co ma. Kiedy już nam wszystko ujawni, sprawdzimy, ile to jest warte. Jeśli wyda nam zabójcę i będzie zeznawał, ci z wydziału narkotyków może zredukują zarzut do mniej niż sześciu uncji, dzięki czemu dostanie od dziesięciu do dwunastu lat. Ale sama nie mogę mu niczego obiecać.

Larry pokiwał głową. To był dobry plan. Chciał już wrócić do Collinsa, ale Muriel chwyciła go za grube ramię.

— Może lepiej by było, gdybyś to mnie pozwolił się dogadać. Już załatwiłeś sobie rolę złego gliny.

Kiedy wrócili do pokoju, Muriel wyjaśniła więźniowi podstawowe zasady gry. Collins najwyraźniej namyślił się przez ten czas, który spędził tu sam, i przyjął nieco bardziej ugodowy ton, ale wciąż kręcił nosem.

— Nie mówiłem nikomu, że będę zeznawał, człowieku. Spędzę w pudle jeszcze kupę lat. No nie? Co bym powiedział, i tak będę kiblować?

Muriel pokiwała głową.

— Jeśli złożę zeznania, czekają mnie ciężkie czasy. GO — dodał, mając na myśli członków Gangster Outlaws — nie będą czekać, aż po raz drugi dogadam się z prokuratorem.

— Posłuchaj — powiedziała Muriel - ty także nie jesteś naszym wymarzonym kandydatem. Zeznań Potrójnego X, który śpiewa, żeby nie dostać dożywocia, nie uda się sprzedać ławie przysięgłych jak słów zakonnicy.

— Nie mogę zeznawać - powtórzył po raz kolejny Collins. -

86

Sprawdźcie mnie na wykrywaczu kłamstw — dodał — ale nie ma mowy, żebym tam stanął jako świadek. Jestem wyłącznie poufnym informatorem.

Ciągnęli to jeszcze przez kilka minut, ale Muriel była skłonna zrezygnować z jego zeznań. Wciąż miała przeczucie, że Collins okaże się przydatny, choć wiedziała, że sprawy, w której trzeba wystawić jako świadka Potrójnego X, w ogóle nie warto rozpoczynać. Ostatecznie zaproponowała, że spróbuje uzyskać w biurze prokuratora złagodzenie kary, ale tylko wtedy, gdy informacje Collinsa doprowadzą do wyroku skazującego. I muszą teraz usłyszeć, co ma do powiedzenia.

— Aco będzie, jak mnie wykiwacie, ludzie? Aresztujecie gościa i zapomnicie o mnie. Gdzie ja wtedy będę? - Kiedy mówił o możliwości oszustwa, spojrzenie jego jasnobursztynowych oczu padło na Larry'ego.

— Myślałem, że twój wujek powiedział ci, że jestem w porządku - odrzekł Larry.

— Mój wujek, człowieku? — powiedział Collins i roześmiał się na myśl o Ernie. — Co on wie? Jeśli pomalujesz świnię szminką, wciąż będziesz miał świnię.

Na przekór sobie Muriel uśmiechnęła się, ale Larry zeszywniał. Nazywanie swinią wkurzało większość gliniarzy i Muriel dotknęła uspokajająco jego ramienia, mówiąc Collinsowi, że to jej najlepsza oferta. Musi ją przyjąć lub odrzucić.

Collins wyciągnął szyję, kręcąc głową, jakby chciał złagodzić jakiś niewielki ból.

— Byłem w tej knajpie - zaczął po chwili — w Lamplight.

— Kiedy? - zapytała.

— Tydzień temu. Tuż przed tym, kiedy mnie zwinęli. We wtorek. I widzę tam jednego takiego ćpuna, co często tam przy-łazi. Taki obdarty włóczęga.

— Nazwisko?

— Ludzie tam wołają na niego Wiewióra. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że ma pod sufitem orzeszki zamiast mózgu. -Collins przerwał na chwilę, wyraźnie ubawiony swoimi słowami. - Tak czy owak, siedzę sobie z pewnymi facetami, a ten Wiewióra, jakby to powiedzieć, snuje się tam chyłkiem między ludźmi i opycha im trefny towar.

— Co takiego? — zapytał Larry.

— Tydzień temu miał złoto. Łańcuszki. Wyciągał je z kiesze-

87

ni i miał coś... jak, do diabła, nazywa się taki damski wisiołek z podobizną?

- Kamea?

Collins strzelił palcami na potwierdzenie.

- Jeden z braci przy barze chciał na to rzucić okiem i Wie-wióra pokazuje mu, ale gada coś w rodzaju: „Wykluczone, człowieku, to nie jest na sprzedaż”. Odwraca to, otwiera, a tam w środku są dwie fotografie, dwójki małych dzieciaków. „Rodzina da za to dobrą kasę”, mówi. Rodzina, myślę. Niech mnie diabli, jak wiem, o co tu chodzi. No więc, gdy później poszedłem do, no wiecie, do toalety, znowu go zobaczyłem i zaczęliśmy gadać. „Co miałeś na myśli, mówiąc o rodzinie?”, pytam. „Do diabła”, odpowiada, „damulka, od której to mam, jest już zadołowana. Rozwaliłem ją”. A ten brat, człowieku, no wiecie, on nie wygląda, jakby umiał kogoś rozwalić. Więc mówię coś takiego: „Człowieku, jesteś na haju?” „Słowo”, odpowiada, „rozwaliłem ją i dwóch innych czwartego lipca. Też to widziałeś, człowieku, telewizja i cała reszta, byłem sławny i w ogóle. Ściągnąłem z nich całą masę towaru, ale już się go pozbyłem, z wyjątkiem tego, bo nikt nie da mi za to tyle, ile rodzina. Kiedy sprawa przyschnie, zgłoszę się po okup lub coś takiego, a potrzebuję pieniędzy na mieszkanie”. — Collins wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Larry poprosił go, żeby opisał kameę. O wielu przedmiotach zabranych ofiarom wspomniano w gazetach i Larry wyraźnie liczył na jakieś szczegóły, których nie ujawniono.

- Jeszcze coś? - zapytała Muriel, gdy padła odpowiedź.

- Hmm-mmm - mruknął Collins.

- Nie znasz nawet imienia tego typa? - zapytał Larry.

- Nie wiem, człowieku. Chyba ktoś mówił do niego Ronny lub coś takiego.

- Uważasz, że zmyślał, mówiąc o zabiciu tych trojga ludzi? Collins popatrzył na nich oboje. W końcu zabrakło mu póż.

- Mogło tak być — odpowiedział. - W tej chwili mam cholerną nadzieję, że nie zmyślał, ale wiecie, kiedy człowiek się nawali, to nie wiadomo, co będzie wygadywał. Chciał mi zaimponować, to pewne.

Muriel pomyślała, że Collins rozgrywa to właściwie, mówiąc otwarcie, co myśli. Jeśli okaże się, że Wiewióra nie jest mordercą, to i tak będzie miała powód, by wstawić się za nim.

88

Larry zadał jeszcze kilka pytań, na które Collins nie potrafił odpowiedzieć, po czym odesłali go z powrotem do celi. Nie rozmawiali o nim do chwili, gdy znaleźli się na ulicy, na zewnątrz tej ogromnej fortecy, którą był areszt miejski.

— Mówi prawdę? — zapytała go wtedy.

— Prawdopodobnie. Gdyby to wymyślił, pewnie brzmiałoby znacznie lepiej.

Muriel się zgodziła.

— Czy to możliwe, że Collins brał w tym udział?

— Gdyby brał, a Wiewióra go wydał, byłby ugotowany. Collins potrafi to sobie poskladać. Zakładałbym zatem, że nie.

Muriel również tak to widziała. Zapytała, ile z tego, co powiedział Collins o kamei, ukazało się w prasie.

— Nigdy nic na ten temat nie ujawniliśmy — odparł Larry. — W środku są zdjęcia córeczek Luisy, które zrobiono podczas chrztu. I powiem ci, że największe wrażenie robi na mnie to, że on ma rację: ta rzecz ma wielkie znaczenie dla rodziny. Jakaś scheda z Włoch. Mama dostała to od swojej mamy, a ona od swojej. Ten pętek Wiewióra musi coś o tym wiedzieć.

— Dzwonisz do Harolda?

— Najpierw chcę sobie obejrzeć tego Wiewiórę. — Larry najwyraźniej obawiał się, że komendant wyznaczy do tego innych detektywów. Policjanci dbali o to, by stale wzbogacać swoje statystyki aresztowań, jakby gdzieś w McGrath Hall znajdowała się świetlna tablica wyników, i Larry, jak każdy inny, chciał dokonywać tych najważniejszych.

— Nie powiem nic Molto — obiecała Muriel.

Stali na przenikliwym chłodzie, znów czując się bliscy sobie. Jak to zwykle między nimi bywało, sprawiła to szybkość, z jaką zawarli porozumienie. Para, w którą zmieniały się ich oddechy, odpływała, a w powietrzu unosił się orzeźwiający zapach jesieni. Pod ścianą aresztu ustawiała się kolejka czekających na wieczorne odwiedziny, głównie młodych kobiet, w większości z jednym dzieckiem lub dwoma.

Kilkoro głośno płakało.

Larry przyjrzał jej się w świetle gasnącego dnia.

— Masz ochotę się czegoś napić? - zapytał. Zmrużyła oko.

— To brzmi trochę niebezpiecznie.

— Przecież kochasz niebezpieczeństwo — powiedział.

To była prawda. Bardzo lubiła niebezpieczeństwo. A Larry był jego częścią. Jednakże była zdecydowana dorosnąć.

89

— Oskarżony w mojej sprawie jutro zeznaje. Muszę popracować nad pytaniami. - Uśmiechnęła się lekko, co miało oznaczać, że żałuje, po czym ruszyła w stronę prokuratury, znajdującej się po drugiej stronie ulicy.

— Muriel — rzucił Larry. Kiedy się odwróciła, stał z rękami w kieszeniach swojej długiej kurtki i klepnął się nimi po bokach. Otworzył usta, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, co powiedzieć. Stali więc w szybko zapadających ciemnościach, patrząc na siebie, i jej imię, pobrzmiwające słabym, smutnym echem, pozostało ostatnim słowem, które między nimi padło.

8

8 października 1991

Wiewióra

— Wiewióra? — zapytał Carney Lenahan. — Ciągłe się uganiamy za tym ptasim mózdzkiem.

— Co to za jeden? — chciał wiedzieć Larry. — Ćpun? Odpowiedziała mu partnerka Lenahana, Christine Woznicki:

— To prawdziwy dupek.

Podawała jego nazwisko, Romeo Gandolph, które Larry zaraz sobie zapisał. Było kilka minut po ósmej rano i znajdowali się w sali odpraw szóstego komisariatu. Officer dyżurny właśnie skończył wyznaczać zadania nowej zmianie i oboje funkcjonariusze mieli właśnie wyjść na patrol. Woznicki była bardzo ładna, ale przez swoją twardo zarysowaną szczękę i oschły styl bycia przywodziła Larry'emu na myśl pasek do ostrzenia brzytwy. Prawdopodobnie jedna z tych, choć co go to obchodziło. Jej ojciec był w policji, kiedy Larry zaczął tu pracować przed ponad piętnastu laty. Stan

Woznicki także jeździł z Carneyem. Im więcej masz lat, pomyślał Larry, tym większego nabierasz przekonania, że życie to po prostu wielkie koło.

— Jest złodziejem - powiedział Lenahan. - I paserem. Ukradnij lub sprzedaj, a najlepiej zrób i to, i to. Gorszy od Cygana. Zwijamy tego pieprzonego małego dupka przynajmniej raz w miesiącu. Ed Norris zamknął go wczoraj.

— Za co?

— TSSG. — To Samo Stare Gówno. - Lady Carroll ma sklep z perukami przy Szóstej. Tak się nazwała, Lady Carroll. A za-

90

tem Lady Carroll lekko się nawaliła i zapomniała zamknąć na zamek tylne drzwi. Ten wesolek, Wiewióra, wszedł przez nie, to jego specjalność, i schował się w szafie, gdzie przeczekał do godziny zamknięcia sklepu. Wczoraj rano okazało się, że połowa jej towaru wybrała się na spacer, a połowa towarzystwa z Szóstej ma na głowach nowe czupryny. No więc Ed przetrzymał tu Wiewiórę do wieczora, ale on nie chciał się przyznać. To jego sprawka. Wierz mi. A już na pewno to on upchnął to wszystko. Carney, którego zaledwie dni dzieliły od sześćdziesiątki, był już przy końcu swojej drogi. Wszystko w tym facecie było siwe, nawet twarz, kiepsko widoczna w słabo oświetlonym komisariacie. Larry uwielbiał takich gliniarzy. Widzieli już wszystko i wszystko robili, a mimo to wciąż było w nich coś dobrego. Kiedy Larry wstąpił na służbę w roku 1975, Carney wciąż jeszcze narzekał na to, że policja zakupiła samochody patrolowe z klimatyzacją. To było po prostu szukanie kłopotów, twierdził, gdyż w ten sposób przyciągało się do pracy takich ludzi, którzy od samego początku nie mieli ochoty wysiadać z wozów.

— Miał coś przy sobie? — zapytał Larry. — Kiedy Norris go capnął?

Lenahan zerknął na Woznicki, która wzruszyła ramionami.

— Jeśli coś mu wpadnie w ręce, szybko się tego pozbywa — odpowiedziała.

Larry powiedział, że chciałby zobaczyć raport Norrisa. Kiedy zapytał, czy Wiewióra miał jakieś związki z Gusem, Carney wybuchnął gromkim śmiechem.

— Ci dwaj byli jak mangusta i kobra — wyjaśnił. — Gus uważał, że Wiewióra ma wielką ochotę na jego kasę. Zdaje się, że raz próbował wsadzić do niej łapę. Gus przyłapał Wiewiórę przy jego ladzie kawowej i wykopał go. — W Paradise każdy klient, który płacił rachunek, był równy innym. Szefowie gangów siedzieli naprzeciw politykierów i dwudziestodolarowych dziwek. Kiedy pojawiały się kłopoty, jak zbyt głośne miejscowe dzieciaki, włóczędzy, którzy się zadomowili, lub durnie tacy jak

Wiewióra, Gus zazwyczaj wolał zająć się tym sam, nawet jeśli w jednym z jego boksów siedział jakiś gliniarz. — Raz widziałem, jak Gus rzucił się na niego z nożem rzeźnickim w ręce — dodał Lenahan. — Ci dwaj na pewno nie pisywali do siebie miłosnych liścików.

Larry poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz podniecenia. Wiewióra. To on był sprawcą.

91

— A co z narkotykami? — zapytał. — Bierze?

— Nie ma dostępu do hery. Odurza się jak wszyscy tacy jak on — odpowiedziała Woznicki. — Przez długi czas wahał farbę — dodała, mając na myśli toluen — co po części może być przyczyną jego problemów. Wiewióra po prostu żyje z dnia na dzień. Chce ukraść wystarczająco dużo, aby wieczorem móc się kompletnie zaprawić i zapomnieć, jakim jest dziwadłem. Nie będziesz się musiał konsultować z Buddą, żeby go rozgryźć.

— Nosi coś? — zapytał Larry, mając na myśli broń.

— Jeśli nosi, to nie tak, żebym mogła zauważyć. W gruncie rzeczy to miękki szczeniak — odparła Christine. — Jest mocny w gębie, ale wątpię, czy wdałby się w coś poważniejszego. Myślisz, że to on załatwił Gusa?

— Zaczynam tak myśleć.

— Nie sądziłam, że w tym małym gówniarzu może siedzieć coś takiego. — Woznicki pokręciła głową, a na jej pociągłej twarzy z wydatną szczęką odmalowało się zdumienie. To była jedna z tych smutnych lekcji policyjnego życia. Ludzie zwykle okazują się znacznie gorsi, niż tego oczekiwałeś.

Lenahan i Woznicki wyszli na patrol. Larry poprosił archiwistę o akta Rommy'ego. Jego kryminalną historię przekazano faksem z centrum w pół godziny, ale urzędnik powiedział, że raport Norrisa z ostatniej nocy nie został pewnie jeszcze złożony. Zaczął go szukać, a Larry w tym czasie zadzwonił do Harolda Greera.

Harold był na jakieś naradzie, co Larry'emu nawet odpowiadało. Porozmawiał z Apariciem, prawą ręką Harolda, który był mu zbyt życzliwy, żeby zadawać wiele pytań. Została jeszcze jedna rozmowa, którą Larry musiał przeprowadzić.

— Chcesz dostać nakaz? — zapytała Muriel. Była w swoim biurze, czekając na decyzję ławy przysięgłych.

— Jeszcze nie. Ale trzymaj się blisko.

— Zawsze — odpowiedziała.

Zawsze, pomyślał. Co to, do diabła, miało znaczyć? Poprzedniego wieczoru, przed aresztem, popatrzył na Muriel w stroju, który wkładała do sądu, na jej czerwone buty na wysokim obcasie, dzięki którym wydawała się wyższa, i nagle odniósł wrażenie, że świat jest tylko pustą przestrzenią. Najbardziej pewnym jego elementem była nie łączącego go z nią uczucia. Siła tego wrażenia, którym nie było jedynie wzbierające pożądanie, ale i jakieś głębsze pragnienie, sprawiła, że oniemiał, gdy wymówił jej imię. „Zawsze”, mruknął, odkładając słuchawkę.

92

Po godzinie poprosił dyspozytora, żeby zlokalizował Lena-hana i Woznicki. Kiedy okazało się, że są zaledwie kilka przecznic od komisariatu, Larry poprosił, aby tu przyjechali. Spotkali się na tyłach. Było już po dwunastej w południe i parking był zatłoczony jak centrum handlowe.

— O co chodzi? — zapytała Woznicki zza kierownicy. — Wciąż szukasz tego raportu?

— W rzeczy samej.

— Przed chwilą zadzwoniłam do Norrisa.

— Świetnie, ale teraz chciałbym, żebyście mi pomogli zgarnąć Wiewiórę. Gdzie go można znaleźć?

— Zwykle na ulicy - odparł Lenahan. — Nie jest jeszcze tak zimno, żeby się wybierał na lotnisko. Zawsze gdy wykona jedną ze swoich robótek, znajdujemy go w tej samej pizzerii na Duhaney.

— Co on tam robi?

— Je. Nie wiem, czy tak odreagowuje podniecenie, czy też jest po prostu głodny.

— Prawdopodobnie jest głodny — dopowiedziała Woznicki. — Wskakuj. Weźmiemy cię na przejażdżkę.

Tego dnia Wiewióra nie zjawił się w pizzerii. Po kilku godzinach poszukiwań wylądowali w knajpie, w której Collins, jak powiedział, natknął się na Gandolpha. Nazywała się Lampli-ght i dziwne, że w ogóle nosiła jakąś nazwę. Była to wstrętna nora, jedna z tych, w których nawet w godzinach otwarcia okna są zabezpieczone drutem kolczastym. Wchodząc do takiego lokalu, człowiek wiedział, że pakuje się w

kłopoty. Obok wejścia znajdował się mały kontuar, przy którym podawano drinki, ale cały towar był zamknięty za grubą kratą. Dalej tonęła w półmroku sala barowa. Larry widział już tysiące podobnych: ledwie kilka włączonych lamp, w tym podświetlane reklamy piwa, a to, co ukazywały, było wiekowe, brudne i poniszczone. Boazeria miała już tyle lat, że zaczęła się strzępić jak znoszone ubranie. Miska klozetowa w jedynej toalecie była zabrudzona, deska pęknięta na pół, a ze zbiornika stale ciekła woda. Nawet gdy się stało w drzwiach wejściowych, czuło się smród zgnilizny i lekką woń ulatniającego się gdzieś gazu. Przez cały dzień byli tam klienci, małe grupki młodych mężczyzn wygadujących rzeczy, w które nikt nie wierzył, handlujących czasem prochami w rogach sali. Najprawdopodobniej właśnie ten rodzaj działalności ściągnął tam Collinsa.

93

Na zewnątrz, na chodniku przed drzwiami wejściowymi, działo się mniej więcej to samo: dziwki narkomanki próbowały zdobyć jelenia lub działkę, gościa z czekami inwalidzkimi lub własnym towarem. Tłum ludzi z papierowymi torebkami. Kiedy troje policjantów zbliżyło się tam niespiesznym krokiem, wszyscy się rozproszyli. Carney i Christine weszli drzwiami frontowymi, a Larry stanął na ciągnącej się za domem alejce na wypadek, gdyby Wiewióra postanowił zwać tylnym wejściem.

Po minucie usłyszał, że Lenahan gwizdże na niego.

— Detektywie Starczek, pozwoli pan, że przedstawię panu Romea Gandolpha.

Carney popychał przed sobą wymizerowanego, małego człowieczka, którego oczy latały nerwowo na wszystkie strony niczym światełka reklamy batoników Mars. Nie trzeba było zwoływać wielkiej ławy przysięgłych, żeby ustalić, jak zdobył przywilegi Wiewióra. Larry popchnął go na maskę wozu patrolowego i obmacał od stóp do głów. Rommy pojękiwał i zapytał kilka razy, co takiego zrobił.

— Cholera — powiedział Larry. — Gdzie jest ten wisiołek, Romeo?

Romeo, jak można się było spodziewać, odpowiedział, że nic nie wie o żadnym wisioruku.

— Cholera — powiedział jeszcze raz Larry. Gandolph nie trzymałby kamei przez tyle miesięcy po to, by sprzedać ją właśnie teraz. Larry opisał wisiołek, ale Wiewióra powtarzał, że niczego takiego nie widział.

Larry przypominał sobie, że Erno ostrzegał go przed Collinsem. To nie byłby pierwszy raz, kiedy jakiś więzienny donosiciel wprowadził go w błąd fałszywymi oskarżeniami. Był już gotowy pozwolić Wiewiórze odejść, ale Lenahan

niespodziewanie chwycił małego człowieczka za rozczochrane włosy i wepchnął go na tylne siedzenie samochodu. Wiewióra jęczał, że od wczorajszego zatrzymania, kiedy to przez większość wieczoru był przykuty do żelaznego pierścienia, umocowanego w ścianie nad jego głową, wciąż go boli ręka.

Na komisariacie Lenahan wskazał mu ławkę — Wiewióra najwyraźniej sam znał drogę - po czym złapał Larry'ego za ramię. Po tym, jak Carney rozglądał się po holu, łatwo było poznać, że jest jakiś problem.

— Nie znajdziesz żadnych raportów ani nic z ostatniej nocy.

— Ponieważ?

94

- Ponieważ nie znajdziesz tej kamei wśród rzeczy skonfiskowanych.

Larry jęknął. Był za stary na takie bzdury.

- Carney, wiem, że ty tego nie masz, ale ten barani łeb powie mi, że miał to przy sobie wczoraj wieczorem, kiedy go przymknęli. Wiesz o tym. No więc co mam powiedzieć Haroldowi?

- Rozumiem — odparł Carney. — Robię, co mogę. Przez cały dzień szukamy Norrisa. Ma dziś wolne. Jego dziewczyna przysięga, że jest w drodze do komisariatu.

Nagle ktoś zawołał, że jest telefon do Larry'ego. W pierwszej chwili pomyślał, że dzwoni Muriel, ale to był Greer. Larry próbował uderzyć w radosną nutę.

- Myślę, że jesteśmy bliscy rozwiązania tej sprawy, komendancie. — Podał Haroldowi niektóre szczegóły.

- Kto jest z tobą Larry?

Larry wiedział, że Greer ma na myśli detektywów z grupy specjalnej, ale udał głupiego i wspomniał o Lenahanie oraz Woznicki.

- Samotny Tropiciel znowu w akcji — powiedział do siebie Greer. Poleciał Larry'emu, żeby natychmiast ściągnął tam jakiegoś detektywa z wydziału zabójstw.

Kiedy Larry odłożył słuchawkę, czekał na niego wielki czarny facet. Miał na sobie sztywną krótką kurtkę ze skóry i trykotową koszulę, która nie całkiem zakrywała jego wydatny brzuch. Uśmiechał się, jakby miał coś do sprzedania. To był Norris.

- Słyszałem, że ci to potrzebne — powiedział. Z kieszeni kurtki wyjął kameę. Nie zwracał sobie nawet głowy wkładaniem jej do plastikowej torebki.

Larry od dawna kierował się na służbie zasadą żyj i pozwól żyć innym. O ile mu było wiadomo, papież nie kompletował stosownych dokumentów, żeby go wynieść do grona świętych. Larry jednak wykonywał swoją robotę. Może to nawet było jego największym powodem do dumy. Przychodził do pracy każdego dnia — nie po to, żeby tam drzemać albo wyduszać forszę z ćpu-nów, czy też dekować się na komisariacie, planując, jak dostać długi urlop zdrowotny. Wykonywał swoją robotę jak wszyscy dobrzy gliniarze, których znał. Ten przekręt jednak to było dla niego zbyt wiele. Wyrwał kameę z ręki Norrisa. W środku były zdjęcia ze chrztu dwóch niemowląt wciąż jeszcze napuchniętych po ciężkiej podróży przez drogi rodne.

95

— Jesteś jakiś pieprzony Dick Trący, co? — powiedział Larry do Norrisa. — Zwijasz faceta, który ma w kieszeni biżuterię, o której trąbią w telewizji od tygodnia, bo należała do ofiary morderstwa. Poza tym facet, którego przymykasz, miał, co jest powszechnie wiadome, na pieńku z jedną z ofiar. I o czym ty myślisz? O tym, ile możesz dostać, jeśli sprzedasz ten cholerny dowód. Mam nadzieję, że nie ma tu więcej takich jak ty.

— Wyluzuj. To nie jest twój człowiek. To po prostu mały szurnięty złodziejaszek. Nie chciał się przyznać do peruk, więc dałem mu lekcję. Co w tym złego?

— Co w tym złego?! Mam wspaniałe łańcuch dowodów, co?! Gdzie jest formularz zatrzymania i zapis w księdze dowodów?! Jak wykażemy Berniemu Adwokatowi, że zabrałeś to jego klientowi?!

— Nie wrzeszcz na mnie, człowieku. Tutaj każdy wie, jak zeznawać.

Larry odwrócił się i odszedł, ale Norris zawołał go.

— Wiesz, jeśli on ma coś wspólnego z tymi morderstwami — rzekł — powinienem mieć swój udział w aresztowaniu.

Larry nie zadał sobie nawet trudu, żeby mu odpowiedzieć. Z takim facetem nie dało się rozmawiać.

9

22 maja 2001

W środku

Przed bramą Męskiego Więzienia o Zaostrzonym Nadzorze w Rudyard Gillian wypaliła swojego ostatniego, jak postanowiła, papierosa. Stała tyłem do więzienia i

patrzyła na śliczną, typową dla Środkowego Zachodu uliczkę z drewnianymi domkami, trawnikami, które niedawno się zazieleniły, i rosnącymi wzdłuż niej klonami w nowej szacie liści. Arthur wciąż siedział w swoim eleganckim samochodzie, rozmawiając z biurem. „Mój wyzyskiwacz przeciwko twojemu wyzyskiwaczowi”, tak zbywał swoje telefoniczne rozmowy podczas jazdy, ale jak wszyscy prawnicy in medias res, wydawał się całkowicie pochłonięty uspokajaniem klientów i planowaniem strategii w zaciętej wojnie słów, którą były cywilne spory sądowe.

Ze względu na Gillian zostawił swoją drapieżną młodą asy-

96

stentkę w budynku IBM. Pędząc autostradą pomiędzy wybijającymi się z ziemi zielonymi źdźbłami kukurydzy, prowadzili przyjemną rozmowę. Powiedział jej to, czego się dowiedział o Ernie Erdaiu, więźniu, którego jechali odwiedzić, sporo czasu poświęcili także Duffy'emu Muldawerowi, jej gospodarzowi, z którym Arthur rano chętnie odnowił znajomość, przypominając mu ich sądowe starcia sprzed lat, kiedy to był zastępcą oskarżyciela publicznego w sali rozpraw Gillian.

Prawdę powiedziawszy, Duffy nigdy nie był dobrym prawnikiem — studiował prawo jako dodatek do swych obowiązków duszpasterskich i skończył jako obrońca z urzędu. Wtedy to miłość, która niestety nie okazała się trwała, doprowadziła go do tego, że złamał śluby i porzucił stan duchowny. Jego prawdziwym powołaniem było jednak to, co robił pierwotnie, czyli pomaganie ludziom. Gillian odkryła to w roku 1993, kiedy wzięła udział w jednym z jego legendarnych dwunastostopniowych programów. Mając w perspektywie sprawę sądową, wiedziała, że koniecznie musi zerwać z nałogiem, ale nie mogła znieść banałów i formułek, które wciąż padały w tych kręgach zagubionych dusz ujawniających swe problemy i mimo to straconych. W desperacji zwróciła się do Duffy'ego, który zaproponował jej pomoc, kiedy w prasie ukazały się o niej pierwsze artykuły. Był jej jedynym prawdziwym spowiednikiem. Bez niego na zawsze pozostałaby na dnie.

Ponieważ rozmowa Arthura się przedłużała, Gillian rzuciła niedopałek na żwir, którym wysypano parking, po czym przejrzała się w przydymionych szybach samochodu. Miała na sobie czarne spodnium z kolekcji Davida Darta, żakiet, sznur pereł i złote kolczyki. Chciała wyglądać skromnie, żeby zbyt nie przyciągać uwagi więźniów, ale Arthur, który najwidoczniej przyglądał się jej przez szybę, kończąc rozmowę telefoniczną ocenił to zupełnie inaczej.

- Wyglądasz wspaniale, jak zwykle - stwierdził, wychodząc z samochodu. Powiedział to z takim samym entuzjazmem, jaki okazał w swoim biurze. Gillian wyczuła w

Rawienie, jak w wielu innych mężczyznach, cień nigdy nie nienależnego apetytu seksualnego. W dużej mierze była jednak na nich uodporniona. Niedawno zaczęła nosić do pracy plastikową obręczkę. Ekspedientki najwyraźniej cieszyły się tą samą reputacją co pielęgniarki i dziewczyny przesiadujące w knajpach blisko godziny zamknięcia. Mężczyźni zdawali się wręcz krążyć wokół jej lady.

97

Od czasu do czasu niektórzy sprawiali takie wrażenie, jakby ją znali z jej dawnego życia, było też kilku takich, którzy z jakiegoś obłąkańczego powodu zdawali się ją uważać za łatwy towar lub kobietę o niezaspokojonych potrzebach. Odtrącała wszystkich. Zresztą i tak nigdy nie pozwalała sobie na zbyt wiele. Zbyt wiele lat katolickiej szkoły lub coś takiego. Cieszyło ją, że jest atrakcyjna, i lubiła władzę, jaką jej to dawało. Ale miłosne zabiegi, jak i sama miłość, nigdy tak naprawdę nie sprawiały jej przyjemności.

Podziękowała Ravenowi za komplement i odwróciła się w stronę więzienia, zbierając całą swoją odwagę. W chwilach takich jak ta Gillian zawsze przywoływała na pomoc obraz łóżyska kulkowego, lśniącego, gładkiego i nieprzenikliwego, i o nim właśnie myślała, kiedy podeszli do bramy Rudyard.

W wartowni Arthur przedstawił całą sprawę, więc nie musiała nic tłumaczyć strażnikowi. Zgodnie z planem, najpierw miała sama porozmawiać z Erdaiem i nakłonić go, żeby się zgodził spotkać z Ravenem. Nie była pewna, czego dokładnie może się spodziewać po tym spotkaniu, ale z raportów policyjnych i innych dokumentów, które pokazał jej Arthur, wynikało, że historia Erdaia jest nieprzyjemnie podobna do jej własnej. Wspiął się po szczeblach kariery, którą rozpoczął jako policyjny kadet, aż w końcu zajął jedno z kierowniczych stanowisk w TN, lecz któregoś dnia w jednej chwili stracił wszystko. W lutym 1993 roku Erdai siedział w Ike's, popularnej wśród policjantów spelunce, i miał tam starcie z człowiekiem nazwiskiem Faro Cole. Zgodnie z późniejszymi zeznaniami Erdaia, prowadził on kiedyś śledztwo przeciwko Cole'owi w sprawie o oszustwo na biletach lotniczych. Opisany jako czarna mężczyzna około trzydziestki, Cole wszedł do baru i wyciągnął rewolwer, krzycząc, że z winy Erdaia jest zrujnowany. Kilku policjantów rzuciło się ku niemu z wyciągniętą bronią i mężczyzna podniósł ręce do góry, wciąż trzymając swój rewolwer, tyle że za lufę, nie rękojeść. W końcu, po krótkich negocjacjach, oddał go Erdaio-wi i zgodził się wyjść z nim na zewnątrz, żeby porozmawiać. Nie więcej niż pięć minut później Cole wbiegł z powrotem do baru. Zgodnie z wszystkimi relacjami Erdaia, który był mniej więcej pięć stóp za nim, położył go jednym strzałem w plecy.

Erdai twierdził, że strzelał w obronie własnej, ale niewiele miał na poparcie swoich słów, zwłaszcza w świetle wyników testów balistycznych. Oskarżono go o usiłowanie morderstwa.

98

Cole, który przeżył, przyznał przez adwokata, że był pod wpływem narkotyków oraz zachowywał się prowokacyjnie, i nawet nie sprzeciwił się prośbie obrońcy o łagodny wymiar kary dla Erna. Ponieważ jednak Erdai zastrzelił przed laty swoją teściową, oskarżenie stanowczo utrzymywało, że miał już swoją drugą szansę i jej nie wykorzystał. Erdai przyznał się do czynnej napaści przy użyciu niebezpiecznego narzędzia i otrzymał wyrok dziesięciu lat więzienia, z którego wyszedłby po pięciu, gdyby nie zachorował na raka płuc. Arthur uzyskał w biurze naczelnika więzienia potwierdzenie, że rokowania w przypadku Erdaia są złe. Mimo to Więzienna Rada Rewizyjna odrzuciła jego prośbę o złagodzenie kary lub urlop okolicznościowy, tak jak odrzucała wszystkie inne takie prośby. Erno miał tutaj umrzeć i myśl o tym wydawała się Gillian, czekającej na ławce obok Arthura, absolutnie przerażająca.

— Czy on jest jeszcze przytomny? — zapytała Arthura.

— Według personelu medycznego tak. — W tej chwili wywołano jej nazwisko. — Chyba będziesz miała okazję sprawdzić to teraz sama.

— Chyba tak - odpowiedziała i wstała. O ile Gillian mogła to stwierdzić, Erdai był ostatnią nadzieją Rommy'ego Gandol-pha i w miarę jak zbliżała się chwila prawdy, Arthura ogarniało coraz bardziej widoczne zdenerwowanie. Podniósł się, żeby życzyć jej powodzenia, i podał jej wilgotną dłoń, po czym Gillian odeszła ze strażniczką. Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi głównego bloku więziennego, Gillian poczuła, że ściska jej się serce. Musiała także wydać jakiś jęk, gdyż strażniczka odwróciła się do niej i zapytała, czy wszystko dobrze.

— Dobrze — odparła Gillian, ale czuła, że twarz jej zdrętwiała. Funkcjonariuszka, którą przydzielono do izby chorych, tęga

trajkotka z wyprostowanymi włosami, przedstawiła się jako Ruthie. Więzienie nie zdołało odebrać jej pogody ducha i niestrudzenie paplała na różne tematy, wliczając w to Erdaia, ostatnio ukończoną budowę i pogodę, co dało Gillian okazję do zmiany tematu rozmyślań.

Szpital więzienny okazał się jednopiętrowym budynkiem, do którego prowadził od głównego bloku ciemny łącznik. Gillian poszła nim za Ruthie do kolejnych podwójnych, zaryglowanych drzwi. Przed nimi, w małym pomieszczeniu za kuloodporną szybą siedział strażnik, który miał oko na wchodzących

i wychodzących. Ruthie uniosła przepustkę dla gościa zwisającą z szyi Gillian i rozległ się brzęczyk elektrycznego zamka.

Panowała tu dziwna swoboda. Można było odnieść wrażenie, że wchodzi się do jakiegoś azylu. Najgorszych przestępców przykuwano łańcuchami do łóżek, ale tylko wtedy, gdy wywołali jakieś awantury. Tak jak na dziedzińcu, nawet mordercy mogli się wszędzie poruszać wolno. Na oddziale, do którego Ruthie przyprowadziła Gillian, było dwóch nie uzbrojonych wychowawców więziennych, którzy siedzieli w rogach sal na składanych krzesłach lub przechadzali się od czasu do czasu, żeby rozprostować kości, ale poza tym nie mieli chyba nic do roboty.

Ruthie weszła do jednej z sal i odciągnęła zasłonę, ukazując łóżko, na którym leżał Erno Erdai. Odzyskiwał właśnie siły po drugiej operacji, podczas której usunięto mu dużą część płuca. Ubrany w mocno już spraną szpitalną koszulę, czytał książkę, a do lewej ręki miał podłączoną kroplówkę. Był wychudzony, blady i miał długi słowiański nos. Uniósł jasne oczy i przyglądał się przez jakiś czas Gillian, po czym zaniósł się chrapliwym kaszlem. Kiedy w końcu mu przeszło, wyciągnął rękę.

— Zostawię was teraz samych, żebyście mogli porozmawiać — powiedziała Ruthie, ale nie wyszła. Znalazła plastikowe krzesło dla Gillian, po czym przeszła na drugą stronę sali, gdzie z pewną ostentacją zaczęła patrzeć w innym kierunku.

— Znałem pani starego, wie pani? — powiedział Erdai. Mówił z lekkim obcym zaśpiewem, jakby dorósł w domu, w którym angielski był drugim językiem. — W akademii. Był moim instruktorem. Uczył mnie taktyki działania na ulicy. Był w tym dobry. Mówią, że na ulicy był piekielnie dobry. — Erno zaśmiał się. W kąciку ust trzymał łopatkę do uciskania języka i przygryzał ją co jakiś czas. Gillian często słyszała takie rzeczy o swoim ojcu, ale nawet po latach trudno jej było nabrać szacunku do człowieka, którego pamiętała jako kogoś regularnie tłuczonego przez matkę. Zawsze rozpaczliwie pragnęła, żeby odpowiedział tym samym. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, i mógł ją zwalić z nóg jednym pacnięciem. Ale bał się jej jak oni wszyscy. Gillian nienawidziła go za to.

— Nie przypuszczam, żeby pamiętała mnie pani z moich wizyt w sądzie - ciągnął Erdai — zwłaszcza gdy mnie pani teraz widzi w takim stanie. - Wyglądało na to, że sprawiłoby mu przyjemność, gdyby Gillian powiedziała, że go pamięta, ale nie widziała potrzeby, by okazywać mu taką galanterię.

— Nie, przykro mi.

- Cóż, ja pamiętam panią. I wygląda pani o wiele lepiej. Mam nadzieję, że nie czuje się pani urażona, że to mówię. Mam wrażenie, że pani już nie pije.

- Nie.

— Nie miałem nic złego na myśli — powiedział Erdai. — Sam też zbyt dużo piłem. Tylko że ja nie jestem jak pani. Zaraz zacząłbym od nowa. Wie pani, jakie świństwo więźniowie tu pędzą? Człowiek ryzykuje życie, biorąc to w ręce, ale i tak to piję, kiedy mam okazję. — Erno pokręcił lekko głową, po czym popatrzył na książkę, którą wciąż trzymał otwartą w rękach, historię drugiej wojny światowej. Zapytała, czy mu się podoba.

— Jest w porządku. Przynajmniej mam coś do roboty. Dużo pani czytała za kratkami?

- Trochę — odpowiedziała. - Nie tak dużo, jak myślałam, że będę. Od czasu do czasu próbuję sobie przypomnieć, co tam robiłam, ale zazwyczaj w głowie mam tylko pustkę. Myślę, że przez większość czasu po prostu gapiłam się przed siebie.

Istniały całe ciągi skojarzeń, o których musiała zapomnieć. Myślenie o sobie jako o sędzi. O szanowanej obywatelce. Prawo, które pod wieloma względami było jej życiem, zostało w całości wymazane z jej pamięci. Przez aresztowanie, przyznanie się do winy i pierwszy rok w więzieniu przeszła z czymś, co można nazwać odpowiednikiem pustego ekranu w mózgu. Telewizor był włączony, ale nie odbierał żadnego sygnału. Czasem późno w nocy płakała, zwykle wtedy, gdy budziła się i docierała do niej ta straszna prawda, że nie leży w swoim łóżku, sama, czekając na jutrzejsze rozprawy, ale jest tu, w więzieniu - ona, przestępczyni, ćpunka. Spadała coraz niżej, jak coś rzucone do kanału biegnącego w głąb ziemi. Uczucie, jakie opadało ją w takich momentach, które najchętniej na zawsze pozostawiłaby za sobą, wróciło, wyprostowała się więc, starając się je opanować.

— A zatem chce pani usłyszeć moją historię? - zapytał Erdai.

Gillian powiedziała mu o Arthurze. Przyjechała, ponieważ wydawało jej się, że to ważne dla Erna, ale byłoby lepiej, gdyby wysłuchał go obrońca.

- A więc po to jest tu ten prawnik - rzekł Erno. - Myślałem, że przyjechał, żeby pani doradzać. Cóż, poprzekręca to wszystko tak, żeby odnieść z tego jak największą korzyść. Tak

101

to już oni robią, prawda? Wszystko, żeby tylko zobaczyć swoje nazwisko w gazetach.

— Cóż, na pewno pański interes nie będzie dla niego najważniejszy. Wie pan o tym. Jeśli się pan boi...

— Nie boję się niczego — przerwał jej. - Co on może mi zrobić? Załatwić mi wyrok śmierci?— Erdai popatrzył na swoje przykryte kołdrą stopy, jakby w jakiś sposób symbolizowały one jego śmiertelność, z której zdawał sobie sprawę w wolnych chwilach. — Wie pani, zawsze mnie martwiło, że on tutaj jest... Gandolph. Nigdy nie widzimy Żółtków, ale wiedziałem, że jest po drugiej stronie. Dręczyło mnie to. Ale myślałem, że niedługo wyjdę, więc wolałem się w to nie łądować. A teraz okazuje się, że będzie odwrotnie. W każdym razie Gandolph odsiedział za to wszystko, co zrobił, a nie został na tym przyłapany. — Przesunął łopatkę na drugą stronę ust i uśmiechnął się, jakby rozbawiły go własne słowa. Gillian, zakłopotana tym monologiem, chciała zadać pytanie, ale się rozmyśliła.

— Cóż, tak na to patrzyliśmy, zgadza się? — zapytał Erno. — Oni wszyscy coś przeskrobali.

Wątpiła, czy była aż tak zimna. Nie wierzyła, że wielu oskarżonych było niewinnych, ale nie zamykała ich dlatego, że prawdopodobnie popełnili jakieś inne przestępstwa. Nie chciała się jednak spierać z Erdaiem. Był szorstki, wręcz opryskliwy. Niewątpliwie był taki zawsze, ale Gillian wyczuła, że teraz w jego gniewie jest jeszcze coś. Tkwiło to w nim gdzieś głęboko i nie wiedziała, czy to on nad tym panuje, czy też to opanowało jego.

— Muszę przyznać — podjął — że nie spodziewałem się zobaczyć tu pani. Chciałem się po prostu dowiedzieć, czy ktoś jeszcze ma dosyć odwagi, żeby to zrobić... wie pani, narazić się na nieprzyjemności, aby to wyprostować. Nigdy nie lubiłem być jedynym głupcem. Mam dla pani dużo uznania za to, że pani tu przyjechała.

Odpowiedziała mu, że sądziła, iż nie ma do stracenia wiele więcej niż jeden dzień.

— Ależ ma pani - odparł Erno. — Gdy już zaczną ustalać, co poszło źle w tej sprawie, gazety ponownie to wszystko wywloką. To o pani. Wie pani przecież, że tak robią.

Nie pomyślała o tym, ani razu, głównie dlatego, że nie miała pojęcia, co Erdai może jej powiedzieć. Niemniej jednak, gdy ją ostrzegł, poczuła ucisk w żołądku. Mogła teraz żyć spokojnie i bezpiecznie tylko dzięki temu, że o niej zapomniano. Ale po

celebrę, przystanie na to. Wróciła do Tri-Cities, wiedząc, że jeśli nie popatrzy na to wszystko jeszcze raz trzeźwymi oczami, nigdy już nie pogodzi się z tym, co się stało. I nie była jeszcze gotowa do opuszczenia miasta. Ale kiedyś to zrobi. Wyjazd był stałą częścią jej planu.

W oczach przyglądającego się jej Erdaia nie było przeprosin.

— Uważa pani, że powinienem porozmawiać z tym prawnikiem?

— To miły człowiek. Myślę, że okaże się w porządku. Erno zapytał o nazwisko Arthura, mając nadzieję, że może

go zna. Przypomniawszy sobie, że słyszał o Ravenie w prokuraturze, ale nigdy się nie zetknęli.

— Oczywiście — odezwała się Gillian — jeśli wie pan coś, z czego może wynikać, że Gandolph nie powinien być stracony, Arthur musi to usłyszeć.

— Taa, mam taką informację — roześmiał się Erno. — On tego nie zrobił.

— Gandolph?

— On jest niewinny — powiedział stanowczo i dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem.

— Nie wierzy pani w to, prawda?

Wiedziała, że było to najważniejsze pytanie, jakie jej do tej pory zadał, ale nie zwlekała z odpowiedzią.

— Nie — odparła. Kiedy siedziała w więzieniu, przynajmniej co druga z jej towarzyszek twierdziła, że jest niewinna, ale po jakimś czasie wierzyła tylko kilku. W takiej jak ta instytucji stanowej, w której więźniowie odsiadawali wyroki wymierzone na podstawie hurtowo przedstawianych zarzutów, odpowiednie liczby były zapewne wyższe. Jednakże przed laty, kiedy sądziła Rommy'ego Gandolpha, poświęciła jego sprawie wiele uwagi. Wprawdzie bawiła się wtedy jeszcze heroiną, ale rozumiała, jak ważny jest proces, w którym może zapaść wyrok śmierci. Nawet w obecności Erna nie mogła się pogodzić z tym, że ona, że oni wszyscy - Molto i Muriel, i detektyw Starczek, nawet Ed Murkowski, obrońca, który prywatnie przyznawał, że wierzy w winę Gandolpha - mogli się tak całkowicie mylić.

— Nie — odezwał się Erno, a jego spojrzenie ponownie spoczęło na niej. - Ja także bym nie wierzył. - Znowu zaczął gwałtownie kaszleć. Gillian patrzyła, jak kołysze się do przodu i do tyłu, czekając, aż będzie go mogła zapytać, co miał na myśli.

Kiedy jednak skończył, odetchnął kilka razy, po czym zwrócił się do niej rozkazującym tonem:

— Dobrze, niech pani pójdzie i powie temu adwokatowi, że się z nim zobaczą. Zaraz zabiorą mnie na badania. Niech go pani przyprowadzi za godzinę lub coś koło tego.

Erno ponownie uniósł książkę. Rozmowa dobiegła końca. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć i pożegnać się.

10

8 października 1991

Przyznanie się

W telewizji mordercy są zwykle geniuszami zła pragnącymi zadawać śmierć innym. W czasie swej policyjnej kariery Larry kilka razy trafił na prawnika lub biznesmena, który uknuł dia-boliczny plan usunięcia żony lub współnika. Pomijając jednak członków ulicznych gangów, większość facetów, których przymknął, można było podzielić na dwie grupy: złych od urodzenia, którzy zaczęli torturować koty w wieku sześciu lat, oraz — znacznie częściej — durniów, którymi poniewierano tak długo, że w końcu sami nauczyli się poniewierać innymi, typów, którzy naciskali na spust, aby raz wreszcie pokazać, że nie muszą znosić niczyich prześladowań. Taki był Wiewióra.

Siedzieli w małej szatni szóstego komisariatu, służącej również jako pokój przesłuchań, przy sąsiednich rogach metalowego stołu, jakby Gandolph był gościem, który przyszedł na kolację. Larry wiedział, że nie powinien rozmawiać z Wiewióra bez świadków, ale Woznicki i Lenahan otrzymali wezwanie: włamanie w toku. Larry postanowił zatem, że wyjaśni mniej ważne sprawy z tym facetem, a dopiero potem, gdy zacznie wydobywać z niego coś interesującego, sprowadzi kogoś, kto będzie mógł to poświadczyć.

— Widziałeś to kiedyś? - zapytał. Na szarym stole między dwoma mężczyznami leżała kamea. Na brązowym tle misternie wyrzeźbiono główkę kobiety w bluzce z koronkowym kołnierzykiem. Chociaż kamea była bardzo piękna, nawet Wiewióra miał tyle rozsądku, żeby jej nie dotykać. Z jego gardła wydobył się jakiś zduszony dźwięk.

104

- Dokładnie nie pamiętam, człowieku - odrzekł w końcu. - To ładna sztuka. Wydaje mi się, że mogłem to gdzieś widzieć.

- Masz mnie za durnia, Wiewióra?
- Nie mam cię za durnia, człowieku. Nie mam za durnia żadnego policjanta.
- A jednak masz mnie za durnia. Dostałem to właśnie od policjanta, który ci to zabrał. Nazywasz go kłamcą?
- Ja nie mówię, że on jest kłamcą. Ty to powiedziałaś.
- No więc jak, jest kłamcą?
- Nic o tym nie wiem. — Wiewióra przesunął swoje brązowe kciuki po symbolach gangu wyrytych w stole przez jakiegoś maślaka, na którym otoczenie nie zrobiło żadnego wrażenia. — Może bardziej krętaczem — podjął po chwili. — Niektórzy krętacze są też kłamcami. Nieprawda?
- Czy to zajęcia z filozofii, Wiewióra? Musiałem przegapić tabliczkę na drzwiach. Pozwól, że zapytam jeszcze raz. Czy to jest twoje?
- Nnnie, nie powinienem tego mieć.

Larry uśmiechnął się. Facet był taki ograniczony, że nie można go było nie lubić.

- Wiem, że nie powinieneś tego mieć. Ale miałeś, prawda?

Oczy Wiewióry rozbłysnęły dziko i pojawiła się w nich niepewność. Ten dzieciak musiał dorastać w pobliżu linii wysokiego napięcia.

- Hej, wiesz — powiedział — ja muszę iść. No wiesz...
- Iść?
- Taa, tam, gdzie chodzą chłopcy. — Gandolph uśmiechnął się, jakby powiedział coś dowcipnego. Z jednej strony ust brakowało mu kilku zębów. Larry zauważył także, że Wiewióra zaczął stukać nogą w podłogę.
- Posiedź tu przez minutę i dotrzyмай mi towarzystwa. Chcę usłyszeć jeszcze trochę o tej kamei.
- Policjanci mi ją ukradli.
- Nie, nie zrobili tego. Jestem policjantem. Masz. Oddaję ci ją. Tak? Bierz.

Wiewióra wciąż opierał się pokusie wyciągnięcia ręki.

- Przede wszystkim, jak ci to wpadło w ręce? — zapytał Larry.
- Mmmm — odparł Rommy i przez dłuższy czas masował sobie usta.

- Lepiej, żebyś mi coś powiedział, Wiewióra. Przez tę rzecz możesz mieć furę kłopotów. To zostało skradzione, Wiewióra.

105

Już to przerabiałeś. PSW? - Posiadanie skradzionej własności. — I myślę, że to ty jesteś złodziejem.

— Nnnie — odparł Wiewióra.

— Znasz kobietę, która się nazywa Luisa Remardi?

— Kogo? - Kiedy padło nazwisko Luisy, Wiewióra pochylił się, a w jego oczach pojawiło się napięcie. Niezbyt przekonująco udawał niewiedzę.

— Pomóż mi, Wiewióra. Kamea należy do Luisy. A jeśli nie znasz Luisy, to skąd masz kameę?

— Dostałem od innej pani — odpowiedział w końcu.

— Naprawdę?

— Taa, dała mi tak jakby na przechowanie, wiesz, bo jest mi za coś winna.

— A cóż to może być? To, za co jest ci winna?

— Pewien drobiazg, który jej kiedyś dałem. Nie mogę sobie nawet tego dokładnie przypomnieć.

— A jak się nazywa ta pani?

f

— Człowieku, wiedziałem, że o to zapytasz. Jak się nazywa... — powiedział Wiewióra.

J

— Aha, dobrze. Nazywa się Jak. — Larry wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale szybko doszedł do wniosku, że prawnienie złośliwości Wiewiórze nie ma sensu. Niczego nie zrozumie. — Aco powiesz na to, Wiewióra? Wykonam telefon i pojedziemy razem do komendy głównej, gdzie będziesz mógł sobie usiąść przy wykrywaczu i opowiedzieć nam wszystko o pani Jak. Myślisz, że przejdiesz? Ja tak nie sądzę. Ale dowiedzmy się, dobrze?

— Nic nie wiem o żadnym wykrywaczu kłamstw — odparł Wiewióra. Uśmiechnął się kokieteryjnie w nadziei, że może jest zabawny. — Człowieku, daj mi wyjść na chwilę. Może mi się coś przytrafić, jak będę za długo czekał.

— Wiesz, że ta kamea była skradziona, Wiewióra?

— Człowieku, daj mi wyjść. Zaraz nawalę w spodnie. Larry chwycił Wiewiórę za nadgarstek i spojrzał mu prosto

w oczy.

— Jeśli się przy mnie zesrasz w spodnie, Wiewióra, zmuszę cię, żebyś to zeżarł. - Dał mu sekundę, żeby to do niego dotarło. — A teraz powiedz mi coś, Wiewióra. Spotkałeś kiedyś Gusa Leonidisa? Dobrego Gusa? Czy go w ogóle znałeś?

Oczy Gandolpha znowu zatańczyły nerwowo.

— Nie przypominam sobie nikogo o tym nazwisku. Leo jak?

106

Larry wspomniał o Paulu Judsonie. Wiewióra także zaprzeczył, by go znał.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że jeśli ściągnę ci spodnie, Wiewióra, to zobaczę na twoim tyłku wgniecenia po butach Gusa, tak często cię wykopywał.

Wiewióra nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Taa, to jest dobre. Wgniecenia na tyłku. - Ale wesołość szybko mu przeszła i znowu zaczął się wiercić na krześle. — Człowieku, jeśli się jeszcze raz roześmieję, postawię ci kaktusa na podłodze.

- Wiesz, kim teraz jest Dobry Gus?

- Taa, no dobrze, wiem.

- A tę kameę skradziono tej kobiecie z restauracji Gusa. Wiewiórka długo się nad tym zastanawiał.

- Jak wam się to podoba — powiedział w końcu. — Skradziona w restauracji Gusa. Jak wam się to podoba?

Larry jeszcze raz ścisnął jego nadgarstek, tym razem mocniej.

- Powiedziałem ci, nie uważaj mnie za durnia, Wiewióra. — Gandolph odwrócił głowę i zaczął jeszcze mocniej stukać nogą w podłogę. — Skąd masz tę kameę?

- Od jednej pani.

Wkurzony Larry wyciągnął kaj danki i założył je na ten nadgarstek Wiewióry, który trzymał w ręce.

- Och, człowieku, nie zamykaj mnie. Człowieku, ci faceci w więzieniu, człowieku,

oni są dla mnie źli. Naprawdę są. Jestem neutronem. Oni są dla mnie źli. — Miał na myśli to, że jest neutralny, nie związany z żadnym gangiem, a przez to chłopcem do bicia dla każdego. — A przynajmniej daj mi najpierw pójść do klopa. Dobra?

Larry zamknął drugą obrączkę na pierścieniu rygla jednej ze stojących za Wiewióra szafek ubraniowych.

- Muszę iść do ubikacji — powiedział.

Nie spieszyl się. Kiedy wrócił po dwudziestu minutach, Wiewióra zwił się na krześle, kołysząc się do przodu i do tyłu.

- Do kogo należy ta kamea?

- Do kogo chcesz, człowieku.

- A jak to się stało, że masz biżuterię zabitej kobiety, Wiewióra?

- Daj mi pójść, człowieku. Proszę, daj mi pójść. To nie jest Wcale w porządku, człowieku.

107

Wiewiora zaczął pojękiwać, mniej więcej tak jak poprzednio w radiowozie, udając, że jest bliski łez.

— W porządku, zabiłem go. Pozwól mi iść. Błagam, człowieku.

— Kogo jeszcze?

— Co?

— Kogo jeszcze zabiłeś?

— Nikogo nie zabiłem. No, człowieku.

Larry zostawił go samego na kolejną godzinę. Kiedy wrócił, w pokoju panował niesamowity smród.

— Dobry Boże... Jezu — powiedział i szeroko otworzył okno. W ostatnich dniach pogoda się zmieniła i zima była już czymś więcej niż tylko ideą. Powietrze było suche, a temperatura nie przekraczała siedmiu stopni Celsjusza. Wiewiora znowu zaczął płakać. Larry wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z workiem na śmieci oraz gazetą. Kazał Wiewiórze, który nie nosił żadnej bielizny, ściągnąć spodnie i wrzucić je do worka.

— Nie dostanę adwokata albo kogoś takiego?

— Sprowadzę ci, kogo zechcesz, Wiewiora. Ale po co ci adwokat? Jak twoim zdaniem to wygląda?

— To wygląda tak, że on cię zaskarzy, człowieku, zabierze ci ostatnią koszulę. Doprowadzić mnie do tego, że nawaliłem w spodnie. To nie w porządku. To niezgodne z prawem i tak dalej.

— Co to ma być? Każda menda, która się sfajda w gacie, może potem nazywać gliniarzy złymi facetami. Nie wydaje mi się, żeby to przeszło.

Wiewiora rozryczał się jeszcze głośniej.

— Człowieku, to wcale tak nie było.

Larry dostrzegł odrobinę kału na jednym z jego butów i kazał mu je także wrzucić do worka. Wiewiora szlochał, kiedy to robił.

— Jesteś zimny, człowieku, nie masz serca. Jesteś najzimniejszym policjantem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Gdzie ja teraz dostanę buty, człowieku? Mam tylko te.

Larry odpowiedział, że może minąć trochę czasu, zanim go stąd puszcza. Wyłożył krzesło więźnia gazetami i kazał mu nagiemu od pasa w dół, znowu usiąść. Mamroczący coś do siebie Wiewiora wydawał się zbyt roztrzęsiony, żeby słuchać. Larry trzasnął obu dłońmi w stół, żeby go uciszyć

— Wiewiora, co się stało z Gusem? Dobrym Gusem? Co się z nim stało?

108

_ Nie wiem, człowieku. — Kłamał jak dziecko, spuściwszy głowę-

- Nie wiesz? On nie żyje, Wiewióra.

- Aha, taa. Chyba gdzieś o tym słyszałem.

_ Założę się, że śmierć faceta, który cię tak tłukł i poniewierał tobą, złamała ci serce.

Mimo swej głupoty Wiewióra zrozumiał, do czego to prowadzi. Wytarł palcami nos.

- Nie wiem, człowieku. Wszyscy mnie tłuką. Tak to wygląda. Policja mnie tłucze.

- Ja cię nie stłukłem, Wiewióra. Jeszcze nie.

- Człowieku, dlaczego mi to robisz? Doprowadzasz do tego, że walę w spodnie, a

teraz mnie zmuszasz, żebym w tym siedział jak jakieś dziecko, człowieku. Rozebrany do naga.

- Posłuchaj, Wiewióra. Biegasz sobie z biżuterią martwej kobiety. Kobiety, która została zabita razem z człowiekiem, który lał cię za każdym razem, gdy zobaczył twoją pryszczatą twarzyczkę. Chcesz mi powiedzieć, że to po prostu jakiś zabawny pieprzony zbieg okoliczności? To chcesz mi powiedzieć?

- Człowieku, tu jest zimno. Jestem bez ubrania. Popatrz tu. Mam gęsią skórę i wszystko.

Larry znowu trzasnął dłońmi w stół.

- Zabiłeś ich, Wiewióra! Zastrześliłeś Gusa. Zastrześliłeś go, zastrześliłeś Luisę i zastrześliłeś Paula. Opróżniłeś kasę, do której tak bardzo chciałeś wsadzić swoje łapy. Tak to się stało. Potem zaciągnąłeś tych biednych ludzi do chłodni i przeleciałeś Luisę. Tak to wyglądało.

Wiewióra pokręcił przecząco głową. Larry doszedł do wniosku, że czas na coś jeszcze.

- Mamy twoje odciski palców, Wiewióra. Znalezione je na miejscu zbrodni. Wiedziałeś o tym? Były na całej kasie.

Gandolph znieruchomiał. Jeśli nie było go w restauracji lub w pobliżu kasy, wiedziałby, że Larry kłamie. Nie było jednak najmniejszej szansy, żeby Wiewióra mógł go na tym przyłapać.

- Nie powiedziałem, że nigdy mnie tam nie było. Bywałem tam. Dużo ludzi może ci to powiedzieć. Lubiłem się bawić z Gu-sem.

- Bawić? Tak nazywasz zabijanie?

- Człowieku, przychodzenie tam, mówienie cześć i tak dalej, to nie to samo, co zabijanie.

109

— Zaprzeczaj, Wiewióra. Mamy dużo czasu. Nie mam nic lepszego do roboty, więc mogę słuchać twoich kłamstw.

Larry wyłączył grzejnik i wyszedł z pokoju. Czterdzieści minut później wrócił z Wilmą Amos, swoją partnerką z grupy specjalnej, która w końcu przyjechała. Wiewióra stał zgarbiony przy szafce odzieżowej, może usiłując się jakoś uwolnić z kajdanek, a może po prostu dlatego, że zmarzł i chciał się trochę rozruszać. Na ich

widok wrzasnął:

— Nie przyprowadzaj tu żadnych pań, kiedy nie mam na sobie spodni!

Larry przedstawił mu Wilmę, która wyprostowała swoją tęgapostać i obrzuciła Wiewiórę taksującym spojrzeniem. Gan-dolph odwrócił się od niej, zasłaniając się wolną ręką.

— Chciałem cię tylko zapytać o coś w obecności detektyw Amos, Wiewióra. Czy chcesz coś do jedzenia? Może coś zimnego do picia?

Więzień odpowiedział Larry'emu, że jest złym, podłym policjantem. Nie ma co do tego wątpliwości.

— Domyślam się, że odpowiedź brzmi nie — powiedział Larry do Wilmy. Umówili się zawczasu, że ona wyjdzie, ale zostanie za drzwiami i będzie wszystko notowała.

— Chcę dostać jakieś spodnie, człowieku. Tego chcę. Umrę tu z zimna albo co.

— Masz swoje spodnie, Wiewióra. Możesz je włożyć z powrotem, kiedy tylko zechcesz.

Wiewióra znowu się rozryczał. Na całe gardło. Został złamany.

— Człowieku, co ja zrobiłem, że mnie tak traktujesz?

— Zabiłeś troje ludzi. Zastrześliłeś Gusa, Luisę i Paula. Obrabowałeś ich wszystkich. Zerznąłeś tę kobietę przez tylne wejście.

— Wciąż to powtarzasz, człowieku.

— Bo to prawda.

— Naprawdę? — zapytał Wiewióra. Larry skinął głową.

— Jeśli zabiłem tych troje ludzi i zrobiłem tę całą resztę, to dlaczego o tym nie pamiętam?

— Hm, pomagam ci sobie przypomnieć. Chcę, żebyś pomyślał, Wiewióra.

Oni zawsze mówią, że nie mogą sobie przypomnieć. Jak pijany mąż wracający do domu. Larry sam często powtarzał, że

110

nic nie pamięta. I nie pamiętał. Jeśli nie chciał sobie przypomnieć. Ale kiedy się rozmawiało ze sprawcami, to prędzej czy później pamięć im wracała. Zawsze były

jakieś ważne szczegóły, na które gliniarze jeszcze nie natrafili, a które wychodziły na jaw.

- Kiedy to się stało? - zapytał apatycznie Gandolph.
- W weekend Czwartego Lipca.
- Czwartego lipca — powtórzył Wiewióra. — Wydaje mi się, że mnie tutaj nawet nie było czwartego lipca.
- Co masz na myśli, mówiąc tutaj? Wybrałeś się w rejs wycieczkowy?

Wiewióra wytarł nos grzbietem dłoni. Larry znowu chwycił go za nadgarstek.

- Rommy, popatrz na mnie. Spójrz na mnie. — Oniemiały z wrażenia i wstrząśnięty Wiewióra podniósł na niego załzawione brązowe oczy. A Larry poczuł dreszcz emocji, nie mógł się temu oprzeć. Miał go teraz. Wiewióra należał do niego. — Zabiłeś tych ludzi. Wiem, że ich zabiłeś. A teraz mów. Powiedz mi, czy się mylę. Mówię, że to zrobiłeś. Mówię, że ich zabiłeś i dobrze zabawiłeś się z tą panią.

- Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego żadnej pani.
- Hm, jeśli nie ty, to kto to zrobił? Był tam ktoś z tobą?
- Nnnie — odparł Wiewióra. Następnie jakby wziął się w garść. — Do diabła, człowieku, ja nawet nic z tego nie pamiętam. Jak mam wiedzieć, czy ktoś był ze mną? Mówię tylko, że nie zrobiłbym czegoś takiego żadnej pani, niezależnie od tego, jak bardzo bym jej nienawidził.

Larry mimowolnie podrapał się po uchu. Wiedział, że usłyszał coś nowego.

- Nienawidziłeś Luisy? — zapytał.
- Cóż, nienawiść, człowieku... „Nie darz nienawiścią nikogo”. Czy nie to powiedział Jezus? — Wiewióra poruszył niezdarnie rękami. - Była po prostu jedną z tych złośliwych suk. Wiesz jakich. Obiecują jedno, a robią coś innego. Wiesz, jak to jest.
- Jasne — odparł Larry. — Ale teraz zapomniałem. Jak ją Poznałeś?

Pierwszy raz Gandolph zdawał się zmagać z pamięcią.

- Wiesz, ona była po prostu jedną ze ślicznotek, które znałem z lotniska.

Lotnisko, pomyślał Larry. Cholernie dobry z niego detektyw. Może ktoś mu powinien dać parę razy cegłą po głowie.

A więc Wiewióra poznał Luisę na lotnisku. Wszystko zaczynało się układać w całość.

— Czy ty i ona byliście kiedyś razem?

— Nie. — Rommy roześmiał się nieśmiało, gdyż taki pomysł zarówno go zawstydził, jak i mu pochlebił. — To nigdy nie było tak. Nie umawiam się z wieloma z tych pań.

— Więc dlaczego mówisz, że była złośliwą suką? Bawiła się tobą? Żle cię potraktowała?

— Człowieku, masz jakieś śmieszne pomysły.

— Czyżby? Nie sądzę. Powiem ci, co jest śmieszne, Wiewióra. Twierdziłeś, że nie znałeś nikogo z tych ludzi. Ajednak znałeś, Znałeś Gusa. Znałeś Luisę.

— Nie ma mowy, człowieku. Wcale tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że nikogo z nich nie zamordowałem.

— Tak jak nikogo z nich nie znałeś.

Kłamiesz w jednej sprawie, kłamiesz we wszystkich: logika prawa. Wiewióra właśnie to zrozumiał, sądząc po tym, że nagle znieruchomiał.

— Posłuchaj, Rommy. Ja naprawdę próbuję ci pomóc. Chcę zrozumieć, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia. Przechodzisz obok okna Gusa, widzisz tę lalunię, która robiła cię w konia. Wchodzisz do środka. Jesteś na nią trochę napalony. A Gus próbuje cię przegonić. Prawie widzę, jak ta sytuacja wymknęła ci się spod kontroli. Mam na myśli to, że nie wyglądasz mi na zabójcę. Nie jesteś zabójcą, prawda?

Koniec końców w ten właśnie sposób skłania się ich wszystkich do przyznania się, mówiąc, że się ich rozumie, przytakując, kiedy pytają: „A jaki miałem wybór?”

— Nigdy tak o sobie nie myślałem - odrzekł Gandolph.

— No więc jak to się stało? Wiewióra nie odpowiedział.

— Rommy, co ty bierzesz? Anielski proch? PCP?

— Człowieku, ja w ogóle niewiele biorę. Czasem wążam farbę i to wszystko. Tylko że jak ostatnio byłem w Manteko, doktor powiedział mi, że to nie jest dla mnie dobre, powiedział, że nie zostało mi już zbyt wiele komórek.

— Ale od czasu do czasu coś tam weźmiesz, zgadza się? Wiewióra skinął głową.

— Może więc byłeś na prochach czwartego lipca? Faceci niewiele po tym pamiętają. I robi to z nich bardzo wrednych ty-

112

pów, Wiewióra. Wielu fajnych gości robi dużo paskudnych rzeczy po PCP.

— Taa — odparł Wiewióra. To mu się spodobało.

— No, Wiewióra. Opowiedz mi wszystko.

Gandolph ośmielił się przez bardzo krótką chwilę popatrzeć inu prosto w oczy.

— Nie przyprowadzaj tu więcej żadnych pań.

— Dobrze - powiedział Larry.

— I czy możesz zamknąć to cholerne okno?

— Najpierw trochę pogadajmy.

Po piętnastu minutach Larry zamknął okno. Wilma przyniosła wojskowy koc.

Wiewióra zawinął się w niego i usiadł w kucki, a ona stanęła w rogu, robiąc notatki, gdy Gandolph potwierdzał podstawowe fakty: zobaczył Luisę przez szybę, kiedy przechodził obok Paradise. Po zastanowieniu przypomniał sobie, że wziął przedtem trochę PCP.

— W porządku, wszedłeś tam sam o pierwszej w nocy. Co się stało potem? — pytał Larry.

— Człowieku, ja nic z tego nie pamiętam. Bo byłem naćpany i tak dalej.

— Daj spokój, Wiewióra. Co się stało?

— Stary Dobry Gus powiedział, jak to zawsze robił, żebym się wynosił.

— I wyniosłeś się?

— Jeśli ich wszystkich zastrzeliłem, to jak mogłem się wynieść?

— A skąd wziąłeś gnata?

Ronimy pokręcił głową naprawdę zdziwiony tym pytaniem.

— Człowieku, ja nigdy nie miałem żadnej broni. Zawsze myślałem, że prędzej sam się postrzelę niż kogoś innego.

Co do tego prawdopodobnie miał rację.

— Cóż, tej nocy miałeś broń, prawda?

Gandolph wbił wzrok w szarą emalię na stalowej nodze stołu.

— Wydaje mi się, że to Gus miał broń.

Larry zerknął na Wilmę. Nikt tego nie powiedział, ale to miało sens. W takiej dzielnicy nikt nie chciałby po prostu czekać na kawalerię.

— Taa — powtórzył Rommy. - Gus miał rewolwer. Wycelował go raz we mnie, kiedy mnie wyrzucił. Była zima, człowieku,

113

padał śnieg, ja stałem, cały dygocząc, a on kazał mi się wynosić.

— Wiedziałeś więc, gdzie jest ten rewolwer?

— Pod kasą. Pod papierosami i batonikami w tej szklanej szafce.

— I właśnie stamtąd go wzięłeś? Wiewióra rozejrzył się dookoła.

— Człowieku, nie można tu włączyć ogrzewania czy co? Larry stanął przy grzejniku.

— Czy właśnie stamtąd wzięłeś broń?

Wiewióra skinął głową. Larry odkręcił zawór i przyciągnął tam więźnia. Typowa dla grupy specjalnej fuszerka, pomyślał. Nikt nie zapytał rodziny, czy Gus miał broń, ponieważ każdy detektyw założył, że zrobił to ktoś inny.

Zostawił Wilmę z Wiewióra, a sam poszedł zadzwonić do syna Gusa, Johna. Z wyczuwalną ostrożnością w głosie John potwierdził, że jego ojciec trzymał za bufetem rewolwer. Nie pamiętał zbyt wiele oprócz tego, że należała na to Athena, ale kazał Larry'emu poczekać przy telefonie i po kilku minutach znalazł w dokumentach ojca rachunek za broń. Przed czterema laty Gus kupił pięciopalcowy rewolwer Smith & Wesson Chief's Special kalibru .38 — narzędzie zbrodni zidentyfikowane przez laboratorium balistyczne na podstawie śladów na pociskach zebranych na miejscu przestępstwa. Mimo intensywnych poszukiwań technikom nie udało się znaleźć ani jednej łuski. W wypadku rewolwerów łuski pozostają w komorach nabożowych.

Oni zawsze coś wiedzą, pomyślał Larry. Zabójca zawsze wie coś oczywistego, co umknęło wszystkim innym. Powiedział Wilmie, żeby zatelefonowała do Greera, a potem sam zadzwonił do Muriel.

22 maja 2001

Miły

Perspektywa spędzenia kilku godzin sam na sam z Gillian Sullivan wystarczyła, żeby Arthur obudził się o czwartej rano, a gdy jechali samochodem, na zmianę to beznadziejnie brako-

wało mu słów, to znowu paplał, co mu ślina przyniosła na język. Teraz z kolei, kiedy przez szybę z metalową siatką zobaczył ją między zaryglowanymi drzwiami z tyłu wartowni, serce skoczyło mu do gardła. Jednakże ta reakcja nie była rezultatem jego prywatnych marzeń i pragnień, lecz myśli o następstwach, jakie z jej rozmowy z Erdaiem mogły wynikać dla jego klienta. Podbiegł do wewnętrznych drzwi i zaczął przy nich przestępować z nogi na nogę. Rozległ się brzęczyk sygnalizujący otwarcie zamka i Gillian przeszła przez nie.

- Porozmawia z tobą— powiedziała.

- Wspaniale! — Arthur popędził po swoją teczkę i wrzucił do niej szkic wniosku o oddalenie powództwa w innej sprawie, który poprawiał, czekając na nią. Kiedy wrócił do drzwi, zobaczył, że Gillian uśmiecha się, widząc, jaki go ogarnął zapal.

- Jeszcze nie teraz, Arthurze. On potrzebuje około godziny. - Wyjaśniła okoliczności.

Arthur, nieco rozczarowany, podszedł do oficera dyżurnego. Kiedy dzwonił ze swojej kancelarii do biura naczelnika więzienia, żeby ustalić warunki wizyty, spodziewał się pewnych trudności — Gillian była w końcu przestępczynią po wyroku, czyli należała do osób, które nie zawsze są ciepło witane w charakterze odwiedzających takie instytucje. Jednakże Arthura wcale nie wypytywano o nią, lecz o niego samego, ponieważ Erdai nie wiedział, jak on się nazywa. Erno nie powiedział władzom więziennym prawdy na temat wizyty Gillian — wyglądało na to, że uważały one, iż chodzi o sprawy związane z jego stanem majątkowym — i ostatecznie pozwolono Arthurowi towarzyszyć jej podczas widzenia, sądząc, czemu nie zaprzeczył, że jest jej prawnikiem. Dlatego też porucznik siedzący przy biurku w wartowni poinformował go, że jeśli chce się zobaczyć z Erdaiem, Gillian musi pójść razem z nim. Zmarszczyła czoło, kiedy Arthur jej to wytłumaczył. Najwidoczniej liczyła na to, że już nie będzie musiała wracać do dusznej atmosfery bloku więziennego.

- Mogę ci przynajmniej postawić lunch? - zapytał Arthur. Sam umierał z głodu. Gillian zgodziła bez entuzjazmu i natychmiast, gdy wyszli z wartowni, zapaliła papierosa.

- Czy ten Erdaia powiedział ci, co ma? - zapytał Arthur.
- Mówił, że twój klient jest niewinny.
- Niewinny?- Arthur stanął jak wryty. Po chwili uświadomił sobie, że ma otwarte usta. - Wyjaśnił to?

115

Gillian pokręciła głową i wydmuchnęła dym na wiatr.

— Powiedział tylko, że wierzy, iż twój klient wyjdzie na wolność i że odsiedział już wystarczająco dużo. Jak sądzę, powie ci, że tych ludzi zabił ktoś inny. Nie zdradził mi jednak kto. Ani skąd to wie.

— Uwierzyłaś mu?

— Zapytał mnie o to samo, Arthurze, i odpowiedziałam, że nie. Nie chodzi o to, że on robi złe wrażenie. Jest bystry. To pewne. Sam będziesz mógł to ocenić. Ale to tylko wstępna opinia.

Arthur próbował się jeszcze czegoś dowiedzieć, gdy szli do samochodu. Zadawał jej pytania, nawet kiedy stało się jasne, że Gillian nie może na nie odpowiedzieć, aż w końcu zamilkł. Niewinny. Nie był pewny, czego dokładnie spodziewał się dowiedzieć od Erdaia. Kilkanaście razy przeczytawszy jego list do Gillian, przypuszczał, że Erdaia, pracujący na lotnisku Du-Sable, które leżało niedaleko Paradise, mógł być świadkiem samej zbrodni lub rozmawiać z kimś, kto tam był i miał jakieś nowe informacje. Jednakże, jak zawsze, nie chciał słuchać, kiedy Pamela próbowała wzbudzić w nim nadzieję, że Rommy może być niewinny. Niewinny. Serce mocno mu biło i żeby się uspokoić, postanowił rozejrzeć się dokoła. Był w Rudyard, dokąd przywożono ludzi, którzy nie potrafili się odpowiednio zachowywać — zbirów, kłamców i innych wyjętych spod prawa. Pomimo wszystkich świeżo obudzonych nadziei, ta część jego umysłu, która rządziła się zdrowym rozsądkiem, powiedziała mu, że pod koniec dnia najprawdopodobniej podzieli opinię Gillian o prawdomówności Erdaia.

Szukając restauracji, stwierdzili, że w tym małym mieście nie mają zbyt wielkiego wyboru. Odwiedzający więzienie byli w ogromnej większości biedni i woleli nie zaglądać do lepszych lokali niż bary drive-in. Restauracja, na którą się w końcu zdecydowali, była ciemna i bardzo duża, a przy stołach pokrytych drewnopodobnąokleiną mogłyby zasiadać całe rodziny. Arthur podejrzewał, że kiedyś musiała tu być kręgielnia.

Gillian zamówiła sałatkę. Arthur wybrał specjalność lokalu, którą okazał się klops.

— Pewnie nie będzie najlepszy — zauważył, gdy odeszła kelnerka. — W takim lokalu? Musi być wielokrotnie odgrzewany i twardy jak podeszwa. Podejrzewam, że będzie to przypominało jedzenie kuli armatniej.

116

Kiedy przyniesiono mu lunch, Arthur ujął nóż i, jak zwykle, porozdzielał wszystko, co było na talerzu — groszek umieścił z dala od ziemniaków i tak długo kreślił kółka ostrzem, aż brązowy sos utworzył małą, precyzyjnie rozplanowaną kałużę wokół mięsa. Gillian, która wraz z pojawieniem się jedzenia zgasła drugiego wypalonego tu papierosa, obserwowała to z wyraźnym zainteresowaniem.

— Siła przyzwyczajenia — powiedział jej.

— Domyślam się. A jak tam klops? Taki, jak się obawiałeś? Żuł przez chwilę.

— Gorszy.

— Czy mogę zapytać, dlaczego zatem go zamówiłeś?

— Ojciec zawsze kazał nam zamawiać specjalność zakładu. Uważał, że to najlepszy interes. Kiedy decydowaliśmy się na coś innego, zaczynał się gorączkować. Ostatnio pytałaś o moją matkę. Jestem pewny, że odeszła właśnie przez takie rzeczy... jak zamawianie specjalności zakładu. — Przełknął z trudem kawałek twardego mięsa. — Mogę zrozumieć jej punkt widzenia.

Gillian uśmiechnęła się szeroko. Chciał ją rozbawić, ale nieopatrznie dotknął jednego z tych długotrwałych problemów, które miał jako dziecko tak źle dobranej pary — rozumiał punkty widzenia obojga rodziców. Dzielił z ojcem gorycz spowodowaną odejściem matki, ale rozumiał także jej przygnębienie, wynikające z tego, że była związana z człowiekiem, który często przerzucał swoje niepokoje na innych.

Jednakże jego matka rzadko była tak wyrozumiała jak Arthur. Widziała w synu człowieka zbyt podobnego do ojca, prowadzącego konwencjonalne życie i irytująco banalnego. Przypominając sobie, że matka jest ekscentryczką, zdołał, z pewnym wysiłkiem, doprowadzić do tego, że potrafił lekceważyć jej sądy, które zresztą w większości i tak nigdy nie zostały wypowiedziane. Jednakże teraz, kiedy zbliżał się do czterdziestki, coraz mocniej nękał go jej przykład — osoby, która zerwała wszystkie tradycyjne więzy, by żyć tak, jak chciała. Aczego o n chciał? Tajemnica kryjąca się za tym pytaniem była tak wielka, że czasem się w niej całkowicie gubił.

— Dałeś mi do zrozumienia, że byłeś bardzo przywiązany do ojca, Arthurze. Wtedy, kiedy się spotkaliśmy w Duke's. — Ostatnie zdanie dodała z zauważalną ostrożnością.

— Przywiązany? W moim życiu ojciec był jak grawitacja.

117

Chcę powiedzieć, że bez niego cały świat rozpadłby się po prostu na kawałki. - Ojciec był ostatnio ulubionym tematem rozważań Arthura. Mówiąc o nim, sprawiał, że wciąż żył w jego wyobrażeniach. Rozumiał, co robił i że to jest daremne, ale nie mógł się powstrzymać. Właśnie to wpędziło go w kłopoty z Gillian podczas ich pierwszego spotkania. A jednak teraz, wyraźnie chcąc mu wynagrodzić tamto nieporozumienie, oparła się wygodnie o skóropodobne oparcie boksu i trzymając papierosa między zadbanymi palcami, poświęciła mu całą swoją uwagę. Harvey Raven przez całe życie pracował na należącym do krewnego złomowisku, gdzie zajmował się odzyskiwaniem różnych części samochodowych. Z jakiejś przyczyny była to najistotniejsza z wszystkich rzeczy, które budziły lęk i niepokoje pana Ravana, prowadząc go do wniosku, że gdyby tylko kilka spraw potoczyło się inaczej, jego życie byłoby jeśli nie lepsze, to przynajmniej spokojne. Gdyby tylko poszedł do college'u. Gdyby tylko miał pieniądze. Gdyby tylko był właścicielem złomowiska, a nie jego pracownikiem. Gdyby tylko, gdyby tylko — to był slogan jego życia. I któż mógł powiedzieć, że nie miał racji? Przez ten cały czas, który Arthur przepracował w kancelarii, zadając się z ludźmi zamożnymi, obytymi, nadzianymi, wiedział, że nie potrafią zrozumieć kogoś takiego jak on. Nie pojmowali bezgranicznego wręcz pragnienia pieniędzy i bezpieczeństwa, które one dawały. Nie rozumieli, jak to jest być zdanym na czyjąś łaskę. Arthur wciąż napawał się wspomnieniem uniesienia, które rozjaśniło twarz ojca, kiedy zobaczył jego dyplom ukończenia prawa, czy też siedem lat później, kiedy opuszczał biuro prokuratora, żeby podjąć pracę w kancelarii prawniczej ze zdumiewającą pensją stu tysięcy dolarów rocznie.

'1

— Ludzie niezbyt sobie cenią zwykle życie — powiedział do s Gillian — wiesz, takie, które uważa się po prostu za normalne. " Ale w miarę jak i ojcu, i mnie przybywało lat, coraz wyraźniej widziałem, jaką był heroiczną postacią. Chcę powiedzieć, że to w gruncie rzeczy cud, że człowiek, który tak się bał o siebie, potrafił tak dbać o innych, tak bardzo się o nich troszczyć, — di Arthur dotarł właśnie do tego punktu opowieści, w którym czuł, n jak zaciska mu się gardło, a w oczach zbierają się łzy, ale jak 1 zwykle nie potrafił zakończyć tego peanu.

1

- Ojciec także zmarł odważnie. Miał raka wątroby. To go I po prostu zjadło. Poszedł do lekarza i usłyszał od niego: jeszcze

118

sześć miesięcy życia, większość z tego w strasznym bólu. Potraktował to filozoficznie. I był taki do samego końca. Czasem miałem ochotę złapać go za szpitalny szlafrok i powiedzieć: Jezu Chryste, całe życie się czegoś bałeś, martwiłeś się o rzeczy, o które nigdy nie powinieneś się martwić, doprowadzałeś mnie tym do szału, a teraz to? Teraz był spokojny, pogodził się z losem. I dzięki temu przeżyliśmy wiele szczęśliwych chwil, naprawdę. Kiedy czuł się dobrze, często się śmialiśmy. Jeśli wszystko podsumować, mieliśmy razem cudowne życie. Kochał mnie. Ja kochałem jego. Tkwił z nami, choć nie każdy facet w takiej sytuacji zdobyłby się na to. Ja zrobiłem ze swoim życiem to, co chciał, żebym zrobił. Wiedział, że będę się opiekował Susan. Byliśmy mu oboje ogromnie wdzięczni.

Nagle Arthur przegrał walkę ze wzruszeniem. Odwrócił głowę, żeby oszczędzić Gillian widoku łez lejących mu się z oczu, i sięgnął do tylnej kieszeni po chusteczkę do nosa. Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, zobaczył, że Gillian zeszywniała, prawdopodobnie z przerażenia.

- Boże— odezwał się— jakiego osła robię z siebie. Płacę przez cały czas, odkąd umarł ojciec. Płacę, oglądając filmy w telewizji. Płacę, oglądając wiadomości. Próbuje znaleźć w tym jakąś logikę. Tak bardzo musimy kochać innych ludzi, że życie staje się nie do zniesienia, kiedy odchodzą. Czy to ma jakiś sens?

- Nie — odpowiedziała cichym, zachrypniętym głosem. Zarumieniła się. Błede piegi na jej szyi stały się teraz bardziej widoczne, a jej oczy, z wyraźną linią makijażu i warstwą różu na powiekach, były zamknięte. — Nie - powtórzyła i zaczerpnęła oddechu. — Masz na mnie dziwny wpływ, Arthurze.

- Dobry czy zły?

- Trudno mi powiedzieć.

- Taa — mruknął z rezygnacją.

- Nie, nie. To nie jest związane z tobą. Tu chodzi o mnie, Arthurze. — Zmagała się z czymś, patrząc na swoje smukłe dłonie. Wciąż była zaczerwieniona. — Wdzięczność, którą opisałeś, podziw... czegoś takiego nigdy nie czułam. Nigdy. - Zmusiła się do uśmiechu, ale nie miała odwagi spojrzeć na Arthura. Po chwili zapytała, czy mogą już jechać.

W drodze powrotnej nie powiedział ani słowa. Po tych kilku godzinach, które spędził z Gillian, zaczynał pojmować istotę jej problemów. Bóg wie, że powinno to być oczywiste dla każdego,

jeśli wziąć pod uwagę, co zrobiła ze swoim życiem. Jednak Wy-dawała się tak spokojna i władcza, nawet teraz, że odkrycie elementu nieprzewidywalności w jej psychice zupełnie go zaskoczyło. Jej reakcje na niego były to gorące, to znów chłodne. Przywykł sprawiać kobietom przyjemność, a przynajmniej próbować tego, toteż czuł się trochę jak piłka na uwięzi. W sumie jednak uznał, że Gillian lubi go o wiele bardziej, niż myślał. I choć powiedział sobie, że musi być ostrożny, stwierdził, że to odkrycie jest bardzo ekscytujące.

Kiedy podjeżdżali pod więzienie, Gillian wciąż wyglądała na poruszoną. Tym razem jednak zdawała się ją niepokoić perspektywa powrotu za kraty. Pochyliła się ku przedniej szybie, mierzając wzrokiem ogromny kompleks budowli, i pokręciła głową. Arthur przeprosił, że zmusza ją do ponownego przechodzenia przez to wszystko.

— To nie twoja wina, Arthurze. Wiedziałam, co robię, przyjeżdżając tutaj. Musiałam stawić czoło wielu rzeczom. Wspomnieniom.

— O Bardzo Ciężkich Czasach? — zapytał.

Gillian, która grzebała w torebce, szukając ostatniego papierosa, zastanawiała się przez chwilę. *

— Ludzie mają standardowe wyobrażenia o więzieniu, praw- | da? Wszyscy mamy. Każdy sobie wyobraża, że pewne aspekty 1 życia w zamknięciu są szczególnie okropne. j

— Jakie na przykład? Seks? m

— Z pewnością. Tak, seks. To typowe zagadnienie. Stracha przed życiem bez tego. Lęk przed napaściami homoseksualny- w mi. Kiedy siedziałam, do większości lesbijskich zachowań, któ- 1 re zaobserwowałam, dochodziło jednak między personelem. To J prawda. f

Seks kończy się jako jedna z wielu innych rzeczy, od których człowiek zostaje odcięty - podjęła po chwili milczenia. To główna forma kary... separacja. Od ludzi. Od przyzwyczajień. Od jedzenia. Od życia, jakie znasz. I tym powinno być więzienie. I to jest właśnie ironia losu. Kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, po tym całym strachu przed różnymi incydentalnymi okropnościami, jak trafienie w łapy jakiejś lesby, okazuje się, że prawdziwa kara jest dokładnie taka, jak to było zamierzone. Przypomina to amputację. Przestajesz chcieć czegokolwiek. Po prostu rezygnujesz. Ja tak zrobiłam. Pożądanie zastępuje nuda. Zanudzają cię tam na śmierć. Myślisz: mogę się

zainteresować czymkolwiek, jestem inteligentna. Ponieważ jednak każdy po prostu zaznacza tylko upływ czasu, wszystko przestaje mieć znaczenie. Wiesz, że skazano cię, żebyś czuła ciężar upływającego czasu, i czujesz go. Bywały takie chwile, że dosłownie słyszałam tykanie zegarka na mojej ręce. Każda z tych sekund stracona.

Obserwując ją, widząc jej udręczoną twarz, gdy wpatrywała się w więzienie, Arthur stwierdził, że znowu płacze, tym razem cicho, a łzy spływają mu po twarzy. Otarł je, a potem jeszcze raz ją przeprosił, chociaż wyglądało na to, że nie przejęła się zbytnio jego niezdolnością do zapanowania nad sobą.

— Gdy już raz zacznę... — powiedział, kręcąc głową.

- Nie masz za co przeproszać. Jesteś bardzo miły, Arthurze. — Wydawało się, że jest zaskoczona własnymi słowami. Spojrzała mu prosto w oczy. — Bardzo miły — powtórzyła, a następnie popatrzyła na trzymany w dłoni nie zapalony papieros i wyszła z samochodu.

12

9 października 1991

Z ostatniej chwili

Nazywam się Romeo Gandolph. Mam dwadzieścia siedem lat. Czytam i piszę po angielsku. Składam to zeznanie z własnej woli i bez przymusu. Nikt mi za to niczego nie obiecał. Wiem, że jestem filmowany w czasie odczytywania tego oświadczenia.

Po północy czwartego lipca 1991 roku zatrzymałem się przed restauracją Paradise. Jej właściciel, Gus, właśnie przygotowywał się do zamknięcia. Gus i ja znaliśmy się od długiego czasu. Próbowalem raz ukraść pieniądze z jego kasy. Gonił mnie aż na ulicę, a po złapaniu ciężko pobił. Potem, ilekroć mnie zobaczył, przeganiał mnie ze swojej restauracji. Czasem były to z jego strony żarty, a czasem był zupełnie poważny. Raz, gdy wszedłem do restauracji, wyjął spod kasy rewolwer i kazał mi się wynosić.

Tak się złożyło, że czwartego lipca 1991 roku zobaczyłem także przez okno panią, którą znałem, wszedłem więc do środka, nazywała się Luisa Remardi i kiedy wałęsałem się po lotnisku, często pozdrawiałem ją i innych członków personelu.

121

Kiedy wszedłem do środka czwartego lipca, Gus powiedział że pewnie kombinuję,

jakby się schować gdzieś w lokalu, przeczekać, aż on zamknie, a potem coś ukraść. Wziąłem przedtem działkę PCP i Gus mnie rozgniewał. Zaczęliśmy na siebie krzyczeć. Gus ruszył do kasy, żeby wyciągnąć rewolwer, ale ja dobiegłem tam pierwszy. Gus ciągle wrzeszczał na mnie i podszedł do telefonu, żeby wezwać policję, więc do niego strzeliłem. Nie myślałem, zrobiłem to odruchowo.

Luisa krzyczała, że zwariowałem i w ogóle, i nie chciała się zamknąć. Kiedy podszedłem do niej, żeby ją uspokoić, rzuciła się na broń i skończyło się to tak, że ją także zastrzeliłem. W restauracji był jeszcze jeden gość, biały. Schował się pod stołem, ale ja go widziałem. Wymierzyłem w niego z rewolweru i kazałem mu zaciągnąć Gusa i Luisę do chłodni w piwnicy. Kiedy to zrobił, bezzwłocznie go zastrzeliłem, zabrałem im wszystko, co nadawało się do opchnięcia, i opuściłem to miejsce. Następnie pozbyłem się broni. Nie jestem całkiem pewny, gdzie to zrobiłem.

Zażyłem tego dnia dużo PCP i nie pamiętam tego wszystkiego zbyt dobrze. To wszystko, co udało mi się teraz przypomnieć. Bardzo żałuję tego, co zrobiłem.

Muriel siedziała naprzeciw Wiewióry w pokoju przesłuchań. W pobliżu technik obsługiwał ustawioną na trójnogu kamerę wideo, a mały reflektor zespołu dokumentacyjnego rzucał jasny snop światła na Gandolpha, który teraz był w pomarańczowym kombinezonie aresztanta. Mrużąc oczy w blasku reflektora, Wiewióra zacinał się kilkakrotnie, odczytując oświadczenie, i prosił wtedy Muriel, żeby pomogła mu z pewnymi słowami. Za pierwszym razem było to mniej więcej w połowie, cofnęli zatem taśmę i zaczęli od początku. Ręce Wiewióry, w których trzymał kartkę, drżały, ale poza tym wyglądał znośnie.

- Czy to wszystko, co miał pan do zeznania, panie Gandolph?

— Tak, pszepani.

- I napisał pan to oświadczenie własnoręcznie?

- Ten detektyw mi pomógł.

— Ale czy to oświadczenie odzwierciedla wszystko, co pan pamięta z wydarzeń z czwartego lipca 1991 roku?

— Tak, pszepani.

122

- Tak pan opisał detektywowi to, co się wtedy stało?

- Taa, po tym, gdy to trochę omówiliśmy.

- A czy ktoś pana uderzył lub groził panu przemocą żeby skłonić pana do złożenia tego zeznania?
- Nie, o ile dobrze pamiętam.
- Cóż, pamiętałby pan chyba, gdyby ktoś pana uderzył?
- Nikt mnie nie uderzył.
- Czy miał pan jedzenie i wodę?
- Teraz trochę dostałem. Przedtem nie miałem ochoty na jedzenie.
- A czy ma pan jakieś zażalenia na to, jak pana traktowano?
- No, wie pani, narobiłem w spodnie. To nie było ładne. Siedziałem tu jak jakiś dzieciak albo co. —Wiewiora potrząsnął zmierzwionymi włosami. — Najlepiej teraz o tym nie mówić. — Następnie dodał: — I prawie zamrozili mnie tu na śmierć.

Muriel popatrzyła na Larry'ego.

- Smród był taki, że musiałem otworzyć okno.

Kiedy przyjechała, w pokoju wciąż jeszcze śmierdziało. „Sprawa pewna jak kupa”, zażartował Larry. Odpowiedziała cytatem z ojca, który zawsze, kiedy wchodził do jedynej łazienki dzielonej przez całą rodzinę, mawiał: „Tak tu zalatuje, jakby ktoś umarł”. Później przypomniała Larry'emu, żeby włączył do dowodów spodnie Gandolpha — jako świadectwo tego, że był świadomy swojej winy.

Zapytała Rommy'ego, czy chciałby jeszcze coś dodać.

- Ciągle nie mogę po prostu uwierzyć, że zrobiłem coś takiego — powiedział. - Ja jestem taki, co to nie skrzywdzi nawet muchy. Nigdy nie zrobiłem czegoś takiego. — Ukrył twarz w dłoniach.
- Przerwiemy teraz nagrywanie. Jest godzina dwunasta trzydzieści dwie w nocy dziewiątego października. — Na znak Muriel technik wyłączył reflektor.

Przyszedł dyżurny gliniarz, żeby odprowadzić Rommy'ego <io pokoju zatrzymań, skąd o szóstej rano następnego dnia miał zostać przewieziony do aresztu. Skuty z tyłu Wiewiora wciąż Dyl oszołomiony i przygnębiony, jak przez cały czas, który Muriel z nim spędziła.

- Do zobaczenia, Rommy - powiedział Larry. Rommy obejrzał się przez ramię i skinął mu głową.

- Co mu zrobiłeś? - zapytała Muriel, kiedy już wyszedł.

123

— Nic. Wykonałem swoją robotę.

— Jesteś zdumiewający - stwierdziła. Larry uśmiechnął się jak dziecko.

Greer przyjechał podczas nagrywania. O pierwszej w nocy Harold był dokładnie ogolony, a na jego wykrochmalonej koszuli nie było ani jednej zmarszczki. Greer był znajomym Tal-madge'a i Muriel zaledwie tydzień temu siedziała obok niego na przyjęciu charytatywnym. Uznała go za jednego z tych czarnych mężczyzn, którzy stwierdzili, że zawsze muszą być lepsi od innych, i dlatego nigdy nie opuszczają gardy, zwłaszcza gdy w pobliżu są jacyś biali. Robił to od tak dawna, że nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Zwracając się do Larry'ego z rękami wspartymi na biodrach, sprawiał wrażenie, jakby nie był do końca zadowolony ze swojego detektywa. Najpierw zapytał, jak Larry znalazł Gandolpha.

— Dostałem cynk. Zapudłowany dealer powiedział mi, że widział go z kameą.

— I Gandolph miał ją przy sobie, kiedy go zwinąłeś?

— Tak. — Larry skinął kilka razy głową. — Dopilnuję, żeby Lenahan i Woznicki zostali także wymienieni w raporcie.

— A co z gwałtem? — zapytał Greer. — Nie chce tego wziąć na siebie?

— Jeszcze nie.

— Jaką w takim razie mamy teorię?—zapytał Greer ich obojga.

— Ja uważam — zaczął Larry — że był napalony na Luisę, zgwałcił ją, grożąc jej bronią, a potem zrobił to jeszcze raz, kiedy już była martwa. Myślę jednak, że nie powinniśmy tego podnosić w sądzie. Czegoś nam tu brakuje i możemy się na tym potknąć.

Kiedy Greer zwrócił się do Muriel, powiedziała, że Larry się myli, próbując zlekceważyć tę sprawę z obawy przed wpadką w sądzie. Gwałt musi zostać włączony do aktu oskarżenia.

— Jeśli tego nie zrobimy, materiał dowodowy nie będzie spójny - dodała. - Poza tym, ponieważ chodzi tu o zbrodnię karaną śmiercią, warto dopilnować, żeby przysięgli tego wysłuchali. Dowody dotyczące tego zarzutu nie są wprawdzie zbyt mocne, ale sądzę, że zostanie uznany za winnego. Nie zrobił jej tego żaden duch. Rommy był albo sprawcą, albo współnikiem sprawcy. Tak czy owak jest prawnie

odpowiedzialny.

Greer, któremu wyraźnie zaimponowała tym wywodem, słuchał w skupieniu, nie odrywając od niej wzroku. Kiedy Muriel

124

ostała tego ranka z łóżka, miała do siebie całą listę pytań, na które nie знаła odpowiedzi. Nie wiedziała, czy chce być wolna, czy zameżna, jaki jest jej ulubiony kolor, czy kiedykolwiek zdoła się zmusić do głosowania na republikanów, albo czy nie popełniła błędu, nigdy nie próbując tego z dziewczyną. Kiedy jednak dostawała w swe ręce dokumenty sprawy, jej osąd był tak jasny jak słońce. Problemy były niczym paki, które otwierały się w cieplarni jej umysłu, ukazując rozwiązania. W środowisku ludzi związanych z organami ścigania rosła już jej legenda - mówiono, że zostawia za sobą ślad niczym samolot smugi kondensacyjne.

- Czy był jakiś współnik? — zapytał Greer.

- On twierdzi, że nie — odpowiedział Larry. — Dowiemy się prawdy, kiedy sobie uświadomi, że grozi mu igła. Nie wybierze się na długi spacer, jeśli ma jakieś inne nazwisko.

Greer zastanawiał nad tym przez chwilę, po czym podał Larry'emu rękę. A skoro już się do tego zabrał, uścisnął także dłoń Muriel.

- Bardzo dobra robota — powiedział.

Na zewnątrz czekali reporterzy. Greer poprosił Larry'ego i Muriel, żeby stali u jego boku, kiedy będzie wygłaszał krótkie oświadczenie przed kamerami. Gdy tylko weszli do starego ceglanego holu szóstki, czyli tej części komisariatu, poza którą reporterom nie wolno było przebywać, rozbłysły światła. Nawet o tej godzinie każda stacja telewizyjna przysłała dyżurną ekipę, przybyło też dwóch dziennikarzy z gazet. Wszyscy ci przedstawiciele mediów tłoczyli się wokół Greera, kiedy informował ich o aresztowaniu, ujawniając nazwisko i wiek Gan-dolpha oraz jego kryminalną przeszłość. Wiedzieli już o kamei Luisy; w komisariatach niewiele spraw dawało się zachować w tajemnicy. Greer potwierdził, że Wiewióra miał ją w kieszeni ostatniego wieczoru. Na tym Harold zakończył. Kamerzyści nakręcili tyle materiału, że można go było pokazywać w wiadomościach przez cały dzień.

Kiedy się rozchodzili, Greer skinął głową Muriel i rzucił: „Pozdrowienia dla Talmadge'a”. Chociaż powiedział to neutralnym tonem, zauważyła, że Larrym lekko zatrzęsło. Poszła z nim na parking. Znowu był bliski powiedzenia czegoś głupiego, ale w tej chwili podbiegł do nich Stew Dubinsky, okrągłutki jak amorek dziennikarz

„Tribune”. Chciał zrobić z Larrym wywiad z gatunku „dzielny detektyw znowu odnosi sukces”. Lar-

125

ry odmówił, ale był dla niego wyjątkowo uprzejmy. Wiedział, że Stew, który pisał reportaże sądowe, jest ważny dla Muriel.

Gdy w końcu Dubinsky się poddał, Larry i Muriel zostali sami, między swoimi samochodami. Parking był oświetlony jak stadion podczas wieczornego meczu. Nikt nie chciał czytać o napadach rabunkowych na zapleczu komisariatu policji.

- Czy twoja ława przysięgłych wydała właściwy wyrok? -zapytał Larry.

- Zebrali się dziś po południu. Winny wszystkich zarzutów. Uśmiechnął się ze względu na nią. Zmęczenie sprawiało, że

wyglądał staro. Jego rzednące włosy podnosiły się na wietrze i miał tę wrażliwą północnoeuropejską skórę, taką jak skandynawscy blondyni, która już stawała się rumiana i sucha. Wciąż myślała o Larrym jako o stałym elemencie swojej młodości i wręcz nie mogła pojąć, że czas zaczyna mu się dawać we znaki. Kiedy się poznali, miała mu pomagać w nauce, ale zamiast tego zaczęła z nim sypiać, pierwszy raz, kiedy jej mąż leżał w szpitalu z powodu kłopotów z sercem, które zabiły go dwa lata później. To było głupie, oczywiście, ale głupie w sposób typowy dla wieku dojrzewania - w miarę jak wrastała w nijaki świat prawa i dorosłej odpowiedzialności, sprawdzała po prostu, jak daleko może się w takich sprawach posunąć. Jednakże ich związek, dziwny, niespokojny, trwał dalej. Po ponownym małżeństwie Larry'ego. Po śmierci Eoda. Mówili sobie, że to koniec, a potem wystarczyło, żeby zobaczyła go w sądzie, i jedno prowadziło do drugiego. Znowu zaczynało się poszukiwanie, pełne pragnienia i ochoty, które należały do czasu, kiedy się jeszcze nie wie na pewno, kogo się chce. Dla niej ten czas dobiegał już końca. Było jej dziwnie żal ich obojga.

- Umieram z głodu - odezwał się Larry. - Chcesz coś zjeść? Nie chciała go teraz zostawiać samego. Wyglądał tak, jakby

tamtego wieczoru przed aresztem pchnęła go nożem. Po chwili przyszedł jej do głowy doskonały pomysł.

- Może pojedziemy do Paradise?

- Świetnie. - Larry nie mógł powiedzieć zbyt wiele Johnowi przez telefon i obiecał wpaść do niego, gdy tylko będzie mógł. John powinien być w restauracji przez całą noc.

Ale kiedy tam przyjechali, nigdzie nie było go widać. Okazało się w końcu, że pracuje w kuchni. Zauważył ich przez obwieszony zamówieniami długi otwór z blatem z nierdzewnej stali, przez który kucharze podawali jedzenie, i wyszedł z ło-

126

patką do smażenia w ręce i w fartuchu tak dużym, że owinął się nim dwukrotnie. Rozmiar fartucha świadczył niedwuznacznie, że należał do Gusa.

— Czy to prawda?- Wskazał na radio stojące przy kasie. Kiedy powiedzieli, że tak, usiadł na jednym ze stołków barowych. Wpatrywał się przez chwilę w pociemniałą łatę w boazerii, po czym zakrył twarz dłońmi i rozplakał się. Kiedy trochę doszedł do siebie, uniósł na nich załzawione oczy i zaczął im wręcz obsesyjnie dziękować.

— To nasza praca, John- powtarzała Muriel, klepiąc go uspokajająco po ramieniu, ale jej też się zbierało na płacz. Miała wrażenie, że rozpalają się jej nerwy, że wzbiera w niej potężne uczucie więzi z tym, co dobre i słuszne.

— Nie wiecie, jak to ciężko — mówił John — myśleć, że ten, kto to zrobił, wciąż chodzi wolno. Przez cały czas czułem, że powinienem coś zrobić, że zawodzę ojca, nic nie robiąc.

Od lipca Muriel często rozmawiała z Johnem i było dla niej jasne, że po śmierci Gus stał się dla niego o wiele droższy niż za życia. Widziała już takie przemiany, ale nigdy nie rozumiała ich w pełni. John musiał zająć się restauracją i po kilku miesiącach stania w butach Gusa niewątpliwie lepiej pojmował punkt widzenia ojca, zrozumiał, jak trudne było jego życie. Jednakże często była zaskoczona, kiedy odebrawszy telefon od Johna, słyszała, z jaką wściekłością mówił o mordercy. Czasem podejrzewała, że nienawidzi zabójcy za tę radość, którą odczuł na wieść o śmierci ojca, radość, której wspomnienie budziło w nim palący wstyd. Niezależnie od tego, jak to się stało, czuła, że ból i szok wywołany zabójstwem — i to, że rozwiało ono wszelkie nadzieje na pojednanie syna z ojcem - splótł się z pasmem udręk, jakim były stosunki między obu Leonidisami, i John nie potrafił już odróżnić jednego od drugiego.

John znów zaczął ich zarzucać jeszcze bardziej krępującymi podziękowaniami i Larry w końcu uratował ich wszystkich, łapiąc go za kark i mówiąc, że tak naprawdę przyszedł na darmowy posiłek. John, chcąc okazać wdzięczność, rzucił się do kuchni.

Ruszyli ku stolikom. W tej chwili czuli się parą Larrym i Muriel, i jakby tknięci tym samym impulsem, zatrzymali się przy boksie, w którym została zamordowana Luisa Remardi. Poszli dalej i wymieniwszy szybkie spojrzenia, usiedli jednocześnie po przeciwnych stronach stolika. Muriel musiała spu-

ścić wzrok na dłużej, żeby się nie roześmiać. Miała w torebce papierosy, gdyż tego dnia brała udział w rozprawie, a przy takich okazjach pozwalała sobie zapalić. Wyciągnęła jednego. Larry wyjął go z jej palców, zaciągnął się raz i oddał.

— Zauważyłaś, mam nadzieję, że nie wspomniałem o Talmadge[^]?

— Do tej pory.

Larry opuścił lekko podbródek, przez co przybrał inkwizytorski wyraz twarzy.

— Wyjdiesz za tego faceta, prawda?

Była druga nad ranem i Larry, jakikolwiek by był, zasłużył ni mniej, ni więcej tylko na prawdę. Dziewiętnaście lat skakała z kwiatka na kwiatek, przebierając w mężczyznach, jakby byli sukienkami, i przez cały czas miała nadzieję, że gdy spojrzy pewnego dnia w lustro, zobaczy w nim siebie. Miała już tego dosyć. Teraz chciała poznać drugą stronę życia — dzieci, stabilizację, poczucie, że jest kimś ważnym dla kogoś interesującego. Talmadge ją ekscytował. Wiódł życie, którego pragnęła być częścią. Był zabawny. Był bogaty. Był przystojny. I liczył się w świecie — ogromnie.

Przyjrzała się Larry'emu. Zawsze ją szokowało, gdy odkrywała, że aż tak bardzo jej na nim zależy, że nie jest to tylko zmysłowy pociąg, ale i poczucie solidarności oraz prawdziwej więzi. I wzajemne zrozumienie. Najbardziej jednak łączyło ich to, że mieli taką samą intuicję, jakby zeszli z tej samej taśmy montażowej. Uświadomiła sobie, że po wielu latach będzie wracała myślą do tej rozmowy, podczas której podjęła decyzję.

— Tak przewiduję.

Larry wyprostował się i oparł plecami o czarniawe deski boksu. Właśnie jej powiedział, co ona zamierza zrobić, ale wyglądał na zdumionego.

— Taa — odezwał się w końcu — bogaci faceci zawsze zdobywają najlepsze dziewczyny.

— Myślisz, że to mnie w nim pociąga, Larry?

— Myślę, że chodzi tu o całą scenerię... bogaty, sławny, wpływowy. Talmadge może dla ciebie wiele zrobić.

Ta rozmowa od samego początku przybrała zły obrót. Mu-riel odwróciła głowę, zamiast odpowiedzieć.

— Nie mów mi, że to nie to.

— Nie-odparła.

Na szerokiej twarzy Larry'ego odmalowały się targające nim

128

uczucia, mimo że starał się nad tym zapanować. Pomimo wysiłków już miał coś dodać, ale pojawił się John i postawił na stole talerze ze stekami i jajkami.

Zapytawszy, czy nie mając przeciwko temu, wyciągnął papierosa z paczki Muriel i zapalił go, gdy oni zabrali się do jedzenia. Nerwowo ciągnął się za uszy, obgryzał paznokcie i nie mógł przestać zadawać pytań ani przyzwyczaić się do myśli, że zabójca został w końcu schwytany. Największy kłopot zdawał się mieć z zaakceptowaniem tego, że nie był to jakiś ghul, który wyczołgał się z kanału ściekowego, ale człowiek, którego często widywał w restauracji.

— Nie mieści mi się w głowie, że Gus uważał tego faceta za zabawnego. Był wrzodem na tyłku, ale dla ojca przepędzanie tego czubka było swego rodzaju rozrywką. Jeśli dobrze pamiętam, pewnego razu stary dogonił go z nożem rzeźnickim w jednej ręce i sandwiczem w drugiej. Dał mu tego sandwicza i powiedział, że go zabije, jeśli kiedykolwiek wróci. To były także zawody. Dla nich obu. Ten gość — Gandolph? — zaglądał przez okno i jeśli ojca nie było, wchodził do środka i przechadzał się po sali wolnym krokiem, jakby był właścicielem, a potem zwiewał co sił w nogach, gdy tylko ojciec się pojawiał. Powtarzało się to przynajmniej raz na tydzień.

John nie mógł przestać o tym mówić, a Muriel i Larry próbowali mu wytłumaczyć, że takie nieszczęścia są czysto przypadkowe.

- Słuchaj, to w żadnym razie nie poprawi sytuacji - powiedział w pewnej chwili Larry — ale wydaje się, że twój tata lubił tego faceta. I gdyby Wiewióra nie wziął za dużej działki prochów i nie zobaczył, że siedzi tu ta kobieta, na którą się napalał, prawdopodobnie odbyłaby się tylko ta ich zabawa w berka. Ale się nie odbyła. Nie tej nocy. Tej nocy Wie wiórze zachciało się tego wszystkiego, czego nie mógł dostać przez całe życie, i odbiło mu. To tak samo, jakby pod restauracją wybuchła rura z gazem. To, co chcę powiedzieć, John, może głupio zabrzmieć, ale to prawda: takie jest życie. Nie zawsze układa się dobrze. — Muriel zauważyła, że mówiąc to, zerknął na nią.

Kiedy wyszli z Paradise, dochodziła czwarta i Larry był zupełnie wykończony. Miał wrażenie, że pruje się w szwach, a z peryferiów jego świadomości podkradają się do niego demo-nY i nocne koszmary. Dobiegał ich ryk wielkiej autostrady. O czwartej

nad ranem mogli nią jechać tylko ci, których gnała

129

pilna konieczność — kierowcy ciężarówek obawiający się, że utkną w porannych korkach, maklerzy od transakcji terminowych na rynkach zagranicznych, kochankowie, którzy opuścili czyjeś łóżko w środku nocy, żeby wrócić do domu przed świtem. Ten wszechświat naglących potrzeb przetaczał się w pędzie nad ich głowami.

W restauracji Larry tak bardzo się wysiłał, próbując pocieszyć dzieciaka Gusa, bo w gruncie rzeczy chciał pocieszyć siebie. Nie udało się. John ciągle mówił o tych wszystkich twardzielach, z którymi jego ojciec dał sobie radę — o mafiosach, którzy chcieli go zmusić, żeby tylko od nich kupował wyposażenie lokalu, i zwykłych gangsterach, którzy chcieli haraczu -a stojący teraz obok Muriel Larry wciąż czuł się tak, jakby zaraz miał się rozkleić.

— Muriel — powiedział tym samym żalonym tonem, jakim mówił przed aresztem — muszę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O Talmadge'u... — Zirytowany machnął ręką. — O wszystkim.

— Nie chcę rozmawiać o Talmadge'u.

— Nie, posłuchaj mnie.

Był tak znużony, że miał zawroty głowy i lekkie mdłości -ale zły był głównie na siebie. Od kilku dni wiedział, dlaczego wkładał całą swoją energię w tę sprawę niczym medyk, który usiłuje ożywić martwe ciało i któremu to się w końcu udaje. Robił to dla Muriel, na litość boską. Jednak nie zrozumiał jeszcze wszystkiego. Nie chciał jedynie być przy niej i dyskutować. Albo wciągnąć ją jeszcze raz do łóżka. Nie, jeszcze przed chwilą w jego mózgu nastolatka toczyła się akcja jak z westernu. Złapał na łąso złego faceta i teraz Muriel się opamięta, i zobaczy, kto tu jest najlepszym gościem. Rzuci Talmadge'a i swój marsz ku chwale. Uświadomiwszy sobie poniewczasie, jak bardzo się mylił, załamał się. Świetny ze mnie detektyw, pomyślał.

— Chcę, żebyś mnie wysłuchała — powiedział.

Ich samochody stały blisko miejsca, w którym cadillac Gusa oraz wozy Luisy i Paula cały dzień smażyły się w lipcowym słońcu, podczas gdy ich zamarznęte ciała leżały w chłodni. Honda civic Muriel była bliżej, podeszli więc do niej i usiedli na

przednich fotelach. Muriel nie była czyścioszką. Podłogę z tyłu samochodu traktowała jak śmietnik - walały się na niej plastikowe opakowania po jedzeniu i innych rzeczach, jak również prywatna poczta, która przyszła do jej biura.

130

- Ludzie zawsze mówią, żebyś dorósł, kiedy jesteś młody — odezwał się Larry. — I kiedy ich słuchasz, wydaje się nawet, że to zupełnie dobry pomysł, ale potem zaczynasz się pytać: co jest, do cholery? Co, do cholery, powinienem zrobić? Ludzie mówią ci, żebyś spoważniał, a ty nawet nie potrafisz znaleźć odpowiedzi na pytanie, czego właściwie chcesz.

Mówiąc to, Larry popatrzył na stojącą przed nim ślepa ścianą z cegieł. Przed wielu laty namalowano na niej reklamę napoju bezalkoholowego i w świetle lamp parkingowych wciąż widać było widmowe resztki wizerunku pięknej kobiety ze szklanką w ręce.

- Zawsze się zastanawiałem, jak ją, do diabła, znajdę. Mam na myśli to, że niektórzy ludzie, jak ty... ty chyba zawsze wiedziałaś, czego chcesz, i dążyłaś do tego, odkąd się poznaliśmy. Chcesz widzieć swoje nazwisko w świetle reflektorów. Ja jednak jestem inny. Ja nawet nie wiem, że czegoś chcę, do czasu, gdy już tego nie mam lub grozi mi, że to utracę. Jak wtedy, gdy Nancy zapytała: „Co powiesz na to, żebym ja wzięła chłopców?” Chcę powiedzieć... Jezu Chryste, muszę być realistą.

Coś chwyciło go za gardło, gdy przed oczami stanął mu obraz synów. Chodzili za nim jak szczeniaki, gdy przycinał płyty ścienne i kładł kafelki, pracując w różnych domach. Uwielbiali być z nim. Darrell miał piłę, którą wciąż ciągał po zakurzonych podłogach, a Michael, z młotkiem w obu rękach, zawsze krzywo wbijał gwoździe w kantówki. Larry przez cały czas miał ich na oku, a mimo to budził się w środku nocy zlany potem, wręcz pewny, że nie był wystarczająco uważny i jeden z nich poważnie się zranił.

Uszczypnął się mocno w nos, żeby się nie roztkliwić. Nie ufał ludziom, często ostatnio spotykanym w policji, mężczyznom - i czasem kobietom — wzruszającym się z błahego powodu, ponieważ na ulicy byli tacy twardzi, ludziom, którzy wylewali wiadra łez, kiedy ich papużka przeniosła się na łono Abrahama, chociaż ledwie kilka godzin wcześniej nawet nie pochyłili głowy nad ciałem przejechanego siedmiolatka. Uważał się za człowieka, który do pewnego stopnia panuje nad tym wszystkim, człowieka, który potrafi powiedzieć, jak Johnowi, że to boli Jak diabli, ale takie jest życie.

- No więc jestem tak głupi, że nie wiem, ile coś dla mnie znaczy, dopóki tego nie

stracę - podjął wątek. - Jest więcej takich ludzi. Nie jestem jedyny.

131

W ciemności nie widział dokładnie twarzy Muriel, tylko nagle światło odbijające się w jej oczach i zarys profilu. Opierała się o drzwi od strony kierowcy, prosto trzymając głowę z krótkimi sztywnymi lokami, wyraźnie zaniepokojona.

— Dokąd to zmierza? — Nie potrafiła przestać być sobą. Musiała dobiegać do mety, kiedy wszyscy inni byli jeszcze w blokach startowych. O ile było mu wiadomo, pochodziła z normalnej białej rodziny. Ale zaczęła kalkulować zapewne jeszcze w łonie matki. Jak krowy, które zawsze znają najkrótszą drogę do celu, Muriel miała własny układ orientacji przestrzennej, który niezawodnie wskazywał jej szlak odpowiadający jej interesom. Nawet kiedy była miła, co zdarzało się często, wyglądało na to, że waha się, zanim to okaże, jakby potrzebowała sekundy, żeby ocenić, czy coś jej to da.

Zastanawiając się nad odpowiedzią, opuścił wzrok i ze zdziwieniem zobaczył, że ma ziemię pod paznokciami. Poprzedniego dnia był w kolejnym małym domku w Point, który remontował, żeby posadzić trochę roślin zimozielonych, póki jest jeszcze na to czas. Matka wbijała mu do głowy, że zawsze powinien mieć czyste dłonie, i zaskoczyło go, że dopiero teraz zauważył ten brud pod paznokciami. Już samo to świadczyło, jak bardzo, odkąd się obudził dwadzieścia cztery godziny temu, jego myśli zaprzętał Wiewióra.

— Co ty na to, jeśli ci powiem, że mam tego wszystkiego dość? — powiedział. - Zbrzydło mi już szukanie lepszego życia. Co ty na to, jeśli ci powiem, że zacząłem to sobie wreszcie porządkować w głowie? - Pokazał jej swoje paznokcie. - Uprawiam ogródek.

— Ogródek?

— Lubię to. Sprawiać, że coś rośnie. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

— Larry... — powiedziała.

— Myślę, że wiem, czego mi potrzeba w życiu. A to, co jest między nami... nigdy nie podchodziliśmy do tego z nadmierną uczciwością. Jest wiele spraw...

— Jest — przerwała mu. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. -Ale... Larry... - Teraz ona miała kłopoty ze znalezieniem odpowiednich słów. Przesunęła się pod światło i zobaczył, że ma zamknięte oczy, a jej powieki drżą. — Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli ciągnąć to dalej. Ja nie mogę. Jestem już gdzie indziej.

To był kolejny cios, mocniejszy może niż ten w restauracji, i poczuł, że powietrze pali go w płucach. Jezu, pomyślał, jaki z ciebie pieprzony popapraniec. Odgrywasz sobie sztukę, kiedy kobieta właśnie ci powiedziała, że wychodzi za kogoś innego.

- Będę się czuł jak ostatni głupek — powiedział — jeśli się teraz rozryczę.

Pochyliła się ku niemu i dotknęła jego karku.

- Daj spokój, Larry. Jezu, to przecież nigdy nie miało być na zawsze. Daj spokój.

- O to mi właśnie chodzi — odparł. — Powinno być na zawsze.

- Było nam dobrze, Larry. Było dobrze na mnóstwo sposobów. Ale przede wszystkim była to ekscytująca jazda z przeszkodami. Chcieliśmy, żeby to tak właśnie wyglądało. Ukradkowe spotkania. Pieprzenie się do utraty tchu. Nie możesz jednak udawać, że tak wygląda normalne życie. Chcę powiedzieć, że kocham to za to, czym było. Było wspaniale. - Roześmiała się, szczerze ubawiona wspomnieniami, a następnie chwyciła go mocno za ramiona i zbliżyła twarz do jego twarzy. — Świetnie się bawiliśmy — dodała i położyła dłoń na jego udzie, żeby mu przypomnieć miłe chwile. Odtrącił ją, ale położyła ją ponownie. Powtórzyli to kilka razy, śmiejąc się, ciesząc się tymi fizycznymi zmaganiem i ulgą, jaką im to przyniosło. W końcu unieruchomił jej rękę, ale ona zdjęła drugą z jego ramienia i zanim zdążył ją odepchnąć, rozpięła mu rozporek.

- Nie potrzebuję ostatniej jazdy na kolejce górskiej, Muriel.

- Ale ja jej potrzebuję — odparła ze swoją zwykłą śmiałością i umieściła dłoń tam, gdzie była przedtem. Myślał, że jest tak zmęczony, że wszelkie jej zabiegi spełzną na niczym, ale się mylił. Pochyliła głowę i przez chwilę rozkoszował się tym, co mu dawała, ale potem ją odepchnął.

- Jesteśmy na parkingu, na litość boską.

Włożyła kluczyk do stacyjki i zjechała za róg, trzymając wolną rękę na jego wyprężonym członku i masując go przez całą drogę. Kiedy znowu zatrzymała samochód, zajęła się nim na całego. Larry popatrzył na aleję, w której zaparkowała, i uświadomił sobie, że są we właściwym otoczeniu - za tymi budynkami, pod liniami telefonicznymi, pośród porzrzucanych śmieci i pordzewiałych koszów na odpadki, przyjemność kupowało się tanio i zaznawało jej w biegu. Muriel robiła z tego ucztę: nie spiesząc się, muskała go wargami, przesuwając po

nim językiem, po czym brała go w usta, raz za razem. A przy tym cały czas obserwowała z uwagą i zrozumieniem reakcje, jakie wywoływały jej poczynania. To także była Muriel. Zuchwała. Patrzyła na jego męskość i rozkoszowała się władzą, jaką kobiecie daje to, że jest chętna. Boże, to jest popieprzone, powtarzał sobie w myślach, ja jestem popieprzony.

Kiedy doszedł, miał wrażenie, że krzyk, który mu się wyrwał, będzie trwał wiecznie.

13

22 maja 2001

Normalna

- Widzę, że nie może się pani ze mną rozstać — powiedziała Ruthie, strażniczka z więziennego szpitala, która prowadziła Gillian za pierwszym razem. Przytrzymała swym tęgim ciałem ciężkie drzwi do wartowni i zapraszająco wskazała Gillian drogę, jak starej znajomej. Skinęła również głową Arthurowi. — Powiedziała pani, jak mi się zdawało, że pani i Ernie skończyliście już rozmawiać — dodała, kiedy weszli za nią do tonącego w półmroku łącznika z kamienia i cegieł.

Arthur wyjaśnił, że porucznik zażądał obecności Gillian w czasie jego rozmowy z Erdaiem. Ruthie roześmiała się.

— Coś takiego — powiedziała — mamy już tyle różnych reguł, a oni muszą tworzyć nowe.

Doświadczenie Gillian całkowicie to potwierdzało. Gdy chodziło o sztywne przestrzeganie przepisów, funkcjonariusze więzienni stawali się klasą dla siebie samych. Co więcej, było wśród nich, co nieuniknione, sporo zwyczajnych sadystów, których cieszył widok ludzi w klatkach. Jednakże w Alderson Gillian poznała także wielu strażników podobnych do Ruthie, dobrodusznym i pogodnym, wykonujących tę pracę tylko dlatego, że było to najlepiej płatne zajęcie, jakie udało im się znaleźć, lub dlatego, że najlepiej się czuli pośród ludzi, którzy nie mogli patrzeć na nich z góry.

Zanim dotarli do szpitala, Ruthie zaproponowała, że odprowadzi Gillian, gdy tylko Arthur siądzie przy łóżku Erdaia, i dodała, że porucznik nigdy się o tym nie dowie. Wprawdzie Gillian była ciekawa, co Erdai powie, ale jej dni oceniania świad-

134

łców, porównywania ich zeznań z materiałem dowodowym, który miała w pamięci, już minęły. Odejście było dla niej najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Arthur, który coraz bardziej emocjonował się tym, co go za chwilę czeka, zniknął za drzwiami prowadzącymi do szpitala. Ruthie wróciła po kilku minutach, żeby odprowadzić Gillian przez labirynt korytarzy i krat do wyjścia.

W głównym budynku uprzywilejowany więzień, który pchał stalowy wózek, obrócił się dookoła, kiedy mijała go Gillian. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale założyła, że po prostu gapi się na nią. Tymczasem usłyszała swoje nazwisko.

— Czy pani nie jest sędzią Sullivan?

Idąca obok niej Ruthie wyprostowała się zaniepokojona, ale Gillian odpowiedziała:

— Kiedyś byłam.

— To Ralph - odezwała się Ruthie. — Jest w porządku. Zazwyczaj.

Ruthie żartowała i Ralph uśmiechnął się, ale wciąż patrzył na Gillian.

— Dała mi pani sześćdziesiąt lat — powiedział. - Czynna napaść przy użyciu niebezpiecznego narzędzia.

Gillian przyszło nagle do głowy, że może tu być jeszcze wielu innych więźniów, których skazała, ale tak była zajęta własnymi reakcjami, że zapomniała, co może jej grozić pośród tych mężczyzn. Jednakże teraz nie wyczuwała żadnego zagrożenia. Ralph był wysoki, brodaty, ale wyrósł już z wieku, kiedy mógłby być problemem dla kogokolwiek.

— Postrzeliłeś kogoś? - zapytała.

— Gościa, który był ze mną. Robiliśmy sklep z alkoholem. Sprzedawca sięgnął po broń, a ja zamiast niego trafiłem mojego współnika. Czy to nie parszywy pech? A prokuratura oskarżyła mnie o to i o napad z bronią w ręku. Nie mam nic przeciwko zarzutowi napadu, ale dlaczego siedzę tu za postrzelenie kogoś, kogo wcale nie chciałem postrzelić?

— Ponieważ chciałeś postrzelić sprzedawcę - odpowiedziała Gillian.

— Nie, nie chciałem. Byłem po prostu zdenerwowany.

— Mogłeś kogoś zabić.

— Taa, ale nie zabiłem. Widzi pani, dotąd tego nie rozumiem. Rozumiał. Chciał po prostu o tym porozmawiać. Myśl, że

tak wiele w jego życiu rozstrzygnęło się w jednej chwili, wciąż nie dawała mu spać po nocach.

— Teraz to już stare dzieje — powiedziała mu Ruthie.

— Taa, postarzę się, odsiadując ten wyrok - odparł Ralph. -Ale śmiał się, kiedy to mówił.

- Co u twojego partnera? - zapytała Gillian.

- W porządku. Tylko żołądek mu nawala od tego czasu. Dała mu pani tylko trzydzieści lat. Wychodzi w dwa tysiące trzecim.

— Nie miał broni.

Pokonany Ralph wrócił do swojego wózka. Wydawał się pogodzony z losem, ale za dzień lub dwa znowu nabierze przekonania, że cała ta sprawa była jednym wielkim nieporozumieniem.

Ruthie mówiła o nim przez całą drogę do wartowni, poinformowała nawet Gillian o jego kłopotach z rodziną. Jeśli chodzi o zachowanie pewnych spraw w tajemnicy, musiała uważać, że opowiada się o nich tylko jednej czwartej ludzi na świecie. Ale była słodka. Pomogła Gillian wydobyć torebkę ze schowka, w którym kazano jej ją zostawić, i jak dobry duszek odprowadziła ją aż do bramy po drugiej stronie wartowni, po czym pomachała do innego porucznika siedzącego za biurkiem, żeby otworzył zamek i wypuścił gościa.

Gillian pchnęła ciężką kratę i z więziennego półmroku wyszła na otwartą przestrzeń, zalaną światłem pięknego późno-wiosennego dnia. Była to pora spacerów i nawet stojąc na progu obu tych światów, słyszała pokrzykiwania i gwar rozmów toczonych gdzieś niedaleko przez więźniów. W Alderson obok więzienia przebiegały tory kolejowe. Zwykle jeździły po nich kilkudziesięciowagonowe pociągi ze lśniącym węglem, ale od czasu do czasu słychać było także stukot kół amtraka z Waszyngtonu do Chicago. Tory przebiegały tak blisko, że Gillian wyraźnie widziała pasażerów. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Z zazdrością, która była wręcz nie do wytrzymania, odprowadzała spojrzeniem pasażerów, mogących jechać tam, dokąd chcieli. Normalnych, jak ich nazywała w duchu.

Odwróciła się do Ruthie.

- Zapomniałam o czymś. Nie podałam czasu na liście wychodzących.

— Załatwimy to - odpowiedziała Ruthie.

- Chcę to zrobić sama. - Nie chciała. Chciała po prostu tam

136

^rócić i jeszcze raz dać znak, żeby jej otwarto bramę. Kiedy tym razem szcęknięła za nią zamek, poczuła się tak, jakby jego jnechanizm był w jakiś sposób podłączony do jej serca. Poczowała się jedną z Normalnych.

Usiadła na ławce pod drzewem w połowie drogi na parking. Obserwowała przechodzących obok ludzi. Wszyscy należeli do Normalnych. Tak jak ona. Później wyjęła z torebki książkę, którą właśnie czytała. To była Wojna peloponeska Tukidydesa. Duffy, który kochał klasykę, wcisnął jej to, i ku swemu zdumieniu stwierdziła, że znajduje wytchnienie w historii, w poznawaniu na nowo nauk z odległej przeszłości i relacji o dawno zapomnianej ludzkiej głupocie. Podejrzewała, że przyczyną jej dobrego samopoczucia jest przekonanie, że ona także pewnego dnia zostanie zapomniana, że jej grzechy zmyje wielka rzeka czasu, w której wszyscy ludzie stąpający po tej ziemi, z wyjątkiem jednego lub dwóch — naukowca, artysty - zostaną starci wraz z niąna coś niewiele bardziej pamiętnego od prochu. I dziś wreszcie poczuła, że może już zacząć zmierzać w tę stronę. Już po wszystkim, powiedziała sobie. Jeśli się tylko z tym pogodzi, będzie po wszystkim.

Nim wrócił Arthur, upłynęło ponad półtorej godziny. Gillian już się zastanawiała, czy nie pójść do miasta na coś zimnego do picia, kiedy w końcu wyłonił się z wartowni.

- Przepraszam, że trwało to tak długo. Chciałem się jeszcze zobaczyć z Rommym.

Odpowiedziała, że to nic nie szkodzi. Dzień okazał się znacznie lepszy, niż się spodziewała.

- Jak ci poszło z Erdaiem?

- Wspaniale — odparł. - Nie mogło pójść lepiej. — Jednakże coś z nim było nie tak. Wydawał się dziwnie roztargniony. Paj trzył przez chwilę w górę, unosząc głowę jak zwierzę próbujące zwietryć jakiś zapach. Nie powiedział nic więcej, zapytała więc w końcu, co sądzi o tym, co powiedział mu Erdai.

- Och, uwierzyłem mu. Absolutnie. To dlatego musiałem zobaczyć się z Rommym. Chciałem sam mu o tym powiedzieć. Musiałem się wyklócać z kapitanem, ale w końcu przyprowadzili go na dół na kilka minut. -Arthur uśmiechnął się nagle. -Nie mógł zrozumieć, dlaczego jestem taki zaskoczony. „Mówiłem, że nie mam z tym nic wspólnego”, powiedział. Jest podekscytowany perspektywą wyjścia stąd, ale nie ruszyło go, gdy Powiedziałem, że jest niewinny. Pamela zawsze w to wierzyła.

137

Rommy jest niewinny. —Arthur popatrzył na żwir leżący wokół pnia drzewa i powtórzył: — Rommy jest niewinny.

- Mogę o coś zapytać? Czy Erno dał Gandolphowi alibi? A może mówi, że wie, kim jest zabójca?

— Och, wie — odparł Arthur. — To był on. Erdai. Niesamowita historia. Ale wszystko pasuje. Każdy szczegół. I to musi być prawda. Dlaczego umierający człowiek miałby kłamać? Zabił tych troje ludzi sam. Erdai to zrobił. — Jakby przygnieciony wagą tego, co właśnie powiedział, Arthur opadł na ławkę obok niej.

Gillian czekała. Nie była pewna, czy chce wiedzieć więcej. Niezależnie od tego, jak bardzo chciała się odciąć od przeszłości lub stępić swoją zdolność oceny faktów, cała ta historia od razu wydała jej się nieprzekonująca. To, że umierający więzień z tego samego zakładu, w którym siedział Gandolph, wziął na siebie odpowiedzialność za tę zbrodnię, było zbyt wielkim zbiegiem okoliczności.

Sądząc po dziwnym zachowaniu Arthura, uznała początkowo, że wbrew temu, co powiedział, podziela jej wątpliwości. Jednakże teraz zaczęła podejrzewać, że jego reakcja jest przeciwieństwem jej sceptycyzmu. Przed laty jej pierwszy szef w prokuraturze, Raymond Horgan, teraz starszy wspólnik Arthura, powiedział jej, że kiedy miał prywatną praktykę, trzymał w szufladzie biurka kartkę z wykaligrafowanym własnoręcznie zdaniem, które nazywał modlitwą adwokatów: „Boże, chroń mnie od niewinnych klientów”.

Uświadomiła sobie, że przekonany przez Erdaia Arthur stanął niespodziewanie na najwyższym urwisku w swojej zawodowej karierze. Miał w rękach życie Rommy'ego Gandolpa, życie niewinnego człowieka. Sprawiedliwość, a w gruncie rzeczy cała istota prawa - że wprowadzi ono więcej uczciwości do tych kilku elementów życia, nad którymi człowiek ma władzę — zależała teraz od niego. Główną zmienną tego równania był on -jego praca, jego rozum, jego zdolność do poprowadzenia i wygrania najbardziej doniosłej bitwy znanej cywilizowanemu społeczeństwu. W ciemnobrązowych oczach Arthura widać było

przerażenie.

CZĘŚĆ DRUGA Postępowanie

14

12 czerwca 2001

Główny zastępca

Muriel Wynn, główny zastępca oskarżyciela publicznego hrabstwa Kindle, siedziała przy swoim biurku, przekładając papiery. W tej pracy odkryła, że ma zamięrowanie do porządku, czego przedtem jakoś nie dostrzegała. W szafie w jej sypialni i na liście zakupów wciąż królował chaos, ale kiedy znalazła się w swoim gabinecie, zawsze górę brała bardziej zorganizowana strona jej natury. Rzeczy na jej biurku, długim na prawie osiem stóp, były uporządkowane z wojskową wręcz precyzją. Jego blat przecinały szanice papierów — aktów oskarżenia, wewnętrznych notatek, listów — poukładanych równo, w jednakowych odległościach od siebie. Korespondencja dotycząca przyszłorocznej kampanii wyborczej na stanowisko oskarżyciela publicznego, która już niedługo zacznie się na serio rozwijać, była już oddzielona i bezpiecznie umieszczona w górnym kawa-drancie, skąd Muriel miała zamiar zabrać ją pod koniec dnia, żeby w domu, w wolnym czasie, zastanowić się nad nią.

Wraz z sygnałem dźwiękowym na ekranie jej komputera pojawiła się wiadomość: „12:02. Detektyw porucznik Starczek jest tu w drodze na przesłuchanie”. Przywitała się z Larrym w dużym pomieszczeniu przed jej gabinetem, gdzie między biurkami biegało sześcioro asystentów, a za starą mahoniową barierką czekali interesanci. Po drugiej stronie, obsługiwane Przez ten sam sekretariat, znajdowało się biuro oskarżyciela Publicznego, które Ned Halsey, jej szef od dziesięciu lat, był gotów jej przekazać, gdy tylko w przyszłym roku wyborcy powiedzą tak.

Wybierając się do sądu, Larry włożył krawat i sportowąlnia-

141

ną marynarkę, jedno i drugie dość eleganckie. Lubił dobre ubrania, chociaż nie leżały już teraz na nim tak dobrze jak kiedyś. Był wielki i otyły, a te włosy, które mu jeszcze pozostały, jedwabiste i siwiejące, miał starannie zaczesane. Zachował jednak ten zniewalający sposób bycia, który wynika ze świadomości, kim się jest. Na jej widok uśmiechnął się szeroko, a ona wyczuła jego rozbawienie — jest coś zabawnego i przyjemnie łaskoczącego w tym, że życia nie sposób zgłębić, że ludzie się rozchodzą, idą własnymi drogami i jakoś udaje im się przetrwać.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odparł Larry.

Zapytała, czy ma coś przeciwko temu, żeby jadąc do sądu, zatrzymali się na lunch.

— Pomyślałam sobie, że moglibyśmy coś zjeść po drodze i pogadać o tym głupim przesłuchaniu.

— Cool — odpowiedział Larry.

Słyszając, że zaraził się słownictwem swoich synów, uśmiechnęła się szeroko i zapytała, co u nich.

— Zastanawiam się, czy oni są moi. Często myślę, że spłodził ich szatan, i to w pośpiechu. — Trzymał ich zdjęcia w portfelu. Michael miał dwadzieścia lat i studiował w Michigan. Młodszy, Darrell, był, podobnie jak ojciec i brat, gwiazdą swojej szkoły średniej, chociaż grał w piłkę nożną, a nie w futbol. Pewnie zdobędzie stypendium sportowe, dodał Larry. - O ile go przedtem nie zabiję. Ma straszny charakterek. Moi rodzice jeszcze żyją, oczywiście, i obserwują jego oraz mnie, jakby oglądali stare filmy rodzinne. To dla nich istny ubaw.

Muriel wzięła go na chwilę do swojego gabinetu, żeby pokazać mu zdjęcia Theo, pierwszego wnuka Talmadge'a. Miał dopiero trzy lata, ale już było oczywiste, że będzie taki jak dziadek, wielki i szeroki w barach. Ten mały słodki facecik, był najdroższą osobą w jej życiu.

— Własnych nie macie, ty i Talmadge? - zapytał Larry. Było to pytanie, na które nienawidziła odpowiadać, ale Larry wyraźnie nie miał nic złego na myśli. Chciał się tylko upewnić, czy go pamięć nie myli.

— Jakoś nie wyszło - odparła i skierowała go w stronę drzwi. W windzie Larry poprosił, żeby wytłumaczyła, czego ma

dotyczyć to przesłuchanie.

— Raven wniósł o wysłuchanie zaprzysiężonego zeznania faceta nazwiskiem Erdai, którego podobno znasz.

142

— Znam.

— Cóż, Arthur chce, żeby to zeznanie zostało złożone w obecności sędziego, który może je teraz uwiarygodnić, a to dlatego, że Erna nie będzie na rozprawie, jeśli zostanie wznowiona. Umiera na raka.

— Umiera? Jezu, przez ostatnie parę lat jego sprawy przybrały koszmarny obrót. Znasz tę historię?

Przed czterema laty jako szefowa wydziału brutalnych przestępstw oceniała dokumentację sprawy Erdaia. Były kadet akademii policyjnej, członek kadry kierowniczej TN i solidny obywatel wpada w szal w barze dla gliniarzy. Erna reprezentował Mel Tooley i bardzo się starał uzyskać dla niego dozór sądowy. Ściągnął nawet adwokata ofiary, Jacksona Airesa, aby powiedział, że nie zgłasza

żadnego sprzeciwu. Nie mogła jednak odpuścić facetowi kary więzienia tylko dlatego, że mieszkał w dzielnicy podmiejskiej. Co tydzień zamykali w tym mieście ponad dwudziestu czarnych mężczyzn za to, że kogoś postrzelili. Erno musiał odsiedzieć swoje.

— Nawiasem mówiąc, co u starego Arthura? — zapytał Larry.

— Wciąż pracuje z takim zaangażowaniem, jakby od tego zależało jego życie. Wszystko u niego w porządku.

— Zawsze lubiłem, gdy on zajmował się moimi sprawami. Wiesz, był raczej koniem do orki, a nie wyścigowym, ale doprowadzał wszystko do końca.

— Cóż, to właśnie robi teraz. Doprowadza coś do końca. Krzywił się, kiedy sąd apelacyjny wyznaczył go do tej sprawy, ale teraz wynajduje coraz to nowe rzeczy. W tym tygodniu twierdzi, że Erdai jest świadkiem wielkiej wagi.

— Taa, wielkiej wagi — powiedział Larry. - A komu ten ciężar spadnie na głowę?

— No właśnie. - Uśmiechnęła się. — Masz coś do wyjaśnienia, Larry. We wniosku jest mowa o tym, że Erdai próbował zwrócić ci uwagę na dowody mogące oczyścić skazanego z zarzutów, a ty te dowody ukryłeś.

— Nie cierpię tego robić - odparł Larry, po czym szybko dodał, że ta cała koncepcja to kompletna bzdura. - Erno napisał do mnie z pudła kilka listów, szukając pomocy, podobnie zresztą jak do połowy policjantów z tego miasta. Co, u diabła, miałem zrobić? Wysłać mu kartkę z wyrazami współczucia? Rozumiem, że Erno przeszedł w pace do innej drużyny. Ma jakiegoś asa w rękawie, zgadza się?

143

— Musi mieć. Tydzień temu poprosiłam go o rozmowę, ale odmówił. Personel w Rudyard nie ma pojęcia, co on zamierza.

Kilka przecznic od sądu Muriel zatrzymała się przy Bao Din,

— Wciąż lubisz chińszczyznę? — zapytała.

— Jasne. Ale nic naprawdę pikantnego.

Była to restauracja w starym stylu, z bambusową zasłoną nad wejściem i stolikami pokrytymi laminatem, a w powietrzu unosił się intensywny zapach oleju arachidowego i egzotycznych przypraw. Muriel nie mogła się wyzbyć podejrzeń na temat tego, co tutaj w kuchni uchodziło za mięso, które podawano z warzywami. Mimo to często tu wpadała i jako stały bywalec oraz osoba wpływowa została ciepło

przywitana przez Lloyda Wu, właściciela, któremu przedstawiła Larry'ego.

Ze względu na naturę zarzutów przedstawionych we wniosku, nie miała wyboru i musiała poprosić Larry'ego, żeby wziął udział w przesłuchaniu, chociaż przez ostatnie dziesięć lat widywali się dosyć przypadkowo i z reguły nie dłużej niż dziesięć minut. Kiedy przychodził w związku z jakąś sprawą do prokuratury, czasem do niej wpadał. Po kilku chwilach badali sobie puls, rozmawiali o jego dzieciach, policji i jej biurze. Dużo się śmiali. Po jego wyjściu zwykle czuła, że zrobiła błąd, flirtując z nim. Nie z powodu samego Larry'go — ten starszy Larry był znacznie łatwiejszym przypadkiem niż mężczyzna, którego poznała przed siedemnastu laty na studiach prawniczych. Ale należał do przeszłości, którą podświadomie odsunęła na bok, do czasów młodej, zagubionej Muriel, kobiety, która była bardziej złośliwa, lekkomyślna i nieszczęśliwa niż obecny model.

Jednakże dziś potrzebowała Larry'ego. Gliniarze nigdy nie zapominają szczegółów swoich śledstw. Carol Keeney, która nadzorowała apelacje i przez ostatnie kilka lat zajmowała się tą sprawą, zbliżając się mozolnie do rozstrzygnięcia, czyli egzekucji, nie znalazła w aktach żadnej wzmianki o Erdaiu, ale Larry szybko przypominał Muriel, jak doszło do aresztowania. Erno doprowadził go do Collinsa, a Collins do Wiewióry. Nie zdawała sobie sprawy, że Erno był pierwotnym źródłem. Z zamkniętymi oczami zastanawiała się nad wszystkim, szukając jakiegoś słabego punktu w akcie oskarżenia, ale niczego nie znalazła. Pochyliła się nad stołem.

— Z uwagi na stare czasy, Larry. Tak między nami dziewczynkami. Czy jest coś, czym powinniśmy się martwić? Puść wodze fantazji, pomyśl, w co oni mierzą.

144

- Masz na myśli coś, co wie Erno?

- Jako przeciwieństwo czego?

- Nie jesteś dziewicą, Muriel — powiedział Larry, zbliżając się do granicy, o której istnieniu rzadko mówiono otwarcie. Była prawda ulicy i prawda sądu, a dobry policjant, taki jak Larry, wiedział, jak nie rozgrywać tego w pośpiechu i chaotycznie, sprawić, żeby jedna potwierdzała drugą. Puściła tę uwagę bez komentarza. — Jakie to oczyszczające z zarzutów dowody miałem jakoby ukryć? — zapytał.

- Arthur nie chciał mówić, a my sami nie potrafiliśmy się tego dowiedzieć. Kiedy spłynął ten wniosek, wysłałam tam Carol, która czymś rozdrażniła sędziego, przez co tym chętniej zgodził się go uwzględnić.

Larry jęknął.

- Wiesz, jak to jest, Larry. Harold należy do tych, którzy uważają, że wyznaczony adwokat zasługuje na każdą szansę, zwłaszcza w sprawach o przestępstwa karane śmiercią. Poza tym pewnie lubi Arthura. Jego kancelaria prowadzi wiele spraw federalnych.

- Kapitalnie — mruknął Larry. — Uwielbiam sąd federalny. Jest jak klub Union League. Wszyscy rozmawiają bardzo cicho i uśmiechają się do siebie, ponieważ nie są biednymi wieśniakami.

Muriel ponownie się roześmiała. Zapomniała już, jak zabawny potrafił być Larry i jak trafne były jego oceny. Jako główny zastępca oskarżyciela publicznego hrabstwa i jego prawie pewna następczyni była bardzo dobrze traktowana podczas tych rzadkich obecnie okazji, kiedy wkraczała na sale sądu stanowego. Sędziowie sądu drugiej instancji byli obieralni, co znaczyło, że prędzej czy później każdy z nich może startować razem z nią w wyborach o ten sam stołek. Natomiast sąd federalny był zupełnie innym światem, w którym sędziów mianowano dożywotnio. Muriel była tam tylko kilka razy w całej swojej karierze i jej zdanie o systemie federalnym w dużej mierze pokrywało się z tym, co mówił Larry.

- Myślę, Lar, że Harlow po prostu pozwala Ravenowi, żeby zrobił w tej sprawie wszystko, na co go stać. W ostatecznym rachunku wszystko będzie dobrze.

Larry pokiwał głową. Wyglądał na uspokojonego. Kiedy jeszcze razem studiowali prawo, on pierwszy poznał się na jej zdolnościach. W sprawach prawnych zawsze była dla niego wyrocznią.

145

— Myślisz więc, że nie wyląduję w jednej celi z Ernem? -zapytał. — Zawsze miałem nadzieję, że znajdę sposób, by spokojnie skończyć z tą robotą.

— Nigdy nie rzucisz pracy.

— Co ty nie powiesz. Złożyłem już papiery, Muriel. W listopadzie kończę pięćdziesiąt pięć lat i pierwszego stycznia dwa tysiące drugiego roku przechodzę na emeryturę. Ludzie zawsze będą się zabijać. I wiem już na ten temat wszystko, co chciałem wiedzieć. Poza tym w przyszłym roku zamierzają mianować nowego komendanta, którym zostanę albo ja, co jest śmieszne, albo ktoś inny, co jest nawet głupsze. Nadszedł czas. I wiesz co? Pamiętasz ten mój interes z odnawianiem domów? Pracuje teraz dla mnie sześciu facetów. Pięćdziesiąt cztery lata to za dużo na dwie posady.

— Sześciu facetów?

— W zeszłym roku oddaliśmy ponad osiem domów.

— Rany, Larry. Jesteś bogaty.

— Nie tak jak ty i Talmadge, ale jest całkiem dobrze. Jestem o wiele zamożniejszy, niż się tego spodziewał ktokolwiek z mojej rodziny. Mam też akcje. To wszystko jest sporo warte, ale mam też długi. Mimo to... — Uśmiechnął się, jakby był ciągle zdumiony, że tak mu się powiodło, po czym zapytał, jak jej się wiedzie.

— Dobrze — odparła i na tym poprzestała. Brała udział w tym jedynym w swoim rodzaju kobiecym wyścigu, który zaczynał się każdego dnia rano od uporczywej, niepokojącej myśli, że w żadnym razie nie starczy jej czasu na załatwienie wszystkiego, lęku, który nie tak jak inne, był mocno zakorzeniony w faktach. Zawsze miała wrażenie, że nic z tego, co zrobiła, nie wyszło jej idealnie — w pracy, w małżeństwie, nawet w roli przybranej matki. Koncentrowała się na tych sprawach i starała zapominać o rozczarowaniach.

v — A co z twoim małżeństwem? — zapytał. Roześmiała się głośno.

— Dorośli nie wypytyują się nawzajem o swoje małżeństwa, Larry.

— Dlaczego nie?

— W porządku, a jak tam twoje małżeństwo? Nigdy nie wyprowadziłeś się z domu, prawda? Podpisaliście z Nancy traktat pokojowy?

— Wiesz, jak to jest — odparł Larry. — Ty mnie nie chciałaś,

146

a więc każda inna byłaby gorsza. — Nie brzmiało to zbyt przekonująco, ale uśmiechał się. — Nie, chcę powiedzieć, że jest w porządku. To dobra kobieta. Naprawdę dobra. Co można powiedzieć o kobiecie, która adoptuje twoje dzieci? Nic złego. Życie nie jest doskonałe, zgadza się?

— Najwyraźniej.

— Coraz więcej myślę o moich dziadkach ze strony mamy. Kiedy dziadek miał szesnaście lat, rodzice posłali go do terminu u kołodzieja - tak sobie wyobrażali zawód z przyszłością - i wybrali mu żonę. Pierwszy raz zobaczył swoją babcię dwa lata później, na trzy dni przed ich ślubem. A kiedy się przerzuciło stronicie tej książki o sześćdziesiąt pięć lat w przyszłość, oni wciąż szli przez życie razem. Nigdy też nie padło między nimi żadne złe słowo. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Kiedy to mówił, bawił się gałką taniego czajniczka ze stali. Słuchając go, Muriel stwierdziła z zaskoczeniem, że jest odprężona. Okazało się, że są w życiu więzi, których nie można zerwać. A jedną z nich jest to, że się z kimś spało. Przynajmniej dla niej. I przypuszczalnie dla większości ludzi. Do końca swych dni będzie nosiła z sobą kawałek Larry'ego.

- W porządku, teraz twoja kolej - powiedział. — Nie jest ci ciężko? Patrząc na Talmadge'a, kiedy go czasem widzę w telewizji, i szczerze mówiąc, myślę sobie, że dotrzymanie mu kroku może być trudne.

- Małżeństwo z Talmadge'em nie stawia mi zbyt wielkich wymagań. Mam mieć tylko poczucie humoru i czarną suknię. — Roześmiała się, słysząc własne słowa, ale zaniepokoił ją ich podtekst. Przeżyła te wszystkie lata, myśląc, że nigdy nie zadowoliliby się kimś mniejszego kalibru, jak inni ludzie. Normalni. Przeciętni. Średni. - Talmadge to Talmadge, Larry. To jak jazda w rydwanie boga Słońca. Zawsze czujesz żar. - Te słowa wciąż wystarczały, żeby poczuła, jak mięknie jej kolana.

Jej mąż był uosobieniem Amerykańskiego Sukcesu. Latał gdzieś samolotem trzy lub cztery razy w tygodniu, miał klientów na całym świecie, w tym kilka rządów. Dom dla Talmad-ge'a był generalnie miejscem, gdzie mógł bezpiecznie zdjąć promienną maskę, którą prezentował publicznie, i odsłonić swoje zaskakująco posępne wnętrze. Siedział do późna w nocy, sącząc whisky, rozmyślając i opatrując odniesione na swoich polach bitew rany, których przedtem, napędzany adrenaliną, nie czuł. Chociaż częściej rozmiary jego sukcesu przyprawiały go

147

o zawrót głowy, to kiedy wpadał w jeden ze swych ponurych, nastrojów, zdawał się wierzyć, że los obsypał go łaskami tylko po to, by go w końcu poniżyć, dowieść, że nie był tego wszyst- | kiego godzien.

— Szanuje mnie — powiedziała - i to wiele dla mnie znaczy. Słuchamy siebie nawzajem. Dajemy sobie wiele rad. Spędza- h my dużo czasu na rozmowach. Jest dobrze. if

— Małżeństwo gigantów — skwitował. - Superadwokat i Su- \ peroskarżyciel Publiczny.

Muriel irytowało to, że ambitną kobietę znacznie łatwiej akceptowano, gdy występowała jako żona ambitnego mężczyzny. Jednak prawdę powiedziawszy, domyślała się już tego, kiedy wychodziła za Talmadge'a.

— Nikt mnie jeszcze nie wybrał, Larry.

— Nie możesz przegrać. Kto, do diabła, ośmieli się wystąpić jako twój konkurent? Wszyscy z organów ścigania stoją murem za tobą. Na twoją korzyść działa to, że jesteś kobietą, nie wspominając już o wszystkich kumplach Talmadge'a z otwartymi książeczkami czekowymi. W gazetach piszą, że przed końcem swojej kadencji będziesz senatorem.

Senator. Burmistrz. Czytała o tym. Zdając sobie jednak sprawę, że na takie szczyty można dotrzeć jedynie czystym trafem, nie traktowała tego serio, lecz jedynie rozrywkowo, jako bezpodstawną spekulację.

— To jest praca, której chcę, Larry. Szczerze mówiąc, biorę udział w wyborach, ponieważ to takie łatwe. Talmadge będzie kierował kampanią przez telefon. Mimo to nadal będę się zastanawiała, w co się pakuję.

— Bzdura. To zawsze było twoje marzenie.

— Nie wiem, Larry. — Zawahała się, próbując ustalić, dokąd niesie ją nurt tej rozmowy, po czym poddała się, jak zawsze, gdy w grę wchodził Larry. — Jeszcze rok temu wciąż miałam nadzieję, że będę się musiała poważnie zastanowić, czy nie zrezygnować z kandydowania. W końcu jednak musiałam stawić czoło prawdzie, że nigdy nie zajdę w ciążę. To było moim priorytetem, naprawdę. Tak dużo wiem o płodności... - Przerwała. Nigdy w życiu nie rozczułała się nad sobą, ale kiedy myślała o latach badań, leczenia, irygacji, obserwowania zegara, liczenia dni, mierzenia temperatury, ciągle budzących się nadziei, wydawało jej się czasem, że pamięć o tym wszystkim wystarczy, żeby poczuła się pokonana. Kiedy była młodsza, nigdy nie

148

przyszło jej do głowy, dokąd ją zaprowadzi to pragnienie, by zostać liczącą się w świecie osobistością. Ale to ślubowanie z dzieciństwa o pozostawieniu za sobą jakiegoś trwałego śladu doprowadziło do tego, gdy zajęła się tym natura, że rozgorzało w niej straszliwe pragnienie powtórzenia się, wychowywania, żywienia, uczenia, kochania. Żadne z uczuć, jakich doświadczyła w życiu, ani niezaspokojone libido, ani głód, ani nawet ambicja, nie mogło się równać z siłą z jaką ta potrzeba wyrosła w niej po tym, gdy wyszła za męża. Czuła się tak, jakby jej serce wznosiło się na ogromnym, obracającym się kole — pod którym, z czasem, zostało zmiażdżone. Nad jej życiem zawisło poczucie nieobecności, żałoba, która będzie trwała do końca jej dni.

Larry słuchał tego z niepokojem, nie odrywając od niej niebieskich oczu. W końcu powiedział:

- Cóż, masz mój głos, Muriel. Chcę, żebyś została oskarżycielem publicznym. To dla mnie ważne, żebyś dostała to, czego chcesz. — Na jego twarzy zobaczyła zdecydowanie. To było słodkie odkrycie, że wciąż jest jej niezłomnym i oddanym przyjacielem.

Pospierali się trochę przy rachunku, ale Larry uparł się, że to on zapłaci. Przypomniawszy jej, że jest, jak to sama powiedziała, bogaty. Następnie poszli, przeciskając się przez tłum ludzi idących na lunch lub wracających z niego, do starego budynku sądu federalnego. Kenton Harlow, przewodniczący sądu dystryktowego, wyznaczył siebie do wysłuchania zaprzysiężonego zeznania świadka, zamiast obarczyć tą sprawą sędziego pokoju. Kwestie proceduralne w tym wypadku były już i tak niezmiernie pogmatwane, po części jako efekt uboczny niedawnych wysiłków Kongresu, by ukrócić nie kończącą się paradę apelacji i ataków związanych ze sporem o karę śmierci. Sąd apelacyjny, który nigdy nie wysłuchiwał zeznań świadków na żywo, zarezerwował sobie mimo to prawo do oceny uzyskanego w wyznaczonym czasie materiału dowodowego i podjęcia we własnym gronie decyzji, czy sprawa ma być kontynuowana, co zwykle należało do kompetencji sędziów sądu powszechnego, przed którym toczyła się rozprawa. Nikt z ludzi, z którymi rozmawiała Muriel, nie brał udziału w postępowaniu toczącym się zgodnie z taką procedurą.

Sędzia Harlow przewodniczył posiedzeniom w tak zwanej Sali Ceremonialnej. Biorąc pod uwagę ilość brązowego marmuru za stołem sędziowskim, to ogromne pomieszczenie można

149

było pomylić z kaplicą. Jednakże uwagę Muriel przykuło coś innego. W pierwszym rzędzie ławek z orzecha, na szkarłatnych poduszkach, zebrała się grupa przedstawicieli prasy, nie tylko stałych, znużonych już swoją pracą reporterów sądowych, ale także dziennikarzy telewizyjnych. Byli tam Stanley Rosenberg z Kanału Piątego, Jill Jones, kilkoro innych — jak również dwóch rysowników. Jedynym powodem obecności takiej publiczności mogło być to, że Arthur dał im cynk, obiecując, że będą świadkami wielkich wydarzeń.

Wyczuwając, co się zapowiada, chwyciła Larry'ego za ramię i żeby zrozumiał powagę sytuacji, wyszeptała słowo, które często słyszał w Wietnamie:

— Nadciągają.

15

12 czerwca 2001

Zeznania Erna

— Proszę podać imię i przeliterować swoje nazwisko do protokołu.

— Erno Erdai — powiedział i wyrecytował wszystkie litery.

Zza swego stołu górującego nad miejscem dla świadków sędzia Harlow powtórzył nazwisko Erdaia, aby mieć pewność, że dobrze je usłyszał. - Air-dai? - zapytał. Oto cały Harlow, pomyślał Arthur. Będzie traktował Erdaia uprzejmie, przykładając szczególną wagę do tego, by prawidłowo wymawiać jego nazwisko, nawet gdy się dowie, że Erno strzelał w swym życiu do pięciorga osób, z czego cztery zabił.

Wygląd sędziego Kentona Harlowa najczęściej nazywano lincolnowym. Był szczupły, mierzył prawie sześć stóp i cztery cale wzrostu, miał niewielką bródkę oraz twarz o imponujących, wyrazistych rysach. Był bezpośredni i gorąco przywiązany do konstytucyjnych ideałów. Jednak te porównania z Lincolnem w żadnym razie nie wzięły się z niczego — był on dla niego wzorcem przez całe dorosłe życie. Gabinet sędziego ozdabiała najrozmaitsze pamiątki po Lincolnie, od pierwszego wydania jego biografii pióra Carla Sandburga po liczne popiersia, maski i brązowe statuetki Uczciwego Abe'a w różnym wieku. Jako prawnik, nauczyciel, znany konstytucjonalista i kierują-

150

cy wydziałem praw obywatelskich zastępca prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych w administracji Cartera, Harlow utrzymywał zasady, które przypisywał Lincolnowi, wynikające z wiary w prawo jako najpiękniejszy kwiat humanizmu.

Wstępne przesłuchanie Erna prowadził Arthur. Erdai był znacznie chudszy niż trzy tygodnie wcześniej, kiedy widział go w więzieniu, a płuca zaczęły go już wyraźnie zawodzić. Urzędnicy sądowi odtoczyli do miejsca dla świadków wózek z butlą z tlenem i wsadzili Erdaiowi do nosa podłączoną do niej przezroczystą rurkę. Mimo to wydawało się, że Erdai jest w dobrym nastroju. Chociaż Arthur powiedział mu, że to nie jest konieczne, Erno uparł się, że włoży garnitur.

— Wysoki sędzie, do protokołu. — Muriel Wynn wstała zza stołu oskarżenia, żeby ponowić swój sprzeciw wobec całego postępowania. Arthur dzwonił do niej kilkanaście razy w sprawie Rommy'ego, ale nie spotkał się z nią od kilku lat. Czas obszedł się z nią łagodnie. Często tak jest ze szczupłymi ludźmi, pomyślał. W jej gładko zaczesanych czarnych włosach dostrzegł siwe nitki, robiła sobie też teraz makijaż, ale nie tyle z uwagi na wiek, uznał, ile ze względu na to, że jako prominentna osoba była często fotografowana.

Kiedy pracowali razem w prokuraturze, byli sobie równi, i Arthur cenił sobie znajomość z nią, jak i z większością byłych kolegów. Martwiło go, że po dzisiejszym dniu będzie patrzyła na niego tak, jak zazwyczaj oskarżyciele patrzą na obrońców: jak na kolejnego porządnego śmiertelnika, którego duszę wyssały reprezentowane przezeń wampiry. Jednakże jego obowiązki wobec Rommy'ego nie pozostawiły Arthurowi wyboru. Nie mógł powiedzieć Muriel, co się szykuje, bo naraziłby się na to, że będzie się domagała przełożenia terminu przesłuchania, aby mieć czas na zbadanie twierdzeń Erdaia, licząc, że jego stan zdrowia tak się pogorszy, iż nie będzie mógł zeznawać, lub nawet, że uda się go tak przycisnąć w więzieniu, iż wszystko odwoła.

Z werwą, która, jak się Arthurowi zawsze wydawało, po części musiała być konsekwencją jej wzrostu, Muriel przedstawiała Harlowowi argumenty, że Gandolph wyczerpał już wszystkie przewidziane przez prawo możliwości uniknięcia śmierci.

- Myśli więc pani, pani Wynn - odezwał się sędzia - że nawet jeśli policji znane były fakty pozwalające uwolnić pana Gandolpha od winy, to w świetle konstytucji, federalnej

151

konstytucji - dodał, figlarnie sugerując, że stan kieruje się prawem dżungli - jest już za późno, żebym wziął je pod uwagę?

— Uważam, że tak stanowi prawo — odparła Muriel.

— Cóż, jeśli ma pani rację — rzekł sędzia — to niewiele pani straci, wysłuchując tego, co pan Erdai ma do powiedzenia. -Harlow, zawsze najlepszy prawnik na sali rozpraw, uśmiechnął się łagodnie. Powiedział Muriel, żeby usiadła, i kazał Arthurowi zadać następne pytanie.

— Przebywam w skrzydle szpitalnym Stanowego Więzienia w Rudyard - odparł Erno.

— A z jakiego powodu tam pana umieszczono?

— Mam czwarte stadium nowotworu złośliwego płuc— Erno zwrócił się w stronę sędziego. — Zostały mi mniej więcej trzy miesiące.

— Przykro mi to słyszeć, panie Erdai - powiedział Harlow. Z przyzwyczajenia sędzia rzadko unosił wzrok znad swych notatek i nawet teraz, wyrażając więźniowi współczucie, nie zmienił tej ustalonej przez lata praktyki. Arthur uczestniczył w kilku prowadzonych przez niego ważnych rozprawach, podczas których wielokrotnie dawał on wyraz, że aprobuje jego skromność i pracowitość. Arthur, ze swojej strony,

ogromnie szanował Harlowa, którego orzeczenia w różnych sprawach uważnie analizował jeszcze podczas studiów. Sędzia był wielkim człowiekiem, ale często zachowywał się niesfornie. Bywał zrzędlivy, a nawet wybuchowy. Ten liberał starej daty, dorastający podczas Wielkiego Kryzysu, każdego, kto nie podzielał jego poglądów na temat demokratycznego społeczeństwa, uważał za niewdzięcznika albo chciwego bachora. Od lat nieprzerwanie toczył walkę z konserwatywnymi sędziami sądu apelacyjnego, krytykując ich częste decyzje o zaostrzeniu wyroków sądów niższej instancji i regularnie próbując zdobyć nad nimi przewagę. Arthur postanowił wykorzystać te nieustające zmagania dla dobra Gandolpha. Harlow nie ukrywał niechęci do nowego ustawodawstwa, które dawało sądowi apelacyjnemu większe niż sędziemu o jego pozycji prawo przerywania kolejnych postępowań habeas corpus w sprawach, w których zapadł wyrok śmierci. Dlatego też natychmiast podchwycił sugestię Arthura, żeby to on, Harlow, ocenił wiarygodność Erna, ponieważ zgodnie z tradycją sąd apelacyjny nie mógł zignorować jego wniosków. Dzięki temu odzyskał dużą część władzy pozwalającej mu decydować o tym, czy sprawa ma się toczyć dalej.

152

- Czy został pan kiedykolwiek skazany za popełnienie przestępstwa? — zapytał Arthur Erdaia.

- Tak. Cztery lata temu pokłóciłem się w barze z facetem, w którego sprawie prowadziłem kiedyś dochodzenie, i skończyło się to tym, że postrzeliłem go w plecy. Na początku groził mi bronią, ale nie powinienem był do niego strzelać. Na szczęście wrócił do zdrowia, ale przyznałem się do czynnej napaści przy użyciu niebezpiecznego narzędzia i skazano mnie na dziesięć lat. — Erno chwycił mikrofon, który przypominał poczerńiały strączek jakiegoś chwastu na zgiętej łodydze, i przyciągnął go do samych ust. Miał chropawy głos i często brakowało mu tchu, co powodowało przerwy w jego wypowiedziach. Ale wydawał się spokojny. Kiedy mówił wolno, bardziej oficjalnie, jego lekki gardłowy akcent, trochę jak Drakuli, był wyraźniejszy niż gdy wcielał się w swoją ulubioną rolę twardziela z Kewahnee.

Arthur pytał teraz o przeszłość Erna, poczynając od jego narodzin na Węgrzech, aż po kolejne szczeble kariery w TN. Harlow pilnie to wszystko notował. Gotowy już przejść do najważniejszych spraw, Raven spojrział na siedzącą przy stoliku obrony Pamelę, chcąc się upewnić, czy o czymś nie zapomniał. Promieniejąca niecierpliwością Pamela pokręciła przecząco głową. Arthurowi jakoś przewrotnie zrobiło się żal dziewczyny. W pierwszym roku praktyki miała oto przeżyć tryumf, jakiego być może nigdy już nie uda się jej powtórzyć. Możliwe, że po tej sprawie nigdy już się nie zadowoli tym, co satysfakcjonuje wszystkich innych prawników. Po

chwili jednak Arthur uświadomił sobie, że to równie dobrze może być prawdą i w jego wypadku. Stwierdził, że możliwość, iż następne pytanie zmieni jego życie, sprawia mu przyjemność.

- Przejdźmy do czwartego lipca 1991 roku, panie Erdai. Może pan powiedzieć, co pan robił we wczesnych godzinach rannych tego dnia?

Erno poprawił rurkę tkwiącą w jego nosie.

- Zabiłem Luisę Remardi, Augustusa Leonidisa i Paula Judsona — odpowiedział.

Arthur wielokrotnie sobie wyobrażał, jaka wrzawa podniesie się na sali po tych słowach, ale nic takiego się nie stało. Zapadła cisza. Harlow, który patrzył na ekran komputera z zapiskami protokolanta, uniósł głowę, jakby chciał zobaczyć przelatujące obok słowa Erdaia. Następnie odłożył pióro i chwycił się za szczękę. Jego oczy błysnęły spod białawych, splątanych

153

jak ptasie gniazda brwi i spojrzał na Arthura. Sędzia nie po. zwolił sobie na żadną inną zmianę w wyrazie twarzy, ale intensywność jego wzroku zdawała się odzwierciedlać podziw. Wy. stąpienie z takim dowodem w przeddzień egzekucji było dla Harlowa szczytem tego, co symbolizowała prawnicza profesja.

- Może pan kontynuować - powiedział. Arthur mógł teraz zadać tylko jedno pytanie.

- Czy Romeo Gandolph odegrał jakąkolwiek rolę w tych morderstwach?

- Nie — odpowiedział zdecydowanie Erdai.

- Czy był przy tym obecny?

- Nie.

- Czy zaplanował te morderstwa lub w nich pomagał?

- Nie.

- Czy w jakikolwiek sposób pomagał panu po fakcie ukryć pański związek z tą zbrodnią?

- Nie.

Arthur przerwał, żeby uzyskać większy efekt. Na sali, wreszcie, zapanowało poruszenie, gdy dwóch reporterów wybiegło na korytarz, gdzie wolno było korzystać z telefonów komórkowych. Arthur przez chwilę miał ochotę zerknąć na Mu-riel, aby

sprawdzić, jak na to zareagowała, ale uznał, że mogłoby to wyglądać na tryumfalizm, i postanowił, że przez jakiś czas nie będzie patrzył w stronę ławki oskarżenia.

- Panie Erdai — podjął — chciałbym pana poprosić, żeby opowiedział pan własnymi słowami, co się stało czwartego lipca 1991 roku w restauracji Paradise i co do tego doprowadziło. Proszę się nie spieszyć. Niech pan to po prostu opowie sędziemu tak, jak pan to pamięta.

Erno, który był wyraźnie osłabiony, oparł rękę na poręczy i odwrócił się nieco w stronę Harlowa. Popielaty garnitur, który włożył, zbyt ciepły na tę porę roku, wisiał na jego wycieńczonym chorobą ciele.

- Była pewna dziewczyna - zaczął - która pracowała na lotnisku. Luisa Remardi. Przedstawicielka agencji sprzedaży biletów. Nie lubię źle mówić o zmarłych, ale była trochę pusz-czalska. A ja popełniłem ten błąd, że wpłatałem się z nią w romans. Wie pan, panie sędzio, myślałem, że to będzie przelotna przyjemność, ale tak jakoś wdepnąłem w to na poważnie. Gdy tylko to się stało, zacząłem dostrzegać różne oznaki, że ona robi skoki w bok. W mojej głowie zapanował przez to prawdziwy

154

chaos. Przyznaję. - Erno dotknął węzła krawata, chcąc go rozluźnić, podczas gdy Harlow, siedzący w wysokim, obitym skórą fotelu, położył okulary na stole, żeby nic mu nie przeszkadzało w obserwowaniu Erdaia. Erno odetchnął głęboko kilka razy i podjął opowieść.

— Odtąd więc miałem ją na oku. I, naturalnie, pewnej nocy zobaczyłem to, czego się domyślałem. To było trzeciego lipca. Luisa spotkała się z jakimś facetem na parkingu, gdzieś w ciemnym rogu, i wie pan, wskoczyła na niego właśnie tam, w jego samochodzie. Obserwowałem to wszystko. Każdy ruch. Przez czterdzieści minut lub coś koło tego. To może panu wyjaśnić, jaki byłem wściekły.

Erno nabrał rozpędu i Arthur nie chciał mu przerywać, ale wymagały tego formalności związane z ustalaniem tożsamości.

— Czy mógłby pan zidentyfikować mężczyznę, który był wtedy z panią Remardi?

— Nie mam pojęcia, kto to był. Nieszczerólnie mnie to obchodziło. Myślałem tylko o tym, że ona skakała sobie na kiju pogo* należącym do kogoś innego. — W sali dał się słyszeć chichot i Erno uniósł wzrok na stół sędziowski. — Przepraszam, panie sędzio.

Harlow, który w prywatnych rozmowach używał równie soczystych zwrotów, machnął ręką.

— A więc w końcu dostała to, czego chciała, i odjechała, a ja ruszyłem za nią. Zatrzymała się u Gusa. W tej restauracji. Pa-radise. Wbiegłem tam za nią. I mogę panu powiedzieć, że zrobiła się z tego niezła chryja. Krzyczałem, że jest dziwką, a ona wrzeszczała do mnie, że nie jest moją własnością że jestem żonaty, na litość boską, i że nie mogę ustanawiać dla niej innych zasad niż dla siebie. Może pan sobie to wyobrazić. - Erno pokręcił głową i pogrążywszy się w smutnych wspomnieniach, wbił wzrok w barierkę z orzecha otaczającą miejsce dla świadków.

— Wszystko to, naturalnie, zwróciło uwagę Gusa - odezwał się po chwili. — Dał swoim pracownikom wolne z okazji Czwartego Lipca, jak się domyślam, był więc w lokalu sam. Podszedł do mnie i powiedział, żebym zjeżdżał, a ja mu na to, żeby się °dchrzanił. Chwyciłem Luisę, żeby ją wyciągnąć na zewnątrz. Zaczęła wrzeszczeć i grzmocić mnie gdzie popadnie i nagle zno-

* Zabawka, kij na sprężynie służący do skakania (przyp. tłum.).

155

wu pojawił się Gus, tym razem z bronią w ręku. Wie pan, w swoim czasie miałem niezłe jaja. I byłem tam parę razy, i widziałem Gusa w różnych sytuacjach. Wiedziałem, że do nikogo nie strzeli. Powiedziałem mu to. I nagle Luisa łapie za spluwę. „Taa, aleja strzelę”, mówi.

I strzeliłaby — ciągnął Erdai. — Rzucam się więc na rewolwer. Próbuję jej go wyrwać, a tu bum. Tak jak na pieprzonym filmie. Przysięgam, że kiedy Gus miał broń w ręce, popatrzyłem na nią i zobaczyłem, że jest zabezpieczona, ale w tej szarpaninie... W każdym razie w samym środku jej ciała jest dziura. I do tego dymi. Luisa patrzy w dół, wie pan, jakby chciała zapytać: „Co to jest, do cholery?”, a dym wciąż się unosi. A potem pojawia się plama krwi i szybko się powiększa.

Erno przerwał na chwilę, żeby wziąć kilka oddechów.

— Gus rzuca się do telefonu - podjął opowieść — żeby zadzwonić po pogotowie, a ja mu mówię: „Poczekaj”. „Mam poczekać? Na co? Aż umrze?”, pyta. Chodziło o to, że potrzebowałem minuty, by się zastanowić, panie sędzio. Żeby się z tym uporać. Bo wszystko mi się waliło. Pracowałem dla tych linii lotniczych dwadzieścia lat i wiedziałem, że jeśli on podniesie tę słuchawkę, to o wszystkim będę mógł sobie poczytać w gazetach. Widziałem już nagłówki. Przełożony posuwa podwładną. Szef ochrony wplątany w strzelaninę. Zegnaj, roboto. Ja i moja pani spędzalibyśmy razem wiele szczęśliwych wieczorów. A to nie jest jeszcze najgorsze. Kiedyś już kogoś przypadkiem zastrzeliłem. Gdyby oskarżyciel wykorzystał to przeciwko mnie, mógłbym posiedzieć do końca życia.

No więc potrzebowiałem minuty, minuty, żeby dojść do siebie, a szczerze mówiąc, żeby zapanować nad przerażeniem. Gdyby tylko Gus dał mi ze trzydzieści sekund. Ale nie słuchał, był wściekły. Strzelanina w jego lokalu. Z jego broni. Kiedy drugi raz mówię: „Poczekaj”, odwraca się i idzie do telefonu. A ja jestem całkiem roztrzęsiony i mam w głowie mętlik. Chcę tylko zapanować trochę nad sytuacją. Mówię, żeby się zatrzymał. Mówię, że go zabiję. Nie zatrzymuje się. Podchodzi do telefonu. Więc strzelałem do niego. To dobry strzał. Dobry strzał — powtórzył Erno ze szczerym żalem. — Prosto w głowę.

Wracam zatem do boksu. Luisa nie wygląda dobrze. Widać, że wykrwawi się i umrze. Ale już nic nie można na to poradzić. Teraz przynajmniej mam minutę, żeby pomyśleć. I przychodzi mi do głowy tylko to, żeby się jakoś z tego wykręcić. Nie jestem

156

;uż w stanie nic zmienić. Najgorsze, co może się jeszcze stać, to że mnie na tym złapią. Muszę przynajmniej spróbować.

Postanawiam więc tak wszystko urządzić, żeby to wyglądało na rabunek. Wracam do kasy i wyjmuję cały utarg. Zdejmuje Gusowi z ręki zegarek i pierścienie. Wycieram stolik, przy którym siedziała Luisa, tak że nie zostają na nim żadne odciski palców. W pewnej chwili, nie wiem, wydaje mi się, że w lustrze dostrzegam coś po drugiej stronie restauracji. Nie jestem pewny, ale przecież w jednym z boksów mógł ktoś jeszcze być, kiedy tu wbiegłem. Uświadamiam sobie, że lepiej to sprawdzić, i oto w najdalszym rogu widzę faceta, który chowa się pod stolikiem. Po prostu zwykły facet. Taki jak ja. W garniturze i krawacie. Nie mógł uciec, bo stałem między nim a drzwiami, ale był na tyle bystry, żeby się schować, tyle że mu się nie udało. To wszystko. Nie udało mu się. Znalazłem go.

Wyciągnąłem go stamtąd — kontynuował Erno. — Beczał i powtarzał to, co i ja bym mówił na jego miejscu: „Nie zabijaj mnie, nigdy nikomu nie powiem”. Zaczął mi pokazywać zdjęcia swojej rodziny, które wyciągnął z portfela. Musiał to widzieć w telewizji. Powiedziałem mu więc prawdę: „Nie chcę cię zabić, stary. Wcale nie chcę cię zabić”. Kazałem mu zaciągnąć Gusa na dół do tej chłodni. Do tego czasu Luisa już umarła, kazałem mu więc zrobić z nią to samo. Potem związałem go tam na dole, tego faceta, Paula, jak dowiedziałem się potem z gazet. Przez cały czas zastanawiałem się, co zrobić, żebym nie musiał go zabić. Myślałem, że może gdyby po prostu wyszedł z tego ślepy, wie pan, ale Chryste, wbicie człowiekowi widelca w oczy lub coś podobnego... to trudniejsze od naciśnięcia spustu.

Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym tak po prostu zabić człowieka. To znaczy

jestem porywczy. Wiem o tym. Tracę panowanie nad sobą. Tak jak wtedy, kiedy strzeliłem do Gusa. Ale zabić tak kogoś, na zimno, tylko dlatego, że w wyniku zbiegu okoliczności musiałem wybierać: albo on albo ja?

Na Węgrzech, kiedy byłem dzieckiem — ciągnął - sąsiedzi wydali mojego ojca tajnej policji, która go zabiła, i zawsze w pewnym sensie traktowałem to jako naukę. Nigdy nie oczekiwałem zbyt wiele od nikogo z wyjątkiem rodziny. Doszedłem do wniosku, że każdy musi robić to, co konieczne. Ale nigdy nie byłem pewien, czy naprawdę w to wierzę. Do tego dnia. Ponieważ go zabiłem. Strzeliłem mu w tył głowy i z tego, jak padł bezwładnie na podłogę, widać było, że życie uszło z niego w jed-

157

nej sekundzie. Zdjąłem potem z Luisy biżuterię i część ubrania. Chodziło mi o jej spotkanie z tym facetem na parkingu. Nie byłem pewny, co wykaże autopsja.

Znowu przerwał, czekając, aż odzyska oddech. W wielkiej sali sądowej nie było słycać żadnych dźwięków z wyjątkiem syczenia tlenu wydobywającego się z butli. Arthur był jedyną osobą, która stała, i wydawało mu się, że nikt inny nie znalazłby dość sił, żeby się podnieść. Na twarzach publiczności widać było zgrozę —być może wywołała to skała przedstawianego zła, a może niestosowność tego, że siedzący tam Erno tymi samymi słowami, którymi wszyscy się posługują, opisywał czyny wykraczające poza ich zdolność pojmowania. A może jednak wcale nie wykraczające? Niepewni, czekali, co więzień powie dalej. — Przez cały czas, który spędziłem w tej chłodni, byłem jak zombi. Ale potem... potem nie wiedziałem, co o tym sądzić. Czasem przyglądałem się ludziom na ulicy — włóczęgom, członkom ulicznych gangów, różnym półgłówkom, wszystkim tym, na których patrzy się z góry — i myślałem, że żaden z nich nie zrobił czegoś takiego jak ja. Czekałem na to, że zostanę złapany. W pewnym sensie przygotowywałem się duchowo na tę chwilę, kiedy gliniarze zastukają do moich drzwi. Ale wykonałem dobrą robotę. Policjanci ganiaли we wszystkie strony i wpadali na siebie.

Kiedy Erno pozwolił sobie na kolejną przerwę, Arthur rozejrzał się po sali, żeby sprawdzić, jakie to wszystko wywarło wrażenie. Pamela przygryzła wargi; wyglądała tak, jakby się bała oddychać, żeby nie zakłócić idealnego rytmu tej chwili. Mrugnął do niej, a potem w końcu ośmielił się rzucić okiem w stronę stołu oskarżenia, najpierw na Larry'ego Starczeka, którego nie widział od lat. Arthur zastanawiał się, czy nie spróbować go wyłączyć z postępowania, ponieważ Erno miał zeznawać na jego temat, ale uznał, że Erdai wyrze lepsze wrażenie, jeśli będzie patrzył policjantowi prosto w oczy. Ocena była prawidłowa. Larry zachowywał się tak, że nie mógłby zrobić dobrego wrażenia na Kentonie Harlowie. Wydawało się, że jest

bliski śmiechu. Dla niego cała ta sprawa była najwyraźniej tak zabawna, że uznał ją za dobry dowcip.

Siedząca obok Larry'ego Muriel była głęboko zamyślona. Skończyła właśnie pisać jakąś notatkę i jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Arthura. Spodziewał się, że będzie wściekła. Na pewno natychmiast uświadomiła sobie, że Arthur wykorzy-

158

stuje jej słaby punkt — to, że zamierza kandydować w wyborach- Doprowadzenie do skazania niewinnego człowieka na j[^]rę śmierci i do wykonania wyroku nie skłania ludzi, by wybrali kogoś z tego rodzaju doświadczeniem zawodowym na swojego prokuratora, a celem Arthura było wzbudzenie publicznych protestów, które zmusiłyby Muriel do szybkiego oddalenia sprawy, żeby zniknąć z nagłówek gazet. Ale ona kochała grę i pochwyciwszy jego spojrzenie, kiwnęła mu nieznacznie głową. Nieźle, mówiła mu w ten sposób. Co nie znaczy, że w to wierzyła. Ani przez sekundę. Jednakże, jak to między prawnikami, musiała mu okazać uznanie za wykręcenie takiego numeru. Arthur również odpowiedział jej skinieniem głowy, wyrażającym, jak miał nadzieję, szacunek, po czym ponownie spojrzał na Erna.

- Panie Erdai, nie pytałem o to wcześniej. Czy w lipcu 1991 roku znał pan Romea Gandolpha?

- Czy go znałem? Można powiedzieć, że wiedziałem, co to za jeden.

- To znaczy?

- Kompletny i upierdliwy dupek.

Przez salę przetoczyła się fala niespodziewanie głośnego śmiechu. Wszyscy najwyraźniej marzyli o czymś, co rozładuje napięcie. Nawet Harlow zachichotał.

- Wiewióra, Rommy czy jak tam... był jednym z tych włóczęgów żyjących na ulicy. W zimie, uciekając przed chłodem, kręcił się po DuSable Field, a wtedy różne rzeczy miały tam zwyczaj znikać. Dlatego ja i moi ludzie regularnie zachęcaliśmy go, można tak powiedzieć, żeby się stamtąd wyniósł. Takiego go znałem.

- Czy wie pan, dlaczego Romeo Gandolph został oskarżony o tę zbrodnię?

- Wiem.

- Proszę powiedzieć wysokiemu sądowi własnymi słowami, co się stało.

- Co się stało? - zapytał Erno. Parę razy odetchnął tlenem, P^o czym powiedział: - Cóż, to jest tak, jak mówi ksiądz w Ru-dyard. Nie jestem człowiekiem bez sumienia.

I mam tego siostrzeńca. Collinsa. Collinsa Farwella. Próbowałem mu pomóc. Jak zawsze. Martwiłem się o niego, odkąd przyszedł na świat. A Przysporzył mi wielu powodów do zmartwień, mówię panu.

W każdym razie dał się zapuszkować parę miesięcy po tym,

159

gdy zabiłem tych ludzi. Narkotyki. Potrójne X. Do końca życia w pudle. I to mi dało sporo do myślenia. Oto ja, cholerny morderca, jestem na wolności, a Collins, który nie zrobił nic oprócz tego, że sprzedawał ludziom to, co chcieli kupić, spędzi całe życie za kratami. Sam nie wiem. Przejmowałem się tym.

A poza tym coś mi mówiło, że nie zaznam spokoju, dopóki ktoś inny nie zostanie skazany za to, co zrobiłem. Patrząc wstecz, widzę, że to było głupie. Zawsze mnie to będzie prześladowało. Ale wtedy myślałem: Jeśli uda mi się to na kogoś zrzucić, to i ja dobrze na tym wyjdę, i Collins, bo da prokuraturze coś, co go uratuje przed dożywociem.

Arthur zadał oczywiste pytanie:

— Dlaczego Rommy?

— Cóż, panie Raven, tak naprawdę dlatego, że wiedziałem, że mogę go w to zrobić. Widzi pan, wszystko w gruncie rzeczy sprowadzało się do tej kamei, tego wisiora, który u niego znaleźli. Należał do Luisy, a ja wiedziałem, że Wiewióra go ma.

— Wiewióra to Rommy?

— Tak go nazywali.

— Może pan wyjaśnić, skąd pan wiedział, że on ma tę kameę?

— Mogę, ale to długa historia. Tydzień lub dwa przed śmiercią Luisy... — Erno wyprostował się. — Zanim ją zabiłem, obserwowałem ją przez cały czas. Właściwie sprowadzało się to do tego, że ją szpiegowałem. Jednego dnia przyszedłem do pracy wcześniej rano, kiedy ona właśnie wychodziła, i zdrowo mnie opieprzyła za tych wszystkich złodziei, którym pozwalałam się wałęsać po lotnisku. Okazało się, że zdjęła ten wisior, kiedy zaplątał jej się w kabel telefonu, i położyła go na ławie. Odeszła na sekundę, a kiedy wróciła, zobaczyła przemykającego chyłkiem Wiewiórę, a chwilę później zorientowała się, że wisior zniknął. Przeklinała mnie z tego powodu i płakała, bo ta kamea była w jej rodzinie od dwóch stuleci.

Co mogłem zrobić? Zacząłem polować na Wiewiórę. Zajęło mi to dzień, ale w końcu

znalazłem go w jakiejś norze na North Endzie. Oczywiście zaklinał się, że o niczym nie wie, ale mu powiedziałem: „Posłuchaj tępaku, ten fant jest dla tej pani wart o wiele więcej, niż dostaniesz od kogokolwiek, komu uda ci się go opylić. Oddaj go, a my zadbamy, żeby ci się to opłaciło, i nie będzie żadnych pytań”.

160

Naturalnie, kiedy już ją zabiłem, nie myślałem o tym zbyt wiele, ale zwróciłem uwagę, że w gazetach pisano, że tę kameę zabrano jej, kiedy zginęła. Domyśliłem się, że Luisa nie chciała się przyznać Mamma Mii, że straciła rodzinny skarb. Wie pan, zawsze jest wiele takich spraw, które gliniarze uważają za oczywiste, a one wcale takie nie są, ale to inny temat. — Erno rzucił szybkie spojrzenie na Larry'ego, po czym podniósł rękę, żeby poprawić rurkę dostarczającą mu tlen. Zaczynał wyglądać na zmęczonego.

— To musiało być pod koniec września, kiedy wpadłem na Wiewiórę na lotnisku. Nie sędzę, żeby mógł powiedzieć komuś, jak się nazywam, ale pamiętał, że obiecałem mu pieniądze. „Wciąż to mam”, powiedział i wyciągnął kameę z kieszeni. Na samym środku terminalu. Myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi i wpadnie do nogawki. To był dla mnie szok, bo o tej rzeczy trąbiono w mediach i gdybym wiedział, że on ją ma, nie zbliżyłbym się do niego na milę. Powiedziałem mu, że postaram się o pieniądze, i uciekłem jak przed trędowatym.

Później zacząłem myśleć, że takie zachowanie mogło mnie zdradzić. Może powinienem doprowadzić do jego aresztowania i zachowywać się tak, jakby był winowajcą. Spodobał mi się ten pomysł i zacząłem, można by powiedzieć, przygotowywać grunt. Rozmawiałem z zaprzyjaźnionymi glinami i udawałem, że interesuję się Wiewiórą, ponieważ jest dla mnie źródłem problemów na lotnisku. Gdy tylko się dowiedziałem, że miał także zatargi z Gusem, zacząłem to brać poważnie pod uwagę... wie pan, żeby zrzucić to wszystko na niego. Mimo to może bym tego nie zrobił, ale właśnie wtedy Collins wpakował się w kabałę, a tu był Wiewiórą, jak na zamówienie.

Zgodnie z tym, co wiedział Collins, Rommy był winny — kontynuował Erno. - Przedstawiłem to tak, że zebrałem informacje o Wiewiórze i pozwalałem mu je trochę upiększyć, a potem przekazać dalej, żeby dzięki nim wygrzebał się z tej kabały. Powiedziałem Collinsowi, że przyślę do niego pewnych gliniarzy, a on powinien zawrzeć z nimi jak najlepszy układ. Miał się naprawdę mocno zaprzeć w sprawie zeznawania, ponieważ nie byłem pewny, jak się spisze na miejscu dla świadków. Potem czekałem po prostu na okazję przekazania tego jakiemuś policjantowi i dzień lub dwa później pojawił się na lotnisku detektyw Larry Starczek.

Erno uniósł rękę i wskazał Larry'ego, który po tym szczegółowym opisie, jak został wykołowany, sprawiał wrażenie, jakby w końcu zaczął się zastanawiać nad możliwością że jednak słyszy prawdę.

— Reszta jest historią— dodał Erno i ponownie zapadła cisza, Arthur przeglądał swoje notatki. Zamierzał teraz przejść do tematu listów Erna do Larry'ego i Gillian, ale Erdai podniósł rękę, która z jakiegoś powodu - stanu jego zdrowia lub napięcia — lekko drżała.

— Czy mogę coś dodać, panie sędzio? — Jego ostry kaszel zabrzmiał nienaturalnie głośno w cichej sali sądowej.— To prawdopodobnie niewiele znaczy, ale chciałbym, żeby pan to wiedział, ponieważ jest to coś, nad czym się ciągle zastanawiam. Mój siostrzeniec wyszedł po pięciu latach. A to dlatego, że obciążył Wiewiórę. Ale jest już innym, dojrzałym człowiekiem. Odkrył Jezusa, co jest może trochę zbyt wiele, ale ma też żonę, dwoje dzieci i mały interes. Dałem mu szansę - no, może więcej niż jedną — i on ją wykorzystał. W końcu. A więc w środku tego strasznego zamętu, którego narobiłem, jest i to. Wciąż o tym myślę. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał.

Harlow wysłuchał tego, jak reszta obecnych, bez emocji, z ponurą zadumą. Arthur wiedział, że minie wiele godzin, zanim nawet ten sędzia zdoła powiązać wszystkie szczegóły. Ale Harlow już teraz chciał o coś zapytać Erdaia. Najpierw zagadnął Muriel, czy ma coś przeciwko temu. Odpowiedziała, że też chce zadać kilka pytań, ale chętnie ustąpi pierwszeństwa sędziemu. Było to pozerstwo rodem z sal sądowych, które Harlow uważał za formę sztuki. Posłał jej lekki uśmiech, po czym wrócił wzrokiem do Erna i Arthura.

— Zanim opuści pan to miejsce, panie Raven, chciałbym mieć pewność, że zrozumiałem zeznanie pana Erdaia. Dobrze sobie tłumaczę to, co pan mówił? — zwrócił się do Erna. - Spodziewał się pan zrobić pana Gandolpha, czy tak?

— To słowo, niestety, najlepiej opisuje moje czyny — odpowiedział Erno. — Prawdę powiedziawszy, było to ryzykowne posunięcie, panie sędzio. Próbowałem zrobić dla dzieciaka co w mojej mocy, ale nie mogłem nic zagwarantować. Wiedziałem wystarczająco dużo o tym, jak załatwia się takie sprawy, aby mieć świadomość, że Collins nie będzie miał wiele szans, jeśli Rom-1 my nie pójdzie na dno.

- Cóż, nad tym się właśnie zastanawiałem. Aby to osiągnąć, zaplanowałem pan, że

siostrzeniec doprowadzi policję do kamei w kieszeni pana Gandolpha. Nie myślę się? To niezbyt silny dowód. Co by się stało, gdyby pan Gandolph miał alibi? Albo wyjaśnił, skąd wziął tę kameę?

- To raczej nie mogło się stać. Gdyby powiedział, jak ją zdobył, w żadnym razie bym tego nie potwierdził. I zapomina pan, że miał długą historię zatargów z Gusem. Pomijając jednak to wszystko, miałem dość dobre wyobrażenie o tym, co nastąpi.

- I co pan przewidywał?

- Co przewidywałem? Ze prędzej czy później usłyszę, że Rommy się przyznał.

- Do popełnienia zbrodni, której nie popełnił?

- Proszę posłuchać, panie sędzio... - Erno znowu przerwał i przez jakiś czas oddychał tak głęboko, że aż podnosiły mu się i opadały ramiona. — Mam na myśli to, że widziałem już to i owo w życiu. Ma pan głośną sprawę i szczura rynsztokowego z biżuterią jednej ofiary w kieszeni oraz powodem do zabicia drugiej. Chcę powiedzieć, panie sędzio— rzekł Erno, obracając wyniszczoną ziemistą twarz w stronę Harlowa — że to nie jest Shangri-la.

16

12 czerwca 2001

Z powrotem w sądzie

Stary budynek sądu federalnego, wzniesiony na planie trójkąta i ozdobiony korynckim portykiem, był częścią pierwotnego projektu architektonicznego Center City w DuSable, dominującym akcentem rozległego placu zwanego Federal Square. Gdy Gillian szła pospiesznie granitowym chodnikiem, gołębie z lśniącymi główkami ledwie unosiły się w górę, ustępując jej miejsca, a podmuchy z otworów wentylacyjnych kolejki podziemnej targały jej sukienkę. Jak większość środków transportu publicznego w hrabstwie Kindle, jej autobus przyjechał spóźniony.

Dwa dni wcześniej zadzwonił do niej Arthur Raven, jak zwykle przepaszający. On i jego młoda asystentka doszli do wniosku, że jeśli to w ogóle możliwe, Gillian powinna się stawić w są-

163

dzie. Chcieli, żeby była obecna na wypadek, gdyby się okazało, że musi potwierdzić autentyczność listu, który otrzymała od Erdaia, albo poświadczyć, że dotarł on do niej pod koniec marca, zanim rozeszła się wiadomość o wyznaczeniu do tej sprawy

Arthura, co mogłoby zainspirować Erdaia do wymyślenia całej tej historii. Arthur przesadzał, ale zgodziła się przyjść z mniejszą niechęcią, niż się spodziewała.

Teraz pospiesznie wchodziła po łagodnej spirali centralnych schodów sądu, bezskutecznie próbując zapomnieć o dniu, kiedy zjawiała się tu ostatni raz. Było to szóstego marca 1995 roku. Na żadnym z procesów skorumpowanych adwokatów i sędziów, w których Gillian była potencjalnym świadkiem oskarżenia, nie musiała składać zeznań. Dopełniła swojej części umowy z władzami. Podczas jej rozprawy kilkoro młodych zastępców prokuratora zaświadczyło o jej trzeźwości i pełnej współpracy z organami ścigania, a obrońca prosił dla niej o łagodny wymiar kary. Moira Winchell, przewodnicząca sądu przed Kentonem Harlowem, jako ucieleśnienie chłodu często porównywana z samą Gillian, była tak wstrząśnięta jej przestępstwem, że nie zwróciła większej uwagi na te okoliczności łagodzące i skazała ją na siedemdziesiąt miesięcy więzienia. Było to przynajmniej rok lub nawet dwa lata więcej, niż się spodziewała, biorąc pod uwagę federalne wytyczne dla sędziów, a już zwłaszcza swoją współpracę z prokuraturą. Chociaż Gillian sama wydała tysiące wyroków, rzadko mając przy tym absolutną pewność, że idealnie rozważyła wszystkie za i przeciw, kiedy Winchell skończyła odczytywać orzeczenie, ku swemu zdumieniu stwierdziła, że musi powiedzieć sędzi jedno słowo: „Rozumiem”.

Na najwyższym piętrze zajrzała przez okienka w obitych skórą wahadłowych drzwiach do ogromnej sali rozpraw sędziego przewodniczącego. Erno Erdai z doprowadzającą tlen plastikową rurką w nosie chwycił się właśnie barierki otaczającej miejsce dla świadków. Zza stołu sędziowskiego, który pośród marmurowych filarów przypominał chrzcielnicę, Kenton Harlow mierzył Erna badawczym wzrokiem, gładząc się palcem po długim nosie. W pierwszym odruchu chciała otworzyć drzwi i usiąść gdzieś w środku. Szybko się jednak zreflektowała: w sali sądowej nie ma miejsca dla potencjalnego świadka. Adla niej w ogóle. Tyle że po wizycie z Arthurem w Rudyard nie mogła spokojnie spać i, jak powiedziała Duffy'emu, kiedy rano wychodziła do sądu, była coraz bardziej zaintrygowana tym, co

164

grno powie i jaki to będzie miało wpływ na mieszkańców Tri-.Cities, a w konsekwencji również na nią.

Prawie godzinę czekała naprzeciw wielkiej sali w wąskim pokoju dla świadków, czytając o wojnie peloponeskiej, aż na korytarzu powstało zamieszanie, świadczące o tym, że sędzia zarządził przerwę. Z przyzwyczajenia wstała, żeby się przejrzeć w małym lustrze na ścianie. Poprawiła na ramionach ciemny żakiet i przesunęła na

środek największą ze sznura pereł. Dziesięć minut później pojawił się Arthur Raven. Był gorliwy i solidny jak zwykle, ale można było odnieść wrażenie, że tym razem otacza go promienna aura. Gillian poczuła, że budzi się w niej zazdrość, nad którą nie potrafi zapanować. Arthur tryumfował.

Rozpoczął od przeprosin. Muriel odegrała właśnie wielką scenę, mówiąc sędziemu Harlowowi, że urządzono na nią zasadzkę, i domagała się dwudziestu czterech godzin na przygotowanie się do przesłuchania Erdaia.

- Chcesz powiedzieć, że muszę tu wrócić jutro? — zapytała Gillian.

- Obawiam się, że tak. Zapytałbym Muriel, czy jesteś jej potrzebna, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, aby teraz chciała rozmawiać ze mną o swoich planach. Wet za wet.

Wojenne rany, przypomniała sobie Gillian.

- Mogę ci dać jeszcze jedno wezwanie, jeśli potrzebujesz usprawiedliwienia w pracy — powiedział Arthur.

- Nie, mam wyrozumiałego szefa. — Ralph Podolsky, kierownik, który ją zatrudnił, był młodszym bratem Lowella Po-dolsky'ego, byłego adwokata, skompromitowanego w wyniku tego samego skandalu, który doprowadził do upadku Gillian. Ralph wspominał o swoim pokrewieństwie z Lowellem pierwszego dnia jej pracy i nigdy więcej nie wrócił do tego tematu.

Gillian podniosła swoją torebkę. Arthur zaproponował, że jej pokaże, jak się przemknąć na dół niezauważenie dla reporterów, którzy akurat biczowali Muriel. W windzie zapytała go, jak przebiegły zeznania Erna Erdaia.

- Niesamowicie.

- Erno wypadł dobrze?

- Tak myślę.

- Wyglądasz na rozradowanego.

- Ja? - Widać było, że ta myśl jest dla niego szokująca. -Czuję tylko ciężar odpowiedzialności. Kiedy zabijają ci klienta

165

z powodu twoich błędów, to nie jest zwykła przegrana. Co noc budzę się po trzy razy. Myślę tylko o tej sprawie. Wiesz, od lat siedzę w okopach, walcząc o dolary: spory

gospodarcze, wielkie firmy zrzucające jedna na drugą winę za interesy, które trafił szlag. Lubię większość moich klientów, chcę, żeby wygrali, ale gdy chodzi o nich, wszystko nie wykracza zbytnio ponad kwestie finansowe. Natomiast jeśli coś pójdzie źle w tej sprawie, będę się czuł, jakby ktoś zgasił światło w całym wszechświecie. Otworzyły się drzwi windy. Arthur pokazał jej przejście, którego sama nigdy by nie znalazła, i wyszedł z nią na ulicę. Chciał opuścić teren sądu, zanim zobaczą go reporterzy. Powiedział jej, że obiecał dwóm największym stacjom telewizyjnym udzielić pierwszych wywiadów w swoim gabinecie. Dom towarowy Mortona był trzy przecznice od sądu, po drodze do budynku IBM, gdzie Arthur miał swoje biuro, poszli więc razem.

— Co sędzia myśli o Ernie? - zapytała. — Masz jakieś wyobrażenie?

— Sądzę, że mu uwierzył. Wyglądało to prawie tak, jakby musiał mu uwierzyć.

— Musiał?

— Było coś takiego w atmosferze sali... — zastanawiał się głośno Arthur. - Smutek — powiedział. — Erno nie rozczulał się nad sobą... nie oczekiwał od kogokolwiek współczucia z tego powodu, że zrobił straszne rzeczy. Ale w każdym jego słowie był smutek.

— Tak, smutek — powtórzyła Gillian. Być może właśnie dlatego chciała usłyszeć Erna. Do wieczornego szczytu brakowało jeszcze trochę czasu i na chodnikach nie było zbyt wielu pieszych. Szli spacerowym krokiem w ciepły dzień, niezwykle jasny, gdy tak wchodzili i wychodzili z cieni wysokich budynków przy Grand Avenue. Gillian wyjęła z torebki okulary słoneczne, ale nie włożyła ich, bo spostrzegła, że Arthur uważnie się jej przygląda.

— Ty nie zrobiłaś tego co on — powiedział. — To nie było morderstwo.

— Cóż, to pocieszające.

— I zapłaciłaś już za to.

— Powiem ci straszną prawdę - odrzekła. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze raz weszła z Arthurem na ścieżkę, po której regularnie nie zgadzała się chodzić z innymi, ale jego nie można było odepchnąć subtelnymi lub zawołowanymi sygnałami.

166

plakał, kiedy był smutny, a w radosnym nastroju śmiał się jak dziecko. Był zwyczajny, jego dobroć była zwyczajna, i zadawanie się z nim wymagało równie spontanicznych reakcji. Gillian takie zachowania nigdy nie przychodziły łatwo i w

Rudyard zaskoczyło ją to, jak samą swoją obecnością Arthur sprawia, że budzą się w niej najróżniejsze emocje — zwłaszcza głębokie poczucie straty. Teraz jednak miał już w jej myślach ustaloną pozycję — był kimś godnym zaufania.

— To nie dlatego, czuję się tak paskudnie, Arthurze. Pewnie mi nie uwierzysz, i ani trochę nie będę ci miała tego za złe, ale nie sądzę, żeby pieniądze wpłynęły na wynik którejkolwiek z moich rozpraw. Nikt nie może powiedzieć tego na pewno, ja najmniej ze wszystkich, i dlatego to, co zrobiłam, jest takie nikczemne. Ale taki był system, Arthurze, prawie jak podatki. Adwokaci bogacili się, a więc sędziowie też mieli prawo do swojej działki. Nigdy świadomie nie wypaczyłam przebiegu rozprawy, nie dlatego, że byłam taka honorowa, ale dlatego, że nikt by mnie o to nie poprosił. Nikt z nas nie chciał ryzykować podejrzeń. Wstyd mi, że wtedy doprowadziłam się do takiego stanu. I że tak ogromnie zawiodłam zaufanie. Ale masz rację, lata, które spędziłam w więzieniu, wydają się dostateczną pokutą za to wszystko. Najbardziej mnie teraz dręczy myśl o tym, co roztrwoiłam.

- Roztrwoiłaś?

- Miałam taką życiową szansę i zmarnowałam ją.

— Posłuchaj, zostało ci jeszcze dużo czasu, żeby rozpocząć nowe życie. Jeśli tylko sobie na to pozwolisz. Zawsze żyłaś w swojej własnej sferze czasowej.

Roześmiała się głośno, tylko dlatego, że ten opis był tak trafny. Zamieszkiwała wszechświat równoległy, ale nie całkiem taki sam jak inni. Czas Gillian, jak zasugerował Arthur, biegł odrobinę szybciej. W wieku dziewiętnastu lat ukończyła college, pracowała przez rok, by zdobyć pieniądze na studia prawnicze, mając dwadzieścia trzy lata, zdobyła dyplom na Harvardzie, a potem wróciła do hrabstwa Kindle. W pewnym sensie nigdy z niego nie wyjechała, ponieważ przez trzy lata mieszkała z kuzynami ojca w Cambridge. Mogła podjąć pracę na Wall Street, nawet w Hollywood. Ale dla niej, córki policjanta, głównym celem było biuro oskarżyciela publicznego hrabstwa Kindle.

Jednakże w tym wszystkim decydującym elementem była jej wola. Postępowała zgodnie z zasadą: określ cel i dąż do jego

167

realizacji. Zawsze szokowało ją to, jak bardzo wola stała się ostatnio niemodna. Współcześni Amerykanie byli jak miękki asfalt pod walcem ich ukształtowanych w dzieciństwie słabości. Ale może tak było nawet lepiej. Ona, gdy raz zaczęła kierować się wolą, wyniosła ją tak wysoko, że zaczęła się uważać za postać z Nietzschego, jakąś nadkobietę mającą napoleońską odwagę, by łamać powszechnie przyjęte

wartości etyczne. Dopiero później, w więziennej celi, uświadomiła sobie, że odraza, jaką żywiła do moralności klasy średniej, wynikała z lęku, z przeczucia, że gdyby zastosować te sztywne reguły do niej samej, ocena byłaby miażdżąco negatywna.

- Ludzie muszą przebrnąć w życiu przez wszelkiego rodzaju bagna, Gillian. W mojej rodzinie są tacy, którzy przeżyli całe lata w Dachau. I jakoś potrafili się pozbierać. Przyjechali tutaj, założyli jakieś firemki, chodzili na kręgle, patrzyli, jak rosną im wnuki. Po prostu trzeba żyć dalej.

- Ja sama sobie to zrobiłam, Arthurze. Nie padłam ofiarą jakiegoś kataklizmu czy ludzkiej perfidii.

- Zostałaś złapana. I co, na litość boską, teraz wyrabiasz? Cierpisz lub karzesz się, albo znowu nurzasz się w tym samym dziwnym, duchowym bagnie, w którym już kiedyś się pograżałaś. Chcę powiedzieć, że już po wszystkim. Jesteś innym człowiekiem.

- Jestem? — To, pomyślała, należy jeszcze ustalić.

- Przestałaś pić. Początkowo bałem się z tobą spotkać, bo przypuszczałem, że będziesz na wpół wrakiem. Ale nie, potrafiłaś z tym zerwać. A więc wyżej głowa! Idź do przodu. Pnij się w górę. Przynajmniej trzy razy w tygodniu rozkładałam gazetę i widzę w niej nazwisko kogoś, przeciwko komu wniosłem oskarżenie, gdy jeszcze pracowałem w wydziale przestępstw finansowych, i zazwyczaj piszą o nim, że właśnie ubija jakiś wielki interes.

- I myślisz, że to dranie.

- Nie, myślę, że robią to, do czego mają prawo. Żyją dalej. Mam nadzieję, że są teraz mądrzejsi. Niektórzy pewnie są. Inni nie. Pomyślę, że są draniami, jeśli zrobią to jeszcze raz.

Niezupełnie ją przekonał, ale jego wysiłki były wzruszające.

- Czy już wspomniałam, że jesteś dla mnie bardzo dobry, Arthurze?

Zerknął na nią. Mrużył oczy w ostrym popołudniowym słońcu.

- Czy to niezgodne z zasadami?

168

- To coś, do czego nie przywykłam.

- Myślę, że chyba mamy ze sobą dużo wspólnego.

Ilekcio teraz widziała się z Arthurem, zawsze w jakiś sposób wracali do tego pierwszego spotkania w barze kawowym, kiedy to potraktowała go tak obcesowo. Coś się wtedy między nimi otworzyło, chociaż wydawało się, że jej zamiarem było zamknięcie wszystkich drzwi. On uparcie powtarzał, że są pokrewnymi duszami, podczas gdy ona wciąż wątpiła, czy jest między nimi jakiegolwiek podobieństwo. Przebywanie z Arthurem sprawiało jej przyjemność. Pominąwszy Duffy'ego, który zresztą nigdy nie zdobył pełnych uprawnień, przecięła wszelkie więzy łączące ją ze światem prawników. Ale potrzeba prawdziwych konwersacji w stylu prawniczym, prawdziwych kontaktów, gorących dyskusji z kimś, kto potrafi od razu przejść do sedna rzeczy, pozostała - to był głód. Ciagle jednak wydawało jej się, że to wszystko, co mają ze sobą wspólnego.

Zatrzymali się przed wejściem do domu towarowego sieci Mortona. Budynek, zaprojektowany przez sławnego architekta, który uczył Franka Lloyda Wrighta, był przykładem tego, co pchnęło ucznia w innym kierunku. Jego żeliwna fasada była bogato zdobiona, do środka prowadziły wysokie na dwadzieścia stóp przeszklone drzwi w futrynie z gęsto pokrytego dekoracyjnymi detalami brązu. Klamki miały kształt kiści winogron i polerowane codziennie przez dłonie tysięcy klientów, błyszcząły w silnym świetle popołudniowego słońca. Lada działu kosmetyków znajdowała się tuż za drzwiami.

- Moje stanowisko. - Wskazała ją. Przez długi czas udawało jej się unikać pracy w sklepie w Center City, gdzie często była rozpoznawana przez klientów, ale z początkiem letnich wakacji Lovell potrzebował jej tam przez dwa dni w tygodniu.

- Lubisz tę pracę?

- Cóż, jestem szczęśliwa, że w ogóle pracuję. W więzieniu uważa się to za przywilej. I okazuje się, że jest nim naprawdę. Zobaczyłam ogłoszenie i pomyślałam, że to może być dobre miejsce, by zacząć od nowa.

Ta praca przypominała Gillian zabawę, chociaż kwestii wyglądu nigdy nie traktowała lekko. Przez lata słyszała tysiące powiedzeń o świecie mody, które trafiały jej prosto do serca, niczym mądrości wyjęte z Biblii lub Szekspira. „Moda jest bliska żywej duszy”. „Moda jest w tej samej mierze częścią życia

169

co seks”. Dla niej było to proste: przynajmniej wyglądaj dobrze. Była to po części maskarada, po części dziecięca zabawa, po części wynik uczulenia na to, jak wypadnie w ocenie innych, i — bardziej niż cokolwiek innego — radość, którą jej dawało kształtowanie tych opinii. Trudno to zrozumieć — podobnie jak

niedorzeczne, monotonne zachowania małych chłopców odbijających kijami piłeczki — ale tak wiele kobiet, czy to na skutek uwarunkowań kulturowych, czy też kierujących się instynktem, łaknęło piękna i oceniało się nawzajem w kategoriach wysiłków mających je zbliżyć do ideału. Gillian wycofała się ze współzawodnictwa. W porównaniu ze wspaniałymi młodymi kobietami, które ze swoich klubów fitness przychodziły tu do niej, była już „byłą piękną”, przy czym te słowa niosły ten sam smutny podtekst co „były sportowiec”. Jednakże dzięki kontaktom ze swoimi klientkami każdego dnia odczuwała ulgę, że nie jest już zdominowana przez próżność, którą uznała za jedną z ważnych przyczyn swojego upadku.

- Rozumiem, że to wszystko wydaje ci się powierzchowne.

- Cóż...

- Nie krępuj się, mów. To właściwe słowo. Przecież znaczy także „kosmetyczne”.

- Powiem raczej, że to do mnie nie przemawia. Rozumiem, że nawet nieatrakcyjni ludzie instynktownie pragną piękna, ale człowiek powinien się pogodzić z tym, że jest taki a nie inny.

- Och, daj spokój, Arthurze! — Ostatnio często odkrywała, że to, jak on widzi siebie, jak bardzo czuje się tym poniżony, jest dla niej bolesne. — Atrakcyjność mężczyzny, który przekroczył pewien wiek, nie ma nic wspólnego z tym, co to oznaczało, kiedy był nastolatkiem. Wielki sukces, duża pensja, ładny samochód... Wszyscy wiemy, jak to wygląda. Nie ma czegoś takiego jak brzydki mężczyzna z grubym portfelem.

- To najwyraźniej nie dotyczy mnie.

- Wątpię w to.

- Pewnie dlatego, że jestem niedojrzały — powiedział. Roześmiała się.

- Ależ jestem - dodał. - Wciąż chcę, żeby ziszczyły się moje marzenia.

- Jakie?

- O kobiecie pięknej, eleganckiej i inteligentnej... to głupie, prawda? Pragnę kogoś, kto jest moim przeciwieństwem.

- Młodej dziewczyny z rozkładówki?

170

— Nie jestem aż tak niedojrzały. Dorosła kobieta byłaby bardzo na miejscu. — Arthur na wpół odwrócił głowę, jakby oślepiło go słońce, po czym dodał cicho: —

Ktoś taki jak ty.

— Taki jak ja? — W panice rozejrzała się dookoła, mając nadzieję, że rozmowa nie przybrała obrotu, którego się obawiała. — Ale chyba ktoś bliższy ci wiekiem? — Miała czterdzieści siedem lat, więc była, według swych obliczeń, przynajmniej o dziesięć lat starsza od niego.

Arthur zaśmiał się krótko.

— Och, ty byś się świetnie nadawała.

— Jestem wystarczająco stara, żeby być twoją matką.

— Proszę...

— Twoją ciotką.

— Zwykle „nie” wystarczy, Gillian — powiedział łagodnie. — Jestem do tego przyzwyczajony.

— Arthurze — rzekła z naciskiem — moje życie jest bałaganem, którego nikt nie może ani nawet nie powinien chcieć sprzątać. Dlatego nie mówię „tak” nikomu. To nie jest częścią mojego życia.

Ochota do smutnych żartów z siebie nie opuściła go całkowicie, ale zmarszczył czoło i spuścił na chwilę głowę, pozwalając, by silne światło odbiło się od jego łysiny. Potem wziął się w garść i jeszcze raz uśmiechnął się szeroko.

— Zapomnij o tym, Gillian. W pewnym sensie próbowałem zilustrować to, co powiedziałem wcześniej.

Jakiś siostrzany pocałunek byłby zapewne na miejscu, ale to nigdy nie było w jej stylu. Zamiast tego uśmiechnęła się, jak miała nadzieję, odrobinę mniej wyniośle niż zwykle i obiecała, że zobaczy się z nim jutro. Raven także się uśmiechnął, ale ruszył przed siebie ciężkim krokiem, a teczka, którą niósł, wyraźnie mu ciążyła. Gillian jeszcze raz ogarnęło poczucie winy. Tryumfujący mężczyzna, który zapewne odważył się na nietypowo dla niego śmiały krok, zniknął. Kilkoma słowami zdruzgotała Arthura - ściągnęła go na ziemię i sprawiła, że znowu ujrzał się takim, jakim widział się zawsze.

171

17

13 czerwca 2001

Historia

Erno Erdai został umieszczony na oddziale zamkniętym Szpitala Ogólnego Hrabstwa Kindle. Kiedy urzędnicy sądowi sprowadzili go do sali — na wózku inwalidzkim, z czego wyraźnie nie był zadowolony — Larry podszedł do nich i zapytał, czy nie mógłby w czymś pomóc. Erno wstał powoli jak starzec, a Larry i urzędnicy wnieśli go oraz jego butlę z tlenem na miejsce dla świadków, skąd wkrótce miał odpowiadać na pytania strony przeciwnej. Chociaż Erdai zdecydowanie odmówił spotkania z Muriel, zanim złoży zeznania, Larry przypuszczał, że chętnie z nim pogada, jak gliniarz z gliniarzem, gdyż tak zapewne będzie o tym myślał. Kiedy urzędnicy się oddalili i Erno umieszczał w nosie swoją rurkę, Larry stał z ręką na barierce z ciemnego orzecha, podziwiając Salę Ceremonialną w której uroczyście wprowadzano na urząd sędziów i nadawano obywatelstwo. Kochał dzieła dawnych mistrzów rzemiosła zachowane w tej starej sali, mimo że był wrogo nastawiony prawie do wszystkiego, co reprezentował system federalny.

— A więc masz raka płuc? Palisz, Erno?

— Palilem jako dzieciak. Podczas służby w Wietnamie.

— A od kiedy wiesz, że to masz?

— Skończ z tymi pierdołami, Larry. Jestem pewny, że zdążyłeś już przejrzeć wszystkie moje akta.

Akta zostały wydobyte nielegalnie z Rudyard zeszłej nocy i przywiezione do miasta. Gdyby jednak Larry to potwierdził, połowa personelu więzienia i prokuratury mogła zostać pozwana do sądu. Poza tym przejrzanie informacji medycznych należało do obowiązków Muriel. Wszyscy grzebali w tych papierach do trzeciej nad ranem, wyszukując, co tylko się dało na temat Erdaia.

Larry zapytał Erna, jak się miewa jego rodzina.

— Sądząc po tym, co nawypisywali w porannej prasie, moja żona miała lepsze dni.

— A twoje dzieci?

— Nie mam dzieci, Larry. Nigdy nie udało mi się ich zrobić. Mara tylko siostrzeńca. A co z twoimi? To dwóch chłopców, tak?

— Tak — odparł Larry. Opowiedział o sukcesach Michaela

i Darrella, ale zrozumiał, że Erno chciał mu przypomnieć, kto na kogo zwracał

większą uwagę przed laty. Pewne rzeczy jednak pamiętał. Sięgnął do kieszeni i podał Ernowi wykałaczkę. Erdai, nie ukrywając zadowolenia, natychmiast włożył ją sobie do ust.

— W więzieniu nie widuje się ich zbyt wiele. Założę się, że nie myślałeś nigdy o wykałaczkę jako o niebezpiecznej broni, Larry.

— W pudle pewnie jest.

— W pudle ktoś może ci czymś takim wykluć oko.

— Jak radzi sobie tam biały były glina, kiedy wokół wszyscy tak świetnie się bawią?

— Radzę sobie, Larry. Nie mam wyboru. Nie wchodzę nikomu w drogę. Miałem jedną przewagę nad innymi, ponieważ wiedziałem, że można przeżyć, nawet jeśli się wpadnie w niewiarygodne gówno. Ja to zrobiłem... jako dziecko. Ludzie w tym kraju, Larry, czują się zbyt wolni. Nigdy się nie jest wolnym. Nie tak, jak chcą tego ludzie tutaj.

Larry zapamiętał to sobie. Wyciągnął już z tej rozmowy sporo ciekawostek, którymi zamierzał podzielić się z Muriel, kiedy tylko pojawi się na sali.

Erdai zapytał, jak mu się wiedzie.

— Cóż, Erno, niewiele spałem ostatniej nocy. Wiesz dlaczego?

— Mogę sobie wyobrazić.

— Nie potrafię tylko pojąć, dlaczego cię bawi wymyślanie tych bzdur.

Erno otworzył na chwilę usta.

— Wiedziałem, że tak pomyślisz, Larry, ale gdybyś przyjechał do Rudyard, kiedy do ciebie napisałem, powiedziałbym o wszystkim tobie, tak jak powiedziałem im. To prawda, Larry. Przykro mi, że przez to ty i twoja dziewczyna źle wyglądacie, ale nie jestem pierwszym gościem, który chce uporządkować swoje sprawy, zanim kopnie w kalendarz.

Ty i twoja dziewczyna. Larry na to też zwrócił uwagę. Erno wiele słyszał, przesiadując przez lata z gliniarzami w Ike's. Lekko sprowokowany, Larry przestał udawać sympatię i wbił w Erna ponure spojrzenie, którego ten zdawał się spodziewać. Wytrzymał je, zachowując nieprzenikniony wyraz twarzy, i nawet nie zmrużył oka. Larry nigdy go do końca nie rozgryzł. Nie domyślił się, jak głęboko była zanurzona ta góra lodowa. Nie dostrzegł w nim gościa, który potrafi wpaść w szal w barze lub

kłamać dla sportu. Ale teraz go przejrzał. Świat był pełen takich rozjuszonych facetów jak Erno, którzy chcieliby wyrównać rachunki z kim się tylko da, nim zabijana amen wieko ich trumny.

Kiedy Larry się odwrócił, do sali właśnie wpadła Muriel. Towarzyszyli jej Tommy Molto, który przed laty oskarżał wraz z nią w tym procesie — wówczas jej szef, a teraz asystent — oraz Carol Keeney, prawniczka z wydziału apelacji, która od lat zajmowała się tą sprawą, meandrującą po różnych instancjach. Tommy był gruby i jak zawsze wyglądał na udęczonego. Wprawdzie ze swymi obwisłymi policzkami upodabniał się do buldoga, ale Larry go lubił, bo gość zawsze starał się jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki. Carol z kolei, z zaciśniętymi ponuro ustami, wydawała się absolutnie przerażona. Była szczupłą blondynką, prawniczką z trzy- lub czteroletnim stażem, która powinna wyszperać, o co chodzi, gdy Arthur złożył wniosek, zamiast po prostu zwalić to na biurko Muriel i powiedzieć jej, że ona prawdopodobnie będzie miała więcej szczęścia z sędzią Harlowem. Wszyscy pewnie mówili teraz Carol, żeby o tym zapomniała, ale Larry wiedział, że jej przyszłość w prokuraturze jest w gruncie rzeczy czarną dziurą.

Raven, który przybył ze swoją śliczną jasnowłosą asystentką, podszedł do Muriel przy stoliku oskarżenia, wyprzedzając o krok lub dwa Larry'ego. Muriel zaczęła rozpakowywać swoją ciężką, zamykaną na kluczyk teczkę do akt, podczas gdy Arthur plótł o świadku, którego miał na zewnątrz. Muriel spała tej nocy nie dłużej niż godzinę lub dwie, ale wyglądała na pobudzoną czekającym ją wyzwaniem, mimo że została ukrzyżowana w porannych gazetach i telewizji. Wielebny doktor Carnelian Blythe z South End, który najwyraźniej uważał, że każda krzywda spotykająca czarnych Amerykanów jest próbą przywrócenia niewolnictwa, już zaczął sobie rościć prawo do Wiewióry i poprowadził od rana kilka pochodów protestacyjnych oraz udzielił wywiadów na stopniach sądu, dorzucając sprawę Gandolpha do swojej nie kończącej się litanii skarg na brutalność Zjednoczonych Sił Policyjnych Hrabstwa Kindle. Blythe do wczoraj zapewne nawet nie słyszał o Rommym.

— Nie zależy mi na tym, Arthurze - odpowiedziała Muriel. - Ustalę, że to ona dostała ten głupi list. Nie musisz jej wzywać na świadka.

Kiedy Arthur się odwrócił, Larry podał mu rękę, którąprawa-

nik z radością uścisnął. Byli prokuratorzy uważali czas, który przepracowali w biurze oskarżyciela publicznego, za swoje dni chwały, ponieważ wtedy jeszcze się nie

prostytuowali dla pieniędzy.

— Czy po wczorajszym wieczorze napływają już oferty z Hollywood? — zapytał Larry. Arthur udzielił wywiadów chyba wszystkim kanałom telewizyjnym i niemal za każdym razem dawał do zrozumienia, że oczekuje mniej więcej tego, iż Muriel zjawi się rano w sądzie tylko po to, by prosić Rommy'ego Gan-dolpha o wybaczenie. Teraz sprawiał takie wrażenie, jakby miał ochotę jeszcze trochę pożartować, ale po chwili odszedł, żeby odszukać swojego świadka.

- O kim mówił Arthur? — zapytał Larry Muriel.

- O Gillian Sullivan. Wezwał ją na świadka, żeby potwierdziła autentyczność listu Erna, gdyby okazało się to konieczne.

— A więc to była ona! — Larry widział Gillian w korytarzu, ale tak bardzo wypadła mu już z pamięci, że wiedział tylko, iż skądś ją zna. Nie wyglądała źle, zwłaszcza jeśli się wzięło pod uwagę, gdzie spędziła ostatnie lata. Wciąż była szczupłą, blada i w jakiś chłodny sposób atrakcyjna. W prokuraturze ludzie zawsze porównywali Gillian i Muriel, gwiazdy dwóch kolejnych pokoleń, ale w umyśle Larry'ego nigdy ze sobą nie współzawodniczyły. Gillian była wyniosłą intelektualistką tyranizującą ludzi, nawet jeśli znali ją i jej ojca od czasu, gdy chodziła do szkoły parafialnej. Muriel miała zdrowy rozsądek, poczucie humoru i czas dla każdego. Zakończenie tej historii, z Muriel na górze, a Gillian na dole, wyrażało to, co Larry uważał za stosowny morał.

Był również przekonany, że Muriel raz jeszcze udowodni, iż jego wiara w nią jest usprawiedliwiona. Obserwował, jak precyzyjnie układa akta na stole, nawet te, które już uznała za nieistotne. Ostatnio występowała w sądzie znacznie rzadziej niż kiedyś, ale wciąż była najlepszą prawniczką, jaką Larry znał. Najlepszą w sądzie. Najlepszą w biurze. Może najlepszą kochanką w jego życiu i prawdopodobnie jedyną znaną mu kobietą, która zdawała się słyszeć i czuć w tym świecie sądów, gliniarzy i zbrodni, w którym rządziła większość swego życia, ^ same rytmy co on. Kiedy go rzuciła, myślał, że osiągnął dno. Wtedy jednak jeszcze nie rozumiał, ile piękna można znaleźć w ustabilizowanym życiu.

175

Arthur nie miał wielu złudzeń co do swego talentu do wy. stępowania w sądzie. Był zorganizowany i szczery, od czasu do czasu energiczny, ale rzadko porywający. Mimo to nie potrafił sobie wyobrazić innego życia. Nigdy nie miał dosyć gorączkowego napięcia wielkich procesów, kiedy niecierpliwe oczekiwanie, wzmagane głosami widzów wypełniających ławki, ścisnęło mu wnętrzności. Nigdzie

indziej wydarzeń nadających kształt życiu społecznemu nie rozstrzygano tak szybko i otwarcie jak w sądzie. Wszystkich —prawników, strony procesowe, widzów —łączyło przekonanie, że na ich oczach tworzy się historia.

Chociaż tak to lubił, odczuł ulgę, gdy pozostawiwszy na chwilę za sobą swoje lęki i niepokoje, szedł cichym korytarzem do pokoiku dla świadków. Zapukał do drzwi i wszedł. Gillian siedziała przy oknie i wyglądała przez nie, robiąc jak zwykle wrażenie nieobecnej duchem. Torebkę położyła na kolanach, a nogi, w białych pończochach, złączyła porządnie razem. Być może jej uwagę przykuł wielebny Blythe, który na placu przed sądem przemawiał przez megafon. Arthur miał się z nim spotkać wieczorem, kiedy to wielebny, łysy i błyskotliwy mężczyzna o wielkich osiągnięciach i jeszcze większym ego, będzie bez wątpienia próbował wykorzystać sprawę Gandolpha do własnych celów. Arthur obawiał się tego spotkania, ale w tej chwili nie zaprzętał sobie nim głowy. Na widok Gillian poczuł, jak przepływa przez niego fala ciepła. Przez kilka dni po ich wyprawie do Rudyard podniecało go, gdy wsiadał do swojego bmw i wyczuwał jej zapach. Pomimo wstydlwego galimatiasu, którego narobił poprzedniego dnia przed wejściem do sklepu Mor-tona, wrażenie, że w gruncie rzeczy nawiązał z tą kobietą jakiś kontakt, nawet jeśli tylko na gruncie tematów prawnych, było czymś podniecającym. Gillian Sullivan!

- Arthur. — Uśmiechnęła się miło, wstając z krzesła. Wyjaśnił, że Muriel zgodziła się przyjąć jako fakt ustalony,

że Gillian otrzymała list od Erna. Jej zeznanie nie będzie konieczne.

- Jesteś wolna — dodał. — Brak mi słów, żeby ci za wszystko podziękować. Byłaś bardzo dzielna.

- Nie ma o czym mówić, Arthurze.

- Jest mi naprawdę przykro, że cię tak potraktowano w porannych gazetach. - Zarówno „Trib”, jak i „Bugle”, najważniejsze dzienniki podmiejskie, uczepiły się tematu skazania Gillian i jej znanej słabości do alkoholu, by dodatkowo zakwestio-

176

nować wyrok w procesie Rommy'ego. Chociaż Arthura jeszcze przed miesiącem nurtowało to samo, zapomniał o tym, coraz częściej się z nią widując, i teraz był tym oburzony.

— To tylko kilka linijek, Arthurze. Byłam przygotowana na coś gorszego.

— Czuję się, jakbym cię wystawił — powiedział — a to nigdy nie przyszło mi nawet do głowy.

— Wykorzystanie takiej sytuacji byłoby zupełnie do ciebie niepodobne, Arthurze. Nigdy bym tak nie pomyślała.

— Dziękuję ci.

Oboje uśmiechnęli się, jakoś nieśmiało. Arthur podał jej rękę. Ścisnęło go w gardle na myśl o tym, że ona znowu odchodzi z jego życia, ale nie było innej możliwości. Zamiast uścisnąć jego dłoń, Gillian przyglądała się z uwagą swojej torebce w kolorze kości słoniowej, jakby nie było w niej różnych drobiazgów potrzebnych na co dzień kobiecie, ale wykładnia jakieś delfic-kiej przepowiedni.

— Arthurze, mogę powiedzieć kilka słów o tym, co zaszło wczoraj wieczorem?

— Nie — odpowiedział natychmiast. Upojony tryumfem, rozbił swoją skarbonkę z marzeniami. Nie chciał do tego wracać, to by było dla niego nie do zniesienia. Tylko trzymając te swoje szalone nadzieje w tajemnicy, mógł je zachować, marzyć dalej. — Zapomnij o tym. Wyrwało mi się. Szczerze mówiąc, zachowałem się nieprofesjonalnie. Mam na myśli to, że jestem nieudolny. W tych sprawach. To prawda. Muszą być jakieś powody, że ktoś jest samotny w wieku trzydziestu ośmiu lat, Gillian.

— Arthurze, ja też byłam samotna, kiedy miałam trzydzieści osiem lat. I będę, gdy przekroczę czterdzieści osiem. Nie musisz być dla siebie taki surowy.

— Ty jesteś samotna z wyboru.

— Niezupełnie. Na swój sposób też jestem nieudolna, Arthurze.

— Przestań, Gillian. Jestem skazany na niepowodzenia. Świat jest pełen takich jak ja, którzy nie potrafią zbliżyć się do innych. Nie zmienię się. Więc nie próbuj. - Ponownie podał jej rękę, ale ona znów głęboko się zamyśliła.

Arthur powiedział, że sędzia w każdej chwili może pojawić się w sali, wyszli zatem z pokoju dla świadków. Na korytarzu Gillian zapytała go, czy Erno jest przygotowany.

177

— Przygotowywaliśmy go jak cholera - odparł - ale dopóki nie znajdzie się w centrum uwagi, nic nie można powiedzieć. Sama o tym wiesz.

Zajrzała do sali rozpraw przez okienko w drzwiach.

— To będzie bardzo dramatyczne — powiedziała w końcu.

— Możesz to poobserwować — odrzekł. — Jeśli masz czas. Cofnęła się, rozważając

ten pomysł.

— Jestem bardzo ciekawa, Arthurze. Często żałowałam, że nie słyszałam, co Erno ci opowiedział w Rudyard. Może to wpływ gazet, ale coraz bardziej czuję się tak, jakbym miała w tym swój udział. Ale czy zbytnio nie nagnę zasad, jeśli tam wejść?

— Zapytam, czy ktoś ma coś przeciwko temu. — Otworzył ciężkie, obite skórą drzwi i przekazał na migi urzędnikowi sądowemu, że Gillian jest z nim i że powinien znaleźć jej miejsce.

Zgodnie z oczekiwaniami Arthura, Muriel nie sprzeciwiła się obecności Gillian. Zresztą udawanie, że nawet gdyby podczas rozprawy pojawił się sam Bóg i jego aniołowie, nie wyrze to na niej żadnego wrażenia, było częścią jej sądowej pozy. Kiedy sędzia Harlow zajął miejsce, Arthur poprosił go o chwilę rozmowy przy stole sędziowskim. Harlow był tak wysoki, że się po prostu wychylił z fotela i oparł na bocznej barierce, gdy Arthur pytał, czy sądowi przeszkadza z jakiegoś powodu obecność w charakterze widza pani Sullivan, sędzi, która wydała pierwszy wyrok w sprawie Rommy'ego. Wy tłumaczył też, jak doszło do tego, że się tu znalazła.

— Gillian Sullivan, czy tak? - zapytał Harlow. Popatrzył na nią, mrużąc oczy za grubymi szklami okularów. — We własnej osobie?

Arthur skinął głową. Sędzia zapytał Muriel, czy ma coś przeciwko temu.

— Mam coś przeciwko temu, że nie zostaliśmy poinformowani, kiedy otrzymała ten list, ale nie obchodzi mnie, że jest tutaj. Nie odgrywa żadnej roli w tym postępowaniu.

— Rozumiem, że chce to zobaczyć na własne oczy — rzekł Harlow. — Trudno jej się dziwić. W porządku, zaczynajmy.

Sędzia odesłał oboje prawników, a kiedy wracali do swoich stołów, Arthur uświadomił sobie, że wszyscy oni — Muriel, Tom-my Molto, Carol Keeney, nawet sędzia, a z pewnością on sam — wpatrują się w Gillian, która, zadbana, z kamienną twarzą siedziała tuż przy przejściu w ostatnim rzędzie. Arthurowi

178

przyszło do głowy, że miała rację. Miała swój udział w tej sprawie, i to bardziej autentyczny niż większość z nich. Ponieważ, w pewnym sensie, była oskarżoną. Powstało bowiem pytanie, czy dziesięć lat wcześniej, z jakichś powodów, wydała wyrok obarczony odwracalnymi — i fatalnymi w skutkach — błędami. Gillian wytrzymała ich spojrzenia bez zmrużenia oka, ale było oczywiste, że tak jak wszyscy inni czeka na odpowiedź.

13 czerwca 2001

Erno w krzyżowym ogniu pytań

- Panie Erdai — zaczęła Muriel — najistotniejszym pytaniem jest, czy kłamał pan wtedy, czy też kłamie pan teraz? — Jeszcze zanim Harlow powiedział jej, żeby przystąpiła do rzeczy, Muriel stanęła naprzeciw Erna, przywołując Larry'emu na myśl boksera, który zrywa się z narożnika na chwilę przed początkiem rundy. Odczekała chwilę, nim zadała pierwsze pytanie, skupiając na swej drobnej, gibkiej postaci uwagę całej sali.

- Wtedy — odparł Erno.

- Czy to kłamstwo?

- Nie.

- Ale czasem pan kłamie, panie Erdai, czyż nie?

- Jak wszyscy.

- Okłamał pan detektywa Starczeka w roku 1991, zgadza się?

- Tak, proszę pani.

- Skłamał pan i nałożył w ten sposób stryczek na szyję innego człowieka. Czy to chce pan nam powiedzieć?

Zanim Erno potwierdził, wykałaczką przeskoczyła z jednego kącika jego ust do drugiego.

- To nikczemność, prawda? - ciągnęła przesłuchanie Muriel.

- Nic, z czego można być dumnym.

- I mimo że jest pan nikczemnym kłamcą, chce pan, żebyśmy panu teraz uwierzyli. Nie mylę się?

- Dlaczego nie?

- Dojdziemy do tego, panie Erdai. Nawiasem mówiąc, czy Już się przedstawiłam?

- Wiem, kim pani jest.

— Ale nie chciał się pan ze mną spotkać, zgadza się?

— Ponieważ ułatwiłoby to pani przedstawienie moich słów jako kłamstwa, chociaż mówię prawdę.

Siedzący za swoim stołem Harlow lekko się uśmiechnął. Z tego, co Larry widział, wynikało, że słowne pojedynki w sali sądowej często bawią sędziego.

— Cóż, upewnijmy się, że dobrze rozumiem, co pan nam mówi, panie Erdai. Mówi nam pan, że w lipcu dziewięćdziesiątego pierwszego roku zabił pan troje ludzi. A po trzech miesiącach policja pana jeszcze nie złapała, tak?

— To prawda.

— Czy chciał pan być złapany?

— A jak pani myśli?

— Myślę, że zrobiłby pan wszystko, żeby nie zostać aresztowany... czy dobrze to ujęłam?

— Tak to mniej więcej wyglądało.

— Miał pan wielu przyjaciół w policji, zgadza się?

— Wielu.

— A zatem wiedział pan, że śledztwo nie posuwało się do przodu, prawda?

— To znaczy tkwiło w martwym punkcie?

— Powiedzmy, że zamierało.

— „Zamierało” to dobre określenie.

— A więc jeśli naprawdę zabił pan tych ludzi, miał pan wszelkie powody wierzyć, że ujdzie to panu bezkarnie, nie mylę się?

— Realnie na to patrząc, tak. Ale wciąż się niepokoiłem.

— Słusznie. Martwił się pan. I mimo to, chociaż pan wiedział, że śledztwo zamiera, zdecydował się pan podsunąć informacje, które je ożywią. Czy to chce nam pan powiedzieć?

— Z powodu mojego siostrzeńca.

— I nie podsunął pan policji anonimowej wskazówki... poszedł pan prosto do detektywa Starczeka?

— To on przyszedł do mnie, ale to bez znaczenia.

— Bez znaczenia — powtórzyła Muriel. Krążyła teraz po sali, rozczapierzając palce, jakby chciała złapać Erna, gdyby próbował uciec. Miała na sobie sukienkę, którą Larry uważał za dziewczęcą, z drukowanego materiału, przewiązaną w talii, i wielką kokardę na szyi — zabieg obliczony w równej mierze na widownię telewizyjną, co sędziego. Jednak każdy, kto już ją widział w sądzie, wiedział, że mimo pozornie niewinnego wyglądu jest niebezpieczna jak pantera.

180

— Czy on jest dobrym detektywem? — zapytała.

— Jednym z najlepszych.

— I zgodzi się pan, że dobrzy detektywi zazwyczaj wiedzą, kiedy ktoś próbuje ich wykołować?

— Jeśli wiedzą że powinni się tego spodziewać, to tak. Nikt jednak nie ma na okrągło włączonego radaru.

— Pan jednak nie tylko ożywił to zamierające śledztwo, ale i zrobił pan to, okłamując kogoś, kto, jak pan wiedział, potrafi zwykle przejrzeć kłamstwa na wylot. Czy tak?

— Może to pani ująć, jak pani chce — odpowiedział Erno.

— A potem, za pośrednictwem swojego siostrzeńca, doprowadził pan policję do kamei, mając świadomość, że gdyby Gan-dolph powiedział prawdę, to równie dobrze mógłby wspomnieć również pańskie nazwisko. Mam rację?

— Powiedziałbym, że jest kłamcą i wyciąga moje nazwisko, ponieważ dowiedział się jakoś, że to ja naprowadziłem na niego gliniarzy. Myślałem o tym.

— I sądził pan, że to kłamstwo będzie przekonujące?

— Jasne.

— Ponieważ wiedział pan, jak przekonująco kłamać, prawda?

Harlow podtrzymał sprzeciw Arthura, zanim Erno zdążył odpowiedzieć, ale można było odnieść wrażenie, że sędzia uśmiechnął się w duchu, podziwiając artyzm tego pytania.

— Powiedział nam pan wczoraj, że był wtedy przekonany, iż pański siostrzeniec nie uzyska niczego od policji lub prokuratorów, o ile Gandolph nie zostanie skazany, tak? Jednak w żaden sposób nie mógł pan przewidzieć, czy na przykład Gandolph nie przedstawi alibi, zgadza się pan?

— Wiedziałem, że był na lotnisku, żeby ukraść kameę Luisy.

— W lecie? Wydawało mi się, że Gandolph przychodził na lotnisko tylko wtedy, gdy zmuszała go tego zimowa pogoda.

Erno skrzywił się. Próbował zbyć Muriel wymijającą odpowiedzią, ale ona go przyszpiliła. Wił się jeszcze trochę i wykręcał, ale ostatecznie przyznał, iż poprzedniego dnia powiedział sędziemu, że Gandolph przychodził na lotnisko w zimie i że nie mógł wiedzieć na pewno, czy Wiewióra miał alibi, czy też go nie ftiał. Mówiąc to, przeżuwał ze skwaszoną miną każde słowo.

— A więc podsumujmy to, panie Erdai - powiedziała Muriel i zaczęła odliczać na palcach. - Chociaż nie chciał pan być zła-Pany, tchnął pan nowe życie w śledztwo, które zamarło. Zrobił

181

pan to, okłamując śledczego, o którym pan wiedział, że jest dobry w demaskowaniu kłamców. I naprowadził pan go na kogoś, kto mógł połączyć pana z jedną z ofiar morderstwa. I zrobił pan to wszystko, nie wiedząc nawet, czy człowiek, którego pan, jak pan teraz twierdzi, wrabiał, nie ma przypadkiem żelaznego alibi. Czy rozumie pan teraz, dlaczego nie powinniśmy panu wierzyć?

Arthur po raz pierwszy zgłosił sprzeciw do całości jej wywodów i sędzia go podtrzymał. Poirytowany Erno jednak mimo wszystko odpowiedział.

— Może to się pani wydawać bez sensu, ale tak to właśnie się stało. Musiałem coś zrobić dla mojego siostrzeńca. Ludzie nie zawsze postępują sensownie.

— Ale to nie ma sensu, czyż nie, panie Erdai? To, co pan nam opowiada. To jedna z tych rzeczy, które nie mają sensu.

Arthur jeszcze raz zgłosił sprzeciw. Nie unosząc nawet głowy znad swych notatek, sędzia zasugerował Muriel, żeby przeszła do następnej sprawy. Odwróciła się na sekundę i jej małe, czarne oczy pochwyciły wzrok Larry'ego, niemo pytając, jak jej idzie. Zasłonił dłonią usta, przykładając do policzka wyciągnięty do góry kciuk. Muriel skinęła nieznacznie głową. Sama też tak myślała.

— Czy będzie pan zaskoczony, panie Erdai, jeśli pan się dowie, że po sprawdzeniu

odcisków palców zebranych na miejscu przestępstwa okazało się, że żadne z nich nie są pańskie?

— Wszystko wytarłem. Byłem ostrożny. Tak jak powiedziałem.

— Ani DNA. Ani krwi. Ani śliny. Ani nasienia. Nic takiego, co by pochodziło od pana, nie znaleziono na miejscu przestępstwa, prawda?

— Prawda. Ale nie mieliście także nic takiego od Gandol-pha.

— Bardzo dobrze zna pan nasze dowody przeciwko panu Gandolphowi, czyż nie, panie Erdai?

— Śledziłem tę sprawę z wielką uwagą. Z oczywistych względów.

— A rewolwer, panie Erdai? Co się z nim stało?

— Wrzuciłem go do rzeki. Razem z całą resztą.

Muriel uśmiechnęła się szeroko, przybierając wyraz twarzy weterana, który miał już do czynienia z masą facetów znających wszystkie odpowiedzi. Wróciła wolnym krokiem do po-

182

dium, żeby zerknąć na swoje notatki, po czym przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Erdaia.

— Czy pan umiera? — zapytała w końcu.

— Tak mówią lekarze.

— Wierzy im pan?

— Przez większość czasu. Są takie chwile, kiedy zaczynam myśleć, że może się mylą... słyszy się przecież o lekarskich pomyłkach... ale w gruncie rzeczy wiem, że nie mam się co łudzić.

— A zatem, jeśli o pana chodzi, nie ma pan nic do stracenia, mówiąc nam to, co pan nam dzisiaj opowiada. Tak?

— Nie rozumiem.

— Naprawdę? Czy może pan wymienić cokolwiek, co bałby się pan stracić?

— Duszę — odparł Erno. — Jeśli ją mam.

— Jeśli pan ją ma — powtórzyła Muriel. — Pozostańmy tu, na ziemi. Czy jest tu coś,

czego nie chciałby pan stracić?

— Moja rodzina — powiedział Erno. — Bardzo mi na nich zależy.

— Cóż, stoją przy panu i wspierają pana, panie Erdai, prawda? Co jeszcze?

— Byłoby mi przykro, gdybym stracił moją emeryturę z linii lotniczej. Długo tam pracowałem i chcę być pewny, że moja żona coś ma.

— Cóż, nie straci pan emerytury za morderstwo. Zgadza się?

— Gdyby to było przestępstwo popełnione na niekorzyść przedsiębiorstwa, to bym stracił.

— A było?

— Byłoby tylko wtedy, gdyby Luisa była członkiem kierownictwa.

Na widowni rozległa się salwa śmiechu. Tego dnia sala była pełna. Jak można było przewidzieć, doniesienia prasowe sprawiły, że zajęte były wszystkie miejsca.

— A zatem nie straci pan swojej emerytury. I nie będzie pan żył na tyle długo, żeby doczekać się oskarżenia o krzywoprzysięstwo, tak?

— Nie ma żadnej podstawy do oskarżenia mnie o to.

— Tak czy owak, jest raczej wykluczone, że będzie pan musiał posiedzieć dłużej, mam rację?

— Tak sędzę.

— A co się stanie z pańskim siostrzeńcem, Collinsem Far-

183

wellem? Okłamał detektywa Starczeka, mówiąc mu, że przeprowadził pewną rozmowę z Rommym Gandolphem, prawda?

— Taa, ale on myślał, że Gandolph jest winny.

— A gdzie jest teraz Collins?

— Ma adwokata nazwiskiem Jackson Aires. Może pani do niego zadzwonić.

— Adwokata? Żeby uzyskać poradę prawną w związku z tą sytuacją?

— Zasadniczo tak. Ja płacę rachunki, ponieważ to ja go w to wpakowałem.

— A wie pan, czy adwokat upewnił Collinsa, że nie można postawić go w stan

oskarżenia za kłamstwa, które opowiadał w 1991 roku, ponieważ stosuje się do tego przepis o przedawnieniu?

— Czy to nie powinna być sprawa poufna, między adwokatem i klientem?

— Ujmijmy to w ten sposób, panie Erdai. Sądzi pan, że nic złego nie może spotkać Collinsa w rezultacie pańskich zeznań, prawda?

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie.

— A gdzie on jest?

Erno popatrzył na sędziego, który zdecydowanie kiwnął do niego głową.

— W Atlancie. I jak mówiłem, robi tam wiele dobrego.

— Moje gratulacje — powiedziała Muriel. — A teraz pomówmy o drugiej stronie, panie Erdai. Czy coś pan zyska, występując z tym teraz?

— Czyste sumienie.

— Czyste sumienie — powtórzyła Muriel. — Mówi pan, panie Erdai, że strzelał pan w swoim życiu do pięciu osób, zamordował trzy z nich, zabił swoją teściową i próbował zamordować piątego człowieka, który przeszkadzał panu w barze. I to zeznanie przyczyni się do tego, że będzie się pan czuł lepiej, czy tak?

Za plecami Larry'ego rozległ się śmiech. Harlow uniósł wzrok i na sali natychmiast zapadła cisza.

— Nie zmienię tej całej reszty, Muriel. Tylko tyle mogę teraz zrobić.

Zwrócenie się do Muriel po imieniu było w stylu Erna. O ile Larry wiedział, nie znali się nawet tak, by się sobie kłaniać, ale Erdai zawsze uważał się za rodzzonego brata wszystkich pracowników organów ścigania.

184

— Cóż, czy kilka miesięcy temu nie złożył pan podania o urlop okolicznościowy? A potem, kiedy panu odmówiono, podania o przeniesienie, także z uwagi na okoliczności? Żeby być bliżej żony?

— To prawda.

— Drugie podanie także zostało załatwione odmownie?

- Tak.

— Pańskiej żonie ciężko dojeżdżać do Rudyard?

- Byłoby o wiele łatwiej, gdybym był tutaj.

- Gdzie pan spał dzisiejszej nocy?

- W szpitalu ogólnym.

— Czy widział się pan tam z żoną?

— Przed sądem.

Muriel wymieniła to po kolei. Widział się też z żoną wczoraj. I przedwczoraj. A Arthur złożył do sądu wniosek, w którym sugerował, żeby Erno nie wracał do Rudyard, dopóki sprawa Gandolpha nie zostanie rozstrzygnięta.

- Czy możliwość codziennych spotkań z żoną wiele dla pana znaczy? Na tym etapie?

— Teraz? Tak, zwłaszcza teraz wiele to dla mnie znaczy. Nie zasłużyła sobie na te ostatnie kilka lat. Ani na jeden dzień. — Jego głos osłabł i Erno niespodziewanie zarumienił się. Wyciągnął z nosa rurkę doprowadzającą tlen i zakrył twarz dłońmi. Harlow, który miał na stole chusteczki jednorazowe, wprawnie mu je podał. Muriel przeczekwała to, nie okazując zniecierpliwienia, ponieważ Erno niewiele mógł jeszcze zrobić, żeby dowieść jej racji. Gdy tylko odzyskał oddech, zmieniła temat.

— Porozmawiajmy teraz o przestępstwie, za które siedzi pan obecnie w więzieniu, panie Erdai.

- A co ma piernik do wiatraka? — zapytał Erno.

Arthur, jak na sygnał, wstał, żeby zgłosić sprzeciw. Skazanie pana Erdaia, podkreślił, jest istotne jedynie o tyle, o ile może posłużyć do ustalenia wiarygodności Erna. Natomiast okoliczności, w jakich popełnił to przestępstwo, nie mają tu nic do rzeczy.

- Powiążę to — odparła Muriel. Była to prawnicza wersja obietnicy „czeki przyjdą pocztą”, ale Harlow, prowadzący sesję bez ławy przysięgłych, powiedział, że da Muriel wolną rękę, zwłaszcza, że jest to tylko zeznanie pod przysięgą a nie proces.

- Nie pozwalam prawnikom dwukrotnie łamać danego mi słowa — dodał sędzia.

185

— Nie oczekiwałam tego - powiedziała Muriel i odwróciła się z powrotem do Erna, który, jak się wydało Larry'emu, cofnął się trochę, gdy zbliżyła się do niego. Trudy dotychczasowych utarczek z Muriel zdążyły się już na nim odbić, sprawiając, że zachowywał się ze znacznie mniejszym animuszem niż na początku.

— Ściśle rzecz biorąc, panie Erdai, jest pan w więzieniu tylko dlatego, że pańscy przyjaciele z policji nie potwierdzili pańskiej wersji wydarzeń... zgadza się?

— Jestem w więzieniu, ponieważ postrzeliłem człowieka.

— Ale powiedział pan funkcjonariuszom, którzy byli w tym barze, Ike's, gdzie doszło do strzelaniny... powiedział im pan, że użył broni w samoobronie, czy nie tak?

— Tak myślałem.

— I wielu z funkcjonariuszy, którzy byli świadkami tej strzelaniny i słyszeli, jak pan twierdził, że się pan jedynie bronił, było pańskimi przyjaciółmi, zgadza się? Ludźmi, z którymi pan pił?

— Oczywiście.

— Czy to pana nie rozczarowało, panie Erdai, że nikt z nich nie poparł pana, mówiąc, że to rzeczywiście była samoobrona?

— Nie, kiedy miałem czas, żeby to sobie przemyśleć.

— Ale początkowo?

— Nie wiem, czego oczekiwałem.

— Ale nie zmartwiłoby pana, gdyby potwierdzili pańską wersję, prawda?

— Pewnie nie.

— Słyszał pan kiedykolwiek o tym, że policjanci chronią się nawzajem?

— Myślę, że to się zdarzało.

— Ale nie zdarzyło się w pańskim wypadku, prawda? Ponury błysk w oczach Erna był pierwszą oznaką wrednej

strony jego natury. Był jednak wystarczająco doświadczony, żeby się uspokoić przed odpowiedzią.

— Nie.

— I tak musiał pan przyznać się do winy, nie myślę się?

— Zgadza się.

— A co z detektywem Starczkiem? - Larry wyprostował się odruchowo, usłyszawszy swoje nazwisko. — Czy on był jeszcze jednym z pańskich policyjnych przyjaciół?

— Larry? Znam go od trzydziestu lat. Byliśmy razem kadetami.

186

— A te listy, które pisał pan do detektywa Starczeka...

Muriel niespodziewanie podeszła do Larry'ego, który siedział przy stole oskarżenia, i ledwie poruszając ustami, szepnęła:

— Sięgnij do mojej teczki i wyjmij pocztę z pierwszej przegródki.

Przebiegł go lekki dreszcz niepewności, ale kiedy wyjmował trzy koperty na listy, już wiedział, o co jej chodzi. Według adresów zwrotnych był to wyciąg z konta w jej stanowym funduszu emerytalnym i dwa rachunki z kart kredytowych. Z listami w ręce zwróciła się do świadka.

— Nigdy nie napisał pan do detektywa Starczeka, że kogoś pan zabił, czy tak?

— Napisałem, że muszę z nim porozmawiać.

— Czy nie napisał mu pan prosto z mostu, że potrzebuje pan jego pomocy?

— Mogłem napisać. Wie pani, o ile dobrze pamiętam, zadzwoniłem do niego raz czy dwa, tyle że go nie było, a oni i tak nie przyjmują rozmów na swój koszt od zapudłowanych, napisałem więc do niego dwa lub trzy listy, ale nie odpowiedział.

Arthur podniósł się, wskazując koperty w dłoni Muriel.

— Wysoki sędzie, nie widziałem tych listów.

— Panie sędzio, ja nie otrzymałam żadnej wstępnej informacji o treści zeznania pana Erdaia. A poza tym nie pokazałam tych listów świadkowi. Pan Raven może sprawdzać tylko to, co przedstawię świadkowi.

Arthur wciąż się sprzeciwiał i Harlow w końcu wezwał ich oboje do stołu sędziowskiego. Larry przyłączył się do procesji.

— O co chodzi z tymi listami? - wyszeptał Harlow.

— Nie mam żadnego — odparła Muriel.

Larry był pewny, że Harlow wybuchnie gniewem, ale sędzia uśmiechnął się szeroko.

— Blefujemy? — zapytał.

— Mam prawo - odparła.

— Rzeczywiście, ma pani — stwierdził sędzia i odesłał ich machnięciem ręki.

Muriel poprosiła protokolanta o odczytanie dwóch ostatnich Pytań i odpowiedzi.

Larry odwrócił się, by mieć na oku Arthura, gdyż bał się, że adwokat w jakiś sposób da znać Ernowi, że Muriel blefuje. Nigdy nie można być pewnym, w jakie psie łajno może się zmie-

187

nić obrońca. Jednakże Arthur zachował twarz pokerzysty, gdy zasłoniwszy usta dłonią, wyjaśniał asyście, co się dzieje.

— W czasie, gdy pisał pan do detektywa Starczeka, chciał pan uzyskać przeniesienie do zakładu karnego o złagodzonej nadzorze, prawda?

— Cóż, mój adwokat próbował to uzyskać. A kiedy mu się nie udało, poprosiłem kilka osób o pomoc.

— Czy chce pan nam powiedzieć, panie Erdai, że myślał pan, iż uzyska pan przeniesienie do zakładu karnego o złagodzonej nadzorze, jeśli poinformuje detektywa Starczeka, że popełnił pan potrójne morderstwo?

Pomimo poprzedniego ostrzegawczego spojrzenia Harlowa, z ławek widzów znowu dobiegło kilka chichotów.

— Kiedy pisałem do Larry'ego, w zasadzie już zrezygnowałem ze starania się o to przeniesienie. Regulamin więzienny mówi, że jeśli popełniłeś przestępstwo przy użyciu broni palnej, łądujesz w zakładzie o maksymalnym nadzorze. Kropka.

— Może nam pan podać choć jedno nazwisko kogoś z policji, kto próbował dotrzeć do Departamentu Więziennictwa i przekonać ich, żeby zrobili dla pana wyjątek?

Erno wyjął z ust wykałaczkę. W tej sprawie był ugotowany, wiedział bowiem, że nikt nie przyjdzie do sądu, aby go poprzeć. Odpowiadając Muriel, przyznał, że nie może sobie nikogo takiego przypomnieć.

— I niezależnie od tego, co pan napisał do detektywa Starczeka, zgadzamy się, że nigdy nie wspomniał pan w listach do niego o tych zabójstwach. Zgadza się?

— To prawda. Napisałem do niego, że muszę z nim porozmawiać o czymś ważnym.

— Detektyw Starczek nie odpowiedział?

— Nie.

— Teraz, kiedy nie mógł pan niczego dla niego zrobić, nie chciał mieć z panem do czynienia. Tak pan myślał?

— Nie, tak bym tego nie ujął.

Muriel wróciła do Larry'ego po kopie listu, który Erno napisał do Gillian, po czym ruszyła w stronę świadka. Siedzący o dziesięć stóp na lewo od Larry'ego Raven natychmiast zerwał się na nogi.

— Panie sędzio, nie widziałem tego — powiedział. Muriel z niewinną miną pokazała list Erna najpierw Rave-

nowi, a potem Harlowowi. Larry przeczytał inną kopię, którą

188

zostawiła na stole. Były tam wspomniane przez Muriel słowa, a zakłopotana mina Arthura świadczyła wyraźnie o tym, że nie dostrzegł, jakie mają znaczenie. Kiedy Muriel wracała do podium, Larry zauważył, jak mijając Arthura, rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie, rodzaj koleżeńskiego „mam cię”, jakby grali w scrabble lub tenisa. Następnie odwróciła się do Erna i podetknęła mu ten list, jakby pchała nożem.

— Czy w liście do sędzi Sullivan napisał pan, że detektyw prowadzący śledztwo nie jest panem zainteresowany „teraz, kiedy nie może pan już nic dla niego zrobić”?

Erno przeczytał to kilka razy.

— Tak jest tutaj napisane.

— Czy można powiedzieć, że był pan urażony?

— Może to pani nazywać jak pani chce.

— Zatem nazwę to urazą— odparła Muriel.

Harlow podtrzymał sprzeciw, ale znowu się uśmiechnął. Larry już rozszyfrował sędziego. Kenton Harlow lubił prawników, podziwiał ich pracę. Wierzył, że prawda wychodzi na jaw w rezultacie ostrych pojedynków sądowych, i był wyraźnie oczarowany stylem, w jakim Muriel prowadzi przesłuchanie.

— Cóż, ujmijmy to w ten sposób — podjęła Muriel. — Podsunał pan detektywowi Starczekowi informacje na temat sprawy, o której wiedział pan, że jest dużej wagi, tak?

— Tak.

— A pański przyjaciel detektyw Starczek rozwiązał tę sprawę? Jemu przypadła cała zasługa?

— Jemu i pani — odparł Erno.

— Jemu i mnie. Policja też na tym zyskała, nie myślę się?

— Tak jest.

— Ta policja, w której nikt nie chciał panu pomóc w staraniach o przeniesienie do więzienia o lżejszym nadzorze?

— Tak.

— Ta sama policja, w której nikt nie potwierdził pańskiej opowieści, że przed czterema laty strzelał pan w barze Ike's w samoobronie?

— Taa, jak sądzę.

— I mówiąc to, co pan mówi teraz, w gruncie rzeczy odbiera Pan to, co przedtem dał pan detektywowi Starczekowi i policji. Tak?

— Mówię prawdę.

189

— Pomijając kwestię, czy to prawda, czy nie, w gruncie rzeczy próbuje pan zmienić lub wręcz obalić wyrok, który był konsekwencją informacji, które pan uprzednio przekazał. Zgadza się?

— Ponieważ tamto było kłamstwem.

Muriel poszła za ciosem i Harlow zmusił Erna do odpowiedzi. Nie pozostało mu nic innego, jak powiedzieć tak. Wszystko było już aż nazbyt oczywiste, ale i tak w rzędach, w których zasiadali dziennikarze, zapanowało lekkie poruszenie, kiedy wypowiedział to słowo. Mieli główny wątek do swych reportaży.

Muriel zaczęła następnie pytać Erna o jego związki z Gangster Outlaws, jednym z gangów działających w więzieniu w Rud-yard, który miał tam najsilniejszą pozycję. Była to informacja, na której zdobycie Larry poświęcił prawie całą noc, i Muriel teraz zręcznie ją wykorzystała. Erno zaprzyjaźnił się z należącym do GO więźniem ze swojej celi i ostatecznie znalazł się pod ochroną gangu, któremu, jak chodziły słuchy, przekazywał od czasu do czasu różne informacje wyciągnięte od starych kumpli z policji. Erno nie chciał potwierdzić, że był informatorem GO.

— Czy wie pan, panie Erdai, że było kilka przypadków, kiedy to odbywający karę więzienia członkowie Gangster Outlaws składali fałszywe zeznania, przyznając się do przestępstw, | o które oskarżano innych członków gangu? |

— Sprzeciw — odezwał się Arthur. — Nie ma żadnych dowodów, że pan Gandolph należy do jakiegokolwiek gangu.

— Pytam, czy pan Erdai o tym wie — odparła Muriel.

— To nie ma nic wspólnego z tematem — powiedział Arthur.

— Ja jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź — rzekł sędzia.

— Słyszałem o tym — powiedział Erno.

— A czy słyszał pan również, panie Erdai, że Gangster Outlaws kontrolują oddział skazanych na śmierć w Rudyard?

— Wiem, że jest ich tam wielu.

— Łącznie z panem Gandolphem?

— Tego nie wiem. Musi pani zrozumieć, że ci z tego oddziału, Zółtki, są całkowicie odizolowani. Nie widują się z nikim innym. Przez cały czas, jaki spędziłem w zakładzie karnym, nie zamieniłem z Gandolphem ani słowa.

— Cóż, panie Erdai, czy chce pan nam powiedzieć, biorąc pod uwagę pańskie doświadczenie nabyte w tej instytucji, że gdyby ktoś z gangu, który pana chroni, chciał, żeby opowie-

190

dział pan historię, która nie przyniesie panu szkody, zaszkodzi natomiast detektywowi Starczekowi i policji w ogóle, czyli ludziom, którzy pana zawiedli, historię, która nawet pomoże panu spędzić swoje ostatnie dni z żoną... czy naprawdę chce pan nam powiedzieć, że jest pan zbyt uczciwy, żeby to zrobić? Arthur wstał na długo przed tym, nim Muriel skończyła. Spokojnie powiedział: „Sprzeciw”, a Harlow szybko zareagował: „Podtrzymany”. Tyle że Muriel w gruncie rzeczy kierowała tę ostatnią wypowiedź do prasy. Wykonawszy swoją robotę w więcej niż stu procentach, ruszyła z powrotem w stronę stołu oskarżenia. Nagle jednak się zatrzymała.

— Ach — odezwała się, jakby sobie przypomniała o czymś mało ważnym. — Kiedy już pan zawlókł te ciała do chłodni, panie Erdai, to... jak pan powiedział?... co pan zrobił ze zwłokami Luisy Remardi?

— Ściągnąłem jej spódnicę i majtki aż do kostek.

— A potem?

— Potem nic.

— A zatem rozebrał japa. Dlaczego...? Z ciekawości?

— Rozebrałem ją ponieważ wiedziałem, że godzinę wcześniej uprawiała seks, i doszedłem do wniosku, że autopsja to wykaże. Chciałem, żeby to wyglądało na gwałt. Tak jak zabierając im wszystkie cenne rzeczy, chciałem, żeby to wyglądało na rabunek. Próbowałem po prostu zatrzeć ślady.

— Czyli w rzeczywistości nie odbył pan stosunku analnego ze zwłokami?

— Nie.

— Wie pan jednak, że policyjny patolog, doktor Kumagai, zeznał podczas procesu, iż zwłoki zostały w ten sposób zabezpieczone, prawda?

— Wiem, że Bezbolesny Kumagai popełnił przez lata pracy wiele błędów.

— Ale nie wie pan, skąd się wziął środek zwilżający prezerwatywy, którego ślady znaleziono w jej odbycie?

— Myślę, że powinna pani zapytać o to dżentelmena, z którym spędzała czas na parkingu.

— I sądzi pan, że to może tłumaczyć, dlaczego zwieracz odbytu był rozszerzony po jej śmierci?

— Nie jestem patologiem.

— Ale zgodzi się pan, panie Erdai, że pańskie zeznania nie wyjaśniają tego fragmentu materiału dowodowego, prawda?

191

- Nie wyjaśniłem tego, to prawda.

— Dziękuję panu - powiedziała Muriel.

Usiadła obok Larry'ego, który całkiem niespodziewanie poczuł, jak stuknęła pięścią w jego pięść.

Przesłuchanie prowadzone przez Muriel przebiegło niemal dokładnie tak, jak to przedstawiał Arthur podczas swych narad z Ernem w więzieniu. Jedynym wyjątkiem był fragment w liście Erdaia o tym, że nie może się już do niczego przydać Larry'emu — Arthur nie dostrzegł w porę wynikających z tego implikacji. Pomijając jednak to, Erno był dobrze przygotowany. Tyle że Muriel przeszła samą siebie. Zdobyła wszystkie możliwe punkty za styl.

Kiedy skończyła, sędzia Harlow siedział wyprostowany w swoim fotelu po drugiej stronie stołu, dosłownie trzymając się jak najdalej od Erdaia. Gdy Artur wstawał do kontrprze-słuchania, miał świadomość, że czeka go ciężkie zadanie. Zanim zaczął to, co w żargonie prawniczym nazywa się rehabilitacją świadka, zapiał starannie marynarke i jeszcze raz sprawdził notatki Pameli.

- Panie Erdai, pani Wynn zapytała, dlaczego naraził się pan na tak wielkie ryzyko dla dobra swojego siostrzeńca. Czy może pan to wyjaśnić wysokiemu sądowi?

Erno przez jakiś czas wpatrywał się w barierkę otaczającą miejsce dla świadków.

— Ta rodzina... moja rodzina... my wiele wycierpieliśmy. Chcę powiedzieć, że oni przeszli przez piekło podczas drugiej wojny światowej, a potem, w 1956 roku, mój ojciec wziął udział w powstaniu... - Erno wykrzywił twarz. — Został zabity... zastrzelili go, a potem powiesili za nogi na latarni przed naszym domem, mówiąc dokładnie. Nasi sąsiedzi wydali go AVH, tajnej policji. Amoja matka, moja siostra i ja... to, jak się stamtąd wydostaliśmy i dotarliśmy tutaj, też jest niesamowite. A potem Collins, mój siostrzeniec... on był jedynym dzieckiem, jakie mieliśmy, ja i moja siostra. I wiedziałem, że jeśli on pójdzie na resztę życia do więzienia, to będzie nasz koniec. Nie mogłem zapomnieć o tym, jak ojciec wisiał na tej latarni... zostawili go tam na wiele dni i nie pozwalali odciąć. To miało być ostrzeżenie.

Erno podniósł rękę, żeby zasłonić usta, jakby zbierało mu się na wymioty. Kompletnie się załamał. Po minucie wytarł

192

twarz chusteczkami sędziego i, jak poprzednio, upłynęło jeszcze trochę czasu, nim odzyskał oddech.

— Czulem, że on mógłby coś osiągnąć, to znaczy Collins. Był bystry, tylko miał pecha. Myślałem, że powinienem dać mu jeszcze jedną szansę. Uważałem, że jestem to winny mojemu ojcu, matce... całej rodzinie. Musiałem zrobić co w mojej mocy.

Arthur odczekał, sądząc, że Erno jeszcze coś doda, ale wyglądało na to, że już swoje powiedział. Spędził z Erdaiem wiele godzin, ale niespecjalnie go polubił. Nie dlatego, że Erno był kryminalistą, nawet nie z powodu wyjątkowości jego zbrodni. Przez te wszystkie lata Arthur, jak każdy inny, kto pracował w wymiarze sprawiedliwości, spotykał absolutnych łotrów, którzy byli błyskotliwi, a nawet urzekający. W Ernie wyczuwało się jednak jakiś trwały, niezmienny chłód. Mówił otwarcie i nie był tylko tak po prostu nieczuły, ale też w jakiś sposób z tego dumny. Nie starał się być lubiany. Ale właśnie ta jego twardość sprawiła, że Arthur nabrał niezachwianego przekonania, że Erno mówi prawdę. Podziwiał go też za to, że wziął

udział w tym postępowaniu, nie domagając się, by uważano go za jakiegoś męczennika. Wiedział, że nim nie jest.

— Dobrze więc. Przejdźmy do innej sprawy. Pani Wynn pytała, co pana skłoniło do złożenia tego zeznania. Może nam pan powiedzieć, dlaczego chciał pan rozmawiać z sędzią Sullivan i ze mną... dlaczego postanowił pan powiedzieć prawdę o tym, co się stało czwartego lipca 1991 roku?

Jak można było przewidzieć, Muriel wstała, by zgłosić sprzeciw wobec założenia, że Erno mówi prawdę. Sędzia potraktował ją tak, jak to zrobił kilka razy z Arthurem.

- Spróbujmy to po prostu rozegrać między nami prawnikami. Nie przejmujemy się tym, kto siedzi na jaskółce - powiedział, wyraźnie nawiązując do prasy. — W porządku, panie Erdai. Niech pan się wytłumaczy. Dlaczego słyszymy o tym teraz?

Erno uspokoił oddech, zanim zaczął.

- Powiedziałbym, że na początku, kiedy wrobiłem Gandol-pha, nie martwiłem się zbyt, co z nim będzie. Doszedłem do wniosku, że gdyby zebrać te wszystkie sprawy, które uszły mu na sucho, to przypuszczalnie i tak zasłużył sobie na długą odsiadkę.

Jak mówiłem - podjął po krótkiej przerwie - gdyby Larry Przyjechał do mnie, kiedy go o to prosiłem, powiedziałbym mu o wszystkim. Nie ułożyłem sobie w głowie, jak bym to zrobił,

193

ale zrobiłbym, bo byłem mu winny szczerą. Jednak teraz uważam, że jestem to winny Gandolphowi.

Nic nie może się równać z umieraniem, mówię wam. Możecie myśleć, że rozumiecie, że jesteście na tym świecie tylko czasowo, ale gdy lekarze powiedzą wam... nie wiem, może starzy ludzie czują to jakoś inaczej. Moja mama była szczęśliwa, gdy umierała w wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Ale gdy to się przydarza przed czasem... boję się przez większość każdego dnia. Zbliża się. Wiesz, że jest już coraz bliżej. I nic nie możesz zrobić. Zbliża się. To okrutne, naprawdę. Całe życie dajesz sobie radę w najtrudniejszych sytuacjach, a kiedy nadchodzi koniec, nic na to nie możesz poradzić.

Wiecie, ludzie na łożu śmierci odkrywają na nowo swoją wiarę — ciągnął. — Ja też odkryłem moją. Rozmawiam z księdzem. I dużo rozmyślam. Zrobiłem wiele strasznych rzeczy. Nie wiem, czy Bóg nie pokarał mnie tą chorobą. Nie przyśle mi telegramu z wyjaśnieniem. Ale przychodzi ci w końcu do głowy, że jeszcze możesz

coś naprawić. I tak zacząłem myśleć o Gan-dolphie. Jest tam już od ponad dziewięciu lat i każdego dnia wie, tak jak ja, że to się zbliża. Zbliża się, a on nie może nic zrobić, żeby to zmienić. Tak jak ja. Tylko że on na to nie zasługuje. Jeśli powiem po prostu prawdę, on się z tego wygrzebie. Przechodzi przez to, przez co ja przechodzę, każdego dnia, ale nie musi tak być. O tym właśnie myślałem. Nie mogę zmienić swojego losu. Ale mogę zmienić jego. Wszystko, co muszę w tym celu zrobić, to postąpić słusznie.

Erno nie patrzył na nikogo, kiedy wygłaszał tę orację. Spuścił nisko oczy i mówił tym samym głosem, chrypliwym i trochę jakby bezcielesnym, którym odpowiadał przez cały czas. Ale kiedy skończył, uniósł wzrok i skinął zdecydowanie głową do sędziego.

Trzymając swój długi palec przy nosie, Harlow wyraźnie zastanawiał się nad tym, co sądzić o Ernie. Arthur i Pamela spędzili sporo czasu, zadając sobie nawzajem to samo pytanie. Pomimo jego demonstracyjnej otwartości, było w nim coś nieuchwytnego, nie dającego się określić, co Arthur ostatecznie złożył na karb jego niepewności w ocenie siebie samego. Arthur nie miał żadnej wątpliwości, że Erdai wierzy w każde słowo, które właśnie powiedział, ale było w nich coś obcego, jakby nie z tego świata. Czasem Erno przypominał mu jego schizofreniczną siostrę Susan, która często twierdziła, że kierują ją

194

głosy dochodzące gdzieś z kosmosu. Erdai zeznał, że kiedy zastrzelił Paula Judsona, dowiedział się czegoś makabrycznego o sobie. Nie było to jednak dla niego nawet w przybliżeniu tak niewytłumaczalne jak siły, które pchały go pod koniec życia do naprawienia choćby w tej niewielkiej mierze, w jakiej mógł, zła wyrządzonego przez tę potworną stronę jego natury. Erno wiedział, że robi coś słusznego. Ciągle jednak wydawał się całkowicie zagubiony w kwestii tego, co sam może na tym zyskać.

Na koniec sędzia zapytał Muriel, czy ma jeszcze jakieś pytania do świadka. Po naradzie z Larrym odpowiedziała, że nie.

— Panie Erdai — powiedział sędzia — jest pan zwolniony z obowiązku składania dalszych zeznań. — Harlow jeszcze przez chwilę przyglądał się z uwagą Ernowi, po czym dodał bezbarwnym głosem: - Powodzenia, sir — i nie oglądając się, wyszedł.

19

13 czerwca 2001

Rodziny ofiar

Gdy sesja dobiegła końca, Muriel, wciąż niesiona adrenaliną spojrzała na galerię, gdzie widzowie, ramię przy ramieniu, wstawali właśnie z miejsc. Było wśród nich przynajmniej kilkunastu reporterów i mnóstwo zwykłych ludzi przyciągniętych przez gazetowe nagłówki z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Tego ranka Ned Halsey z galanterią zasugerował Muriel, żeby złożyła sprawę — i wiążące się z nią problemy — na jego barki. Jednak dziennikarze wiedzieli, że uzyskanie wyroku skazującego Gandolpha było decydującym momentem jej kariery: gdyby Arthur udowodnił, że Wiewióra nie jest winny, prasa ukrzyżowałaby ją niezależnie od tego, czy była na sali sądowej, czy też nie. A poza tym i tak nie odmówiłaby sobie przyjemności podjęcia wyzwania. Łaknęła tych chwil wymagających od niej maksymalnego wysiłku, chwil, kiedy świat zdawał się walić na nią jak wzburzone morze. Raven zamierzał złożyć pakiet nowych wniosków. Molto i Carol potrzebowali pomocy w przygotowaniu następnego posunięcia. Larry czekał na wskazówki co do kierunku, w którym powinno przebiegać jego śledztwo w sprawie Erna. A dziennikarze już ruszyli ku

195

niej, żeby sprawdzić, czy uda im się wyciągnąć jakieś przedwczesne komentarze. Ale to było jej przeznaczenie, którego pragnęła od czasów dzieciństwa. „Arena”, mówił na to wszystko Talmadge, ale jej nie podobał się gladiatorski podtekst tego określenia. Dla niej była to w większej mierze kwestia dania z siebie wszystkiego, świadomości, że w tym, iż daje sobie radę w ciężkim położeniu, ma udział każda komórka jej ciała.

Z instynktowną jasnością, z jaką zawsze jej się objawiały takie rzeczy, zrozumiała nagle, co musi zrobić. Na przesłuchaniu był obecny John Leonidis. Siedział z tyłu, jak to wiernie robił przez ponad dziewięć lat, kiedykolwiek odbywały się ważne dla tej sprawy posiedzenia sądu. Zignorowała całą resztę i, otoczona reporterami, położyła rękę na ramieniu Johna, po czym poprowadziła go przez korytarz do pokoju dla świadków. Wiedziała, że reporterzy nie odejdą, dopóki nie usłyszą od niej jakiegoś komentarza.

John nie przyszedł sam. Przedstawił jej mężczyznę o gładkiej skórze i nazwisku Pan, przypuszczalnie Filipińczyka, który był od niego o wiele młodszy. Muriel zamknęła drzwi małego pokoju, ale docierała tu wrzawa kłębiącego się na korytarzu tłumu. John był rozwścieczony przebiegiem postępowania. Gryząc paznokcie i pomstując, tłumaczył Muriel, jakby to była dla niej jakaś nowość, że Erdai kłamał, żeby się odegrać na policji hrabstwa Kindle, a o wszystkich szczegółach śledztwa ktoś go poinformował.

— Chcę powiedzieć tym idiotom dziennikarzom, o co tu chodzi - oświadczył.

Gdyby w jej obronie wystąpiły ofiary zbrodni, byłoby to dla Muriel idealne rozwiązanie. Niemniej jednak powiedziała Johnowi, że powinien się wypowiadać na ten temat tylko wtedy, gdy będzie tego chciał.

— Możesz mi wierzyć, że chcę — odparł John. — Myślę o tej kupie łajna każdego dnia. Gandolph? Codziennie uświadamiam sobie, Muriel, że przez tego faceta straciłem coś jeszcze. Od kilku miesięcy zastanawiam się na przykład, czy mój staruszek byłby ze mnie dumny. — John miał powody, by wierzyć, że Gus byłby z niego bardzo zadowolony. Nie tylko nadal prowadził Paradise, gdzie dzięki ekonomicznemu odradzaniu się okolicy interes kwitł jak nigdy przedtem, ale i w partnerstwie z miejscowym właścicielem hoteli stworzył obejmującą cały kraj sieć niedrogich greckich restauracji. Muriel, zapraszana przez nie-

196

go, jadała kilka razy w roku lunche w Center City w jego lokalu DG Taverna - DG od Dobry Gus. Siadał wtedy przy jej stoliku i pałac jednego papierosa za drugim, dyskutował z nią o sprawie, która była dla niego tak świeża, jakby proces odbył się wczoraj.

— Wiesz, myślę, że Gus miałby pewne problemy z niektórymi sprawami w moim życiu — powiedział teraz — podobnie jak moja mama, ale uważam, że ostatecznie wszystko byłoby dobrze, z nim też. Naprawdę w to wierzę. Ale mam prawo wiedzieć na pewno. Każdy ma. Ta kupa gówna, Gandolph... on nie jest Bogiem. Ale zagrał Boga w moim życiu.

Dla Johna, jak dla większości rodzin ofiar przestępstw, zabójstwo ojca i kwestia ukarania mordercy już zawsze miały być problemami osobistymi. Jednak głównym powodem, dla którego nie mógł uznać tej sprawy za zakończoną było po prostu to, że nie została zakończona. Dla Johna Leonidisa było to prawie dziesięć lat wstrzymywania oddechu, żywionej na przekór wszystkiemu nadziei, że do niesprawiedliwości śmierci Gusa nie dojdzie widok Rommy'ego Gandolpha uchodzącego kary, na którą według ospałej maszyny prawa zasłużył.

Przed laty John najbardziej stanowczo spośród członków rodzin ofiar domagał się kary śmierci dla Gandolpha. Do czasu rozpoczęcia procesu żona Paula Judsona, Diana, przeprowadziła się do Boulder i robiła wszystko, co mogła, żeby rozpocząć nowe życie; od lat nikt nie miał od niej wiadomości. Matka Luisy, którą Larry odpowiednio nastawił podczas śledztwa, pojawiła się w sądzie, żeby prosić o karę śmierci, ale wyglądała na zastraszoną. John, z drugiej strony, chętnie poszedłby na

studia prawnicze, by samemu móc sądzić w tej sprawie. Muriel przypuszczała początkowo, że zachowywał się tak z uwagi na matkę. Ale kiedy zeznawał na procesie, w części przeznaczony na wysłuchanie członków rodzin przed wydaniem wyroku, powiedział, że wierzy, iż jego ojciec również chciałby wyroku śmierci.

- Dałby komuś takiemu szansę — powiedział o Gusie. -Dałby mu i sześć szans, gdyby uważał, że naprawdę próbuje coś z sobą zrobić. Ale ojciec był ze starej szkoły. Był twardy. Prędzej czy później powiedziałby, że co za dużo, to niezdrowo. Mój ojciec był dobry dla Gandolpha. I nie dostał za to nic oprócz kuli w głowę. Chciałby śmierci tego faceta. A więc i ja tego chcę. — Nawet wtedy Muriel nie była pewna, czy ten obraz ojca

197

przedstawiany przez Johna był absolutnie wierny, ale kim była, żeby to kwestionować? Wciąż jednak potrafiła sobie przypomnieć nastrój, który zapanował na sali, kiedy John mówił, powagę, jaka pojawiła się na twarzy Gillian Sullivan, słuchającej tego zza stołu sędziowskiego. Idealiści mogą sobie gadać, że to hańba zabijać w imieniu prawa, ale i tak jest to o wiele lepsze od zmuszania obywateli, żeby wzięli sprawy we własne ręce. A to mogłoby się zdarzyć, bo ludzie tacy jak John, rozżaleni i mający długi wobec zmarłych, są do tego zdolni. Dla niego doprowadzenie do śmierci Rommy'ego Gandolpha stało się priorytetem, częścią jego roli następcy ojca.

Muriel otworzyła drzwi i skinąwszy ręką na Carol, kazała jej towarzyszyć Johnowi i jego przyjacielowi na dół, do holu, gdzie czekały już kamery telewizyjne. Kilku dziennikarzy zawołało ją głośno po nazwisku. Obiecała im, że zaraz do nich przyjdzie. Jednakże Larry natychmiast wprowadził do pokoju cztery kobiety — dwa podlotki, czterdziestolatkę o miłej aparycji i starszą damę o włosach ufarbowanych na martwą czerń. Tylko tę ostatnią Muriel rozpoznała.

— Pani Salvino — powiedziała, witając się z matką Luisy Remardi. Stara kobieta była twarda i konkretna i Muriel zawsze przyjmowała, że Luisa była jej nieodrodną córką. Dwie nastolatki miały prawie identyczne twarze, ale dwa lata, które je dzieliły, uderzająco różnicowały ich ogólny wygląd. Starsza już się malowała i była prawie o stopę wyższa od siostry. Obie były szczupłe, miały ciemną karnację, dosyć długie szczęki, proste kruczoczarne włosy i wielkie ciemne oczy. Były piękne. Muriel od razu się domyśliła, że są córkami Luisy.

Pani Salvino, jak to ona, od razu szorstko przeszła do rzeczy.

— Co z wami, ludzie? — odezwała się. — Czy wy nigdy tego nie skończycie?

— Nuccia! — skarciła ją czwarta kobieta.

— Muriel - powiedział Larry nietypowym dla niego, uroczystym tonem — być może pamiętasz Genevieve Carriere. Była bliską przyjaciółką Luisy. - Genevieve przybyła do sądu w charakterze kierowcy i osoby towarzyszącej. Pani Salvino była bowiem jedną z tych Włoszek z Kewahnee, które wybierają się do Center City dwa lub trzy razy do roku, i to zawsze niechętnie.

— Nie miałam żadnej potrzeby, żeby tu przyjeżdżać — rzekła

198

pani Salvino. — Daria zobaczyła to w telewizji. Uparła się, że musi tu być, co jest głównie wymówką... jeśli chce pani wiedzieć... żeby nie iść do szkoły.

— Jakbym potrzebowała wymówki — odparła jej starsza wnuczka. Młodsza była nieśmiała, nosiła aparat na zębach i trzymała się blisko drzwi. Ale Daria najwyraźniej była urwisem. Miała już szesnaście lat, kuse ciuszki, a na twarzy gruby makijaż, który Muriel przez cały czas widywała na ulicy. Jej figura była o wiele za pełna na wąski gorsecik, który kończył się tuż nad pępkiem. Muriel często peszyło to, jak bardzo zaskakuje ją seksualna swoboda tych dziewcząt, ponieważ wiedziała, że sama korzystałaby z niej w pełni, gdyby miała ją w ich wieku.

— Nie musisz słuchać tego wszystkiego — powiedziała jej babcia.

— Kur...czę, babciu! Przecież to idzie w telewizji. I dotyczy mojej matki, a więc nie będziesz nam nic mówić. Chcę powiedzieć, że to jest kompletny fałsz.

Larry zdecydował się na interwencję.

— Nie sądzę, że dowiedziałaś się czegokolwiek o tym, do czego doszło, Daria. To był po prostu zgorzkniały umierający człowiek, który się chciał zabawić.

— Czasem jakbym mu wierzyła — odparła z typową w jej wieku przekorą. — Temu drugiemu facetowi. Temu, o którym mówią że to zrobił. Wszystko, co go dotyczy, jest takie niedokładne, wrywkowe. Nie wydaje mi się, żeby ktoś tak chory jak ten gość miał dosyć sił, żeby to wszystko wymyślić.

— Ty powinnaś coś wiedzieć o wymyślaniu — wtrąciła jej babka.

Daria rzuciła pani Salvino kokieteryjne spojrzenie.

— Jedyne problem z tym facetem — podjęła — to, że jest tak obrzydliwy. Jego widok przyprawia o mdłości.

Muriel i Larry, których nie opuścił jeszcze bojowy nastrój z sali sądowej, roześmiali się jednocześnie, wielce rozbawieni okrucieństwem tego opisu Erna.

— Nie, szczerze - uparcie obstawała przy swoim Daria - wiem, że on jest chory i tak dalej, ale nigdy nie mógł być, powiedzmy, przystojny. To zupełnie niepodobne do mamy. Wszyscy faceci, których widziałam z nią na zdjęciach, nawet mój ojciec, to był zawsze świetny towar. — Dziewczyna nieco się gorączkowała i Muriel poruszyło patetyczne uwielbienie, z jakim

199

mówiła o matce. Im Muriel była starsza, tym lepiej zdawała sobie sprawę z tego, ile bólu wnoszą ludzie do sądu. W młodości czuła gniew — zarówno ofiar, jak i oskarżonych, którzy często uważali, że zostali źle potraktowani - i, nawet mocniej, własną szlachetną potrzebę karania zła. Teraz jednak nieustannie czuła, że dzieli krzywdę - Darli, a nawet kryminalistów, którzy często mieli dość zdrowego rozsądku, by żałować tego, co zrobili, a już z pewnością ich rodzin, zwykle najzupełniej niewinnych, których jedyny błąd polegał na obdarzeniu miłością kogoś, kto został przestępcą.

Dla Darli było najwyraźniej bardzo ważne, żeby jej ocena matki okazała się prawdziwa. Zwróciła się do Genevieve, która obserwowała tę wymianę słów między babką a wnuczką z ledwie widocznym uśmiechem na twarzy.

— Czy nie mam racji, ciociu Genevieve? Mama absolutnie nie chciałaby być z kimś takim.

— W żadnym razie — odparła Genevieve — Twoja matka nienawidziła tego człowieka. — Dotknęła nagiego ramienia Darli i zajęta nią, nie zauważyła spojrzenia, które Muriel wymieniła z Larrym.

— Dlaczego ona go nienawidziła? — zapytała Muriel. Sześć osób w tym małym pomieszczeniu tworzyło tłum,

zwłaszcza że musieli się zmieścić między starą, obitą tweedem sofą i będącymi własnością państwa stołem oraz krzesłami. Genevieve natychmiast uświadomiła sobie swój błąd i wołała spojrzeć na jeden z wiszących na ścianie widoczków kukurydzianych pól, zamiast stawić czoło skupionej nagle na niej uwadze obecnych.

— To była zwykła obopólna niechęć — powiedziała w końcu i przekreśliła w powietrzu zadbaną dłońią, jakby to było zbyt niejasne. Miała przedwcześnie posiwiałe włosy, co było dosyć uderzające, ponieważ jej twarz o pyzaty rumianych policzkach zachowała świeżość młodości aż po zły zgryz włącznie. Ogólnie

Genevieve sprawiała wrażenie osoby solidnej, godnej zaufania. Upłynęło dziesięć lat, a ona wciąż dbała o dzieci przyjaciółki i jej matkę. Muriel przez całe lata wyobrażała sobie siebie na trybunach stadionów piłkarskich lub baseballowych w towarzystwie takich właśnie kobiet, matek, dla których wychowywanie dzieci jest sprawą wręcz odruchową i które są chyba najlepszymi ludźmi na świecie.

— Może dziewczęta poczekałyby na zewnątrz - zasugerowa-

200

ła Muriel, myśląc, że to one mogą być przyczyną niechęci Genevieve do mówienia o stosunkach między Ernem a Luisą.

— Jeszcze czego — odpowiedziała Daria. — Nie jesteśmy dziećmi. Ona była naszą matką.

Na przekór samej sobie Muriel uśmiechnęła się, być może dlatego, że w wieku szesnastu lat była tak samo irytująca i zadufana w sobie. Nigdy tak do końca nie przestała jej ekscytować myśl o przekraczaniu dopuszczalnych granic, o przemierzaniu zakazanych terenów w poszukiwaniu prawdy o sobie. Andrea, młodsza siostra Darli, sprawiała wrażenie zdecydowanie mniej przekonanej, że powinna tu zostać, ale ostatecznie też postanowiła nie wychodzić na korytarz. Larry tymczasem naciskał na Genevieve.

— A zatem nie wie pani nic o tym, że Erno i Luisa byli razem?

Genevieve popatrzyła na zegarek, skinęła ręką na dziewczęta i już miała wyjść, postanowiła jednak odpowiedzieć.

— Prędzej uwierzyłabym, że ją zabił, niż w to. Muriel poniosła rękę, żeby zatrzymać panią Salvino.

— Czy Luisa kiedykolwiek powiedziała pani coś o Ernie?

— Kto wie? — odparła stara kobieta. — Kto by tam zwracał uwagę?

— Czy mówiła o mężczyznach?

— Na litość boską- odrzekła pani Salvino — byłam jej matką. Czy pani myśli, że pytałam o te rzeczy?

— Myślę, że zapytałabyś — odezwała się Daria.

Pani Salvino uniosła dłoń grzbietem do góry i wydała taki dźwięk, jakby splunęła. Daria odpowiedziała tym samym, gestem otwartego wyzwania, którego wedle

wszelkiego prawdopodobieństwa nauczyła się właśnie od babki. Ale uśmiechała się przy tym. Widać było, że ceni Nuccię Salvino o wiele bardziej, niż skłonna jest przyznać.

Gdy Genevieve starała się przesunąć całą grupę ku drzwiom, Muriel powiedziała pani Salvino, że reporterzy będą zapewne chcieli z nią pomówić.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Będą chcieli wiedzieć, co pani myśli - powiedziała Muriel. — Czy pani wierzy, że Erdai ją zabił.

— Może - odparła pani Salvino. - Może ten i ten drugi zrobili to razem. Nie wiem. Ona nie żyje. To wiem.

— Nie mamy nic do powiedzenia - dodała Genevieve.

201

Muriel pożegnała się z nimi wszystkimi. Larry dotknął palcem rękawa Genevieve, która wychodziła ostatnia.

— Bardzo chcielibyśmy jeszcze z panią porozmawiać.

Genevieve szybko pokręciła głową. Przygotowała sobie wymówkę. Rodzinne wakacje. Każdego roku, gdy tylko jej dzieci kończyły szkołę, wybierali się wszyscy na miesiąc do Skageon.

— Kiedy wyjeżdżacie? — zapytała Muriel.

— Jutro — odpowiedziała Genevieve. — Wczesnie rano.

— Cóż, może się tam przejedziemy — odezwał się Larry, a Genevieve rzuciła mu nieco spłoszone spojrzenie.

Pamiętając o dziennikarzach i pogodziwszy się z bezowocnością starań Larry'ego, Muriel otworzyła drzwi i pozwoliła Genevieve wyjść. Została z Larrym sama, dziwnie odprężona mimo wrzawy, która wciąż dochodziła z korytarza.

— Powinniśmy tam pojechać i wezwać ją do złożenia zeznania — powiedział Larry.

— Będzie się wyla i wykręcała, ale nie wydaje mi się, żeby skłamała pod przysięgą. Nie przypuszczam, żeby udało nam się wyciągnąć z niej cokolwiek bez oficjalnego wezwania do stawiennictwa w sądzie.

— Przydałby mi się jakiś zapis tego, co mówiła o nienawiści między Ernem a Luisą. Za wszelką cenę musimy zrobić z niego kłamcę.

— Poradziłaś sobie z tym zupełnie dobrze.

Przyjęła komplement z uśmiechem, ale nauczyła się już, że do wygrywania spraw sądowych trzeba czegoś więcej niż tylko procesowa pirotechnika. O wyniku większości rozpraw decydował, jeszcze nim się zaczęły, charakter sędziego lub ławy przysięgłych, a Kenton Harlow budził w niej niepokój.

— Jeśli uzna, że Erno jest wiarygodny — powiedziała Larry'emu — to ta sprawa przylgnie do mnie na długo. Talmadge uważa, że jeśli to się będzie przewlekać, wielebny Blythe może namówić kogoś do wystąpienia w prawyborach.

— Kogoś czarnego — odezwał się Larry.

— Naturalnie — odparła i pokręciła głową, myśląc o takiej perspektywie. Nie ciągnęło jej do tego rodzaju walki, zwłaszcza takiej, w której na pewno zostanie odmalowana jako osoba kierująca się rasowymi uprzedzeniami.

— A więc jaka jest inna możliwość? - zapytał Larry.

— Znasz ją, Larry. Musimy szybko ustalić, na czym stoimy. Albo załatwimy Erna, albo przyznamy, że spieprzyliśmy sprawę i zatamujemy krwawienie tak szybko, jak to możliwe.

202

ii

— Niczego nie spieprzyliśmy. Ci zwariowani przeciwnicy kary śmierci zawsze brzdąkają w te same struny. Wiewióra to zrobił, Muriel, wiesz o tym. Nie dałem mu po łbie, żeby uzyskać przyznanie się do winy. Erno może iść na drzewo ze swoją gadką o Shangri-la.

— Mówię tylko...

— Poza tym, z całym szacunkiem dla Talmadge'a, jeśli daliśmy plamę, Blythe doda ci jeszcze jeden otwór do twojej anatomii. Może się okazać, że będziesz musiała wstrzymać ten czek na plakaty wyborcze.

— Jeśli będzie trzeba — rzuciła natychmiast. Ton jej głosu był wyzywający, nawet wyniosły, i zobaczyła, że Larry wyraźnie się cofnął. W jakiś sposób zabrzmiała w tym wszystkim stara nuta, coś, co było między nimi przed laty. Poczowała się winna. A poza tym nie powiedziała prawdy. Tego dnia, kiedy wyznała Larry'emu, że chętnie zrezygnowałaby z kandydowania na urząd oskarżyciela publicznego w zamian za macierzyństwo, mówiła serio, co do słowa. Ale nie mieć nic z tego, czego pragnęła

tak bardzo? Znała siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zrezygnowałaby łatwo z tej pracy.

— On jest winny, Larry. Ale wybijmy trochę dziur w łodzi Erna. Skontaktuję się z Jacksonem Airesem, żeby spróbować rozmowy z siostrzeńcem Erdaia. A ty nadal rozpracowuj wątek gangu. Oni mogli obiecać Ernowi coś, czego się jeszcze nie domyśliliśmy. I sprawdź, czy uda ci się wykopać tego faceta, którego Erno postrzelił w Ike's. Coś mi mówi, że on nie potwierdzi tego kitu o samoobronie, który Erno wszystkim wciska.

Larry'emu podobały się te wszystkie pomysły. Dobrze było czuć, że między nimi znowu panuje pokój.

— Czas prasy — powiedziała Muriel. — Czy wyglądam na twardą, ale sprawiedliwą?

Złączył kciuki i palce wskazujące i popatrzył przez nie, jakby ją kadrował.

— Coś w tym rodzaju. Uśmiechnęła się do niego.

— Zapomniałam już, jak fajnie się z tobą pracuje, Larry. Kiedy Muriel otworzyła drzwi, ujrzała za nimi Darię, starszą córkę Luisy. Dziewczyna drgnęła na jej widok.

— Zapomniałam zapytać - odezwała się. - Zastanawiałam się, czy jest jakaś szansa, żebyśmy dostały to z powrotem.

— To?

203

Daria rzuciła jej jedno z tych nietolerancyjnych młodzieńczych spojrzeń, jakby Muriel była tępą jak głąz.

— Kameę. Kameę mojej mamy. To dowód, prawda? Pan Molto powiedział, że nie możemy go dostać, dopóki ta cała sprawa nie zostanie ostatecznie zakończona. Ale wie pani, czekamy i czekamy tak długo, i po prostu zastanawiałam się, bo... -Mimo demonstracyjnej twardości, Darli nagle zabrakło słów, a na jej twarzy pojawił się ból.

Jednakże Muriel nie potrzebowała dalszych wyjaśnień. Daria chciała dostać kameę, ponieważ jako starsza córka miała do niej prawo przysługujące jej z urodzenia, ponieważ symbolizowała jej więź z matką i kryła fotografię Darli zrobioną na samym początku jej życia, którą Luisa nosiła dosłownie na sercu. Myśląc o tym, Muriel poczuła, że ogarnia ją wściekłość i frustracja. Upłynęło dziesięć lat, a prawo, mimo leżących u jego podstaw szlachetnych intencji, działało tak kulawo, że nie zezwalało

pozbawionemu matki dziecku szukać pociechy w dotykaniu swego najcenniejszego dziedzictwa.

Muriel objęła na krótko Darię i przyrzekła, że załatwi to szybko, po czym ruszyła zdecydowanym krokiem do windy, próbując się uspokoić. Okazując wściekłość, nie wypadłaby dobrze przed kamerami. Była jednak zadowolona z tej chwili z Darią, dzięki której odżyły w niej obawy i determinacja. Koniec z tymi zabawami w Indian i kowbojów. Koniec z tymi coraz to nowymi obrońcami Wiewióry wyskakującymi z lasu z okrzykiem „Niespodzianka!” Koniec z odmawianiem sprawiedliwości i zadośćuczynienia ludziom, którzy na to zasługują. Koniec — sprawy, manipulacji prawnych i samego Wiewióry — powinien nastąpić już dawno temu.

20

13 czerwca 2001

Susan

Gdy tylko ogłoszono przerwę w postępowaniu, Gillian Sulli-van wstała ze swego miejsca w ostatnim rzędzie i ruszyła do wyjścia. Szła już korytarzem, stukając głośno niskimi obcasami po marmurowych płytach podłogi, kiedy usłyszała, że ktoś z tyłu woła jej nazwisko. Stew Dubinsky, długoletni reporter

204

sądowy „Tribune”, przebiegł kilka kroków, które ich dzieliły, i zatrzymał się zdyszany po tym wysiłku. Mało było takich osób na świecie, z którymi mniej chciałyby się spotkać.

Wchodząc do sali sądowej, ryzykowała taką konfrontację, toteż więcej niż raz mówiła sobie, że powinna wyjść przed końcem. Jednak siedziała tam jak przykuta łańcuchem do ostatnich słów Erna. Co ją zmusiło do pozostania, dlaczego, jak często sobie przysięgała, nie odwróciła się plecami do tego wszystkiego? Miała na sumieniu tyle błędów. Tysiące. Jak doszło do tego, że z taką determinacją koncentrowała swoją uwagę na tym jednym? Przewertowała poranną prasę, a nawet spędziła poprzedni wieczór przed telewizorem Duffy'ego, słuchając ostatnich wiadomości zagłuszanych przez jego końskie chrapanie. Była już całkowicie uzależniona od tej sprawy, a zaczęło się to od dnia, gdy pojechała z Arthurem do Rudyard. Czyżby znowu odzywało się sumienie, zawsze głodne wstydu? Nie mogła się już dłużej oszukiwać. Jakakolwiek kryła się w tym prawda, była ona, do pewnego stopnia, prawdą o niej samej.

Dubinsky, który zaczynał od zwykłej otyłości, przeobraził się w tuczniaka. Twarz, po

której poznawała go przed laty, była wciąż ta sama, ale teraz wyglądała jak płaskorzeźba tonąca w bajorze tłuszczu. Stew nigdy nie należał do jej ulubieńców. Był niegodny zaufania pod każdym względem, notorycznie się spóźniał, czasem zbyt swobodnie poczynał sobie z faktami i często zbierał je w szemrany sposób. Kilka lat wcześniej odebrano mu na krótko legitymację reportera sądowego, kiedy został przyłapany na podsłuchiwanie pod drzwiami pokoju, w którym naradzali się sędziowie przysięgli.

W kilku słowach wytłumaczyła Dubinsky'emu, dlaczego przyszła do sądu. Było jednak jasne, że on dostrzega za jej obecnością coś, czego nie widzieli jego konkurenci. Z kieszeni marynarki wyjął magnetofon. Instynkt podpowiadał jej, że jeśli pozostanie bohaterką takich artykułów jak te, które ukazały się w porannej prasie, już wkrótce może mieć problemy z pracą, ale bała się, że zbycie Dubinsky'ego niczym zwiększy tylko jego determinację. Kilka razy powiedziała, że musi już iść, ale Stew wciąż obiecywał, że ma jeszcze tylko jedno pytanie. Teraz przeszedł od sprawy Rommy'ego Gandolpha do wyciągania informacji, których nie miała zamiaru mu udzielić, o jej obecnym życiu.

- Tutaj jesteś - powiedział ktoś i ujął ją zdecydowanie za łokieć. To był Arthur. - Musimy natychmiast wyjść, pani sę-

205

dzio, jeśli mam panią odwiedzić. Dostałem właśnie wiadomość, że moja klientka została aresztowana, i muszę załatwić jej zwolnienie za kaucją. - Mówiąc to, szedł korytarzem, popychając Gillian przed sobą.

Dubinsky trzymał się tuż za nimi, ale że trafił mu się teraz Arthur, zmienił temat. Chciał usłyszeć jego komentarz praktycznie do każdej kwestii poruszonej przez Muriel. Arthur zatrzymał się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy, próbując pozbyć się dziennikarza, ale nic z tego nie wyszło i ostatecznie Dubinsky doszedł za nimi aż na dach małego parkingu naprzeciw sądu, gdzie stał nowy samochód Ravena.

— Hej, widać, że praktyka przynosi niezły dochód — powiedział Stew, dotykając błotnika.

— To nie z tej sprawy — zapewnił go Arthur. Pomógł Gillian wsiąść do auta i szybko zjechał w dół rampy.

— Jesteś moim bohaterem. — Z zamkniętymi oczami Gillian położyła rękę na piersi. — Czy Stew stał się jeszcze gorszy, czy też ja po prostu się odzwyczaiłam? Tak naprawdę nie masz żadnej klientki za kratkami, zgadza się?

— Niestety tak. To moja siostra.

— Twoja siostra!

— To się powtarza przez cały czas, Gillian. Ale muszę tam pojechać.

— Oczywiście. Po prostu podrzuć mnie na róg.

— Dokąd chcesz jechać?

— Proszę, Arthurze, zajmij się siostrą. Dziś wieczorem pracuję w sklepie w Nearing. Wezmę autobus.

— Cóż, ja jadę do drugiego komisariatu w West Bank. Równie dobrze możesz pojechać tam ze mną. Tam też możesz złapać autobus, jeśli zechcesz.

Zastanowiła się, czy jadąc z nim na policję, może mu przyczynić jakichś kłopotów, ale nic nie przychodziło jej do głowy, a poza tym musiała z nim omówić pewne nie dokończone sprawy. Wciąż miała nadzieję, że uda jej się złagodzić niezręczność sytuacji, która powstała między nimi, gdy się wczoraj żegnali, była również ciekawa, co powie o zakończonej właśnie sesji sądu. Ale to on pierwszy zapytał ją, co sądzi o Ernie.

— Myślę, że Muriel jest bardzo dobrym prawnikiem — odparła Gillian. - Nieźle namieszała.

— Uwierzyłaś mu?

Jeszcze się nad tym tak naprawdę nie zastanawiała. To, czy

206

uwierzyła, czy nie, wydawało jej się sprawą do pewnego stopnia drugorzędną. Nie ona musiała o tym rozstrzygać. Co więcej, czuła już, jak bardzo wciągnął ją sam spektakl. Od czasu, gdy ją skazano, nie była na sali sądowej. Ale dzisiaj to wszystko odżyło w niej tak, jak przedtem nie chciała sobie nawet wyobrazić. Prawnicy, sposób, w jaki niósł się dźwięk, emocje przewyższające nawet to, co odczuwało się w teatrze, ponieważ chodziło tu o rzeczy wręcz spektakularnie prawdziwe. Kiedy Erno mówił o swojej zbliżającej się śmierci, było to jak przedłużające się uderzenie pioruna. Na wpół oczekiwała, że poczuje w tym wielkim pomieszczeniu zapach ozonu.

Gillian nie była również wcale zaskoczona tym, że przez większość czasu musiała się zmagać z ogarniającą ją zazdrością. Zawsze bardzo lubiła atmosferę sali sądowej. Jednak zaszokowało ją jak bardzo żywe pozostało w niej to wszystko —

rozszyfrowywanie rachub i myśli, które leżały u podstaw każdego pytania, czy też próby zrozumienia enigmatycznych wypowiedzi sędziego. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że śniła o tym każdej nocy.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy chcę mu wierzyć, Arthurze. Uważam jednak, że twoja kontra była znakomita i na swój sposób równie skuteczna jak krzyżowy ogień pytań Muriel.

- Przesadzasz — odparł Arthur, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Gillian nie powiedziała tego z grzeczności. Wystąpienie Arthura było pierwszej klasy. Przesłuchanie w krzyżowym ogniu pytań wymagało teatralnej emfazy, jako że przesłuchujący stawał się niejako ucieleśnieniem niewiary. Kontra była też sztuką samą w sobie, znacznie bardziej subtelną w której obrońca, trochę jak rodzic wywierający delikatny wpływ na niesforne dziecko, niedostrzegalnie sterował świadkiem tak, by wrócił na właściwy kurs i znowu znalazł się w dobrym świetle.

- Powiedzmy, że na tym etapie zachowuję otwarty umysł w sprawie Erna - powiedziała. - Czy możesz jakoś potwierdzić jego zeznania?

- Nie mam pojęcia jak. Na pewno nie za pomocą dowodów fizycznych. Gdyby powiedział, że miał stosunek z nieboszczką może znalazłby się jakiś włos łonowy, DNA, ale nic takiego nie ma.

- Dlaczego twoim zdaniem on temu zaprzecza?

- Od dnia, kiedy pojechałem tam z tobą upiera się, że Bez-

207

bolesny popełnił w tej sprawie błąd. W gruncie rzeczy uważam, że to liczy się na jego korzyść. Gdyby naprawdę chciał dopasować swoje zeznanie do dowodów, przyznałby się też do tego.

Jechali wolno zatłoczoną ulicą. Gillian zamyśliła się głęboko. Na tym etapie samo podniesienie wątpliwości co do słuszności wyroku nie wystarczy, żeby wyciągnąć Gandolpha z celi śmierci. Po dziesięciu latach jest na to o wiele za późno. Niewykluczone jednak, że Muriel będzie chciała usunąć sprawę z centrum uwagi społecznej.

— Wiesz, Muriel być może będzie chciała rozmawiać z tobą o zawarciu jakiegoś układu — powiedziała Arthurowi.

— Masz na myśli dożywocie? Nawet jeśli on jest niewinny?

— Czy twój klient zgodziłby się na to?

— To jak sąd boży. Daj mu nadzieję, że będzie żył. Jeśli jest winny, uchwyci się jej. Jeśli jest niewinny, także może się zgodzić, by się po prostu uratować.

— To jego wybór, czyż nie? — zapytała Gillian, ale Arthur pokręcił głową.

— Chcę, żeby był niewinny. Jestem teraz tak samo nakręcony jak Pamela. — Zerknął na nią ze śladem chłopięcej wstydlivości w oczach. — To lepsze niż być oskarżycielem. Jako prokurator robisz to, co słuszne. Ale nie tak. Ja muszę się zmierzyć z całym światem. Pierwszy raz od lat nie czuję się pokonany, kiedy stawiam rano stopy na podłodze. — Arthur, który nigdy nie ukrywał swych uczuć, rozpromienił się na chwilę radośnie podniecony.

Gillian uśmiechnęła się, ale znowu powędrowała myślą tam, gdzie już nie miała prawa bywać. Musiała się dziś przed sobą przyznać, że brakowało jej prawniczych manewrów, tych wszystkich taktycznych zagrywek. Jednak takie myśli były niebezpieczne. Ta strata stanowiła część jej kary i Gillian mogła się z nią jedynie pogodzić.

By nie pograżać się głębiej we własnych smutnych wspomnieniach, Gillian zapytała Arthura o siostrę, a on pokrótce opowiedział jej o Susan. Mówił martwym głosem, który świadczył nie tyle o obojętności, ile o tym, że stracił już całą nadzieję. Była to typowa historia: okres stabilizacji, następnie gwałtowne pogorszenie stanu i pobyt w szpitalu. I tak w kółko. Kilka razy Susan zniknęła i Arthur z ojcem roztrzęsieni szukali jej po ulicach, ostatnim razem znaleźli w Phoenix nafaszerowaną speedem — najgorszym draństwem, jakie może wziąć schizofre-

208

nik — i w trzecim miesiącu ciąży. Dla Arthura, a zwłaszcza dla jego ojca, który wciąż nie tracił nadziei, że ta piękna, wspaniale zapowiadająca się dziewczyna kiedyś do niego wróci, te cykliczne nawroty choroby były miazdzącymi ciosami.

— Czy lekarstwa pomagają? — zapytała Gillian.

— Bardzo. Ale prędzej czy później przestaje je brać.

— Ponieważ?

— Ponieważ działania uboczne niektórych z nich są okropne. Skurcze. Tachykardia. Coś w rodzaju paraliżu szyi. Jednym z powodów, dla których umieściliśmy ją w domu opieki, jest to, że możemy mieć pewność, że raz w tygodniu dostanie zastrzyk prolixinu. Lepiej funkcjonowała na risperdalu, ale to trzeba brać codziennie, czego

nigdy nie udało się dopilnować. Te lekarstwa, jakby to powiedzieć, narzucają jej więzy, poskramiają ją. I ona tego nienawidzi. Tak jak dla nich wszystkich, zapewne najgorsze dla niej jest to, że życie wydaje się beznadziejnie szare w porównaniu z tym, co dzieje się w jej głowie, kiedy nic nie bierze. Mówię tu o kimś, kto ma iloraz inteligencji 165. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co tam się dzieje. Ale wiem, że to jest barwne, nieokiełznane... elektryzujące. Ona wciąż jest geniuszem. Dla niej świat zewnętrzny mniej więcej tyle znaczy co średniowiecze, ale codziennie rano czyta trzy gazety i niczego nie zapomina.

Arthur powiedział jeszcze, że już od kilku lat przyjaciółka Susan z dzieciństwa, obecnie wiceprezes funduszu inwestycyjnego Faulkes Warren, załatwia jej różne prace — pisanie na dziurkarce klawiaturowej, zestawianie informacji, sortowanie raportów gospodarczych. Okazało się, że ma duży talent do analiz. Gdyby nie musiała siedzieć w pokoju sama lub być hospitalizowana dwa razy w roku, dodał Arthur, mogłaby zarabiać ćwierć miliona dolarów. Niestety przez swoje zachowanie zawsze balansuje na krawędzi wyrzucenia z pracy. Żeby jakoś temu zaradzić, Arthur zawiera z kolejnymi pracodawcami siostry umowę. Ilekroć Susan wpada w paranoidalny korkociąg, po prostu mają wezwać policję, żeby ją zabrała. Arthur ma starego przyjaciela w drugim komisariacie w West Bank, Yogiego Marvina, sierżanta, który wysyła wtedy radiowóz. Susan zwykle wita policjantów z radością, przekonana, że przyjechali, aby poskromić tego, kimkolwiek on jest, kto jej zdaniem wyrządził jej krzywdę.

— Cholera - mruknął Arthur, kiedy zobaczył posterunek. -

209

Jest tam. - Drugi komisariat w West Bank mieścił się w funkcjonalnym nowoczesnym budynku wyglądającym jak ceglane pudełko do butów. Przed szklanymi drzwiami wejściowymi stały dwie kobiety, które zdawały się klócić, oraz trzymający się z boku umundurowany policjant. Arthur zaparkował o kilka stóp od nich i wyskoczył z samochodu. Gillian wysiadła i stanęła przy błotniku, niepewna, czy bardziej nieuprzejmie będzie pozostać, czy też oddalić się niepostrzeżenie.

— Potrzebuję moich papierosów — mówiła Susan. — Wiesz, że ich potrzebuję, Valerie.

— Wiem, że potrzebujesz swoich papierosów — odparła Valerie — i Rolf też o tym wie. To dlatego ich nie zabraliśmy. — Valerie, domyśliła się Gillian, była pracownikiem domu opieki, w którym mieszkała Susan. Gdyby Gillian kierowała się tylko swoją znajomością ludzi, powiedziałaaby, że Valerie jest zakonnica. Cierpliwość, z jaką próbowała uspokoić Susan, była jakby z innego świata, a strój, który miała na

sobie, był tylko trochę bardziej elegancki od habitu — bezkształtny pulower i buty na grubych podszwach. Twarz Valerie miała okrągłą i miłą, a jej cera wyglądała tak, jakby od lat nie tknęły jej żadne substancje chemiczne, nawet krem.

— Powiedziałaś mi, żebym nie paliła w pracy — mówiła dalej Susan — i pomyślałaś, że cię ignoruję, więc mi je zabrałaś.

— Susan, chyba wiesz, że nie byłam z tobą w pracy. Powiedziałam tylko, że Rolf jest astmatykiem, a ponieważ siedzi obok ciebie, powinnaś palić w holu. To nie znaczy, że zabrałabym twoje papierosy. Albo że zrobiłby to Rolf.

— Wiem, że Rolf zabrał mi papierosy.

Arthur zapytał, czy pomogłoby, gdyby poszedł do sklepu i kupił Susan inną paczkę.

— Ale dlaczego oni nie zmuszą Rolfa, żeby mi oddał papierosy? Chcę zapalić teraz.

Pochwyciwszy wzrok stojącej na chodniku Gillian, Arthur rzucił jej spojrzenie pełne desperacji. Wychodząc z Alderson, miała nadzieję, że nigdy już nie usłyszy kolejnej awantury o papierosy, codziennego wydarzenia w więzieniu, i dlatego, w dużej mierze odruchowo, sięgnęła teraz do torebki.

— Mam jednego — odezwała się.

Susan wzdrygnęła się i uniosła ręce w obronnym geście. Choć Gillian stała tylko kilka stóp od niej, Susan najwyraźniej jej nie zauważyła. Arthur przedstawił Gillian, nazywając

210

ją swoją przyjaciółką. Jej nadzieja na zakończenie sporu o papierosy szybko się spełniła. Podejrzenia Susan skupiły się teraz na niej.

- Nie masz żadnych przyjaciół, którzy palą— powiedziała. Zwracała się do brata, ale patrzyła na Valerie, ignorując Gillian.

- Widzisz przecież, że Gillian ma papierosy — odparł Arthur.

- Nie lubisz mnie przedstawiać swoim przyjaciołom.

- Nie lubię, kiedy moi przyjaciele nie są dla ciebie mili.

- Myślisz, że nie wiem, że jestem schizo.

- Wiem, że o tym wiesz, Susan.

Wzięła papierosa, nie patrząc prosto na Gillian, ale wymamrotała ciche

podziękowanie. W czasach, kiedy Gillian jeszcze zasiadała za stołem sędziowskim, widziała sporo schizofreników z objawami ostrej fazy choroby. W Alderson było też przynajmniej pół tuzina kobiet, które wyraźnie cierpiały na to samo i powinny być w szpitalu, a nie w więzieniu. Po tych doświadczeniach wygląd Susan był dla Gillian niespodzianką. Ubrana w dżinsy i T-shirt, mogła uchodzić za panią domu z przedmieść w drodze na zakupy. Była pulchna, blada i zaskakująco zadbana. Włosy miała krótko przystrzyżone i już gęsto przetykane siwizną. Była starsza od Arthura, czterdziestokilkuletnia, domyśliła się Gillian, i uderzająco piękna, o regularnych rysach twarzy. Była jednak także zupełnie oderwana od swej zewnętrzności. Papierosa wzięła wyciągniętą na całą długość ręką, jakby była cynowym ludzikiem. Oczy miała zmętniałe, a twarz bez wyrazu, jakby uważała, że okazanie jakiegokolwiek emocji jest zbyt ryzykowne, żeby mogła to zaakceptować.

- Czy ona jest psychiatrą? — zapytała Susan brata, krzywiąc się.

- Nie.

Susan zamruwała i na krótką chwilę obróciła jasne oczy na Gillian.

- Jesteś nieoporna, prawda?

- Słucham? - Gillian popatrzyła na Arthura, na którego twarzy pojawił się ból. To słowo, wyjaśnił, było neologizmem Susan. Schizofreników, którzy odmawiali przyjmowania leków, nazywano zwykle opornymi. Minęła chwila, zanim Gillian zrozumiała, za kogo wzięła ją Susan.

- Ty i Valerie zawsze próbujecie poznać mnie z ludźmi, którzy wyzdrowieli - dodała Susan.

211

— Myślimy, że to ci pomoże. Ale Gillian nie jest jedną z tych osób.

Susan, która do tej pory tylko trzymała papierosa, wyjęła z kieszeni zapalniczkę i zapaliła go. Przymknęła jedno oko, do którego dostał się dym. Wypowiadała się stanowczo, ale strzelała na wszystkie strony oczami i była wyraźnie wystraszona.

— Wiem, że nie jesteś Gillian Sullivan.

— Nie jestem? -^ zapytała Gillian, zanim zdążyła się nad tym zastanowić.

— Gillian Sullivan to sędzia, która jest w więzieniu. Teraz zrozumiała, co Arthur miał na myśli, mówiąc o tym,

że Susan pamięta wszystko, co przeczyta w gazetach.

— Zwolniono mnie kilka miesięcy temu.

Susan zbliżyła się do niej na krok i obracając głowę, jakby była reflektorem, uważnie przyjrzała się Gillian.

— Co bierzesz?

Arthur wyciągnął rękę, chcąc chwycić ją za ramię, ale Susan uchyliła się przed nim.

— Paxil - odparła Gillian.

— Ja też — powiedziała Susan. — A co z neuroleptykami? A antyhalucynogeny? — Kiedy Gillian zawahała się, Susan pokręciła stanowczo głową. — Byłaś tam, widzę to.

Ci, którzy udają, że nie rozumieją obłąkanych, robią właśnie to — udają. Susan miała rację: Gillian była szalona. Nie na sposób Susan. Susan nie potrafiła, co większość z nas robi w dzieciństwie, zrezygnować z osobistej mitologii na korzyść wspólnej. Ale Gillian też odwróciła się od rzeczywistości. Wiedziała o tym. Siedząc za stołem sędziowskim, miała do czynienia ze światem złych czynów i ciężkich konsekwencji, a potem, w heroinowym otępieniu, wracała do swych fantazji o waleczności i niezniszczalności. Tuż przed zaśnięciem czuła się zawsze tak królewsko, jak wtedy, gdy w dzieciństwie bawiła się lalkami. Tak, rozumiała Susan i zawsze będzie ją rozumieć.

— Byłam tam — przyznała.

— Zawsze potrafię to rozpoznać — odparła Susan i z władczą miną Bette Davis wypuściła w powietrze kłęb dymu. -Ale nie rozumiem, dlaczego mówisz, że jesteś Gillian Sullivan.

Wciąż próbując ją przekonać, Arthur przypomniał siostrze, że przed laty przydzielono go do sali rozpraw sędzi Sullivan.

— Pamiętam — powiedziała. - Pamiętam. Byłeś w niej zakochany. Co trzy tygodnie zakochujesz się w kimś innym.

212

— Dziękuję ci, Susan.

— Taki jesteś. A one nigdy cię nie kochają.

Arthur, który odkąd tu przyjechali, wyglądał na bardzo znużonego, przez chwilę sprawiał wrażenie zbyt wyczerpanego, by się cokolwiek przejmować.

— To nie moja wina, Arthurze.

— Tak, to nie twoja wina.

— Myślisz pewnie, że gdybyś nie musiał się opiekować siostrą wariatką, to wszystko byłoby klawo.

— Susan, jest mi lepiej, kiedy nie próbujesz szukać ze mną zwady. Kocham cię i chcę ci pomóc. Wiesz o tym. Muszę wracać do biura. Mam na głowie proces. Mówiłem ci o tej sprawie. Człowiek w celi śmierci.

— Czy wyciągniesz go z więzienia?

— Mam taką nadzieję.

— Czy ją wyciągnąłeś z więzienia?

— Ona odsiedziała swój wyrok, Susan.

— Wyciągnąłeś ją z więzienia, żeby mi ją pokazać, prawda? Co ona bierze?

— Tak naprawdę pomogło mi to, że przestałam brać — wtrąciła Gillian.

Zachęcona tym, że raz jej się powiodło, Gillian pomyślała, że jej uwaga będzie pomocna, ale okazała się poważnym błędem. Susan po raz pierwszy zaczęła zdradzać oznaki niestabilności. Wymachując krótkimi rękami, powiedziała:

— Ciągle im to powtarzam! Jeśli tylko pozwolą mi przestać, wrócę, wiem, że wrócę. Ona wróciła i niczego nie bierze.

— Susan, Gillian była w więzieniu, nie w szpitalu. Odsiedziała swój wyrok. Teraz na nowo organizuje sobie życie.

— Tak jak chciałbyś, żeby ja zrobiła.

Widać było, że Arthur ma ciężki orzech do zgryzienia. Odpowiedź twierdząca mogła się nie wydawać zbyt daleko idącym ustępstwem, ale przez lata najwyraźniej nauczył się, że przyznanie Susan racji w czymkolwiek, dodaje jej sił do walki.

— Chciałbym tego, Susan, ale musisz robić to, co jest dla ciebie dobre.

— Chcę, żeby mi się poprawiło, Arthurze.

— Wiem, że tego chcesz.

— No to możesz ją znowu przyprowadzić.

— Gillian?

— Kimkolwiek jest. Przyprowadź ją we wtorek. Troje to lepiej niż dwoje.

Arthur, po raz pierwszy, sprawiał wrażenie wystraszonego.

— Nie sędzę, żeby ona miała czas we wtorek wieczorem. Pracujesz wtedy, prawda?

Gillian szukała w twarzy Arthura jakichś wskazówek, ale wyglądało na to, że zadał to pytanie serio. Ostrożnie pokręciła głową.

— Teraz nie chcesz, żebym się z nią bliżej poznała — rzuciła oskarżycielsko Susan.

— Susan, zapytaj sama siebie, czy choć trochę starasz się współpracować.

— Dlaczego nie pozwalasz jej przyjść we wtorek? Wcale nie chcesz mi pomóc. Chcesz, żebym brała to głównie, a ona uważa, że nie muszę, i dlatego nie chcesz, żebym z nią rozmawiała.

— Susan, naprawdę wolę, kiedy nie zachowujesz się tak prowokacyjnie. Może pójdiesz teraz do domu z Valerie?

Susan nie chciała się uspokoić i upierała się, że brat próbuje trzymać ją z dala od Gillian. I próbował, oczywiście — Gillian wyraźnie to widziała, co więcej, było też jasne, że Arthur robi to ze względu na nią, a nie po to, żeby sprawić przykrość Susan. Przez chwilę chciała się zgłosić na ochotnika na ten „wtorek”, cokolwiek miało to być, ale zawahała się, gdy przypomniała sobie nieprzewidziane rezultaty swojej ostatniej uwagi.

Arthur tymczasem grał na zwłokę, mówiąc siostrze, że jeszcze zobaczą, co da się zrobić. Susan uspokoiła się, po chwili jednak znów zaczęła się rozkręcać.

— Wiem, że ona nie przyjdzie.

— Wystarczy, Susan - powiedział Arthur. - Dostyc tego. Dostałaś papierosa. Powiedziałem, że co do Gillian, to jeszcze zobaczymy. Teraz idź z Valerie.

Upłynęło jeszcze kilka minut, ale w końcu Susan i Valerie wsiadły do białego vana z napisem „Franz Center”, jak nazywał się dom opieki. Susan rozstała się z nimi, przysięgając, że odkryje, kim naprawdę jest Gillian. Gdy tylko van zniknął z pola widzenia, Arthur zabrał się do przeproszania, najpierw gliniarza, który przez cały czas stał obok, potem Gillian. Tłumaczył, że gdy Susan coś zdenerwuje - jak tego dnia sprawa z papierosami — powstaje duże prawdopodobieństwo, że zawali się całe rusztowanie.

— Arthurze, nie masz za co przepraszać. Ale czy mogę zapytać, o co chodzi z tym wtorkiem?

— Ach. We wtorek dostaje zastrzyk. A potem idziemy do mieszkania. To było mieszkanie naszego ojca, a teraz ja tam mieszkam, głównie z jej powodu. Robimy kolację. Stało się to dla nas dużą sprawą, zwłaszcza od śmierci ojca. Sądzę, że to właśnie miała na myśli, kiedy powiedziała, że troje to lepiej niż dwoje.

— Aha. Nie byłoby to dla mnie dużym kłopotem przyjść, jeśli dla niej to takie ważne.

— Nie poproszę cię o to. A poza tym, szczerze mówiąc, kiedy byś tam przyszła, Susan w ogóle nie poświęciłaby ci uwagi. Mówię to z doświadczenia. Brak ciągłości. Z wyjątkiem paranoi.

Arthur nalegał, żeby Gillian pozwoliła się odwieźć do domu towarowego, który znajdował się niedaleko komisariatu. Opierała się przez chwilę, ale że była już prawie piąta, w końcu wyraziła zgodę. Kiedy wyjeżdżali z parkingu policyjnego, Gillian zapytała, czy można wiązać jakąś nadzieję z tym, że Susan mówi o wyzdrowieniu.

— Każda rozmowa z Susan jest o wyzdrowieniu. To się ciągnie już od blisko trzydziestu lat.

Trzydzieści lat. Rozmyślając o energii i poświęceniu, jakich od Artura wymagała opieka nad siostrą, poczuła dla niego kolejny przypływ podziwu. Ją by to wykończyło już dawno temu.

— Wiem, że w to nie uwierzysz — powiedział — ale myślę, że ona cię naprawdę polubiła. Zazwyczaj przy obcych zachowuje się tak, jakby ich nie było. Ta historia o wyjściu z więzienia... nie muszę tego wyjaśniać. To musiało ją zainteresować. Ale przepraszam, że zachowywała się tak obraźliwie.

— Była zbyt dokładna, żeby to było obraźliwe.

Arthur najwyraźniej nie wiedział, jak rozumieć jej uwagę, i przez chwilę w samochodzie słychać było tylko radiową paplaninę. Mając chwilę na przemyślenie tego wszystkiego, Gillian poczuła się jakoś dziwnie rozbawiona. Mimo częstych wzmianek Arthura, że mają ze sobą wiele wspólnego, jej pokrewną duszą okazała się jego siostra, kobieta obdarzona niezwykłą urodą, rozdarta przez tajemnicze wewnętrzne impulsy.

— Susan jest tak bystra, jak mówiłeś - powiedziała Gillian. — Jest bardzo przenikliwa.

— W każdym razie mnie na pewno przygwoździła - odparł. Wypuścił powietrze z płuc i dotknął miejsca, gdzie pod jego

215

płaszczem było serce. Gillian nie musiała nawet pytać, która uwaga siostry tak go dotknęła. „A one nigdy cię nie kochają”. Raz jeszcze poczuła, w jak ogromnej mierze na życiu Arthura zaważyły tego rodzaju niepowodzenia.

Dojechali do domu towarowego Mortona. Arthur zatrzymał samochód na podjeździe, ale ona ociągała się z wysiadaniem. Wydało jej się bardzo ważne, by z jej powodu nie popadł w jeszcze większe przygnębienie, i uznała, że powinna powiedzieć mu na pocieszenie parę słów, które układała po ich wczorajszej rozmowie przed sklepem w Center City.

— Arthurze, nie chciałam wracać do tego tematu, ale muszę jeszcze coś dodać. Kiedy się wczoraj rozstaliśmy, martwiłam się, że najwyraźniej uznałeś się za odrzuconego. Zapewniam cię, że nie ma w tym nic osobistego.

Arthur skrzywił się boleśnie.

— Oczywiście, że jest. To najbardziej osobista ze wszystkich rzeczy. Jak można to inaczej nazwać?

— Arthurze, nie bierzesz pod uwagę realiów.

— Posłuchaj - rzekł do niej. - Masz prawo powiedzieć nie. A więc nie czuj się winna. Świat jest pełen kobiet, które wołają się ze mną nie pokazywać.

— Arthurze! Tu nie o to chodzi. — Powiedziała to z większym przekonaniem, niż mogła przewidzieć. Nie, Arthur nie był księciem z bajki, ale ona podzielała staroświeckie przekonanie, że piękno jest przywilejem kobiet. Prawdę powiedziawszy, jego wygląd nie kłopotał jej tak bardzo jak wzrost — nawet gdy wkładała buty na niskim obcasie, był od niej cztery lub pięć cali niższy. Mimo to cieszyło ją jego towarzystwo. Jak to ciągle zauważała, Arthur był całkowicie w mocy stworzonych przez siebie przymusów. Nie mógł przestać układać w stosik groszków na talerzu, tak jak nie mógł przestać oddychać. Ale wiedział o tym. To ta jego świadomość, nawet akceptacja siebie, budziła jej sympatię — to i jego zdolność całkowitego poświęcenia się słusznej sprawie. W znaczącej mierze na jej wyobrażenie o nim wpłynęła także jego siła charakteru i to, jak nie dawał się zniechęcić przez obłąd siostry. To nie Arthur, ale ona była problemem.

— Arthurze, szczerze mówiąc, to ty nie powinienesz chcieć pokazywać się ze mną.

— Z powodu twojej roli w tej sprawie?

— Ponieważ zbruka cię to w oczach wszystkich prawników, których szacunek ma zasadnicze znaczenie w twojej pracy. —

216

popatrzyła mu prosto w oczy. — Co sobie wyobrażasz, kiedy o tym myślisz? Kolację i tańce? A dlaczego nie koktajl party w kancelarii? Jestem pewna, że twoi partnerzy będą pod wrażeniem, widząc cię w towarzystwie starzejącej się byłej więźniarki, która zhańbiła twoją profesję.

- Może kino? - zapytał. - Tam jest ciemno. Nikt cię nie zobaczy. — Uśmiechał się, oczywiście, ale szybko stało się jasne, że zmęczyła go ta rozmowa. — Gillian, z dziesięć razy powiedziałaś mi, że byłem dla ciebie dobry, i teraz się rewanżujesz. Ale oboje wiemy, że to jest głównie sprawa instynktu. I świetnie widzę, co mówi ci instynkt.

— Nie, Arthurze, ostatni raz mówię, że nie o to chodzi. Jesteś dobrym człowiekiem, a w moim świecie dobroć to dosyć rzadki towar. Ale to byłoby z mojej strony oszustwo. I nie dostałbyś tego, na co zasługujesz. Nikt nigdy nie dostał.

- Potraktuję to jak odmowę. Bez urazy. Tego tematu nigdy nie było. Jesteśmy przyjaciółmi. — Odblokował drzwi samochodu i zrobił, co mógł, żeby się pogodnie uśmiechnąć. Raz jeszcze wyciągnął do niej rękę. Była wściekła i nie uścisnęła jej. Zrozumiała, że dopóki on nie doświadczy tego w najbardziej dla siebie bolesny sposób, nigdy się z nią nie zgodzi.

— A więc kolacja we wtorek? — zapytała. — O której? Gdzie się spotkamy?

Jego miękkie wargi rozchyliły się lekko.

— To nie jest konieczne, Gillian. Susan jakoś to przeżyje. A poza tym to źle, jeśli widzi, że może coś wymóc napadami złości. No i nie mogę się tak narzucać.

- Nonsens — odparła i wysiadła. Pochyliła się i wsunęła głowę w ciemność samochodu, skąd patrzył na nią nieco otumaniony Arthur. — Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziała i trzasnęła drzwiami, znajdując w tym pewną przyjemność.

21

15-19 czerwca 2001

Collins

Jackson Aires, adwokat, którego Erno wynajął dla swojego siostrzeńca, był trudny. Prywatnie często nazywał swoich klientów zbirami, ale jeszcze gorszą opinię miał o gliniarzach i pro-

217

kuratorach. Lubił w nich tylko to, że zmuszają go do współzar wodnictwa. W gruncie rzeczy dla Airesa w prawie liczyło się tylko jedno — wyścig. Wszystko na tym świecie sprowadzało się w końcu do układu biali kontra czarni. Kilka lat wcześniej podczas procesu nazwał Muriel, przed ławą przysięgłych, właścicielką niewolników. Nie mogła jednak powiedzieć, że to pogorszyło ich stosunki. Zawsze były fatalne.

Jackson siedział w gabinecie Muriel i złożywszy swoje smukłe palce w coś na kształt kopuły, słuchał jej gadki. Aires dość dawno już skończył siedemdziesiąt lat, ale był dziarski, szczupły i w znakomitej formie. Gęste siwe włosy strzygł jak Mande-la i podobieństwo to nie było zapewne niezamierzone. Jak wszyscy adwokaci, nie nawykł do tego, że ma przewagę, ale kiedy już ją miał, jak teraz, był nie do zniesienia. Tommy Molto, ciemnowłosy i rozmamłany, siedział obok Airesa po drugiej stronie wielkiego biurka Muriel i słuchając jego słów, nie usiłował nawet ukryć swych żołądkowych dolegliwości.

— Im-munitet - rzekł Aires, kiedy Muriel powiedziała mu, że chcieliby porozmawiać z Collinsem.

— Immunitet? - zapytała Muriel. - Dlaczego potrzebuje immunitetu? Nawet jeśli okłamał nas w 1991 roku, dawno objęło go przedawnienie.

— „Dlaczego” to kwestia między nim a mną Muriel. Jeśli nie zagwarantujesz mu nietykalności, powoła się na swoje prawa konstytucyjne, konkretnie na piątą poprawkę.

— A co z naszą propozycją? - zapytała Muriel, mając na myśli to, żeby Aires zorientował się, co Collins mógłby powiedzieć.

— A dlaczego miałbym to robić? Ten człowiek mieszka w Atlancie i ma tam absolutnie cudowne życie. Nie odczuwa najmniejszej potrzeby, aby z tobą rozmawiać, Muriel.

— Jackson, dlaczego nie mogę się oprzeć wrażeniu, że uciąłeś sobie pogawędkę z Arthurem? Właśnie odpowiedziałam na jego wniosek, w którym prosił sędziego Harlowa, żeby zmusił mnie do udzielenia immunitetu twojemu klientowi. — Zarówno Arthur, jak i Jackson wiedzieli, że prawo przyznawania gwarancji

nietykalności należy wyłącznie do prokuratora i że ona nigdy z niego nie skorzysta, jeśli nie będzie miała pewności, że będzie to dla niej korzystne.

— Tego chce Arthur, Muriel. Gdyby chodziło tylko o mnie, mogłabyś po prostu zapomnieć, że kiedykolwiek słyszałaś o Col-

218

linsie. Ale mój człowiek nie będzie rozmawiał z Arthurem lub z tobą bez pełnej ochrony przewidzianej przez prawo.

— Może odmówić składania zeznań, Jackson — powiedziała Muriel — ale chcę mieć to zaprotokołowane, aby sędzia wiedział, że próbowaliśmy się dowiedzieć, co on ma do powiedzenia. Czy przekażesz mu wezwanie do złożenia zeznań?

— A co dobrego mój klient z tego będzie miał?

— Darmową podróż do domu?

— Moja pani, on jest agentem biura podróży. Podróżuje za darmo, kiedy tylko zechce. Poza tym postępowanie habeas należy do prawa cywilnego. Jeśli chcesz go przesłuchać, musisz pojechać do niego. Anie wydaje mi się, by zwykły obywatel był zachwycony tym, że wybierasz się w dwie podróże do Georgii na jego koszt, aby sobie posłuchać, jak ten człowiek mówi, że nie odpowie na żadne z twoich cholernych pytań.

— Dwie podróże? — zapytał Molto. Muriel nie chciała dać satysfakcji Jacksonowi, zadając to samo pytanie, ale także nie zrozumiała. W grę wchodził tu federalny kodeks postępowania cywilnego, którego po prostu nie miała na swojej półce.

Jackson wykorzystał okazję do tryumfowania, uśmiechając się szeroko. Jego zęby, żółte od nikotyny i poszczerbione, rzadko były widywane w sądzie, gdzie występował jedynie w masce świętego oburzenia. Aby wezwać Collinsa do stawiennictwa, zaczął Aires, najpierw będą musieli się udać do sądu federalnego w Atlancie, aby dostać wezwanie mające moc prawną na tamtym terenie.

— Może tak zrobimy — powiedziała Muriel. — Może uda nam się polecieć tym samym samolotem na przesłuchanie. Wyślę ci zawiadomienie.

— Myślisz, że nie umiem poznać, kiedy ktoś blefuje? Muriel, ta licencja na mojej ścianie jest tak stara, że owca, z której zrobili na nią pergamin, była pewnie z Noem na Arce. Wiedziałaś o tym? Jestem za stary, żebym się nie poznał na blefie, Muriel.

Molto wyprowadził Jacksona z gabinetu. Porozmawiała przez chwilę z Tommym,

kiedy wrócił, a potem zostawiła wiadomość dla Larry'ego. Trochę po piątej stanął na jej progu, pukając grzecznie do otwartych drzwi. Jak zawsze, gdy go widziała, była pod wrażeniem tego, jak wypełnia przestrzeń. Tak to już jest z postawnymi ludźmi.

— Masz dla mnie czas?

— Dla ciebie zawsze, Lar.

219

W wielkiej sali przyjęć za jej drzwiami było pusto i głucho. Wszyscy asystenci poszli już do domu, umilkły telefony przełączone na pocztę głosową. Dłoń Larry'ego wciąż spoczywała na framudze drzwi. Zatrzymał się jak wryty, zaskoczony tonem jej głosu. Sama była tym zdziwiona. Gdyby ktoś słuchał ich teraz, lub w pokoju dla świadków poprzedniego dnia, mógłby powiedzieć, że z nim flirtuje. Siła przyzwyczajenia, pomyślała. Stara osobowość przesłania nową. Był brzuchatym facetem w średnim wieku, ale wciąż pamiętała, jak ją kiedyś pociągał. Przyjemnie było, oczywiście, poczuć się młodszą poczuć, jak krew szybciej krąży w żyłach. Ale było to także głupie.

Wróciła do spotkania z Jacksonem. Larry nie mógł zrozumieć, dlaczego Collins domaga się immunitetu.

— Być może dlatego — powiedziała Muriel — że wie, iż mu go nie przyznam. Przypuszczam, że Collins i jego wujek nie nadają na tej samej fali. Stawiając ten warunek, może się trzymać z dala od tego. To dlatego lecimy do Atlanty.

— My lecimy?

— Tak, my. Wystąpię o wezwanie do stawienia się w sądzie, a ty wręczysz je Collinsowi, gdy tylko zostanie wydane.

— Czy mogę porozmawiać z Collinsem, jeśli jego adwokat nie zgodzi się na to?

— Ja nie mogę się wypowiadać w imieniu zainteresowanych stron. Ale Jackson nie chce przekazać wezwania. Jakiś funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości musi zatem złożyć Collinsowi wizytę, powiedzieć, o co chodzi w tym wezwaniu, i wyjaśnić naturę sprawy. Jeśli postanowi porozmawiać z tobą wbrew radzie swojego adwokata, to nie twoja wina. — Muriel już się cieszyła na myśl o reakcji Jacksona. Najgłośniej wrzeszczał, gdy wiedział, że sam popełnił błąd.

We wtorek rano Larry stał przy bramce wejściowej w Tri--Cities Airport i z rosnącą irytacją rozglądał się za Muriel, która przybiegła w ostatniej chwili. Zdażanie na samoloty, jak wiele innych spraw w życiu, było dla niej rodzajem zawodów. Jeśli

pracownik linii lotniczej nie zamykał właśnie drzwi, gdy się pojawiła, czuła się tak, jakby bezpowrotnie straciła wiele minut.

— Jak, do diabła, nie puszczają ci nerwy? — pytał ją Larry, gdy przeciskali się do swoich foteli. - Samo latanie jest wystarczająco denerwujące.

Mieli po niewielkiej torbie podróżnej, ale schowki bagażowe

220

były już pełne. Stanowy Departament Sprawiedliwości z Georgii, który im pomógł, poinformował ich, że wydanie wezwania nie potrwa dłużej niż godzinę, ale zanim Larry skontaktuje się z Collinsem, będzie już bardzo późno. Biorąc pod uwagę popołudniowe korki, istniała szansa, że będą musieli prznocować na miejscu. Larry wepchnął swoją torbę pod fotel, skarżąc się, że przez cały lot do Atlanty będzie się czuł, jakby siedział na krześle dla lalek.

— Przykro mi, Lar. Ciagle nie skontaktowałam się z Clai-re... córką Talmadge'a. Na dziś wieczór miałam zabrać naszego wnuka.

— Mam nadzieję, że uznasz to za komplement: gdy słyszę „babcia”, nie mogę jakoś do tego słowa dopasować twojej twarzy.

— Jestem w tym dobra, Larry. To największa szansa, jaką dostałam od losu, i wykorzystuję ją. — Nawet mówiąc o małym, czuła część uniesienia, które ogarniało ją w jego obecności. Jej twarz najwyraźniej to zdradziła.

— Dlaczego nie adoptujecie jakiegoś dziecka? — zapytał Larry.

— Co?

— Myślałaś o tym?

— Ach. — Przerwała, żeby opanować bicie serca. — Trzy lata temu niemal zaadoptowaliśmy pewnego chłopca. Afroamerykanin. Matka narkomanka. Typowa historia. I nie udało się. Prawie mnie to zabiło. Ale, jak to mówią może i dobrze się stało. Żadna z córek Talmadge'a nie ocenia go jako ojca na wyżej niż trójkę. Mimo to od czasu do czasu myślę, żeby znowu spróbować.

— Talmadge jest niechętny?

— Nie okazuje wielkiego entuzjazmu. Tak często nie ma go w domu... musiałabym radzić sobie sama. To skomplikowane.

— Lepiej mu idzie z córkami teraz, kiedy są dorosłe?

— Akceptują go. Poza tym lubią mnie. — Przycisnęła palec do brzucha i oboje się roześmiali. Tak naprawdę to właśnie ciągła nieobecność Talmadge'a w dużej mierze przyczyniła się do powstania więzi między Muriel a tymi młodymi kobietami. Wszystkie rozumiały, że on należy do świata, a nie tylko do nich. Muriel godziła się z tym, nawet budziło to jej szacunek, ponieważ w gruncie rzeczy niewiele się od niego pod tym względem różniła. W życiu, które dzieliła z Talmadge'em, poruszali się w tym samym rytmie i po symetrycznie wznoszących się

221

trajektoriach. Były jednak takie punkty, w których te krzywe nie pasowały do siebie. Prozaiczne przyjemności, które cieszyły inne pary- spacery w parku, wspólne wybieranie tapet, seks - w ich wypadku były o wiele rzadsze. Muriel nie miała też w nim oparcia, kiedy borykała się z problemami wewnętrznymi.

Bez tych myśli, niezbyt radosnych, wołałaby się obejść, jak w dużej mierze bez całej tej rozmowy. W samolocie mieli tylko minimum prywatności, a poza tym odżyło jej dawne poczucie, że jest coś fundamentalnie niewłaściwego w tym, że rozmawia z Larrym o Talmadge'u. Zabrała się zatem do pracy, którą ze sobą wzięła.

— W porządku — powiedział. — Nie będę więcej pytał.

Nie unosząc głowy znad składanego stoliczka, na którym położyła kilka szkiców aktów oskarżenia, odparła:

— Życzyłabym sobie, żebyś tego nie robił. -Tylko że...

— Tak?

— To nie mój interes. Wiem — powiedział.

— Nie pozwól, żeby cię to powstrzymało, Larry. Do tej pory jakoś nie zwracałeś na to uwagi.

Głośno westchnął.

— Dobrze.

— Dokończ, Larry. I wtedy zamkniemy tę sprawę. Ostatni strzał. Wal.

— Cóż, chodzi o to, że czasem, kiedy ucinamy sobie pogawędkę o starym Talmadge'u, przypomina mi się, co mówiłaś o tym... jak mu tam...

— Tym jak mu tam?

— Twoim świętej pamięci mężu.

— Rodzie? - Roześmiała się, tak głośno, że pomimo dudnienia silników zobaczyła, jak pasażer siedzący po drugiej stronie przejścia obraca się w jej stronę. Talmadge był kolosem, lokalną instytucją. Rod był opojem.

— Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną tą refleksją, Larry -powiedziała i otworzyła kolejne akta. Ale rozmowa się dla niej nie skończyła, bo nagle przypomniała sobie, jaki był w jej oczach Rod, kiedy się za nim uganiała — błyskotliwy i ujmujący, z pewnością nie wrak tkwiący na kostkach lodu w szklaneczce do whisky. Na sekundę podążyła więc tropem myśli Larry'ego. Obaj byli od niej starsi. Nieco oderwani od życia. Obaj byli dla

1 222

1

niej nauczycielami. Obaj byli gwiazdami na jej firmamencie. I obu otaczał nimb wielkości, który, co powinna instynktownie wyczuć, maskował ich zwątpienie w siebie. Mroźny powiew musnął jej serce. Co to znaczy? Wszystko? Nic? Miała czterdzieści cztery lata i dobiła targu z losem, urządziła sobie życie. Siedzący obok niej filozof powiedział jej niedawno fundamentalną prawdę: życie nie jest doskonałe. Wyprostowała się w ciasnym lotniczym fotelu i z przyzwyczajenia schowała te myśli w pamięci, żeby powrócić do pracy.

Od czasu do czasu Larry musiał lecieć samolotem, by przesłuchać jakiegoś świadka, a w dużych sprawach był gotów na wszystko, byleby tylko uzyskać nakaz ekstradycji. Prawdę jednak powiedziawszy, po Wietnamie niezbyt lubił wyjeżdżać z domu. Zanim zaczęły z tym kolidować plany sportowe, zabierał każdego lata Lucy i chłopców na Florydę, a co roku w marcu wybierał się z grupą detektywów do Vegas, gdzie przez cztery dni zachowywali się tak, jakby mieli po dwadzieścia lat. Pili, grali i korzystali ze wszystkich agencji towarzyskich w mieście, po czym wracali do swojego świata, czując się jak psy, które zerwały się z łańcucha, poszalały z dala od domu, a teraz są ogromnie szczęśliwe, widząc swoje miski z żarciem. Ogólnie rzecz biorąc, wolałby nie przyjeżdżać do Atlanty. Powietrze było tak gęste, że można by w nim pływać. I czuł się nieswojo tak blisko Muriel.

Załatwili wszystko w wysokim białym gmachu sądu federalnego do wpół do trzeciej po południu. Wyszli z niego wraz z zastępcą prokuratora generalnego nazwiskiem Thane oraz śledczym z biura radcy prawnego hrabstwa Fulton, których przydzielono im do pomocy, i zaczęli układać plany na resztę dnia. Po drugiej stronie dwupoziomowych skrzyżowań stały budynki CNN Centru i Georgia Dome. Larry pomyślał, że będzie mógł powiedzieć chłopcom, iż widział te atrakcje turystyczne.

Uzgodnili we czworo, że Larry i śledczy, Wilton Morley, dostarczą wezwanie Collinsowi, podczas gdy Muriel będzie czekała w sądzie pod telefonem

komórkowym. Gdyby Collins nagle zgodził się na przesłuchanie bez swojego adwokata, chciała być pod ręką, żeby dopilnować, by wszystko zostało prawidłowo zapisane. W wypadku, gdyby Larry się z nianie skontaktował, mieli się spotkać na lotnisku i wrócić razem do domu.

Collins mieszkał na północnym przedmieściu Atlanty. Mor-

223

ley miał jego adres. Kiedy wcześniej rozmawiali przez telefon, Larry, słysząc ten cholerny południowy akcent, nie mógł się w ogóle zorientować, jakiej rasy jest śledczy, ale teraz miał go przed sobą. Był czarny jak węgiel i nie robił żadnych problemów. Czarni i biali byli tu inni niż na Północy. Larry zauważył to już przed laty podczas służby wojskowej i wciąż była to prawda. Czarni wygrali tu bardziej konkretnie. Najpierw pokonali niewolnictwo, a potem Jima Crowa*. Każdy jest szczęśliwszy, jeśli może pochować takie upiory przeszłości.

W samochodzie Morley pokazał Larry'emu dokumenty, które zebrał. W historii kredytu wymieniono Collinsa jako właściciela agencji podróży Collins Travel. Zgodnie ze słowami Erna, w kartotekach policyjnych, zarówno miejscowych, jak i ogólnokrajowych, nie było żadnej adnotacji o kolejnych aresztowaniach od czasu, gdy przed pięciu laty wyszedł z więzienia. Siedemdziesiąt osiem procent gości, którzy odsiedzieli swoje, wracało do pudła. Ale od czasu do czasu Larry znajdował nowe siły do pracy, myśląc o pozostałych dwudziestu dwóch procentach. W przypadku najgorszych odmian raka onkolodzy wpadliby w ekstazę, uzyskując tyle wyzdrowień. Co prawda wielu z tych facetów, którzy nie wrócili za kraty, wcale się nie zresocjalizowało, tylko nabrało wprawy i nie dawało się złapać, a Larry nie mógł w żaden sposób stwierdzić, czy Collins nie jest jednym z nich. Było nieco podejrzane, że facet, który zaledwie kilka lat temu wyszedł z mamra, miał dość pieniędzy, aby otworzyć własny interes, a biuro podróży mogło być idealną przykrywką do prania brudnych pieniędzy z narkotyków. Ale Morley słyszał wiele dobrego o Collinsie.

— Jeden z moich chłopaków chodzi do tego samego kościoła co Collins — powiedział — i kupuje u niego bilety lotnicze. Mówi, że odwała świetną robotę. Cokolwiek to znaczy.

Dla Larry'ego Atlanta była jak południowe L.A.: czarująca okolica — wzgórza i lasy - ustępująca pod naporem autostrad i centrów handlowych. Collins mieszkał i pracował trzydzieści minut na północny wschód od centrum, niedaleko Carter Boulevard, na starym mieście, teraz bezładnym skupisku domów. Milę lub dwie od osiemdziesiątej piątej międzystanowej minęli

* Jim Crow - fikcyjny bohater szyderczych piosenek z pierwszej połowy XIX wieku, w których przedstawiano Murzynów jako z natury głupich. W późniejszych latach walkę z tym obrazem czarnego człowieka utożsamiano z walką z segregacją rasową (przyp. tłum.).

224

ciąg restauracji z prawie każdej sieci, o której Larry kiedykolwiek słyszał, i kilka kościołów wyglądających jak domy towarowe.

Morley objechał biuro podróży dookoła. Znajdowało się na końcu ciągu budynków użytkowych o płaskich dachach i fasadach pokrytych spękany tynkiem.

Sąsiadowało z pralnią chemiczną i sklepem zoologicznym. Po zastanowieniu Larry uznał, że lepiej będzie, jeśli pójdzie do Collinsa sam.

- Jesteś teraz na Południu, człowieku - odparł Morley, kiedy Larry mu zaproponował, żeby został w samochodzie. — Sprawy mogą tu wyglądać niezupełnie tak samo jak tam, skąd przyjechałeś.

Larry nie bardzo wiedział, do czego nawiązuje Morley. Być może myślał, że gliniarz z Północy wejdzie po prostu do biura Collinsa i walnie go w zęby.

— Słyszałem o tym — odrzekł Larry. — Nie spuszczaaj mnie z oczu. Po prostu myślę, że łatwiej mi będzie wydobyć coś z tego faceta, jeśli będzie się czuł jak podczas wizyty starego znajomego z rodzinnego miasta, a nie kogoś, kto chce go przyskrzy-nić.

Morley zaparkował po drugiej stronie ruchliwej alei. Podczas gdy siedzieli, obserwując biuro, wyszło z niego dwoje ludzi, mężczyzna w eleganckiej koszuli i krawacie, na tyle wysoki, że mógł być Collinsem, i starsza kobieta, której ścisnął rękę. Gdy odeszła, ruszył do warsztatu samochodowego, który przylegał do kompleksu handlowego. Podnoszone drzwi były otwarte i nawet z tej odległości Larry słyszał niesiony przez wiatr przenikliwy wizg narzędzi elektrycznych i czuł woń tanich olejów do skrzyni biegów. Mężczyzna zaczął z kimś rozmawiać przed starą hondą acura, uniesioną na lśniącym od smarów podnośniku hydraulicznym. Larry rozejrzał się na obie strony i przebiegł przez ulicę.

Kiedy mężczyzna wyszedł z samochodu, Larry rozpoznał w nim Collinsa. Ruszył w jego stronę, uśmiechając się. Collins zerknął na Larry'ego, zakręcił się na pięcie i spacerowym krokiem wrócił do swojego biura. Kiedy Larry zobaczył go ponownie, był już za bocznymi drzwiami budynku i gnał jak wszyscy diabli. Przez sekundę Larry patrzył, jak ucieka.

Co za sprawa, pomyślał. Jezu Chryste, co za pieprzona sprawa.

A potem rzucił się w pogoń za Collinsem, który właśnie zniknął w przecznicy biegnącej przez dzielnicę mieszkalną. Larry

225

wiedział, że biały facet ścigający czarnego w okolicy, gdzie ktoś może po prostu wyciągnąć pukawkę i postać mu kulkę przez okno, nie postępuje zbyt rozsądnie. Jako rozhukany nastolatek lubił zagrożenie, bo go podniecało, ale w Wietnamie straciło to dla niego cały urok. Niebezpieczeństwo, nauczył się tam, prowadzi do tego, że człowiekowi się pogarsza, aż do śmierci włącznie. Dlatego teraz biegł co sił w nogach, mając nadzieję, że szybko dopadnie Collinsa. Zbliżając się do niego, krzychał zwykle głupoty w rodzaju „Chcę z tobą tylko porozmawiać!”

Collins rwał prosto pod górę i po kilkuset stopach zrezygnował. Albo usłyszał Larry'ego, albo, co bardziej prawdopodobne, był u kresu sił. Miał teraz z pięćdziesiąt funtów więcej niż przed dziesięciu laty i stał, ciężko dysząc, z rękami na kolanach.

— Co ty, kurwa, wyrabiasz? — zapytał kilka razy Larry. Przez ramię dostrzegł, że Morley biegnie ku nim z wyciągniętą bronią. Larry podniósł ręce, dając mu sygnał, żeby się zatrzymał. Morley zrobił to, ale obserwował ich.

Kiedy Farwell odzyskał głos, powiedział:

— Do diabła, człowieku, ja po prostu nie chcę z tobą rozmawiać.

Było bardzo gorąco i Collins kompletnie przepocił sobie ubranie. Widać było zarys jego podkoszulka pod białą koszulą do garnituru.

— Ucieczka to najlepszy sposób, żeby dać się przymknąć. Do tej pory rozmowa była rzeczowa, ale teraz w głosie Collinsa po raz pierwszy pojawiły się kłótlive tony:

— Nie zrobiłem nic takiego, za co mógłbyś mnie przymknąć, człowieku. Żyję uczciwie. Możesz to sprawdzić. Jestem czysty. — Twarz Collinsa była teraz trochę okrągłjsza niż przed laty i zaczynał łysieć, ale wciąż był nieprzeciętnie przystojny z tymi swoimi uderzająco pięknymi oczami koloru surowej skóry.

— Posłuchaj — zaczął Larry — przyjechałem tu z wezwaniem do stawiennictwa w sądzie, którego nie chciał przyjąć od nas twój przemądrzały adwokat. To wszystko. Ale ciesz się, że jesteś czysty. Naprawdę mnie cieszysz. Świetnie się spisałeś.

— Święta racja — odparł Collins. - Bóg mi pomógł, człowieku, i powiedziałem sobie: dosyć, nigdy więcej. Wszystko, co robiłem, kiedy cię znałem, to już dawno

przeszłość. Pan powiedział, że może ze mnie zrobić nowego człowieka, a ja przyjąłem tę propozycję. Wiesz, złożył mi propozycję nie do odrzucenia. Zostałem ochrzczony i oczyszczony z grzechów.

226

— Dobrze — pochwalił go Larry — wspaniale. — Żałował, że nie ma przy sobie jednej z tych odznak, które policyjny wydział stosunków ze społeczeństwem daje dzieciakom. Tego chciał Collins.

Upał powoli ustępował i robiło się przyjemniej. Byli w dzielnicy niewielkich domów, z których większość miała białe deskowanie, kryte zielonym gontem dachy i werandy od frontu. Kępy miejscowych sosen rzucały głęboki cień wzdłuż ulic. Collins z pewną przyjemnością patrzył przez chwilę w górę, po czym, bez słowa, Larry i on ruszyli z powrotem do biura. Larry pomachał do Morleya, że wszystko w porządku. Śledczy przeszedł tyłem ze dwadzieścia stóp, nie spuszczać ich z oczu.

— To twoje wsparcie? — zapytał Collins.

— Tak.

Collins pokręcił głową.

— Facet przyjeżdża ze wsparciem, a ja tu sobie żyję, nikomu nie wchodząc w drogę.

— To dlatego został w samochodzie, Collins. Ja tylko wręczam ci wezwanie.

— Człowieku, możesz mi dawać wszystkie wezwania, jakie zechcesz. Nie muszę mówić. Tak powiedział mój adwokat. Piąta poprawka, człowieku.

— Cóż, prędzej czy później będziesz musiał przyjechać do Tri--Cities powiedzieć to w oczy sędziemu. Chyba że teraz zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań.

Collins roześmiał się. Znał takie zagrywki.

— Będę mówił, kiedy mi to powie adwokat. Piąta poprawka działa tylko wtedy, gdy człowiek trzyma gębę na kłódkę. On mówi, że gdy już raz zaczniesz gadać, nie możesz tak po prostu przestać, kiedy chcesz. A ty cholernie dobrze wiesz, że zrobiłem w tamtych czasach wiele rzeczy, o których wolę, żeby nikt teraz nie słyszał. Nie chcę znowu dać się ściągnąć w dół, gdzie byłem. Wspinanie się zajęło mi sporo czasu.

— Posłuchaj, niczego sobie nie zapisuję. To jest tylko między nami myszkami. I tak zresztą mam tylko jedno ważne pytanie. Twój wujek mówi, że okłamałeś mnie wtedy w tym więzieniu dziesięć lat temu, kiedy zrzuciłeś to na Rommy'ego. Twierdzi, że

mnie wpuściłeś w maliny.

Collins nie odrywał wzroku od chodnika, po którym szli.

— Mój wujek jest dobrym człowiekiem.

227

— Wyrzemy mu to na nagrobku, Collins. Ja chcę tylko wiedzieć, czy on mówi prawdę. Prosta sprawa. Jadłeś już lunch?

— Posłuchaj... — Collins przerwał. — Człowieku, choćby mnie mieli zabić, nie mogę sobie przypomnieć twojego nazwiska.

— Starczek.

— Właśnie. Starczek, to jest tak, jak mówią: nie uwierzysz nawet w prawdę, człowieku. Wiesz o tym. Jak ci powiem: „Taa, skłamałem wtedy”, ty powiesz sobie: „O, on po prostu gada to, co mu kazał wujek”. Ty chcesz tylko usłyszeć, że mój wujek jest jakimś kłamliwym durniem. A on nie jest. Z całą pewnością nie jest.

Weszli do biura przez te same boczne drzwi, wciąż szeroko otwarte, którymi Farwell uciekł. Prowadziły do małego pokoju na zapleczu, gdzie przechowywano materiały biurowe i formularze biletów. W pomieszczeniu od frontu były dwa biurka, jedno Collinsa i drugie, za wolno stojącą przegrodą, recepcjonistki lub sekretarki. Nikogo tam teraz nie było. Collins usiadł za swoim i wskazał Larry'emu fotel po drugiej stronie. Na wyłożonej ciemną boazerią ścianie za Farwellem, obok prostego, prawdopodobnie mahoniowego krzyża, wisiał wielki kalendarz ze scenami religijnymi.

— Jak interesy?

— Nieźle. Cholerne linie lotnicze nie chcą, żeby człowiek cokolwiek zarobił. Ostatnio skupiam się na organizowaniu wycieczek. Wiele grup kościelnych wybiera się w różne miejsca.

— I to jest twój lokal, Collins?

— Tak.

— Bardzo ładny. — Larry rozejrzył się z uznaniem, jakby naprawdę tak myślał.

— Wujek pożyczył mi pieniądze na rozruch. W zeszłym roku spłaciłem go do końca.

— Wujek Erno?

— To mój jedyny wujek. Ten człowiek był dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. Długo trwało, zanim to zrozumiałem, ale on był ręką Jezusa Chrystusa w moim życiu. Naprawdę. Nigdy nie powiem nic przeciwko Ernowi. On jest dobrym człowiekiem. I sam niedługo już zobaczy Chrystusa.

— Oszczędź mi tego — powiedział Larry, zanim zdążył to sobie przemyśleć. Nie dowierzał ludziom głęboko wierzącym, myślącym, że poznali jakąś wyższą prawdę - czy to była religia, joga, czy weganizm — której nikt inny nie dostrzega.

228

i

— Nie śmieję się, Starczek, kiedy mówię o moim Panu i Zbawcy. To dla mnie najpoważniejsza sprawa w życiu.

— Nie, Collins, chichoczę z powodu twojego wujka. On kłamie i ty o tym wiesz.

— No i widzisz. Wracamy do tego samego. Tak jak ci powiedziałem. Myślisz, że człowiek, który lada dzień stanie na sądzie przed tronem Boga, będzie ot tak sobie kłamał? Ja tak nie myślę. Myślę, że powie całą prawdę.

— Cóż, jeśli mówi prawdę, to dlaczego nie przyjedziesz tam i nie potwierdzisz jego słów?

— On tego nie chce. Zrobił wszystko, co było trzeba. Jeśli pojedę tam bezbronny, bez immunitetu czy czegoś takiego, wy, jak dobrze wiesz, nazwiecie mnie kłamcą i rzucicie się na mnie. Postawiłbym się w niebezpiecznej sytuacji. Nie ma w tym żadnego sensu.

Bez wątpienia tak to właśnie wytłumaczył mu Aires. I wcale się nie mylił.

— Taa, cóż, jeśli Erno jest szczery, to czy nie sądzisz, że jesteś coś winny Gandolphowi?

Na wzmiankę o Wiewiórze Collins wyraźnie sposepniał i jakby się nieco zapadł w swym szerokim fotelu.

— Powiem ci tylko jedną rzecz o Gandolphie i nigdy już tego nie powtórzę. Kiedy się modlę każdego wieczoru i proszę Jezusa o wybaczenie, pierwszego wymieniam Gandolpha. Pierwszego. Każdego dnia proszę Boga o wybaczenie za to, co zrobiliśmy temu biedakowi. - Collins śmiało spojrział na Larry'ego szeroko otwartymi oczami i zdecydowanie pokiwał głową.

Cokolwiek zamierzali ci faceci, Larry nie mógł się w tym rozeznąć. Sięgnął do

kieszeni i wyjął dwie kopie wezwania. Wypełnił zwrotną część jednego z nich, opisując, komu i gdzie zostało doręczone, po czym podał Collinsowi drugie. Kiedy Mulat studiował je z uwagą Larry obejrzał kilka zdjęć stojących na biurku. Na większości z nich występowała duża, na oko miła blondynka, często z dwiema bliźniaczo podobnymi dziewczynkami.

— Są moje - odezwał się Collins - jeśli nad tym się właśnie zastanawiasz.

— Dzieci?

— Tak. Z wyglądu są tak białe jak ty. Kiedy wychodziłem ze szpitala, trzymając je na rękach, strażniczka nie chciała mnie z nimi wypuścić. A sama była czarna. Anne-Marie, moja żona,

229

naprawdę się wściekła i zaczęła wrzeszczeć. Na punkcie rasizmu jest bardziej drażliwa ode mnie. Ale te dzieci są moje. Był taki czas, kiedy nawet nie chciałem znać nikogo białego. Jednak człowiek nie może uciec przed prawdą. A prawda jest taka, że wszyscy moi krewni są biali. A ja jestem czarny. Spróbuj to rozgryźć. Jedyne sensowne wytłumaczenie tego wszystkiego jest takie, że Jezus miał coś ważnego na myśli.

Raz zganiony, Larry spróbował nie okazać, co myśli na temat tej wzmianki o boskim planie, lecz Collins i tak wyczuł, że policjant mu nie wierzy.

— Myślisz, że jestem jakiś czubek. Ale to jest prawda mojego życia, człowieku. Kiedy mnie wypuścili z Rudyard, nie minął nawet miesiąc, a wróciłem na ulicę do moich wszystkich starych, głupich zwyczajów. Nie było grzechu, którego nie popełniłem. I wiesz, co się stało? To, co wiedziałeś, że musi się stać. Zostałem postrzelony, człowieku. I wyszedłem z tego, jakby to było nic. Oto jestem. Dwie ręce, dwie nogi. Lekarze w szpitalu nie mogli w to uwierzyć. Kula zachowywała się jak pocisk manewrujący. Jakby wybierała kierunki. Oto jest kręgosłup tego chłopca i ja w niego nie trafię, potem lekko skręcę, żeby minąć nerkę, a dalej pójdę lekko w prawo, żeby nie rozerwać żadnej z głównych żył lub tętnic. To był cud. Wiesz dlaczego?

— Niezupełnie.

— Ponieważ Jezus coś mi powiedział, człowieku. Mówił: Dawałem i dawałem ci sygnały, a ty wciąż chciałeś być głupcem. A więc uczyniłem cud. Jeśli nie potrafisz poznać, że jestem tu i patrzę z góry na ciebie, i chcę, żebyś się poprawił, jeśli teraz tego nie wiesz, to już nic nie mogę dla ciebie zrobić. Chcesz być głupcem, to sobie

nim bądź. Ale żaden człowiek nie dostanie się do nieba beze mnie. Możesz sobie znowu siedzieć w celi i mówić „nigdy więcej”, lecz dopóki nie przyjmiesz mnie do swojego życia, nigdy się z tego nie wygrzebiesz. Ale jeśli to zrobisz, jeśli mnie przyjmiesz, nie będziesz potrzebował niczego więcej. Ani przez chwilę. I nigdy nie potrzebowałem.

Więc jeśli — podjął po chwili — nadejdzie dla mnie czas mówienia, Starczek, Jezus da mi znak. I kiedy już przysięgnę na Niego, będziesz wiedział, że każde moje słowo jest prawdziwe. Ale na razie Jezus chce, żebym był tutaj. I tutaj pozostanę. Piąta poprawka, człowieku.

Collins odprowadził Larry'ego do drzwi, uściśnął mu rękę

230

i życzył wszystkiego dobrego. Pokiwał nawet do Morleya, który stał po drugiej stronie ulicy.

22

19 czerwca 2001

Rodzina Ravenów

We wtorek rano sędzia Harlow wydał krótkie pisemne zarządzenie, rozstrzygając kwestię kilku wniosków, które złożył Arthur. Praktycznie wszystkie zostały odrzucone, ale uzasadnienie decyzji było zachęcające. Wnioski mogą być uwzględnione później, napisał sędzia, „jeśli zeznanie Erna Erdaia sąd uzna za wystarczająco wiarygodne, aby można było kontynuować postępowanie w tej sprawie”. Sąd apelacyjny zachował prawo do decyzji, czy Gandolph będzie mógł znowu wnieść o postępowanie habeas corpus, ale orzeczenie Harlowa dawało Rommy'emu ogromne wsparcie. Jeśli postanowienie sądu apelacyjnego będzie zgodne z oczekiwaniami, Rommy Gandolph pożyje jeszcze kilka lat, podczas których Arthur i Pamela będą się starali oczyścić go z zarzutów. Uczcili to i zadzwonili do swojego klienta. Dopiero potem do Arthura dotarło, że czekają go nie wiadomo jak długie przepychanki w imieniu Gandolpha. Sprawa Rommy'ego stała się teraz jego głównym zadaniem — i kulą u nogi.

Pomogło mu to jednak oderwać się od myśli o wieczorze, który Gillian Sullivan miała spędzić z Susan i z nim. Arthur prawie przekonał sam siebie, że Gillian znajdzie jakąś wymówkę i nie przyjdzie, ale późnym popołudniem, kiedy rozmawiał przez telefon z jakimś reporterem, jego sekretarka położyła przed nim karteczkę z wiadomością: „Pani Sullivan będzie w holu o piątej”.

Gillian Sullivan w jego okropnym małym mieszkaniu. Na chwilę ogarnął go strach i wstyd.

Czekała na niego, jak obiecała. Po drodze do Franz Center, gdzie mieli odebrać Susan, Arthur zrobił, co mógł, choć nie było tego wiele, żeby przygotować Gillian na wyskoki siostry. Problem jednak polegał na tym, że nawet po blisko trzydziestu latach sam nie bardzo potrafił przewidzieć, jak Susan się zachowa. Schizofrenia aż nazbyt często dotykała ludzi utalento-

231

wanych i nie było końca pomysłowemu wybiegom, za pomocą których jego siostra podsycala swoje lęki i podejrzenia. Niezależnie od tego, co go z jej strony spotykało, Arthur odnosił się do niej ze stoicką cierpliwością — wiedział, że groźenie lub ostre odpowiedzi tylko pogarszają sprawę. Tylko wtedy, gdy był sam, pozwalał sobie na odreagowanie. Susan przysyłała mu kilka razy dziennie e-maile i kiedy nic jej nie rozpraszało, te krótkie wiadomości bywały czasem w pełni sensowne. Nieraz była dowcipna i wnikliwa jak felietonista.

— Czasem, kiedy dostaję od niej te e-maile - mówił Arthur, kiedy zbliżali się domu opieki - kroi mi się serce. Siedzę wtedy w biurze i płaczę. Ale jak wiesz, mój ojciec omal nie oszalał, rozmyślając o tym, co mogło być. I w pewnej mierze to nawet nielojalne wobec Susan nie akceptować jej choroby jako części niej.

W tej części North End, która otaczała Franz Center, stały głównie podniszczone, obite gontem domki, a także kilka solidniejszych budynków. Arthur zatrzymał się przed wielkim ceglany domem o poobtłukiwanej fasadzie i przez chwilę rozglądał się po okolicy. Na rogu stała grupa nastolatków, którzy w większości, mimo upału, byli w jedwabistych kurtkach gangu.

— Lepiej wejdź do środka — powiedział jej. — To niezbyt mądry pomysł, żeby biała kobieta siedziała tu sama. — Kiedy Gillian zamknęła drzwi, świergot pilota Arthura przyciągnął uwagę całej okolicy. — Możesz obserwować mój samochód z okna — powiedział — i spisywać części w miarę, jak je będą demontować.

Susan miała tu, jak to określano, mieszkanie z opieką. Każdy z ośmiorga lokatorów mieszkał w osobnej kawalerce i Valerie, lub inna pracownica opieki społecznej, przebywała tam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby w razie potrzeby nieść pomoc. Kiedy stan Susan był stabilny i pracowała, pokrywała większość wydatków z własnej kieszeni, ale na co dzień było to możliwe tylko dzięki dużej subwencji stanowej oraz grantowi z Fundacji Franza, która wspierała ośrodek. Finansowanie z kasy władz stanowych było przez cały czas zagrożone i Arthur często

pisał listy lub kontaktował się z członkami stanowego zgromadzenia ustawodawczego, żeby nie dopuścić do likwidacji domu. Majątek jego ojca — który dzięki oszczędności Harveya Ravena był większy, niż człowiek o jego możliwościach powinien zgromadzić — pozostawał w zarządzie powierniczym jako zabezpieczenie.

232

Ostatnio Susan udawało się utrzymywać w kawalerce porządek. Okresowo przestawała dbać o higienę i rzadko zwracała uwagę na to, jak wygląda, ale stosowała się do sugestii opiekunek na temat sprzątan. Nie było tu żadnych obrazków ani urządzeń elektronicznych, gdyż prędzej czy później wywołałyby w niej urojenia, że coś ją atakuje. Na ogół Susan słyszała głos matki, ostrzegający ją o jakimś niewidzialnym zagrożeniu.

Dyplomowana pielęgniarka, która aplikowała jej prolixin, już tam była, i zrobiła zastrzyk, zanim Arthur wszedł. Susan była gotowa do wyjścia. Arthur jeszcze raz przypomniał jej o Gillian, chociaż wiedział, że Valerie powtarzała to kilka razy w ciągu tygodnia, ale Susan nie okazała, że wie, o kim on mówi, aż do czasu, gdy usiadła na przednim siedzeniu samochodu i ruszyli w drogę.

Zapytała go wtedy zniecka:

— Czy to znaczy, że się pieprzycie?

Raven spłonął rumieńcem od karku aż po skalp, ale jego odpowiedź, jak zwykle, była wyważona:

— Susan, jest znacznie milej, kiedy próbujesz być taktowna.

— Pieprzycie się? Wiem wszystko o pieprzeniu. Arthur nie wie zbyt wiele. — Ostatni komentarz był wyraźnie skierowany do Gillian, chociaż Susan nie spojrzała na nią.

— Nie sędzę, żeby dawali stopnie z tego przedmiotu — odpowiedziała spokojnie Gillian. Arthur poradził jej przedtem, żeby nie dała się Susan wytrącić z równowagi albo wystraszyć, i wyglądało na to, że tą jedną odpowiedzią poskromiła Susan. Widziana w tylnym lusterku samochodu Gillian, wydawała się, jak zwykle, niewzruszona.

Po śmierci ojca Arthur przeprowadził się do jego mieszkania. Na swój sposób było wygodne. Arthur przez wiele lat wynajmował umeblowaną kawalerkę w eleganckim budynku blisko Street of Dreams, gdzie nawet zerknięcie wieczorem na chodnik wystarczało, żeby poczuł się pokonany przez świat mody i gracji, do którego nigdy nie miał dołączyć. Ale w jego powrocie do tego ponurego środowiska, od którego

ojciec zawsze chciał go uwolnić, był element kapitulacji. Nie miał jednak wyboru. Susan była ogromnie wstrząśnięta śmiercią ojca i jej lekarze potwierdzili, że to mieszkanie ma dla niej wielkie znaczenie. W nim kiedyś Susan Raven była zdrowa. Dla niej symbolizowało ono nieosiągalną poza nim rzeczywistość psy-

233

chicznej stabilności. Opuszczenie go zamknęłoby te drzwi na zawsze.

Arthur wskazał Gillian stary metalowy taboret kuchenny, a sam z siostrą zajął się przygotowaniami do kolacji. Kuchnia, zastawiona białymi szafkami, była wąska, ale pracowali ramię w ramię. Susan robiła tłuczone ziemniaki, swoją specjalność. Katowała je tak, jakby tłumiała rewoltę, marszcząc czoło i wpatrując się w garnek. Jej jedyna styczność z Gillian polegała na tym, że zamiast swoich, paliła jej papierosy.

Danie główne, gulasz wołowy, było w dużym plastikowym pojemniku, który Arthur wyjął rano z zamrażarki. Teraz wrzucił całą jego zawartość do wielkiego garnka i dodał różne świeże składniki. Było tam tyle jedzenia, że pewnie można by tym nakarmić ze dwanaście osób. Po kolacji resztki, a zwykle zostawało ich sporo, trafiały na powrót do zamrażarki. Zgodnie z wyliczeniami Arthura, znajdowało się w niej kilka pojemników wołowiny, która była rozmrażana co tydzień od początku lat dziewięćdziesiątych. Stanowiła przerażające zagrożenie dla zdrowia, ale tak właśnie robił ich oszczędny ojciec — nic nie może się zmarnować — i Susan nie zniosłaby innego postępowania.

Susan nakryła stół dla trojga, co było pierwszą oznaką, że godzi się na obecność Gillian. Kiedy Arthur nałożył jedzenie z garnka, wzięła swój talerz i usiadła w saloniku przed telewizorem.

— Co takiego zrobiłam? — zapytała szeptem Gillian.

— To część porządku dnia.

— Nie jecie razem?

Arthur pokręcił przecząco głową.

— Leci teraz jej ulubiony serial. To jedyna rzecz, którą może oglądać, nie wpadając w obłąd.

— Co to jest?

— Nie uwierzysz. Star Trek.

Arthur położył palec na wargach, przestrzegając Gillian, żeby się nie śmiała, a ona

musiała wsadzić połowę pięści do ust, żeby nie wydać żadnego odgłosu. Najwyraźniej uznawszy to za bezpieczniejszy temat, zapytała go następnie, co nowego w sprawie Rommygo. Nie słyszała o orzeczeniu Harlowa i ze względu na Arthura wydawała się zadowolona z tej nowiny.

— Jaki będzie twój następny krok, Arthurze?

— Nic mi nie przychodzi do głowy. Złożyłem wszystkie wnio-

234

ski i wystąpiłem o wszystkie wezwania do stawienia w sądzie, jakie miały sens. Nie ma absolutnie żadnych zapisów, z których by wynikało, kto był czy też kogo nie było w areszcie w noc morderstwa. Jackson Aires nie pozwoli nikomu rozmawiać z siostrzeńcem Erna, Muriel nie ma zamiaru przyznać mu gwarancji nietykalności, a sędzia nie może jej do tego zmusić. Dwudziestego dziewiątego czerwca kończy się wyznaczony przez sąd okres na przedłożenie dokumentów. Myślę, że powinienem po prostu czekać. Po orzeczeniu Harlowa to Muriel musi coś zrobić w celu podważenia wiarygodności Erna, zanim wrócimy do sądu apelacyjnego po decyzję, czy postępowanie ma być kontynuowane.

Było bardzo prawdopodobne, że największe wyzwanie dla Arthura nadejdzie ze strony wielebnego Blythe'a. Jak można się było spodziewać, kontakty z nim były całkowicie jednostronne. Po ich pierwszym spotkaniu Blythe nie raczył już więcej dzwonić do Arthura osobiście. Natomiast jego asystent telefonował każdego dnia po szczegółowe informacje, którymi Arthur musiał się dzielić, ponieważ prosił go o to Rommy, ogromnie przejęty wizytą złożoną przez wielebnego w Rudyard. Najwyraźniej nie należało jednak oczekiwać, że Blythe odwzajemni się jakimiś uprzejmościami. Chociaż mówił teraz o sobie jako o duchowym doradcy Rommy'ego i twierdził, że on oraz Arthur tworzą zespół, ignorował sugestie Ravena, by złagodził swoją retorykę lub choćby ostrzegł go jakoś, kiedy rzuci następny grom.

— Śmiertelnie się boję — wyznał Arthur — że tym całym krzykiem o „rasistowskich prześladowcach” rozwścieczy sąd apelacyjny.

— Ale będą musieli pozwolić ci kontynuować postępowanie, prawda? Nie można zlekceważyć zeznań Erna, w każdym razie nie bez pełnej rozprawy sądowej. Czy nie to właśnie powiedział Harlow?

Arthur też tak to rozumiał, lecz w swojej prawniczej karierze wiele razy nie udało mu się odgadnąć, co zrobią sędziowie.

Kiedy odcinek serialu dobiegł końca, Susan przyłączyła się do nich i zjedli deser.

Uwielbiała ciasto. Następnie umyli talerze i ułożyli wszystko na półkach. Zanim wyszli, Arthur otworzył zamrażarkę i włożył do niej pojemnik z resztą gulaszu.

235

Na ciemnej klatce schodowej Arthur poprowadził przodem siostrę, a Gillian podążyła za nimi. Stara czynszówka była solidna jak niszczyciel, ale prosiła się o remont. Wykładzina dywanowa na schodach w wielu miejscach, była wytarta aż do podkładu, a na ścianach, w miejscach, gdzie gips nie przyjął farby, widniały wielkie ameboidalne plamy.

Gillian miała niewiele okazji do wyjścia z domu, wyłączwszy pracę i krępujące wizyty u sióstr, czekała więc dosyć niecierpliwie na ten wieczór i nie była rozczarowana. Tak jak za pierwszym razem, odczuwała ogromną przyjemność, widząc, jak Arthur zręcznie, na swój wytrwały, pełen miłości sposób, postępuje z siostrą.

W drodze powrotnej Susan streściła mu dokładnie odcinek Star Treku, który właśnie obejrzała. Podobnie jak wszyscy inni w kiciu, Gillian sporo się naoglądała telewizji i teraz zadała kilka świadczących o znajomości rzeczy pytań o rurka, Spocka i Scotty'ego, na które Susan odpowiedziała z zapałem. Kiedy dojechali do Franz Center, Gillian wysiadła z samochodu, żeby się pożegnać z Susan i zająć jej miejsce na przednim siedzeniu. Właśnie tam, na krawężniku, pod niebem, z którego wciąż jeszcze nie zniknął blask jednego z najdłuższych dni w roku, spotkała się na krótko z tą drugą Susan Raven, która trochę niezgrabnie uniosła rękę i trochę zbyt mocno uścisnęła jej dłoń. Ale nie uciekła wzrokiem i Gillian poczuła, że patrzy na nią zupełnie inaczej niż dotąd.

— Miło mi było znowu cię widzieć — powiedziała Susan. — Cieszę się, że Arthur ma taką sympatyczną przyjaciółkę.

Arthur odprowadził Susan. Gillian została przed drzwiami wejściowymi, żeby zapalić papierosa. Zdziwiła się, że poruszyło ją to, co się stało tego wieczoru. Kiedy Arthur wrócił, Gillian, która nigdy nie płakała, musiała stłumić łzy. Ponieważ natychmiast to zauważył, w drodze do mieszkania Duffy'ego wyjaśniła mu, że w końcu zobaczyła Susan taką, jaka mogła być, i było to prawie tak, jakby z gęstego lasu spojrziała na nią para oczu. Arthur myślał nad jej uwagą przez kilka przecznic.

— Prawda jest taka — powiedział w końcu — że dla mnie ta osoba, kobieta, która właśnie z tobą rozmawiała... jest tam od zawsze, to cień dziewczyny, z którą się wychowywałem.

— Jako dziecko była zdrowa?

— Tak to zwykle jest ze schizofrenikami. To po prostu się staje. Miała wtedy czternaście lat. Nie sądzę, żeby dało się to

236

przewidzieć. To znaczy była ekscentryczna. Zbierała ołowiane żołnierzyki i staczała nimi bitwy. Zbierała rzeczne kamienie i z jakąś dziwną fascynacją starała się ustalić, jak stary jest każdy z nich. Nie zasnęła, dopóki nie ułożyła ich w porządku chronologicznym. Ale my wszyscy myśleliśmy, że jest błyskotliwa. Cóż, była. Apotem, pewnego dnia, znaleźliśmy ją nagą w jej pokoju, z którego nie chciała wyjść. Całą wysmarowaną własnym kałem. Powiedziała, że matka naszej matki powstała z grobu, aby jej powiedzieć, że nasi rodzice rozmawiają o niej szyfrem.

Ta scena — Arthur westchnął — ta scena wciąż tkwi w mojej głowie jak mocno podświetlony plakat filmowy. Wiesz, taki w gablotce przy wejściu do kina. Jest tam za każdym razem, kiedy przychodzę odwiedzić Susan. Bo to był jeden z tych momentów, kiedy uświadamiasz sobie, że wszystko, ale to wszystko w twoim życiu jest teraz inne.

— To musiało być druzgocące.

— To właściwe słowo. Przynajmniej jeśli chodzi o naszych rodziców. Mam na myśli to, że w chwili, gdy usłyszeli słowo „schizofrenia”, zrozumieli, że są zgubieni. I mieli rację. Dwa lata później matka wyszła z domu i nigdy już nie wróciła. Miałem dziewięć lat, kiedy Susan zachorowała, i nie wiedziałem, co o tym myśleć. Prawda, paskudna prawda jest taka, że przypominam sobie, że tak naprawdę byłem z tego zadowolony.

— Zadowolony?

— Ona była bardzo mądra. Bardzo piękna. Była gwiazdą. Wspaniała Susan. Tak ją zawsze nazywałem w myślach. I nagle została odsunięta na boczny tor. Kiedy to sobie przypominam, czuję się zażenowany. Nie dlatego, że byłem taki infantylny. Dlatego, że się myliłem. Najgłupsze, najśmieszniejsze i najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że wciąż ją ubóstwiam. Prawie czuję się do tego zobligowany, tak by ktoś na ziemi wiedział, jakie to jest tragiczne. Wspaniała Susan — powtórzył.

— Tak- powiedziała Gillian. Arthur zatrzymał samochód przy krawężniku przed frontem domu Duffy'ego. Spojrzała w stronę przysadzistego bungalowu, ale nie była jeszcze całkiem gotowa do zakończenia rozmowy. - Miałam takiego brata — odezwała się. — Ubóstwiałam go.

— Naprawdę?

— Tak. Carl był o cztery lata starszy ode mnie. Och - doda-

237

ła, czując nagły przypływ uczuć — jakież on był cudowny. I nieokiełznany. Uwielbiałam go.

— Gdzie on teraz jest?

— Nie żyje. Rozbił się na motocyklu. Przeżył osiemnaście lat. — Odchrząknęła i oświadczyła: — Był pierwszym mężczyzną z którym spałam.

Po chwili przełamała się jakoś i spojrzała na Arthura. Wpatrywał się w nią ale było to poważne, zamyślane spojrzenie. Widziała, jak stara się pojąć, co to mogło dla niej znaczyć. Którys już raz odkryła ze zdumieniem, jak dojrzałym człowiekiem stał się Arthur Raven.

Stwierdziła, że zapaliła papierosa, nie myśląc nawet, że bruka idealne wnętrze eleganckiego samochodu Arthura.

— Zaszokowałam cię — powiedziała. Po jakimś czasie odrzekł:

— Oczywiście.

— Tak — mruknęła. Zamknęła torebkę, zaciągnęła się po raz ostatni, delektując się tym, i wyrzuciła papierosa. — Oczywiście, że to szokujące. Nigdy nie wiedziałam, co o tym sądzić, więc prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie myślę. Ponieważ chciałam, żeby to się stało. Później, przez lata, miałam z tego powodu większy mętlik w głowie. Ale kiedy do tego doszło, byłam zadowolona.

Dla czternastolatki było to wydarzenie ogromnej wagi, wolne od wszelkich złowrogich aspektów. Jako sędzia rutynowo skazywała mężczyzn — ojców, ojczymów — za molestowanie dzieci i uważała to za niewybaczalne. Jednakże jej własne doświadczenie zaliczało się do kategorii, której nie obejmowały społeczne reguły stanowiące fundament prawa. Była chętna i uwodzicielska. I kochała Carla zbyt mocno, żeby obciążać go winą, nawet we wspomnieniach. Byli dla siebie nawzajem najważniejsi. Od wczesnego dzieciństwa mieli to samo podejście do świata, co zwykle wyrażali porozumiewawczymi spojrzeniami. Był jej kumplem, kiedy kłóciła się z rodzicami. Wiele młodych kobiet pragnęło jego uwagi i urody. Pewnej nocy Carl wrócił do domu, zataczając się, wstawiony. Przytulił ją. Przyłgnęła do niego. Natura dodała im rozpędu. Następnego dnia rano powiedział: „Jestem bardziej popierdolony, niż myślałem”. „To mi się podobało”, odparła. Zdarzyło się to jeszcze dwa razy. Czekala, aż wróci, i szła do niego. Ona szła. Potem zaczął zamykać na klucz drzwi do swojego pokoju i warknął na nią, kiedy ośmie-

liła się zapytać, dlaczego to robi. „Czasem dociera do mnie, co zrobiłem, i mam ochotę wyrwać sobie uszy z głowy, byle o tym nie słyszeć. To jest chore, Gil. Chore". Udało jej się odciąć od brata. To było najboleśniej. Całe miesiące przed jego śmiercią prawie ze sobą nie rozmawiali.

— Chciałam umrzeć, kiedy zginął. Myślałam o tym, żeby się zabić. Robiłam plany. Wymyślałam różne sposoby. Dyskutowałam o tym z przyjaciółmi. Powieszenie. Ogień. Utopienie. Chciałam skoczyć pod pociąg... czytałam już Annę Kareninę. Przez jakiś czas przypalałam się papierosami. W miejscach, których inni nie mogli widzieć. Ale to przeszło. Przestałam się tak zachowywać. Przestałam myśleć o samobójstwie albo o tym, dlaczego w ogóle tak się czułam. Ludzie robią dziwaczne rzeczy, kiedy dorastają. Wszyscy to robimy. Wychodzimy z tego. Jednak w tym, co robiliśmy, nie było nic, co kiedykolwiek kojarzyłoby mi się ze słowem „molestowanie". — Popatrzyła w dół i stwierdziła, że zabiera się właśnie do zapalenia kolejnego papierosa. Lewa dłoń, w której trzymała zapalniczkę, była nieruchoma, ale papieros tkwiący między palcami drugiej podskakiwał, jakby targał nim silny wiatr. — Nigdy nikomu o tym nie opowiedziałam, Arthurze. Nikomu. — Mimo że godzinami przesiadywała na różnych terapiach grupowych i niczego nie kryła przed Duffym, nawet się o tym nie zająknęła. A przynajmniej tak jej się zdawało.

Znalazła w sobie odwagę, żeby znowu spojrzeć na Arthura. Przyglądał się jej z uwagą.

— Nie masz pojęcia, co robisz, prawda? — zapytał. To także musiała zrozumieć.

- Nie — odparła.

Chwyciwszy się kierownicy, przysunął się do niej. Kiedy ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali, powiedział spokojnie:

- Gdy dorastasz przy kimś tak pełnym obaw jak mój ojciec, często się zastanawiasz, czego na tym świecie naprawdę trzeba się bać. — Wyciągnął rękę, żeby otworzyć jej drzwi, ale nie oderwał wzroku od jej oczu. — A ciebie się nie boję — dodał.

Zanim Larry zadzwonił do Muriel, było już wpół do szóstej, uzgodnili zatem, że pojedą na lotnisko osobno. Zmierzając w kierunku przeciwnym do popołudniowego ruchu ulicznego, Morley i Larry dosyć szybko dotarli do centrum, ale na drodze zwanej Łącznikiem utknęli w korku. Z radia dowiedzieli się, że niedaleko Turner Field wywróciła się ciężarówka. Piętnaście po szóstej odezwała się komórka Larry'ego. To Muriel dzwoniła z taksówki. Wyruszyła pół godziny wcześniej od nich, ale teraz była zaledwie o kilka mil bliżej Hartsfield.

— Jesteśmy ugotowani — powiedziała. Zdażyła już, jak zwykle, rozważyć wszystkie możliwości i opracowała plan. Samolot Delty odlatujący o ósmej dziesięć był pełen, a na liście oczekujących wyprzedzało ich osiemnaście osób; zmiana linii była niemożliwa, ponieważ ich bilety opłacono według stawek rządowych. Muriel zarezerwowała więc dla nich miejsca na lot poranny i dwa pokoje w hotelu przy lotnisku.

Kiedy pięćdziesiąt minut później Larry dotarł na miejsce, Muriel siedziała w holu ze swymi bagażami i z odległości tysiąca mil kierowała przez telefon swoim biurem. Sprawa morderstwa popełnionego przez uliczny gang rozłaziła się w typowy sposób — wszyscy świadkowie, łącznie z tymi, którzy zostali zamknięci po złożeniu zeznań przed wielką ławą przysięgłych, twierdzili teraz, że źle zidentyfikowali oskarżonego. Sędzia Harrison, który uważał, że od czasu, gdy czterdzieści lat temu opuścił prokuraturę, w zasadach postępowania kryminalnego nie nastąpiły żadne postępy, był nieznośny i zanim Muriel wrzuciła telefon komórkowy do teczki, zdażyła jeszcze upoważnić współpracowników, żeby wystąpili z prośbą do sądu apelacyjnego, aby go wyprostował.

— Każdego dnia nowy klaun w cyrku — powiedziała. Zarejestrowała ich w recepcji i podała Larry'emu jego klucz, ale że nie jedli jeszcze lunchu, najpierw poszli do restauracji. Kiedy kelnerka zapytała, czy coś wypiją, Larry wyprostował się na krześle i niewiele brakowało, a rzuciłby się jej na szyję. Zamówił whisky i piwo, które wlał w siebie najpierw, prawie jednym haustem. Czuł, że ubranie klei mu się do ciała, zdjął więc swo-

240

ją lekką marynarkę i powiesił ją na krześle obok. Uciążliwości tego miasta musiano chyba wyrażać czterocyfrowym wskaźnikiem, choć pogoń za Collinsem też swoje zrobiła. Opowiedział Muriel tę historię. Śmiała się z całego serca, aż doszedł do tego, jak Collins powiedział, że jego wujek mówi szczerą prawdę i że on sam prosi każdego dnia Jezusa o wybaczenie za to, co zrobili Gandolphowi.

- Au! — powiedziała. — Nie jest dobrze. Czyżby mydlił ci oczy?

- Prawdopodobnie. Był bardzo podejrzliwy. Stwierdził stanowczo, że nigdy nie powie nic przeciwko Ernowi. I nie chciał się do niczego przyznać. — Na stole był chleb i Larry posmarował masłem drugą kromkę. — Prawdę powiedziawszy, robi całkiem przekonujące wrażenie człowieka, który dojrzał. Mówi, że się na nowo nawrócił. Na ścianie jego biura wisi krzyż wielkości Cleveland, a poza tym usłyszałem od niego prawdziwą wiąchę tych świątobliwych bzdur.

Muriel dotknęła palcem kieliszka i zmarszczyła czoło.

- Nie drwij sobie z Boga, Larry. Popatrzyl na nią.

- On tam jest - ciągnęła. - Coś. On, Ona, Ono. Ale jest tam. Ja wręcz nie mogę się doczekać chwili, kiedy wejdę do kościoła. To najpełniejsze z uczuć, które towarzyszą mi przez cały tydzień.

Nie mówiła nic takiego, czego by nie wiedział. Przynajmniej w ogólnym zarysie.

- Katolicyzm całkowicie zniechęcił mnie do religii — odparł. — Nasz proboszcz jest cudowny. Zapraszamy go na obiad. Chłopcy go uwielbiają. Mógłbym z tym facetem rozmawiać przez cały dzień. Ale nie mogę przejść przez drzwi kościoła. Odmawiam modlitwy w ogrodzie. Tylko wtedy czuję, że mam prawo o coś prosić.

Uśmiechnął się z wahaniem, a ona odpowiedziała mu podobnym uśmiechem, lecz zaniepokoiło go, że aż tak się zmieniła. Niektóre słowa, które ostatnio wyszły z jej ust, o Bogu lub dzieciach, sprawiły, że zaczął się zastanawiać, czy w ciągu tych dziesięciu lat nie poddała się przypadkiem transplantacji mózgu. Śmieszne, co się dzieje z ludźmi po czterdziestce, kiedy uświadamiają sobie, że nasze miejsce na ziemi jest jedynie wdzierzawione, a nie dane na własność. Odkrycie, że Muriel zmięła, zdawało się zapowiadać zagrożenie, którego nie potrafił nazwać.

241

Larry rozejrzał się po sali. Była na wpół pusta, urządzona mało wiarygodnie w stylu tropikalnym, z liśćmi palmowymi i barierkami oraz meblami z bambusa. Wszyscy goście byli zmęczeni. Malowało się to na ich twarzach. Kto mógłby nazwać czyste łóżko i pokój hotelowy ciężkąpróbą? Ajednak wyglądało na to, że spędzanie czasu z dala od domu, w miejscach, w których się nigdy przedtem nie było, dla każdego jest ciężkim doświadczeniem. Pomyślał, że w utracie kontaktu z własnym kawałkiem ziemi jest coś, co budzi niepewność i poczucie zagrożenia. Z nim też tak jakoś się działo, że wszystko, z czym stykał się w życiu, prowadziło go z powrotem do ogrodu.

Postanowił poszukać automatu telefonicznego. Kończyły mu się już wolne minuty na rozmowy międzymiastowe, a policyjna księgowość nie zgadzała na zwrot kosztów za

jakąkolwiek czasową nadwyżkę. Musiał przekazać wiadomość do domu i pracy, że utknął tu na noc. Idąc w stronę holu, wciąż myślał o Muriel. Przyszło mu do głowy, żeby ją zapytać, czy Talmadge chodzi z nią do kościoła, ale byłoby to złamaniem obietnicy, którą złożył jej w samolocie. Wiedział już zresztą wystarczająco dużo. Życie Muriel -jak życie każdego innego człowieka - było, w najlepszym razie, złożone. Jednakże nie potrafił zdusić w sobie do końca ponurej satysfakcji. Muriel wierzyła, że Bóg stworzył we wszechświecie porządek. W swych najtrudniejszych chwilach Larry myślał, że ten bałagan panujący w jej życiu jest jego zemstą.

— Mamy problem - powiedziała Muriel, kiedy Larry wrócił. W czasie jego nieobecności dobrze to sobie przemyślała. — Har-low kupuje gadkę Erna.

— Cholera — zaklął Larry.

Wy tłumaczyła mu, o co chodziło w orzeczeniu, które Carol przeczytała jej przez telefon.

— Cholera — powtórzył Larry. — A inni sędziowie? Oni nie muszą się z tym zgodzić, prawda?

— Sąd apelacyjny? W teorii nie. Ale oni nie widzieli faceta, kiedy zeznawał. Harlow widział. Nie będą mieli innego wyboru poza zaakceptowaniem jego opinii, chyba że będziemy mogli przedstawić coś nowego, co zrobi z Erna kłamcą. A ta dzisiejsza historia z Collinsem ogranicza nam swobodę manewru. Gdy tylko powiem o tym Arthurowi, zaczną jęczeć, położy się

242

na podłodze i ponowi wniosek o zmuszenie mnie do przyznania Collinsowi immunitetu.

— I?

— Wniosek wciąż nie ma szans. Przyznanie immunitetu zależy wyłącznie od decyzji prokuratora. Ale on w ten sposób przekaze nową informację sądowi apelacyjnemu.

— Nie musisz niczego opowiadać Arthurowi. Obiecałem Collinsowi, że nie zrobię żadnych notatek. Jeżeli chodzi o Arthura, lub kogokolwiek innego, jeśli już przy tym jesteśmy, ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

— To znaczy tylko tyle, że nie użyjemy tego przeciwko Collinsowi. Nadal jednak musimy powiedzieć o tym Arthurowi.

— Dlaczego?

Ta myśl była trochę dezorientująca. Muriel zaczęła się głośno zastanawiać. Ściśle mówiąc, z punktu widzenia prawa obowiązek ujawniania dowodów korzystnych dla strony przeciwnej odnosi się tylko do procesów. A ponieważ Collins nie chce zeznawać, jego oświadczenia złożone w obecności Larry'ego są dla sądu tylko dowodem ze słyszenia.

— No więc? - zapytał Larry. — W czym problem?

— Hm, do diabła, Larry. Przede wszystkim nie jest to zbyt mądre. Collins zadzwoni do Jacksona. Jeśli się wyda, że tego nie ujawniliśmy, postawi nas to w okropnym świetle.

— Collins przedstawi Airesowi taką wersję: „Nie powiedziałem gliniarzowi niczego”. Nie będzie chciał, żeby Jackson opieprzył go za to, że otworzył dziób. Poza tym z jego punktu widzenia wygląda to tak, że rzeczywiście nic nie powiedział. Po co komplikować życie?

— Jezu, Larry, a co będzie, jeśli Collins mówi prawdę? Co będzie, jeśli razem z wujem naprawdę wrobili Rommy'ego, i on teraz co wieczór pada na kolana przed Jezusem, by prosić o wybaczenie?

— Wykluczone.

— Wykluczone? Całkowicie? Chcesz powiedzieć, że nigdy ani przez sekundę nie pomyślałeś, że może jednak istnieje malutkie, malusieńkie prawdopodobieństwo, że Erno mówi prawdę?

Machnął ciężką ręką żeby odegnać chęć do śmiechu.

— Ten mały dupek się przyznał, Muriel. Przyznał się przed tobą.

— Larry, facet się całkowicie pogubił.

— Co to ma, u diabła, znaczyć?

243

Na szczęście w tym momencie zjawiała się kelnerka z kolacją. Postawiła talerze na stole i miło do nich zagadnęła. Pochodziła z Georgii i miała akcent z Przemineño z wiatrem. Zanim odeszła po nowe drinki, Larry zdążył już przeżuć połowę steku, ale wciąż unikał wzrokiem Muriel. Wiedziała, że może poczekać i rozmówić się z nim szczerze później, ale musiał być zachowany jakiś porządek, a właściwie hierarchia. Gliniarzom ogromnie się nie podoba, kiedy prawnicy podejmują decyzje. Praca dla prawnika to tylko słowa — słowa, które wypowiada w sądzie, zapisuje w pismach

urzędowych lub czyta w raportach policyjnych. Natomiast dla gliniarza praca to samo życie. Wykonuje ją z bronią u boku, aż pot spływa mu do gaci spod kuloodpornej kamizelki. Schludnie ubrani świadkowie pojawiający się w sądzie, żeby odpowiedzieć na pytania oskarżyciela, są ściągani z ulicy przez funkcjonariuszy, którzy między kolejnymi strzelaninami nie wiedzą czego się bardziej obawiać: kuli czy HIV. Policjanci żyją w brutalnym świecie i jeśli muszą, grają według brutalnych zasad. W tej sytuacji prokurator, ulegając nawet komuś tak dobremu jak Larry, zachęca go tylko do krnąbrności.

— Chcę, żebyś mi obiecał, że to nie będzie bunkier Hitlera — powiedziała.

— To znaczy?

— Zachowaj otwarty umysł. Choć trochę. Chcę powiedzieć, Larry, że mogliśmy popełnić błąd. Zdarza się. To nie jest doskonały system. My nie jesteśmy doskonałymi ludźmi.

Nie przyjął tego dobrze.

— Nie popełniliśmy żadnych pieprzonych błędów.

— Nie atakuję ciebie, Larry. Oczekuje się od nas, że swoją pracę będziemy wykonywali bezbłędnie. I tak zazwyczaj jest, naprawdę. Ponad wszelką wątpliwość. Ale nawet nasza najlepiej wykonana praca i nasze najlepsze oceny sytuacji nie zawsze są doskonałe. Chcę powiedzieć, że to możliwe.

— To niemożliwe. - Mimo że przez lata nabrał ciała, żyły na jego grubej szyi stały się dobrze widoczne. — To on jest zabójcą. Znał dwie z ofiar. Miał motyw. Przyznał się do winy. Jeszcze przed nami wiedział, co było narzędziem zbrodni, i miał w kieszeni kameę Luisy. To on i nie pozwolę ci zachowywać się jak Dziewica Maryja. Jeśli będziesz tak robić, pogrzebiesz siebie i mnie przy okazji.

— Larry, nie obchodzi mnie, że Arthur robi wokół tego szum. Ani sędzia, jeśli już przy tym jesteśmy. Myślisz, że podeszła-

244

bym lekko do potrójnego morderstwa? Myślisz, że odwróciłabym się plecami do Johna Leonidisa i tych dwóch dziewcząt? Popatrz na mnie i powiedz, że w to wierzysz.

Gdy tylko kelnerka przyniosła mu szkocką, wypił od razu połowę. Alkohol mu nie pomagał. Miał problemy z opanowaniem się. W środku aż kipiał gniewem. Zawsze o tym wiedziała.

— Nie chcę więcej słyszeć tych bzdur o popełnianiu błędów — odezwał się.

— Nie mówię, że to błąd. Chcę po prostu móc powiedzieć w przyszłości, że wypełniłam swój zawodowy obowiązek i rozważyłam tę możliwość.

— Posłuchaj, pracowałem nad tą sprawą. Na własną rękę. Cała policja wcisnęła guzik „pauza”, gdy tylko znikły nagłówki. Tylko ja wciąż robiłem swoje. Ja rozwiązałem tę sprawę. I zrobiłem to z tobą. I dla ciebie, jeśli chcesz znać prawdę. Nie mów mi więc o żadnym cholernym błędzie.

— Dla mnie?

Z wściekłości rozszerzyły mu się oczy, a właściwie cały jakby się powiększył.

— Nie udawaj, że tego nie rozumiesz, do diabła. To wszystko tworzy jedną całość, Muriel, prawda? Ta sprawa. To, że postanowiłaś zostać oskarżycielem publicznym. To, że postanowiłaś zostać wybitną postacią. To, że postanowiłaś poślubić Talmadge'a. To, że postanowiłaś zapisać się na kartach historii. To, że postanowiłaś mnie odrzucić. Nie mów mi więc, że to jakiś pieprzony błąd. Już za późno na cholerne błędy. Miałem swoje kiepskie, małe życie, a ty stawałaś się gwiazdą. Nie udawaj, że nie wiesz, na czym polega gra, ponieważ to ty stworzyłaś wszystkie pieprzone zasady. — Powiedziawszy to, rzucił zieloną serwetę na talerz i odszedł tak szybko, że przewróciłby każdego, kto stanąłby mu na drodze. Mała torba, którą wziął z domu, podskakiwała mu na ramieniu, jakby nie była cięższa od szalika.

Muriel miała trudności z przełknięciem śliny. Stało się coś, co ją przytłoczyło. W pierwszej chwili pomyślała, że jest zaszokowana gwałtownością jego wybuchu. Jednak po sekundzie dotarło do niej, że nawet po dziesięciu latach rany, które zadała Larry'emu, wciąż są otwarte. Myślała, że był bliski temu obrazowi siebie, jaki stworzył na użytek innych— kogoś zbyt samowystarczalnego, żeby mógł odnieść jakikolwiek długotrwały uraz. Mniej więcej tak próbowała też myśleć o sobie.

245

Jedna z jej przyjaciółek lubiła mówić, że w gimnazjum uczysz się wszystkiego, czego można się dowiedzieć o tym, jak się zaczyna i kończy miłość. Ogromny obszar leżący między tymi punktami, ciemną dżunglą długotrwałych związków, poznaje się dopiero w wieku dojrzałym. Ale ten nuklearny błysk wyznaczający początek i koniec miłości pozostaje ten sam, nie« J| zależnie od stadium życia. I to, co powiedziałyby w damskiej!! ubikacji dziewczęta z gimnazjum o oburzeniu Larry'ego, byłajl prawdopodobnie prawdą: znaczyło to, że wciąż mu na niej za- 1 leży. Mówiąc to sobie, poczuła się trochę zagrożona.

Zostawił marynarkę na krześle. Patrzyła na nią przez chwilę, po czym wzięła ją i poszła do baru, myśląc, że może tam uciekł. Nigdzie nie było go widać. Wjechała na górę i zapukała lekko do drzwi jego pokoju.

— Larry, otwórz. Mam twoją marynarkę.

Rozpiął już koszulę na swoim okazałym brzuchu, a w ręce trzymał buteleczkę dewara, którą wyjął z minibaru. Połowy whisky już nie było. Wziął marynarkę i rzucił za siebie na łóżko, nie potrafiąc zdobyć się na odwagę, żeby spojrzeć na Muriel.

— Larry, może tak przestalibyśmy się na siebie wkurzać, co? Musimy jeszcze przebyć razem długą drogę w związku z tą sprawą.

— Ty nie jesteś wkurzona. To ja jestem. — Zerknął na butelkę, zakręcił ją i wrzucił do odległego o kilka stóp kosza, który zakołysał się od uderzenia. — A teraz jestem bardziej zakłopotany niż wkurzony.

— Może powinniśmy porozmawiać.

— O czym?

— Nie każ mi tu stać, Larry. - W obu rękach miała bagaże: wypchaną aktówkę w jednej i małą podróżną torebkę w drugiej.

Zastanowił się i zapraszająco wyciągnął rękę, odwracając się do niej plecami. Łysina poróżwiała mu od alkoholu.

— Muriel, ja nawet nie wiem, co mnie napadło.

— Też coś, Larry.

— Nie, nie mówię, że nie miałem tego na myśli. Ale najbardziej mnie martwi to, co powiedziałem na końcu. To o sobie. Nie mogę narzekać na swoje życie. Jest dobre. Lepsze niż dobre. Tylko że jestem taki jak wszyscy inni. Nikt nie dostaje tego, co chce, kiedy w grę wchodzi miłość.

To stwierdzenie, precyzja zawartej w nim oceny, na chwilę

246

odebrało jej głos, ponieważ wyraził nim jej najgłębsze przekonanie, które sama rzadko miała okazję wyartykułować. Pomyślała przez chwilę o tej bombie, którą zrzucił na nią samolocie: powiedział, że w obu swoich małżeństwach goni jakieś nieziszczalne marzenie. Męczyło ją to przez cały dzień jak sknocony obiad, który

wciąż się odbija. Pomyśli o tym w niedzielę. Bo podczas tych bezcennych chwil w kościele, wierząc i nie wierząc, modliła się najczęściej o miłość. Zamyśliła się nad tym ludzkim poszukiwaniem miłości, nad towarzyszącym mu stale przygnębieniem, przerywanym chwilami uniesienia, kiedy ulegamy złudzeniu, że ją znaleźliśmy. Wszystkie inne sprawy w życiu — osiągnięcia zawodowe, sztuka i idee — są tylko błyskotkami skrywającymi to wiecznie nie nasycone zwierzę, pragnienie miłości.

- To wiele dla mnie znaczyło — podjął po chwili. — Zakreślił palcem kółko w powietrzu. — Byłem potem tak rozbity, że niemal wykręciłem numer doktora Kevorkiana. To wszystko. Ja po prostu... no wiesz, puściły mi nerwy.

Mężczyźni tacy jak Larry, jak Talmadge, robili wszystko co możliwe, byle tylko nikt ich nie uznał za słabych i wrażliwych. Ale tacy właśnie byli i kiedy to wychodziło na jaw, zaczynał się długotrwały kryzys. To właśnie starał się jej przekazać.

- Nie chcę, żebyś powiedziała Arthurowi o Collinsie.

- Larry.

- Sama mówiłaś, że prawo nie wymaga, abyś mu o tym powiedziała. Nie chcę być dobroczyńcą, dzięki któremu on będzie mógł jeszcze bardziej zamącić.

Nawet po tym wszystkim nie miała ochoty na to przystać. Usiadła na krześle przy drzwiach i zamyśliła się. Obserwował ją w milczeniu, ale po chwili się zirytował.

- Chryste — warknął. — Po prostu zrób mi pieprzoną przysługę, dobrze? Dobrze?! — Kiedy siebie usłyszał, wypalił się w kilka sekund. Padł na łóżko kilka stóp od niej, wyczerpany tym wybuchem. Stojąca obok drzwi maszyna do lodu z łoskotem wrzuciła sobie do brzucha pełen ładunek kostek.

Prędzej czy później poinformuje Arthura, ale to może jeszcze poczekać do czasu, aż Larry się uspokoi. Zbyt go pognębiła, żeby wytrzymał teraz jeszcze jeden cios.

- Cóż, jest jak za dobrych dawnych lat, prawda? - powiedziała w końcu. — Ty, ja, pokój hotelowy i kłótnia?

- Nasze kłótnie nigdy nic nie znaczyły, Muriel.

247

— Naprawdę? Chcesz powiedzieć, że niepotrzebnie zdzierałam gardło?

— To zawsze była gra wstępna.

Zabrakło jej śmiałości, żeby na to odpowiedzieć.

— Ty po prostu lubisz, kiedy seks jest formą rywalizacji -dodał.

— Dziękuję, doktor Ruth*.

— To działało, Muriel. To zawsze działało. Nie mów mi, że nie pamiętasz. — Odważył się spojrzeć na nią jeszcze raz. Uświadomiła sobie, że dla niego to, co wydarzyło się między nimi, jest wyryte niczym przykazania na kamiennych tablicach, wciąż odczytywane, analizowane i w pełni zrozumiałe. Zaprzeczenie któremukolwiek byłoby grzechem.

— Mam dopiero wczesne stadium Alzheimera, Larry. Pamiętam.

Wraz z tym potwierdzeniem przeszłość, wszystkie pasje i przyjemności, legła między nimi jak trup. Tyle że to ciało, przy którym czuwali, nie było do końca martwe. Znów pojawiło się pragnienie, które ich niegdyś połączyło. Czują jego bliskość, gdy bacznie oceniał, wręcz mierzył jej reakcje. Znając jego upartą bezpośredniość we wszystkim, co dotyczyło Talmadge'a, wiedziała, o co chce zapytać, ale nawet on rozumiał, że pewnych granic nie może przekroczyć. Nie było też żadnego sensu snuć porównań — każdy wiedział, że małżeństwo nie jest po prostu miłą przygodą. Była jedną z tych milionów osób, które znajdowały więcej przyjemności w seksie przed ślubem niż po nim, choć szczerze mówiąc, nigdy by się tego przedtem nie domyśliła. Pójście z kimś do łóżka nigdy nie wydawało jej się wielkim wyzwaniem. Było czymś ważnym. Zabawnym. Ale nie trudnym. Zawsze zakładała, że Talmadge i ona odnajdą wspólny rytm. Ale nie znaleźli. Nigdy nie sądziła, że mogłaby żyć bez tego, ale czy to z powodu ciągłego zmęczenia, czy też wieku, coraz mniej o tym myślała. Kiedy kilka razy w miesiącu budziło się w niej pragnienie, zawsze była tym zaskoczona.

Tak jak teraz.

— Pamiętam, Larry- powtórzyła cicho. Uniosła wzrok, chcąc jedynie potwierdzić te słowa, ale jej pożądanie było tak silne, że czuła, jak nim emanuje. To nie było jeszcze zaprosze-

* Dr Ruth Westheimer - znana i kontrowersyjna seksuolog, autorka wielu książek (przyp. tłum.).

248

nie. Musiał jednak wyczuć, że gdyby się do niej zbliżył, trudno byłoby jej odmówić. Ale nie mogła zrobić pierwszego kroku. Dokonała już dość wyborów. Gdyby teraz ona dała sygnał, byłoby w tym coś rozkazującego, władczego. Czekala więc, czując się jak wstrzymująca oddech kokietka, nieśmiała i bezsilna — stan, którego starała

się przez całe życie unikać — a on się zastanawiał. Nasłuchiwała, licząc na jakiś jego ruch, po którym będzie mogła wyjść mu naprzeciw. Ale był chyba zbyt rozgoryczony. Zaczęło jej się dłużyć. A potem sposobność nierozważnego sięgnięcia po to, co kiedyś było tak wspaniałe, umknęła im, zniknęła równie przewrotnie, jak się pojawiła.

— Jestem wykończony — powiedział.

- Taa, oczywiście — odparła. Stojąc na progu, powiedziała jeszcze, że spotkają się w holu o szóstej trzydzieści rano. Potem ruszyła korytarzem, mijając nie kończący się ciąg zamkniętych drzwi, i w końcu znalazła pokój, który na tę noc należał do niej. Kiedy tak szła, niosąc bagaże i sprawdzając każdy numer, zastanawiała się, jak trudno będzie jej odtąd iść przez resztę życia.

24

25-28 czerwca 2001

Zeznanie Genevieve Carriere

W poczcie, która w poniedziałki zdawała się zawsze przynosić same złe wieści, Arthur znalazł wiadomość od Muriel Wynn. Prokuratura proponowała, żeby za trzy dni, w czwartek, obie strony wysłuchały zeznania pod przysięgą niejakiej Genevieve Carriere. Miało się to odbyć w biurze wynajętych przez nią prawników, Sandy'ego i Marty Sternów.

— Kim jest ta tajemnicza osoba? - zapytał Arthur, kiedy po kilku próbach dodzwonił się wreszcie do Muriel. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy w ostatnich latach Arthur miał do czynienia z Muriel, traktowali się z żartobliwą dobroduszością, jak to byli koledzy z pracy. Jednak skutkiem obecnego postępowania Muriel odnosiła się teraz do niego raczej szorstko. Arthur, którego zawsze bolała utrata czyjejś sympatii, przygotował się w duchu na to, że Muriel i tym razem podobnie go potraktuje, ale była w bardzo dobrym nastroju. Natychmiast

249

obudziło to w nim podejrzenia, że Muriel z jakiegoś powodu uważa, iż zyskała nad nim przewagę.

— Arthurze — odparła — pozwól, że powiem ci dwa słowa: Erno Erdai. — Muriel, jak wielu znanych Arthurowi prokuratorów, przestrzegała w stosunkach z obrońcami prostej zasady: nie wściekaj się, tylko wyrównuj rachunki.

— Musiałem to zrobić, Muriel.

— Ponieważ nie chciałeś dać nam równej szansy na przeprowadzenie śledztwa.

— Ponieważ nie chciałem, żebyście zamęczyli Erna w Rud-yard. Lub przeciągali sprawę do czasu, aż będzie martwy albo niezdolny do składania zeznań. On mówi prawdę i ty to wiesz, Muriel.

— Wcale nie. Twój facet się przyznał, Arthurze.

— Mój facet ma iloraz inteligencji siedemdziesiąt trzy. Wie, że inni ludzie są bystrzejsi od niego. Przywykł do tego, że nie rozumie, co się wokół niego dzieje, i do tego, że powinien akceptować to, co mu się powie. I nie myśl, że Larry go jakoś nie zachęcił. Zazwyczaj gdy dorośli mężczyźni walą w gacie, dzieje się to dlatego, że są śmiertelnie przerażeni, a nie dlatego, że mają nieczyste sumienie. Nie żyjesz w Shangri-la, Muriel, i ja też nie.

Tym nawiązaniem do Shangri-la, co było tak zręcznym posunięciem Erna w sądzie, nieco przesadził. W głosie Muriel zabrzmiały ostrzejsze tony:

— Byłam tam, Arthurze. Na twoim kliencie nie było żadnego śladu przemocy. Poza tym popatrzył mi prosto w oczy i powiedział, że był dobrze traktowany.

— Ponieważ był zbyt oszołomiony, żeby powiedzieć coś innego. Rommy nigdy nie stosował przemocy. Erno strzelał do dwojga osób, nie licząc tych morderstw. Na kogo pasuje ten kołnierzyk, Muriel?

Dosyć dziwne, ale Arthur czuł, że jest górą w tym sporze. Miał więcej punktów. Jego jedynym problemem było to, że Rommy nigdy sensownie nie wytłumaczył, dlaczego przyznał się do winy. Tak naprawdę nie twierdził, że jego oświadczenia zostały wymuszone, nie zrobił tego także żaden z jego poprzednich obrońców, z którymi Arthur wciąż miał dość ograniczone kontakty.

Jak zwykle, gdy zostawała z tyłu, Muriel ucięła rozmowę i powiedziała tylko:

250

— Czwartek.

Arthur spróbował następnie szczęścia z adwokatami pani Carriere. Sandy, jak zawsze grzeczny, poświęcił chwilę, żeby pochwalić pracę Arthura nad tą sprawą.

— Śledzę twoje postępy w prasie, Arthurze. Wielce godne uwagi.

Stern, dostojny dziekan adwokatury w hrabstwie Kindle, znał wartość komplementu. Wygłosiwszy go, przełączył rozmowę do gabinetu córki, Marty, z którą prowadził praktykę od blisko dziesięciu lat. To ona reprezentowała panią Carriere.

Arthur wciąż jeszcze był zastępcą prokuratora, kiedy Marta rozpoczynała pracę. W tamtych czasach była przeciwieństwem ojca, osobą zadziorną, nawet kiedy nie było to konieczne, towarzysko nieporadną i mniej niż schludną. Ale była piekielnie bystra i ludzie mówili, że Sandy przez te lata miał na nią dobry wpływ i znacznie ją utemperował. Zwykle obrońcy w sprawach kryminalnych chętnie współpracowali ze sobą. Mieli wspólnego wroga w urzędzie oskarżyciela publicznego i wspólny cel: ograniczenie naruszania praw ich klientów. Jednakże przez telefon Marta sprawiała wrażenie oschłej, przypuszczalnie z powodu swoich dawnych utarczek z Arthurem. Nie wyjawiała praktycznie niczego poza tym, że Genevieve była bliską przyjaciółką i koleżanką z pracy Luisy Remardi.

— Genevieve nakazała nam nie uprzedzać o niczym żadnej ze stron — powiedziała Marta. — Nie chce mieć z tym nic wspólnego. I tak musi przerwać rodzinne wakacje, żeby tu przyjechać i złożyć zeznanie.

— Czy mi zaszkodzi?

Marta zastanowiła się. Niepisany kodeks adwokacki wymagał, żeby go przynajmniej ostrzegła.

— Jeśli Muriel będzie się trzymała planu, jaki zapowiedziała, będą rany, ale żadna śmiertelna. Pamiętaj jednak, żeby podczas przesłuchania iść śladami Muriel. Nie próbuj wkraczać na nowy teren.

Odłożywszy słuchawkę, Arthur zaczął się zastanawiać, ile warta jest ta rada. Sternowie grali uczciwie, ale jeśli ich klientem był świadek, który nie miał wielkiej ochoty składać zeznań, w jego interesie było zniechęcanie obu stron do przedłużania przesłuchania.

W czwartek, trochę przed drugą po południu, Arthur wszedł do Morgan Towers, najwyższego budynku w mieście. Sandy

251

Stern był imigrantem, ale jego biuro było urządzone z takim przepychem, jakby któryś z jego przodków przybył tu na tyle wcześniej, by móc wziąć udział w wojnie o niepodległość. W recepcji, gdzie kazano Arthurowi czekać, stały chippendalee ozdobione porcelanowymi figurkami i naczyniami ze srebra. W końcu pojawiła się Muriel, spóźniona o swoje zwykłe dziesięć minut, ciągnąc za sobą Larry'ego. Marta wprowadziła ich do sali konferencyjnej. Przy owalnym, przykrytym szybą stole z drewna orzechowego siedziała wyraźnie spięta pani Carrie-re. Ubrana elegancko, w ciemny kostium, wyglądała jak typowa żona lekarza. Była nieco pulchna, raczej ładna, oczy miała wielkości łyżek do zupy. Jej włosy, przedwcześnie posiwiałe,

nadawały jej wygląd osoby szczerzej i otwartej. Muriel przywitała się z nią, ale w odpowiedzi usłyszała tylko suche dzień dobry.

Protokolant sądowy, który ustawił swoją maszynę do stenografowania obok świadka, poprosił panią Carriere o podniesienie ręki i złożenie przysięgi. Na początek pytania Muriel nie wybiegały poza to, co Arthur przewidział dzięki informacjom, które ze zwykłą sobie sumiennością zebrała Pamela. Pani Carriere, obecnie gospodyni domowa, przepracowała wiele lat w Trans-National Air jako przedstawicielka agencji sprzedaży biletów. Jej mąż, Matthew, był internistą na przedmieściu w hrabstwie Greenwood. Mieli czworo dzieci. Genevieve odpowiadała z bolesną wręcz precyzją. Marta dobrze ją przygotowała. Jej klientka zastanawiała się nad każdym pytaniem i odpowiadała tak krótko, jak to tylko było możliwe. Dostałaby piątkę z plusem na kursie dla świadków.

Kiedy Muriel w końcu wspomniała Erna, Genevieve potwierdziła, że знаła go jako szefa ochrony TN na lotnisku Du-Sable.

— Czy Luisa Remardi rozmawiała z panią kiedykolwiek na temat Erna Erdaia? - zapytała Muriel.

Arthur natychmiast zgłosił sprzeciw, mówiąc, że pytanie odwołuje się do dowodów ze słyszenia. Muriel i on pojedynkowali się przez chwilę, przedstawiając argumenty do protokołu, ale zgodnie z federalną procedurą dotyczącą składania pisemnych zeznań pod przysięgą, o ich słuszności miał rozstrzygnąć później sędzia. Na razie pani Carriere była zobowiązana do odpowiedzi, co Marta potwierdziła, kiwając nieznacznie głową w stronę swojej klientki. W miarę upływu lat Marta nie tylko

252

nabrała trochę ciała, ale także zaczęła postępować według obowiązujących zasad. Miała nienaganną fryzurę i, jak zauważył Arthur, nosiła obrączkę. Wszyscy ciągnęli pod ołtarz. Wszyscy oprócz niego.

— Tak-odparła.

— Czy kiedykolwiek rozmawialiście o naturze jej stosunków z Ernem Erdaiem? — dopytywała się Muriel.

Genevieve odpowiedziała, że nie rozumie pytania.

— Czy kiedykolwiek wypowiadała się negatywnie o Ernie Erdaiu?

— Tak.

— A czy zdarzało się, że wypowiadała się w ten sposób i sprawiała takie wrażenie, jakby była zdenerwowana lub czymś mocno przejęta?

— Sądzę, że można tak powiedzieć.

W zasadzie wykluczającej dopuszczanie dowodów ze słyszenia istniał wyjątek pozwalający na branie pod uwagę tak zwanych wypowiedzi emocjonalnych. Wprowadzono go na podstawie przekonania, że jest mało prawdopodobne, aby podenerwowani ludzie byli zdolni do przemyślanego kłamstwa. Ten wyjątek, jak wiele innych stosowanych podczas przesłuchań świadków, obowiązywał od wielu wieków i nie brano tu pod uwagę wyników współczesnych badań dotyczących trafności tego, co ludzie poddani stresowi mówią i potrafią zaobserwować. Arthur jednak wiedział, że właśnie ze względu na długotrwałość tej sytuacji zeznania Genevieve Carriere, jakiegokolwiek będą, zostaną przyjęte w sądzie.

— Pani Carriere — ciągnęła Muriel - chciałabym, żeby przypomniała sobie pani te sytuacje, kiedy pani Remardi była najbardziej podenerwowana i mówiła pani o Ernie Erdaiu. Czy pamięta pani, kiedy to było?

— Pamiętam. Nie wiem, czy była wtedy najbardziej zdenerwowana, ale zdenerwowana była.

— W porządku. Kiedy odbyła się ta rozmowa?

— Mniej więcej sześć tygodni przed śmiercią Luisy.

— Gdzie wtedy byliście?

— Zapewne przy kasie biletowej na DuSable Field. Miałyśmy wspólną kasę. Nasze zmiany nakładały się na siebie przez godzinę. Zwykle o tej porze było bardzo spokojnie, więc przeliczałyśmy utarg i sporo rozmawiałyśmy.

253

- Czy posiada pani własną, niezależną wiedzę o wydarzeniach, które tak zdenerwowały panią Remardi?

- Jeżeli myśli pani o tym, czy widziałam, co się stało, odpowiedź brzmi: nie.

— Czy Luisa opisała pani to wydarzenie?

Arthur poprosił, żeby ponownie zaprotokołować jego sprzeciw wobec kolejnego pytania odnoszącego się do dowodu ze słyszenia. Widział, że Muriel zdaje sobie sprawę, iż próbuje po prostu wybić ją tym z rytmu, gdyż nawet nie spojrzała w jego stronę, kiedy poprosiła panią Carriere o odpowiedź.

— Luisa powiedziała, że zrobiono jej rewizję w poszukiwaniu narkotyków. Rewizję osobistą.

— Czy wyjaśniła, co było tak irytujące w tej rewizji?

— Nie musiała niczego wyjaśniać. To przecież musi być denerwujące, kiedy człowiek przychodzi do pracy i go obszukują. Ale szczególnie ją rozgniewało, jak to zrobili. Mówiąc o tym, użyła dosyć ordynarnych słów.

— Co konkretnie powiedziała?

Genevieve rzuciła Muriel spojrzenie pełne urazy i pozwoliła sobie na westchnięcie.

- Że przeszukali ją przez ubranie, ale bardzo gruntownie... powiedziała coś w tym rodzaju, że nawet mężczyźni, z którymi uprawiała seks, nie zawsze dotykali jej w tych wszystkich miejscach.

Protokolant sądowy, którego praca wymagała, żeby był równie niekomunikatywny jak posąg, złamał zasady i wybuchnął śmiechem. Siedzący wokół stołu prawnicy uśmiechnęli się, ale z twarzy pani Carriere nie zniknął wyraz napięcia.

— Kiedy po tej rewizji Luisa opowiedziała pani o tym, co ją spotkało?

- W ciągu godziny. Zrobili to tuż przed końcem jej zmiany i moim przyjściem.

- A co powiedziała o Ernie Erdaiu?

— Znowu dosłownie?

— Proszę.

- Staram się nie używać takich słów. To także było bardzo barwne. Coś, co w gazetach nazywają „karczemnymi epitetami”.

- Czy prawdziwe będzie stwierdzenie, że wyraziła w ten sposób swoją nienawiść do pana Erdaia?

- Bardzo prawdziwe. Jak powiedziała, Erdai dobrze wie-

254

dział, że ona nie ma nic wspólnego z narkotykami i że skłamał, by doprowadzić do tej rewizji.

Muriel wyglądała na zbitą z tropu. Aż do tej chwili wydawało się, że świadek i zadająca pytania dość dobrze się rozumieją. Arthur uwierzył Marcie na słowo, kiedy powiedziała, że nie pozwoli Muriel ponownie przesłuchać pani Carriere, ale było

oczywiste, że odbyła z Muriel sporo rozmów, starając się, by jej klientka mogła wyjść stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Arthur zobaczył, że Larry pochyla się i szepcze coś do Muriel. Był w rozpiętej pod szyją koszulce polo i sportowej marynarce z popeliny w kolorze khaki, która w letnim upale pogniotła się jak papierowa torebka. Sportowe stroje wydawały się nieodłączne od Larry'ego i wielu innych detektywów, zawsze skwapliwie dystansujących się od wszelkich reguł, także dotyczących ubrania, obowiązujących w postępowaniach prawnych. Pomimo że protokolant sądowy robił swoje, Larry od czasu do czasu coś zapisywał w małym notesie w spiralnej oprawie.

- Czy wyjaśniła, skąd wiedziała, że to Erno Erdai skłamał, aby doprowadzić do tej rewizji? — zapytała Muriel.

- Nie.

- Przypuszczała, że tak było?

Arthur sprzeciwił się, żeby pani Carriere zeznawała na temat przypuszczeń Luisy, i Muriel wycofała się z tego pytania. Larry przyłożył dłoń do jej ucha, przesłoniętego prawdziwą burzą czarnych loków, i znowu coś szeptał.

- Czy wyjaśniła, co jej zdaniem pan Erdai próbował osiągnąć, doprowadzając do tego, że ją zrewidowano?

- Nie. Po prostu to powiedziała.

Muriel nie spuszczała ze świadka obsydianowych oczu. Ponieważ była drobna, siła jej koncentracji sprawiała czasem, że wyglądała jak marionetka.

- Czy kiedy wyrażała się tak negatywnie o panu Erdai, pierwszy raz rozmawiała o nim z panią?

- Nie.

- A czy w którejkolwiek z tych wcześniejszych rozmów wspominała, że Erno Erdai jest dla niej kimś więcej niż tylko znajomym z pracy i szefem ochrony w DuSable Field?

Genevieve znowu nie spieszyła się z odpowiedzią ale powiedziała tylko: nie.

- A czy poprzednio robiła jakieś uwagi, które wskazywałyby na to, że go nie lubi? — zapytała Muriel.

— Nie pamiętam, aby przed tą rewizją powiedziała, że go nie lubi.

Muriel, zwykle obnosząca się z pokerową twarzą, zdradziła pewne oznaki rozczarowania.

— Czy okazała kiedykolwiek, że żywi do niego jakieś pozytywne uczucia?

— Nie przypominam sobie niczego, co byłoby do tego chociaż zbliżone. Nie — odparła Genevieve.

— Czy można powiedzieć, że ogólny ton jej komentarzy na temat pana Erdaia w okresie poprzedzającym to wydarzenie był negatywny?

Arthur sprzeciwił się formie pytania. Poinstruowana przez Muriel, że powinna odpowiedzieć, pani Carriere odrzekła:

— Chyba można tak powiedzieć.

Muriel zajrzała do swojego żółtego notatnika, jakby zamierzała podjąć nowy temat.

— Pani Carriere, powtórzyła pani uwagę, którą w rozmowie z panią zrobiła pani Remardi, nawiązując do swojego życia miłosnego.

Genevieve zrobiła nadąsaną minę, pokazując dołek w brodzie. Wyraźnie nie odpowiadał jej bezwzględny charakter tej procedury.

— Czy pani Remardi często rozmawiała z panią o swoim życiu intymnym?

— Często?

— Czy informowała panią na bieżąco o swoich związkach z mężczyznami?

Raz jeszcze Arthur powiedział:

— Dowód ze słyszenia.

Muriel odparła, że spodziewa się, iż uda jej się przekonać sąd do odrzucenia sprzeciwu, i poprosiła protokolanta o odczytanie pytania.

— Prawdopodobnie słuchałam tego więcej, niż powinnam była — odparła pani Carriere, a na jej twarzy pokazał się pierwszy ślad uśmiechu. - Wyszłam za mąż w wieku dziewiętnastu lat.

— Czy widywała pani panią Remardi w towarzystwie mężczyzn?

— Od czasu do czasu.

— Proszę mi teraz powiedzieć, czy na podstawie bliskiej znajomości z panią

Remardi, pani wielu rozmów z nią i własnych

256

obserwacji, wyrobiła pani sobie jakiś pogląd na to, czy Luisę Remardi łączył intymny związek z Ernem Erdaiem?

Arthur zgłosił sprzeciw do protokołu, argumentując przez dłuższy czas, że świadek nie może wyrażać swoich opinii na ten temat. Kiedy skończył, Muriel ponownie poprosiła o odpowiedź na swoje pytanie.

Pani Carriere odrzekła:

— Nie wierzę, żeby łączył ich intymny związek. Znałam Erna. To byłoby niepodobne do Luisy, gdyby nie powiedziała mi o tym, że widuje się z kimś, kogo znam.

Muriel zacisnęła wąskie usta, żeby nie okazać tryumfu, i skinęła głową. Następnie przekazała świadka Arthurowi.

Zastanawiał się przez chwilę nad tym, jaką wagę przywią-żą Harlow i sąd apelacyjny do zeznania pani Carriere. Prawdopodobnie dużą. Sędziowie ufali takim ludziom jak Genevie-ve, pracowitym, przyzwoitym osobom, dzięki którym świat wciąż się kręcił. W sumie zgadzał się z oceną Marty: odniósł rany, ale nie śmiertelne. Opinie pani Carriere nie były wystarczającą przeciwwagą orzeczenia sędziego Harlowa, że Erno jest wiarygodny. Arthur przypominał sobie jeszcze, żeby naprawiając szkody, postępować delikatnie.

Rozpoczął od spraw oczywistych, prosząc ją o potwierdzenie, co chętnie zrobiła, że nie miała żadnej możliwości sprawdzenia opowieści Luisy o jej życiu osobistym. Nie wiedziała, czy Luisa mówiła jej wszystko, czy też zachowała coś w tajemnicy. Pani Carriere wciąż była sztywna, ale wydawała się nieco bardziej otwarta w stosunku do Arthura, przypuszczalnie dlatego, że nie on ją zmusił, żeby tu przyszła. Na jego ostatnie pytanie odparła:

— Jestem przekonana, że były takie sprawy, o których mi nie mówiła, ponieważ czasem nie pochylałam jej zachowania.

Ta odpowiedź dała Arthurowi pretekst do podjęcia pewnego ryzyka w nadziei polepszenia innych aspektów wizerunku Erna.

— Pamiętając o tym, że mogły być sprawy dotyczące osobistego życia pani Remardi, o których pani nie wiedziała, czy były takie sytuacje, które mogłyby świadczyć o tym, że spotyka się z więcej niż jednym mężczyzną?

Genevieve zacisnęła wargi i zamyśliwszy się, spuściła wzrok.

— Muszę coś wyjaśnić, jeśli mam uczciwie odpowiedzieć -odezwała się w końcu, a Arthur dał jej znak, żeby mówiła da-

257

lej. — Po rozwodzie Luisa naprawdę miała dosyć mężczyzn. Przynajmniej jeśli chodzi o trwałe związki. Czasem chciała mieć kogoś do towarzystwa. Czasem do czegoś innego. A kiedy wpadała w odpowiedni nastrój, to, szczerze mówiąc, nie była zbyt wybredna. Ani dyskretna. Między takimi sytuacjami mogły upłynąć miesiące. Lub dzień. Mogła się z kimś spotkać raz. Lub kilka razy. Nie znam właściwego słowa. Praktyczna? Powiedziałabym, że jeśli idzie o mężczyzn, potrafiła być bardzo praktyczna. A więc tak, od czasu do czasu słyszałam o więcej niż jednym facecie.

Arthur miał jedynie nadzieję skłonić Genevieve do przyznania, że istnieje możliwość, iż Luisa grała na kilka frontów. To był mały sukces. Zastanawiał się przez chwilę nad pytaniem, czy słyszała o tym, by pani Remardi spotykała się z kimś na parkingu lotniska, ale doszedł do wniosku, że dzięki słowom pani Carriere o praktycznym podejściu Luisy do spraw miłosnych już miał wystarczającą swobodę, by wesprzeć zeznania Erna odpowiednimi argumentami.

Zamiast tego powrócił do ostatniego stwierdzenia pani Carriere, że Luisy i Erna nigdy nie łączył żaden romantyczny związek, które już nieco osłabiła, zastrzegając, iż Luisa mogła zachować pewne sprawy dla siebie.

- Czy z tego, co mówiła pani Remardi - zapytał — wynikało, że ona i Erno Erdai darli ze sobą koty?

- Darli koty?

- Pozwoli pani, że ujmę to inaczej. Wiedziała pani, że na sześć tygodni przed śmiercią Luisa Remardi była na niego bardzo zła?

- Tak.

- I że myślała, iż on pod jakimś pretekstem doprowadził do tego, żeby zrobiono jej coś, co było dla niej bardzo obraźliwe i fizycznie dotkliwe?

- Tak.

- Co powiązała, swymi uwagami, z aktami intymnymi?

Zanim odpowiedziała twierdząco, Genevieve nawet uśmiechnęła się do Arthura, wyraźnie zadowolona z tego, jak zręcznie zadaje pytania.

- I faktem jest też, jak już pani zeznała, że ona nigdy tak naprawdę nie powiedziała pani, co jej zdaniem skłoniło pana Erdaia do zainicjowania tego przeszukania?

Natychmiast się zorientował, że posunął się o krok za dale-

258

ko. Genevieve utkwiała na krótko wzrok w jego oczach, jakby chciała go przed czymś ostrzec, i zagryzła wargi.

- Jak już mówiłam, nie wyjaśniła mi, co jej zdaniem Erno chciał osiągnąć.

Zaniepokojony tym, cokolwiek to było, co przegapił, Arthur postanowił uśmiechnąć się łagodnie, jakby liczył właśnie na taką odpowiedź.

- Nie mam więcej pytań — dodał. Bał się spojrzeć na Muriel i zapisał kilka linijek w swoim notatniku. Gdyby to on siedział po drugiej stronie stołu, niuanse odpowiedzi Genevieve mogłyby mu umknąć, ale to była Muriel, a ona miała jakąś zdolność postrzegania pozazmysłowego, coś w rodzaju automatycznie alarmującego ją sonaru. Arthura wcale nie zdziwiło, kiedy poprosiła protokolanta, żeby odczytał jego ostatnie pytanie.

- Czy Luisa Remardi powiedziała pani, dlaczego Erno Er-dai zainicjował to przeszukanie? — zapytała następnie.

— Nie wyjaśniła, co jej zdaniem chciał przez to osiągnąć.

— To nie jest moje pytanie. Nie pytam o to, w jakim celu jej zdaniem to zrobił. Chciałam wiedzieć, czy powiedziała cokolwiek, by wytłumaczyć, co skłoniło pana Erdaia do zrobienia czegoś takiego.

Genevieve odczekała chwilę i odpowiedziała, że tak. Muriel spojrzała na Larry'ego. Arthur zauważył, że detektyw lekko machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „A niech tam”.

- No i dlaczego to zrobił? — zapytała Muriel.

Pani Carriere ponownie opuściła wzrok na swoje kolana i ciężko westchnęła.

— Z powodu tego, co powiedziałam Ernowi tydzień wcześniej.

— Pani powiedziała? Cofnijmy się do tego...

Genevieve uniosła rękę. Na jej nadgarstku zadzwoniła bransoletka z wisiorkami. Pomiedzy nimi były cztery złote figurki z całą pewnością symbolizujące jej dzieci.

- Po tej rewizji Luisa była wściekła na Erna. Ale była też zła na mnie. Ponieważ powiedziałam coś Ernowi, a ona myślała, że właśnie dlatego kazał ją zrewidować. To był powód, o którym mi powiedziała. W zasadzie robiła mi wyrzuty za to, że otworzyłam usta.

— A co takiego powiedziała pani panu Erdaiowi? Genevieve znowu milczała przez chwilę.

259

— Pracowałam wtedy w nocy. Zwykle była to zmiana Luisy. I przyszedł jakiś mężczyzna, który jej szukał.

— Mężczyzna? Czy podał pani swoje nazwisko?

— Nie. Nie podał mi swojego nazwiska.

— Czy może go pani opisać?

— W jakim sensie?

— Jak wyglądał? Jakiej był rasy?

— Był ciemny. Prawdopodobnie Murzyn, ale nie mogę tego stwierdzić na pewno. Może Latynos.

, - Wiek?

— Nie potrafię powiedzieć. Ani stary, ani młody.

— Jakiej budowy?

— Raczej szczupły.

— W porządku. Czy to właśnie powiedziała pani Ernowi Erdaiowi na tydzień przed tym, gdy Luisa Remardi została poddana rewizji: że przyszedł do niej mężczyzna?

— Tak.

— A czy rozmawiała pani z tym mężczyzną?

— Tak.

— I co on powiedział?

— Ten dżentelmen zapytał mnie, gdzie jest Luisa, a potem poprosił, abym jej powiedziała, że widział się z Faraonem.

— Z Faraonem? Takim jak w Egipcie?

— Tak to zabrzmiało.

Wyraźnie zdezorientowana Muriel ponownie przyjrzała się pani Carriere.

— Czy ten mężczyzna powiedział jeszcze coś poza tym, że widział się z tym Faraonem?

— Powiedział, że widział się z Faraonem i że Luisa nie może mu tego zrobić.

— A kim był ten Faraon?

— Nie wiedziałam.

Arthur zauważył, że Muriel przechyliła głowę. Coś zwęszyła.

— A czy teraz wie pani, kim był Faraon?

— Wiem tylko to, co powiedziała mi Luisa.

— Kiedy odbyła się ta rozmowa?

— Następnego dnia po wizycie tego mężczyzny.

— Proszę nam zrelacjonować, co jej pani powiedziała o tym Faraonie i jak ona na to zareagowała.

— Powiedziałam jej, że przyszedł ten mężczyzna i to, co mówił o tym, że widział Faraona, i że powtórzyłam wszystko

260

Ernowi. A ona się na mnie rozzłościła. I tak jedno pociągnęło za sobą drugie. Powiedziała mi, kim jest Faraon.

— I co pani powiedziała?

Pani Carriere popatrzyła na Muriel z tym samym skupieniem, z jakim Muriel patrzyła na nią. Potem Genevieve zakryła usta i zaczęła kręcić głową.

— Nie powiem - oznajmiła stanowczo, choć głos lekko jej się załamał. -Wiem tylko to, co ona powiedziała. Czego, jak twierdzą moi adwokaci, nie można wykorzystać w sądzie. I dlatego nie rozumiem, dlaczego muszę przez to wszystko przechodzić.

— Poza protokołem — odezwała się Marta. Skinęła na Muriel oraz Arthura i poprowadziła ich do swojego gabinetu, który znajdował się po drugiej stronie korytarza. Był umeblowany jak biblioteka dżentelmena z dawno minionej epoki —

fotele i głębokie sofy obite skórą, oraz długie rzędy jednolicie oprawionych książek z tytułami tłoczonymi na grzbiecie złotą czcionką. Arthur wyczuł dochodzącą z sąsiedniego pokoju woń cygar Sterna. Jeden ze stolików zajmowały rodzinne fotografie Marty i jej męża, który wyglądał na Latynosa, oraz ich dwojga dzieci. Stało tam również kilka fotografii jej rodziców z wcześniejszych lat. Marta, ubrana tego dnia w dwurzędowe spodnium, wyglądała jak sobowtór Sterna sprzed kilkudziesięciu lat.

— Mówiąc hipotetycznie — zaczęła Marta — wyobraźmy sobie, że pani Remardi sprzeniewierzała pewną własność TN. -Marta stąpała ostrożnie. „Sprzeniewierzenie” było wykwinnym synonimem „kradzieży”.

— Jakiego rodzaju „pewną własność”? - zapytała Muriel.

— Bilety lotnicze.

— Bilety lotnicze?

Larry, który przyszedł za nimi do gabinetu, połapał się pierwszy.

— Sprzedawała je przez tego Faraona, tak?

— Hipotetycznie. TN bezwzględnie tępi nieuczciwość swoich pracowników. Zero tolerancji. Sparzyli się około dziesięciu lat temu, próbując zamieść pod dywan coś, co dotyczyło którejś z ich szych. Jeden z prawników, który jakoby prowadził śledztwo w sprawie kradzieży, uciekł z czterema milionami dolców.

— Przypominam sobie - powiedziała Muriel.

— Teraz za coś takiego każdego czeka tam szubienica. Sprawa karna, jeśli to możliwe, i pozwy cywilne, by odzyskać to, co

261

zostało skradzione. Niezależnie od tego, kogo lub czego to dotyczy. A dzieci pani Remardi żyją z renty po matce.

— TN nie będzie się procesować z sierotami — stwierdziła Muriel.

- Zaryzykowałabyś, gdyby to były dzieci twojej najlepszej przyjaciółki? - Marta rozłożyła swe krótkie ręce, patrząc na Muriel. — Tak naprawdę nie musisz mieć postępów Luisy w aktach sprawy, zgadza się?

— Teraz powiedziałabym, że nie — odparła Muriel. —Ale nie chcę ścigać twojej klientki po górach i dolinach, żeby usłyszeć odpowiedzi na proste pytania.

Marta pokiwała kilka razy głową po czym zwróciła się do Arthura. Był zaskoczony i niepewny, co ma o tym myśleć. Przypomniwał Marcie, że jest to sprawa, w której zapadł wyrok śmierci. Obiecał, że tak długo, jak to będzie możliwe, nie będzie poruszał tego tematu, ale zarezerwował sobie prawo do ponownego przesłuchania, jeśli, po zastanowieniu, dojdzie do wniosku, że to pomoże Rommy'emu.

— Oczywiście — odparła Marta.

Ustaliwszy warunki, wrócili do sali konferencyjnej, po czym Marta poprosiła na zewnątrz swoją klientkę. Kiedy Genevieve ponownie usiadła obok protokolanta, powiedziała bezgłośnie „dziękuję” do obojga prawników. Wciąż jednak była wyraźnie zaniepokojona. Torebkę położyła na kolanach, a w dłoni ścisnęła chusteczkę do nosa.

Muriel nie wyglądała na ułagodzoną wdzięcznością Genevieve. Można było nawet odnieść wrażenie, że coraz bardziej się irytuje. Kilka razy poruszyła się gwałtownie na krześle, szukając najwygodniejszej pozycji. Arthur podejrzewał, że Muriel czuje, iż Marta wyrolowała ją podczas ich poprzednich rozmów.

— Ponownie do protokołu — zaczęła Muriel. - Mężczyzna, którego nazwiska pani nie zna, szukał Luisy Remardi któregoś dnia w maju 1991 roku... czy to właściwe ramy czasowe?

- Tak.

- I ten mężczyzna powiedział coś o jakimś Faraonie. Powtórzyła pani potem Ernowi Erdaiowi, co ten człowiek powiedział, i Luisa Remardi była na panią z tego powodu zła, po czym wyjaśniła pani, kim jest Faraon i na czym polega ich związek. Czy tak to w ogólnym zarysie wyglądało?

- Tak jest.

262

— Czy zdradziła pani nazwisko tego Faraona?

— Nie.

— Czy powiedziała, że to jest jego przezwisko?

— Nie.

— A czy wspomniała, gdzie ten Faraon mieszka lub pracuje?

— Nie wiem o nim nic innego. Gdy tylko Luisa powiedziała mi, co razem z nim

robią, nie chciałam słyszeć ani słowa więcej. Szczerze mówiąc, ciekawiło mnie tylko, jak im to uchodzi na sucho. Nigdy nie słyszałam, żeby coś takiego udawało się na dłuższą metę. Zdecydowałam jednak, że nawet tego nie chcę wiedzieć.

— A ten człowiek, który przyszedł... czy Luisa Remardi wyjaśniła, co łączyło go z Faraonem i nią?

— On ich poznał ze sobą.

— Rozumiem. A czy brał jakikolwiek udział w przedsięwzięciu, w które zaangażowali się Luisa Remardi i Faraon?

— Luisa powiedziała, że chciał działkę, ale jej nie dostał.

— Aha — mruknęła Muriel. Tego domyśliła się już sama. Arthur jeszcze raz powtórzył sobie to wszystko w myślach.

Ten trzeci mężczyzna był ważnym ogniwem. Skontaktował Luisę z Faraonem, paserem, i domagał się swojej części zysków, której nie dostał.

— Chcę mieć pewność, że dobrze to wszystko zrozumiałam. Aż do chwili, kiedy dzień po pojawieniu się tego drugiego mężczyzny Luisa Remardi wyjaśniła to pani, nie miała pani pojęcia, kim jest Faraon ani co łączy tych dwoje. Zgadza się czy nie?

— Całkowicie się zgadza.

— Jeśli nie znała pani charakteru związku pani Remardi i Faraona, to dlaczego powtórzyła pani Ernowi Erdaiewi, co powiedział ten mężczyzna?

— Ponieważ Erno był szefem ochrony. - Marta siedząca obok swojej klientki wykonała subtelny ruch, po którym Genevieve uniosła podbródek i spojrzała Muriel prosto w oczy. - Ponieważ ten mężczyzna groził Luisie.

— Czy były to konkretne groźby? Zapowiedź konkretnych działań?

— Tak.

— A czym jej groził?

Genevieve spojrzała na swoje dłonie, przykrywające teraz leżącą na kolanach torebkę.

— Powiedział, że ją zabije.

263

Obraz widziany przez Arthura przeskoczył, jakby w oglądanym przez niego filmie

zabrakło kilku klatek. Muriel, która nigdy nie dawała się kompletnie zaskoczyć, siedziała przez chwilę z szeroko otwartymi ustami.

— Erno Erdai to powiedział?

— Powiedział to mężczyzna, który przyszedł tamtej nocy.

Coraz bardziej wzburzona Muriel zmieniła pozycję na krześle, poruszyła ramionami i wyprostowała szyję. Następnie spojrzała z góry na Genevieve i powiedziała do niej oschłym tonem:

— Zadam teraz pani pytanie, pani Carriere, i oczekuję, że odpowie pani na nie, pamiętając, iż przysięga, którą pani złożyła, nakłada na panią obowiązek mówienia całej prawdy. Czy pani rozumie?

— Tak.

— Co powiedział do pani ten mężczyzna? Proszę mi powtórzyć wszystko.

— Zapytał o Luisę, a ja odpowiedziałam, że jej nie ma. Był bardzo zdenerwowany. Powiedział coś w rodzaju: „Przekaż jej, że właśnie widziałem się z Faraonem i ona nie może mi tego zrobić, i że kiedy ją znajdę, zabiję ją”. Naturalnie zaniepokoiło mnie to. Schodząc ze swojej zmiany, zobaczyłam Erna i pomyślałam, że jako szef ochrony powinien o tym wiedzieć. Powiedziałam mu zatem.

Maszyna protokolanta przestała stukać i zapadła głęboka cisza. Do Arthura w końcu dotarło, jak ogromne znaczenie ma to, co właśnie usłyszał. Luisa prowadziła brudne interesy z kimś o przezwisku Faraon i z jeszcze jednym mężczyzną. I ten drugi powiedział, że ją zabije. Z tą sprawą wiązał się zatem nie znany dotąd krąg przestępstwa i zapewne zмовy nie mający nic wspólnego z Rommym i niewiele wspólnego z Ernem. A to była dobra wiadomość dla Romea Gandolpha. Im więcej podejrzanych, tym mniej pewności koniecznej, żeby posłać biednego Rommy'ego na śmierć.

Muriel najwyraźniej także to pojęła. Jej drobna twarz była wykrzywiona i zacięta. Muriel potrafiła być wredna.

— Ten człowiek powiedział, że zabije Luisę Remardi, mniej więcej dwa miesiące przed jej śmiercią, tak?

— Tak.

— Po zamordowaniu pani Remardi detektyw Starczek, który siedzi tu obok, przyszedł do pani i wypytywał ją o tę sprawę. Dwukrotnie, jeśli już o tym mowa. Czy

pani to pamięta?

264

— Tak.

— I nigdy nie powiedziała mu pani, że jakiś mężczyzna przyszedł na lotnisko i groził Luisie Remardi, że ją zamorduje?

— Nie zapytał o to. A ja nie myślałam, że to może mieć coś wspólnego z jej śmiercią. Kiedy powiedziałam o tym Luisie, roześmiała się. Była pewna, że to tylko gadanie.

— Oczywiście, że nie — ciągnęła Muriel. — Dlaczego miałyby pani myśleć, że to może mieć coś wspólnego z zamordowaniem Luisy? Ktoś mówi, że ją zabije, i ona zostaje zabita. Jakież tu może być związok?

— Sprzeciwiam się temu - odezwała się Marta.

— Pani się sprzeciwia? — zapytała Muriel. Wyciągnęła rękę w stronę Larry'ego. — Wyjrzyj na korytarz - powiedziała. -Może jest tam jeszcze ze sześć czy siedem osób, które chcą się przyznać do zabicia tych trojga.

— A już na pewno sprzeciwiam się temu — dodała Marta.

— Muszę prosić o odroczenie tego przesłuchania — powiedziała Muriel. — Jestem zbyt rozzłoszczona, żeby je kontynuować. — Jej głowa podskakiwała jak pomponik na czapce lalki.

Marta, zawsze porywcza, wybuchnęła gniewem. Ustaliła z Muriel, że przesłuchanie potrwa dwie godziny i Genevieve będzie wolna. Obie prawniczki spierały się, a Arthur się temu przyglądał. Marta stwierdziła, że jeżeli chodzi o nią, zeznanie zostało już złożone.

— Jeszcze czego — odparła Muriel. Genevieve, stwierdziła, jest zbyt ważnym świadkiem, żeby wysłuchać jawn trybie przyspieszonym. Teraz, gdy Muriel to wiedziała, potrzebowała czasu na przeprowadzenie dodatkowego śledztwa przed dalszą częścią przesłuchania.

Arthur próbował to wszystko przemyśleć. Okres wyznaczony przez sąd apelacyjny na przedstawienie nowych dowodów w sprawie kończył się następnego dnia. Muriel najwyraźniej miała nadzieję, że uda jej się złożyć dobrze uzasadniony wniosek o przedłużenie tego terminu. A on bardzo nie chciał, żeby jej się to udało. Jeśli minie czas na zbieranie dowodów, ta nowa informacja będzie gwarancją, że sąd apelacyjny

zezwoi na rozpatrzenie skargi habeas Rommy'ego. Co więcej, Kenton Har-low, wreszcie upoważniony do rozstrzygnięcia tej kwestii, może, na podstawie zeznań Erna i Genevieve, szybko wyrazić zgodę na rozpoczęcie nowego procesu Rommy'ego. Myśląc o tym wszystkim, Arthur próbował zagrać rolę mediatora w sporze

265

obu prawniczek, licząc, że doprowadzi do tego, iż Muriel uzna, że przesłuchanie zostało zakończone.

— Co musisz jeszcze zbadać? — zapytał Muriel.

— Cóż, po pierwsze chciałabym uzyskać jakąś wskazówkę dotyczącą tego tajemniczego mężczyzny, który groził śmiercią Luisie.

— Co pani Carriere może jeszcze dodać na ten temat? Zgodziła się już na to, żebyś ją przesłuchała, i powiedziała, że nie zna nazwiska tego człowieka.

Protokolant przerwał im, pytając, czy ma to zapisać. Arthur odpowiedział, że tak, Muriel — że nie.

— Och, zapytajmy więc o to, głośno i wyraźnie — rzekł Arthur. — Do protokołu: Pani Carriere, może nam pani dziś powiedzieć coś, co pozwoli zidentyfikować mężczyznę, który groził, że zabije panią Remardi?

Myślał, że zadał to pytanie tak uprzejmie, jak to tylko możliwe, ale Genevieve wbiła w niego gorzkie spojrzenie.

— Wolałabym poprzestać na tym, co już powiedziałam — odrzekła. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to przygnębia. Ib wszystko było takie pokrecone. — Ani na chwilę nie odłożyła chusteczki do nosa i spojrzała teraz na nią, by się upewnić, że jest gotowa do użycia.

— Może mogłaby pani odpowiedzieć na moje pytanie tak lub nie? — odezwał się Arthur. — Wtedy skończymy.

W jej oczach rozbłysła uraza granicząca wręcz z nienawiścią. Wydawało się to zupełnie nie w jej stylu, ale tym spojrzeniem trafiła w jego słaby punkt i Arthur powiedział:

— W porządku. Zgadzam się na odroczenie.

— Myślę, że powinna odpowiedzieć na to pytanie teraz-dobiegł jakby znikąd głos Larry'ego.

Wszyscy spojrzeli na policjanta. Protokolant zawiesił dłonie nad długimi klawiszami maszyny do stenografowania, nie wiedząc, czy powinien zapisać słowa kogoś, kto nie jest prawnikiem. Muriel rzuciła Larry'emu spojrzenie wyrażające taki gniew, że Arthur zdziwił się, dlaczego po prostu nie złoila detektywi skóry.

— Zmusz ją do odpowiedzi — odezwał się Larry do Muriel i Arthur zauważył, że w tej chwili coś zaszło między nimi, jakaś próba wiary. Muriel ustąpiła.

— W porządku — powiedziała. - Proszę odpowiedzieć.

— Myślę, że to wszystko jest bezcelowe - odparła Genevie-

266

ve. - Nic z tego nie pomoże tym biednym dziewczętom. A po tym, co teraz powiedział Erno, nikt już nie będzie niczego pewien.

— Wnoszę o wykreślenie jako odpowiedź nie na temat — rzuciła Muriel. — Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy wie pani coś, co może pomóc w identyfikacji człowieka, który powiedział, że zabije Luisę Remardi?

— To było moje pytanie — wtrącił Arthur. — Wycofujęje. — Nie miał pojęcia, co robi, ale instynkt mu podpowiadał, że powinien ze wszystkich sił starać się odciągnąć Muriel od tego tematu.

— Postawię je ponownie - odparła Muriel.

— To nie twoja kolej — rzekł Arthur. — A poza tym właśnie zgodziliśmy się na odroczenie przesłuchania.

— Zakończmy je - powiedziała Muriel. W czasie tej krótkiej wymiany zdań ani na chwilę nie oderwała wzroku od oczu Genevieve, która jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nią przez łzy.

— Nie zapytała pani, czy go znałam — odparła. — Zapytała pani, czy podał mi swoje nazwisko. A on tego nie zrobił. Ale ja go już przedtem widziałam. W okolicy lotniska. I teraz wiem, jak się nazywa. — Zwróciła się do Arthura, który widząc śmieszny wyraz twarzy malującą się w jej brązowych oczach, nagle pojął, co znaczyły jej ostrzegawcze spojrzenia i że okazał się bezdennie głupi. — To był pański klient - powiedziała. — Pan Gandolph. To on powiedział, że zabije Luisę.

o

c3

O

25

28 czerwca 2001

On to zrobił

Arthur bardzo się starał opuścić przesadnie zbyt kowne kancelarie Sternów sam, ale kiedy czekał na windę, dołączyli do niego Muriel i Larry i przez chwilę wszyscy troje stali w milczeniu przed bogato zdobionymi drzwiami z brązu. W końcu Muriel powiedziała coś o wystąpieniu z wnioskiem do sądu apelacyjnego o oddalenie skargi, ale Arthur nie miał sił, by odpowiedzieć ani nawet słuchać. Kiedy pojawiła się winda, puścił ich przed sobą i poczekał na następną.

Kilka minut później stanął w wejściu do Morgan Towers. Wiszący nad głowami wachlarz ze szkła i stali zapewniał ochronę przed letnią ulewą, która niespodziewanie spadła na miasto. Arthur wyszedł na deszcz i dotarł do następnej przecznicy, zanim zauważył, że moknie. Schował się w wejściu do innego wieżowca, gdzie na chwilę jeszcze raz pogрузił się w chaotycznych rozmyślaniach, po czym ruszył znowu w drogę, nie zwracając uwagi na burzę. Musiał wrócić do biura. Musiał powiedzieć Pameli. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że jest głodny, znużony i chce mu się sikać. Kiedy tak coraz bardziej przemoczony szedł ulicami, jedyną myślą, jaką potrafił utrzymać w głowie, było wspomnienie ostatniej odpowiedzi pani Carriere. Pański klient, pan Gandolph. Przeżuwał jej słowa, aż zmieniały się w obrzydliwą, niestrawną papkę, i dochodził do wniosku, że musi zaakceptować fakty, a poza tym znaleźć jakieś suche schronienie. Potem, po kilku minutach, pchany desperacją znowu rzucał się do przodu, jakby sądził, że jeśli znajdzie się w innym miejscu, jej zeznanie będzie znaczyło coś innego.

271

Do tej pory myślał o Rommym wyłącznie jako o niewinnym nieszczęśniku, a co ważniejsze, uważał się za walecznego orędownika słusznej sprawy. Ale jeśli Rommy był winny, świat Arthura znów stanie się posępny i przygnębiający. Życie znów będzie tylko ciężką pracą i obowiązkiem.

W pewnej chwili stwierdził, że stoi przed wejściem do domu towarowego Mortona. Zdesperowany wszedł do środka z zamiarem poszukania męskiej toalety, ale gdy tylko znalazł się za drzwiami, zaraz pomyślał o Gillian, gdyż wydało mu się, że kątem oka dostrzegł jej włosy w kolorze lisiej kity. Podeszedł do stoiska z kosmetykami, stwierdził jednak, że nigdzie jej nie widać. Był już pewny, że padł ofiarą złudzenia, kiedy nagle stanęła przed nim. Okazało się, że chowała jakiś towar

w szufladach pod ladą.

— Arthur. - Cofnęła się, położywszy smukłą dłoń na kołnierzyku bluzki.

— On to zrobił — powiedział Arthur. — Pomyślałem, że powinnaś się o tym teraz dowiedzieć. Muriel pozwoli, żeby to przeciekła do wszystkich. Wkrótce o tym usłyszysz. Ale on to zrobił.

— Kto zrobił?

— Mój klient. Rommy jest winny.

Gillian obeszła ladę i ujęła Arthura za łokieć, jakby był zabłąkanym dzieckiem.

— Co miałaś na myśli, mówiąc: „jest winny”? Arthur streścił jej zeznania Genevieve.

— Nie potrafię się jeszcze połapać w tym wszystkim — dodał. — Czuję się tak, jakby mój mózg był w mikrofalówce lub czymś takim. Gdzie jest toaleta?

Gillian zawołała do koleżanki, że robi sobie przerwę, wzięła od niego teczkę i wskazała mu drogę. Powiedziała jeszcze, że na samym dole przy ruchomych schodach jest bar kawowy, w którym na niego zaczeka.

Kilka minut później Arthur stanął przed lustrem nad umywalką, mając nadzieję, że się uspokoi. Jego włosy, które w sporej części już zniknęły mu z głowy, w intensywnym blasku świetlówki wyglądały jak rozlany atrament. Popielaty garnitur tak przemókł mu na ramionach, że był aż czarny. Nic dziwnego, że Gillian podskoczyła na jego widok. Wyglądał jak bezdomny, który wytoczył się z rynsztoka.

Kiedy wyszedł z toalety, zadzwonił do Pameli. Krótco upewnił ją, że wieści są pod każdym względem tak złe, jak brzmiały

272

po czym zjechał ruchomymi schodami do małego baru kawowego, który niedawno otwarto w piwnicy Mortona. Miała to być jeszcze jedna przynęta mająca zatrzymać klientów w sklepie i rzeczywiście, było spore branie, przynajmniej tego dnia.

Chociaż pora lunchu dawno już minęła, większość białych stolików była zajęta. Obsiadły je panie przeczekujące ulewę z torbami zakupów przy kolanach.

Gillian siedziała tyłem do niego, dopalała właśnie papierosa. Na jej widok otrząsnął się nieco z szoku po zeznaniach pani Carriere. Mimo że robiło mu się coraz zimniej i wciąż miał mętlik w głowie, Gillian budziła w nim radosne podniecenie. Nie mógł jednak udawać, że nie udało jej się częściowo dokonać tego, co zamierzała osiągnąć

swymi rewelacjami, kiedy się widzieli ostatnio. Prześladował go obraz opętanej nastolatki. Widział ją w wyobraźni: bardzo blada i chuda, przypalała papierosem wrażliwą skórę na wewnętrznej stronie ręki, zachowując cały czas kamienny wyraz twarzy, mimo bólu i swądu jej palącego się ciała.

Obraz ten znów stanął mu przed oczami i Arthur się zatrzymał. Uważał się dotąd za niepoprawnego marzyciela. Ale na tę ciągle dojrzewającą istotę nałożył się mężczyzna, którym stał się w wieku trzydziestu kilku lat, ktoś, kto zaczął się uczyć na własnych błędach, zamiast powtarzać je w nieskończoność, ktoś, kto potrafił trzymać na wodzy swoje pragnienia, a nawet zostawiać je za sobą. W ciągu ostatniego półtora tygodnia, gdy odrywał się na chwilę od pracy, żeby popatrzeć na rzekę, często myślał o Gillian. To prawda, serce biło mu szybciej, gdy rozpamiętywał rozmowy z nią tak długo, aż ich wspomnienie mieszało mu się w pamięci z dowcipnymi stwierdzeniami, które poniewczasie podsuwała mu fantazja. Ale potem, gdy sobie uświadamiał, jak wielkie ryzyko musiałby podjąć, puls mu się uspokajał. Dobrze znosił tęsknotę, lecz nie wiedział, czy sobie poradzi z zawodem miłosnym.

Rozwód był dla niego druzgoczącym ciosem. Ale ożenił się z Marią głównie dlatego, że go chciała. Była bardzo piękna. I z pewnością inteligentna. A Arthur był beznadziejnie napalony. Ale w ciągu tych mniej więcej czterdziestu dni, które spędzili razem, ani razu nie poczuł, że choć trochę ją rozumie. Nie potrafił jej przekonać ani do amerykańskiej kuchni, ani do tego, żeby zamykała drzwi do ubikacji. Nikt go wcześniej nie ostrzegł, jak trudno się zbliżyć do kogoś, kto dorastał bez telewizji i miał

273

mętne pojęcie o Richardzie Nixonie, nie mówiąc już o Farrah Fawcett czy kostce Rubika. Każda spędzona z nią chwila była zaskoczeniem - zwłaszcza ta ostatnia, kiedy powiedziała, że opuszcza go dla rodaka, ni mniej, ni więcej tylko płytkarza.

Jak mogła go ot tak porzucić, zapytał, i ich wspólne życie?

- To? - odpowiedziała. - To jest nic.

To było bardzo ciężkie doświadczenie. Ale Gillian, za którą uganiał się z taką egzaltacją, nieważne, jak niemądrze, mogłaby stać się przyczyną nieszczęścia o wiele większego od tego, które ściągnęła na niego Mariya. Na tym świecie nie miał prawie nic oprócz swojego kruchego ja. Ktoś tak uzależniony od nałogów i skompromitowany jak Gillian, tak opętany, że mógł oddać się pijaństwu, działalności przestępczej, kazirodczej miłości i Bóg jeden wie czemu jeszcze — ktoś taki był równie nieprzewidywalny jak Susan. Powiedział Gillian, że się jej nie boi. To było

buńczuczne — i lekkomyślne. Uświadomił sobie później, że nie była to cała prawda. Późnym popołudniem, kiedy wstawał od biurka i uciekał wzrokiem w pomarańczowe światła nad rzeką, myśląc o Gillian, uświadamiał sobie, że miłość może się okazać katastrofą.

Stojąc nieruchomo w podziemiach sklepu, przemyślał sobie to wszystko raz jeszcze i ruszył ku Gillian. Mógł być tylko sobą, co oznaczało pogoń za szansą, nieważne jak nikłą, na bycie z kimś, o kim marzył, na przeskoczenie niepokonanego dystansu między fantazją a rzeczywistością. Wierzył, że każdy ma do tego prawo, tak jak ma prawo do jedzenia, dachu nad głową i opieki zdrowotnej.

Czekając na Arthura, Gillian wypaliła kilka papierosów. Ostatnio zeszła do mniej niż paczki dziennie, ale teraz było już właściwie pewne, że z każdego spotkania z Arthurem wyjdzie poruszona, jeśli nie wstrząśnięta. Te zakłócenia normalnego rytmu jej życia często wydawały się interesujące, ale wciąż musiała się wzmacniać nikotyną. Rzuciła palenie na studiach, ale zaczęła ponownie w Hazelden, gdzie została hospitalizowana na czas odwyku. Na spotkaniach anonimowych narkomanów prawie każdy miał papierosa w palcach. Wiedziała, że zamieniła jedno uzależnienie na drugie, prawie tak niebezpieczne jak stare i dające mniej frajdy, ale takie jest życie kogoś, kto martwi się głównie o to, żeby przetrwać do jutra.

Odwróciła się i dostrzegła Arthura. Szedł ku niej zatopiony

274

w myślach. Miała mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i nawet nie poczekała z tym, aż usiądzie.

— Nie powinieneś się poddawać, Arthurze.

Otworzył usta ze zdumienia i bardzo ostrożnie usiadł na krześle.

— Nie mam prawa dawać ci rad - powiedziała. —Ale pozwól, że to zrobię. Wykonałeś zbyt dużo dobrej roboty, żeby opuszczać ręce. Jeśli znalazł się jeden nie wykryty do tej pory świadek, mogą być jeszcze inni.

Martwiła się o niego. Po tym, jak odwiedziła go w domu i poznała Susan, wysłuchiwała, jak z uwielbieniem opowiada o ojcu, zapragnęła, żeby przyszedł mu w sukurs jakiś cud, ponieważ całkiem po prostu na to zasługiwał. Przegranie sprawy Gan-dolpha byłoby dla niego niezasłużonym ciosem.

Jednakże z wielkim zdziwieniem stwierdziła, że wieści, które przyniósł Arthur, rozczarowały ją nie tylko ze względu na niego. Każdy, kto spędził życie w sądach kryminalnych, wiedział, że oskarżeni na ogół zasługują na karę. Kiedy jednak tak

siedziała, paląc bez przerwy i zapełniając popiołem małą popielniczkę z cienkiej aluminiowej blaszki, stopniowo — i spokojnie — uświadamiała sobie, że bardzo chce, aby Rommy Gan-dolph został uwolniony. Chciała, żeby jej werdykt w jego sprawie, jak wiele jej innych osądów z tego okresu, został uznany za błąd. I cofnięty. Gdyż w końcu zrozumiała, że utożsamiała nowe życie Rommy'ego Gandolpha z własnym. I liczyła na to, że Arthur, to ucieleśnienie szczerości, jej błędny rycerz, doprowadzi wszystko do szczęśliwego końca. Ponieważ taki był. Godny zaufania. I prawy. Chyba jednak najbardziej ją zaskoczyło, że nie jest gotowa tak tego zostawić. Nie czuła potrzeby wyjaśnienia, co nią powoduje, ale była zdecydowana przywrócić Arthura do życia

— Problem polega na tym — powiedział — że uwierzyłem Ge-nevieve. Ona naprawdę nie chciała tego powiedzieć.

— Uwierzyłeś też Ernowi. Czy teraz myślisz, że kłamał? — Najwyraźniej jeszcze się nad tym nie zastanawiał. - Potrzebujesz czasu, Arthurze. Żeby porozmawiać ze swoim klientem. I z Ernem.

— Słusznie.

— Nie poddawaj się. - Pochyliła się nad stolikiem i ścisnęła dłonie Arthura. Posłała mu uśmiech, odrobinę dziecinny, ale ta próba dodania mu otuchy jakby się od niego odbiła. Pokiwał

275

li

głową i objął się rękoma. Powiedział, że jest przemarznięty i musi jechać do domu, żeby się przebrać. Dłonie miał zimne jak marmur.

— Wybacz mi, Arthurze, ale zastanawiam się, czy zdołasz się skupić na prowadzeniu. Zachowuję się jak nadopiekuńcza babcia?

- Raczej nie. Mam wziąć taksówkę?

- Będiesz miał szczęście, jeśli uda ci się coś złapać w tym deszczu. Gdzie zostawiłeś samochód? Mogłabym cię zawieźć. Zaraz mam przerwę na lunch.

Arthur sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Ze sklepowego telefonu zadzwoniła do Ralpa, swojego szefa, który powiedział, że może wyjść na dłużej. Z powodu burzy nie spodziewał się zbyt wielkiego ruchu.

— Chodźmy, Arthurze — powiedziała. — Kiedy zaczniesz się bać, co zrobię z

twoim pięknym samochodem, zapomnisz o problemach.

Miejsce parkingowe Arthura, które opłacał raz na miesiąc, znajdowało się pół kwartału dalej. Dotarli tam, podziemnym przejściem łączącym budynki. Parking był pod jednym z nowszych drapaczy chmur, a wyjeżdżało się z niego na Lower River, aleję biegnącą pod River Drive. Nie znający miasta nie mogli się zwykle połapać, jak jechać tą drogą, a Gillian, której nie było tu prawie dziesięć lat, radziła sobie niewiele lepiej. Lower Drive zaprojektowano, żeby pozbyć się ciężarówek z ulic Center City, umożliwiając im dostęp do stref rozładunku towarów pod wielkimi budynkami. Pod tym względem pomysł się sprawdził, ale droga była kręta, a otoczenie surrealistyczne. Siarkowożółte lampy świeciły przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a z upływem lat bezdomni zrobili tu sobie główną noclegownię. Między betonowymi filarami podtrzymującymi River Drive widać było ich legowiska — stare kartony i brudne materace z wystającymi sprężynami. Przez szczeliny biegnącej powyżej estakady spływały struzki deszczu, a między słupami na poboczu kręcili się ponurzy mężczyźni w łachmanach wyglądający jak postaci z Nędzników, jeśli nie Wrót piekieł Ro-dina.

Arthur wciąż myślał o dzisiejszej katastrofie.

— Czujesz się zrehabilitowana? — zapytał.

- Nie, Arthurze - odparła nieco za gwałtownie. — Pod żadnym względem.

276

— Naprawdę? Myślałem, że po tym laniu, które ci spuścili dziennikarze, będziesz rozgoryczona.

— W takim razie okazałeś wiele odwagi, przychodząc mi to powiedzieć. Szczerze mówiąc, myślałam, że raczej się już nie zobaczymy.

Gillian prowadziła ze starczym niezdecydowaniem: zbyt często szarpała kierownicą i hamowała, wpatrując się w lśniącą jezdnię z takim napięciem, jakby to było pole minowe. Kiedy jednak wyjechali z tych ponurych podziemi na światło dnia, odważyła się zerknąć na niego. Arthur był w takim stanie ducha, że trwało dobrą chwilę, nim zrozumiał, że nawiązała do tego, co powiedziała mu o sobie i bracie podczas ostatniej rozmowy.-

— Było raczej odwrotnie — odparł. — Zdawało mi się, że to ja mogłem cię obrazić tym, co powiedziałem na koniec.

— Och, jestem pewna, że miałeś rację w tej sprawie, Arthurze. Próbowałam chyba skorygować opinię, jakąo mnie miałeś. Była zbyt dobra.

— Ustawiasz sprawy tak, że nikt nie ma z tobą szans. Wiesz o tym, prawda?

Uświadomiła sobie nagle, jak mocno ściska kierownicę.

— Już to kiedyś słyszałam - powiedziała mu. - Co nie znaczy, że moje ostrzeżenia nie mogą odnieść dobrego skutku. To raczej je uzasadnia.

— Jasne — odparł. — Słyszałem już wszystkie twoje zastrzeżenia. Ale nigdy nie myślałem, że nie masz wad, Gillian. Tylko że jesteś pociągająca.

— Pociągająca? To znaczy?

Czuła na sobie jego wzrok. Już dojeżdżali i ostatnie wskazówki na temat drogi Arthur wydawał oschłym tonem. Najwyraźniej był poirytowany, bo postawiła go w niezręcznej sytuacji. Ale odpowiedział.

— Uważam, że jesteś bardzo inteligentna i bardzo piękna, czyli to samo, co zawsze myśleli o tobie wszyscy, Gillian. Wiesz, jak reagują na ciebie mężczyźni, nie udawaj, że jest inaczej.

— Masz na myśli, że jestem pociągająca seksualnie - odezwała się. Dzięki temu, że siedziała za kierownicą, jakoś łatwiej było jej się zdobyć na otwartość. A może zadziałał niezawodny instynkt każący jej trzymać wszystkich na dystans. Uważała jednak, że ma rację.

277

— Mówisz tak, jakby ci się to nie podobało. Ale taka jest rzeczywistość, prawda?

Wskazał stary dwupiętrowy budynek z cegły i Gillian z ulgą zatrzymała samochód. Spojrzała Arthurowi w oczy.

— Ale to jest sedno tego wszystkiego, zgadza się? Seks? Skrzywił się boleśnie. Dostrzegła to. Żałował, że doszło do

tej rozmowy. I każdego zdania, które wypowiedział, wystawiając się na jej ostrą ripostę.

— Czy stałoby się coś złego, gdybym odpowiedział, że tak? Chcesz to sprowadzić do kwestii podstawowych? Jasne, chciałbym się z tobą kochać. Kiedyś. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Ja jestem mężczyzną. To instynkt. Chcę powiedzieć... nie myślę, że to się zdarzy dziś albo jutro, albo w jakimś innym czasie w bliskiej przyszłości. Chciałbym cię poznać. Chciałbym, żebyś ty mnie poznała. Bardzo bym chciał, żebyś mnie poznała i tak polubiła, że sama byś tego chciała. Możesz się z tego teraz pośmiać, Gillian. — Otworzył drzwiczki, ale wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

— Nie śmieję się, Arthurze. Mam rację.

— W jakiej sprawie?

— Jak nazwałeś to, co kiedyś do mnie czułeś? Zadurzenie? Próbujesz uchwycić swoje wyobrażenia sprzed wielu epok. Nie widzisz, jaka jestem, Arthurze.

— Może widzę cię wyraźniej niż ty sama.

— O wielu sprawach nie wiesz, Arthurze. — Popatrzyła w głąb ulicy, nad którą wisały grube konary wielkich starych wiaźów. Bujne listowie tych krzepkich drzew, które przetrwały niejedną zawieruchę, zatrzymywało deszcz, tak że pod nimi ledwie kropiło. Gillian miała na końcu języka słowo „heroina”, ale doszła do wniosku, że Arthur uzna tę historię, podobnie jak jej rewelacje o Carlu, za jeszcze jeden strzał ostrzegawczy mający go trzymać na dystans. - O bardzo wielu sprawach - dodała. — I to mnie przeraża.

— Ponieważ?

— Ponieważ to nieuniknione, że będziesz rozczarowany. Ja będę się czuła podle, a ty będziesz bardziej zawiedziony, niż możesz sobie wyobrazić.

— Cóż, w takim razie to będzie mój problem — odparł. Otworzył szerzej drzwi. — Posłuchaj, mam dosyć tej rozmowy. Mam dosyć mówienia ci, czego chcę. Masz prawo powiedzieć nie. Słyszałem to przedtem i nie skoczyłem jeszcze z żadnego mostu.

278

Awiecz powiedz nie, raz na zawsze, i skończmy z tym. Ale przestań się ze mną drażnić.

— Nie chcę powiedzieć nie — odpowiedziała. Słyszając własne słowa, miała wrażenie, że stanęło jej serce. Arthur wyglądał tak, jakby mu odebrało mowę. Oszołomiona i nagle wystraszona Gillian patrzyła przez mokrą przednią szybę. W końcu, nie mając nic innego do powiedzenia, zapytała go, czy samochód dobrze się spisuje.

— Wspaniale - odparł. — Chodź ze mną na górę. Dam ci jakiś magazyn do poczytania i coś zimnego do picia, a sam się przebiorę.

Tak jak to pewnie robił jego ojciec, Arthur spuszczał latem rolety na oknach od południa, i w ciemnym mieszkaniu unosił się stary zapach nie wietrzonych i nie sprzątaných pomieszczeń oraz kuchennych woni, którymi przesiąkły tapety i gipsowe

ściany. Podobnie jak ona, Arthur był wytrącony z równowagi i krążył nerwowo po mieszkaniu, włączając kolejno okienne klimatyzatory. Zapytał, co chciałaby wypić, po czym natychmiast wyjaśnił:

— Miałem na myśli coś bezalkoholowego. Nie wiem tylko, co jest w lodówce. — Ruszył do kuchni, ale ona powiedziała, że nic nie chce. — Dobrze — odparł. — Zaraz wracam. — Chciał jeszcze coś dodać, ale rozmyślił się i bez słowa wszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Przez kilka minut stała w saloniku. Z sypialni dochodziły trzaski zamykanych szuflad, z których Arthur wyciągał pospiesznie ubrania. W końcu podeszła do okna i podniosła roletę. Na niebie pojawiła się nagle zapowiedź słońca. Arthur Raven, pomyślała. Kto by przypuszczał? Ale ta myśl nie stłumiła dreszczu przyjemności, który ją przebiegł. To dlatego warto było wstawać każdego dnia. Ponieważ życie wciąż mogło sprawiać niespodzianki. Podeszła do ciemnych drzwi do sypialni i mocno zapukała.

— Czy mogę wejść, Arthurze? — zapytała.

Uchylił drzwi i wyrztał przez szparę. Poprosił, żeby powtórzyła, co powiedziała, a kiedy to zrobiła, zapytał:

— Dlaczego?

Popatrzyła na niego bez słowa.

— Och, proszę - powiedział. - Żebyś mi mogła udowodnić, że to nie jest warte tego całego dramatyzowania?

Mógł mieć pod tym względem rację. Miała wrażenie, że po-

279

dejmuje jedno z tych nieprzemyślanych działań, które w przeszłości przysporzyły jej tylu kłopotów. Była jednak pewna, że i, ten związek nie przetrwa w świetle dnia. Mógł się rozwijać je- a dynie w garsonierze z opuszczonymi roletami.

— Arthurze, nie graj trudnego do zdobycia. Wątpię, czy znaj-t | dę odwagę, żeby zrobić to jeszcze raz. — Przeszła powoli przez próg i pocałowała go. Nawet jak na pierwszą próbę był to pocałunek zbyt chłodny, prawie oschły i nijaki. Ale spełnił swój zadanie. Kiedy Arthur cofnął się od drzwi, zobaczyła, że ma na sobie tylko mokre skarpetki.

— Jak to powinno przebiegać, Arthurze? Popatrzył na nią dosyć smętnie.

— Powoli — odparł.

Teraz to on ją pocałował, niewiele lepiej niż ona za pierw ' szym razem, po czym wziął ją za rękę i poprowadził do łóżka Opuścił całkowicie rolety, zaciemniając pokój. Po chwili, ni mając odwagi na nią spojrzeć, powiedział:

— Zdejmij ubranie. A potem usiądźmy obok siebie. Po prostu sobie posiedzmy.

Rozebrała się odwrócona do niego plecami. Poskładała swoje ubranie, położyła je na krześle, po czym usiadła na łóżku i w chwilę później poczuła, że ugina się ono pod jego ciężarem. Siedział tak blisko niej, że muskał ją udem. Spojrzała w dół, niemal wbrew swej woli, i zobaczyła, że członek już mu wystaje spomiędzy nóg. Znała zarówno czułość i delikatność Arthura, jak i jego żądzę. Nie miała pojęcia, co weźmie górę. Gdyby miała zgadywać, powiedziałyby, że spodziewa się, iż ją poturbuje. Ale już się zdecydowała. Był to skok w ciemność.

Na początku nic się nie wydarzyło. Wciąż było popołudnie i światło dnia zdawało się łagodnie dochodzące z zewnątrz odgłosy. W gałęziach drzew brzęczały owady, które ożywiły się, gdy ustał deszcz, a na odległej o kilka przecznic ulicy zachrapał autobus.

Po kilku minutach poczuła na udzie czubki jego palców. Dotykał ją powoli, niepewnie. Dotknął jej kolana. Dotknął lekko jej pleców i ramion. Dotknął jej karku. Tak jak obiecał, wolno, bez pośpiechu. Kiedy dotarł do jej piersi, stanęły jej sutki. Pocałował ją wtedy— jej ramiona, jej piersi. Przez chwilę całował jej usta, po czym zsunął się niżej. Rozchylił jej kolana i wsunął między nie głowę. Bawił tam nieskończenie, jak jej się zdawało, długo, aż dotarł do celu.

280

Otworzyła na moment oczy i spojrzała na lśniąca niżej skórę jego głowy. Resztki włosów stały mu jak grzebień koguta i musiała zdusić wzbierający śmiech, żeby nie onieśmielić Arthura. Leżała przez chwilę, chłodno świadoma, karcąc się za niewczesną wesołość, ale pragnąc tego, co się zbliżało, próbując jedynie czuć i coraz głębiej pograżając się w studni zmysłowych doznań. Parokrotnie się wynurzyła, ale za każdym razem coraz chętniej tam wracała, aż w końcu, kiedy w nią wszedł, oddała się całkowicie rozkoszy. To jest życie, pomyślała wtedy. Wrażenia, których nie doznawała od tak dawna, były rzeką żywiącą zaginioną rzecz zwaną życiem. Dała się nieść jej srebrzystemu nurtowi i nie pamiętała nawet, jak wyciągnęła do Arthura rękę, ale teraz, gdy przycisnęła głowę do jego barku i oplotła mu nogami biodra, a jej ciało zareagowało lustrzanym odbiciem jego rytmu, stali się jednością.

Kiedy było po wszystkim, podniósł się i podciągnął rolety, żeby wpuścić do pokoju

trochę światła, a potem stanął przy łóżku \ zaczął się jej przyglądać. Przesłoniła oczy, ale czuła na sobie jego wzrok.

— Jesteś bardzo piękna — odezwał się.

— Jestem jedną z tych kobiet, Arthurze, które najlepiej wyglądają w ubraniu. — Dobrze wiedziała, co on widzi. Była piegowata i tak blada, że jej podudzia zdawały się prawie niebieskie. Miała także długie ręce i nogi oraz małe piersi.

Jeśli chodzi o Arthura, to okazał się nie całkiem taki, jaki się wydawał. Brzuch miał wprawdzie trochę obwisły, ale widać było, że wiele ze swoich samotnych godzin spędził na ćwiczeniach fizycznych. Jego sylwetka była zaokrąglona w większej mierze dlatego, że klatka piersiowa u dołu rozszerzała się mu jak hełm. Miał wąskie biodra, krótkie, szczupłe nogi i piękne, silne ramiona. Był także najbardziej owłosionym mężczyzną jakiego kiedykolwiek widziała. Bez ubrania wydawał się bardziej dziarski i szybki. Jego członek, teraz skurczony, lśnił w gęstwinie włosów niczym żarówka. Był taki jak reszta Arthura, dość gruby, ale niezbyt długi.

Wyciągnęła po niego rękę, a potem sama się przysunęła i wzięła go w usta. Zaczął rosnąć.

— Jeszcze nie — powiedział Arthur.

Ale ona nie miała zamiaru go puścić. Zabrała się do tego z niespieszną czułością, jaką on jej okazał. Kiedy był już gotowy, przejechała jego penisem niczym czarodziejską różdżką po swej twarzy, oczach, policzkach, ustach, a następnie znowu

281

przyjęła go w siebie. Gdy tym razem Arthur padł obok niej, natychmiast zasnął.

Położyła się na narzucie, którą znalazła w nogach łóżka, i wpatrując się w stary sufit, perłowy kwadrat w stylu projektów z lat pięćdziesiątych, analizowała swoje uczucia. Uświadomiła sobie, że on już nie śpi, dopiero gdy powiedział:

— Biblia mówi prawdę.

— Biblia? To o tym myślisz, Arthurze?

— Tak.

Zamknęła oczy. Byłoby okropnie, gdyby tę chwilę zepsuł jakąś homilią lub frazesami.

— Myślę o tym zwrocie: „On ją poznał”.

— To z greki. '»

— Tak? Jest w tym głęboka racja. Prawda? ?j|

— Czy mnie znasz, Arthurze? !!if

— Poznałem coś. Coś ważnego.

Zastanawiała się przez chwilę nad tą myślą, po czym odrzuciła ją jako niedorzeczną. Nikt jej nie znał. Sama siebie nie znała.

— Co o mnie wiesz? — zapytała.

— Wiem, że cierpiałaś przez całe życie, tak samo jak ja. Wiem, że masz już dosyć samotności. Prawda?

— Nie mam pojęcia — odparła.

— Pragniesz szacunku, do którego masz prawo — powiedział. — Potrzebujesz tego.

Usiadła na łóżku. Ta rozmowa przybierała przykry dla niej obrót.

— Nie myśl. — Pocałowała go. - Czy możesz to zrobić jeszcze raz?

— Mam wielkie rezerwy — odrzekł. — Z całego życia.

— Chcę to zrobić jeszcze raz.

Po wszystkim poszła do małej łazienki Arthura. Ten ostatni raz był dla niej najlepszy. Przy każdym jego ruchu przebiegał ją dreszcz przyjemności. Wydawała różne odgłosy, krzyczała, a w końcu spadła na nią ogromna fala rozkoszy, porównywalna z trzęsieniem ziemi seria orgazmów, których siłę można było .;. mierzyć w skali Richtera. Dała się jej nieść, kołysząc się na jej grzbiecie niczym ptasie gniazdo na szczycie drzewa, poza czasem, nie chcąc przestać, i przestała jedynie dlatego, że wiedziała, iż zaraz zemdleje, jeśli tego nie zrobi.

Echem niedawnej rozkoszy były tak silne dreszcze przebie-

282

gające przez jej nogi, że nie była pewna, jak długo jeszcze zdoła ustać. Jest taki nieskomplikowany, pomyślała o Arthurze, rozglądając się wokół. Jego samochód był żywcem wzięty z Bever-ly Hills, ale łazienka pasowała do kamienicy czynszowej. Umywalka stała na chromowanej nodze. Dawno temu ktoś zawiesił zasłonę z falbanką przy zbiorniku wody nad sedesem i okrył klapę czymś kosmatym. Usiadła na muszli i ponownie wróciła pamięcią do swojej rozkoszy. Tym razem się

rozpląkała. Była wstrząśnięta — wstrząśnięta siłą uczuć, które się w niej obudziły, i treścią słów, które cisnęły się jej na usta.

Zaszlochała głośno. Zakryła usta dłońmi, ale nie mogła się pohamować. Po chwili Arthur ją usłyszał, zapukał kilka razy i w końcu wszedł, nie czekając na zgodę. Siedząc naga na sedesie, uniosła wzrok i spojrzała na niego.

— Tak bardzo tego pragnęłam — powiedziała do niego takim tonem, jakby mówiła do siebie. Nie miała pojęcia, czym dokładnie „to” było, ale z pewnością nie aktem prokreacji. Ulgą przyniesioną przez chwilę przyjemności na tym przygnębiającym świecie? Szacunkiem, jak powiedział? A może zwykłym uczuciem złączenia, miłosnego złączenia? Gwałtowność, z jaką wyzwoliło się to nienazwane pożądanie, które leżało gdzieś w niej niczym skarb zasypyany gruzem, oszołomiła ją. Och, jak bardzo tego potrzebowała!

Siedziała na sedesie, zanosząc się płaczem, a Arthur ukląkł obok niej na zimnych płytkach podłogi i trzymał ją w ramionach, powtarzając: „Teraz już to masz, masz to”.

26

28 czerwca 2001

Bystry

- O mój Boże! - Gdy tylko zamknęły się brązowe drzwi windy, łącząc na nowo bogactwo elementów dekoracyjnych w stylu art deco i rozdzielając ich z Arthurem Ravenem, Muriel przycisnęła dłoń do piersi i oparła się na Larrym, wsuwając mu szczupłą rękę pod ramię. — Kiedy się domyśliłeś?

- Szybciej niż Arthur. - Larry pokręcił współczująco głową. Wciąż lubił Arthura, zwłaszcza odkąd skopali mu tyłek. Na górze, przed biurami Sternów, gdzie dzielące ich powietrze

283

wydawało się kruche jak szkło, Arthur wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć, jakby jego ciężka teczka mogła pociągnąć go na podłogę. - Był blady i wycieńczony jak dziecko z plakatu Czerwonego Krzyża. O mało nie wezwałem pogotowia. Dokąd on teraz pojedzie?

— Pewnie do Rudyard, żeby odczytać zeznania swojemu klientowi... albo do szpitala, żeby pokazać je Ernowi, zakładając, że on jeszcze żyje. Słyszałam, że mu się pogorszyło.

Larry wygłosił sarkastyczną uwagę na temat samopoczucia Erna, a potem zapytał o to, o co chciał zapytać od początku: czy Arthurowi rzeczywiście skończyły się możliwości działania prawnego. Muriel wzruszyła ramionami. Bardziej ją interesowało, jak też Larry się domyślił, że to Rommy groził Luisie.

— Po prostu ciągle zadawałem sobie pytanie, co ona ukrywa — odparł Larry. — Genevieve jest dobrym człowiekiem. Zazwyczaj ponadprzeciętnie dobra osoba musi mieć ważny powód, żeby ukrywać prawdę. Moim zdaniem uznała, że Luisie w żaden sposób już nie pomoże, musi więc zrobić co się da dla jej córek. Czyli utrzymać prawdę w tajemnicy... nie tylko dlatego, że TN poszczułaoby psy na córki, ale i z tego powodu, że gdyby sprawa wyszła na jaw, oznaczałoby to zasypanie gnojem grobu mamusi. Zrozumiała, że jeśli raz powie, że to Rommy groził Luisie, będzie musiała powiedzieć, dlaczego to zrobił. Cały świat dowiedziałaby się wtedy o biletach, łącznie z córkami Luisy.

Wyszli z windy do jasnego holu. Muriel miała już niemal letnią opaleniznę. Larry widział, że cała promienieje dzięki odniesionemu właśnie zwycięstwu. W chwilach szczęścia, kiedy była zrelaksowana, Muriel potrafiła być najzabawniejszą dziewczyną na świecie. A teraz była szczęśliwa, zwłaszcza że on był przy niej.

— Jesteś prawdziwym mężczyzną, Larry. — Uśmiechnęła się do niego radośnie, ukazując małą przerwę między przednimi zębami. Bardzo chciał, żeby to stwierdzenie go nie podnieciło, ale stało się inaczej. Gdyby przed dziesięć laty doszli z Muriel do porozumienia, byłiby teraz pewnie taką samą starą parą jak inne. Ale człowiek zawsze chce tego, czego nie może mieć, a od czasu, gdy w Atlancie nagle się załamał, było dla niego jasne, że nie zapomni o Muriel, nigdy w życiu.

Gdy myślał o niej, myślał także o przeznaczeniu. Muriel każdą komórką swojego ciała wierzyła w istnienie Planu, którego częścią zamierzała się stać, a przebywając z nią, ulegał

284

temu samemu czarowi. Tracąc Muriel, stracił również wiarę, że przyszłość kryje dla niego jakieś wspaniałe niespodzianki. Padało mocno, ale Muriel udało się zatrzymać taksówkę. Larry zostawił swoje rzeczy w jej biurze, wsiadł zatem za nią. Po drodze Muriel zapytała go, komu z prasy powinna to wszystko przekazać. Wciąż jeszcze mogła to podrzucić na czas wieczornym wiadomościom telewizyjnym. Zadzwoniła ze swojej komórki do Stanleya Rosenberga z Kanału Piątego, a potem do Dubinsky'ego z „Tribune”, któremu powiedziała:

— Stew? Mam dla ciebie nagłówek do jutrzejszego wydania. „Świadek: Gandolph

groził, że zabije jedną z ofiar Masakry z Czwartego Lipca".

Larry czuł znacznie mniejszy entuzjazm. Prawdopodobnie zepsuło mu nastrój już samo to, że przebywał z Muriel. Poza tym podczas przesłuchania odsunął na bok wiele pytań, które teraz nie dawały mu spokoju. Po pierwsze, musiał być głupi jak but, jeśli nie wpadł na to, że ktoś, kto sprzedaje bilety, może je również kraść. Potem przypomniał sobie, co go zmyliło.

— Wiesz — odezwał się, gdy tylko Muriel się rozłączyła — ze sto razy przeglądałem moje notatki z rozmowy, którą przeprowadziłem z Ernem w październiku dziewięćdziesiątego pierwszego. Kiedy go zapytałem, skąd Luisa bierze pieniądze, on sam poruszył temat kradzieży biletów i powiedział, że od lat nie mieli z tym problemu.

— Może nie wiedział, co ona robi. To, co Genevieve usłyszała od Wiewióry... że widział się z Faraonem i że ją zabije... mogło w uszach Erna zabrzmieć tak, jakby Luisa go zdradzała.

— Rommy'ego? Poza tym dlaczego Erno miałby kazać ją zrewidować, jeśli nie wiedział o biletach?

Muriel była w zbyt dobrym nastroju, żeby się martwić, ale Larry nie ustępował.

— W porządku, pogadajmy o innej sprawie. Jak sobie zapisałem w notatniku, Erno powiedział mi, że powinniśmy wezwać Genevieve do złożenia zeznań przed wielką ławą przysięgłych.

— Myśląc, że Genevieve wskaże na Rommy'ego?

— Najwyraźniej. Ale dlaczego zrobił to w tak zawołany sposób? Dlaczego, zamiast udawać głupiego, nie powiedział mi prosto z mostu, że Genevieve może zeznać, iż Wiewiora groził Luisie śmiercią?

Deszcz tak się nasilił, że wychodząc z taksówki, odnieśli

285

wrażenie, iż zanurzają się w ścianie wody. Muriel przykryła sobie głowę teczką i rozpryskując małe strumyczki spływające po granitowych schodach Kindle County Building, pobiegła do wejścia. Był to ponadstuletni gmach z czerwonej cegły w tym samym ponurym stylu co fabryki z tej epoki. Nawet podczas dobrej pogody światło miało w nim barwę starego szelaku. Muriel była tu królową. Strażnicy przy wykrywaczach metalu powitali ją jako „szefową”, a kiedy szła przez hol, mniej więcej co dziesięć stóp była nagabywana przez coraz to inne osoby. W pewnej chwili

dogonili ją dwaj zastępcy prokuratora, którzy przesłuchiwali dziewięciolatka w związku z zabójstwem innego dziecka, i poprosili o zgodę na zawarcie ugody. Odpowiedziała im, że jeszcze na to za wcześnie, po czym przeszła do miłszych obowiązków, witając po imieniu dobry tuzin ludzi. Zdobywała te polityczne punkty o wiele bardziej naturalnie, niż Larry mógłby to sobie wyobrazić dziesięć lat wcześniej: sprawiała wrażenie autentycznie zainteresowanej stanem zdrowia czyjejs babci po wymianie stawu biodrowego czy tym, jak jakaś trzecioklasistka radzi sobie w nowej szkole. Tylko ci, którzy znali Muriel najlepiej, zauważali, że jest to wymiana jednostronna, że ona rzadko mówi coś o sobie.

Larry poszedł przodem i czekał na nią przy windzie, wciąż zastanawiając się nad postępowaniem Erna.

— Spróbuj rozważyć coś takiego — powiedział do niej bez żadnych wstępów, kiedy wsiedli do windy. — Erno dowiaduje się o Wiewiórze i Luisie od Genevieve. Wiewióra jest złodziejem, a jak sam Erno mi powiedział, najlepszym towarem, który można tam kraść, są bilety, które sprzedaje Luisa. Każe więc ją przeszukać pod jakimś pretekstem.

— Słusznie.

— Ale nie znajduje biletów. Wybiera więc drzwi numer dwa: po prostu jakiś cudaczny świr, który się zadurzył i mówi bzdury. Ale sześć tygodni potem ktoś ją załatwia. Teraz jednak Erno nie może podnieść ręki i powiedzieć, że wie, o co w tym wszystkim chodzi.

— Ponieważ...?

— Ponieważ spieprzył sprawę. Ponieważ musiałyby się przyznać, że pogwałcił umowę ze związkami zawodowymi i kazał bezpodstawnie zrewidować Luisę. I nie zadał sobie trudu poinformowania glin o Wiewiórze. Dobry prawnik występujący

286

w imieniu sierot wycisnęłyby fortunę z niego i linii, których szefowie zrzuciliby na niego winę za to, że zasnął za kierownicą.

Ale potem jego przystojny siostrzeniec ląduje w pudle — ciągnął Larry — i Erno rozważa wszystko na nowo, ponieważ naprawdę chce ocalić Collinsa. Nie wiem, który z nich się dowiedział, że Wiewióra ma kameę, czy Collins gdzieś to wyszperał, czy też Erno zabawił się w detektywa na własną rękę i poinformował Collinsa. Niezależnie od tego, jak było, Erno sprzedaje mi całą historię po kawałku, dbając, żeby nic z tego główna nie spadło mu na buty. „Pogadaj z Collinsem. I, nawiasem

mówiąc, wezwij Genevieve do złożenia zeznań". To mniej więcej do siebie pasuje, prawda?

Weszli do sporego pomieszczenia przed biurami oskarżyciela publicznego i jego pierwszej zastępczyni. Muriel zatrzymała się przy jednym z biurek, żeby zabrać wiadomości i stos poczty. Kiedy znaleźli się w jej gabinecie, zamknęła drzwi i kazała mu to wszystko powtórzyć.

— To była prawda — zakończył Larry. — To, co Erno mówił nam wtedy. Teraz jest po prostu wściekły, ponieważ nam pomógł, a i tak umiera w więzieniu.

Przyglądał się jej. Zastanawiała się nad tym, przygryzając wargi.

— W porządku — powiedziała w końcu. — Wezwij heroldów. I kilkoro świadków.

— Ponieważ...?

— Powiem to. — Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. — Miałeś rację. A przynajmniej byłeś bardzo bliski prawdy. Masz rację. — Jej ciemne oczy skrzyły się jak diamenty. - Zawsze masz rację, Larry. - Zawahała się, zanim opuściła rękę. -Masz rację — powtórzyła i rzuciła pocztę na biurko. — Zadowolony?

Teraz, kiedy o to zapytała, stwierdził, że nie jest tak do końca zadowolony.

— Coś mnie męczy w sprawie tego pasera, Tutanchamona czy jak mu tam. Faraona.

— Co z nim? - zapytała.

— Nie wiem. Ale chciałbym być pierwszym chłopakiem z sąsiedztwa, który przypomni mu o starych czasach. Jeśli Faraon jest takim superkumplem Wiewióry, może nawet zaprzeczyć wszystkiemu, co powiedziała nam Genevieve, zwłaszcza jeśli Arthur dotrze do niego przede mną i da mu odpowiednie wskazówki.

287

— A więc odszukaj go.

— Domyślam się, że „Faraon” to przezwisko nadane mu przez gang. Jak sądzisz?

Muriel też tak myślała.

— Pójdę do chłopaków od przestępczości zorganizowanej powiedział Larry. — Pomogli mi rozpracować sprawę Erna p kątem jego układow z Gangster Outlaw.

Muriel usiadła na biurku, zastanawiając się nad tym wszy tkim. W pewnej chwili ze zdumieniem pokręciła głową.

— Chłopie, musiałeś brać pigułki na inteligencję.

— Taa — odparł. — Jeśli jestem taki bystry, to dlaczego nie wymyśliłem kólek przy walizkach? Zadaję sobie to pytanie, ilekroć przechodzę przez lotnisko.

Muriel roześmiała się. Zdjęła kusy zakieciak, który włożyła na bluzkę bez rękawów. Temperatura w biurze oskarżyciela publicznego rzadko spadała poniżej dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza, nawet przy klimatyzacji pracującej na pełnych obrotach. Skóra schodziła jej z ramion. Kiedy ponownie skupiła uwagę na Larrym, miała znacznie bardziej poważny wyraz twarzy.

— Nie, jesteś bardzo bystry, Larry — powiedziała cicho i zamyśliła się. — WAtlancie naprawdę wstrząsnąłeś moim światem.

Nie rozmawiali o Atlancie — ani podczas lotu powrotnego, ani później, i Larry nie chciał rozmawiać o tym teraz. Jeśli już musiał do tego wracać, zrzucał winę na alkohol. Z ulgą zorientował się jednak, że chodzi jej o coś zupełnie innego.

— Ten znak równości, który postawiłeś między Rodem a Tal-madge'em... Odtwarzam tę melodię w głowie od wielu dni.

— Zapędziłem się. To nie moja sprawa.

— Nie twoja - zgodziła się. — To zdecydowanie nie twój sprawa. Najbardziej mnie jednak zastanawia, dlaczego w ogóle mi to powiedziałaś. To tak, jakbyś wpadł do mnie, bo było akurat po drodze, i powiedział: „Być tobą jest do chrzantu”. C to miało znaczyć, Larry?

— Nie jestem pewny, Muriel. Pewnie myślałem, że mam rację.

— No i co dobrego wynikło z tego dla ciebie? Albo dla mnie jeśli już przy tym jesteśmy?

Nagle poczuł, że ogarnia go zakłopotanie.

— Przepraszam, Muriel. Szczerze. Powinienem trzymać!, gębę na kłódkę.

Ale to wyraźnie nie była odpowiedź, którą chciała usłyszeć, f

ii 288

Przyglądała mu się długo, aż jej spojrzenie złagodniało do rzadkiego u niej wyrazu, czegoś bliskiego smutkowi.

— Jezu, Larry — powiedziała cicho — kiedy ty stałeś się taki inteligentny?

— Po prostu znam cię, Muriel. Nie wiem zbyt wiele. Ale znam cię.

— Pewnie tak — odparła.

Była taka chwila w Atlancie, kiedy pomyślał, że jej jest tak samo źle jak jemu, i teraz, gdy widział, jak na niego patrzy, zaczynał odczuwać to samo. Co to mogło znaczyć? Nic dobrego, uznał. Z szafy na dokumenty w rogu gabinetu wyciągnął rzeczy, które tam zostawił, czyli swojęteczkę z aktami i, co świadczyło o braku zdolności przewidywania pogody, swój składany parasol wielkości pałeczki dyrygenta. Pokazał go jej.

— Nie jestem tak bystry, jak myślisz — powiedział. Usiadła za biurkiem, żeby się zabrać do pracy, ale pokręciła

zdecydowanie głową, by mu pokazać, że się z nim nie zgadza.

27 29 czerwca 2001

Wróg

— On to wytłumaczy — powiedziała Pamela Arthurowi, kiedy o szóstej rano następnego dnia zabierał ją kolejną odyseję do Rudyard. Zdołała to sobie wmówić przez noc, ale Arthur podejrzewał, że nawet ona tak do końca w to nie wierzy. Po dziewięciu miesiącach praktyki w dużym mieście zaczynała się robić sceptyczna. Przeciwnicy ją okłamywali. Sędziowie wydawali niesprawiedliwe wyroki. Padło nawet kilka gorzkich uwag o mężczyznach.

Jednak tego ranka nie miał zamiaru spierać się z nikim na temat tego, co jest możliwe. Jechał - ale jego serce leciało. W tej chwili w jego łóżku spała piękna kobieta o rudawych włosach, szczupłych ramionach i siateczce złotych piegów na plecach. On, Arthur Raven, prawie padł z wyczerpania, kochając się z kobietą, o której marzył, której pragnął od tak dawna, że stała się dla niego uosobieniem pożądania. Rozmawiał z Pamelą o sprawie, ale jego myśli jak sygnał lokalizujący wracały wciąż do Gillian i musiał powstrzymać radosny śmiech, który w nim wzbierał.

289

Była karana, oczywiście. Był Rommy, który po miesiącach desperackich starań okazał się winny. Od czasu do czasu przypominał sobie także o hańbie wiszącej nad Gillian. W takich chwilach wracały do niego jej słowa o tym, jak szybko go rozczaruje. Ale wtedy, prawie na przekór swojej naturze, pozwalał, żeby znowu ogarniała go fala radości.

W zakładzie karnym musieli czekać jak zwykle. Kiedy Arthur zatelefonował do swojego biura, jego asystent odczytał mu wniosek, który Muriel złożyła rano w sądzie apelacyjnym, o przerwanie postępowania w sprawie Gandolpha. Dołączyła kopie obu zeznań, Genevieve i Erdaia, i w uzasadnieniu napisała to, co na jej miejscu napisałby Arthur — że nie chodzi tu o Erna, lecz o Rommy'ego. Oskarżenie nie ma żadnego obowiązku ustalić, czy Erno jest zgorzkniałym maniakiem, który czerpie przyjemność z tego, że wyrócił jeszcze jeden wózek z jabłkami przed opuszczeniem tego padoku, czy też szczerym człowiekiem, który zszedł na manowce. Sąd ma do rozstrzygnięcia tylko jedną kwestię, a mianowicie, czy istnieje uzasadniona podstawa, by twierdzić, że Rommy Gandolph nie miał poprzednio szansy odeprzeć postawionych mu zarzutów. Zeznanie Genevieve, złożone przez nią z widoczną niechęcią, jedynie powiększyło sumę materiałów dowodowych świadczących o winie Gandolpha. Biorąc to wszystko pod uwagę, należy stwierdzić, że to postępowanie trwa już wystarczająco długo. Zwracając się do sądu apelacyjnego, a nie Harlowa, Muriel mogła równie dobrze zatytułować swój dokument „Wniosek o niedopuszczanie wszelkich następnych orzeczeń cholernego Sędziego Serce”, ale sąd apelacyjny był, prawdopodobnie, właściwą instancją, a jego sędziowie i tak będą bronić swej jurysdykcji w nadchodzącej bitwie z Ken-tonem Harlowem. Arthur i Pamela musieli natychmiast przystąpić do opracowywania odpowiedzi. Zapowiadał się długi weekend — znacznie dłuższy, jeśli Rommy nie miał jakiejś odpowiedzi na zeznania Genevieve.

W miarę jak rósł rozgłos wokół sprawy Gandolpha, personel więzienia dwójako reagował na częste wizyty Arthura i Pameli. Większość funkcjonariuszy, którzy utożsamiali się z systemem wymiaru sprawiedliwości, witało oboje prawników chłodno. Naczelnik, na przykład, w pierwszej chwili odmówił im zgody na dzisiejszą wizytę, twierdząc, jak zwykle, że ma zbyt mało personelu, i ustąpił dopiero po telefonie Arthura do Rady Głównej Departamentu Więziennictwa. W hierarchii za-

290

kładu karnego byli jednak i ludzie, którzy okazywali więcej zrozumienia. Oni od dawna uważali, że część więźniów nie jest wcale taka zła i że wśród nich może być nawet paru naprawdę niewinnych. Przez dziesięć lat codziennych kontaktów z Gandolphem kilku strażników polubiło go, niektórzy mówili nawet Arthurowi, że myśl o tym, iż Rommy mógłby być mordercą jest niedorzeczna. Gdy Arthur wszedł dziś na wartownię, pochwycił rzucone mu ukradkiem spojrzenie siedzącej przy pierwszym stanowisku porucznik, która była szczególnie serdeczna i pomocna, lecz po doniesieniach prasowych z ostatnich dwudziestu czterech godzin najwyraźniej czuła się wykorzystana. Poczuli, jak rumieni się ze wstydu, że wprowadził w błąd ją oraz

wiele innych osób.

Rommy musiał wiedzieć, dlaczego jego adwokaci pojawili się tak nagle. Skazani na śmierć oglądali telewizję z pasją godną lepszej sprawy, a więzienna plotka, główny przekaznik wieści ze świata zewnętrznego, rozchodziła się z szybkością Internetu. Mimo to Rommy, ze skutymi rękami i nogami, przydreptał do swego miejsca za szybą w pokoju adwokackim, wyglądając na człowieka nieco zabiedzonego i zdezorientowanego, ale właściwie tryskającego życiem.

- Cześć, jak się macie? — Zapytał jeszcze Pamelę, jak za każdym razem, czy przywiozła swój ślubny welon. To były chyba ich dziesiąte odwiedziny, ale dla Pameli i Arthura wciąż nie było jasne, czy Rommy traktuje te swoje oświadczenia poważnie. — No i co u was nowego? - dodał. Dla niego była to wizyta towarzyska. Zaczynał się już przyzwyczajać do gości. Często bywali tu wielebny Blythe i jego sługusy, co łatwo przychodziło Arthurowi ustalić po regularności, z jaką ostra retoryka pastora, w wielce zniekształconej formie, pobrzmiwała w tym, co wygadywał jego klient.

- W naszej sprawie wystąpiły komplikacje — powiedział Arthur, a potem uświadomił sobie, że to pojęcie prawdopodobnie przekracza zdolność pojmowania Rommy'ego, który miał wielkie trudności ze zrozumieniem niuansów. Zamiast mu to wyjaśniać, zapytał po prostu, czy pamięta Genevieve Carriere z lotniska.

- Czarna, co?

- Biała.

- Trochę pulchna?

- Tak.

291

— I ma taki złoty krzyżyk z małym szafirem, który zawsze nosi?

Arthur przypomniał sobie o tym krzyżyku dopiero teraz, kiedy wspomniął o nim Rommy. Nie ma to jak oko złodzieja. Zanim zadał następne pytanie, poczuł ucisk w gardle.

— Hm, czy kiedykolwiek powiedziałaś jej, że chcesz zabić Luisę Remardi?

— Ona tak mówi?

— Tak.

Twarz Rommy'ego zmarszczyła się w wyrazie takiej koncentracji, jakby nie było to od wielu godzin przedmiotem rozmów w bloku więziennym.

— Nie wydaje mi się, żebym to jej powiedział. Nnnie. — Kręcił głową z coraz większym przekonaniem. Kiedy Arthur zerknął na Pamelę, która trzymała między ich głowami słuchawkę telefonu, odniósł wrażenie, że jej pociągła twarz nieco pojaśniała. -Nie — powtórzył Rommy. — Jedyne raz, kiedy tak nadawałem, to było do tego drugiego gościa. A jego nikt od lat już nie widział.

— Co nadawałeś?

— No wiecie. O zabijaniu i takim tam. Jej. Tej pani.

— Powiedziałeś to?

— Ale mówię, że on zniknął, ten drugi facet. Dał się zapusz-kować, jeszcze zanim ta policja skoczyła na mnie. Musiał robić coś paskudnego. Faceci, z którymi się zadawał, oni sajak... nie, on nigdy nie wyjdzie. Ale nie widziałem go tutaj. Albo siedzi u federalnych, albo nie żyje, tak mi się widzi.

— O jakim facecie mówimy?

— O facecie, który brał bilety od tej pani.

Arthur spojrzał na swój żółty notatnik. Miał zwyczaj pocierać te kilka wełnistych kepek, które wciąż jeszcze trzymały się jego głowy, jakby nie mógł się doczekać, kiedy będzie już po wszystkim, i właśnie złapał się na tym, że to robi. Pamela i on rozmawiali z Rommym niezliczone razy i nigdy nie usłyszeli od niego ani słowa o biletach lotniczych. Kiedy Arthur zaczynał pracę w kancelarii, Raymond Horgan powiedział do niego: „Pamiętaj, że klient jest nie tylko swoim najgorszym wrogiem, ale i twoim”.

— Czy mówisz o Faraonie? — zapytał Arthur. Rommy uśmiechnął się.

— To on. Tak się kazał nazywać. Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Pamela zapytała, czy Rommy może sobie przypomina, jak się nazywał ten Faraon.

292

— Mogłem znać inne nazwisko, ale wszystko, co pamiętam, to Faraon. — Przeliterował to, wymieniając cztery litery: f, a, r, o. Na ustach Pameli pojawił się przelotny uśmiech.

— A jak go poznałeś? — zapytał Arthur.

— Nie jestem tego zbyt pewny. Znałem go jakiś czas. Tak mi się zdaje, że to on mnie zaczepił. Ale nie widziałem go długo. A potem wpadłem na niego w klubie. Robiłem jakieś interesy i patrzcie państwo, oto on, nie pamiętałem nawet, jak się nazywa, ale on mnie znał. Zaczęliśmy gadać. Kręcił coś zupełnie nowego. Jak to się nazywa? — zapytał sam siebie Wiewióra.

— Kradzież — odpowiedział Arthur. Pamela odsunęła się od niego gwałtownie, rzucając mu surowe spojrzenie, ale jemu było już wszystko jedno. Wszystko to z minuty na minutę wyglądało coraz gorzej. Jeśli zaś chodzi o jego klienta, to Rommy dawno już nauczył się ustępować ludziom, unikał konfrontacji. Teraz też zachichotał pojednawczo do swojego adwokata.

— Nie, to słowo znałem — odparł. — Wykombinował coś takiego, mówił mi, że mógł upychać gorące bilety lotnicze i nigdy nie dać się złapać ani nic takiego. Upychać je przez jakąś firmę. Nawijał, że jeśli znam kogoś, kto mógłby mu skombinować trochę biletów, to obu nam się to opłaci. Stąd wzięła się w tym ta pani.

— Luisa? Przypomnij nam, jak poznałeś Luisę — powiedział Arthur. Kątem oka rzucił Pameli ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciał, żeby próbowała pomagać Rommyemu w wygrzebywaniu się z któregośkolwiek z jego wcześniejszych kłamstw.

— Tak naprawdę, to brała ode mnie towar.

— Towar? Masz na myśli kradzione rzeczy?

— Zaraz kradzione — obruszył się Rommy. — Nigdy nikogo nie pytałem o jego interesy. Chciałem tylko wiedzieć, czy można na tym zarobić parę dolców.

— Ale Luisa kupowała od ciebie?

— To naprawdę nie było nic takiego. Był taki dyspozytor w T&L, od ciężarówek. On i ja puściliśmy trochę towaru na ulicę. Pamiętam, że ona wzięła radio. Tak ją poznałem. Lubiła sobie pogadać, taka już była. W środku nocy nie miała dużo do roboty. Gdyby mnie nie było, gadałaby do ścian. Ta druga, jak ona ma na imię...

— Genevieve.

— Ona lubiła siedzieć z książką, jak nie było samolotów. Nigdy z nią dłużej nie rozmawiałem. Po prawdzie pewnie na-

293

wet nie zna mojego imienia. Pewnie mówi, że mnie zna, bo policja ją do tego zmusiła, tak jak to było ze mną. Zgadza się? -Rommy zerknął nad dłońią, którą

przesłonił twarz, chcąc sprawdzić, jak ta obrona, bez wątpienia przygotowana dla niego w nocy przez współwięźniów, jest przyjmowana. Arthur zasugerował mu, żeby mówił dalej.

- Hm, to wszystko. Zapytałem tę drugą panią, Lisę, pewnej nocy. Powiedziałem, że znam kogoś, kto mógłby kupić ekstra bilety. Na początek nie była zbyt zainteresowana, ale ja ciągle pytałem - Faraon powiedział, że w tym są prawdziwe pieniądze — i w końcu powiedziała, że spotka się z tym facetem, żeby z tym skończyć. To było u Gusa i ja podglądałem przez okno, bo w środku był stary Gus i nie mogłem wejść. Kręciła głową, ale Faraon musiał powiedzieć jej coś dobrego, bo nie dalej jak tydzień później odpaliła mi ładną garść zielonych... za załatwienie kontaktu i takie tam.

— Potem już nigdy więcej o tym nie słyszałem — ciągnął Wie-wióra. — No i pewnego dnia jestem na ulicy, a tam ten Faraon i wydaje się, ludzie, że on i ta damulka, Lisa, robią to coś razem co miesiąc albo dwa. A ja nie dostaję niczego więcej. Faraon gada: „Byłem pewny, że ona ci coś odpala... na pewno dostaje tyle, że mogłaby ci dać dolę”. No więc powiedziałem mu, że zabiję ją, gdy ją zobaczę, za to, że mnie tak wyrolowała. To nie jest w porządku, wcale. I ona też to wiedziała, chociaż nie chciała tego powiedzieć. Trochę na siebie powrzeszczeliśmy, ale w końcu dała mi ten naszyjnik, żebym się zamknął.

- Kameę?

- Właśnie. Dała mi ją na przechowanie, bo się bała, że jak będę się kręcił po lotnisku i wycierał sobie nią gębę przed ludźmi, to straci pracę albo co. Powiedziała, że to dla niej najcenniejsza rzecz, bo w środku są zdjęcia jej dzieci i gdy już go będę miał, mogę być pewny, że da mi pieniądze. Tylko że nigdy tego nie zrobiła.

- A więc ją zabiłeś — powiedział Arthur.

Rommy wyprostował się na krześle i zmarszczył czoło w sposób, który Arthurowi, mimo licznych wewnętrznych sygnałów ostrzegawczych, wydał się całkowicie spontaniczny.

— Ty też tak teraz myślisz? Przeszedłeś na stronę policji?

— Nie odpowiedziałeś mi, Rommy. Zapytałem, czy zabiłeś Luisę.

— Nie, do diabła. Nie jestem taki, co to kogoś zabija. Po-

294

szczekałem tylko trochę, bo wyszedłem przez nią na głupka przed Faraonem i takie

tam.

Aby zwiększyć swoją wiarygodność, Rommy wypróbował wszystkie nieudolne sztuczki, których wyuczył się w ciągu swego żalnego, poplątanego życia. Posyłał im krzywe uśmieški i gestykulował chudą ręką, ale w końcu, widząc, że Arthur nie przestaje chłodno taksować go wzrokiem, wrócił do swego wystraszonego, zagubionego wyrazu twarzy. Wciąż przypatrując się swojemu klientowi z taką uwagą, jakby był nie złamanym szyfrem, Arthur pomyślał nagle o Gillian — nie tyle o jej apelu, żeby się nie poddawał i nie tracił nadziei, ile raczej o tym, że ją kocha. Miał niejasne wrażenie, że częścią tego uczucia jest ochrona Rommym tego świata przed spadającymi na nich nieszczęściami. Gdyby nie ojciec, on też mógłby być Rommym. Susan była Rommym. Planeta była pełna istot w potrzebie, które nie potrafiły same sobie poradzić, a prawo ukazywało swoje najlepsze oblicze, kiedy zapewniało im godne traktowanie. Potrzebował miłości i celu. Teraz, gdy w końcu zdał sobie z tego sprawę, nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie mógł o tym zapomnieć.

Tak więc z desperacją, z jaką pragnął miłości, chciał też uwierzyć Rommy'emu. Ale nie mógł. Rommy miał powód, by zabić Luisę. Powiedział, że to zrobi. A potem, kiedy złapano go z jej kameą w kieszeni, przyznał się do tego. To wszystko nie mogło być zbiegiem okoliczności.

Kiedy Arthur się zastanawiał, Pamela patrzyła na niego tak, jakby potrzebowała jego zgody, by sama mogła mieć nadzieję. Lekko wysunął i cofnął podbródek, żeby dać jej znać, co o tym myśli. W jej spojrzeniu pojawiła się rezygnacja.

— Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś, Rommy? - zadała ich klientowi podstawowe pytanie. — O żadnej z tych spraw? Mówiliśmy z tobą o tym wszystkim sama już nie wiem ile razy.

Gdy rozmawiali z Rommym, przychodził zawsze taki moment, kiedy rozwiewała się ich wiara w jego całkowitą prostolinijność, a właściwie - kiedy ta mniemana prostolinijność okazywała się jeszcze jedną maską. Mógł mieć iloraz inteligencji równy siedemdziesiąt pięć, ale wiedział, jak kręcić. Od samego początku wiedział, że prawda o Luisie robi na nich duże wrażenie i że zgasi ich entuzjazm do jego sprawy. Spodziewał się tego, ponieważ widział, co się działo, kiedy mówił swoim poprzednim obrońcom o handlu kradzionymi biletami z Luisą,

295

o tym, że go wykiwała i że przysiągł ją zabić. Na początku Arthur postanowił nie naruszać przywileju poufności, jaki przysługiwał Rommy'emu podczas rozmów z

poprzednimi obrońcami, pamiętając o tym, co powiedział, gdy po raz pierwszy spotkali się z Gandolphem: nowy obrońca, nowa historia. Teraz jednak nie było już żadną tajemnicą, dlaczego pierwszy adwokat Rommy'ego oparł jego obronę na twierdzeniu o niepoczytalności ani dlaczego żaden następny nie próbował dowodzić, że jego klient jest niewinny. Z takim doświadczeniem Rommy nie miał żadnych problemów ze zrozumieniem, co wyrażają twarze jego obecnych obrońców.

— Nikogo nie zabiłem. Nie jestem taki — zapewnił jeszcze raz, ale w końcu chyba zdał sobie sprawę, że to bezcelowe. Opuścił bezradnie ramiona i spojrzał gdzieś w bok. — Ale to nie znaczy, że oni mnie nie zabiją, co?

Arthur spełni swój obowiązek i będzie walczył. Przypomni sądowi apelacyjnemu, że Erno przyznał się do winy i że Gene-vieve bardzo opieszale zeznała o groźbach Rommy'ego. Ale nie było żadnych dowodów, którymi można by poprzeć słowa Erda-ia, podczas gdy wersja Genevieve była spójna z wszystkimi znanymi faktami. Niechęć, z jaką złożyła zeznanie, tylko potwierdzała to, że mówiła prawdę.

— Tak — odparł Arthur. — To nie znaczy, że tego nie zrobią.

— Taa — rzekł Rommy. - Wiedziałem o tym, bo ostatniej nocy znowu miałem ten sen.

— Jaki sen? — zapytała Pamela.

— Jak przychodzą, żeby mnie zabrać. Jak nadchodzi mój czas. Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w celi śmierci, śniło mi się to przez cały czas. Budzisz się tak spocony, że sam sobie śmierdzisz, przysięgam. Czasem myślę, że nie będą sobie zawracać głowy i mnie nie zabiją. My wszyscy, Żółtki, ciągle o tym gadamy. Słyszysz, jak w nocy jakiś facet krzyczy, i wiesz, że miał ten sen. To nie w porządku, wcale a wcale, robić to człowiekowi, zmuszać go, żeby słuchał tego wszystkiego. Jeśli mnie stąd wypuszczą— dodał — nigdy już nie będę w porządku.

Ani Arthur, ani Pamela nie potrafili nic na to odpowiedzieć.

— Wiecie — ciągnął Wiewióra — byłem tu, kiedy przyszli po jednego faceta. Kilka dni przed tym zabierają cię na dół, do domu śmierci. Przenoszą cię, myślę, kiedy jeszcze masz nadzieję, żebyś nie zaczął się wyrywać albo co. Ludzie, ostatni facet, którego załatwili, Rufus Tryon, siedział w celi obok mnie. Mó-

296

wił, że nie da się im zabrać. Ze zanim go dostaną, kogoś załatwi. Dali mu niezły wycisk. Mimo to, mówią, na sam koniec jeszcze im wyciął numer. Zjadł ostatni posiłek i wyrzygał go na siebie — pewnie miał jakieś kości połamane, kiedy go

przywiązywali, ale wtedy to nie ma żadnego znaczenia, co? Jak myślicie, lepiej wziąć jakieś prochy czy po prostu pójść tam i dać im robić to, co i tak zrobią?

Pamela była czerwona jak światło stopu. W końcu zdobyła się na kilka słów pociechy i powiedziała Wiewiórze, że najlepiej by było w ogóle tam nie wchodzić. Rommy, który najwyraźniej potrafił docenić dobry dowcip, uśmiechnął się szeroko, co upodobniło jego twarz do halloweenowej dyni.

— Taa, tak byłoby najlepiej, ale na razie nie da się o tym nie myśleć. To siedzi ci w głowie. Jak mam się zachowywać, kiedy będą mnie załatwiać? Przez większość czasu myślę, żeby wejść tam z podniesioną głową. Nie zrobiłem niczego, za co ktoś miałby mnie zabijać. Ukradłem trochę rzeczy, ale za to nie dostaje się czapy, nie? A ja dostanę właśnie czapę.

Zapomniawszy o godności zawodowej, Pamela posunęła się do obietnicy, której nie mogła dotrzymać:

— Nie, nie dostaniesz.

— Taa, jestem do tego przyzwyczajony. Chcę powiedzieć, że trzeba czasu, aby się przyzwyczaić do tego, że ktoś cię zabije. Czasu na myślenie o tym, że idę korytarzem, a tam ktoś mnie utrupi... że to mój ostatni spacer, ostatnie rzeczy, które widzę, i nic nie mogę na to poradzić. Trzeba na to czasu. Człowieku, patrzę w siebie, w swoją głowę, i zaczynam się trząść jak galareta. — Rommy zgarbił się, najwidoczniej wyobrażając sobie ten horror. — Stary, robisz wszystko, co robisz, ale ja wciąż tu jestem. Nic się dla mnie nie zmieniło.

Gniew Rommy'ego był zwykle cieniem tego uczucia, ale nagle, niewątpliwie dzięki wpływowi dobrego pastora Blythe'a, wezbrał w nim tak, że w końcu Wiewióra znalazł w sobie dość sił, żeby spojrzeć prosto w oczy siedzącemu po drugiej stronie szyby Arthurowi.

— Jestem niewinny, człowieku - powiedział. - Ja nikogo nie zabiłem.

297

28 5 lipca 2001

Tajemnice Faraona

Wieczór w biurze. Muriel siedziała za swoim ogromnym biurkiem i pracowała nad papierami, które czekały na nią przez cały dzień. W te rzadkie wieczory, kiedy ona i Talmadge byli razem w domu, pakowała do aktówki szkice aktów oskarżenia, pocztę oraz notatki i po kolacji czytała wszystko w łóżku, od czasu do czasu pytając męża o

radę, podczas gdy ryczał telewizor, owczarek i kot rywalizowały o miejsce na kołdrze, a Talmadge perorował grzmiącym głosem, w najlepszym razie tylko głośno, rozmawiając z zagranicą, wciąż nie przekonany, że nie musi krzyczeć przez ocean.

Wolała jednak robić to w spokoju, jaki panował w biurze po szóstej. Po pracy zamierzała pokazać się, jak zazwyczaj, na kolejnej imprezie zorganizowanej w celu zdobycia funduszy dla jakiegoś politykiera lub na jakiś inny cel, i zebrać trochę kapitału na własną kampanię. Nie pamiętała, dokąd miała się wybrać tego dnia — przypomni sobie o tym, wychodząc, kiedy przejrzy teczkę z wiadomościami, którą asystent zostawił dla niej na biurku przed drzwiami do jej gabinetu.

Przez jakiś czas czytała odpowiedzi na memorandum, które rozesłała pod koniec zeszłego tygodnia. Zaproponowała w nim wprowadzenie pilotażowego programu wychowawczego dla osób, które po raz pierwszy popełniły przestępstwa związane z narkotykami. Przewodniczący sądu poparł pomysł, dodając nieśmiały komentarz z intencją odsunięcia od siebie wszelkiej winy, gdyby coś poszło źle. Biuro prawne policji było, naturalnie, przeciwne - gliny chciałyby widzieć wszystkich za kratkami. Na notce od Neda widniały tylko trzy słowa: „Czy to właściwy moment?” Nie chciał przedstawiać więcej na piśmie, ale niepokoiły go polityczne konsekwencje wypuszczania na ulice handlarzy narkotyków — nawet tych drobnych — w roku wybo' I rów. Mimo to Muriel zamierzała upierać się przy swoim. Po- J moc psychologiczna i szkolnictwo kosztowały znacznie mniej M niż więzienia i procesy, poza tym była przekonana, że rozbroi t| przeciwników z prawicy, wykazując, że ta inicjatywa przynie- ;f sie oszczędności budżetowe, miała też nadzieję ubiec Blythe'a fi i jego zwolenników z najrozmaitszych grup mniejszościowych. 1

298

1

Co jednak najważniejsze, projekt miał ręce i nogi. Dzieciaki, które marnowały swojapomysłowość i energię, sprzedając narkotyki, mogłyby znaleźć sobie miejsce w legalnym świecie, jeśli w porę dałoby im się szansę.

„Mam już dosyć wykorzystywania wymiaru sprawiedliwości do uprzątnięcia bałaganu, którego narobili inni ludzie”, odpisała Nedowi. Pisząc „inni ludzie”, miała na myśli szkoły, system opieki społecznej i najróżniejsze instytucje gospodarcze, ale Ned nie potrzebował na ten temat wykładu. Niemniej jednak rozpoznała poglądy pobrzmiwające w jej notatce - poglądy ojca. Tom Wynn nie żył już od ponad dwunastu lat, ale ostatnio zauważyła, że często wygłasza jego lewicowe mądrości, i to z większą przyjemnością, niż mogłaby sobie wyobrazić przed dwunastu laty. Dramatyzm rozpraw sądowych, mimo że wciąż ją cieszył, stawał się powoli sprawą z jej przeszłości — tak naprawdę Erno Erdai mógł być ostatnim człowiekiem, którego

przesłuchiwała w krzyżowym ogniu pytań. Chciała mieć wpływ na więcej niż jedno życie. Abrutalna prawda była taka, że przygotowując akty oskarżenia, rzadko poprawiała czyjaś egzystencję. Zatrzymywała krwotok. Zapobiegała bólowi. Ale wychodząc wieczorem z pracy, nie spodziewała się ujrzeć drzewa zasadzonego własną ręką.

Zadzwoił telefon. W pierwszej chwili pomyślała, że to Tal-madge, ale na wyświetlaczu pokazał się numer Larry'ego.

— Długo pracujesz — powiedziała.

- Nie, to ty długo pracujesz. Ale właśnie przyszło mi coś do głowy i domyśliłem się, że znajdę cię w robocie. Dzwonię, żeby ci to powiedzieć.

— Byłeś niegrzecznym chłopcem, Larry?

- Byłem durniem. Czy to o mnie wtedy mówiłaś, że jestem bystry?

— O ile dobrze pamiętam, tak.

- Może powinnaś to jeszcze przemyśleć.

Muriel zaczęła się zastanawiać, czy ta rozmowa nie ma być przypadkiem kontynuacją poprzedniej. Nigdy nie uważała, że ma choćby najmniejszą skłonność do introspekcji. Przez całe życie była tak związana ze światem zewnętrznym, z działaniem, że łatwo zapominała o swoich najżywotniejszych potrzebach, jak o tym, że powinna coś zjeść czy skorzystać z toalety. Jednak w ciągu tych kilku tygodni, które upłynęły od jej pobytu w Atlancie, coraz częściej łapała się za puls, z dolnych pokła-

299

dów jej umysłu kilka razy dziennie wyskakiwało pytanie, co właściwie dzieje się między nią a Larrym. Kiedy Larry poinformował ją w drodze do Atlanty, że w małżeństwie zadowolona była czymś gorszym, niż mogła, nie było to dla niej rewelacją. Niezależnie od tego, czy była zdolna do autorefleksji, czy też nie, tyle wiedziała sama. Nie dostrzegła natomiast tego, że powtarza swoje błędy. Poślubiała idoli, dobrze wiedząc, że w nocy będzie ocierała się stopami o nogi z gliny. Zrozumienie tego, co to o niej mówi, będzie wymagało czasu, może ze sto lub dwieście lat.

Larry obecnie stanowił dla niej zagadkę. Była zadowolona, że tamtego dnia, po zeznaniach Genevieve, przyparła go do muru i zmusiła, by powiedział, dlaczego tak bardzo się starał, żeby dowiedziała się pewnych rzeczy o sobie. Mścił się na niej czy chciał ukazać inne możliwości? Było oczywiste, że Larry sam tego nie wie, co jej

bardzo odpowiadało, ponieważ nie była pewna, czy którakolwiek z tych możliwości jakoś szczególnie by ją uszczęśliwiła.

Teraz jednak, w miarę jak mówił, uświadomiła sobie, że nie zadzwonił do niej w sprawach osobistych.

— Dziś rano zajrzałem do Rocky'ego Madhafiaego z Wydziału Przystępczości Zorganizowanej — powiedział — i właśnie mówiłem mu, że muszę odnaleźć gościa o przywisku Faraon, kiedy nagle mnie olśniło. Pamiętasz, jak kazałaś mi odnaleźć faceta, którego Erno postrzelił cztery lata temu w Ike's?

— Oczywiście.

— A pamiętasz, jak się nazywał? Po chwili namysłu odpowiedziała:

— Cole.

— A jak miał na imię? Nie miała pojęcia.

— F, a, r, o — przeliterował Larry.

Upłynęła sekunda, zanim to do niej dotarło, a jej pierwsza reakcja była sceptyczna. Z jakiegoś powodu przyjęła, że „Faro” wymawia się jak „Fargo”.

— Cóż, można sprawdzić, czy to ten sam facet — powiedzi Larry. - Tak sądzę. Właśnie na to wpadłem u Rocky'ego.

Przygotowując się do przesłuchań przed Harlowem, Larr. i Muriel zgromadzili pełne pudło akt, które stało teraz przy oknie wykuszowym za jej biurkiem. Była tam między innymi fotokopia notesu z adresami, który przed dziesięciu laty znalazł

300

w torebce Luisy technik zbierający dowody. Początkowo Muriel chciała wykorzystać podczas przesłuchania Erdaia to, że nie było tam jego nazwiska, ale z tego zrezygnowała, ponieważ Arthur skontrolowałby ją, argumentując, że kobieta romansująca z żonatym mężczyzną nie dzwoniłaby do niego do domu.

Muriel wzięła telefon z biurka, postawiła go obok siebie na dywanie i rozmawiając z Larrym, przeglądała papiery, aż w końcu znalazła kopię.

— Żadnego Cole'a Faro — oświadczyła po chwili. W słuchawce słychać było pogłos z jego komórki.

— Sprawdziłaś pod „F”? — zapytał w końcu.

Zrobiła to teraz. Słowo „Faro” było napisane piórem, precyzyjnym charakterem pisma Luisy, który wyglądał tak, jakby pomagała sobie linijką. „Cole” dodano ołówkiem, jakiś czas później.

— Cholera — mruknął Larry.

— Zastanówmy się — powiedziała Muriel. Spróbowała to sobie poukładać. — Erno postrzelił pasera Luisy sześć lat później? Czy to zbieg okoliczności? Wiemy, czy Erdaia coś z nim łączyło?

— Kiedy Erdai został aresztowany w Ike's — odrzekł Larry — zaraz po strzelaninie utrzymywał, że Cole napadł na niego, ponieważ Erno sprawdzał go w związku z prowadzonym przez siebie śledztwem, które dotyczyło jakiegoś biletowego oszustwa. Musiał chyba mieć na myśli numer, który Faro wykręcił z Lui-saj Wiewiórą, jak sądzisz?

Larry myślał o tym przez cały dzień i znacznie ją teraz wyprzedzał. Musiała go zapytać, jak do tego doszedł.

— W zeszłym tygodniu domyśliliśmy się, że Erno zorientował się, co ta trójka kombinowała. To dlatego kazał zrewidować Luisę. AGenevieve powiedziała, że wspomniała Erdaiowi o Farze. Musiał go znaleźć.

— A dlaczego Faro był tak wkurzony na Erdaia sześć lat później, że rzucił się na niego z bronią w rękę?

— Nie wiem, w każdym razie nie wiem dokładnie, ale na pięciu stronach raportu o strzelaninie wszyscy gliniarze twierdzili, że Faro krzyczał, iż Erno jest mu coś winien za zrujnowane życie. Erdai musiał mu jakoś uniemożliwić robienie interesów. To podobne do Erdaia, prawda? Niezależnie od tego, czy Luisa żyła, czy nie, on wciąż był szeryfem w tym miasteczku. Do tego samego doszedłem poprzednio. Erdai chciał, żeby żli

301

faceci dostali za swoje. Nie potrafił po prostu zapomnieć, że mógł ocalić Luisie życie.

- Jak więc jest? Czy to są dobre wieści, czy złe?

- Chryste - odparł Larry - muszą być dobre. Muszą być wspaniałe. Pamiętasz, jak Erno prawie wyskoczył z krzesła dla świadków, kiedy go zapytałem o tę strzelaninę? Nie chciał tego tykać. Założę się, że był taki nerwowy, bo Faro mógł ci powiedzieć, jaką kupę bzdur wciska nam Erdai. Jestem pewny, że ten Faro przedstawi ci filmową

wersję tego, co usłyszeliśmy przed tygodniem od Genevieve. Zrobi dla nas prawdziwe widowisko w technikolorze pod tytułem Wiewióra, ten pieprzony morderca.

Zastanowiła się i doszła do wniosku, że to, co powiedział Larry, ma sens.

- Ale jest jeden problem — ciągnął. - Przez cały tydzień ganiałem jak pies za własnym ogonem, szukając tego Fara i nie natrafiłem na jego ślad. Jakby się zapadł pod ziemię. — Z tego, czego się dowiedział, mówił dalej, wynikało, że Faro Cole pojawił się na lokalnej scenie w roku 1990, kiedy to starał się o prawo jazdy. Miał wtedy stały adres i telefon, ale po roku zniknął. Wrócił pięć lat później, ale już do innego mieszkania. Kiedy w 1997, po strzelaninie w barze, zwolniono go ze szpitala, znowu się gdzieś zaszył.

Larry przeprowadził dziesiątki rozmów telefonicznych i odwiedził z Danem Lipranzerem oba mieszkania, ale niewiele mógł dodać do tego, co już wiedzieli, poza tym, że Faro miał sześć stóp trzy cale wzrostu, ważył dwieście dwadzieścia funtów i urodził się w roku 1965. Wszelkie dokumenty, jak historie kredytów, umowy o pracę czy billingi, dawno już zostały zniszczone, a w archiwach państwowych znajdowały się jedynie dane z jego prawa jazdy. Faro Cole nie był nigdy aresztowany w tej okolicy- ani, według FBI, nigdzie indziej. Jak na pasera było to coś raczej niezwykłego, ale Larry sprawdził w kilku komisariatach i nikt tam nie słyszał o Farze. W desperacji Larry zadzwonił nawet do małego ptaszka, którego miał w ubezpieczeniach społecznych i który ćwierkał mu od czasu do czasu do ucha, czy czyjeś składki wpływały na jakieś konto gdzieś w kraju. Jednak ostatnio Faro Cole najwyraźniej albo był bezrobotny, albo używał innego nazwiska.

- Facet wpadł do baru, wymachując bronią— powiedział Larry. — Wydawałoby się, że powinni postawić mu jakieś za-

302

rzuty, ale myślę, że kiedy tak leżał, krwawiąc, na podłodze, nikt zbytnio o tym nie myślał. Wszystkim się pewnie wydawało, że bardziej jest mu potrzebny karawan niż pogotowie. Tak czy owak, nie ma fotografii ani odcisków palców. Jedyne, co znalazłem z tej sprawy, to broń Fara i koszula, którą zdjęli z niego w szpitalu. Wciąż są w magazynie dowodów rzeczowych. Pomyślałem sobie, że jeśli pošlę spluwę do Mo Dickermana, to może uda mu się zdjąć z niej odciski. Niewykluczone, że dzięki nim znajdziemy Fara pod innym nazwiskiem.

Dickerman był naczelnym technikiem daktyloskopijnym, jednym z najlepszych w kraju. Muriel spodobał się ten pomysł.

— A jeśli zapłacisz za to z budżetu prokuratury— ciągnął Larry — możemy też zrobić badanie DNA krwi z koszuli. Sprawdzimy, czy facet jest w CODIS. — Wykorzystanie CODIS, Połączonego Systemu Katalogowania DNA, był to strzał w ciemno za pięć tysięcy dolarów. Larry chciał jednak wyczerpać wszystkie możliwości i Muriel się zgodziła.

— Zadowolony? — zapytała, jak przed tygodniem. Znow się zawahał.

— Wciąż mi tu czegoś brakuje — odparł.

— Może mnie, Larry? — Uznała, że to przezabawne, i zachichotała, ale szybko odłożyła słuchawkę, bo pomyślała, że jego to wcale nie musi śmieszyć.

29

Lipiec 2001

Razem

Po pracy cały czas byli razem. Dla Gillian, która nawet w szkole średniej nikogo się kurczowo nie trzymała, było to doświadczenie jak nie z tego świata. Arthur siedział w biurze, czekając, aż ona skończy pracę w sklepie, odbierał ją o ósmej lub dziewiątej i jechali do domu na kolację. Zazwyczaj robiła zakupy w dziale spożywczym domu towarowego i czekała na chodniku z ciężką torbą, kiedy Arthur zatrzymywał samochód przy krawężniku. Jechali do niego, kochali się, jedli i znowu się kochali. Spędzała tam większość nocy i gdy Arthur wyjeżdżał do pracy, wracała na kilka godzin do swego pokoju w domu Duffy'ego.

303

W żadnym z poprzednich związków nie powodowała nią taka nieokiełznana fizyczna namiętność. Teraz przez cały dzień część jej myśli krążyła wokół Arthura i seksu. Często jakieś przypadkowe skojarzenia, których nie potrafiła nawet nazwać, wywoływały przyjemne pulsowanie w jej piersiach i podbrzuszu. Miała wrażenie, że wraz z Arthurem utknęła w jakiejś dolinie słodkich doznań. Wydobywał z niej jakąś tajemną część osobowości. Tutaj rozpoczynało się prawdziwe życie. To była wilgotna piwnica istnienia, mroczne, tajemnicze fundamenty bytu. Gdyby któreś z nich zeszło tam już kiedyś przedtem, mogłoby mieć jakieś pojęcie o tym, jak od czasu do czasu wrócić na górę, ale że było to dla nich coś nowego, oboje mieli wrażenie, że stapiają się w jedno w samym jądrze rozkoszy.

- Jestem uzależniona - powiedziała pewnej nocy i natychmiast umilkła, zaskoczona, z jaką beztronską rzuciła tę uwagę. Mnóstwa spraw nie miała jeszcze ochoty roztrząsać.

Tęsknotę, jaką odczuwali w chwilach rozłąki, wzmacniała niechęć Gillian do ujawniania ich romansu, wychodzenia z nim poza sypialnię Arthura. Wydawało jej się niemożliwe, żeby ten związek mógł przetrwać, gdy zaczną bywać wśród innych, gdy będą musieli stawić czoło przeszłości i przyszłym oczekiwaniom, znieść ludzkie spojrzenia oraz plotki. Była pewna, że to, co istnieje między nimi, rozwieje się w świetle dnia.

Arthur natomiast z największą radością ogłosiłby na pierwszych stronach gazet, jak bardzo jest jej oddany, i często irytowało go, że Gillian nie chce z nim wychodzić, nawet w odwiedziny do jego przyjaciół ze szkoły średniej i studiów, którzy, jak ją zapewniał, będą dyskretni i zaakceptują ją. W rezultacie widywali się tylko z jego siostrą. W każdy czwartek jechali do Franz Center i po zastrzyku zabierali Susan do domu. W drodze powrotnej Arthur opowiadał jej o wydarzeniach dnia, udając przed sobą, że siostra słucha. Gdy zatrzymywał wóz na światłach, zerkała zwykle na tylne siedzenie, jakby sprawdzała, czy Gillian wciąż tam jest.

W mieszkaniu wszystko przebiegało tak samo jak podczas ich pierwszego wieczoru. Gdy Arthur i Susan gotowali, Gillian im nie pomagała, jakby była kimś z zewnątrz. Następnie Susan jak zwykle siadała z talerzem przed telewizorem. Rzadko rozmawiała z Gillian. Kiedy jednak to robiła, pojawiała się ta składnie mówiąca Susan - władzę nad nią przejmowała spójna osobowość, która formowała się w niej czasem niczym astero-

304

ida w pasie kosmicznego pyłu i żwiru. Nigdy nie ukazała Gillian swego szaleństwa.

Pewnego wieczoru Arthur musiał zmienić korek w piwnicy. Szukając papierosa, Susan podeszła do Gillian, która siedziała na kuchennym taborecie. Miała już teraz do niej tyle zaufania, że pozwoliła jej podać sobie ogień, po czym zaciągnęła się tak głęboko, jakby chciała za jednym zamachem zamienić papieros w popiół.

— Nie rozumiem cię — odezwała się Susan. Częściowo skryta za błękitnym welonem dymu, który rozpostarła między nimi, uniosła swoje piękne zielone oczy na Gillian.

— Nie rozumiesz?

— Ciągłe zmieniam zdanie. Jesteś nieoporna czy normalna?

Gillian nie była zaskoczona sugestią Susan, ale tym, że użyła wyrażenia, którym ona określała w Alderson podróży w przejeżdżających obok więzienia pociągach. Byli dla niej normalni nie z powodu jakiejś przyrodzonej im wyższości, ale dlatego, że nie

nosili piętna zamknięcia. Za takich, niewątpliwie, Susan uważała tak zwanych zdrowych psychicznie.

— Próbuję być normalna — odpowiedziała Gillian. — Czasem czuję się tak, jakbym naprawdę była. Zwłaszcza gdy jestem z Arthurem. Ale wciąż nie jestem pewna.

Na tym skończyła się ich rozmowa, ale kilka dni później wyraźnie podekscytowany Arthur zawołał Gillian. Znalazła go w drugiej sypialni mieszkania, rozjaśnionej tylko chłodną poświatą jego biurowego laptopa, którego przynosił co wieczór do domu.

— Susan przysłała ci e-maila!

Gillian podeszła ostrożnie do komputera. Czytając, osunęła się wolno na kolana obok Arthura.

Arthur, przekaż to Gillian. NIE CZYTAJ TEGO. To nie jest dla ciebie.

Cześć, Gillian

Proszę, nie podniecaj się zbyt z powodu tego listu. Pisałam go trzy dni i Valerie trochę mi w tym pomogła. Zazwyczaj nie mogę ułożyć więcej niż dwóch, trzech zdań naraz. Rzadko udaje mi się utrzymać w głowie słowa na tyle długo, żeby móc je zapisać, zwłaszcza gdy-śa mnie. Albo nie pamiętam, jak się

305

nazywa jakieś uczucie, albo to uczucie znika, kiedy sobie przypomnę właściwe słowo.

Przez większość czasu mój umysł istnieje we fragmentach. Normalni najwyraźniej tego nie rozumieją, ale dla mnie to nic dziwnego, że w mojej głowie wyskakują znikąd jakieś obrazy i znikają jak płomienie nad płonąca kłoda.

Ale miewam dobre dni i mam kilka takich spraw, których nigdy nie potrafiłabym powiedzieć ci w oczy. Prowadzenie rozmowy jest dla mnie bardzo trudne. Nie mogę zapanować nad wszystkim naraz. Już samo spojrzenie w czyjeś oczy może mnie rozproszyć. Nie mówiąc już o uśmiechaniu się i żartowaniu. Pytania. Jakieś nowe powiedzenie wystarcza, żeby odesłać mnie gdzieś na kilka minut. Dla mnie tak jest lepiej.

Co to chciałam powiedzieć?

Lubię cię. Myślę, że wiesz o tym. Nie patrzysz na mnie z góry. Sama byłaś w jakichś złych miejscach... czuję to. Ale im częściej cię widzę, tym bardziej uświadamiam sobie, że nie jesteśmy takie same, chociaż chciałabym tego. Naprawdę lubię myśleć,

że mogę jeszcze wrócić, tak jak ty to zrobiłaś. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo się staram. Myślę, że dla normalnych wygląda to tak, jakbym po prostu chciała się poddać. Ale trzymanie się w garści wymaga wielkiej siły. Boję się, kiedy widzę radio lub je słyszę. Idę ulicą, powtarzając sobie: „Nie słuchaj, nie słuchaj”. A gdy zobaczę w autobusie ludzi ze słuchawkami na głowie, to mnie zabija. Patrząc na te poduszeczki na czyichś uszach, słyszę głosy, których nie chcę słyszeć. Nawet gdy piszę te słowa, dosłownie czuję, że prąd wychodzi z klawiszy, i nie potrafię sobie wytłumaczyć, że tam w głębi sieci nie czai się ktoś taki jak Wielki Oz, który czeka, żeby nade mną zapanować. Opieram się ze wszystkich sił. Jestem jak ci ludzie z filmów, które pamiętam z dzieciństwa, gdzie jest wrak, ogromne fale, a rozbitkowie czepiają się rozpaczliwie kół ratunkowych lub pływających szczątków, żeby tylko nie pójść na dno.

Widzę, że ty też starasz się utrzymać na powierzchni każdego dnia. Staraj się dalej. Byłoby mi ciężiej, gdybym zobaczyła, że ktoś taki jak ty się poddaje. Uszczęśliwiasz Arthura. Jest mi łatwiej, kiedy on jest szczęśliwy. Nie czuję wtedy, że zniszczyłam mu życie. Proszę, zrób, co tylko możesz, żeby był dalej szczęśliwy. Nie tylko dla mnie. Dla niego. Zasluguje na szczę-

306

ście. To byłoby straszne, gdyby ciebie z nim nie było. Lepiej jest we troje.

Twoja przyjaciółka Susan

Gillian była zdruzgotana. Czuła się tak, jakby dostała list od kogoś, kogo porwano dla okupu, kogoś, o kim się wiedziało, że nigdy już nie odzyska wolności. Kiedy pozwoliła Arthurowi przeczytać ten list, rozplakał się, jak można się było spodziewać. Wiadomości, które otrzymywał od siostry, rzadko liczyły więcej niż dziesięć—dwadzieścia słów, napisanych w tych izolowanych momentach spójności myślenia, które niczym jakiś ulotny czar spadały na Susan każdego dnia. Ale nie był zazdrosny, lecz wzruszony, że siostra troszczy się o niego - a także, jak się wydało Gillian, wystraszony.

- O co ona się tak martwi? — zapytał.

Gillian nie odpowiedziała. Ale opadł ją głęboki smutek. Nawet ktoś tak wiecznie pełen nadziei jak Arthur musiał w końcu wziąć pod uwagę niebezpieczeństwo, które było oczywiste nawet dla wariatki.

Tej nocy, kiedy się kochali, byli do pewnego stopnia nieobecni myślami — wciąż robili to z czułością, ale jakoś bardziej zakotwiczeni w rzeczywistości, w ziemi. Potem, gdy Gillian sięgnęła po papierosa, Arthur zadał pytanie, którego dotąd ani on,

ani ona nie ośmielili się wypowiedzieć:

- Jak myślisz, co z nami będzie?

Na samym początku ich związku pokusiła się o przepowiednię na temat ich przyszłości i choć bardzo tego chciała, jej pogląd na ten temat się nie zmienił.

- Myślę, że z czasem pójdziesz do przodu, Arthurze. Może zaczniesz budować na tym, czego się dowiedziałeś o sobie, będąc ze mną, i znajdziesz kogoś w swoim wieku. Ożenisz się. Będziesz miał dzieci. Będziesz miał swoje życie.

Samą ją zdumiało to, jak pełna była ta jej wizja przyszłości. Arthur, naturalnie, był zaskoczony i opierając się na łokciu, rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz, Arthurze. To wszystko byłoby dla ciebie o wiele lepsze na innym etapie twojego życia.

- Jakim etapie?

- Gdybyś miał dwadzieścia pięć lub pięćdziesiąt pięć lat,

307

różnica w naszym wieku mogłaby mieć mniejsze znaczenie. Ale ty powinieneś mieć dzieci, Arthurze. Nie chcesz mieć dzieci? Większość ludzi chce. -A ty?

- Już na to za późno, Arthurze. - To była najbardziej katastrofalna konsekwencja więzienia: zabrało jej ostatnie lata, kiedy była jeszcze zdolna do macierzyństwa. Ale ta myśl była gdzieś w tamtej dolinie, wraz ze szczątkami miliona innych rzeczy, których żałowała.

- Dlaczego za późno? Czy mówimy o biologii? Świat jest pełen dzieci, które potrzebują kogoś, kto by je kochał.

Arthur często bywał przy niej impulsywny. Przed laty, kiedy znali się przelotnie, nigdy nie miała okazji zobaczyć go od tej strony. Ale teraz co rusz dawał się porywać nadziei. Czy mogła być większa różnica między ludźmi niż ta, która dzieliła pokonanego przez życie, skrajnego fatalistę i człowieka usiłującego z determinacją ukształtować swoje życie zgodnie z jakąś wielką ideą? A ona była jego ideą. Z całych sił starała się odrzucić tę wizję. Chciała zabronić mu tych radosnych uniesień w jej obecności, tak jak ojciec zabraniał jej bluźnić. Ale to było zbyt cudowne, zbyt wiele było w tym tego, co —jak dawno już uznała— nigdy więcej nie będzie jej udziałem. Arthur jeszcze tak naprawdę jej nie widział. A kiedy jej obraz w jego oczach wyostrzył się i zmrozi mu krew w żyłach, wtedy on odejdzie. Była jednak

zdecydowana rozkoszować się chwilą. Objęła go mocno i długo tak trzymała, nim znowu zaczęła odsłaniać przed nim prawdę.

- Nie dostrzegasz, Arthurze, że już próbujesz mieć ze mną wszystko, czego zawsze chciałeś od życia? To dla ciebie przygoda. Ale kiedy ona dobiegnie końca, nie będziesz mógł tego wszystkiego porzucić.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie chciałaś być matką? Matką? To było nie do pomyślenia. Od lat ledwie dawała sobie radę z sobą.

- To byłaby ogromna zmiana, Arthurze.

- Ale przecież o to w życiu chodzi, czyż nie? O zmiany? O to, żeby być szczęśliwszym, doskonalszym? Wierzysz przecież, że zmieniłaś się na lepsze, prawda?

Nigdy tak o tym nie myślała.

- Naprawdę nie wiem - odparła. - Lubię wierzyć, że tak się

308

stało. Lubię wierzyć, że teraz nie spaprałabym sobie życia. Ale nie jestem pewna.

— Ja jestem. Nie pijesz.

— Tak.

— I nie masz z tym żadnego problemu.

Poczuła wręcz zabobonną niechęć przed tym, by przyznać mu rację. Ale Arthur miał rację. Trzymała się teraz mantry „myśl tylko o jednym dniu naraz”. I z wyjątkiem chwilowych napadów panicznego lęku nie odczuwała najmniejszego nawet głodu narkotycznego. Tak naprawdę dążyła do przejrzystości, jasności. Ta całkowita ostateczność jej zerwania z nałogiem czasem wprawiała ją w zakłopotanie, gdyż była sprzeczna z tym, co wiedziała o innych ludziach, którzy walczyli z uzależnieniem. Zapytała kiedyś Duffy'ego, czy oszukuje samą siebie. Przyglądał się jej przez dłuższy czas. „Nie, Gil”, odpowiedział w końcu, „myślę, że udało ci się już osiągnąć wszystko, co chciałaś osiągnąć”.

Powtórzyła to teraz Arthurowi, ale był zbyt zaprzątnięty dowodzeniem własnych racji, żeby się nad tym zastanawiać.

— A zatem jesteś wolna — powiedział.

Nie. To nie było właściwe słowo. Była inna. Ale nie wolna.

— Czy ty się zmieniłeś, Arthurze?

— Żartujesz? W życiu nie byłem taki szczęśliwy. A to jeszcze nie wszystko.

— Naprawdę, Arthurze, czy nie byłbyś bardziej szczęśliwy z kimś w twoim wieku?

— Nie. W żadnym razie. Mówię serio. Jestem staroświeckim facetem. Lubię sprawy, które mają małe szanse powodzenia. Miłość jako przeznaczenie. Wciąż oglądam filmy z lat trzydziestych i płaczę.

— Nie jestem aż tak stara, Arthurze.

Szturchnął ją palcem, ale nie pozwolił zbić się z tropu.

— Jestem szczęśliwy — zapewnił z uporem. — Nic nie może tego poprawić, Gillian. Chce mi się śpiewać.

Jęknęła na samą myśl o tym. Uznawszy to za wyzwanie, Arthur, zaokrąglony i niski, stanął nagi na środku łóżka i zanucił:

Śniłem o kimś takim jak ty.

Wydajesz się zbyt cudowna,

żeby to mogło być prawdą.

309

Trzecia linijka tekstu żgnęła ją w serce. Ale on śpiewał dalej. Zaskoczył ją kolejny raz, gdyż okazało się, że ma dobry głos i najwyraźniej często słuchał sentymentalnych piosenek. Każdą linijkę, każdą zwrotkę śpiewał na całe gardło, aż w końcu Gillian, po raz pierwszy od wielu lat, zaczęła się śmiać tak niepohamowanie, że całkowicie się w tym zatraciła.

30

24 lipca 2001

. Problem dla mnie

Dla Erna Erdaia rozpoczęło się oczekiwanie na śmierć. Mimo że był więźniem, dano mu możliwość skorzystania z dobrodziejstw wielu najnowszych technik medycznych dostępnych w klinice uniwersyteckiej, nie tylko zabiegów chirurgicznych, ale również leczenia alfa-interferonem i za pomocą eksperymentalnych form chemioterapii. Jednak był tak osłabiony, że dopadł go odwieczny wróg. W połowie

terapii chemicznej Erno dostał zapalenia płuc i mimo że podawano mu dożylnie ogromne dawki antybiotyków, jego płucem, już zaatakowanym przez raka, kuracja ta niewiele pomagała. Lekarze, z którymi rozmawiali Arthur i Pamela, byli coraz bardziej pesymistyczni.

Erno znowu przebywał na oddziale więziennym szpitala ogólnego hrabstwa. Formalnie Arthur potrzebował zgody zarówno dyrektora zakładu karnego, jak i rodziny Erna, żeby móc go odwiedzić, i jedna oraz druga strona przetrzymywała go całymi tygodniami. W końcu zagroził, że pójdzie w tej sprawie do sędziego Harlowa. Harlow nie mógł nakazać Ernowi, żeby mówił, ale mógł zakazać stwarzania wszelkich przeszkód w kontaktach z nim przez tych, którzy albo działali na polecenie Muriel, albo uważali, że dbają o jej interesy. Arthur, utrzymując, że musi mieć więcej czasu na przeprowadzenie dochodzenia, co w gruncie rzeczy oznaczało wizytę u Erdaia, dwukrotnie uzyskał zgodę na przesunięcie terminu, w którym miał odpowiedzieć na wniosek Muriel o zakończenie postępowania w sprawie Rommy'ego. Sąd wyznaczył mu nieprzekraczalny termin na piątek tego tygodnia, toteż Arthur po prostu musiał się przed tym dostać do Erna.

Po ponad godzinie oczekiwania w holu oddziału zamknięte-

310

go Arthura w końcu wpuszczono do środka. Przeszukano go pobieżnie i poprowadzono jasno oświetlonymi korytarzami.

Strażnik przydzielony do Erna wyjaśnił, że rodzina jest bardzo wzburzona, ponieważ przerwano jej wizytę, żeby Arthur mógł z nim porozmawiać. Kiedy zbliżyli się do pokoju, zobaczył na korytarzu dwie kobiety. Niższa, nieco zaniedbana, miała zaczerwieniony nos, a w ręce trzymała zwiniętą kulkę jednorazową chusteczkę. Okazało się, że jest to pani Erdai. Druga, w prostej spódnicy, być może nieco zbyt krótkiej dla kobiety w jej wieku, była siostrą Erdaia, Iloną, matką Collinsa, dla którego Erno rozpoczął to wszystko. Była wysoka i mocno zbudowana, miała długie ręce i jasne, tracące już kolor włosy. W sumie była ładniejszą wersją Erna — ta sama szczupła twarz znamionowała, że jest równie twarda jak brat. W niewielu słowach kobiety dały jasno do zrozumienia, że nie podoba im się sam Arthur, jego najście i — co gorsza - to, że z jego powodu Erna spotkało upokorzenie, które obie będą odczuwały jeszcze długo po jego śmierci, zwłaszcza jeśli z tej całej sprawy nic nie wyjdzie. W wyniosłym spojrzeniu Ilony, która miała jasne, przenikliwe oczy brata, widać było naganę. Arthur obiecał, że jego wizyta potrwa tylko chwilę.

Przez telefon pielęgniarka powiedziała, że Erno gorączkuje, ale zwykle jest przytomny. Jego stan komplikowało to, że rak sięgnął już kości, powodując wielki

ból. Na tym etapie podstawowym problemem w opiece nad Erdaiem było takie dawkowanie opiatów, żeby nie zaszkodzić ledwie funkcjonującemu układowi oddechowemu.

Kiedy Arthur wszedł do pokoju, Erno spał i wyglądał jak człowiek bardzo już bliski śmierci. Od swego wystąpienia w sądzie jeszcze bardziej stracił na wadze. Po kolejnej terapii chemicznej wypadła mu połowa włosów i tylko gdzieś tam pozostały chierlawe kępkę. Do jego rąk podłączono kilka kroplówek, a rurkę pod nosem zastąpiła plastikowa maska tlenowa, która z każdym oddechem pokrywała się parą. Erno musiał mieć również jakieś problemy z wątrobą bo jego skóra była koloru cytryny. Kolejny Żółtek, pomyślał Arthur.

Przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Czekał, aż Erno się obudzi. W nadziei, że mimo wszystko uratuje on swoją wiarygodność, Arthur przeanalizował setkę scenariuszy, ale wciąż nie miał pojęcia, jak i Genevieve, i Erno mogliby mówić prawdę. Muriel, która zadzwoniła poprzedniego dnia do Arthura, by mu

311

przypomnieć, że będzie się sprzeciwiała próbom przesunięcia terminu, jaki wyznaczono mu na złożenie odpowiedzi na jej wniosek, miała swoją teorię na temat motywów, które skłoniły Erna do kłamstwa.

— Został przeciwnikiem kary śmierci — powiedziała. - Wskazał kiedyś na Rommy'ego, a teraz przeszedł wielkie katolickie odrodzenie i nie chce umrzeć w grzechu śmiertelnym, próbuje więc temu zapobiec tak jak może.

Nie było to zbyt przekonujące, ale Arthur uznał, że koncepcja Muriel świadczy o poprawie jej podejścia do Erna, bo nie robiła już z niego potwora. Co więcej, kiedy tak siedział przy tym łóżku, stwierdził, że myśli o Erdaiu wręcz z czułością. Początkowo nie mógł pojąć dlaczego, ale gdy tak siedział, słysząc dochodzące z korytarza głosy pielęgniarek, dzwonki i dźwięki aparatów medycznych, uświadomił sobie, że Erno wygląda prawie tak samo jak Harvey Raven w swych ostatnich dniach. Myśl o ojcu i męstwie, z jakim szedł przez swoje ponoć zwyczajne życie, jak zwykle wzruszyła Arthura, choć teraz, kiedy w jego życiu była Gillian, pustka pozostawiona przez ojca nie wydawała mu się już taka wielka.

Powróciwszy do rzeczywistości, zorientował się, że Erno wpatruje się w niego. Arthur miał na twarzy papierową maskę ochronną, którą kazano mu nałożyć. Ściągnął ją teraz, żeby chory mógł go rozpoznać. Rozczarowanie Erna było wyraźnie widoczne.

— Miałem nadzieję, że jesteś... moim siostrzeńcem — powiedział. Miał słaby,

chropawy głos i z trudem łapał powietrze, niemniej uśmiechnął się słabo na wspomnienie Collinsa. — Przychodzi dziś wieczorem - dodał. — Dobry chłopak. Okazał się wartościowym człowiekiem. Miał ciężko. Ale jest wartościowy. Piękne dzieci. — Erno zamknął oczy, wyraźnie zadowolony.

Arthur dał mu sekundę, po czym zapytał, czy Erno słyszał o zeznaniu Genevieve. Erdai przytaknął. Po tygodniach czekania na tę rozmowę Arthur nagle zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak zadać następne pytanie.

— Cóż, cholera — powiedział w końcu — czy to prawda?

— Oczywiście — wyszeptał Erno. — Dlaczego ja? Obwiniłem Wiewiórę.

— Ponieważ wiedziałeś, że groził śmiercią Luisie?

— Właśnie. - Wypowiedzenie każdego słowa zdawało się

312

wymagać od Erna wysiłku całego ciała, ale najwyraźniej nic ze słów Arthura nie uchodziło jego uwagi. Powiedział, że zrzucił na Wiewiórę winę za zabójstwo Luisy głównie dlatego, że wiedział o tej groźbie. Erdai zamordował Luisę z własnych powodów, ale Wiewióra sam z góry zrobił z siebie kozła ofiarnego.

— Powiedziałem Larry'emu. Wezwijcie Genevieve. — Erno poruszył szczęką na boki, rozgoryczony głupotą Larry'ego. -Powinien do tego dojść. Dziesięć lat temu.

— Myślisz o biletach?

— Nie o biletach. Problem dla mnie.

— Ponieważ byłeś szefem ochrony?

Erno skinął głową i machnął ręką. Najwyraźniej była to skomplikowana sprawa, ale Arthur był wystarczająco blisko jak na potrzeby człowieka, któremu brakowało tchu na jej wyjaśnianie.

— Genevieve. — Erno zakaszlał słabo, przełknął ślinę i zamknął oczy, żeby stawić czoło bólowi, który wgryzł się w niego. Doszedł do siebie, ale najwyraźniej stracił wątek.

— Genevieve — podpowiedział Arthur.

— Nie sędzę, żeby wiedziała. O biletach.

— Dlaczego?

— Nie powiedziała mi o Wiewiórze. Problem dla jej przyjaciółki.

Problem z powodu niebezpieczeństwa, że Luisa zostanie przyłapana na podkradaniu biletów. Myśląc o tym, Arthur uświadomił sobie, że Erno był bliski prawdy.

Genevieve nie wiedziała o przekręcie z biletami, kiedy doniosła o groźbie Rommy'ego. Dowiedziała się o tym później, kiedy Luisa zrugła ją za wmieszanie do tego Erdaia.

— Słusznie - powiedział Arthur. - Do czego zatem miał dojść Larry?

— Luisa. Wiewióra. Groźba. - Erno splótł palce. - Reszta... - Zrobił minę mówiącą, że to nie miało znaczenia. Gdyby Genevieve doniosła tylko o groźbie Rommy'ego, dla policji najbardziej prawdopodobny byłby wniosek, że tego porąbanego Wiewióre spotkał zawód miłosny. To wystarczyłoby na motyw.

— Chryste, Erno, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przedtem?

— Skomplikowane. - Erno przeczekał jakiś paroksyzm, który nim szarpnął. - Problem dla Wiewióry. - W tej kwestii też

313

miał rację. Postępowanie, które rozpoczęło się od informacji o groźbie Rommy'ego, że zabije Luisę, nie potoczyłoby się zbyt daleko. Jednak nawet zakładając, że Erno miał dobre intencje, Arthur poczuł ucisk w sercu, ponieważ stało się dla niego jasne, jak przebiegle ten umierający mężczyzna potrafił manipulować prawdą.

Czy to z powodu bólu, czy zamyślenia, oczy Erna były nieruchome. Ich wygląd ukazywał skalę jego choroby — siatka żyłek, ziemiste smużki, szkliste zgrubienia. Nie miał rzęs, a jego powieki były zaognione.

- Dla mnie też - powiedział nagle.

- Co dla ciebie też? - zapytał Arthur. — Dla ciebie też był to problem?

Erno podniósł rękę, żeby stłumić kaszel. Trzęsąc się, pokwał głową.

- Dlaczego? — raz jeszcze zapytał Arthur. — Dlaczego byłby to dla ciebie problem?

- Bilety - odparł Erno. - Też kradłem bilety.

- Ty?

Erno znowu pokiwał głową.

- Do diabła, dlaczego to robiłeś?

Erdai z niesmakiem lekko poruszył ręką i wbił wzrok w sufit.

- Głupie — odpowiedział w końcu. — Potrzebowałem pieniędzy. Problemy rodzinne. To było dwa lata wcześniej.

- Wcześniej, niż zaczęła to robić Luisa?

- Tak. Przestałem. Ale bałem się.

- Bałeś się?

- Złapałoby ją, złapałoby mnie. - Przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. - Dlatego poszedłem do restauracji. Żeby ją powstrzymać. Kłóciliśmy się. Gus rzucił się na mnie z bronią. - Erno zamknął oczy. Reszty nie warto było powtarzać.

- Więc nie było żadnego romansu? Erno uśmiechnął się blado, rozbawiony tą myślą.

- Jezu Chryste - jęknął Arthur. Powiedział to zbyt głośno, ale nagle ogarnęła go desperacja. Często, kiedy sprawy toczyły się katastrofalnie, kiedy się okazywało, że kompletnie się mylił, niczego bardziej nie pragnął, jak zrzucić skórę, a nawet zedrzyć ją sobie, jeśli to okaże się konieczne, i uciec gdzie pieprz rośnie. Teraz też tego chciał. — Jezu, Erno, dlaczego tego nie powiedziałeś?

314

— Emerytura - odparł. — Dwadzieścia trzy lata. Teraz dla mojej żony. Tak lepiej. Dla wszystkich.

Lepiej dla Rommy'ego, lepiej dla niego - to Erno miał na myśli. Tyle że, jak każde kłamstwo, to także mogło się rozpaść wzdłuż linii uskoku wyznaczonej przez prawdę. Arthur zastanawiał się gorączkowo. Najpierw chciał wezwać protokolanta sądowego, kogoś, kto by to wszystko zapisał. Zreflektował się jednak. Twierdzenie Muriel, że Erno nadał swej opowieści kształt odpowiadający jego własnym celom, zostałyby udowodnione. Erdai bez skrępowań popełnił przed sędzią Harlowem krzywoprzysięstwo. W oczach prawa byłby zatem całkowicie niewiarygodny. Nie mówiąc już o tym, że tak naprawdę był złodziejem, że oszukiwał pracodawcę, który ufał mu przez dwadzieścia parę lat.

— Czy to wszystko, Erno?

Erdai zebrał siły i zdecydowanie pokiwał głową.

— A co z tym całym Faraonem? — zapytał Arthur. — Możemy odnaleźć tego faceta?

— To nikt. Drobnym oszust. Zniknął wiele lat temu.

— Czy miał coś wspólnego z tymi morderstwami?

Erno zaniósł się cichym kaszlem. Wyglądało na to, że się zakrztusił, ale tylko śmiał się na myśl o jeszcze jednym podejrzanym. Powoli pokręcił głową co najwyraźniej często powtarzał. Z tyłu jego czaszki, pośród resztki włosów, widać było nagi plac wytarty o poduszkę.

— Ja. Tylko ja. — Przesunął rękę między prętami barierki i gorącymi palcami ujął dłoń Arthura. - Ten twój facet. Nic. Całkowicie niewinny. - Znowu wstrząsnął nim krótki paroksyzm kaszlu, a potem przez chwilę walczył z bólem. Ale nie zapomniał, gdzie jest. - Całkowicie. - Chociaż wymagało to ogromnego wysiłku, przekręcił się na łóżku w stronę Arthura, żeby zbliżyć do niego twarz. Ciężar pod jego oczami wydawał się jeszcze głębszy, ale przypuszczalnie wyglądał tak w zestawieniu z jego żółtą cerą. — Larry mi nie uwierzy - wyszeptał. — Zbyt dumny.

— Prawdopodobnie.

— Zabiłem ich wszystkich. - Kompletnie wyczerpany z powrotem padł na plecy, wciąż trzymając rękę Arthura. Patrzył w sufit tak nieruchomym wzrokiem, że Arthur zaczął się obawiać, iż Erno umarł, ale po chwili poczuł lekkie poruszenie jego

315

dłoni. — Myślę o tym — dodał Erdai. — Przez cały czas. Widzę to wszystko. Wszystko. Chciałem, żeby było inaczej. Na koniec.

W miarę jak toczyła się ta rozmowa, Arthur czuł, że narasta w nim pustka. Świat, który przedstawił Erno - Luisa na parkingu, a następnie kłótnia kochanków — sceny, które Arthur sobie wyobrażał, jakby widział je na filmie, zostały wymazane. Kiedy opuści szpital, pozostanie mu tylko zimna świadomość, że Erno jest kłamcą, który czerpie przyjemność z tego, że wciąga wszystkich w swoje kombinacje. Ostatnia wersja roztrząskana? Posklejaj kolejną. Jednakże w obecności Erna Arthur nie potrafił zwątpić w jego słowa. Być może dawał tym dowód uznania dla jego oszukańczych zdolności. Ale na przekór rozsądkowi wierzył Ernowi, tak jak przedtem miał go za kanciarza.

Minęła bardzo długa chwila.

— Zawsze to wiedziałem — odezwał się w końcu Erno.

— Co wiedziałeś?

Erno znowu zebrał siły, żeby się obrócić na łóżku, i Arthur wyciągnął rękę, aby mu pomóc. Ramię Erdaia było tylko kością.

— O mnie — odparł Erno i skrzywił się.

— O tobie?

— Złe... Złe życie. Dlaczego? — zapytał, ale najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi. — Zawsze to wiedziałem — powtórzył. — Zbyt trudno.

— Co?

Oczy Erna, obramowane czerwienią z powiekami bez rzęs, na dłuższy czas zatrzymały się na Arthurze.

— Zbyt trudno — powiedział — być dobrym.

31

Sierpień 2001

Sąd postanawia

— Wygraliśmy. — Tommy Molto z twarzą jak budyń waniliowy chwycił Muriel za ramię, gdy wyszła z gabinetu Neda Hal-seya po porannym zebraniu. Sąd apelacyjny Wydał postanowienie: skarga habeas Gandolpha została oddalona i zniesiono zawieszenie jego egzekucji. — Wygraliśmy - powtórzył Tommy.

Tommy był dziwnym przypadkiem. Rzadko dostrzegał las, ale był facetem, którego chciałoby się mieć przy sobie, gdyby

316

trzeba było ściąć drzewo. Przed dziesięciu laty, kiedy sądzono Wiewiórę, Tommy był guru, a Muriel jego podwładną, która się dopiero uczyła. Nigdy nie zdołał pojąć, jak to się stało, że najpierw dorównała mu pozycją w biurze, a na koniec mianowano ją pierwszym zastępcą, czyli na stanowisko, którego Molto zawsze pragnął. Tommy to był Tommy — facet bez poczucia humoru, uparty, całkowicie oddany ofiarom przestępstw, policji, hrabstwu, i głęboko przekonany, że świat jest lepszy bez ludzi, których dopadał. Muriel objęła go i mocno uściskała.

— Nigdy nie wątpiłem — powiedział. Odszedł ze śmiechem, obiecując jej kopię orzeczenia, gdy tylko Carol wróci z sądu.

Ned przyjmował właśnie senatora Malvoina, zostawiła mu zatem krótką notatkę. Po drugiej stronie sali dla interesantów, która oddzielała gabinet Halseya od jej biura,

Muriel sprawdziła wiadomości, które jej zostawiono — zadzwonili już czterej reporterzy — po czym zatrzasnęła za sobą drzwi. Siadła za swoim wielkim biurkiem przy oknie wykuszowym i zamknęła oczy, zaskoczona, jak bardzo jej ulżyło. W pracy takiej jak ta płynie się na wielkich falach. Jest wiele wspaniałych chwil, kiedy dociera się do brzegu, wiele podniecających momentów po drodze, ale człowiek cały czas ma świadomość, że fale mogą go wbić w głębinę, a wtedy pomyśli tylko: „Byłem głupcem, głupcem — jak mogłem zaryzykować wszystko?” W sprawie Gandolpha stawką nie były jedynie wybory. Groziło jej to, że ludzie postawią na niej krzyżyk, uznawszy, że koniec końców zbudowała swoją karierę na fałszywym fundamencie.

Ale to doświadczenie — te wszystkie wzloty i upadki — było interesujące i warte zachodu. Miała teraz całkowitą jasność: chciała zostać następnym oskarżycielem publicznym hrabstwa Kindle. Dzięki temu, że przez moment sądziła, że ten urząd może jej się wymknąć z rąk, uświadomiła sobie, jak wiele on dla niej znaczy. Jednak była też pewna, że gdyby sprawa Gandolpha wybuchła jej w rękach, gdyby jej ocena została publicznie wyszydzona i wielebni Blythowie tego świata zablokowali jej drogę do sąsiedniego biura, to i tak nic by się nie stało. Nie wierzyła w Boga w niebiesiech, który daje z nich znaki rękami lub przestawia pionki na ziemskim padole. Ale może byłoby lepiej, gdyby nie została oskarżycielem publicznym. W ostatnich miesiącach dwukrotnie obudziła się w nocy, myśląc o studiach teologicznych. W świetle dnia ten pomysł zrazu wydawał się pocieszny, ale potem zaczęła go rozważać na poważnie. Może

317

z ambony mogłaby zrobić więcej tego, co naprawdę ma znaczenie.

Carol Keeney, drobna blondynka z wiecznie zaczerwienionym koniuszkiem nosa, przyniosła orzeczenie. Muriel przejrzała je, głównie ze względu na Carol. Sama nigdy zbyt nie ciekawiła się zawiłymi i tajemniczymi uzasadnieniami werdyktów, które wychodziły z sądów apelacyjnych. Interesowały ją sprawy zasadnicze — dotyczące winy lub niewinności, praw jednostki wobec praw społeczności, zasadności użycia siły. Skomplikowane sformułowania używane przy wydawaniu decyzji miały dla niej w dużej mierze znaczenie dekoracyjne.

— Dobra robota — powiedziała Muriel. Carol całą noc po zeznaniach Genevieve szkicowała teksty dokumentów, które przeważały szalę. Jednak obie wiedziały, że to, iż nie rozgryzła Arthura, kiedy złożył wniosek o przesłuchanie Erna, przekreśla jej szanse na zostanie oskarżycielem procesowym. Do zadań Muriel należało przekazywanie wielu złych wieści, nie tylko obrońcom i ich klientom, ale także pracownikom prokuratury, gdzie tylko nieliczni otrzymywali sprawy i przydziały

sądowe, stanowiska oraz podwyżki, jakich pragnęli. Było tu tak niewiele dóbr do zdobycia, że wszczynano zacięte walki nawet o trzy stopy kwadratowe powierzchni biurowej. A Muriel z salomonowym spokojem rozstrzygała, kto wygrał. Carol nie miała instynktu potrzebnego w pracy procesowej i przegrała.

— Tubylcy się niecierpliwiają—powiedziała Yolanda, jedna z a-systryntek Muriel, która zajrzała do gabinetu, gdy Carol z niego wychodziła. Yolanda wymachiwała kilkoma kartkami z wiadomościami telefonicznymi od reporterów. Muriel zadzwoniła zatem do Dontela Bennetta, rzecznika prasowego prokuratury, który złożył jej gratulacje.

— Powiedz dziennikarzom, że w południe przyjmę ich uniżone przeprosiny — oznajmiła.

Roześmiał się i zapytał, kogo chce mieć obok siebie na podium. Molto i Carol po jednej stronie, powiedziała. Harold Greer był teraz szefem policji i z wielu względów zasługiwał na to, by także tam być.

— Starczek? — zapytał Dontel.

— Koniecznie — odparła Muriel. - Sama do niego zadzwonię. Na koniec Dontel powiedział jeszcze:

— Żadnego chełpienia się, dziewczyno. Pamiętaj po prostu, że sceptycyzm należy do obowiązków dziennikarza.

318

— Przed czy po sprzedawaniu powierzchni reklamowej? Zadzwoniła pod kilka numerów, aż w końcu znalazła Lar-

ry'ego przy biurku w drugim komisariacie na North End, gdzie rzadko można było go zastać.

— Gratulacje, detektywie. Sąd apelacyjny myśli, że dorwałś właściwego człowieka.

— Serio?

Odczytała mu co lepsze fragmenty orzeczenia. Śmiał się jak dziecko.

— Czas spotkać się z prasą— powiedziała mu potem. — Zdążysz się zrobić na bóstwo do południa?

— Muszę sprawdzić, czy mój chirurg plastyczny zdoła mnie wcisnąć na swoją listę przyjęć. Czy to oznacza, że mogę unieważnić mój telegram do Interpolu z prośbą o

informacje o Farze?

— Jak widać. — Śledztwo, które zostało wznowione w rezultacie zeznania Erna, dobiegło końca. Przez jakiś rok sprawa będzie się prawdopodobnie wlokła, z Arthurem lub jakimś innym obrońcą stawiającym barykady, by odsunąć egzekucję, ale zadanie Larry'ego zostało wykonane i współpraca z Muriel zakończona.

Kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie tak jasno, jak nigdy przedtem, że nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić mu odejść.

Sekretarz z sądu apelacyjnego zadzwonił o dziewiątej z wiadomością dla Arthura, że w ciągu godziny wydadzą komunikat o decyzji w sprawie skargi Randolpha Gandolpha. Kiedy Arthur skontaktował się z Pamelą i przekazał jej nowinę, zaproponowała, że odbierze pisemne orzeczenie, aby miał czas przygotować się do spotkania z dziennikarzami. Po drodze do sądu zatrzymała się w jego biurze.

— Przegramy — powiedział.

Przed ich ostatnim spotkaniem z Rommym Gandolphem Pamela Towns prawdopodobnie zaprotestowałaby. Teraz jednak duch walki zniknął z jej pociągłej twarzy i powiedziała tylko: „Wiem”. Dwadzieścia minut później zadzwoniła do Arthura z sądu. Wyczuł jej przygnębienie już w chwili, gdy powiedziała cześć.

— Załatwili nas - mówiła dalej do swego telefonu komórkowego. - Jego na amen, a nas jako prawników. - Odczytała Arthurowi decydujące fragmenty opinii sądu: - „W związku z pró-

319

bą złożenia drugiej skargi habeas corpus panu Gandolphowi przyznano czas na przedstawienie dowodów jego niewinności, których nie zdołano ujawnić poprzednio. Chociaż wyznaczony przez sąd adwokat pana Gandolpha...” To znaczy my — dodała Pamela, jakby Arthur po trzynastu latach praktyki mógł tego nie wiedzieć. — „Chociaż wyznaczony przez sąd adwokat pana Gandolpha odnalazł nowego i istotnego świadka niewinności swego klienta, zeznanie Erna Erdaia nie zostało potwierdzone przez jakąkolwiek ekspertyzę sądową”. To zabawne, że nie interesuje ich takie potwierdzenie, gdy chodzi o oskarżenie wniesione przeciwko Rommy'emu.

- Czytaj dalej — powiedział Arthur.

- „Ponadto pan Erdai jest odbywającym wyrok przestępcą, który ma motyw do zemsty na władzach, które wymierzyły mu karę, jak również przyznaje, że przed dziesięć laty złożył zeznania całkowicie sprzeczne z jego obecną wersją przebiegu wydarzeń. Godne uwagi jest również to, że oskarżenie odkryło jeszcze jednego

świadka zeznającego na niekorzyść pana Gandolpha, Genevieve Carriere, która opowiedziała o wysoce obciążającym oświadczeniu autora skargi i wskazała na ważny nowy fakt przemawiający za tym, że pan Gandolph miał motyw do zabicia jednej z ofiar. W przeciwieństwie do nowego świadka autora skargi, relacja pani Carriere zgadza się z pozostałym materiałem dowodowym zebrany w śledztwie. Jesteśmy świadomi, że szanowny sędzia Sądu Dystryktowego..." Jestem zaskoczona, że nie wzięli słowa „szanowny” w cudzysłów — wtrąciła Pamela, nawiązując do niechęci, jaką sędziowie apelacyjni darzyli Harlowa.

Tym razem Arthur nie próbował nawet ukryć niecierpliwości, kiedy kazał jej kontynuować.

- Dobrze - odparła, — „...szanowny sędzia Sądu Dystryktowego doszedł do wniosku, że pan Erdai jest do pewnego stopnia wiarygodny, ale stwierdził to, zanim stało się znane zeznanie pani Carriere, które bezspornie umniejsza wagę tych konkluzji.

Pan Gandolph prawie dziesięć lat nie występował z żadnymi oświadczeniami o swojej niewinności. Jakkolwiek rzuca to oczywiście cień wątpliwości na prawdziwość uzasadnienia jego nowych twierdzeń, zgodnie z prawem ważniejsze jest to, żeby wnoszący skargę miał możliwość ich przedstawienia, poddania procedurze sądowej i obrony przed atakami. Skarga habeas

320

corpus, zwłaszcza składana kolejny raz, musi być ograniczona wyłącznie do kwestii naprawy naruszenia praw konstytucyjnych oskarżonego, naruszenia tak poważnego, że równoznacznego z pomyłką sądową. Nie ma podstaw wierzyć, że pan Gandolph spełni to kryterium. Zgadza się z oskarżeniem, że bezpośrednie dowody winy pana Gandolpha, na których dawno temu opierała się sędzia orzekająca w jego sprawie, nie zostały zakwestionowane; co więcej, w rezultacie wszczętego ostatnio postępowania ich liczba wzrosła. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, postanawiamy, że nie ma podstaw prawnych do zezwolenia na złożenie drugiej skargi habeas corpus. Jakkolwiek nasze poprzednie zarządzenie o przyznaniu panu Gandolphowi określonego czasu na przedstawienie dowodów niewinności mogłoby być do pewnego stopnia poczytane za takie zezwolenie, uznajemy teraz, że udzielenie go byłoby posunięciem nieprzezornym. Tak więc sąd dziękuje adwokatowi, którego wyznaczył panu Gandolphowi do pomocy w tym postępowaniu, uznając jego zadanie za zakończone. Nasze poprzednie stanowisko co do zawieszenia wykonania kary zostaje niniejszym unieważnione i nie zakazuje się już dłużej sądowi wyższej instancji hrabstwa Kindle wyznaczenia daty egzekucji". Arthur odłożył słuchawkę i spojrzał na rzekę. Czuł się tak, jakby tonął. Egzekucja. Myślał o Rommym i tym, co

mu grozi, ale współczuł sobie. Media nie dostrzegą sensu wiadomości przekazanej, przez sąd, ale on ją zrozumiał. Uważali, że dał się nabrać na opowieść Erna, a przynajmniej nie był dość sceptyczny. Jako wyznaczony obrońca powinien postępować z umiarem, o którym, jak najwyraźniej myśleli, zapomniał. I, uświadomił sobie nagle, mieli rację. Arthur Raven wiedział już, że łatwo daje się ponieść uczuciom. Rommy pomógł mu jednak odkryć, że uczucia muszą się mieścić w ramach prawa.

Larry nienawidził dziennikarstwa. Kilku reporterów uważał wprawdzie za dobrych kompanów, ale nigdy nie polubił ich zawodu. Ledwie dostrzegli płomienie, nigdy nie czuli gorąca, a mimo to ciągle próbowali opowiadać wszystkim o ogniu. To dlatego z taką przyjemnością patrzył, jak Muriel daje im dziś wycisk.

Pokój prasowy w prokuraturze został przerobiony z byłej sali wielkiej ławy przysięgłych. Pod tylną ścianą w kolorze ja-skrawoniebieskim, uznawanym za najlepszy na tło, stało podium. Tuż pod mikrofonem umocowano godło hrabstwa, które

321

wykonano z plastiku, a nie brązu, żeby nie odbijało się w nim światło zamontowanych na suficie studyjnych reflektorów dużej mocy. Stojąca pod nimi Muriel była spokojna, miła, ale wyraźnie dawała do zrozumienia, kto tu rządzi. Przedstawiła wszystkich, którzy stali obok niej, poświęcając szczególną uwagę Larry'emu, po czym pochwaliła pogodnie orzeczenie sądu apelacyjnego i nie szczędziła słów uznania dla żmudnych, lecz precyzyjnych procedur prawnych. Powiedziała, jak to robiła od miesięcy, że czas posunąć się do przodu w sprawie egzekucji pana Gandolpha. Kilkoro reporterów chciało usłyszeć jeszcze raz jej komentarz do opowieści Erna, a ona odesłała ich po prostu do opinii sądu. To Gandolph, nie Erno, był tematem. Wie-wiórze udowodniono winę i sąd stwierdził jednoznacznie, że proces był sprawiedliwy. Trzej anonimowi sędziowie z budynku odległego o kilka przecznic stali się nagle niez mordowanymi adwokatami sprawy Muriel.

Kiedy zgasły światła, Larry natychmiast rozluźnił krawat. Szef uścisnął mu rękę, a potem Larry pożartował przez chwilę z Moltem i Carol. Muriel czekała na niego i razem wyszli przez marmurowe wejście do County Building. Była pora lunchu i roіło się w nim od ludzi, toteż Muriel uznała, że może wziąć Larry'ego pod ramię.

— Wykonałeś świetną robotę, Larry. Przykro mi, że mieliśmy z tego powodu taką zgage, ale tak już bywa.

Zapytał, czego mogą się teraz spodziewać, a ona wymieniła najróżniejsze prawne bomby, które Arthur, lub jego następca, może im jeszcze podłożyć. Wszystkie, obiecała, będą niewypałami.

— Czy on naprawdę wycofa się z tej sprawy? — zapytał.

— To zależy od niego. Sąd wyraźnie zostawił mu otwartą furtkę.

— Myślę, że Arthur jest jak ten króliczek z reklamy baterii. Nie popuszcza.

— Być może.

— I cóż?- powiedział. Stanęli pośród chmary prawników i urzędników pędzących z papierami, które należało złożyć do południa, oraz ludzi pracujących w budynku, wychodzących na lunch lub wracających z niego. Patrzył na nią czując, jak wzbierają w nim emocje. — Pewnie teraz się pożegnamy?

Roześmiała się ciepło.

— To mało prawdopodobne, Larry.

322

- Nie?

— Będziesz musiał walczyć, żeby ponownie zniknąć z mojego życia, koleś. Zadzwoń do mnie. Powinniśmy to opić. Serio. — Objęła go i uściskała. Jak większość prawników sądowych była mistrzynią w zachowywaniu pozorów, toteż zdołała to zrobić ze sterylnym opanowaniem. Mijający ich ludzie nie mogliby tego uznać za nic innego, jak serdeczne pożegnanie cenionego kolegi. Ale w jej dotyku było coś więcej. — Czekam na telefon — dodała, gdy go puściła. Ruszyła przed siebie, a potem pomachała do niego zalotnie. Był to pierwszy i jedyny moment, kiedy ktoś mógłby powiedzieć, że ona z nim flirtuje. Już od pewnego czasu chodziło mu to po głowie, ale dopiero teraz był pewien, że się nie myli.

Oszołomiony przeszedł między wysokimi doryckimi kolumnami County Building. Odruchowo sięgnął po okulary przeciwsłoneczne, ale zobaczył, że niebo jest zachmurzone. W powietrzu czuło się ciężki zapach deszczu.

Już raz kiedyś myślał, że ta sprawa jest praktycznie zakończona, chociaż niezbyt go to wtedy cieszyło. Było to po dwóch tygodniach siedzenia obok Muriel podczas procesu Wiewióry na początku roku 1992. Ich związek można było podsumować jednym słowem: „kaput”. Muriel gotowała się do poślubienia Talmadge'a, a Larry przygotowywał się do procesu, marząc jak nastolatek, że samo dotykanie się łokciami

sprawi, że Muriel się opamięta. Kiedy tak się nie stało, popadł w takie przygnębienie, że nie był pewny, kogo tak naprawdę ława przysięgłych skazała na śmierć.

Wyglupiając się lub flirtując, Muriel rzuciła kilka tygodni temu uwagę, że mu jej brakuje, i gdyby zaraz nie odłożyła słuchawki, powiedziałby pewnie coś głupiego. Ale nie chciał znowu przechodzić przez to samo — byłoby to jak zgłoszenie się na ochotnika do skoku z czterdziestego piętra. To była po prostu ironia losu, i tyle. Od początku do końca te dwie sprawy były wręcz synonimiczne: koniec Rommy'ego i koniec z Muriel.

Spojrzał z chodnika na solidny ceglany blok County Building i zobaczył słowa wryte w piaskowcu nad kolumnami. Veritas. Justitia. Ministerium. Jeśli jego łacina ze szkoły parafialnej była cokolwiek warta, znaczyły one: prawda, sprawiedliwość, służba. Poczuł, jak po całym ciele przechodzą mu ciarki. To wciąż były właściwe słowa, wciąż o to mu chodziło, wciąż dodawało mu to energii do pracy nad tą sprawą, mimo osobi-

323

stych pierdoł i najróżniejszych posunięć obrońców Rommy ego. Ale tak jakoś, stojąc tam, był pewny tylko jednego. Wciąż nie był zadowolony.

Gillian usłyszała o orzeczeniu dopiero po południu. Była wtedy w sklepie w Center City i Argentina Rojas, która przyszła na drugą zmianę za ladą, powiedziała jej, czego dowiedziała się o tym z radia. Był to pierwszy raz, kiedy Argentina dała po sobie poznać, że wie o jej poprzednim życiu, i wyraźnie złamała narzucony sobie zakaz tylko dlatego, że po tym, co pisano o Gillian po zeznaniach Erna, spodziewała się, iż przynosi dobre wieści. Gillian podziękowała jej jak najserdeczniej, a potem, gdy tylko było to możliwe, poszła do pokoju dla pracowników, żeby zadzwonić do Arthura.

— Żyję — odparł, kiedy zapytała, jak się czuje. — W pewnym sensie. — Przedstawił jej pokrótce decyzję sądu. — Nie spodziewałem się, że mnie tak rozniosą.

— Może dasz się zabrać na kolację, Arthurze? — Nie planowała tego, ale bardzo chciała go pocieszyć i wiedziała, jak bardzo on chciał, żeby oboje wyszli w końcu między ludzi. Mimo przygnębienia wyraźnie go to ucieszyło. Powiedziała, że spotkają się w Matchbook, popularnym lokalu w Center City, gdzie Arthur będzie mógł zamówić stek i ziemniaki, czyli swoje ulubione danie. Kiedy pojawiła się tam o ósmej wieczorem, już siedział przy stoliku. Wyglądał jak ludzki wrak.

— Zamów sobie drinka — powiedziała. Gdy byli razem, ze względu na nią nie pił

alkoholu, ale teraz bardzo potrzebował odrobiny szkockiej.

Przyniósł jej kopię orzeczenia, ale nie pozwolił jej przeczytać zbyt wiele, póki się nie wyzalił. W przeszłości mówił jej wielokrotnie, że przegrają, ale kiedy naprawdę tak się stało, nie mógł się z tym pogodzić. Jak sędziowie mogli to zrobić?

— Arthurze, nauczyłam się czegoś za stołem sędziowskim. obrońcy i oskarżyciele patrzają na siebie ze znacznie większą tolerancją niż na sędziów. Ile razy wybaczyłeś jakiemuś prokuratorowi — na przykład Muriel — mówiąc, że wykonuje po prostu swoją pracę? Ale kiedy idzie o sędziów, jesteście oburzeni. Sędziowie też robią to, co do nich należy. Robią, co w ich mocy. Ktoś musi podjąć decyzję, a więc ją podejmujesz. Podejmujesz ją, nawet jeśli jesteś przekonany, że niektórzy ludzie, których mijasz na ulicy w drodze do pracy, lepiej poradziłiby

324

sobie z jakimiś konkretnymi pytaniami. Decydujesz. Na początku strasznie się boisz, że popełnisz błąd. Potem już wiesz, że je często popełniasz, że jest to wliczone w system, że nie byłyby potrzebne sądy apelacyjne, gdyby sędziowie byli nieomylni. A więc decydujesz. Z pokorą. Po ludzku. Wykonujesz swoją pracę. Oni podjęli decyzję, Arthurze. Ale to nie znaczy, że mają rację.

— To naprawdę pocieszające — zadrwił. — Bo w gruncie rzeczy wypowiedzieli ostatnie słowo. — Mógł jeszcze toczyć jakieś prawne utarczki, ale nie liczył na cud. - I nie mogę uwierzyć, że mieli czelność mnie zwolnić.

— Z podziękowaniem, Arthurze.

— Słowo „wymuszony” przesadnie określałoby ich entuzjazm. A poza tym to takie oślisze. Oni po prostu nie chcą, żeby tą sprawą zajmował się ktoś, kto ma środki, by się jej całkowicie poświęcić.

— Arthurze, oni próbują zdjąć ciężar z ciebie i twoich partnerów. Możesz przecież reprezentować Rommy'ego bezpośrednio, na zasadzie pro bono. On sam mógłby cię zaangażować.

— Jasne. Tego właśnie pragną moi partnerzy. Ja w pieprzonym ringu przeciwko sądowi apelacyjnemu.

Widząc, że nie zdoła go pocieszyć, popadła w przygnębienie. Miała pewność, że to, co zaistniało między nią a Arthurem, jest bardzo kruche. Było z tysiąc powodów tego stanu — ale teraz dostrzegła jeszcze jeden. Pokonany Arthur nie zdoła udźwignąć ciężaru tego związku. Będzie się widział w coraz gorszym świetle, a wkrótce i ją zacznie tak postrzegać.

W ciągu tych kilku godzin, które każdego dnia spędzała w domu Duffy'ego, Gillian często zadawała sobie pytanie, którego Arthur nie ośmielił się jeszcze postawić. Czy go kocha? Był, bez wątpienia, kochankiem jej życia. Ale miłość? Była zaskoczona, jak szybko doszła do wniosku, że odpowiedź brzmi: tak. Związek z nim miał w sobie coś odnawiającego, wiecznego, fundamentalnego. Chciała być z Arthurem. I dlatego z wielkim smutkiem uświadamiała sobie wciąż na nowo, że na dłuższą metę nie jest to możliwe. Przez całe tygodnie zastanawiała się, czy będzie skłonna podjąć walkę, kiedy - co nieuniknione - łączące ich więzy zaczną się strzępić, czy też po prostu zaakceptuje swój los. Teraz wiedziała już, że nie, że nie będzie stać bezwolnie, czekając, aż znowu zostanie rozjechana przez życie. Dzięki Arthurowi stała się lepszym człowiekiem. Musiała, dla

325

dobra ich obojga, wzbudzić w nim teraz jakąś odporność, dodać mu otuchy.

— Arthurze, mogę cię o coś zapytać?

— Tak, chcę się z tobą kochać dziś w nocy.

Wyciągnęła rękę nad stolikiem i klepnęła go po dłoni. Ale to, że jego libido nie osłabło mimo rozczarowania, dodało jej odwagi.

— Nie o to, Arthurze. Czy sąd ma rację?

— Z punktu widzenia prawa?

— Czy twój klient jest niewinny, Arthurze? Co myślisz naprawdę?

W tej chwili pojawiła się szkocka Arthura. Spojrzał z ciężkim sercem na szklaneczkę, ale jej nie tknął.

— A co ty myślisz, Gil?

Była to trafna riposta — chociaż się jej nie spodziewała. Od tygodni nie stawiała sobie tego pytania. W tym czasie liczba powodów, by nie wierzyć Ernowi, którego zresztą podejrzewała od początku, wielokrotnie wzrosła. Mimo to podstawowe fakty z tej sprawy wciąż były dla niej istnym trzęsawiskiem — zapisy sugerujące, że Gandolph mógł być w więzieniu, relacja Erdaia, kradzieże Luisy, pytanie, czy Gandolph był zdolny do brutalności. Teraz, mimo wysiłków, by ocenić to wszystko na chłodno, kierując się zdrowym rozsądkiem, nie mogła się pozbyć wątpliwości, i to uzasadnionych, a zatem na podstawie znanych obecnie faktów nie mogłaby posłać Rommy'ego Gandolpha ani na śmierć, ani do więzienia. Arthur w jakiś sposób zdołał ją przekonać do zmiany stanowiska, chociaż nadal nie była pewna, czy powinna

uważać Gandolpha za niewinnego lub skrytykować swoją decyzję sprzed dziesięciu lat, zwłaszcza biorąc pod uwagę dowody, które jej wtedy przedstawiono.

— Ale moje zdanie nie ma teraz żadnego znaczenia, Arthurze — odparła, wyjaśniawszy swój punkt widzenia. — Jaka jest twoja opinia?

— Wierzę Genevieve. Nawet Erno przyznał, że powiedziała mu, iż Rommy groził Luisie śmiercią. I za każdym razem, gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że Erno kłamał jeszcze w jakiejś sprawie. Ale nadal muszę wierzyć, że Rommy jest niewinny. I wierzę w to. — Pokręcił głową, przygnębiony absurdalnością tego, co powiedział.

— W takim razie musisz to kontynuować. Prawda? Jako

326

obrońca. Czy mógłbyś spojrzeć w lustro, gdybyś na tym etapie opuścił niewinnego klienta? Zrób wszystko, co w twojej mocy, Arthurze. Przynajmniej spróbuj — powiedziała.

— Czego mam spróbować? Potrzebuję faktów. Nowych faktów.

Za każdym razem, kiedy Arthur mówił o tej sprawie, a robił to stale, słuchała z zainteresowaniem, ograniczając się do zachęt. Było dla niej lepiej, gdy zdecydowanie trzymała się tego, że już nie ma w tym wszystkim żadnej roli do odegrania. Mimo to myślała nad sprawą i doszła do pewnych wniosków, których nie było już sensu trzymać tylko dla siebie.

— Wiesz, waham się, czy powinnam coś zasugerować — zaczęła.

Machnięciem ręki zbył jej obiekcje, zachęcając ją do mówienia.

— Nie powiedziałaś Muriel, że Erno także kradł bilety, zgadza się? - zapytała.

— Boże, nie — odparł Arthur. — To tylko pogarsza jego wizerunek. Do czego zmierzasz?

— Cóż, Erno powiedział, że starł się z Luisąw Paradise... ponieważ bał się, że jej działalność może doprowadzić do odkrycia jego własnych kombinacji. Mam rację?

— I co z tego?

— Ale Erno kazał Luisę przeszukać i nic nie znalazł. Dlaczego więc był taki pewny, że wie, co ona kręci? Poza tym, jeśli nie miał z nią romansu, to co sprowadziło go o północy w świąteczny weekend do tego lokalu, gdzie się z nią pokłócił?

— To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem o Ernie — odparł Arthur. — Nie potrafię się już połapać w jego kłamstwach.

— Cóż, może patrzę na to świeższym okiem niż ty, Arthurze. Zastanawiałem się nad tym i sądzę, że Erno obserwował Luisę... na własną rękę, bo nie mógł powiedzieć podwładnym o swoich podejrzeniach z obawy, że wtedy wyjdą na jaw jego własne grzeszki. I mając na nią oko, musiał ją przyłapać na kradzieży.

— To ma sens. Powiedział, że poszedł do Paradise, żeby ją powstrzymać.

— Ale dlaczego nie powstrzymał jej na lotnisku?

— Prawdopodobnie chciał zobaczyć, komu dostarcza bilety. - To zwykła praktyka, kiedy się kogoś śledzi, prawda?

— Co sprowadza cię z powrotem do jej kupca. Faraona?

327

— Faraona. Co z nim?

— Cóż, musiał tam być, Arthurze. W Paradise. W którymś momencie.

Zobaczyła, że Arthur, prawie wbrew swej woli, odżywa. Wyprostował się, jego twarz pojaśniała, ale po kilku sekundach pokręcił głową.

— Nie możemy go odnaleźć. Rommy powiedział, że Faraon dostał jakiś duży wyrok, ale Pamela szukała jego nazwiska w aktach sądowych i niczego nie odkryliśmy. Nawet Erno powiedział, że on gdzieś przepadł.

— Wiem, ale zwróciłam uwagę na jeden szczegół. Genevieve powiedziała, że nie może zrozumieć, jak Luisie i Faraonowi udawało się unikać wpadki. Mam rację?

— Tak powiedziała.

— A zatem Faraon miał znacznie bardziej wyrafinowane sposoby sprzedaży biletów niż wciskanie ich ludziom na ulicy.

— Rommy powiedział, że opychał je przez jakąś firmę. — Arthur szybko zrozumiał, do czego Gillian zmierza. — O czym myślisz? Dział podróży jakiejś spółki?

— Coś w tym stylu.

Zaczęli razem szkicować przypuszczalne rozwiązania i Arthur do pewnego stopnia stał się znowu sobą, ożywiony nadzieją na coś niemożliwego. Potem, całkiem nagle, wrócił mu ponury nastrój i zatrzymał na niej swoje małe, łagodne oczy.

— Co? - zapytała, myśląc, że odkrył jakiś błąd w jej rozumowaniu.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

— Byłaś w tym taka dobra — powiedział.

32

7-8 sierpnia 2001

Oczywiste

W piątek, krótko po północy, zmarł Erno Erdai. Arthur dowiedział się o tym w sobotę od Stewa Dubinsky'ego, kiedy dziennikarz zadzwonił do niego wcześniej rano z prośbą o komentarz. Arthur złożył kondolencje rodzinie, po czym przypomniawszy sobie o swoich obowiązkach adwokata, pochwalił Erna jako człowieka, który znalazł odwagę, żeby pod koniec

328

życia próbować naprawić krzywdę, którą kiedyś wyrządził. Arthurowi rzadko zdarzało się mówić z mniejszą wiarą we własne słowa.

Niemniej jednak jego rola reprezentanta Rommy'ego wymagała, żeby poszedł na mszę żałobną za Erna, która odbyła się we wtorek rano w katedrze Świętej Marii. Lato, zwłaszcza tego roku, nie obfitowało w interesujące wiadomości, dlatego też śmierć Erna zajęła główne miejsce na scenie wydarzeń opisywanych w lokalnej prasie, pomimo rewelacji Genevieve i orzeczenia sądu apelacyjnego. Biorąc to pod uwagę, nie było niczym zaskakującym, że mowę pogrzebową wygłosił wielebny doktor Carnelian Blythe. Archidiecezja również stanęła za Ernem murem, a ksiądz Wójcik, rektor ze Świętej Marii, celebrował mszę. Gwiazdą był jednak Blythe, który jako kaznodzieja nie miał sobie równych, dzięki czemu, przede wszystkim, przed prawie czterdziestu laty dał się poznać światu i z czasem uzyskał swoją obecną pozycję.

Wielebny Blythe był pod wieloma względami geniuszem. Większość białych mieszkańców hrabstwa Kindle śmiała się z niego, rozbawiona jego przesadną retoryką i tym, że niemal bez przerwy był na coś wściekły. Arthur nie stanowił tu wyjątku. Mimo to pamiętał o wielu osiągnięciach pastora, nie tylko legendarnych wyczynach, jak marsze u boku doktora Kinga i wymuszenie zniesienia segregacji rasowej w szkołach, ale i mniej głośnych dokonaniach, jak program darmowych śniadań dla dzieci z ubogich rodzin i projekty przebudowy starych domów, dzięki którym zmieniło się oblicze wielu dzielnic. Chyba najbardziej Arthur podziwiał w nim to, że od dawna był głosem nadziei dla swojej społeczności. Arthur wciąż jeszcze

pamiętał, że w wieku jedenastu i dwunastu lat włączał radio na niedzielny program wielebnego Blythe'a i słuchał, jak wraz z wielotysięczną kongregacją intonuje:

JESTEM Człowiekiem JESTEM Kimś

Grzmiący głos Carneliana Blythe'a wstrząsał do głębi młodym Arthurem, który czuł się wtedy tak samo natchniony wielkimi ideami jak trzódka wielebnego.

329

Jednak chyba najbardziej niedoścignioną z umiejętności Blytha była jego zdolność do angażowania w swoje akcje środków masowego przekazu. Jeśli on gdzieś był, były tam też kamery - ilekroć otworzył usta, pojawiał się na przynajmniej piętnaście sekund w wieczornych wiadomościach. Arthurowi nie wypadło się temu sprzeciwić. Pastor zdołał utrzymać sprawę Rommy'ego na pierwszych stronach gazet. Było prawie pewne, że gdyby nie on, media szybko przestałyby się nią interesować. Mimo to Arthur wciąż czuł, że jego klient wyszedłby na tym lepiej, gdyby jego los nie był stałym tematem pomstowań Blythe'a.

Po końcowej pieśni Blythe wyszedł za księdzem Wójcikiem i rodziną zmarłego z katedry, po czym pochylił głowę, gdy przykryta białymi kwiatami oraz flagą narodową trumna Erna została wyniesiona na zewnątrz i włożona do karawanu. Fotoreporterzy jak zwykle bez żadnego poczucia przyzwoitości tłoczyli się dookoła. Collins, siostrzeniec Erna, którego twarz Arthur poznał z policyjnej fotografii, był jednym z sześciu żałobników niosących trumnę. W garniturze i pod krawatem wyglądał niczym solidny obywatel, którym, jak mówiono, się stał. Uniósł popielatą rękawiczkę do oczu, kiedy skrzynia z ciałem zmarłego zniknęła w karawanie, a potem zaczął pocieszać matkę i ciotkę, obie w czerni. Następnie wszyscy troje podeszli do limuzyny, która miała jechać za zwłokami Erna na cmentarz.

Gdy tylko rodzina odjechała, Blythe zaczął powtarzać dużą część swej mowy pogrzebowej przed kamerami, które otaczały go na schodach katedry. Arthur starał się wymknąć niepostrzeżenie, ale zatrzymała go stojąca na uboczu reporterka. Była to Mira Amir z wydawanego w West Bank „Bungie”, która wyprzedzała Stewa Dubinsky'ego w pogoni za informacjami o prawie każdej ważnej sprawie. Odpowiadając na jej pytania, Arthur zapewnił ją że Gandolph złoży wniosek o ponowne rozważenie orzeczenia sądu apelacyjnego oddalającego skargę habeas. Stwierdził, że spodziewa się, iż wniosek zostanie przyjęty, ale miał niewiele do powiedzenia, kiedy Mira przycisnęła go, pytając o konkretne podstawy prawne, na które się powoła.

Wrócił do biura przygnębiony, zniechęcony do sprawy Gandolpha i, co było

nieuniknione, pogrążony w posepnych myślach o ojcu, które wywołała ceremonia pogrzebowa. Pamela zostawiła mu na biurku wysoki na osiem cali stos dokumentów i notatkę z wyjaśnieniami. Zgodnie z sugestią Gillian, przez ostat-

330

nie dwa dni próbowała wśród osób świadczących usługi turystyczne w hrabstwie Kindle odnaleźć kogoś, kogo nazywano Faraonem lub podobnie. Nie miała szczęścia, chociaż większą część poprzedniego dnia wisiała na telefonie, a dziś, za namową Arthura, pojechała sprawdzić w rejestrach listy agentów biur podróży z całego stanu.

Dane, które zebrała, były starannie pogrupowane: listy pracowników działów podróży różnych firm, lista członków lokalnego zrzeszenia biur turystycznych i kopie mikrofilmów formularzy rejestracyjnych czterech agentów biur podróży. W przeciwieństwie do większości stanów, tutaj tacy agenci byli licencjonowani. W tym celu musieli ukończyć dwuletni specjalistyczny college, zdać ogólnostanowy egzamin i przedstawić świadectwo moralności, co, mówiąc ogólnie, oznaczało wykazanie, że nie popełnili żadnych ciężkich przestępstw i nie kradli pieniędzy klientów. Według barwnej relacji z notatki Pameli, dziewczyna, chcąc zidentyfikować agentów, którzy uzyskali licencje w roku 1991, musiała wrócić do ery przedinformatycznej w piwnicach Wydziału Rejestrowego, gdzie było tyle pleśni, że niemal się udusiła, a po wielu godzinach ślęczenia przed czytnikiem mikrofilmów nabawiła się strasznego bólu głowy.

Arthur wziął szare kopie formularzy rejestracyjnych, które wydrukowała Pamela. Fred O'Fallon („Fred O?” dopisała obok). Pia Ferro. Nick Pharos.

Faro Cole.

Niemal natychmiast przypomniał sobie, skąd zna to nazwisko, po czym pognął po schodach do pokoju Pameli. Rozmawiała właśnie przez telefon, ale nie chciał czekać i tak długo podskakiwał oraz wymachiwał rękami, aż zmusił ją do odłożenia słuchawki.

- To jest facet, którego postrzelił Erno!

Chcąc uzyskać pewność, kazał Pameli wyciągnąć z szafy na korytarzu policyjne raporty. Gdy tylko to zrobiła, usiedli w jej skromnym pokoju, wąskim pomieszczeniu wyłożonym beżowym laminatem, gdzie każdą płaską powierzchnię zajmowały nieregularne stosy pudeł, szkiców dokumentów i posążki. W rogu ustawiła dodatkowo fotel na biegunach nakryty jaskrawo-czerwonym kocem z wyhaftowanym herbem Wisconsin University. Kładła na nim swój płaszcz oraz poniewierające się w biurze książki, których jeszcze nie oddała w bibliotecę kancelarii. Arthur usunął to

wszystko, a koc powiesił na metalowych licz-

331

nikach ciepła. Zrobił to z czułą rewerencją, którą Pamela uznała za całkowicie należną. Usiadł, a ona położyła nogi na biurku. Jak już to robili wiele razy, zaczęli improwizować. To był Faro, nie Faraon. Agent biura podróży. Teraz wydawało się to oczywiste. Pamela była wręcz zła na siebie.

— Rommy mówił, że to było F, a, r, o — powiedziała — a ja go wyśmiałam.

— Jeśli twoim największym błędem jako prawniczki było to, że nie brałaś lekcji ortografii u Rommy'ego Gandolpha, twoja kariera dobrze się ułoży — odparł Arthur. Mieli coś ważniejszego do zrobienia niż zastanawianie się, jak mogli być tacy tępi.
— Gdzie go znajdziemy? — zapytał.

Mając już dosyć zakurzonych piwnic, Pamela namawiała go do skorzystania z usług jednej z internetowych firm poszuki wawczych, które stworzyły bazy danych z archiwów publicznych wszystkich pięćdziesięciu stanów. Partnerzy Arthura za czeli kwestionować sens dodatkowych wydatków na przegranej sprawę, ale on nawet bardziej niż Pamela chciał szybko poznać odpowiedź. Jednakże to, co otrzymali, nie wydawało się warte* stu pięćdziesięciu dolarów, które wydali. Była tam wrywkowa historia kredytu, w której znajdowało się niewiele więcej poza jego adresem z roku 1990 oraz danymi, ostatnio aktualizowanymi w roku 1996, z prawa jazdy. Jeśli chodzi o miriady akt, które firma QuikTrak jakoby zgromadziła, we wszystkich pięćdziesięciu stanach niczego więcej nie znaleźli. Faro nie był już agentem biura podróży ani w tym stanie, ani w żadnym z trzynastu pozostałych, w których takie zajęcie wymagało licencji. Faro Cole nigdy nie stanął przed sądem — nigdy nikogo nie pozwał, nigdy nie zbankrutował, nigdy się nie rozwiódł, nigdy nie został skazany. Nigdy nie wziął kredytu hipotecznego ani nie posiadał nieruchomości; nigdy nie był żonaty. W gruncie rzeczy, jeśli wierzyć firmie QuikTrak, nigdy się nie urodził ani nie umarł, przynajmniej w Ameryce.

— Jak to możliwe? - zapytała Pamela, kiedy ostatni raz spróbowali poszukać informacji o dacie i miejscu urodzin.

Arthur patrzył w zadumie na ekran. Tak jak ostatnio, gdy już się poznało odpowiedź, wszystko stawało się oczywiste.

— To fałszywe nazwisko — powiedział. — Faro Cole to pseudonim. Szukamy kogoś innego. - I wraz z tym stało się także oczywiste coś innego.

Nie posunęli się ani o krok do przodu.

W środę Larry, jak w większość dni, które upłynęły od wydania decyzji przez sąd, wziął sobie wolne, wykorzystując nadgodziny, które zgromadził, gdy śleczął po nocach nad sprawą Gandolpha. Razem ze swoimi robotnikami kończył nowy dom blisko szczytu Top Hill, a że nie pokazał się jego tynkarz, musiał sam nałożyć maskę i przez cały dzień szlifować ścianę. Było to brudne, nudne zajęcie i miał wrażenie, że drobny pył gipsowy wciska się nawet w pory jego skóry.

Okolo południa zawibrował pager. Na wyświetlaczu zobaczył numer McGrath Hall. Policyjna szycha. Gdyby zajmował się czymś wartym zachodu, zignorowałby to, ale dziś nic takiego nie miał do roboty. Po drugiej stronie linii sekretarka odpowiedziała: „Biuro zastępcy komendanta Amos”. Wilma Amos, dawna partnerka Larry'ego w grupie specjalnej prowadzącej śledztwo w sprawie Masakry z Czwartego Lipca, była teraz zastępcą komendanta do spraw personalnych. Larry uważał, że ona i jej praca zasługują na siebie nawzajem, ale Wilma wciąż przejawiała pewne zainteresowanie sprawą Gandolpha i zadzwoniła do niego kilka razy po pojawieniu się Erna, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Czekał na połączenie, Larry pomyślał, że może chciała go pochwalić w związku z decyzją sądu apelacyjnego, ale kiedy się w końcu odezwała, powiedziała, że ma pewne wiadomości, które mogą go zainteresować.

- Moja siostra Rosę pracuje w Wydziale Rejestrowym -mówiła dalej. -Wczoraj przyszła tam dziewczyna, która powiedziała, że jest prawnikiem w kancelarii Ravena. Szukała informacji o agentach biur podróży z roku 1991.

— Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy oznacza Gandolpha, tak?

— Dlatego dzwonię, Larry.

— A czy twoja siostra wie, co znalazła współpracownica Arthura?

- Rosę pomogła jej wydrukować formularze rejestracyjne. Zrobiła dla mnie kopie. Zamierzałam ci je wysłać, ale powiedzieli, że masz wolne, więc pomyślałam, że będziesz mi wdzięczny, jeśli dam ci znać pagerem.

- Jestem, Wilmo.

Była gotowa odczytać mu nazwiska z formularzy. Larry pożyczył ołówek Paca, swego głównego stolarza, ale przestał pisać natychmiast, gdy wymieniła Fara Cole'a.

— Cholera - powiedział. Wyjaśnił jej, kim był Faro.

— Czy to oznacza, że był agentem biura podróży? - zapytała.

— To znaczy, że coś przegapiłem — odparł Larry. Głęboko poruszony, wrócił do pracy. Początkowo myślał, że

jest wytracony z równowagi, ponieważ nie wpadł na coś tak oczywistego, jak to, że Faro mógł być agentem biura podróży. Było jednak coś więcej. Nie mając nic innego, co zajmowałoby jego uwagę, zastanawiał się nad tym, trąc papierem ściernym po spoinach. Późnym popołudniem przyszła mu do głowy myśl, która niespecjalnie mu się spodobała.

Okolo czwartej Paco i jego dwaj ludzie skończyli pracę, a Larry postanowił przejść się trzy lub cztery przecznice do Ike's, policyjnej spelunki, w której Erno podziurawił Fara Cole[^]. Całkiem możliwe, że gdyby ten lokal nie znajdował się tak blisko, nie zawracałby sobie tym głowy. Były jednak gorsze sposoby spędzenia czasu od wypicia zimnego piwa w gorący dzień i uspokojenia umysłu.

Zrobił, co mógł, aby się jakoś oczyścić, ale kiedy schodził ze wzgórza, w jego włosach i na kombinezonie roboczym bieleły resztki pyłu gipsowego. Był to rejon zamieszkały przez żyjących w wiecznym pośpiechu yuppies. Wielu mieszkańców przyjeżdżało do domu wcześniej, żeby jak najlepiej wykorzystać resztę dziennego światła, a mężczyźni i kobiety z aktówkami w rękach wyglądali tak, jakby wracali z pola golfowego, a nie biura. W college'u Larry specjalizował się w biznesie i zdobył odpowiedni stopień. Kiedy rozmyślał od czasu do czasu o pieniądzach, które mógłby zarobić, pocieszał się między innymi tym, że nie musiał się każdego ranka dusić krawatem. Co za świat. Nie można po prostu mieć wszystkiego.

Ike's był zwykłą knajpą, której nie tknął palcem żaden dekorator. Żadnych paproci ani drewnianych mebli. Było to długie ciemne pomieszczenie z kiepską akustyką, przesiąknięte wyraźnie wyczuwalną wonią rozlanego piwa. Znajdował się tam stary lustrzany bar w kolorze wiśni, wzdłuż ściany ciągnął się rząd boksów pokrytych czerwonym plastikiem, a na środku parkietu stały piknikowe ławy. Ike Minoque, właściciel, był byłym gliniarzem, który we wczesnych latach sześćdziesiątych został postrzelony w głowę i przeszedł na rentę inwalidzką. Na początku jego kumple z szóstego komisariatu zaczęli u niego bywać, żeby mu pomóc. Teraz Ike's był ulubionym miejscem|

spotkań wszystkich policjantów z hrabstwa Kindle. W tygodniu przychodziły tam dwie grupy ludzi— gliniarze i panie, które ich lubiły. Kiedy Larry zaczął pracę w roku 1975, jeden ze starych wyjadaczy powiedział mu: „Ta robota daje ci dwie

rzeczy, jakich nie dostaniesz gdzie indziej. Rewolwer. I dziewczyny. W stosunku do obu mam tę samą radę: Nie wyciągaj go". Larry nie posłuchał. Postrzelił dwóch gości, aczkolwiek w okolicznościach, które to usprawiedliwiały. W drugiej sprawie nie miał już żadnych usprawiedliwień.

Zgodnie z niepisany kodeksem nikt nigdy się nie zająknął o tym, co się działo w Ike's — o czym się mówiło lub z kim się wyszło. W rezultacie można się tam było dowiedzieć rzeczy, których nie uczono w Akademii Policyjnej. Faceci dużo kłamali — okrywali się fałszywą chwałą. Było też wiele pijackich wyznań: kiedy nie ubezpieczyłeś odpowiednio partnera, kiedy byłeś tak przerażony, że zawiodło cię ciało. Mogłeś tu krzyczeć o spieprzonych sprawach i śmiać się ze świata ćwoków o mózgach wielkości fasoli, którzy tylko czekali, aż policja ich znajdzie.

Kiedy Larry wszedł, odezwało się do niego kilku bywalców. Zaczął ścisnąć dłonie, mówiąc różne pierdoły i słuchając ich, po czym podszedł do baru, przy którym Ike coś sobie szkicował. Na dwóch monitorach telewizyjnych wiszących w sali barowej można było oglądać powtórkę serialu Gliniarze.

Tak jak to już zrobiło kilkoro mężczyzn i kobiet, Ike pogratulował Larry'emu wyniku sprawy Gandolpha. Problem z Er-nem martwił wielu ludzi — tak było zawsze, kiedy ktoś, kto nazywał siebie członkiem bractwa, schodził na złą drogę.

— Taa — powiedział Larry — nie popłakałem się, kiedy Erno ruszył autostradą do piekła. — Na barze obok niego leżała poranna gazeta. Pod linią złożenia widniała fotografia Collinsa i innych ładujących trumnę Erna do karawanu. Poprzedniego dnia Larry z najwyższym trudem wytłumaczył sobie, że nie powinien iść do katedry Świętej Marii z plakatem głoszącym „Krzyżyk na drogę”.

- Ten palant mnie też nie pasował - odparł Ike. - Było coś dziwnego w tym, jak wzdychał do służby. Wiesz, jakby mamusia trzymała go w domu, kiedy inni chłopcy szli się bawić. Myślałem, że ma złe pojęcie o sprawach. Teraz łatwo to mówić. Ale Erno nie był całkiem zły - dodał Ike z uśmiechem. - Kupił tu cholernie dużo piwa.

335

Ike przypominał podstarzałego bitnika. Na czubku głowy zupełnie już wyłysiał, siwe włosy po bokach opadały mu aż do kołnierza i miał bródkę. Nosił długi fartuch, który wyglądał tak, jakby nie był prany od miesiąca, a oko, w którym stracił wzrok, kiedy został postrzelony, było mlecznobiałe i z jakichś własnych powodów poruszało się od czasu do czasu.

— Czy byłeś tu tej nocy, kiedy podziurawił tego faceta? — zapytał go Larry.

— Tutaj? Taa. Ale robiłem to samo, co robię teraz. Nie widziałem niczego do chwili, gdy poczułem zapach prochu. Czy to nie dziwaczne? - zapytał Ike. - Na huk tej trzydziestki ósemki mało gips nie spadł ze ścian, ale pierwsze, co pamiętam, to zapach. — Popatrzył na salę. — Gage, który tam siedzi, stał nie dalej niż trzy stopy od nich obu. Widział wszystko.

Larry poczekał na piwo, po czym ruszył w tamtą stronę. Mikę Gage pracował w Wydziale Przystępstw Przeciwko Własności na szóstym komisariacie. Jego zdjęcie mogłoby się znaleźć w słowniku obok hasła „dobry glina”. Był jednym z tych czarnych z tak gęstą fryzurą, że wyglądała, jakby ją wyrzeźbiono dłutem. Był spokojnym facetem: kościół co niedziela, sześcioro dzieci. Larry miał teorię, że ci spokojni faceci najlepiej się sprawdzają w pracy. On sam, zwłaszcza gdy był młodszy, zbyt łatwo dawał się ponieść emocjom. Mikę był zrównoważony. Wielu policjantów miało skłonność do popadania w rozgoryczenie. Ogólnie rzecz biorąc, służba rzadko okazywała się przygodą, na którą liczyli. Nawet ich dzieci dorastały i uświadamiały sobie, że tatusiowie nie są taką legendą, jaką chcieli być we własnych oczach. Ich dni wypełniała papierkowa praca i nuda. Ustosunkowani wyprzedzali ich w awansach, a oni zarabiali o wiele mniej niż połowa mend, które zamykali. Ale Mikę, podobnie jak Larry, wciąż jeszcze czuł dreszcz podniecenia na widok odznaki, kiedy brał ją każdego ranka. Nadal myślał, że pomaganie ludziom w tym, żeby byli raczej dobrzy niż źli, to wielka sprawa.

Mikę siedział z grupą innych facetów z szóstki, ale zrobił Larry'emu miejsce na ławie obok siebie. Jeden z tych gości, Mai Rodrigues, wyciągnął rękę nad stołem piknikowym i Larry przybił ją w stylu piłkarskim, jeszcze raz celebrując swoje ostatnie zwycięstwo. Było tam głośno - z kolumn grzmiał zespół Creed — i żeby go przekrzyczeć, Larry musiał się przysunąć

336

bardzo blisko do Mike'a. Przez minutę rozmawiali o sprawie, o tym, jakim dziwnym facetem okazał się Erno.

— Ike mówi, że byłeś prawie przy nich, kiedy Erno strzelił do tego typka... Fara Cole'a?

— Larry, jestem w robocie tak długo jak ty i, prawdę mówiąc, nigdy nie byłem bliżej kuli. - Mikę uśmiechnął się do swojego piwa. - Ten głupek, którego Erno postrzelił... Fara?... zawodził jak jakaś Irakijka, a Erno wyrwał mu broń z ręki i wypchnął go na zewnątrz. Potem nagle byli z powrotem w środku i bang. Nie dalej niż trzy stopy ode mnie. - Mikę wskazał w stronę bocznych drzwi, gdzie wtedy siedział.

Larry zadał jedno z pytań, które od pewnego czasu nie dawały mu spokoju: Dlaczego nigdy nie wniesiono skargi przeciwko Cole'owi za to, że groził Ernowi?

— Wszyscy myśleliśmy o nim w czasie przeszłym. A poza tym Erno także nie chciał wnosić żadnych oskarżeń. Gdy tylko zabraliśmy mu broń, zaczął wrzeszczeć nad ciałem.

— Podobno Erno mówił, że to była samoobrona?

— Mówił. Ale powtarzał nam też, żebyśmy zostawili faceta w spokoju.

— Niezbyt to logiczne.

— Ty jesteś z Wydziału Zabójstw, sam mi powiedz. Ale nie wydaje mi się, że można szukać logiki tam, gdzie ludzie do siebie strzelają.

Larry zastanawiał się przez chwilę. Rozsądek mówił mu, żeby skończyć na tym, ale w wieku pięćdziesięciu czterech lat nie nauczył się jeszcze słuchać jego głosu.

— Posłuchaj, Mikę, zaczynam mieć złe sny. Muszę się uspokoić co do jednej rzeczy. Jak myślisz, poznałbyś teraz tego faceta? Fara?

— To cztery lata, Larry. Może Mai mógłby. Miał jego głowę na kolanach przez kwadrans, kiedy czekaliśmy na ambulans.

— Pozwól, że postawię wam obu piwo przy barze.

Ike odłożył już gdzieś poranną gazetę i minęło trochę czasu, nim ją znalazł.

— To ten ptaszek - powiedział Larry, pokazując Gage'owi i Rodriguesowi zdjęcie na pierwszej stronie - Ten tutaj. Chcę tylko sprawdzić, czy on nie wygląda jak facet, którego postrzelił Erno.

Rodrigues zerknął na gazetę, zanim zrobił to Mikę Gage,

337

ale na ich twarzach pojawił się ten sam wyraz. Larry wskazywał Collinsa na fotografii z pogrzebu Erna.

- Chryste - mruknął Larry. Lecz elementy układanki wciąż wskakiwały na swoje miejsca przez cały dzień. Faro był agentem biura podróży, tak jak Collins. Wzrost, wiek, rasa, wszystko się zgadzało. Tak jak Collins, Faro był reprezentowany przez Jacksona Airesa. „Faro Cole” trochę przypominało „Collins Farwell”, tyle że przedstawione, co często robili ludzie używający pseudonimów, żeby nawet ostatni kretyń, znalazłszy się w trudnej sytuacji, miał wskazówkę, pod jakim nazwiskiem

ostatnio występował. Poza tym przyjęcie fałszywej tożsamości nie byłoby czymś niezwykle w przypadku niegrzecznego chłopca, który właśnie, jak Collins w roku 1997, wyszedł z więzienia. Dawało mu to szansę zmylenia policji — i kuratorów sądowych — gdyby został na czymś przyłapany. Najbardziej jednak zaprzętało Larry'ego to, co mu się przypomniało, gdy szlifował ścianę: opowieść Collinsa o tym, jak Jezus wkroczył w jego życie wraz z kulą, która zrobiła mu dziurę w plecach.

Rodrigues próbował go pocieszyć:

— Nie musisz wierzyć w rozpoznanie wzrokowe po czterech latach, nawet jeśli mówią ci to gliniarze.

Larry wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać przez telefon komórkowy. Wysokie chmury ciemniały i przypominały rozzłoszczonego ogiera, który staje dęba. W nocy może być burza. Wrócił do rzeczywistości i ugiął się pod jej ciężarem.

Co za pieprzona sprawa.

33

8 sierpnia 2001

Morze

— Masz czas, żeby wyjść z biura?

Muriel mocniej ścisnęła słuchawkę. To, że Larry nie zawracał sobie nawet głowy przedstawieniem się lub powitaniem, kojarzyło jej się z czymś ciepłym i znajomym. Czekwała na jego telefon od wielu dni, ale on natychmiast rozwiął jej nadzieje, dodając:

- Są tu faceci, z którymi powinnaś pogadać.

Kiedy w końcu zapytała, gdzie on, do diabła, jest, w jej gło-

338

sie pobrzmiwało jeszcze słabe echo zakłopotania. Dobiegające ze słuchawki odgłosy wskazywały, że siedzi w jakiejś knajpie.

— Mamy jakiś problem? — zapytała.

— To puszka robali — odparł Larry. — Nie. Węży. Grzechotni-ków. Mokasynów.

Mieli problem.

— I jeśli nie masz nic przeciwko temu — dodał — przywieź te stare akta Collinsa,

które zebraliśmy, kiedy pojechaliśmy odwiedzić go w więzieniu. - Powiedział jej, gdzie ma ich szukać pośród aktualnych materiałów w jej gabinecie.

Przechodząc pół godziny później przez dębowe drzwi baru Ike's, Muriel wyczuła napięcie, jakie wywołała, wchodząc tutaj. Ogólnie rzecz biorąc, w Zjednoczonych Siłach Policyjnych Hrabstwa Kindle panowały dwie szkoły myślenia na jej temat: niektórzy ją lubili, inni szczerze nienawidzili. Ci z drugiego obozu zachowywali swoje uczucia dla siebie, kiedy byli w pracy, ale po służbie nie uważali, że są jej winni tę grzeczność. Pamiętali sprawy, których nie chciała przyjąć, i twarde warunki, które im stawiała, a czasem wręcz narzucała. W ich świecie zbyt wiele znaczyło machismo, żeby mogli zachować dobre samopoczucie, znosząc krytyczne uwagi — lub ambicje — kobiety. Mogła im przyznać rację co do tego, że często jest uparta, nawet uszczypliwa, ale w głębi serca wiedziała, że dla facetów, którzy wpatrywali się w nią teraz, główna kwestia sprowadza się do tego, kto ma dziurę, a kto ją zatyka.

Larry był w głębi sali, przy barze. Miał na sobie kombinezon roboczy i wyglądał tak, jakby się wytarzał w mące. Jego ubranie i włosy były białe od pyłu.

— Pozwól mi zgadnąć. Będiesz pączkiem w cukrze pudrze na Halloween.

Zrozumiał jej żart, dopiero gdy spojrział w lustro nad barem, ale niezbyt go rozbawił. Wyjaśnił, że przez cały dzień szlifował ściany, ale wyraźnie miał ważniejsze sprawy na głowie niż to, jak wygląda.

— O co chodzi? - zapytała.

Powiedział jej, powoli, punkt po punkcie. Kiedy skończył, siedziała już obok niego, tak że nie musiała krzyczeć.

— Mówisz mi, że Erno Erdai postrzelił własnego siostrzeńca?

— Mówię, że to możliwe. Przyniosłaś akta?

Larry skinął na Mike'a Gage'a, żeby popatrzył na zdjęcie

339

policyjne Collinsa z roku 1991. Mike tylko na nie zerknął i to mu starczyło.

Rodrigues powiedział:

— Domyślam się, że stwierdzenie „zdecydowanie tak” nie jest odpowiedzią, na jaką czekasz.

— Powiedz, jak jest.

— Oczy, człowieku. — Rodrigues postukał palcem w kolorową fotografię. — Prawie pomarańczowe.

— Rzeczywiście — odparł Larry.

— Wyjdźmy stąd — powiedziała do niego Muriel. To nie było dobre miejsce na takie dyskusje. Nawet ci gliniarze, którzy ją lubili, byli niepewnymi sojusznikami. Wielu z nich zachowywało większą lojalność wobec reporterów, którzy mieli ich w swoich notatnikach z telefonami, niż wobec niej. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, zaproponowała Larry'emu, że podwiezie go na wzgórze. Zawahał się przy drzwiach, nie chcąc jej zabrudzić samochodu gipsowym pyłem. Jednak miała tę hondę civic od roku 1990 i nie utrzymywała jej w czystości nawet wtedy, kiedy była nowa.

— Larry, ta tapicerka widziała już wszystko — uspokoiła go i ledwie powstrzymała się od śmiechu, kiedy w jej głowie pojawiło się dawne wspomnienie. Larry wsiadł i po drodze mówił jej, którą ma jechać.

— W porządku— odezwała się po jakimś czasie. — Wytłumacz.

— Nie sądzę, żeby to coś zmieniało.

— To drugi krok — odparła Muriel. — Najpierw musimy wiedzieć, co się, do diabła, stało. Dobrze to rozumiem? Czy gdyby moja matka chciała się pogodzić ze swoją siostrą powinna spróbować strzelić jej w plecy?

Larry roześmiał się po raz pierwszy tego wieczoru.

— Trzy tysiące komediantów bez pracy, a ty wymyślasz dowcipy.

— A teraz serio - powiedziała. — Czy to właśnie nie przebiegło w tej kolejności? Erno i Collins zrobili się po tym bardzo tkliwi i czuli dla siebie.

— Cholera — powiedział Larry — nie mam pojęcia. I wcale mnie to nie interesuje. Rodzina Erna jest nieźle popaprana. I co z tego? Jeśli o mnie chodzi, to jest NI. — Nadmiar Informacji. Akronim ten najlepiej chyba charakteryzował ostatnie czasy.

Larry wskazał palcem długi podjazd. Prowadził pod jeden z domów w stylu wiktoriańskim, które kiedyś uznał za swoją

340

specjalność. Wszystkie listwy wykończeniowe były pomalowane na jaskrawe, kontrastujące z deskowaniem kolory, które miały wydobyć całe piękno domu. Muriel pochyliła się nad kierownicą, żeby przyrzeć się temu przez przednie okno samochodu.

— Rany, Larry. Jaki śliczny.

— Prawda? Ten szczególnie. Czasem chodzę po nim i żal mi, że nie mogłem sobie pozwolić na coś takiego, kiedy chłopcy byli mali. Ale to już inna historia, zgadza się? Nigdy nie dostajesz tego, czego chcesz, kiedy tego potrzebujesz.

Odniosła wrażenie, że usłyszał siebie dopiero wtedy, gdy już to powiedział. Dostrzegła, że zeszywniał i starał się omijać ją wzrokiem. Chcąc mu pomóc, poprosiła, żeby ją oprowadził po posiadłości.

Zaczął od ogrodu. Zmierzchało już i owady przystąpiły do ataku, Larry jednak zupełnie tym nie zrażony, stąpał ostrożnie między niedawno posadzonymi roślinami. Dziedzictwo kolorów i piękna, które zostawiał temu, kto kupi dom, było już w pełni rozwinięte w jego głowie i sporo czasu zajęło mu tłumaczenie, jak najróżniejsze kwiaty— wszystko, od krokusów do peonii i hortensji — będą rosły i rozwijały się rok po roku. Robiło się już ciemno, kiedy skończyli, ale zabawiliby tu dłużej, gdyby nie wspomniała, że robactwo zje ją żywcem.

W środku oprowadzał ją krócej. Aby jakoś zapanować nad plagą pyłu, nad drzwiami do pokoi, w których były szlifowane ściany, rozwieszono plastikowe płachty. Największym wyzwaniem, któremu należało sprostać, remontując domy takie jak ten, wyjaśnił Larry, było ustalenie, które detale zachować w imię utrzymania charakteru miejsca, a które muszą być usunięte ze względu na wymogi rynku. Przykładem mogło być oświetlenie. Kiedy wybudowano ten dom, w nocy oświetlały go jedynie kinkiety gazowe. Obecnie ludzie mieli wrodzoną skłonność do pożerania energii. Przez lata Larry nauczył się, że kupujący bardzo sobie cenią silne lampy nad głowami i masę włączników.

Miło było zobaczyć Larry'ego w jego drugim życiu. Rozbawił ją, jak to zawsze robił, ale nie miała żadnych kłopotów z wyobrazeniem go sobie w roli przedsiębiorcy. Nawet tę jego czułość, z jaką mówił o roślinach w ogrodzie, dopasowała stopniowo do obrazu całości. Facet, którego знаła na studiach, lubił udawać, że jedyne miejsce dla słowa „wrażliwy” jest na opako-

341

waniu prezerwatywy. Jednakże był w nim jeszcze ktoś— zawsze o tym wiedziała — i podziwiała Larry'ego za to, że pozwolił mu się ujawnić.

- Czy kanalizacja już działa? — zapytała. Larry pokazał jej drogę. Naprzeciw umywalki było małe uchylne okno i w świetle widocznych w dole lamp Muriel mogła mniej więcej dojrzeć okolicę, w której wyrosła, odległą o jedną czwartą mili od Fort Hill pas bungalowów ciągnący się między kolejowymi placami składowymi i

miejscami postojowymi dla ciężarówek. Nawet dziś przypominało to krainę nie kończących się parkingów, jasno oświetlonych dla zapobieżenia kradzieży, długich na pół mili połaci ziemi, na których stały przyczepy ciężarówek, nowe fordy lub kontenery czekające na załadowanie na pociągi. To było dobre miejsce. Mieszkający tu ludzie pracowali ciężko, byli życzliwi i porządni i chcieli lepszej przyszłości dla swoich dzieci. Ale jak to już jest z klasą pracującą, trudno było im się pogodzić z tym, że przez czysty przypadek nie liczą się tak jak ludzie, którzy nimi rządzą. Nie ona, przysięgała sobie wtedy. Nie ona.

Teraz nie miała już żadnych złudzeń. Nie zniosłaby tego, gdyby musiała żyć z dala od władzy. Ale patrząc w dół wzgórze, nadal czciła to najlepsze z miejsc, jego zwyczajność, uczucie, że przeżyłeś życie, próbując posunąć się o pół kroku do przodu, czyniąc więcej dobra niż zła i kochając kogoś. Pragnienie nawiązania na nowo kontaktu z tym wszystkim było częścią tego, co kazało jej spędzać raz w tygodniu godzinę w kościele, gdzie jej serce wyrывało się do Boga. Te dzieci, których nigdy nie miała, też tam były, nieznajome, jak kochanek, o którym w wieku trzynastu lat myślisz, że czeka na ciebie gdzieś w świecie. Przyszłość. W modlitwie wyciągała do nich ręce przepelniona miłością, jak to od lat robiła w snach. Wraz z mrowieniem, które było wynikiem obecności Larry'ego w tym cichym domu, wyobraziła sobie nagle uczucie spełnienia, które mogłaby znaleźć w miłości mężczyzny.

Czekał na nią w pokoju rodzinnym, który dobudowano w tylnej części domu. Zrobiono to tanio i Larry powiedział, że spróbował to skompensować ładną wykładziną dywanową. Poruszona siłą tego, co właśnie poczuła, chcąc nad tym zapanować, wróciła do spraw zawodowych.

— Larry, czas wyłożyć na stół wszystko, co wiemy o Ernie i Collinsie. Jutro napiszę list do Arthura.

342

Tak jak się spodziewała, zapytał:

— Dlaczego?

— Ponieważ oni najwyraźniej rozpaczliwie szukają Fara. A to jest sprawa, w której zapadł wyrok śmierci, Larry, i nie powinnam ukrywać informacji, wiedząc, że są dla nich istotne.

— Istotne?

— Larry, nie mam pojęcia, co konkretnie to wszystko może znaczyć, i ty także nie

masz pojęcia. Pewne jest jednak, że Collins kradł bilety razem z Luisą, zgadza się? Nie wydaje ci się, że dzięki temu mógł wiedzieć dostatecznie dużo, żeby wkopać Gandolpha?

— Muriel, to, że Arthur zjawi się w sądzie i będzie próbował wszystko na nowo otworzyć, jest pewne jak dwa razy dwa równa się cztery. Wiesz o tym. Będzie się głośno domagał gwarancji nietykalności dla Collinsa.

— To jego praca, Larry. Co nie znaczy, że uda mu się postawić na swoim. Sąd apelacyjny nigdy mnie nie zmusi do przyznania immunitetu. Ale chcę to wszystko przedstawić Arthurowi... że Collins to Faro i to o strzelaninie. A także to, co Collins powiedział nam w Atlancie. Powinam to ujawnić wcześniej, ale mogę udawać, że właśnie zrozumiałem, co znaczą jego słowa.

Larry stał nieruchomo z zamkniętymi oczami, czując, że wzbiera w nim lekka złość na głupie procedury prawne.

— Nie jesteśmy nawet pewni na sto procent, że Collins to Faro - powiedział w końcu.

— Daj spokój, Larry.

— Serio. Pozwól, że pójde znowu do Dickermana i sprawdzę, czy może zdjąć odciski palców z rewolweru. Wtedy może zdobędziemy pewność, że to Collins.

— Zadzwon do Dickermana. Powiedz mu, że sprawa wróciła i pilnie potrzebujemy odpowiedzi. Ale nie mogę czekać z powiadomieniem o tym Arthura. Im dłużej będziemy zwlekać, tym głośniejsze będzie jęczał o zatajaniu korzystnych dla jego klienta dowodów. Arthur ma dziesięć dni na złożenie w sądzie apelacyjnym wniosku o ponowne rozważenie decyzji i chcę mieć wtedy możliwość powiedzenia, że przekazaliśmy mu te informacje w samą porę, gdy tylko zauważyliśmy, iż mogą mieć jakiś związek z wydarzeniami z kręgu tych, które kojarzy się z morderstwami.

— Chryste, Muriel.

— To po prostu ostatnia przeszkoda, Larry.

343

— Och, ile razy będziemy musieli wygrywać tę pieprzoną sprawę? Czasem mam ochotę pojechać do Rudyard i zastrzelić Rommy'ego, żeby wreszcie skończyć z tym głównem.

— Może to nasza wina. Może coś nas powstrzymuje przed położeniem temu kresu.

— Wiedziała, oczywiście, czym to coś jest, tak jak i on, ale to, najwyraźniej, było również częścią tego gówna, z którym chciał skończyć. Zbliżywszy się, położyła mu rękę na ramieniu. - Larry, zaufaj mi w tej kwestii. Wszystko będzie dobrze.

To jednak tylko dowodziło, że Larry ma rację. Uważał, że w żadnej sprawie nigdy nie chodzi o ofiarę lub oskarżonego, lub nawet o to, co rzeczywiście się wydarzyło. Nie do końca. A to dlatego, że gliniarz, obrońca, oskarżyciel czy sędzia nie potrafi się od niej oddzielić i dotyczy ona go osobiście. A ta sprawa dotyczy ich dwojga. Odwróciwszy się plecami do Muriel, Larry napiął mięśnie.

— Posłuchaj, Larry — powiedziała. — Jeśli już nie chciałeś nic robić w związku z tym wszystkim, to dlaczego poszedłeś do Ike's? Dlaczego zawracałeś sobie głowę i zadzwoniłeś do mnie?

Spuścił wzrok, ale w końcu podniósł rękę i na zgodę pokłapał japo dłoni. Nawet tak przelotny kontakt sprawił, że odnięła wrażenie, jakby porwała ją wzbierająca między nimi fala. Rzuciła mu spojrzenie pełne uczucia, dając tym wyraz, że zdaje sobie sprawę z powstałych szkód i tego, ile upłynęło czasu. Jeszcze raz ścisnęła jego ramię i, z pewnym ociąganiem, zabrała rękę. Chwilę później zachichotała, kiedy na nią spojrzała.

— Co? - zapytał Larry. Pokazała mu dłoń, całą pobieloną gipsowym pyłem.

— Zostawiłeś swój znak, Larry.

— Czyżby?

— Słup soli — powiedziała. Jego niebieskie oczy przesunęły się na chwilę w bok, gdy [

zastanawiał się nad jej słowami.

— Co takiego złego zrobiła ta dziewczka?

— Popatrzyła za siebie — odparła Muriel z nieco wymuszonym uśmiechem.

— Taa.

Mimo że obiecała sobie w Atlancie, że nie przekroczy pierwszej linii granicznej, zrozumiała, że już się nie zatrzyma. Nie miało znaczenia, czy było to wspomnienie starych dobrych dni, sentymentalizm, czy też libido - pragnęła Larryego. Ten dzwon,

który on potrafił rozkołysać, nie odezwał się już przy nikim innym. Przed dziesięciu

laty nie dostrzegą tego, ale ich związek był wtedy przede wszystkim wystawionym jej ołtarzem, dowodem uznania jej mocy. Pod tym względem był jedyny w swoim rodzaju. Larry znał jej siłę i w przeciwieństwie do Roda oraz Talmadge'a nie pielęgnował jej dla własnych celów. Chciał po prostu spokojnego związku, w którym by żyli oboje na własnych warunkach, pragmatycznego, ale i czułego porozumienia. Przegapiła przed laty wielką szansę i, wiedząc o tym, musiała się teraz upewnić, że już jej nie ma. Uniosła dłoń.

— Czy Bóg w ten sposób chce mi powiedzieć, żebym trzymała ręce przy sobie, Larry?

— Nic o tym nie wiem, Muriel. Nie otrzymuję od niego zbyt wielu bezpośrednich wiadomości.

— Ale chcesz, żeby tak właśnie było, prawda? Co było, to było?

Dość długo się nad tym zastanawiał.

— Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czego chcę, Muriel. Wiem jedno: nie mam ochoty wracać na oddział dla niedoszłych samobójców.

— Co w związku z tym? Mówisz nie? Uśmiechnął się słabo.

— Faceci nie powinni mówić nie.

— To tylko słowo, Larry. — Popatrzyła jeszcze raz na swoją dłoń. Biały pył przylgnał do wypukłości, uwydatniając zmarszczki. Linia miłości i linia życia, z których czytały wroźbiarki, były zaznaczone wyraźnie jak rzeki na mapie. Wyciągnęła rękę i znalazła na jego ramieniu to samo miejsce, na którym jej dłoń zostawiła niewyraźny ślad. Przez głowę Larry'ego przebiegła myśl, że mógłby się temu oprzeć, ale była to tylko abstrakcja, nic więcej. Powoli docierał do niego sens tego, co powiedziała. Jak zwykle wyprzedzała go o krok. Dlaczego do niej zadzwonił, zapytała, skoro nie chciał, żeby coś zrobiła? Sprowadził ją tutaj. A teraz ułatwiała mu to tak bardzo, jak tylko mogła. Drobna i nieustraszona, wspięła się na palce i położywszy jedną rękę na jego ramieniu, a drugą dotknąwszy czule policzka, przyciągnęła go do siebie.

We wszystkim, co się potem wydarzyło, była desperacja i pośpiech ptaka, który ma nadzieję wyrwać się z klatki. Całe to bezużyteczne trzepotanie skrzydłami i rzucanie się we wszystkie strony. Był tam słony smak jej ciała i zapach, pod

koniec, krwi, który bardzo późno rozpoznał. Serce waliło mu gwałtownymi, pełnymi

lęku zrywami, i w rezultacie skończyło się to znacznie szybciej, niż mógłby sobie życzyć. Skończyło się również niespodziewanym bałaganem. Musiała mieć początek lub koniec okresu, ale chciała go mieć jak najszybciej w sobie, jakby podejrzewała, że może się jeszcze rozmyślić, i nie zwracała na to uwagi.

Skończyła na nim i przyłgnęła do niego tak mocno, jakby był jakąś opoką. Uczucie, że odpoczywa na nim, było o wiele bardziej satysfakcjonujące niż wszystko inne. Przesunął dłońmi po jej ciele i serce ścisnęło mu się na myśl, jak dokładnie wryło mu się ono w pamięci: wyraźnie rysujące się guzki na kręgosłupie, zebra równie łatwe do odnalezienia jak czarne klawisze fortepianu, dojrzała krągłość pośladków, które zawsze uważał za najbardziej atrakcyjną część jej anatomii. Odkąd się rozstali, płakał tylko raz, kiedy umarł jego niemal stuletni dziadek, imigrant kołodziej. Larry'ego wręcz przytłoczyła wtedy świadomość, o ile trudniej żyłoby się dwudziestu trojgu dzieciom i wnukom starca, gdyby nie jego błogosławiona odwaga, która kazała mu wybrać się w podróż do tego kraju. Ten przykład heroizmu, który odcisnął się na życiu tylu ludzi, umocnił Larry'ego w przekonaniu, że nie czas na płaczliwe uzalanie się nad sobą. Najbezpieczniejszym wyjściem był żart.

— Jak wytłumaczę chłopakom, dlaczego musimy czyścić zupełnie nową wykładzinę?

— No, dalej — odparła — narzekaj. — Jej mała twarz ożywiła się. Przy kołnierzyku miała wpiętą szpilkę, której w pośpiechu nie wyjęła, tak że sukienka, gdzie indziej porozpinana, spływała z niej jak peleryna. Jej barki okrywał czarny przezroczysty materiał w kropki, a nagie ręce skrzyżowała teraz pod jego gardłem.

— Żałujesz tego? — zapytała.

— Jeszcze nie wiem. Może będę.

— Nie żałuj.

— Jesteś twardsza niż ja, Muriel.

— Już nie.

— Tak, jesteś. W każdym razie wiesz, jak stale iść do przodu. Kiedy chodzi o ciebie, Muriel, ja jakoś nie mogę.

— Larry, czy myślisz, że nie tęskniłam za tobą?

— Świadomie?

— Daj spokój, Larry.

— Mówię serio. Nie pozwalasz sobie oglądać się wstecz. Dopiero teraz nagle to na ciebie spadło.

— Co takiego?

— Że powinnaś wyjść za mnie.

Jej prawie czarne oczy znieruchomiały, jej małe nozdrza ozdobione drobnymi letnimi piegami rozszerzyły się, gdy wciągnęła powietrze. Wpatrywali się w siebie nawzajem z odległości zaledwie kilku cali, która dzieliła ich twarze, aż w końcu poczuł, że siła jego przekonania zaczyna ją łamać. Zrozumiał, że ona już to wie. Ale jak mogłaby wrócić do domu, gdyby to głośno przyznała? Mimo to, zanim znowu położyła mu głowę na klatce piersiowej, w wyrazie jej oczu zauważył coś, co ledwie dostrzegalnie potwierdzało słuszność jego słów.

— Byłeś żonaty, Larry. Wciąż jesteś.

— I jestem tylko gliniarzem - dodał.

Nigdy nie miał dość odwagi, żeby jej to cisnąć w twarz, nie z tak bliska. A ona by się z tym nigdy nie zgodziła. Czuł, jak zмага się z sobą by spojrzeć nowej rzeczywistości w oczy.

— I jesteś tylko gliniarzem — powtórzyła w końcu.

Nie widział jej dokładnie, ale ręką, którą dotykał jej skóry, wyczuwał pulsowanie jej emocji. Była taka krucha, drobna, bezbronna wobec prawdy, z którą musiała stanąć przelotnie oko w oko, a on zdawał się ją zamykać w swym wielkim ciele. Leżąc na jasnej wykładzinie dywanowej, kołysał ją przez jakiś czas, jakby znajdowali się na pokładzie statku rzucanego falami morza życia.

34

9 sierpnia 2001

Dawna znajoma

O ósmej wieczorem Gillian czekała na Arthura przy stoliku w Matchbook, sącąc wodę mineralną. Prawie na pewno był z Pamelą. Już wkrótce upływał termin złożenia w sądzie apelacyjnym ich wniosku o ponowne rozważenie decyzji.

W ostatnim tygodniu, z wyjątkiem ich wtorkowej kolacji z Susan, Gillian i Arthur wychodzili razem każdego wieczoru -do teatru, filharmonii, trzy razy do kina. Arthur

zachowywał się jak człowiek, który odzyskał wolność. Wychodzenie z miesz-

347

kania uwalniało go od trosk o sprawę Gandolpha, w której żadne z nich nie znajdowało zbyt wielu nowych powodów do radości. Kiedy szedł z nią ulicą, w jego pozie pojawiały się nawet ślady męskiej buty. Nieważne. Było w nim bardzo niewiele cech, których nie uważała za ujmujące.

W pewnej chwili poczuła na sobie czyjś wzrok. Nie było w tym nic niezwykłego — w końcu była osławioną Gillian Sulli-van — ale kiedy zerknęła na przyglądającą się jej z drugiej strony sali o kilka lat od niej młodszą śliczną brunetkę, kobieta odważyła się posłać jej lekki, prawie niezauważalny uśmiech. Nie była prawniczką. Gillian wiedziała to od pierwszego spojrzenia. Sądząc po tym, jak elegancko była ubrana — miała na sobie jeden z tych jedwabnych golfów, które sprzedawali w sklepie za ponad trzysta dolarów — Gillian w pierwszej chwili wzięła ją za klientkę, ale zaraz uzmysłowiła sobie, że to miejsce w pamięci, w którym szuka wiążących się z nią wspomnień, pokrywa znacznie grubsza warstwa kurzu. Potem to stopniowo wróciło. Tina. Gillian zrobiła, co mogła, żeby natychmiast nie uciec, i tylko to, że Arthur był już prawdopodobnie w drodze do niej, sprawiło, że się opanowała.

Nigdy nie zwracały się do siebie po nazwisku. Ta kobieta była po prostu Tiną, biedną bogatą dziewczynką mieszkającą w wysokościowcu na West Bank, która zdobywała pieniądze na swój nałóg, sprzedając narkotyki. W rzeczywistości, kiedy Gillian przychodziła po prochy dla siebie, drzwi otwierała pokojówka. Dostała się do jedyne w swoim rodzaju towarzystwa — ćpunów z wyższej klasy. Maniery tu były lepsze, groziło mniejsze niebezpieczeństwo, ale życie było prawie tak niepewne jak na ulicy. Ludzie znikali lub staczali się na dno i pewnego dnia Tina także przepadła. Przymknęli ją. Przerazona, że powie o niej na przesłuchaniu albo że już została zauważona przez śledzących Tinę policjantów, Gillian przysięgła sobie, że z tym skończy. Ale narkotyk miał już pierwszeństwo do wszystkiego w jej ciele. Podobnie jak handlarze każdej specjalności, Tina nigdy nie przekazała jej namiarów na alternatywne źródło. Był taki aktor z lokalnego teatru, którego Gillian przelotnie widziała u niej kilka razy. Jednak bała się do niego zadzwonić — to było zbyt niebezpieczne. Trzydzieści sześć godzin po tym, jak wzięła ostatnią działkę, założyła na głowę chustkę i poszła z sądu na North End, gdzie stanęła na rogu ulicy. Na wypadek aresztowania planowała powiedzieć, że zaznajamiała się z re-

348

aliami, przygotowując się do wydawania wyroków w sprawach o handel narkotykami. Miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby podejść do innej kobiety,

prostytutki w minisukience wyglądającej jak skrojona ze skóry lamparta i pasujących do niej butach. „Zobacz się z Leonem”, powiedziała jej dziewczyna, ale przyjrzała się dokładnie Gillian, kręcąc przez cały czas głową, jakby wahała się między litością a chęcią udzielenia reprimendy.

A więc Tina. Wpatrywały się w siebie z odległości czterdziestu stóp, próbując znaleźć jakiś sens w wariackich zwrotach, jakie następowały w życiu, i ciężarze przeszłości, po czym Gillian pierwsza przerwała kontakt wzrokowy. Myślała przy tym z bólem tak wielkim, że prawie chciało jej się śmiać, jak uzasadniona była jej niechęć do pokazywania się publicznie.

W tej chwili pojawił się Arthur i natychmiast zapytał, co się stało. Już miała mu szczerze odpowiedzieć, ale zauważyła, jak na jej widok z jego twarzy znika uśmiech. Jeszcze nie dziś, pomyślała. Tego wieczoru nie będzie mu psuła nastroju. Ani któregośkolwiek innego wieczoru, jeśli już o to chodziło. Wiele razy była bliska wyznania mu prawdy, ale zawsze w ostatniej chwili rezygnowała. Strzegła swojej tajemnicy.

— Wyglądasz tak, jakby przydarzyło ci się coś dobrego — powiedziała.

— Dobrego? To może być dobre. Przede wszystkim ogromnie trudno się w tym połapać. Znaleźli Fara.

— Żartujesz?

— To jeszcze nawet nie połowa wszystkiego. Muriel napisała do mnie list.

— Mogę go zobaczyć? — Wyciągnęła rękę, zanim Arthur zdążył wyjąć kopertę z kieszeni. List był napisany na papierze urzędowym Muriel D. Wynn, Pierwszego Zastępcy Oskarżyciela Publicznego Hrabstwa Kindle. W linii adnotacji napisano: „Społeczeństwo przeciwko Gandolphowi” i umieszczono stary numer sprawy z sądu karnego. Nawet na tym etapie Muriel niechętnie przyznawała, że utknęła na obcym dla siebie terenie sądu federalnego.

349

Drogi Panie Rauen

Przez ostatnie dwa miesiące nasze biuro, kontynuując śledztwo w tej sprawie, zebrało szereg informacji dotyczących Collinsa Farwella. Jak pan wie, pan Farwell odmówił złożenia zeznań, powołując się na piątą poprawkę. Co więcej, jak się zdaje, zebrane przez nas informacje nie mają żadnego bezpośredniego znaczenia dla pańskiego klienta. Niemniej jednak, starając się w pełni ujawnić wszystkie okoliczności sprawy, pragniemy powiadomić pana o następujących faktach...

Poniżej Muriel wypunktowała osiem pozycji. Tak ułożyła list, żeby był w dużej części nieprzejrzysty. Nie zrobiła tego z myślą o Arthurze, bo zdawała sobie sprawę, że bez trudu połąpie się w tych niejasnościach, ale o sędzie apelacyjnym, w którym, jak wiedziała, ten dokument zostanie wkrótce przedstawiony. Jednak pośród błahych szczegółów wyciągniętych z różnych dokumentów dotyczących Fara Cole'a, których większość Arthur pokazał już Gillian w tym tygodniu, znalazły się dwie sprawy godne uwagi: podsumowanie tego, co powiedział Collins Farwell, siostrzeniec Erna, w czerwcu w Atlancie, gdy dostał wezwanie do stawienia się w sądzie. I informacja, że niedawno dwóch policjantów zidentyfikowało na fotografii Collinsa jako Fara.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Gillian, czytając ostatnie zdanie. Gwałtownie zabiło jej serce. Po chwili ogarnęło ją zdumienie, że tak zareagowała, że już dłużej nie udaje, iż ta sprawa jej nie dotyczy. Zapytała Arthura, co myśli o tym wszystkim.

- Nie jestem pewny, czy to, co się dzieje w mojej głowie, można nazwać myśleniem - odparł. — Pamela i ja mało nie wyskoczyliśmy z butów. Mogę ci jednak powiedzieć, że nie przyłączę się do komitetu wyborczego Muriel. Wiele z tych informacji zdobyto w dosyć pokretny sposób. — Arthur podejrzewał, że któreś z nich, albo Muriel, albo Larry, śledziło Pamelę, kiedy zaszła do Wydziału Rejestrowego. Poza tym był zły, że nie ujawnili wcześniej tego, co Collins powiedział w Atlancie. - Złożyłem już wniosek o przyznanie Collinsowi gwarancji nietykalności. W odpowiedzi Muriel stwierdziła, że nie ma żadnych podstaw, aby sądzić, że Collins mógłby powiedzieć cokolwiek, co pomogłoby Rommy'emu.

350

Wyglądało jednak na to, że największe rozczarowanie sprawił Arthurowi Erno, który powiedział mu, że Fara był jakimś tam drobnym oszustem, a poza tym dawno temu gdzieś przepadł.

— Nigdy do końca nie połąpiemy się w kłamstwach Erna — stwierdził Arthur. — Sajak ruchome piaski. Tylko w nich coraz bardziej grzeźniemy.

— Zastanawiam się nad jednym — odrzekła Gillian, która także myślała o Erdaiu. — Erno po raz pierwszy powiedział, że stara się chronić Collinsa, przed dziesięciu laty, kiedy po raz pierwszy wciągnął w to Larry'ego. Zastanawiam się, czy nie chronił go przez cały czas.

— Strzelając mu w plecy? To ci dopiero opiekuńczy wujek. Na miejscu Collinsa wolałbym jakiś prezent.

Gillian roześmiała się. Miał rację. Ale nie całkiem.

— Jednak nawet wtedy, w lkes, Erno nie powiedział, że Faro jest jego siostrzeńcem. Zastanawiałeś się dlaczego?

— Mogę się domyślić. Collins wszedł do baru, wymachując rewolwerem. Przestępca złapany z bronią w ręku dostaje z automatu minimum dwa lata.

— A zatem Erno chronił swojego siostrzeńca — stwierdziła. Arthur wzruszył ramionami, przyznając w ten sposób, że

Gillian może mieć rację.

— Zastanawiam się po prostu, Arthurze, czy gdzieś na dnie tego wszystkiego Erno nie był jednak na swój sposób konsekwentnie szczery wobec ciebie. Instykt podpowiadał ci, że Er-dai zawsze mówił ci prawdę w jednej sprawie.

— Jakiej?

— Ze Rommy jest niewinny.

— Och — mruknął Arthur. - W tej.

— Przyjmijmy więc, że miał dwa główne motywy: uniewinnienie Rommy'ego i chronienie Collinsa.

Arthur wziął list Muriel i myśląc o tym, co powiedziała Gillian, klepał się nim lekko po ręce. Po chwili pokiwał głową.

— To by tłumaczyło, dlaczego przed zeznaniami Genevieve Erno nigdy nie wspomniał o biletach. - powiedział. — Nie bronił swojej emerytury, ale Collinsa. Gdyby kierownictwo linii lotniczej dowiedziało się, że Collins z Luisą i Rommym kradł bilety, nawet jeśli działo się to w epoce kamiennej, prawdopodobnie załatwiliby go na amen jako agenta biura podróży... i pozwali do sądu.

351

— To możliwe. Ale tak naprawdę myślałam, że tu mogło chodzić o coś więcej. Rómmy był zły na Luisę za to, że go wyrolo-wała. Czy jest możliwe, że Collins także był na nią zły? Za narażenie ich interesu na niebezpieczeństwo. A może on także został wyrolowany? Jak pamiętasz, uznaliśmy, że Faro zapewne był tej nocy w Paradise.

Arthur wbił w nią wzrok. Wokół nich słyhać było odgłosy charakterystyczne dla pory kolacji w wytwornej restauracji, ciche tony instrumentów smyczkowych, brzęk kieliszków, gwar rozmów.

— Myślisz, że Collins jest zabójcą?

— Nie wiem, Arthurze. Wymieniamy domysły. Jednakże Erno wyraźnie chciał doprowadzić do uwolnienia Rommy'ego, nie ujawniając tego, co robił Collins.

Arthur przetrwał to, po czym powiedział:

— Naszym następnym posunięciem musi być wznowienie mojego wniosku o przyznanie Collinsowi immunitetu. Zgadza się?

— Z pewnością powinieneś usłyszeć, co on ma do powiedzenia.

— Jakie twoim zdaniem są szanse, że sąd apelacyjny zgodzi się ponownie rozważyć swoją decyzję, dając nam czas na upominanie się o zeznania Collinsa?

— Niezbyt wielkie. Będzie to wyglądało na podjętą za pięć dwunasta próbę opóźnienia. A oni będą się trzymać swoich poprzednich konkluzji, jak zrobiłby na ich miejscu każdy inny.

Arthur pokiwał głową, marszcząc czoło. Był tego samego zdania.

— Potrzebujesz kogoś, kto będzie chciał cię wysłuchać, Arthurze. Kogoś takiego, kto od samego początku był skłonny wierzyć Ernowi.

— Harlow?

— Dlaczego nie?

— Po pierwsze, sprawa nie podlega jego kompetencji. Jest w sądzie apelacyjnym.

Ale tutaj też miała pewne pomysły. Podobnie jak to było z Muriel, Gillian pracowała wyłącznie w sądach stanowych. Kiedy znalazła się w więzieniu, jej wiedza o prawie federalnym i odpowiednich procedurach była znikoma, ale przez lata pomagała innym więźniarkom pisać daremne prośby o złagodzenie kary i zdobyła niemałe doświadczenie.

Arthur sięgnął po notatnik i zaczęli szkicować wniosek. Na

352

zmianę proponowali różne sformułowania, a potem Arthur odczytywał, co zapisał. Obok notatnika ustawił świecę. Obserwowała go w jej słabym świetle, przejętego, zadowolonego z niej i siebie. Obawiała się w równej mierze o niego, co o Gandolpha, ale podzielała podniecenie Arthura tym, że znalazł w prawie jakąś nadzieję dla Rommy'ego. I wtedy nagle uświadomiła sobie potęgę prawa, którego szara rzeczywistość nie była niczym więcej jak słowami na kartce, a które odgrywało

decydującą rolę nie tylko w życiu innych ludzi, ale i jej własnym. Prawo było jej życiem zawodowym, sceną jej największych tryumfów i upadku, a teraz, dzięki Arthurowi, źródłem jej odrodzenia. Język prawa, którym od dawna nie mogła się posługiwać, pozostawał jej językiem. Nawet gdy łagodnie spierała się z Arthurem, co napisać, nie była pewna, czy zaakceptować to odkrycie z uniesieniem, czy przygnębieniem.

35

10 sierpnia 2001

Bóg Odcisków Palców

W piątek o dwunastej w południe Larry otrzymał wiadomość od Maurice'a Dickermana, naczelnego technika daktylo-skopijnego i szefa Laboratorium Kryminalistycznego Zjednoczonych Sił Policyjnych Hrabstwa Kindle, który prosił go, by przyszedł do jego biura w McGrath Hall. Larry uważnie przeczytał karteczkę, zwinął ją w kulkę nie większą od ziarnka fasoli i wyrzucił. Kiedy zobaczy się z Dickermanem, nie będzie miał wyboru i będzie musiał zadzwonić do Muriel, której unikał przez dwa ostatnie dni. Tego ranka zostawiła mu w poczcie głosowej wiadomość o ostatnim wniosku Arthura złożonym w sądzie apelacyjnym. Jej głos brzmiał radośnie - była wyraźnie szczęśliwa, że miała pretekst, by do niego zadzwonić. Natychmiast skasował nagranie.

W dawnych czasach uciekał od niej po każdym spotkaniu, ale było tak tylko dlatego, że nie potrafił przyznać się przed sobą, iż tworzy całość z tą kobietą, że powietrze wydaje się bardziej czyste i rześkie, kiedy ona jest przy nim, że potrzebuje kogoś, kto dotrzymywałby mu kroku. Teraz ukrywał się dlatego, że nie był pewny, ile z tego chciałby jej powiedzieć.

353

A kiedy unikał Muriel, unikał również swojej żony. Myślał, że ma to już na dobre za sobą — obwąchiwanie ubrań przed włożeniem ich do kosza z brudną bielizną żeby mieć pewność, iż Nancy nie wyczuje zapachu kosmetyków lub perfum innej kobiety. Przed dziesięciu laty, kiedy Muriel z nim skończyła, był tak rozbity psychicznie, że nie potrafił już udawać przed żoną. Pewnego wieczoru, kiedy po kilku piwach padł na rozkładany fotel, Nancy stanęła nad nim.

— Znowu przybity? Niech zgadnę. Rzuciła cię jedna z twoich panienek?

Czuł się zbyt słabo, żeby kłamać, ale prawda ją zaskoczyła.

— I ja mam ci w s p ó ł c z u ć?

— Zapytałaś.

— I pewnie powinnam dać ci teraz spokój?

Ale dała, ponieważ była zbyt dobra, żeby tego nie zrobić. Uzgodnili, że kiedy Larry będzie w lepszym stanie ducha, pójdą znowu do adwokata, z którym omawiali bezkrwawy podział majątku. Sześć miesięcy później wciąż mieli taki zamiar. Nawet po dwóch latach Larry myślał, że czekają po prostu na jakąś lepszą okazję. Jednakże Nancy miała pewne atuty. Było pewne, że nigdy nie zostawi jego chłopców. I w miarę upływu czasu jego wdzięczność za to i za zalety jej charakteru, godnego kanonizacji, urosła tak bardzo, że stała się wręcz bezgraniczna. Zadawanie się z innymi kobietami nie miało już większego sensu — nie dorównywały Muriel, a poza tym był winny Nancy choć tyle szacunku po tym, jak nie skorzystała z okazji puszczania go w skarpetkach. Czasami, gdy Larry myślał o przyjaźni panującej teraz między nim a żoną zastanawiał się, czy nie takie po prostu powinno być małżeństwo, spokojne i pełne wzajemnego szacunku. Ale nie. Nie. Poza harmonią musiało być w nim jeszcze coś porywającego.

To ponownie zwróciło jego myśli ku Muriel. Nie wyjdzie z tego nic dobrego, powiedział sobie w duchu. Jego matka często tak mówiła i na pewno powtórzyłaby teraz. Jeśli od środy przespał w sumie ze dwie godziny, to było dużo. Czuł się tak, jakby żołądek miał wyłożony papierem ściernym, a jego oczy wyglądały w lustrze jak dwa kratery. I nawet on nie mógł w nich dostrzec żadnej wskazówki, czego tak naprawdę chce. Kiedy stanął przed drzwiami Dickermana, wiedział tylko, że nie panuje nad swoim życiem.

Maurice Dickerman, kościsty nowojorczyk, był znany wśród

354

gliniarzy, prokuratorów, a nawet większości adwokatów jako Bóg Odcisków Palców. Mo regularnie prowadził wykłady na uniwersytetach i wygłaszał w całym kraju odczyty na różnych konferencjach organizowanych przez organy ścigania. Był również wybitnym badaczem, autorem wielu ważnych publikacji naukowych. Z uwagi na jego sławę, było prawdopodobne, że właśnie zeznaje jako biegły na Alasce lub w New Delhi, a nie nadzoruje pracy Laboratorium Kryminalistyki, ale dla policji, w której skandale nie były rzadkością—w ostatnim roku rozbito dwa gangi gliniarzy, z których pierwszy zajmował się sprzedażą narkotyków, a drugi kradzieżą biżuterii - Mo był bezcennym pracownikiem, jedyną w swoim rodzaju gwarancją wiarygodności i perfekcji. W połowie lat dziewięćdziesiątych, grożąc odejściem, wydusił w końcu z hrabstwa pieniądze na zakup zautomatyzowanego systemu identyfikacji odcisków palców, z którego inne komendy o porównywalnych

rozmiarach korzystały już od lat.

W roku 1991, kiedy zostali zamordowani Gus Leonidis, Paul Judson i Luisa Remardi, nie można było na ogół zidentyfikować nieznanych odcisków palców, jeśli nie udało się znaleźć tego, kto je zostawił. Jeśli przestępca nie zostawił śladów wszystkich palców, które występowały na jego karcie daktylo-gramów, nie było możliwości stwierdzenia, który palec jest który, a przez to porównania nieznanych odcisków z ich ogromnym katalogiem, który w skali lokalnej prowadziła policja, a ogólnokrajowej - FBI. Komputery zmieniły wszystko. AFIS, system automatycznej identyfikacji odcisków palców, pozwalał maszynie przeprowadzić porównanie dowolnego śladu z przechowywanymi w pamięci obrazami wszystkich znanych odcisków z całego hrabstwa. To dzięki AFIS Muriel mogła w ciągu jednej nocy ustalić, że żaden z odcisków pozostawionych w Pa-radise w lipcu 1991 roku nie należał do Erna.

Mimo że komputery z każdym miesiącem były coraz szybsze, główną wadę AFIS stanowiło to, że obróbka jednego odcisku zajmowała maszynie ponad godzinę. W takim wypadku jak sprawa Gandolpha, kiedy w restauracji zebrano blisko osiemset śladów, nie było praktycznie możliwości zidentyfikowania ich wszystkich, zważywszy na to, że policja miała też inne zadania. Gdyby jednak Mo udało się zdjąć jakiś ślad z rewolweru, którym Faro Cole wymachiwał w Ike's, porównanie go z bazą danych hrabstwa, zawierającą odciski palców takich wielo-

355

krotnych aresztantów jak Collins Farwell, byłoby kwestią kilku minut.

Mo właśnie wrócił z dwuipółtygodniowego pobytu w Paryżu, gdzie przedstawiał francuskiej żandarmerii najnowsze osiągnięcia w technikach identyfikacji odcisków palców. Przez tę swoją nieobecność nie mógł odpowiedzieć wcześniej na prośbę Larry'ego o zbadanie rewolweru Fara. Teraz też najpierw chciał pokazać zdjęcia z Paryża, zapisane w jego komputerze osobistym. Mo należał do tych ludzi, którym trudno było przerwać. Nie nazywano go Bogiem Odcisków Palców jedynie z szacunku. Lubił wypowiadać się do końca i zwykle się przy tym upierał. Teraz też, klikając myszką, opowiedział Larry'emu o wiele więcej, niżby gość chciał wiedzieć, o rzeźbach w Tuileries i starej zabudowie w szóstym okręgu Paryża. Siedząc na twardym krześle po drugiej stronie biurka Mo, Larry czekał na jakąś okazję, żeby go zapytać, czy znalazł cokolwiek na broni. Kiedy w końcu mu się to udało, Mo wolno odwrócił się od komputera i wypchnął językiem policzek.

- Czy mam rozumieć, Larry, że to dotyczy sprawy Gandol-pha? Tej, o której czytam w gazetach?

Pamiętając o prawdziwie bizantyjskich sojuszach pozawieranych w McGrath Hall, Larry nie podał w dokumentach numeru sprawy, tak że spostrzegawczość Mo nieco go zaskoczyła. Dickerman miał w sobie jakąś odwieczną mądrość. W McGrath Hall najrozsądniej było niczego nie zauważać, a zgodnie z powszechnym przekonaniem, zainteresowania Mo ograniczały się tylko do dwóch tematów: odcisków palców, naturalnie, oraz baseballu, o którym zdawał się wiedzieć wszystko, od sum punktów zdobytych w poszczególnych sezonach przez „Home Run” Bakera po obliczane na podstawie współczesnych metod statystycznych szanse Traperów z Edmonton na trzy obiegi pod koniec dziewiątej zmiany, które zawsze oceniano na bliskie zero.

- Zgadłeś, Mo.

- Nie nazwałbym tego zgadywaniem, Larry. — Mo zmierzył Larry'ego długim spojrzeniem zza biurka, na którym wciąż leżała zmięta w kulkę papierowa torebka po jego lunchu.

- Co chcesz mi powiedzieć, Mo?

- Cóż, pokażę ci, co zrobiłem. Sam możesz wyciągnąć wnioski.

Mo ze stojącej za nim metalowej szafy wyjął rewolwer i kil-

356

ka kartek jego opisu z magazynu dowodów rzeczowych. Broń była szczelnie zamknięta w torebce z grubego plastiku, teraz już kruchego i brązowego na załamaniach, w której przechowywano ją od czasu, gdy Erno postrzelił Fara w roku 1997. Larry nigdy jej jeszcze nie widział. Rewolwer na oko był kalibru .38. Biorąc pod uwagę procedury przeciwdziałania skłonności broni i narkotyków do znikania z policyjnego magazynu dowodów rzeczowych, Larry, bez nakazu sądowego, miałby większe szanse obejrzeć klejnoty koronne niż ten rewolwer. Dlatego też poprosił o przekazanie go do laboratorium daktylo-skopijnego, gdy tylko ustalił, że nigdy nie został oddany właścicielowi. Po zakończeniu dochodzenia sądowego właściciel broni palnej użytej w trakcie popełniania przestępstwa może wystąpić o jej wydanie. Magazyn dowodów rzeczowych zwraca się wtedy do ATF, gdzie sprawdzają, czy nie została ona gdzieś skradziona. Jeśli jest czysta, właściciel może ją sobie zabrać. Ale Faro Cole nigdy nie zwracał sobie tym głowy, co — zważywszy na jego zniknięcie po strzelaninie — nie zaskoczyło Larry'ego.

Na swój monotony, nużący sposób Mo wytłumaczył mu teraz, jak trudno zdjąć odciski palców po tylu latach. Ponieważ takie ślady są generalnie pozostawiane przez oleiste substancje wydzielane przez ciało wraz z potem, z upływem lat się ulatniają. Larry wiedział o tym wszystkim i właśnie dlatego, kiedy intensywnie poszukiwał

Fara, poprosił, żeby badanie przeprowadził sam Bóg Odcisków Palców. Mimo że musiał teraz wysłuchać jego wykładu, miał dobry pomysł, ponieważ wyglądało na to, że Mo się poszczyściło.

- W tym wypadku jedyny ślad, który udało się uzyskać standardowymi technikami, był tutaj. - Mo przesunął swoje czarne okulary w górę nosa i wskazał gumką do ołówków, przez plastik, kilka miejsc na lufie, a potem pokazał Larry'emu cyfrowe fotografie na monitorze komputera. — Były bardzo, bardzo fragmentaryczne. AFIS wyrzucił kilka kart daktylogramów. Po badaniu wizualnym powiedziałbym, że zdają się pochodzić z dłoni i kciuka tego faceta. Ale tej opinii nie przedstawiłbym w sądzie. Dobry obrońca zrobiłby ze mnie szczekającą fokę, gdyby się okazało, że wyciągnąłem te wnioski, opierając się na tak szczupłych danych.

Położył na biurku typową kartę daktylogramów o wymiarach sześć na dziewięć cali, wypełnioną ogólnie znanymi, czar-

357

nymi odciskami: palców oraz grzbietu i wnętrza obu dłoni. W lewym górnym rogu znajdowała się laminowana fotografia osoby, której zdjęto odciski. Przystojnym młodym mężczyzną, którego ukazana w świetle flesza twarz miała całkowicie nieobecny wyraz, był Collins. Rozsądek mówił Larry'emu, że powinien spodziewać się czegoś takiego, ale i tak wyrwało mu się ciężkie westchnienie. Życie bez takich niespodzianek byłoby o wiele łatwiejsze.

— Wygląda na to, że trzymał broń za lufę — rzekł Mo.

— Tak właśnie zeznali świadkowie - powiedział mu Larry. -Ale ja muszę mieć stuprocentową pewność, że to ten facet. — Larry postukał palcem w kartę daktylogramów. Jeśli nie uzyskają całkowitej pewności, Arthurowi trudniej będzie zrobić jakikolwiek użytek z tego dowodu.

— Rozumiem. Sam chciałem potwierdzić moją opinię. Przeprowadziłem drugie badanie. Tu, na dole kolby, coś zauważyłem. Na co ci to wygląda? - Wskazywał plamkę w prawie tym samym kolorze jak ochrowa rękojeść rewolweru.

— Krew?

— Powiedziałbym, że masz zadatki na detektywa z wydziału zabójstw. Strzelaninie zwykle towarzyszy krew. A krew jest interesującym ośrodkiem dla odcisków. Szybko wysycha. I zachowany w niej odcisk często jest trwalszy niż zwykły. Kiedy się jednak identyfikuje odciski pozostawione we krwi, chemikalia używane rutynowo przez techników na miejscu przestępstwa, które przylegają do oleistych pozostałości

potu, nie działają. Tutaj obraz jest dosłownie utajony we krwi i często tak słaby, że zupełnie niewidoczny. Nie widzisz żadnych krwawych odcisków na tym rewolwerze, zgadza się?

Nie widział.

— Dziesięć lat temu — ciągnął Mo — to byłby koniec drogi. Dziś robimy cyfrową fotografię w podczerwieni, na której uwydatnia się krew i odfiltrowuje obraz podłoża, w tym wypadku brązowej kolby. Następnie przefiltrowałem fotografię jeszcze raz, żeby usunąć wszelkie ślady wyżłobień. Kiedy to zrobiłem, zostały cztery odciski w krwi... trzy częściowe i jeden niemal cały, bardzo wyraźny, kciuka. Dwa częściowe i ten kciuka były na kolbie, a trzeci częściowy na spuście.

Mo odsunął swój fotel do tyłu, żeby Larry mógł to zobaczyć na wielkim monitorze. Larry pokiwał posłusznie głową ale nie potrafił ukryć niecierpliwości.

358

— Przepuściłeś je przez AFIS?

— Naturalnie.

Dickerman sięgnął do teczki z dokumentami i położył na biurku przed Larrym dwie karty daktylogramów. Jedna miała blisko dwadzieścia pięć lat i założono ją Ernowi Erdaiovi po wstąpieniu do Akademii Policyjnej, a drugą po aresztowaniu za postrzelenie człowieka, którym, jak Larry wiedział już na pewno, był Collins.

— To tak się zorientowałeś, że chodzi o sprawę Gandolpha -stwierdził Larry.

Mo pokiwał głową.

— Widzisz — zaczął Larry — Erno odebrał broń facetowi, który trzymał ją za lufę... przyjmijmy, że to był Collins... i strzelił do niego. Za to odsiadywał wyrok więzienia. I dlatego jego odcisk jest na języku spustowym.

- Ta informacja mogłaby mi wtedy pomóc - powiedział suchym tonem Mo. — A ponieważ o tym nie wiedziałem, jeszcze raz zbadałem broń, wciąż mając nadzieję, że znajdę jakieś potwierdzenie prawidłowości identyfikacji pana Farwella. Dopiero po zastanowieniu, naprawdę, zrobiłem to, co powinienem zrobić za pierwszym razem, i sprawdziłem Komory naboju. Wpadłem w zachwyty, bo przysłali mi nabitą broń... a ja byłem tak głupi, że bawiłem się językiem spustowym, nie sprawdzivszy tego.

— Przepraszam — wtrącił Larry — ale to by się w pewnym sensie zgadzało. Kiedy go przywieźli na posterunek, prawnik Erna powiedział, że jego klient przyzna się do

winy. Pewnie dlatego nikt już potem nie zawracał sobie głowy badaniem rewolweru.

- Pewnie tak - odparł Mo, kręcąc głową na głupotę wszystkich, łącznie ze swoją. - Moja żona sądzi, że mam miłą biurową pracę. Czy myślisz, że ktoś mógłby dojść do wniosku, że to było samobójstwo?

- Nie w czasie sezonu baseballowego, Mo. Skrzywił się i pokiwał głową. Nie pomyślał o tym.

- Ile tam jest nabojów? - zapytał Larry.

- Tylko jeden. Ale w czterech komorach były także łuski ze śladami iglicy.

Mo mówił, że z rewolweru wystrzelono cztery razy. Świadkowie zgodnie zeznali, że Erno strzelił tylko raz. Za zgodą Mo Lar-

359

ry wziął torebkę i przycisnął plastik, żeby się lepiej przyjrzeć rewolwerowi. Był to pięciopistolet, na pewno kalibru .38.

— W każdym razie — podjął Mo — gdy już serce zaczęło mi znowu bić, okazało się, że warto było tam zajrzeć. Bardzo wyraźne odciski na każdej łusce.

Przypuszczam, że w tych komorach utrzymywała się wilgoć. - Mo kliknął myszką, żeby wyświetlić kolejne zdjęcia, po czym wskazał na nabój i cztery łuski w plastikowej kopercie włożonej do torebki z rewolwerem.

— Udało ci się dopasować odciski z bazy danych?

— Tak. Ten człowiek został aresztowany w roku 1955, kiedy miał dwadzieścia cztery lata, za zakłócanie porządku. - Zakłócanie porządku oznaczało zwykle bijatykę w barze, zarzut, który prawie zawsze był oddalany przez sąd. Mo położył na biurku inną kartę. Po dziesięciu latach Larry musiał się bardzo skupić, żeby odszukać tę twarz w pamięci, zwłaszcza że człowiek na fotografii był znacznie młodszy od tego, którego znał. Ale udało mu się. Facetem z miną winowajcy na czarno-białym zdjęciu policyjnym był Gus Leonidis.

Przez moment Larry był bardzo dumny, że przypomniał sobie tę twarz. Ale potem, gdy dotarło do niego, co to oznacza, w całym jego ciele odezwały się dzwonki alarmowe.

McGrath Hall został wybudowany podczas pierwszej wojny światowej jako arsenał. Policja zajmowała budynek od roku 1921 i, jak żartowano, kilku urzędników pracowało tam, od- | kąd się do niego sprowadziła. Był to ponury, mroczny

grobowiec, w którym traciło się poczucie czasu. W uznaniu pozycji Mo przydzielono mu biuro z widokiem na północ. Wielkie podwójne okna wychodziły na niszczejącą dzielnicę Kewahnee, od której gmach był oddzielony zaniedbanym trawnikiem, żelaznym ogrodzeniem i kilkoma drzewami. Larry zobaczył ja- f kies opakowanie po fast foodzie, które latało z wiatrem to tu, to tam, niczym rozbrykany chłopiec, i śledził je, aż zniknęło z pola widzenia. Co za sprawa, pomyślał. Ludzie, co za sprawa.

Larry pochylił się znowu nad bronią. Był to smitt & wesson -rewolwer Gusa, bez wątplenia. A rewolwer Gusa miał odcisk palca Erna na języku spustowym i jeden nie wystrzelony pocisk w komorze naboowej. Drugi wyjęli chirurdzy z Collinsa Farwella. Brakowało trzech. Nie, powiedział sobie w duchu Larry, po czym to powtórzył, a następnie przemyślał wszystko do końca.

— Uważasz, że to jest narzędzie zbrodni w mojej sprawie, Mo?

360

- Myślę, że laboratorium balistyczne może ci to powiedzieć na pewno. I podejrzewam, że ci magicy od DNA stwierdzą, czyja krew była na dłoni Erdaia. Przed dalszymi badaniami muszę odesłać ten rewolwer z powrotem do magazynu dowodów rzeczowych. Ale na pewno dopilnuję, żeby ktoś się tym zajął. Chciałem cię po prostu ostrzec.

Mo podał mu kopertę ze swoim raportem. Larry włożył ją do górnej kieszeni marynarki. W głowie kłębiło mu się od myśli. W tej chwili mógł się oprzeć tylko na instynkcie, którym tak często się kierował, a chłodny, racjonalny mechanizm naprowadzający tego instynktu mówił mu, że krew na dłoni Erna nie należała do Collinsa. Teraz, kiedy miał czas o tym pomyśleć, uświadomił sobie, że wszyscy świadkowie wydarzeń w Ike's zeznali, że gdy Erno strzelił, rzuciło się na niego co najmniej kilkunastu gliniarzy. Wyrwano mu broń z ręki, zanim się zbliżył do swego krwawiącego siostrzeńca. A zatem krew na chwycie rewolweru Gusa Leonidisa pochodziła od kogoś innego. Walcząc z sobą, Larry wolno, ale konsekwentnie rozważał kolejne możliwości. Luisa Remardi została zastrzelona z bliska. Jeśli odcisk palca Erna na języku spustowym zachował się w jej krwi, oznaczało to, że Erda był zabójcą czwartego lipca 1991 roku.

Erno był zabójcą. To było narzędzie zbrodni. I jakimś sposobem znalazło się sześć lat później w ręce Collinsa. Były na nim również jego odciski. Jedyнным facetem, który nie zostawił swoich śladów na rewolwerze, był Wiewióra. A on przyznał się do winy.

- A zatem Erno i/lub Collins zrobili to do spółki z Wiewióra- podsumował Larry. -

Wiewióra ich nie wydał, a Erno mu się odwdzieczył, kiedy już wiedział, że umiera.

Mo pokręcił głową.

- Ja mogę ci tylko powiedzieć, Larry, czyje to odciski. Larry wiedział o tym. Tylko to sobie wyjaśniał. Wiewióra

przyznał się do winy. Wiewióra wiedział o tym rewolwerze. Wiewióra miał w kieszeni kameę Luisy. I Wiewióra powiedział Genevieve, że zabije Luisę. Nic się nie zmieniło. Przynajmniej w tym zakresie, w którym dotyczyło to Wiewióry.

Ale jaką rolę, do diabła, odegrał w tym wszystkim Collins?

Kiedy Arthur dowie się o tym, rozpęta się burza. Sprawa, której nie można było zakończyć, rozkręci się na nowo do siedmiu i pół tysiąca obrotów na minutę.

361

Gdy wstał, Mo wskazał kieszeń marynarki, do której Larry włożył jego raport.

— Pozwolę ci być moim posłańcem w Center City.

— Jestem dozgonnie wdzięczny — odparł Larry. Popatrzył na Mo i dodał: — Jasna cholera.

Przed McGrath Hall stały ławki parkowe, na których latem cywilni pracownicy często jadali lunch. Z ukrycia powychodziły wiewiórki. Przyzwyczajone do tego, że ludzie karmią je okruszkami, zaczęły skakać wokół Larry'ego, gdy usiadł, żeby pomyśleć.

Nie potrafiliby opisać, jak się czuje. Zdenerwowany? Niespokojny? Ale w takich momentach zawsze dochodził do właściwych wniosków. Teraz też doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie jest zaskoczony tym, czego się dowiedział o Ernie. Zawsze brał pod uwagę możliwość, że Erdai krąży wokół prawdy. To Erno strzelał. Powtórzył to sobie jeszcze kilka razy. Samo to zbyt go nie obeszło, ale konsekwencje tego nim wstrząsnęły.

Dzień był wyjątkowo parny. Zmęczony nim Larry z minuty na minutę coraz bardziej niepokoił się problemem Muriel. Teraz będzie musiał się z nią zobaczyć. Nie ma wyboru. Siedział na ławce, jeszcze raz przeżywając to wszystko, co przeszedł w ostatnich dwóch dniach. Krew tętniła mu w żyłach i czuł, że na samą myśl o tym, że znajdzie się z nią w jednym pokoju, serce zaczyna mu walić jak młotem. I nagle stała się dla niego jasna jeszcze jedna sprawa: Muriel nigdy nie opuści Talmad-ge'a. Nigdy nie odetnie się od jego wpływów, zwłaszcza teraz, szesnaście miesięcy przed

wyborami. Mimo wszystko, aż tak bardzo się nie zmieniła. A nawet jeśli zapomnieć o wyborach, wywołałaby skandal, przyznając, że sypiała ze świadkiem w toczącej się — i kontrowersyjnej — sprawie. Twarda i trzeźwa strona natury Muriel, która zawsze tak w niej pociągała Larry'ego, skalkuluje w końcu, że nie opłaca się poświęcać dla niego całej swojej kariery. Pozostawało im ukrywanie się, pokoje hotelowe, błaganie o czas. A Nancy, która jest prawdziwą kobietą i zwraca uwagę na wszystko, będzie wiedziała. Najbardziej się zadręczał, myśląc o życiu, które stworzył sobie bez Muriel. To, że w ogóle brał pod uwagę, iż mógłby je odrzucić, aby sięgnąć po coś nieuchwytnego, nappełniło go goryczą, jakby jego serce pompowało kwas, a nie krew.

Czuł raport Mo w górnej kieszeni marynarki. Nie był przygotowany na nic z tego, co go ostatnio spotkało. Nie na Muriel.

362

Ani na to, że pewnego dnia przeczyta w gazecie, iż w sprawie o morderstwo, która została rozwiązana przed dziesięciu laty, nastąpił przełom. Spodziewał się, że Rommy Gandolph opuści ten padół, a on będzie miał święty spokój.

Amoże jednak nie? Taka szansa nie zdarza się zbyt często -szansa odkrycia na nowo tego, co się straciło i czego się wciąż żałowało. Naprawienia błędów popełnionych przez młodszą i głupszą wersję siebie samego. Czy mógł tak po prostu przepuścić taką okazję? Siedział tam, pełen wątpliwości, czując, że jeszcze trochę, a krzyknie z bezradności. Potem podarł raport Mo na kawałki i wrzucił je do kosza na śmieci. Wiewiórki wskoczyły tam za nimi, ale czekało je, tak jak innych, tylko rozczarowanie.

36

17 sierpnia 2001

Kraina Lincoln

W sali rozpraw sędziego Harlowa nie czuło się już wyczekiwania na jakieś dramatyczne wydarzenia. Tłum widzów zniknął z obszernej galerii, a kontyngent prasowy skurczył się do standardowej świty: Stewa Dubinsky'ego, Miry Amir i reporterki lokalnej agencji prasowej, dziewczyny świeżo po szkole dziennikarskiej, która — nawet w opinii Arthura — musiała się jeszcze nauczyć, co powinna na siebie włożyć. W kontaktach z mediami Arthur bagatelizował zarzuty, które postawił we wnioskach. Niezależnie od tego, jakie nadzieje pokładał w Harlowie, wiedział, że szanse na to, iż się ziszczą nie wzrosną, jeśli sędzia dojdzie do przekonania, że prasa już wystarczająco ukarała Muriel za jej przeoczenia.

Arthur kiepsko spał tej nocy. Nie wiedział, dokąd właściwie zmierza sprawa Rommy'ego. Z listem Muriel dotyczącym Collinsa mógł przez jakiś czas podtrzymywać wieko trumny, nawet fantazjował, że Collins w jakiś sposób udowodni, że Rommy jest niewinny. Jednak ostatnio z jakiegoś powodu Arthur zaczął się martwić o swoją przyszłość. Prędzej czy później to wszystko się skończy. Jak to przed kilkoma tygodniami ujęła Gillian, życie znowu będzie życiem, a nie przygodą. Arthur zawsze miał jakiś długofalowy plan, a tu nagle uzmysłowił sobie,

363

że przed sobą niczego już wyraźnie nie widzi. I ta niepewność zatruła mu sen, przywołując koszmary. Około piątej wśliznął się do kuchni i stanąwszy przy oknie, obserwował, jak słońce zaczyna wypalać ślad na niebie. Będzie dobrze, powiedział sobie. Wierzył w to, ale nigdy mocniej niż dwadzieścia minut później, kiedy Gillian w cienkim szlafroku weszła do kuchni, usiadła obok niego na krześle i bez słowa wzięła go za rękę, podczas gdy słońce zrzuciło swój różowy peniuar i oślepiająco piękne, wznosiło się coraz wyżej.

Muriel, a z nią Carol Keeney, weszła do sali zdecydowanym krokiem. W spodniom podkreślającym jej sylwetkę wyglądała, co było już regułą, jak smukły kot gotowy do walki. Położyła swoje akta na jednym ze stołów oskarżenia, po czym przeszła wolno przez salę i klapnęła obok Arthura na pierwszej ławce, gdzie wraz z kilkoma innymi adwokatami, którzy także złożyli wnioski, czekał na rozpoczęcie posiedzenia sądu.

— I cóż? — zagaiła. — Duży ten twój cylinder? Zostały ci w nim jeszcze jakieś króliki?

— Mam nadzieję, że ten jeden wystarczy.

— To naprawdę sprytnie, Arthurze. Muszę ci to oddać.

Arthur uzyskał od sądu apelacyjnego zgodę na jeszcze jedno przesunięcie terminu złożenia wniosku o ponowne rozważenie orzeczenia w sprawie Rommy'ego, argumentując, że musi mieć czas na sprawdzenie informacji dotyczących Collinsa, które Muriel ujawniła w swoim liście. Jego następny ruch, zaplanowany razem z Gillian, był znacznie bardziej niekonwencjonalny. Zgodnie z paragrafem jedenastym federalnego kodeksu postępowania cywilnego, Arthur poprosił sędziego Harlowa o zastosowanie sankcji wobec Biura Oskarżyciela Publicznego Hrabstwa Kindle za zwłokę w ujawnieniu tego, co Collins powiedział Larry'emu w Atlancie. Zarzuty Arthura sprowadzały się w istocie do tego, że odmowna odpowiedź Muriel na jego wniosek sprzed paru miesięcy o przyznanie Collinsowi gwarancji nietykalności była oparta na fałszywych przesłankach, a przez to obarczona poważnymi błędami

prawnymi. Na tej podstawie Arthur domagał się, żeby sędzia Harlow ukarał Muriel, nakazując, aby zagwarantowała Collinsowi nietykalność, i pozwolił mu go przesłuchać. Teoretycznie Harlow nie miał już wpływu na tę sprawę, ponieważ był jednak pierwszym sędzią, który się nią zajmował, mógł najlepiej ocenić, czy został okłamany, to on powinien rozstrzygnąć te wątpliwości. A gdy-

364

by nałożył na którąś ze stron sankcje, uznawszy, że działała w złej wierze, taka decyzja byłaby w pełni prawomocna.

— Sąd apelacyjny to przejrzy, Arthurze — dodała Muriel. — To bardzo inteligentne posunięcie, ale na dłuższą metę sprawa jest beznadziejna.

— Nie sądzę, Muriel. Myślę, że sędzia Harlow może uznać, że ukrywałaś istotne informacje.

— Niczego nie ukrywałam, Arthurze. To Erno ukrywał różne rzeczy... i kłamał.

— Chronił siostrzeńca.

— Strzelając do niego? Poza tym nie wydaje mi się, żeby można to było uznać za usprawiedliwienie krzywoprzysięstwa. Erno był niewiarygodny, Arthurze. Od początku.

— Zwłaszcza że nie ujawniłaś niczego, co potwierdza jego zeznania.

— Nic ich nie potwierdza, Arthurze.

— A co ze słowami Collinsa, że co wieczór prosi Boga, aby mu wybaczył to, co razem z Ernem zrobili Rommy'emu? Jak mogłaś przetrzymywać taką informację i nie czuć wyrzutów sumienia?

— To stek bzdur, Arthurze. Collins po prostu wykorzystał Lar-ry'ego, żeby potwierdzić zeznania wuja, nie ryzykując krzywoprzysięstwa. A poza tym dostałaś te informacje, gdy tylko wydało nam się, że mogą one mieć jakiś daleki związek ze sprawą.

— Co tam jeszcze trzymasz, Muriel, co twoim zdaniem nie ma żadnego związku ze sprawą?

— Arthurze, w mojej odpowiedzi poinformowałam już ciebie i sędziego, że masz wszystko, co przemawia na korzyść twojego klienta.

— Z wyjątkiem zeznań Collinsa. Naprawdę myślisz, że sądy pozwolą ci trzymać

Collinsa w szafie, podczas gdy ty będziesz wieszala Rommy'ego?

— Collins to wątek uboczny. Nic go nie łączy z tymi morderstwami. Byłeś bardzo dobry w wyznajdowaniu takich ubocznych wątków. Na tym polega twoja praca. Muszę ci to oddać. Opowiem ci o jeszcze jednym takim wątku ubocznym, który mnie z kolei interesuje.

— Jakim?

— Mały ptaszek mówi mi, że często widuje w twoim biurze Gillian Sullivan. I jak się trzymacie za ręce w Matchbook. O co

365

tu chodzi? Dociekliwe umysły chcą wiedzieć. - Muriel posłała, mu ponury uśmiezek.

Ten ptaszek cofnął go o kilka kroków, zgodnie zresztą z in-,t tencjąMuriel. Jak przewidziała Gillian, Arthur niezbyt dobrze l. znosił złośliwe chichoty wywoływane przez rozchodzące się niczym pożar buszu wieści o ich związku.

— Jaki ma to związek z czymkolwiek, Muriel?

— Nie wiem, Arthurze. To raczej niezwykle, nie sądzisz?

— Nie ma żadnego konfliktu interesów. Kilka miesięcy temu sama powiedziałaś do protokołu, że Gillian nie odgrywa żadnej | roli w tym postępowaniu.

;))

— Wydajesz się nieco przeczulony, Art. Zawsze lubiałam Gil- ;• lian. Każdy zasługuje na drugą szansę. |

Według Gillian, Muriel wcale jej nie lubiła. Obu nie podoba- J ło się, że przez lata często je porównywano w biurze oskarżyciela publicznego. I Muriel nie wierzyła w drugie szanse. Była | prokuratorem i zgodnie z jej credo, na karę zasługiwali wszyscy, którzy popełnili błąd - oczywiście poza nią. Udało jej się \ jednak dopiąć swego. Arthur niecierpliwie pragnął zakończyć tę rozmowę. Muriel dostrzegła to i wstała.

Kilka tygodni wcześniej Arthur na wszelki wypadek zawiadomił pisemnie Rommy'ego, że Gillian i on stali się „bliskimi f przyjaciółmi". Jednakże Muriel chodziło nie tyle o przyzwoitość, f ile o uświadomienie Arthurowi, że ma słaby punkt. Przeszła ' przez całą salę rozpraw, żeby go ostrzec. Jeśli on obrzuci jabło- \ tem, kwestionując jej profesjonalizm, ponieważ ukryła infor- !} macje o Collinsie, ona odpowie mu tym samym, obsmarowując) go brudami, które zebrała na jego

temat.

Arthur uzmysłowił sobie, że nigdy tak do końca nie pasował ;| do tego zawodu. Mimo tych wszystkich lat spędzonych w sądowych okopach i wszystkiego, co wiedział o Muriel, łudził się, że przysiadła się do niego, ponieważ go lubi.

— Proszę powstać.

Harlow z plikiem dokumentów w rękach podszedł żwawo < do stołu sędziowskiego. Wywołał i uporał się z kilkoma innymi sprawami, które były zaplanowane na ten dzień. Kiedy dotarł do skargi Gandolpha, uśmiechnął się z góry do Arthura i Muriel, którzy stanęli przed podium.

— Ludzie, myślałem, że już się nie zobaczymy. Witam po- [nownie. - Najpierw wezwał Muriel, żeby odpowiedziała na '< wniosek Arthura. Wystąpiła z zaciekłym sprzeciwem.

366

- Po pierwsze — zaczęła — sąd apelacyjny stwierdził, że sprawa jest zamknięta. Po drugie, pan Raven nie jest już dłużej adwokatem Gandolpha. Po trzecie, okres wyznaczony przez sąd apelacyjny na przedstawienie dodatkowych faktów zakończył się ponad miesiąc temu. I po czwarte, w żadnym z oświadczeń, jakie kiedykolwiek wygłosiliśmy przed tym lub jakimkolwiek innym sądem, nie było ani jednej próby wprowadzenia w błąd.

Harlow uśmiechnął się do siebie, wciąż podziwiając styl Muriel. Miała ledwie sześć stóp i sto funtów, a potrafiła uderzyć jak bokser wagi ciężkiej. Sędzia usiadł wygodniej w wysokim fotelu i zastanawiając się, przeczesywał palcami długie siwe włosy.

- Z całym szacunkiem dla moich siedzących tam przyjaciół, oczu i uszu społeczeństwa — powiedział w końcu — myślę, że są jednak pewne sprawy, które najlepiej omawiać w gabinecie sędziowskim. Może obie strony spotkają się tam ze mną?

Przeprowadził ich przez swój sekretariat i wpuścił do Krainy Lincoln, jak za plecami sędziego często nazywano jego gabinet. Na ścianach i półkach było tam co najmniej pięćdziesiąt portretów, rycin i fotografii Brady'ego przedstawiających Lincoln w różnych okresach życia. Odpowiednio wyeksponowane dokumenty z podpisem prezydenta znajdowały się w całym pokoju. Sędzia miał nawet w pudełku kolekcję monet z epoki.

Urzednicy Harlowa, biały mężczyzna i czarna kobieta, przyszli za nim z sali rozpraw

z żółtymi notatnikami w rękach. Gdy sędzia powiesił tokę na wieszaku stojącym obok biurka, zaczął się śmiać.

- Ludzie - powiedział w końcu - oglądam rozprawy sądowe od ponad czterdziestu lat, ale chcę wam powiedzieć, że tę zapamiętam. Przypomina mi to te turnieje futbolowe na poziomie ligi szkolnej, kiedy wszyscy zdobywają punkty w dogrywkach. Jeśli wyjdiesz na chwilę po piwo, nie potrafisz potem nawet stwierdzić, kto prowadzi. - Długą ręką wskazał stół konferencyjny z orzecha, który stał pod jedną ze ścian. Arthur, Muriel, Carol Keeney i dwoje urzędników usiedli przy nim.

Zasady obowiązujące na sali rozpraw obliżowały sędziego do tego, by najpierw wysłuchał obu stron, ale w swoim sanktuarium Harlow nie musiał się do nich stosować. Pod nieobecność protokolanta mówił tak, jakby wydawał dekrety.

- Nie lubię ukrywać się przed prasą, zwłaszcza w sprawie, która zyskała taki rozgłos, ale na tym etapie postępowania

367

musimy być wobec siebie szczerzy, żeby można było posunąć się do przodu.

W tej chwili zadzwoniono do niego z sali rozpraw. Przyszła Pamela, która przedtem musiała być jeszcze w sądzie stanowym. Sędzia powiedział strażnikom, żeby ją skierowali do gabinetu.

— W porządku - zaczął Harlow, kiedy Pamela także usiadła przy długim stole. - Przede wszystkim skończmy się wygłupiać z tymi wnioskami. Po pierwsze, pani Wynn, nie zna mnie pani zbyt dobrze i ja pani zbyt dobrze nie znam, ale myślę, mówiąc prywatnie, iż oboje zgodzimy się, że po rozmowie z panem Far-wellem powinna pani skorygować treść dokumentów, które złożyła pani w tym sądzie.

— Żałuję, że tego nie zrobiłam, panie sędzio.

— Świetnie. Panie Raven, obaj wiemy, że gdyby pani Wynn naprawdę próbowała pana wykiwać, nic z tego by nie ujawniła.

— Zgoda, panie sędzio. Ale odczekała z tym do postanowienia sądu apelacyjnego. Teraz mój klient musi próbować cofnąć fait accompli.

— A zatem głównym powodem twojego narzekania jest kwestia terminu, Arthurze. Racja?

Arthur poruszył ręką na znak, że przyznaje sędziemu rację, ale bez zbytniego

entuzjazmu.

— Nie lekceważę twojego punktu widzenia, Arthurze — ciągnął Harlow. Dobrze wiemy, że publiczne przesłuchanie może wszystko zmienić. Szczerze mówiąc, pani Wynn, gdybym usłyszał, że siostrzeniec pana Erdaia prosi co wieczór Boga o wybaczenie za to, co zrobili Gandolphowi, cholernie chciałbym usłyszeć, co Collins Farwell ma do powiedzenia.

— Z całym szacunkiem, panie sędzio — odezwała się Muriel — nasze biuro nigdy nie przyznaje immunitetów na prośby oskarżonych lub stron w procesach cywilnych, a nawet sądów, które chcą uzyskać dostęp do zeznań. Gdyby zgromadzenie ustawodawcze uważało, że te osoby powinny mieć prawo do udzielania gwarancji nietykalności, dałoby im je. A tak się nie stało. Nie przyznaliśmy immunitetu panu Farwellowi wtedy i nie przyznamy teraz.

Sędzia przez chwilę patrzył na Muriel, mrużąc oczy.

— Nie uważam, że wyliczanie, ile to mamy rakiet w naszych arsenałach, jest tu właściwym podejściem, pani Wynn. Każde

368

z nas ma różne uprawnienia. Pani może nie udzielić immunitetu. A ja mogę wydać pewne postanowienia, które się pani nie spodobają. Pan Raven zaś może dopilnować, żeby stały się one szeroko znane. Zamiast o uprawnieniach, wolałbym raczej porozmawiać o tym, co sprawiedliwe. Jest oczywiste dla nas wszystkich, że Collins Farwell wie o okolicznościach tej zbrodni coś, czego nie ujawnił przed dziesięć laty. Pan Raven uważa, że zanim doprowadzimy do stracenia jego klienta, powinniśmy wiedzieć o tym wszystkim tyle, ile to tylko możliwe, i wydaje mi się to całkowicie uzasadnione. Biorąc teraz pod uwagę, co Genevieve Carriere powiedziała wam o tym, jak w lipcu roku 1991 zachowywał się pan Gandolph, żadne z nas nie będzie zaskoczone, jeśli się okaże, że pan Raven jeszcze pożałuje, iż prosił o przesłuchanie pana Farwella. Ale uzyska spokój ducha, który będzie mu potrzebny, gdy ze swoim klientem będzie musiał stawić czoło temu, co nastąpi. Pani także będzie to potrzebne. I mnie. Wolałbym zatem, żebyśmy przez dzień lub dwa zastanowili się nad tym, co sprawiedliwe, a nie nad naszymi uprawnieniami, ponieważ potem możemy tego wszyscy bardzo żałować.

Sędzia rzucił Muriel badawcze spojrzenie spod krzaczastych, poprządkanych siwizną brwi. Nie odpowiedziała, ale świadomość, na co się porywa, wyraźnie dała jej się we znaki. Kwestią zasadniczą było właśnie to, co Arthur powiedział jej w sali rozpraw. Kenton Harlow nie dopuści do egzekucji Rom-my'ego Gandolpha, nie

wysłuchawszy opowieści Collinsa. A to, że zeznania Farwella mogą zawstydzić sąd apelacyjny, dowodząc, że przedwcześnie zamknął sprawę, było bez wątpienia niemałym bodźcem dla Harlowa. Ale sędzia dał Muriel kilka możliwości wyboru. W sytuacji, gdy prasa niecierpliwie śledziła rozwój wypadków, mogła wielkodusznie przyznać immunitet Collinsowi, wychwalając pod niebiosa swoje oddanie prawdzie, albo, mając do dyspozycji znacznie krótszy oręż, skrzyżować go z sędzią federalnym, który oficjalnie zarzucając jej kłamstwo, mógł jej odebrać wszelkie szanse na sukces w wyborach.

- Może się wszyscy nad tym zastanowimy, dobrze? - powiedział Harlow. Wezwał swojego protokolanta i podyktował krótką notatkę, w której potwierdził, że wniosek Arthura został złożony i sprawa jest w toku, po czym zwolnił ich wszystkich. Muriel wyszła pośpiesznie z twarzą skurczoną w wyrazie chłod-

369

nego oburzenia. Gdy tylko zniknęła, Pamela nie wytrzymała i z całych sił wyściskała Arthura, po czym obdarzyła go jednym ze swoich olśniewających uśmiechów.

— To było kapitalne - powiedziała. Arthur w tym momencie był jej bohaterem.

Wyparł się wszelkich zasług i odesłał ją do biura, żeby naszkicowała krótkie sprawozdanie dla sądu apelacyjnego z wydarzeń tego dnia.

37

17 sierpnia 2001

Oni wiedzą

Muriel po powrocie do biura wysłała na pager Larry'ego wiadomość, żeby natychmiast zgłosił się do niej; zadzwoniła również do szefa wydziału dochodzeniowo-sledczego, by mieć pewność, że nie zostanie zignorowana. Przyznanie immunitetu Collinsowi należało do kompetencji prokuratury, ale detektyw prowadzący śledztwo w tej sprawie miał prawo oczekiwać, że zasięgnie się jego opinii na ten temat. Rozumiało się także samo przez się, że Larry nie pokaże się u niej z własnej woli. Rozzłoszczona i zdenerwowana przez Harlowa, nie miała już cierpliwości na dziecinne błazeństwa Larry'ego.

Gdy godzinę później się pojawił, była już spokojniejsza. Wyglądał mizernie i poczuła się na jego widok mniej więcej tak, jak czuła się przez ostatnie kilka dni. W przeszłości Larry często od niej uciekał. Miała nadzieję, że obecnie oboje są inni, ale kiedy przyszło co do czego, okazało się, że nie, że w rzeczywistości nic się pod tym względem nie zmieniło. Wszystkie nieporozumienia i komplikacje przygnębiały ją,

chwilami nawet czuła się upokorzona. Ale w niedzielę wyszła z kościoła gotowa uwierzyć, że może to będzie najlepsze rozwiązanie, jeśli sprawy między nią a Larrym nie ułożą się tak, jak jeszcze niedawno chciała.

Larry wszedł do jej gabinetu, akurat kiedy Ned Halsey, czu-purny oskarżyciel publiczny o krzywych nogach i siwych włosach, perorował na temat ostatnich wydarzeń. Ned, znany z życzliwości dla wszystkich, był bardzo poruszony. Pokazał

370

Larry'emu, żeby zamknął drzwi, i znów zwrócił się do siedzącej za biurkiem Muriel.

— Kenny Harlow był już dupkiem, gdy studiowaliśmy razem prawo czterdzieści pięć lat temu — mówił Ned. - Kiedy dali mu togę, stał się nawet większym dupkiem. A teraz jest tak gigantycznym dupkiem, że potrzebny mu własny układ słoneczny. Jeśli więc pytasz mnie, czy on naprawdę zachowa się jak dupek, odpowiedź brzmi: tak.

— Wciąż nie wierzę, że sąd apelacyjny pozwoli mu wepchnąć nam w gardło ten immunitet — odparła Muriel, której gniew przeszedł w determinację. Tak było przez całe jej życie. Wstań. Walcz. Tym kierował się jej ojciec, kiedy miał do czynienia z władzą, za którą stała arogancja.

— Ogryzie cię do kości, zanim oni zdążą coś zrobić, Muriel — powiedział Ned. — „Sędzia mówi, że pierwszy zastępca oskarżyciela publicznego skłamała”. Mniejsza o ciebie i o to, że zaszkodzi ci tak, że nie da się tego naprawić. Ale czy chcesz, żeby musiało przez to przechodzić biuro? Wiem, że nie chcesz.

— Przez co? — zapytał Larry.

Wyjaśniła mu w kilku zdaniach, co się stało w sądzie. Larry się zirytował.

— Jezu, Ned, nie możecie dać Collinsowi immunitetu. Bóg tylko wie, co on powie. Jest tak daleko od tych wydarzeń, że w zasadzie może wygadywać, co mu tylko przyjdzie do głowy. Nigdy nie zamkniemy tej sprawy.

— Larry — odezwał się Ned - możemy mówić bez końca o polityce biura. Wciąż jednak będzie to wyglądało tak, jakbyśmy ukrywali prawdę. Facet w gruncie rzeczy powiedział ci, że pomógł zrobić Gandolpha.

— Nie możemy przyznać immunitetu Collinsowi - upierał się Larry. - Co będzie, jeśli się okaże, że miał coś wspólnego z morderstwami?

Nawet Muriel tego nie kupiła.

— Larry, nie ma żadnych dowodów wiążących Collinsa z morderstwami. Żadnych wyników ekspertyz sądowych ani zeznań. Poza tym, jak oskarżenie może utrzymywać, że ktoś inny mógł być zamieszany w te morderstwa, skoro usiłujemy doprowadzić do egzekucji Gandolpha za ich popełnienie? Chryste, jeśli przedstawimy taki argument, równie dobrze możemy sobie zbić sosnową skrzynkę i położyć się w niej.

Ned, jak to Ned, uspokajająco poklepał Larry'ego po ramie-

371

niu i ruszył do drzwi. W progu zatrzymał się jednak i wyciągnął rękę w stronę swojej pierwszej zastępczyni.

— To twoja sprawa, Muriel. Poprę cię, cokolwiek postanowisz. Ale sądzę, że powinnaś spróbować dobić targu z Arthurem. Zaproponuj mu immunitet w zamian za rezygnację z dalszych apelacji, jeśli się okaże, że Collins w niczym im nie pomógł.

Powiedziała, że nie sądzi, aby Arthur na to poszedł.

— To i dobrze — odparł Ned. - Przynajmniej będziesz trochę kryta politycznie, jeśli zdecydujesz się na bezpośrednie starcie z Kennym.

Ned był dobrym i mądrym człowiekiem. Spodobała jej się jego rada.

— No więc? — odezwała się do Larry'ego, kiedy Halsey zamknął za sobą drzwi. — Chodzi o coś, co powiedziałam czy zrobiłam? Żadnych kartek? Żadnych telefonów? Żadnych kwiatów? — Przed chwilą nie spodziewała się, że powie cokolwiek, i nawet gdy zaczynała mówić, myślała, że zdoła zachować beztroski ton. Tymczasem jej słowa dosłownie ociekały kwasem. Położyła ręce na biurku i wzięła głęboki wdech.

— Nie bój się, Larry. To nie dlatego cię wezwałam.

— Tak mi się wydawało.

— Chciałam po prostu poznać twoje zdanie na temat Collinsa.

— Nie możesz mu udzielić immunitetu, Muriel. Dickerman w końcu odezwał się do mnie w sprawie tego rewolweru.

— Kiedy to było?

— W zeszłym tygodniu.

— W zeszłym tygodniu! Do diabła, Larry, czy regulamin policyjny nie mówi, że prokurator ma znać wszystkie dowody w sprawie? We wtorek złożyłam odpowiedź

na zapytanie sędziego, w której oświadczyłam, że przekazaliśmy już wszystko, co mieliśmy na temat Collinsa. Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

— Natychmiast po ustaleniu, co mam powiedzieć o całej reszcie.

— Całej reszcie? Czy to aluzja do spraw osobistych?

— Myślę, że tak to można nazwać.

Tutaj, w biurze, byli w tej korzystnej sytuacji, że mogli rozmawiać spokojniej, bardziej rzeczowo. Odgrodzona od niego || biurkiem, założyła ręce na piersi i zapytała, czy myśli, że to, co jfl się stało w zeszłym tygodniu w domu, który remontował, było Jj pomyłką. ||

372

— Gdybym wiedział, co o tym myśleć, Muriel, przyszedłbym tutaj i powiedział ci to. Taka jest prawda. A co ty o tym myślisz?

Zanurzyła się na chwilę w mrocznych wodach swoich uczuć i odpowiedziała cicho:

— Myślałam, że to cudownie być z tobą. Przez kilka dni czułam się jak w niebie. Do czasu, aż zrozumiałam, że nie odezwiesz się do mnie. Dlaczego?

— Nie mam siły znowu tego znieść. Zapytała, co miał na myśli, mówiąc o „tym”.

— Tę całą sytuację — odpowiedział. — Ciebie i mnie. Albo idźmy na całość, albo zapomnijmy o tym. Jestem zbyt stary, żeby żyć w zawieszeniu, między jednym a drugim spotkaniem.

— Nie chcę, żeby tak było, Larry. Chcę ciebie w moim życiu.

— Jako?

— Jako kogoś, z kim jestem związana. Bardzo mocno związana.

— W wolnych chwilach? Przez cały czas?

— Jezu, Larry, mówię o potrzebie, nie o planie bitwy.

— Nie będę się więcej ukrywał, Muriel. Albo w to wchodzimy, albo wychodzimy.

— Co to znaczy „wchodzimy”, a co „wychodzimy”?

— Ty opuszczasz Talmadge'a, a ja Nancy. Mówimy sobie raz na zawsze, że popełniliśmy wtedy błąd, wielki błąd, i że spróbujemy uratować to, co jest jeszcze do uratowania.

— O rany! - odezwała się Muriel. Dotknęła piersi: serce biło jej młotem. - O rany! -
W planach nie miała nic poza wykorzy- -staniem okazji do romansu, na który jednak,
z czym jeszcze przed chwilą była już pogodzona, raczej się nie zanosilo.

— Mówię serio.

— Widzę.

— I nie jestem w stu procentach pewny, czy tego chcę. Ale wiem, że jeśli tak ci to
przedstawię, nie pozostawię sobie wyboru.

— No i przedstawiasz, Lar.

— Próbuję.

Był zły, już boleśnie odczuwał spodziewaną odmowę. Co do niej, w zeszłym
tygodniu rozstała się z nim wzburzona, smutna z wielu powodów i do tego miała
wyrzuty sumienia. A jednak była szczęśliwa. Uwolniła się od czegoś. Mimo że to, co
zrobiła, było niebezpieczne, głupie i egoistyczne, czuła się tak, jak-

373

by sięgała ku gwiazdom. Gdy Larry później zamilkł, najbardziej smuciła ją utrata
tego nastroju.

— Cieszę się, że to powiedziałeś — odezwała się po chwili. — Naprawdę. —
Mówiła spokojnie, ale panicznie się bała. Tak wiele spraw ułożyło się nagle w
niebezpiecznie chwiejący się stos. Jej małżeństwo. Jej praca. Jej przyszłość.
Wszystko, co składało się na to, kim jest. Cholera.

Gdzieś z zakamarków jej umysłu wyłoniło się pytanie, które urosło do podstawowej
kwestii. Czy miłość — prawdziwa, burzliwa miłość w wieku czterdziestu czterech
lat— zastąpi wszystko, do czego dążyła w życiu? Bajkopisarze i poeci utrzymywali,
że tak, nie ma innej odpowiedzi. Ale nie była pewna, co na ten temat mieli do
powiedzenia dorośli. Przynajmniej jedna dorosła, ona.

— Muszę to przemyśleć, Larry. Dobrze się nad tym zastanowić. — Zorientowała się,
że to była pierwsza jej uwaga, która sprawiła mu przyjemność.

— Taa, przemyśl to — odparł, przyglądając się jej. —Ale pewnie nie będziesz już
chciała ze mną rozmawiać.

— A to dlaczego?

Gniew nagle go opuścił. Opadł ciężko na dębowy fotel stojący przy rogu jej biurka.

— Bo jeszcze ci nie mówiłem, co Mo powiedział o rewolwerze. Większą część ostatnich dwudziestu kilku lat Larry spędził

na ściganiu najniebezpieczniejszych tak zwanych ludzi w tym mieście. Gonił ich w mrocznych przejściach i ciemnych zaułkach, raz nawet wbity w kamizelkę kuloodporną poprowadził swoich ludzi do ataku na kryjówkę Kan-Ela, przywódcy Night Saints, którego przyskrzynili z ładunkiem broni kupionej jakimś sposobem od libijskiej armii. W takich sytuacjach Larry'ego zawsze ogarniało radosne podniecenie, miał wrażenie, że tańczy na końcówkach nerwów, jak w czasach, gdy w college[^] grywał w piłkę. Nigdy nie czuł strachu lub obrzydliwej, płynącej z żołądka goryczy w gardle, czyli tego, co teraz. Uświadomił sobie, że naprzeciw niego siedzi osoba, której boi się najbardziej na świecie. Nagle stało się dla niego niepojęte, dlaczego nie powiedział jej o rewolwerze w zeszłym tygodniu. Na ile mógł to zrozumieć, miał już po prostu po dziurki w nosie, że to Muriel ustala wszystkie zasady.

W miarę jak mówił, odsuwała się i robiła twarda i zimna jak kamień.

374

— A gdzie masz raport Dickermana? — zapytała, gdy skończył.

— Powiedzmy, że go zgubiłem.

— Powiedzmy. — Wsparła czoło na dłoniach.

— To nie ma znaczenia, Muriel. Wiewióra to zrobił. Wiesz, że to on. Nawet jeśli miał za współników Erna i Collinsa, wciąż jest winny.

— To teoria, Larry. Twoja teoria. Może nasza. Ale oni mają teorię, że Erno zrobił to sam. A ich teoria jest może odrobinę bardziej przekonująca, jeśli weźmie się pod uwagę, że to jego odciski palców we krwi są na języku spustowym narzędzia zbrodni.

— Przypuszczalnego narzędzia zbrodni.

— Stawiam sto dolarów, że tak jest, Larry. Postawisz sto na to, że nie jest? Co powiesz na dziesięć? — Paliła go wzrokiem. — A może dziesięć centów?

— W porządku, Muriel.

— Jezu — powiedziała, kręcąc głową. — O czym ty, do diabła, myślałeś, Larry?

— Mój błąd — przyznał.

— Przestań pieprzyć, Larry. Chcę, żeby ten rewolwer trafił do laboratorium balistycznego jeszcze dziś po południu. I do serologicznego, gdy tylko z nim

skończą. Skontaktuj się też z AFT, żeby zbadali jego historię po numerach seryjnych.

— Tak jest, psze pani.

— Masz szczęście, że to się tak skończyło. Gdyby Arthur to odkrył, wylądowałbyś w Rudyard. Czy to rozumiesz?

— Oszczędź mi melodramatów, Muriel.

— Nie żartuję,

— Nie pieprz, Muriel. Mówię ci o tym teraz. To tylko kilka dni opóźnienia. Prokurator nigdy nie wie wszystkiego. Nie chcecie wiedzieć wszystkiego.

— Co masz na myśli?

— Daj spokój, Muriel. Wiesz przecież, jak to funkcjonuje. Kiedy kupujesz kielbasę, nie pytasz rzeźnika o przepis. Dostajesz kielbasę i wiesz, że to kielbasa. Nie ma w niej nic, co cię zabije.

— Czego jeszcze nie wiem, Larry?

— Zapomnij o tym.

— Nie ma mowy, Larry. Nie zagramy już po tym wszystkim w „zaufaj mi”.

375

— To prawda czy wyzwanie?

— Nazywaj to, jak chcesz.

To była oczywiście walka, co zawsze wiedział, i on miał ją przegrać.

- Dobrze. Czy myślisz, że kamea naprawdę była w kieszeni Wiewióry?

Tym ją zamknął. Ostra Muriel zaczęła zdradzać oznaki strachu.

- Tak myślałam — odezwała się w końcu.

— No więc była.

— Niech cię szlag — odpowiedziała z ulgą.

- Ale nie było jej tam w dniu, kiedy go aresztowałem. Była tam poprzedniej nocy, tyle że pewien glina o lepkich palcach wziął ją sobie do domu. Ja po prostu odłożyłem ją na dawne miejsce. O tym właśnie mówię. Nie mów mi, że jesteś zaszokowana.

Nie była. Widział to.

— Larry, ukrywanie odcisków na narzędziu zbrodni to nie to samo co dopinanie sprawy na ostatni guzik. Przecież wiesz o tym. — Spojrzała za siebie, na wykuszowe okno. — Ale bałagan — powiedziała.

Larry patrzył, jak stuka paznokciem kciuka o przednie zęby, zastanawiając się nad wszystkim. Po chwili zdrowy rozsądek, niczym kamizelka ratunkowa, zaczął ją wydobywać na powierzchnię.

— Przyznam Collinsowi immunitet - powiedziała w końcu.

- Co?

- Jeśli Arthur dostanie, czego chce, nie zapyta dlaczego. Może, jeśli będziemy mieli szczęście, Jackson pozwoli nam najpierw prywatnie posłuchać opowieści Collinsa.

— Nie możesz mu dać immunitetu. Facet latał po okolicy z narzędziem zbrodni w ręku.

- Nie mam wyboru, Larry. Nie dałeś mi go. Nie dam rady się z tego wybronić. Nie mogę powiedzieć, że Collins może być mordercą, i nadal domagać się egzekucji Gandolpha. Albo jedno, albo drugie. Do diabła, Larry, przez te odciski palców Erna na spuście jesteśmy znowu w punkcie wyjścia. A Collins może być dla nas najlepszym rozwiązaniem. Harlow ma rację. Collins mógłby raz na zawsze załatwić Rommy'ego.

- Nie - odparł. To był sprzeciw ogólny. Larry był wściekły na wszystko. - Chodzi o wybory, prawda? I tak chciałaś dać

376

Collinsowi immunitet. Ned cię już przekabacił. Ja jestem tylko wymówką. Nie chcesz się narazić Harlowowi.

- Och, pieprzę cię, Larry! — Wzięła z biurka ołówek i cisnęła nim w okno. - Do cholery, czy ty tego nie rozumiesz? Wybory są tym najmniej ważne. Jest jeszcze prawo. Są zasady. I sprawiedliwość. Chryste, Larry, minęło dziesięć lat, a ja słucham cię teraz i zastanawiam się, co właściwie się wtedy stało. Czy ty to rozumiesz? — zapytała, pochylając się nad biurkiem. Wyglądała tak, jakby chciała go udusić.

- Och, rozumiem. - Podeszedł do drzwi i dodał: - Jestem tylko gliniarzem.

Wczesnym wieczorem Gillian stała w centrum miasta przed sklepem Mortona, czekając na Arthura. Urzędnicy z okolicznych biur w większości rozjechali się już do

domów i ruch uliczny zelżał. Kilka stóp od niej, w szklanej wiacie przystanku autobusowego, siedziały dwie zmęczone kobiety z wielkimi torbami zakupów.

Kończyło się lato i zmierzch zapadał już coraz wcześniej, co dla Gillian było do pewnego stopnia miarą długości jej związku z Arthurem. Słońce, które widzieli wstające rano, zanurzało się właśnie w rzece. W stale zmieniającym kierunku wietrze wyczuwało się pierwszą zapowiedź jesieni. Chociaż wielokrotnie jej mówiono, że to oznaka skłonności do depresji, nigdy w pełni nie przestała postrzegać zjawisk naturalnych — nadejścia ciemności lub końca lata — z zabobonnym niepokojem. Życie jest dobre. Ale nie będzie trwało wiecznie.

Arthur się spóźnił. Gdy tylko podjechał, Gillian natychmiast zauważyła, że jest czymś podekscytowany.

- Kolejny Murielgram - powiedział, gdy Gillian wsunęła się do samochodu. Przywiózł dwie kopie krótkich wniosków, które biuro oskarżyciela publicznego złożyło tego popołudnia w sądzie dystryktowym oraz w objazdowym sądzie apelacyjnym. Powiadamiając o uzyskaniu „nowych i istotnych informacji dotyczących natury oraz okoliczności przestępstwa”, Muriel prosiła o zawieszenie całego postępowania na czternaście dni, żeby umożliwić oskarżeniu zbadanie sprawy.

- O co tu chodzi? - zapytała Gillian. - Zadzwoń do niej?

- Naturalnie. Zażądałem, żeby przekazała mi te nowe informacje, ale nie ustąpiła nawet o cal. Przez jakiś czas prowadziliśmy szermierkę słowną a w końcu uzgodniliśmy, że jeśli

377

dam jej te dwa tygodnie, ona poprze wniosek o uchylenie orzeczenia sądu apelacyjnego i wznowienie postępowania. Ujmując to najprościej, Muriel wymazuje swoje punkty z tablicy wyników.

— Mój Boże! — Chociaż Arthur prowadził, Gillian przysunęła się do niego, żeby go objąć. — Ale co to może być? Przyzna gwarancję nietykalności Collinsowi?

— Nie mogę uwierzyć, aby uznała z góry, że on jest na tyle wiarygodny, by z jego powodu otwierać na nowo sprawę. Jeśli nie spodoba jej się to, co Collins powie, nazwie go po prostu kłamcą. Tu musi chodzić o coś więcej. O coś bardzo poważnego.

Od miesięcy Arthur żywił nieprawdopodobną nadzieję, że Muriel nagle dozna olśnienia w sprawie Rommy'ego. Gillian miała o niej znacznie gorsze zdanie, ale Arthur każdego, z kim przed laty pracował, widział wyłącznie w dobrym świetle. W każdym razie podzielała jego podejrzenie, że doszło do czegoś, co może istotnie

zmienić rozwój wypadków.

— A zatem miałeś cudowny dzień - powiedziała.

— Miewałem gorsze — odparł.

— Stało się coś złego?

— Nic, co miałyby związek ze sprawą. I trudno powiedzieć, żeby to było naprawdę złe. Muriel pozwoliła sobie na komentarz o nas. Oni wiedzą.

— Rozumiem. I jak się wtedy poczułeś? Wzruszył ramionami.

— Nieprzyjemnie?

Jej jeźzowata matka zareagowałaby na to starą śpiewką „A nie mówiłam?” Cała pieczołowicie podtrzymywana rezerwa Gillian miała ją chronić przed tym głosem, który tak naprawdę nigdy nie umilkł w jej głowie. Ale biedny Arthur zawsze chciał, żeby ludzie go lubili. To, że wybrałszy ją na towarzyszkę życia, stał się celem drwin i lekceważących uwag, wstrząsnęło nim, jak się zreszłą spodziewała. Nad ranem, gdy się obudziła, stał przy oknie zagubiony w myślach, patrząc na wschód słońca.

— Próbujesz mi powiedzieć, że mnie ostrzegałeś? - zapytał ją.

— Tak łatwo mnie rozszyfrować?

— Przetrzymamy to - powiedział. Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki.

— Poważnie — dodał. — Rano myślałem o tym, że powinniśmy uciec.

— Och, naprawdę?

378

- Serio. Po prostu spakować się i znaleźć sobie jakieś inne miejsce. Zacząć od nowa. We dwoje. Zadzwoiłem do paru ludzi, Gil. Są takie stany, w których za parę lat, zakładając, że nic się nie zmieni, miałabyś duże szanse na powrót do zawodu.

- Do zawodu?

Odważył się na chwilę oderwać wzrok od jezdni i pokiwał stoicko głową. Gillian zaparło dech w piersiach. Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mieć prawo do powrotu z wygnania.

- A twoja praktyka, Arthurze?

- I co z tego?

- Po tych wszystkich latach, które poświęciłeś, żeby zostać współnikiem?
- To wszystko z lęku przed odrzuceniem. Chciałem nim zostać, bo nie wybaczyłbym sobie, gdyby mi się to nie udało. Poza tym, jeśli w sprawie Rommy'ego jest tak, jak myślę, będę bogaty. Jeśli go uwolnimy od oskarżenia, Rommy złoży pozew cywilny na ogromną sumę. Mogę opuścić kancelarię i wziąć tę sprawę. Dostanie miliony. A ja swoją część. Myślałem o tym.
- Najwyraźniej.
- Nie, to nie tak, jak brzmi. Ja po prostu nigdy nie byłem naprawdę dobry w prywatnej kancelarii. Jestem pszczołą robotnicą. Nie jestem wystarczająco układowy, żeby ściągać bogatych klientów. Chcę po prostu znaleźć dobrą sprawę i pracować nad nią jak diabli. Najlepiej, żeby chodziło w niej o coś, w co wierzę.

Przed laty, obserwując Arthura z daleka, Gillian myślała o nim jak o kimś, kto już od urodzenia jest w średnim wieku. Ale było to konsekwencją jego wyglądu i fatalistycznego podejścia do życia, odziedziczonego po ojcu. Teraz już wiedziała, że jest niepoprawnie młody duchem. Nigdy w pełni nie przyzwyczyił się do postrzegania świata na sposób dorosłych, był on dla niego zbyt skomplikowany i wieloznaczny. Dzięki sprawie Rommy'ego doszedł do ładu z samym sobą- kimś, kto jest najszcześliwszy, dążąc do ideałów, nawet jeśli są one nieosiągalne.

- A co z twoją siostrą? - zapytała Gillian

Odbijające się na twarzy Arthura myśli i uczucia były już dla niej tak czytelne, jakby wyświetlano je na ekranie. Zobaczyła teraz, jak twarda rzeczywistość ściąga go z powrotem na ziemię.

- Może zostaniemy na Środkowym Zachodzie. I tak nie

379

mógłbym się przenieść zbyt daleko, jeśli mam się zajmować cywilną sprawą Rommy'ego, bo będę musiał przyjeżdżać tutaj kilka razy w tygodniu. A może powiem matce, że ona także odpowiada za Susan. Od trzydziestu lat jest na samowolce. To ja byłem rodzicem, a ona dzieckiem. Może po prostu powiem jej, że czas dorosnąć?

Gillian uśmiechnęła się. Arthur chyba naprawdę zastanawiał się nad tym pomysłem. Nie potrafiła tak jak on oddawać się nieziszczalnym marzeniom, co było jedną z przyczyn jej ucieczki w narkotyki. Ale uwielbiała, gdy on bujał w obłokach. I od czasu do czasu, zwłaszcza ostatnio, stwierdzała, że unosi się razem z nim. Nie trwało to zwykle dłużej niż jeden z tych niestabilnych izotopów wytwarzanych w

reaktorach, które istnieją głównie w teorii, ale myśląc o tym teraz, roześmiała się, zamknęła oczy i przez ten okrucz czasu wierzyła wraz z Arthurem w idealną przyszłość.

38

22 sierpnia 2001

Inna historia

Jackson Aires uwielbiał być upierdliwy. Początkowo zgodził się na przesłuchanie Collinsa przed złożeniem przez niego zeznań, o ile tylko odbędzie się to w Atlancie i biuro oskarżyciela publicznego opłaci mu przelot. Potem okazało się, że Collins przyjechał do miasta, żeby się zająć spadkiem po Erdaiu. Jackson powiedział jednak, że jego klient zmienił zdanie i będzie mówił jedynie pod przysięgą. Muriel mogła doprowadzić do ponownego zwołania wielkiej ławy przysięgłych w celu wznowienia śledztwa w sprawie Masakry z Czwartego Lipca, ponieważ morderstwo nie podlegało przepisom o przedawnieniu, i wołała to rozwiązanie od pisemnego zeznania pod przysięgą. Pozwalało jej to przesłuchać Collinsa bez Arthura na karku i bez obaw, że przekaże on prasie te fragmenty zeznania, które mu się spodobają. Dzięki temu nie musiała też łamać przyjętych przez jej biuro zasad udzielania immunitetów w sprawach cywilnych. Nawet Jackson wołał wielką ławę przysięgłych, ponieważ, z mocy prawa, zeznanie Collinsa pozostałoby tajne.

Dwudziestego drugiego sierpnia Collins pojawił się w po-

380

czekalni przed salą posiedzeń wielkiej ławy. Był w tym samym ciemnym eleganckim garniturze, który miał na sobie podczas pogrzebu wujka. W ręce trzymał biblię owiniętą różańcem z wielkim krzyżem. Była tak często kartkowana, że choć wydana w twardej oprawie, wyglądała jak edycja broszurowa. Oprócz Airesa obok Collinsa stała jego postawna jasnowłosa żona.

Muriel podała Jacksonowi druk postanowienia o przyznaniu immunitetu, który adwokat przeczytał słowo po słowie, jakby już wiele razy nie widział takiego dokumentu, a następnie otworzyła drzwi do sali posiedzeń wielkiej ławy przysięgłych. Jackson próbował wejść tam z nimi, wiedząc doskonale, że nie ma do tego prawa. Tylko świadek, prokurator, protokolant sądowy i członkowie wielkiej ławy mogli znajdować się w środku.

— Muszę być przy tym obecny — upierał się Aires. — Nie ustąpię.

Po półgodzinnych negocjacjach uzgodnili, że Collins złoży przysięgę, przesłuchanie -

nagrywane - odbędzie się po południu w kancelarii Jacksona, nagranie zaś zostanie przekazane wielkiej ławie. Muriel w gruncie rzeczy także była zadowolona, że opuszczają budynek sądu, w którym dziennikarze w każdej chwili mogli coś wywęszyć.

Jackson miał kilka biur, jedno w Center City, inne w Ke-wahnee, ale jego główne miejsce pracy znajdowało się w North End, niedaleko lotniska DuSable. Podobnie jak Gus Leonidis, nie chciał machnąć ręką na okolice, w której wyrósł. Swoją kancelarię ulokował w należącym do niego parterowym kompleksie handlowym. Głównym dzierżawcą była ogólnokrajowa sieć całodobowych sklepów drogerijno-spożywczych, której dyrekcję przed laty nakłonił pochlebstwami do wynajęcia lokalu na rogu. Po drugiej stronie kompleksu, za szklanym holem, znajdowało się mieszkanie Jacksona.

Muriel przyjechała osobno, bez Larry'ego i Tommy'ego Mol-to. Tydzień przyniósł intensywne upały, podsycane przez wiatr z południa i słońce, istny bicz boży. Muriel chciała poczekać na swych towarzyszy na zewnątrz, ale po kilku minutach weszła do środka, gdzie była klimatyzacja.

W końcu zebrali się wszyscy w wielkim wewnętrznym biurze Airesa. Znając jego próżność, Muriel spodziewała się, że jak wielu innych, potraktował ściany gabinetu jako pomnik swej chwały, ale na większości wiszących na nich fotografii wi-

381

dać było jego rodzinę — troje dzieci, adwokatów z praktykami w innych miastach, i jeśli Muriel nie pomyliła się w rachunkach, dziewięcioro wnucząt. Zona Jacksona zmarła przed kilku laty. Patrząc na jego biuro, słuchając dochodzących zza drzwi odgłosów krzątania dwóch zatrudnionych przez Airesa prawników, Muriel zastanawiała się, czy powiedziałby on, że Ameryka to wspaniały kraj, czy też stwierdził, że nie powinien aż tak ciężko harować na to, na co zasługiwał. Oba sądy były prawdziwe.

- Muriel, ty usiądź tutaj. — Z nieoczekiwaną galanterią Jackson oddał jej swój wielki fotel za biurkiem. Meble w całym pomieszczeniu były proste i funkcjonalne, najwyraźniej zakupione w rabatowym sklepie z zaopatrzeniem biurowym. Aires tymczasem usiadł w fotelu stojącym przy przednim rogu biurka, obok swojego klienta. Niczym chór, żona Collinsa, Larry i Molto zajęli miejsca za nimi. Jackson, jak to Jackson, wyjął własny mały magnetofon i położył go na biurku obok magnetofonu Muriel.

Gdy tylko oba zostały sprawdzone i włączone, Collins popatrzył na Airesa i zapytał:

- Mogę teraz mówić?
- Może tak pozwolisz pani zadać sobie najpierw pytanie, co? — odparł Jackson. — To nie jest lekcja aktorstwa. Nie występujesz z monologiem.
- Jest tylko jedna sprawa warta opowiedzenia— odrzekł Collins.
- A mianowicie? — zapytała Muriel.
- Mój wujek Erno zabił tych troje, a Gandolph nie miał z tym nic wspólnego.

Muriel zapytała, jak może być tego taki pewny. Collins popatrzył na Airesa, który zachęcająco machnął ręką.

- Cóż, zacząłeś mówić i raczej nie możesz teraz przestać — stwierdził.

Collins przymknął na chwilę swoje niezwykle bursztynowe oczy i odpowiedział na pytanie Muriel:

- Ponieważ, niech Jezus mi wybaczy, byłem tam i widziałem, jak to zrobił.

Siedzenie fotela Airesa było zbyt wysokie dla Muriel. Zsunęły jej się pantofle na wysokich obcasach i musiała kilka razy kopnąć w dywan żeby obrócić fotel i lepiej się przyjrzeć Collinsowi. Ubyło mu trochę włosów i przytył, ale wciąż był niezmi-

382

sko pięknym dziełem Boga. Twarz miał niewzruszoną jakby próbował okazać odwagę w obliczu prawdy.

— Nie chcę nigdy więcej opowiadać tej historii - ciągnął Collins. — To dlatego chciałem, żeby Anne-Marie mogła usłyszeć jąteraz i żeby to się wreszcie skończyło. Mój Pan i Zbawca wie, że urodziłem się w grzechu, ale smutno mi myśleć, jakim człowiekiem byłem bez Niego.

Muriel zerknęła na Larry'ego. Siedział rozparty obok kontrolki klimatyzatora. Zdjął sportową marynarkę i złożywszy ją starannie na kolanach, obserwował z uwagą swoją stukającą w dywan stopę. Byli dopiero na początku, ale z jego miny mogła bez trudu odczytać, że już dość się nasłuchał o Jezusie. Przez lata miał okazję słuchać wielu facetów, którzy wycinali znaki swojego gangu na czyichś brzuchach, a na trzydzieści sekund przed ogłoszeniem wyroku odkrywali Boga. Muriel jednak nigdy to specjalnie nie przeszkadzało. Bóg mógł sam sobie wszystko poukładać. Jej zadaniem było obciążanie winnych odpowiedzialnością tu, na ziemi.

Muriel przez minutę zajmowała się sprawami organizacyjnymi. Podąła głośno datę i

godzinę, wyjaśniła, czego dotyczy postępowanie, a następnie poprosiła każdego po kolei o kilka słów, żeby na taśmie znalazły się próbki ich głosów.

- Rozpocznijmy od nazwiska - zwróciła się następnie do Collinsa. Kiedy je podał, zapytała, czy jako dorosły człowiek korzystał z jakichś pseudonimów. Podał przynajmniej pół tuzina.

— A co z „Faro Cole”? Używał pan go?

- Tak.

— Jako fałszywego nazwiska?

- Raczej sposobu na nowe życie - odpowiedział i uśmiechnął się do siebie z widocznym rozgoryczeniem. - Jestem jak wielu innych ludzi - mówił dalej. - Wciąż próbowałem zaczynać życie od nowa, aż w końcu mi się udało. - Popatrzył na swojego adwokata. - Czy mogę to powiedzieć tak, jak chcę? - Aires wskazał na Muriel. - Mam to ułożone w głowie w pewien sposób - wyjaśnił jej Collins. - Potem możecie mnie pytać, o co tylko chcecie, ale najpierw chciałbym to opowiedzieć tak, jak pamiętam.

Zrobiłby to tak czy owak. Muriel zdawała sobie z tego sprawę. Mógł to przedstawić tak, jak chciał - jako żałujący grzesznik, jako jeden z tych pokrzywdzonych przez los nieszczęśników. Ale niezależnie od tego, jak to zrobi, ona i tak pod koniec

383

dnia poupycha to wszystko w małych, sztywnych pudełeczkach prawa. Powiedziała mu, żeby mówił, jak mu wygodnie.

Collins wykorzystał tę chwilę na wygładzenie marynarki. Miał na sobie białą koszulę i elegancki krawat. Wciąż się starannie ubierał.

- W gruncie rzeczy - zaczął — jest to opowieść o moim wujku i o mnie. Nie, żeby nie było wielu innych ludzi, którzy powinni być ważni. Ale nie byli tacy. To pierwsza rzecz, którą wy wszyscy musicie zrozumieć.

Ja i wujek Erno - mówił dalej - przeszliśmy razem długą drogę. Oby nigdy na ziemi nie było dwojga innych ludzi, którzy | nienawidziliby się bardziej, niż my się czasami nienawidzili- § śmy. Myślę, że działo się tak dlatego, że byliśmy dla siebie naj- | lepszym, co każdy z nas miał. Ja zastępowałem mu dziecko, | którego nie miał, a on był dla mnie kimś najbardziej przypo- I minającym ojca, i żaden z nas nie uważał, że wyszedł na tym 1 interesie szczególnie dobrze. Oto ja, czarny dla każdego, kto U mnie widzi, i ten długonosy gość, który tak naprawdę chciał | tylko tego, żebym żył

jak on. Jak ja miałem to zrobić? |

Collins opuścił wzrok na krzyż i biblię, które trzymał na kolanach.

— Nie mogłem mieć więcej niż trzynaście, czternaście lat, kiedy zadarłem już ze wszystkimi w moim starym sąsiedztwie. Byłem czarny niezależnie od tego, czy tak mówili, czy nie, i stałem się najgorszym bratem, jaki kiedykolwiek żył. Tylko że było tak, jak powiedziałem... wujek Erno nigdy nie spuszczał mnie z oka. Snułem się po ulicach, robiąc te głupie rzeczy, sprzedawałem kokainę i paliłem ją też, a mój wujek... on potrafił zachowywać się jak policjant — uwielbiał to robić — wyciągał mnie z tych nor i mówił, że marnuję życie. To moje życie, odpowiadałem mu i wracałem do tego samego. Oczywiście, gdy tylko policja mnie przymykała, natychmiast dzwoniłem do Erna, a on mnie wyciągał i mówił, że nigdy więcej tego nie robi.

Pierwszy dorosły wyrok dostałem w osiemdziesiątym siódmym. Erno tak to załatwił, że odsiedziałem go na farmie poprawczej. A kiedy wyszedłem, to wiecie, naprawdę chciałem się zmienić. Jak się pilnujesz, oni wymazują informację o wyroku i masz czystą hipotekę. Erno i mama wysłali mnie na Węgry, żeby mnie odciąć od złych wpływów, a ja, już na własną rękę, wybrałem się do Afryki. Kiedy wróciłem do domu, poprosiłem wujka, żeby mi pomógł znaleźć pracę w turystyce.

384

Erno nigdy nie był ze mną tak szczęśliwy jak w osiemdziesiątym ósmym - ciągnął Collins. - Robiłem wszystko to, co zawsze mi mówił, żebym robił. Poszedłem do szkoły, uczyłem się, zdałem egzamin na agenta biura podróży, dostałem posadę w Time To Travel i co dzień rano chodziłem do pracy. Braci, z którymi kiedyś kombinowałem, mijalem na ulicy, jakbym ich nigdy nie znał. I, ludzie, było mi ciężko. Bardzo ciężko. Erno, wiecie, on i mama... oni zawsze opowiadali mi, jak im było źle na Węgrzech - jedli wiewiórki i jaskółki, które łapali w parkach, i takie tam - ale ja pracowałem i pracowałem, i nie miałem pieniędzy. Dwadzieścia parę lat na karku i znowu mieszkać z matką? Kiedy awansowałem na agenta, zostałem w Time To Travel na zwykłej prowizji, ale ani jedna z tych wielkich firm nie chciała robić interesów z czarnym. I w końcu powiedziałem do niego: „Wujku Erno, nie uda mi się, człowieku. Próbowałem, próbowałem, ale to po prostu nie wypali”.

Collins podniósł wzrok, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robi jego opowieść. Molto wykorzystał tę przerwę, żeby sprawdzić, czy ich magnetofon działa. Jackson, naturalnie, zrobił to samo.

- Erno widział, że znowu skręcam na złą drogę, i był dosyć podłamany. Któregoś razu wpadł na pomysł, że przeniesie jakoś do mnie interes linii lotniczej. Jedna

zwariowana kombinacja goniła drugą. I tak się zaczął przekręt z biletami. Na początku udawał, że to są bilety, które się zgubiły. Głupie, co? Bardzo szybko domyśliłem się prawdy.

Larry odchrząknął.

- Mogę zapytać o parę spraw? - Jego głos nie brzmiał wcale przyjaźnie.

Upłynęła chwila, zanim rozpamiętujący przeszłość Collins podniósł wzrok.

- Starczek - powiedział.

Pierwsze pytanie Larryego było proste. Skąd pochodziły bilety?

- Wtedy właśnie zaczęli wydawać bilety komputerowe - odparł Collins. Drukarki nie działały dobrze: zacięły się, pisały w złych liniijkach. Przez połowę czasu agenci dalej wypisywali bilety ręcznie, a potem nadawali im ważność ręczną drukarką z osobistą matrycą. Jak się pomyliłeś przy wypisywaniu takiego biletu, unieważniałeś go i wstawiałeś jego numer do raportu o błędach. Erno dawał mi czyste ważne bilety do ręcz-

385

nego wypełnienia, które zostały wykazane w raportach o błędach, tak że nikt ich nie szukał.

— Linie lotnicze wciąż mi mówią- powiedział Larry- że ktoś latający z lewymi biletami prędzej czy później zostanie przyłapany.

— Pewnie tak jest — przyznał Collins. — Ale z tymi biletami nikt nie latał. Zwracałem je, żeby pokryć koszt innych.

Muriel zerknęła na Larry'ego, chcąc sprawdzić, czy coś jej umknęło, ale on także sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

— Załóżmy, że miałem klienta — zaczął tłumaczyć Collins — który zapłacił gotówką za podróż do Nowego Jorku. Brałem wtedy jeden z biletów, które dał mi Erno, i wypisywałem go na lot nowojorski z wcześniejszą datą. Miał już nadaną ważność, więc i wyglądał tak, jakby wydano go w kasie TN. Potem zwracałem bilet Ernowi, żeby pokryć koszt biletu mojego klienta, jakby to była zamiana. Wkładałem gotówkę do kieszeni, zamiast oddać ją Time To Travel. Miałem w ten sposób całą cenę biletu. I swoją groszową prowizję. Księgowość linii lotniczej porównywała kartę pokładową z ważnym biletem i nigdy nie szukała dalej.

— Sprytnie — powiedziała Muriel.

— To nie był mój pomysł — wyjaśnił jej Collins. — To Erno na niego wpadł. Widział wszystkie przekręty z biletami. Przypuszczam, że w końcu wymyślił coś, co powinno działać. Pewnie potraktował to jak jakieś wyzwanie. Taki był Erno.

— Racja — wtrącił Larry. — Nad tym się właśnie zastanawiam... nad Ernem. Dlaczego nie zrobił tego, co zrobiłby każdy choć w połowie normalny człowiek, i nie dał ci pieniędzy?

Collins pochylił głowę do przodu i do tyłu, jakby ważył odpowiedź.

— Erno, jak wiecie, był trochę dziwny.

— Też mi, kurwa, odpowiedź — powiedział Larry. Wąskie usta Collinsa wygięły się w dół. Nie podobał mu się

zarówno język, jak i to, że ktoś kalał pamięć Erna. Muriel rzuciła Larry'emu karcące spojrzenie. Był to chyba ich pierwszy kontakt wzrokowy od czasu, gdy tu wszedł. Biorąc pod uwagę nastrój, w jakim się rozstali w zeszłym tygodniu, mogła się spodziewać jakiejś wyzywającej reakcji, ale tylko spokojnie skinął głową.

— Po pierwsze, Erno był skąpy - zaczął Collins. - Taki był. Gdy już dostał dolara, nie bardzo chciał się z nim rozstać. I, wie-

386

cie, często zrzędził, że linia powinna go traktować lepiej w tej czy innej sprawie. A poza tym, do diabła, życie przestępcy może być naprawdę ekscytujące, zapytajcie kogoś, kto wie. Erno zawsze marzył o tym wszystkim, co stracił, kiedy go wywalili z Akademii Policyjnej. Ale wiecie, kiedy trzymam w ramionach moje dzieci, zawsze im mówię: „Nie ma tego, czego bym dla was nie zrobił”. Zastanawiałem się często nad tym i myślę, że właśnie coś takiego Erno mówił do mnie: Spróbuj osiągnąć coś w życiu, stać się kimś, a nie ma tego, czego bym nie zrobił, żeby ci pomóc.

Collins pochylił się, żeby zobaczyć, czy Starczekowi to wystarczy. Widząc po minie Larry'ego, że nie jest do końca usatysfakcjonowany, wrócił do swej opowieści:

— Mimo to czułem się tak, jakby Erno wciąż trzymał mnie na postronku. Wyrwałem się więc na wakacje do Europy i zabawiłem się w Amsterdamie, gdzie znowu wróciłem do narkotyków. Kiedy wpadłem tym razem, Erno dał sobie ze mną spokój. Poświęcił dla mnie wszystko, co było dla niego ważne, a ja mu tak za to odpłaciłem. Mniej więcej to mi chciał powiedzieć. Siedziałem w więzieniu o średnim nadzorze w Jensenville, a on nie odwiedził mnie ani razu.

Dopóki nie wyszedłem w roku 1990 — podjął po chwili milczenia - tak naprawdę nie

rozumiałem, w jak fatalnej jestem sytuacji. Znałem się tylko na dwóch rzeczach: handlowaniu prochami i robocie agenta biura podróży. I nie mogłem wrócić do żadnej z nich. Jeszcze jeden wyrok za narkotyki, i jako Potrójny X wędrowałem na całe życie za kratki. A licencję agenta biura podróży straciłem, kiedy mnie zamknęli w osiemdziesiątym dziewiątym. Powinienem się wynieść, ale byłem młody... wiecie, jak to jest... i doszedłem do wniosku, że wygram z systemem. Nazwałem się Faro Cole, sfalszowałem dyplom college[^] i zdałem jeszcze raz egzamin na licencję.

— Aha — mruknęła Muriel.

Collins odpowiedział smutnym uśmiechem.

— Dostałem pracę w Mensa Travel, tylko na prowizji, i było tak samo jak poprzednio: chociaż bardzo się starałem, wciąż miałem mało pieniędzy. No i w końcu pomyślałem, że skoro ta kombinacja z ręcznie wypisywanymi biletami wyszła za pierwszym razem, to może i za drugim. Musiałem tylko znaleźć kogoś, kto mógłby je wycofać z ksiąg. Sam nie mogłem pójść do TN - Erno by mnie przegonił - ale kiedyś wieczorem siedzę na

387

swoje nieszczęście w jednej knajpie, a tu wchodzi Gandolph i jak zawsze próbuje opchnąć coś, co sam lub ktoś inny ukradł. Wiedziałem, kim jest. Zaraz po szkole średniej pracowałem kilka miesięcy na lotnisku. Kupował ode mnie trawkę. Po tych wszystkich latach nie mógł sobie przypomnieć nawet początku mojego nazwiska, ale przyszło mi wtedy do głowy, że to ktoś, kto zawsze wie, kiedy jakaś rzecz rozstała się z właścicielem, więc może znać jakiegoś agenta od biletów w DuSable, który chciałby trochę pokombinować. Obiecałem mu, że jeśli coś z tego wyjdzie, zadamy o niego. Tak właśnie spiknąłem się z Luisą.

Początkowo nie chciała mieć z tym nic wspólnego, ale w końcu się złamała, kiedy jej powiedziałem, że Erno robił to samo. To na nią podziałało. Nie zamierzała dawać się robić w konia Ernowi ani nikomu innemu.

Muriel zapytała, kiedy to było.

- Och, musieliśmy wystartować w styczniu dziewięćdziesiątego pierwszego. To wtedy oni wszyscy zostali zabici, zgadza się? W dziewięćdziesiątym pierwszym? Powiedziałbym więc, że to było w styczniu. I kręciło się dobrze do czasu, aż w tej samej knajpie, w Lamplight, wpadłem na Gandolpha. Pogadaliśmy i okazało się, że ona nic mu nie daje. Mogło być tak, że naprawdę nie dotarło do niej, że powinna odpalać mu działkę. Wiem, że jej o tym powiedziałem, ale ona tego nie robiła, i Wiewióra poleciał z wrzaskiem na lotnisko, a ona w końcu dała mu swoją kameę,

żeby mu po prostu zamknąć gębę do czasu, aż ustalą, ile mu jest winna.

- Mówi pan, że Luisa w zasadzie oddała mu tę kameę w zastaw? — zapytała Muriel.

- Dokładnie — odparł Collins. — Powiedziała, że to jest pamiątka rodzinna.

Oczywiście było już za późno, bo Erno usłyszał o pyskowaniu Wie wióry i zaczął węszyć. Gdy tylko usłyszał moje nazwisko, od razu wiedział, co się dzieje, i wszedł na mnie. Krzyczał, że mi nie pozwoli kraść na swoim terenie, zwłaszcza że to on mnie nauczył, jak to robić. Powiedział mi, że albo ja z tym skończę, albo on, i zaraz potem usłyszałem, że kazał zrewidować Luisę pod jakimś pretekstem...

- Narkotyki — odpowiedział Larry.

- Właśnie — odparł Collins. - Narkotyki. Powiedział, że ona ma przy sobie narkotyki. Może Erno myślał, że jeśli Luisa kombinuje ze mną, to robimy też w prochach. Ale ona nie była z tych, co dają się tak traktować. Po tej sprawie zaczęło się na

388

całego. Zresztą i tak potrzebowała pieniędzy dla Gandolpha, żeby wykupić kameę.

Na początku lipca przekazała mi wiadomość. Powiedziała, że była bardzo ostrożna i że udało jej się ukryć trochę biletów. Nie bała się też wcale Erna. Powiedziała, że dobrze schowała te bilety i nikt ich nie znajdzie, więc nie mam się o co martwić. Wymyśliła, że czwarty lipca, kiedy nikogo nie będzie, to dobry czas na spotkanie.

Umówiliśmy się więc na trzeciego lipca - podjął Collins po chwili milczenia - a właściwie już czwartego, po północy, w Pa-radise. Nie minęły nawet dwie sekundy, odkąd weszła, kiedy wbiegł za nią Erno. Sprawdzał jej raporty o błędach i śledził ją. „Już po tobie, moja pani!”, krzyczy do niej. „Dałem ci szansę!” Spogląda na mnie i mówi: „Spadaj stąd, do diabła. A co do ciebie”, dodaje, patrząc na Luisę, „daj mi teraz te bilety, które ukryłaś w bieliźnie, i pisz podanie o zwolnienie z pracy, albo wzywam gliniarzy”.

Luisa, rany... to była naprawdę twarda sztuka. Nikomu nie pozwoliła sobą pomiatać. „P... się”, mówi. „Nie zadzwonisz po żadnych gliniarzy. Wydasz mnie policji, to powiem, że robiłeś to samo”.

Collins uniósł rękę i przesunął się. Słońce świeciło mu prosto w oczy. Jackson wstał i zaciągnął zasłony. Przyzwyczajając się do nowej pozycji albo wspominając to, co opisywał, Collins siedział przez sekundę nieruchomo.

- Widzicie, te jej słowa były, jak byście to nazwali, punktem zwrotnym. Ernowi nigdy

nawet nie przyszło do głowy, że ja mógłbym coś wygadać na jego temat. Uznał, że po prostu przekabaciłem Luisę. Ale nigdy by nie pomyślał, że mógłbym powiedzieć o takim sekrecie. I to komuś, kto nie należy do rodziny.

Erno... on był bardzo porywczy — ciągnął opowieść Collins. — Cały poczerwieniał, a oczy mu się zrobiły jak talerze. I widać było, że jest gotów kogoś zabić. Serio. Tyle że to nie Luisę chciał załatwić. Chodziło mu o mnie. Gdyby miał w ręce broń, na pewno by mnie zastrzelił. Ale nie miał. Jeszcze nie. Zaczął po prostu bluzgać na nas dwoje, na cały głos, i wtedy przyszedł Gus i powiedział mu, żeby zabierał stamtąd swój tyłek, ale Erno wcale go nie słuchał. Nie minęło wiele czasu i Gus wrócił z bronią.

Po tym wszystko był mniej więcej tak, jak wujek mówił w są-

389

dzie. Erno powiedział Gusowi, że do nikogo nie strzeli, a Luisa wyrwała mu ten rewolwer i Erno rzucił się na nią, aby jej go odebrać. Nie wydaje mi się, żeby ten strzał był aż takim wypadkiem, jak to Erno przedstawił. Ale wszystko działo się cholernie szybko. Bum! Ludzie, to był taki huk, że jeszcze pięć minut później miałem wrażenie, że restauracja wciąż się trzęsie. I jeszcze Luisa patrząca w dół na tę dziurę dokładnie w środku jej ciała, i ten dym, dym unoszący się z tej dziury jak z papierosa. Przez sekundę żaden z nas nie wiedział, co się porobiło. Staliśmy po prostu i patrzyliśmy na nią, takie to było dziwne.

W końcu Gus otrząsnął się z tego i ruszył do telefonu. Erno powiedział mu, żeby się zatrzymał, ale Gus szedł dalej i Erno położył go jednym strzałem, jakby zabijał konia.

- A ty? — zapytał Collinsa Larry.

- Ja?

- Co ty robiłeś?

- Stary, słyszałem różne przechwałki i opowieści, ale prawda jest taka, że nigdy nie widziałem zastrzelonego człowieka. To było straszne. Naprawdę straszne.

Początkowo po głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: Co mam teraz zrobić, żeby on to wszystko cofnął? To było takie niesamowite, że nie mogłem uwierzyć, że się dzieje naprawdę. Tak jakby wszystko miało za chwilę wrócić do normy. A potem dotarło do mnie, że nie wróci.

Po tym, gdy Erno zastrzelił Gusa, poryczałem się, a mój wujek, człowieku, zaczął krzyczeć: „Czyja to wina, Collins?! Czyja wina?!” Wtedy zrozumiałem, że jestem

następny w kolejce, i zacząłem nawet patrzeć w stronę okien, mówiąc sobie, że padły dwa strzały, że ktoś musiał je usłyszeć i zadzwonić po policję. Ale to był Czwarty Lipca i każdy myślał tylko o sztucznych ogniach.

Potem Erno zauważył ostatniego. Chował się. Biedny facet, był pod stołem. Erno wymierzył w niego rewolwer i zaprowadził go do chłodni. Potem usłyszałem strzał. Z jakiegoś powodu nie brzmiał tak jak dwa pierwsze. Było w tym coś gorszego. Dla Erna także. Kiedy wrócił na górę i popatrzył na mnie, zobaczyłem, że ten cały gniew... że to minęło. Usiadł tam po prostu całkiem wykończony i zaczął mi mówić, co mam robić. Mieliśmy to tak zaaranżować, żeby wyglądało na napad rabunkowy. „Weź to”, „Wyczyść tamto”... Zrobiłem to wszystko.

- Groził panu? - zapytała Muriel.

390

- Wciąż miał w ręce rewolwer, jeśli o to pani chodzi. Ale kiedy mu się przyjrzałem, nie myślałem już dłużej, że chce mnie zastrzelić. Prawdę mówiąc, pewnie nie przyszło mu do głowy, że nie zrobię tego, co mi każe, bo mnie to też nawet nie zaświtało. To była po prostu sprawa rodzinna - dodał Collins. Wziął głęboki wdech, zastanawiając się nad tym.

- A więc to ty zaciągnąłeś ciała na dół? — zapytał Larry.

- Tak. Płacząc przez cały czas. — Collins spojrzał na Larry'ego. - Myślisz o tych śladach butów?

- O tym właśnie myślę. — Technicy policyjni ustalili, że buty Paula Judsona pasują do odcisków na krwawych śladach pozostawionych przez ciągnięte ciała.

- Kiedy ostatni raz wszedłem na górę, Erno zauważył, że moje mokasyny są przesiąknięte krwią. Powiedział: „Nie możesz w nich wyjść na ulicę. Zejdź na dół i zobacz, czy któryś z nich ma buty, które mogą na ciebie pasować”. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, żeby mu się sprzeciwić. „Nie włożę na nogi butów umarłego”. Nawet kłóciliśmy się o to przez jakiś czas. Ale w końcu zrobiłem, co mi kazał, jak całą resztę. — Wyciągnął rękę w stronę Larry'ego. — Sprawdź te buty, które miał trzeci, biznesmen. Ładne perłowo-szare mokasyny, włoskie. Marki Faccione, jak mi się wydaje. Za duże na niego. Nie mogłem uwierzyć, że nikt nie zwrócił uwagi na te buty. Który biznesmen chodzi w perłowo-szarych mokasynach?

Muriel zauważyła, że twarde wyraz twarzy Larry'ego nieco się zmienił: buty dały mu do myślenia. Wydawało się, jakby dotarło do niego, że to, co mówi Collins, jest prawdopodobnie w dużej części prawdą. Sama już od pewnego czasu nie miała co do

tego wątpliwości.

- Byliśmy gotowi do wyjścia, staliśmy już przy drzwiach frontowych, kiedy Erno strzelił palcami. „Trzymaj to”, powiedział. Miał wszystko, portfele, biżuterię, pieniądze z kasy, rewolwer, wszystko zawinięte w jeden z fartuchów Gusa. Pobiegł tak jakoś na palcach do piwnicy, a kiedy wrócił, miał w ręce jasia.

- Ma pan na myśli prezerwatywę? - zapytała Muriel.

- Właśnie. Po tym wszystkim... - Collins pokręcił głową. -Więc Erno mówi: „Wepchnęła sobie te bilety w tyłek. Nie znalazłbym ich nawet z lampą górniczą, gdybym nie zobaczył końcówki gumy”. Miała w niej może z piętnaście ciasno zwiniętych biletów.

391

Collins po raz pierwszy spojrział na żonę. Siedziała za nim, przyciskając dłoń do ust, i sprawiała takie wrażenie, przynajmniej na Muriel, jakby robiła wszystko, co w jej mocy, żeby nawet nie drgnąć. Ale kiedy Collins odwrócił się do niej, natychmiast wyciągnęła ręce i tych dwoje siedziało przez sekundę nieruchomo, ściskając sobie dłonie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Aires swojego klienta.

Collins chciał się napić wody. Zrobili przerwę. Każdy potrzebował chwili oddechu. Muriel szukała wzroku Larry'ego, ale wyglądał na wystraszonego i zatopionego w myślach. Czekał w korytarzu w kolejce do toalety, Muriel zapytała Molta, co on na to wszystko. Zaczął zdrapywać plamki sosu pomidorowego z koszuli i krawata i odpowiedział, że nie wie, co ma myśleć. Muriel również nie wiedziała.

Kiedy wrócili, zobaczyli, że Anne-Marie przysunęła swoje krzesło do krzesła Collinsa i trzyma go za wolną rękę. W drugiej wciąż ścisnął biblię. Po minucie lub dwóch majstrowania przy magnetofonach, kiedy już oba zostały uruchomione, Muriel jeszcze raz podała datę i godzinę. Następnie zapytała Collinsa, co się stało, kiedy opuścili Paradise.

— Pojechałem za Ernem do jego domu, a potem siedziałem z nim w jego samochodzie. Tej nocy co rusz się zmieniał. Obaj się zmienialiśmy. W Paradise był najpierw nieprzytomnie wściekły, potem wyczerpany i przybity. Teraz był po prostu przerażony i próbował zabezpieczyć się z każdej strony, żeby go tylko nie złapali. Robił mi jeden wykład po drugim. Miałem sobie dobrze zapamiętać, by wspomnieć paru ludziom, że tej nocy wyszliśmy razem na drinka. Mówił, że nie wolno mi się upić, bo mógłbym się z tym zdradzić przed kumplami lub da-mulką, za którą się

uganiałem. Jednak jego najważniejszym problemem było to, jak się pozbyć z bagażnika tego fartucha pełnego różnych rzeczy... rewolwer, portfele, biżuteria, to wszystko tam było. Minęła już trzecia nad ranem i obaj mieliśmy po prostu zbyt wielki zamęt w głowach i byliśmy zbyt wyczerpani, żeby coś wymyślić. Ja nie chciałem z tym mieć więcej do czynienia, ale Erno wpadł w kompletną paranoję. Mógł myśleć tylko o tym, jak to na pewno wpadniemy, jeśli pójdziemy wyrzucić fartuch do rzeki lub rozpalimy wielkie ognisko i spalimy w nim to wszystko, albo zakopimy w lesie. O piątej będzie już jasno, mówił, ale na tylnym podwórku jego domu jest szopa na narzędzia z klepiskiem zamiast podłogi - jeśli

392

wykopimy tam dół, nie ma mowy, żeby ktoś nas zobaczył. I tak każdy z nas kopał, aż znaleźliśmy się w połowie drogi do Chin, i wrzuciliśmy tam ten fartuch. Powiedział, że kiedy się uspokoi, wymyśli lepszy plan, ale wiedziałem, że obaj będziemy szczęśliwi, jeśli nigdy więcej nie będziemy musieli tego oglądać. Potem poszedł ze mną do mojego samochodu i tam, na ulicy, wyciągnął ręce i przytulił mnie. Nie zdarzyło się to od czasu, gdy miałem dziesięć lat, i w samym środku tego szaleństwa może najbardziej szalone było to, jak dobrze się wtedy poczułem. Zamordował troje ludzi i przytulił mnie. Odjechałem, płacząc jak dziecko.

Po tej nocy nie było po prostu sposobu, żebym jakoś doszedł do ładu z sobą. Przez jakiś czas nie mogłem być Farem, na wypadek, jakby policja dowiedziała się czegoś o biletach. Nie minął nawet tydzień, a wróciłem do handlu prochami. Erno bardzo się starał mnie powstrzymać, ale ja miałem czas przemyśleć sobie to wszystko i nie chciałem go słuchać. Któregoś dnia jestem w Lamplight, a tu wchodzi Gandolph. To było jakieś dwa miesiące po tej całej historii. I chociaż dokoła jest ze dwudziestu facetów, wyciąga z kieszeni kameę Luisy, zawiniętą w pomiętą szmatkę. Od razu ją rozpoznałem. Widziałem ją na jej szyi. „Faro”, mówi do mnie Gandolph, bo znał tylko to imię, „Faro, człowieku, co mam z tym zrobić? Dla nikogo innego to nie jest nic warte”. A ja mówię coś w rodzaju: „Uważaj, czarnuchu, bo się wkopiesz. Lepiej się tego pozbać. Gliny powiedzą że to ty ją stuknąłeś”. On na to coś w rodzaju: „Jak to powiedzą przecież ja nic nie zrobiłem? Chcę znaleźć jej rodzinę. Dobrze zapłacą za to teraz, kiedy ona nie żyje. Są mi to winni, bo ona mnie wykiwała”. Na co ja mówię mu jakoś tak: „Rób, co musisz zrobić, bracie, ale może lepiej poczekaj z tym do czasu, aż zapuszczają kogoś innego za to, że posłał ją do piachu. I nie chcę już nigdy słyszeć o tych biletach”. A on: „Nie ma szansy, żeby kogoś przymknęli”.

Wujek Erno... ludzie, mało go szlag nie trafił, jak mu o tym powiedziałem. Szukał później Gandolpha, chciał go dopaść i zabrać mu ten wisiołek, zanim narobi kłopotów sobie i nam, ale nigdy go nie znalazł, jak wiem. Zima jeszcze tak na dobre

się nie zaczęła, więc Gandolph nie włączył się po lotnisku.

Muriel westchnęła. Zima. Erdai tak starannie tuszował rolę Collinsa w tym wszystkim, że przeoczył ten szczegół, kiedy

393

wymyślił swoje spotkanie z Gandolphem, a ona go na tym nakryła. Wtedy po raz pierwszy upewniła się, że on kłamie.

— Już wkrótce miałem dość własnych kłopotów — podjął opowieść Collins. — Drugiego października wrobili mnie w kontrolowany zakup. Nagranie wideo i cała ta reszta. Już kiedy wpychali mnie do wozu patrolowego, gliniarze wiedzieli, że dopadli mnie na dobre. „To twój trzeci raz, chłopcze. Napatrz się teraz dobrze przez okno, bo przez resztę życia nie zobaczysz już ulicy”. Nie mieli dla mnie żadnego współczucia. Musiałem im coś dać. Zacząłem śpiewać już w drodze na komisariat, ale pomyślałem, że ci z Gangster Outlaws, z którymi się zadawałem, zabijają mnie za to już pierwszej nocy za kratkami.

Po paru godzinach w mamrze uczepliłem się myśli, że to wszystko wina wujka Erna. Gdyby nie zastrzelił tych ludzi, nie znalazłbym się w takich opałach. A gdybym zakablował na wujka, żaden bandzior z gangów by mnie za to nie zabił. Ale Erno był bardzo bystry. Świetnie wiedział, co chcę zrobić. Pierwszy mnie odwiedził.

Zaczął od „Powiedziałeś im coś?” Udawałem, że nie rozumiem, ale on nie dał się nabrać. „Nie picuj picera”, przystopował mnie. „Wiem, o czym myślisz. I nie powiem ci, żebyś tego nie robił ze względu na mnie. Ale powiem, żebyś tego nie robił dla własnego dobra. Jak powiesz im prawdę, wpakujesz w sam środek tego wszystkiego. Czyje buty miał na nogach jeden z trupów? Kto kradł bilety z tą dziewczyną? Grozi ci dożywocie za prochy. Zaproponują ci pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat za współudział w morderstwie i będziesz musiał się zgodzić. Nie tego chcesz, zgadza się?” Jasne, że nie chciałem. I nie potrafiłem dłużej winić wujka, zwłaszcza gdy patrzyłem na niego. Poza tym miał rację. Erno wiedział, jak pracują gliniarze.

Powiedział, że ma lepszy pomysł - ciągnął Collins. - Żebyśmy zrzucili całą winę na tego biednego, żalosego Gandolpha. Jeszcze przed wszystkim Wiewióra darł głębę, jak to zabije Lui-sę. Przez to sam się zrobił głównym podejrzanym. Wystarczy wskazać policji właściwy kierunek. Nie byłem pewny. Wiewióra byłby ostatnim głupkiem, gdyby trzymał tę kameę po tym, jak go ostrzegłem, ale Erno powiedział, żebym się nie przejmował, że wciąż ma te rzeczy zakopane w swojej szopie na narzędzia i jakby doszło do najgorszego, to znajdzie sposób, żeby podrzucić coś Gandolphowi, na przykład odkryją jakiś jego schowek na lotnisku. Nie musiał tego

robić, oczywiście, bo ten

394

biedny głupek wciąż miał tę kameę, kiedy go znaleźliście. Nadal chciał odebrać pieniądze, które mu się należały. Kiedy taki matolek wbije sobie coś do głowy, nie da mu się tego z niej wybić. - Collins, zasepiony, zamyślił się.

— Nie byłem tylko w stanie uwierzyć — podjął po chwili — że ktokolwiek, kto widział tego małego chuderlawego Wiewiórę, może go uznać za zabójcę. „Pies zrobi to z każdą suką, którą znajdzie”, powiedział mi na to Erno, „gdy tylko poczuje cieczkę”. Mój wujek znał policjantów.

Muriel zerknęła na Larry'ego, ciekawa, jak zareagował na tę uwagę, ale on patrzył przez zasłony na parking i wyglądało na to, że znowu jest myślami gdzie indziej. Z tego, co usłyszała, wynikało, że Erno zupełnie dobrze przewidział rozwój wypadków. Największym ryzykiem, jakie podjął, była możliwość, że kiedy Wiewióra zostanie aresztowany, zacznie mówić o biletach, aby wyjaśnić sprawę kamei. Jednak najwidoczniej nawet Gan-dolph zdawał sobie sprawę, że ta historia zbyt mocno by go obciążyla. To, że groził śmiercią Luisie, ściągnęłoby na niego zbyt wielkie podejrzenie o to, że naprawdę ją zabił. A nawet gdyby wszystko wygadał, Erno i Collins wiedzieli, że policja będzie miała wielkie trudności ze znalezieniem Fara,

— To dlatego w dziewięćdziesiątym pierwszym powiedział pan w więzieniu, że nigdy nie będzie zeznawał, zgadza się? — zapytała Collinsa. — Kiedy poinformował nas pan o kamei?

— Tak - przyznał Collins. - Nie mogłem tego zrobić. Rom-my od razu rozpoznałby mnie jako Fara. Wszystko musiałyby się wydać. Ale udało się. Ja dostałem dziesięć lat, a wujek Erno po prostu pojechał dalej, jakby to był wypadek na autostradzie.

Przez cały czas mojej odsiadki wujek był dla mnie bardzo dobry. Odwiedzał mnie, przysyłał paczki i takie tam, pouczał, żebym jak najlepiej wykorzystał tę szansę, kiedy mnie wypuszczą. Wyszedłem w dziewięćdziesiątym szóstym. Stary Faro, nikt na to nie wpadł, a więc znowu byłem Faro, byłem gotów wrócić do zawodu agenta biura podróży, ale prawda jest taka, że nie minęło czterdzieści osiem godzin, a już miałem w ręce fajkę. Wszystko potoczyło się tak samo. Doprowadziłem się do tego, że byłem zupełnie otępiały i wyniszczony przez narkotyki. Erno nie wymawiał nawet mojego imienia. Jedno się tylko zmieniło: bałem się znowu wziąć za handel prochami. Wiedziałem, że jeśli teraz mnie na tym złapią, to na mur dostanę doży-

395

wocie. Już nie mógłbym oskarżyć wujka o te morderstwa, bo wsadziłem Gandolpha i nikt nie uwierzyłby w inną historię.

Którejś nocy byłem w bardzo złym stanie. Musiałem coś skombinować, a w kieszeni nie miałem nawet tych moli, które pokazują w kreskówkach. I wtedy przypomniało mi się, że Erno mówił, że te wszystkie rzeczy, które zabraliśmy tamtej nocy z Paradise, są wciąż pod jego szopą na narzędzia. Poszedłem tam z łopatą i zacząłem kopać. W końcu znalazłem ten fartuch. Był pełen dziur, ale wszystko ciągle było w środku. Chciałem tylko coś z tego sprzedać — zegarki, pierścionki — żeby starczyło na parę flaszek, ale nagle zobaczyłem tam ten rewolwer i przyszło mi do głowy, że gdybym go miał, mógłbym wycisnąć z wujka dużą forszę. Mogły na nim być jeszcze jego odciski palców, więc nie miałby wyboru i musiałby dać to, co był mi winny. Ciągle o tym myślałem. Że był mi winny. Był mi winny.

Moja ciotka przyszła do domu i powiedziała, że on jest w Ike's. Wpadłem tam, trzymając ten rewolwer za lufę, żeby nie zmazać żadnych odcisków, które Erno zostawił na kolbie. Wrzeszczałem, że zmarnował mi życie i że jest mi winny. Nie myślałem wtedy zbyt jasno. Co drugi człowiek w tej knajpie był gliną z bronią i wszyscy mierzyli do mnie ze swoich spluw już dziesięć sekund po tym, jak się odezwałem.

„Daj mi to”, powiedział Erno i wyjął mi rewolwer z ręki, a potem wypchnął mnie na dwór, żeby wbić mi trochę rozumu do głowy. Mówił, że jak będę robił takie rzeczy, zostanę po prostu zabity, i że nie mogę przypisać mu tych zabójstw teraz, kiedy zwałem je na Gandolpha. „Do diabła, na tym rewolwerze jest pewnie pełno twoich odcisków”, ja na to. „No i co z tego?”, zapytał. „Dwudziestu gliniarzy właśnie widziało, jak ci go zabrałem”. Miał rację, ale dla mnie to była ta sama stara historia: on dobry i biały, ja czarny i zły. „Dobrze”, mówię, „ale ja mam resztę tego, co było w tym dole pod szopą za twoim domem i tym razem nie wykręcisz się od tego, co zrobiłeś. Wracam tam i powiem każdemu twojemu znajomkowi, jaki z ciebie tchórzliwy morderca”.

Erno, jak już mówiłem, nie lubił, żeby go zaskakiwać. W żadnym razie. Szedłem wolno do drzwi, a on krzyczał za mną: „Nie rób tego, nie rób tego!” Gdybym był w lepszym stanie, na pewno przypomniałbym sobie Gusa^ Ale nie byłem. Tak czy siak, ostatnie, co pamiętam, to jak przechodzę przez drzwi. Nie pamiętam nawet huk. Tylko światło. Tej nocy zobaczyłem twarz Jezusa. Naprawdę. Usłyszałem Jego głos. Leżałem na tej podło-

wszystko będzie ze mną dobrze.

I było. Krótco po wyjściu ze szpitala wyjechałem do Atlanty. Mieszkam tam od tego czasu. Mam swoje życie i w końcu dobrze sobie radzę.

Teraz, naturalnie, wszystko się odwróciło. Erno siedział, a ja byłem wolny. To ja przychodziłem do niego na wizyty i mówiłem mu, że Jezus może nad nim też czuwać. Chyba mnie słuchał, chociaż nigdy nie byłem tego do końca pewny. Ale coś się w nim zmieniło, od kiedy wiedział, że jest chory. Nie mógł po prostu znieść myśli, że umrze, mając na sumieniu te wszystkie grzechy. Odwiedziłem go krótco po Nowym Roku, kiedy mu powiedzieli, jak z nim źle. Próbowałem go pocieszać, a on w połowie tego, co mówiłem, po prostu spojrzał na mnie i powiedział: „Oni niedługo stracą tego biednego głupka”. Wiedziałem, co miał na myśli. To nie był pierwszy raz, kiedy o tym mówiliśmy. „Nie możemy im na to pozwolić”, dodał.

„Zrób, co musisz zrobić”, powiedziałem mu. „Nie”, odparł. Strzeliłem ci w plecy, żeby ratować ciebie i siebie, a nie, żeby teraz pakować cię w sam środek tego wszystkiego. Ciągłe jest tak, jak mówiłem... policja nigdy ci nie uwierzy, że nie brałeś w tym udziału. Powiem to, co trzeba powiedzieć. Nie jestem zbyt pewny, czy znajdę kogoś, kto będzie chciał słuchać, ale spróbuję. Ty po prostu trzymaj język za zębami. Zadzwoń do adwokata, Airesa. Powołaj się na piątą poprawkę i trzymaj się tego”. — Collins uniósł wzrok znad kolan i z taką samą szczerością jak wtedy, gdy zaczynał, spojrzał w oczy Muriel. — Oto, co się stało — powiedział.

Był to jeden z tych dni, kiedy po prostu robi się coraz goręcej i goręcej do czasu, aż zajdzie słońce. Nawet o czwartej po południu, kiedy stała z Moltem i Larrym na parkingu przed biurem Airesa, czuła, że asfalt mięknie jej pod stopami. Zostawiła okulary przeciwsłoneczne w samochodzie i teraz, patrząc na obu mężczyzn, mrużyła oczy. Stojąc na takim słońcu, człowiek nie dziwił się, dlaczego w przeszłości je czczono.

- No i? - zapytała. Obaj byli skwaszeni.

- Muszę to sobie przemyśleć - odezwał się Molto. - Chcę przejrzeć akta sprawy. Daj mi dwadzieścia cztery godziny. Spotkajmy się wszyscy w piątek na konferencji.

397

ft

Larry i Molto ruszyli natychmiast do swoich samochodów, żeby uciec przed upałem. Muriel podeszła do concorde'a Larry'e-go, zanim zdążył odjechać. Kiedy opuścił szybę, owiało ją schłodzone przez klimatyzator powietrze.

- Nie przeprowadziliśmy tej rozmowy — powiedziała.
- Nie, nie przeprowadziliśmy — odparł. Włożył okulary przeciwsłoneczne i nie widziała jego oczu. Uznała, że może to i lepiej. - Jakiś konkretny temat?
- Mam coś do powiedzenia. Wzruszył ramionami.
- Jutro wieczorem będę w tamtym domu układał listę robót mojej ekipy — powiedział. — Wpadnij na piwo, jeśli masz ochotę.
- Wpadnę.

Odjechał, nie patrząc na nią.

Otworzyła swój samochód i stała jeszcze na zewnątrz, czekając, aż się przewietrzy, kiedy przez szklane drzwi wyszedł Jackson z aktówką pod pachą i ruszył do swojego cadillaca. Widać było, że się spieszy.

- Masz randkę? — zapytała Muriel.

W oku zwykle dziarskiego Jacksona błysnęła jaśniejsza iskra, kiedy odpowiedział:

- W rzeczy samej. Zabieram pewną wspaniałą damę do filharmonii w Parku. - Był wdowcem od dwóch lub trzech lat.

Muriel zapytała, jak się czuje Collins. Kiedy wychodziła, był w ramionach żony.

- Modli się teraz, jak to powinien robić. Zajmie mu to trochę czasu, ale dojdzie do siebie. To, co właśnie słyszałaś, Muriel, było świętą prawdą. Mam nadzieję, że jesteś wystarczająco bystra, by to wiedzieć.
- Jeśli Bóg chce to rozwikłać, nie będę sobie tym zaprzętała głowy. Ale jeśli nie, będę musiała sama do tego dojść.
- Nie pogrywaj ze mną, Muriel. W tym, co mówił ten młody człowiek, nie było ani jednego słowa, w którym nie dźwięczałaby prawda. Nie będę się martwił, że myślisz inaczej. - Żeby ';. uruchomić silnik i opuścić szyby, Jackson musiał się oprzeć | o kolumnę kierownicy. Dotknąwszy jej, przeklął gorąco i przez I sekundę lizał kciuk. Mimo to pogroził Muriel palcem, kiedy znowu odwrócił się w jej stronę.
- Jedno powinnaś wiedzieć, Muriel. Reprezentuję tego młodego człowieka od czasu, gdy był nieletnim przestępcą. Był chu-

liganem jak cała reszta, ale Erno, niech spoczywa w spokoju, ciągle powtarzał: „On

jest dobry, on jest dobry, jeszcze będzie z niego porządny człowiek". Nigdy nie można powiedzieć, Muriel, który z nich z wyjdzie na ludzi. Wam się teraz nawet nie chce próbować. Zamykacie ich na tak długo, jak tylko możecie, tyłu, ilu tylko możecie, nawet zabijacie ich, jeśli tylko dadzą wam pretekst.

- Czy nie słyszałam właśnie, że powiedziałeś „chuligan”, Jackson?

- Chuligan czy nie chuligan, nie wolno uważać człowieka za straconego — odpowiedział Jackson. — Wiesz dlaczego? Bo nie ma w tym po prostu sensu. Jeśli będziemy tak łatwo skreślać ludzi, skreślimy wszelkie podstawy tego, co robimy.

Gdyby Jackson Aires został jutro oskarżycielem publicznym, skazałby połowę swoich klientów szybciej, niż zabijał muchy. Na razie jednak nie było takiej strony, której by nie wziął, jeśli tylko stawiało go to naprzeciw prokuratora.

- Baw się dobrze dziś wieczorem, Jackson.

- Taki właśnie mam zamiar. — Roześmiał się szelmowsko, po czym, nie odrywając stóp od asfaltu, usiadł sztywno na obitym czerwona skórą przednim siedzeniu cadillaca, a następnie rękami wciągnął nogi pod kierownicę. Najwyraźniej miał kłopoty z kręgosłupem, ale mimo swych przypadłości, nie był zbyt stary na miłość. Nikt nie był. Aires uruchomił silnik i kilka razy dodał gazu, by okazać, jaki jest zadowolony.

Muriel znowu ogarnęła fala żalu. Jeszcze kilka dni wcześniej zastanawiała się, czy byłaby skłonna wymienić wszystko na miłość. Nagle pomyślała o dziwacznej ironii, z jaką rozwijała się ta sprawa. Wyglądało na to, że zwycięzcy zgarniają wszystko. Jackson i Arthur odchodzili ze swoimi klientami, a na dodatek mieli miłość. Ona nie dostanie nic.

- Słyszałaś ostatnie plotki w związku z tą sprawą? - zapytała Jacksona, zanim zdążył zamknąć okno.

- Jakie?

- O Arthurze Ravenie i Gillian Sullivan. W świątyni miłości.

- Nie - odparł Jackson. Zachichotał tak samo jak przed chwilą. - Od kiedy to trwa?

Muriel wzruszyła ramionami.

- Czy to nie bije wszystkiego? - zapytał Jackson. - Arthur Raven i Ćpająca Sędzina.

- Kto?

— Och, tak ją po prostu nazywałem. Ćpająca Sędzina. Gil-lian Ćpająca Sędzina. Miałem kilku klientów, którzy przysięgali, że widzieli, jak szukała towaru na ulicy, kiedy jeszcze była sędzią.

— Kraków?

— Heroiny. Tak przynajmniej mówili.

— Jesteś pewny, Jackson?

— To zwykła uliczna hołota, ale było ich wielu. Pewnie z chęcią opowiedzą ci to samo nawet i dzisiaj, jeśli zechcesz wysłuchać. To ich dodatkowo wkurzało, kiedy musieli przed nią stawać, mówię ci. Nawet oprych, Muriel, wie, co jest w porządku.

Nie wiedziała, czy jest bardziej zdumiona, czy rozbawiona. Roześmiała się, rozważając całą tę sprawę.

— Cpunka — powiedziała po chwili.

— Była nią wtedy. Dziś już nie jest. Dziś jest kapłanką miłości. — Jackson wrzucił bieg i uśmiechnął się do niej z wielkim zadowoleniem. — Widzisz — powiedział — jest tak, jak mówiłem.

— Jak?

— Nie wolno uważać człowieka za straconego.

39

23 sierpnia 2001

Najpierw

Najpierw się pieprzyli. Wprawdzie na parkingu Airesa mówiła o rozmowie, ale wiedział, co się stanie. Nie upłynęło nawet trzydzieści sekund, odkąd przeszła przez drzwi, a już byli razem, i nie mógł potem ustalić, kto zrobił pierwszy ruch. Nie było żadnego logicznego powodu, by się temu przeciwstawiać. Nic między nimi nie mogło się polepszyć ani poprawić.

Ale byli tym razem mniej zaszokowani swoim zachowaniem i przez to rozluźnieni. Dotarli do środka, do tego najważniejszego, ponadczasowego miejsca, gdzie przyjemność staje się jedynym celem istnienia. Na koniec, kiedy zmieniali pozycje, i jej dłoń była na nim, a jego dłoń w niej, zastygli tak przez chwilę i gdy na krótko otworzyła oczy, zobaczył na jej twarzy niebiański zachwyt.

Potem leżeli nadzy na tej samej wykładzinie dywanowej, która nie została jeszcze oczyszczona, i długo milczeli.

400

— Rany — odezwała się w końcu Muriel. — Ale uderzenie. Wielki szlem.

Powtórzył jej słowa, po czym poszedł do kuchni po piwo dla siebie i dla niej. Kiedy wrócił, usiadł na szczeblu drabiny któregoś z malarzy.

— A więc — zaczął — rozumiem, że to jest pożegnanie.

— Myślisz, że po to przyszłam?

— Anie?

— Niezupełnie.

— W porządku, mów.

Usiadła naga, odchylona do tyłu, wspierając się na rękach. Zastanowiło go, gdzie się podziały jej piersi. Nigdy nie były zbyt duże, ale teraz wyglądały wręcz jak ziarna fasoli na talerzu. Nie, żeby miał prawo o tym mówić z brzuchem, który mu tak urósł, że nie widział własnego członka. Życie, kiedy się spojrzy prawdzie w oczy, jest okrutne.

— Larry, dużo myślałam. Chcę rzeczy, które są ze sobą sprzeczne.

— Takich jak?

— Czy kandyduję na stanowisko oskarżyciela publicznego?

— Kandydujesz. Co masz kolejnego na liście? Spojrzała na niego.

— Czy myślisz, że wszystko byłoby takie jasne, gdyby to było twoje życie?

— To jest moje życie.

— Larry, jak możesz tak kochać się ze mną i nienawidzić mnie dziesięć minut później?

— Ponieważ nie będę się tak kochał z tobą nigdy więcej. Prawda?

— Może trochę zwolnisz, usiądziesz obok mnie i zrobisz coś głupiego, na przykład weźmiesz mnie za rękę i porozmawiasz, jakbyśmy byli dwojgiem ludzi, którzy się bardzo lubią, a nie Palestyńczykami i Izraelczykami.

Nie należeli do ludzi trzymających się za ręce. Nigdy nie postępowali połowicznie.

Albo byli całkowicie złączeni, albo całkowicie rozdzieleni. Ale usiadł obok niej, a ona wsunęła mu rękę pod ramię i zgięła tak, że ścisnęła mu biceps.

— Masz rację, Larry, chciałabym wygrać w tych wyborach. Ale nie jestem pewna, czy wynik tej sprawy mi na to pozwoli. Tak czy owak, nie opuszczę dziś Talmadge'a - z różnych powodów, dobrych i złych. Nie mogę bez niego wygrać, taka jest bru-

401

talna prawda. Ale, Larry, on zasługuje na to, żebym go lepiej potraktowała. Muszę popatrzeć mu w oczy i powiedzieć, że to małżeństwo nie układa się zbyt dobrze. Nigdy tego nie zrobiłam.

— I myślisz, że to wszystko naprawi?

— Posłuchaj, postanowiłam wyjść za Talmadge'a, opierając się na wątpliwych przesłankach. I nie mam na myśli tego, że oboje jesteśmy ambitni — prawda jest taka, że to ta strona naszego związku, która się sprawdziła i zawsze będzie się sprawdzała. Mówię o tym, jak widzę siebie i jak widzę jego. Ty mi to uświadomiłeś, ale zajmę się tym problemem z moim mężem, nie z tobą. Zrobię to niezależnie od tego, dokąd mnie to zaprowadzi. Najprawdopodobniej za drzwi.

Uświadomił sobie nagle, że ona go prosi, by jeszcze nie podejmował żadnej decyzji. Mówiła mu, że nadal mogą mieć szansę.

— A więc co ja miałbym robić? Sprawdzić, czy wciąż pamiętam słowa Wciąż trzymasz mnie w niepewności*? Powiedziałem ci, że nie umiem żyć w zawieszeniu.

— Słyszałam to. I nie proponuję ci ukradkowych spotkań i skrywanych przed światem namiętności. Ze względu na nas oboje lepiej, żeby to się skończyło. Mówię ci tylko, co myślę. Nie mam jednak gorącej linii do jasnowidza. Kto wie, co się stanie? Dziesięć lat temu powiedziałaś, że twoje małżeństwo się kończy, a wciąż masz ten sam adres.

— Inna sytuacja.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Wiedział. Popatrzył w dół. Jego fiut, który tyle razy wpędził go w kłopoty, był mały i pomarszczony jak u dziecka. Ale nie to go bolało. Desperacko usiłował podtrzymywać w sobie gniew, gdyż wiedział, że tylko tak zdoła utrzymać całą resztę w ryzach.

Muriel mocniej ścisnęła jego rękę.

— Ale posłuchaj... mam jeszcze jedno do powiedzenia. Co się stało z tą sprawą... Gandolpha? Co zostało ujawnione, a co nie? Wiele z tego to moja wina. Teraz to widzę. Powiedziałeś mi, że nie jesteś taki jak ja, a ja nie słuchałam. Ludzie nie bez racji

* You Keep Me Hangin' On — piosenka spopularyzowana w latach sześćdziesiątych przez Supremes oraz Vanilla Fudge i, ponownie, w latach osiemdziesiątych przez Kim Wilde (przyp. tłum.).

402

mówią, że nie powinno się srać tam, gdzie się je, ani pieprzyć się w miejscu pracy. A ja to zrobiłam. Ponieważ chciałam wiedzieć, jak to jest, gdy się to robi poza małżeństwem. Chciałam wiedzieć, co się wtedy czuje.

— I jak było?

— Cholernie dobrze - odparła. Milczała przez sekundę. - Ale było to także głupie i samolubne. I nieprofesjonalne. Jeśli więc trzeba na kogoś złożyć winę za wynik tej sprawy, niech to będą ja. Niezależnie od tego, jaki to będzie miało wpływ na moje plany.

Podobało mu się to, co powiedziała w ciągu kilku ostatnich minut, bardzo mu się podobało. To było uczciwe. Zwykle była bezlitosna wobec wszystkich oprócz siebie.

— Nawiasem mówiąc - podjęła po chwili - jeśli już jesteśmy przy tej sprawie, to czy masz ochotę usłyszeć coś śmiesznego?

— Przydałoby mi się w takiej chwili.

Opowiedziała mu to, co usłyszała od Airesa o tym, jak Gillian kupowała narkotyki na ulicy.

— Niemożliwe — odparł Larry.

— Trochę to dziś posprawdzałam. Zadzwoiłam do Glorii Mingham z DEA*. Technicznie rzecz ujmując, nic z tego, co mają na Gillian, nie można przedstawić przed wielką ławą przysięgłych, ale Gloria i tak nie chciała o tym mówić. W pewnym sensie zanuciła mi to.

— Chciałaś powiedzieć, że rzeczywiście ci to zanuciła, czy użyłaś metafory?

— Prawdę mówiąc, rzeczywiście zanuciła.

— Co to była za melodia?

— Toot, Toot, Tootsie Goodbye**.

Larry wybuchnął głośnym śmiechem, kiedy to do niego dotarło.

— Gillian paliła heroinę?

— Jak widać.

— To ma sens. Trudno wbić igłę w górę lodową, prawda?

— Gloria powiedziała, że mieli pewne poszlaki, ale nic, co mogliby poprzeć dowodami. Wszyscy świadkowie byli narkomanami.

* Drug Enforcement Administration - agencja Departamentu Sprawiedliwości powołana do życia w roku 1973 w celu ograniczeniu handlu narkotykami (przyp. tłum.).

** Toot, Toot, Tootsie Goodbye - piosenka Ala Jolsona z roku 1923. W slangu słowo toot oznacza wciąganie kokainy lub palenie heroiny (przyp. tłum.).

403

— Boże, ci wszyscy ludzie to hipokryci - powiedział Larry.

— Federalni?

— Arthur.

— Może Gillian nie powiedziała mu o tym.

— Wspaniale. Czy to jest kolejna rzecz, którą moglibyśmy mu wywlec na światło dzienne?

— Nie sądzę. — Muriel roześmiała się. - Myślę, że sąd uznałby, iż Arthur miał wiele możliwości zagłębienia się w tym materiale dowodowym. — Uśmiechnęła się złośliwie, a następnie złapała się za podbródek. Widać było, że jej myśli powędrowały gdzie indziej.

— Jakiś nowy pomysł? — zapytał.

— Być może. Coś, nad czym warto się zastanowić w tej sprawie. Pozwól mi to przemyśleć.

— A dokąd zmierza ta sprawa? Jaki jest dziś widok z góry? Milczała przez sekundę, a potem zapytała, co myśli o zeznaniach Collinsa.

— Niezapomniane przedstawienie — odparł Larry. — Równie dobre jak jego wujka.

Muszą to mieć we krwi.

— Myślisz, że tam był? W Paradise?

— Collins? Ja wiem, że tam był.

— Wiesz?

— Wyciągnąłem buty Judsona z magazynu dowodów rzeczowych. Collins miał rację co do marki. I przez cały dzień siedziałem na karku chłopcom od DNA. Mieli już genetyczny profil Collinsa zdjęty z pokrwawionej koszuli Faro i znaleźli wiele śladów potu w butach. Wiesz, chcieliby mieć ze sześć lat na badania, żeby rozstrzygnąć to bez żadnych wątpliwości, ale końcowy wynik jest taki, że DNA z potu nie pasuje do krwi na butach, ma natomiast te same allelomorfy co DNA krwi z koszuli. To są buty Collinsa... ale, faceci od DNA nie mogliby ci tego powiedzieć w dziewięćdziesiątym pierwszym.

Wypiła duży łyk piwa, zastanawiając się nad tym.

— Czy to jakoś zmienia twoje wyobrażenie o przebiegu zdarzeń? — zapytał.

— Nada.

To znaczyło, że już uwierzyła, iż Collins był na miejscu zbrodni.

— Cóż, powiem ci, w co nie wierzę - odezwał się po jakimś czasie. — Nie kupuję tego pieprzenia o niewinnym i biernym widzu. Nie bez racji Erno powiedział Collinsowi, że policja bę-

404

dzie myślała, że miał związek z tymi morderstwami. Mówisz mi, że wleciesz trupy po podłodze i nie masz nic wspólnego z zabójstwami?

- To rzeczywiście dziwna historia - zgodziła się Muriel. - Ale związki rodzinne to także coś, co czasem trudno zrozumieć. O tym, że to Collins przeciągnął ciała, wiesz tylko dlatego, że sam ci powiedział... to samo dotyczy butów.

- A więc nie myślisz, że brał w tym udział?

- Na języku spustowym i rękojeści są tylko ślady palców Erna, i to odcisnięte w krwi Luisy, prawda?

- W każdym razie w krwi tej samej grupy co jej krew. Nie przycisnąłem facetów od DNA w sprawie Luisy - nie wyobrażasz sobie, jak się już na mnie wydzielali za tę resztę, a poza tym wyniki badań serologicznych były niemal rozstrzygające. - Krew

na rewolwerze była grupy B minus. Tylko dwa procent ludzi ma taką krew, a Luisa Remardi należała do nich. Judson, Gus, Collins mieli grupę 0. Larry trochę się łudził, że Erno miał B minus, ale w szpitalu więziennym odpowiedzieli mu, że tak nie było. Jednakże Larry'emu ustalenie, że to Erno strzelał, nie wystarczało.

- Mam wciąż tę samą wielką wątpliwość - powiedział jej. - Nie wierzę, że Rommy nie miał z tym nic wspólnego. Może Erno i Wiewióra razem starli się z Luisą Collinsem. A Collins kończy po prostu to, co rozpoczął jego wujek, i chce wyciągnąć z tego Rommy'ego, ponieważ ich nie wydał.

- Naprawdę widzisz Rommy'ego w roli furjata, Larry? On nawet nie potrafił się wściec, gdy chodziło o obronę jego własnej skóry.

Jednak Larry miał pewną koncepcję. Na jutro postawiłby w pogotowiu pół tuzina kadetów. Chciał dostać nakaz, który pozwoli im kopać pod szopą na narzędzia Erna, gdzie miał nadzieję znaleźć cokolwiek, co zostało zabrane ofiarom zamordowanym tamtej nocy w Paradise. Collins powiedział, że Erno zastanawiał się, czy nie wykopać fartucha, żeby potwierdzić swoje ostatnie zeznania, ale uzmysłowił sobie, że na niektórych z tych przedmiotów mogą być również odciski palców jego siostrzeńca. Larry podejrzewał, że Erno ukrywał także odciski Wiewióry lub ślady jego DNA.

- Dostaniesz nakaz do dziesiątej rano, a ja będę trzymała za ciebie kciuki, Larry, wierz mi. Jeśli jednak nie znajdziemy jakieś plamki, którą da się powiązać z Wiewióra będzie to ko-

405

lejny wielki argument na ich korzyść. Obecnie wszystkie dowody potwierdzają wersję Erna i Collinsa. Jeśli te rzeczy tam są jak mówi Collins, i sana nich jedynie jego odciski i Erna, to będziemy ugotowani. To oznacza nowy proces, Larry.

— Nowy proces?

— Możemy się wygłupiać półtora roku przed Harlowem, kiedy sąd apelacyjny odeśle sprawę z powrotem, ale krótko mówiąc, jeśli popatrzy się na to wszystko — zeznania, odciski, DNA, protokoły, z których wynika, że Wiewióra mógł siedzieć w pudle, gdy popełniono morderstwa... - przerwała na chwilę, żeby podkreślić wagę tego, co mówi — skarga habeas corpus Gandolpha zostanie uznana.

Mogła mieć rację z prawniczego punktu widzenia, ale Larry wiedział również, że nie chce doprowadzić do tego, by złe wieści wyciekały dzień po dniu i trafiały na nagłówki gazet, ku radości jej kontrkandydata w wyborach.

— I to wcale nie jest najgorsze — dodała.

— A co jest najgorsze?

— Nie możemy dopuścić, żeby ta sprawa była ponownie rozpatrywana przez sąd.

— Z powodu Collinsa?

— Collins opowiedział dwie różne historie, obciążając i oczyszczając z winy tego samego faceta. Jak sam powiedział, jest handlarzem narkotyków, oszustem i ma na koncie trzy wyroki za ciężkie przestępstwa. Może sobie wzywać Jezusa, ile tylko chce. Ława przysięgłych i tak będzie patrzyła na niego podejrzliwie, kiedy zajmie miejsce dla świadków. Moim problemem jest to, jak wprowadzić kameę do materiału dowodowego.

— Może tak, jak to zrobiliśmy ostatnio? Zeznam co trzeba.

— Nie ma mowy, Larry. W sali rozpraw dzieje się wiele dziwnych rzeczy. Nie powiem, że nie zdarzyło mi się śmiać w kułak, słuchając własnych świadków, ale nigdy nie postawiłam nikogo na miejscu dla świadków, wiedząc, że popełni krzywoprzysięstwo. I nie zacznę robić tego teraz.

— Krzywoprzysięstwo?

— Tak to nazywam, Larry, kiedy po złożeniu przysięgi wymyślasz coś, co się nie zdarzyło. - Patrzyła mu prosto w oczy, i to nie tak, jak jeszcze przed chwilą. Teraz to była Muriel Nieustraszona.

— Wniosłabyś przeciwko mnie oskarżenie? Popatrzyła na siebie, wciąż zupełnie naga i odparła:

406

- Myślę, że musiałabym się uznać za niezdolną do działań prawnych.

- Poważnie - powiedział. - Nazwałabyś to przestępstwem?

- Uważam, że to było złe, Larry. Naprawdę złe. I nie pozwolę ci zeznać, że znalazłeś kameę w kieszeni Wiewióry, skoro jej tam nie znalazłeś.

Od kiedy znał Muriel, nie był pewny, jak mocno trzyma się zasad. Teraz mówiła serio. Ale w swych kalkulacjach nigdy tak do końca nie zapominała o własnym interesie. Teraz też wiedziała, że gdyby pozwoliła mu kłamać, na zawsze miałby coś na nią.

Rozważyła inne możliwości. Za zgodą Arthura w czerwcu oddali kameę córkom Luisy, nie było zatem na niej żadnych odcisków, dzięki którym można by dowiedzieć, że

była w rękach Wiewióry.

- Co będzie, jeśli się przyznam, że wtedy skłamałem? - zapytał.

- Przyznasz, że zachowałeś się podle podczas wykonywania obowiązków służbowych, Larry. Wywałą cię na zbity pysk. I będziesz mógł się pożegnać z emeryturą. I nadal nie będziesz miał łańcucha dowodów, który umieści kameę w kieszeni Wiewióry, o ile gliniarz, który ją ukraść, nie przyzna się do tego, czego nie zrobi, chyba że także nie jest przywiązany do myśli o swojej emeryturze. Zresztą tak czy owak będziemy ugotowani.

- A to dlaczego?

- Przyznasz, że skłamałeś, żeby uzyskać wyrok skazujący, zgadza się?

- Wyrok skazujący wielokrotnego mordercę.

- Jaką więc można mieć pewność, że nie zrobiłeś tego jeszcze raz? Jesteś jedynym świadkiem tego, co zaszło między tobą a Rommym na komisariacie w październiku dziewięćdziesiątego pierwszego. Następnym razem Arthur powie, że przyznanie się do winy było w jakiś sposób wymuszone. A my jako świadka, który powie, że tak nie było, będziemy mogli przedstawić tylko kłamiącego pod przysięgą policjanta.

- Utracimy przyznanie się do winy?

- Bardzo prawdopodobne. I kameę. I zniszczymy cię. W najgorszym razie, Larry, jeśli się przyznasz, że skłamałeś w sprawie kamei, i ktoś wpadnie na to, że spuściłeś w klopie raport Dickermana, prokuratura federalna prawdopodobnie oskarży cię o matactwo.

407

/

— Federalni?

— Jesteśmy w sądzie federalnym, Larry.

— Cholera. — Tutaj stawiano gliniarzy w stan oskarżenia dla sportu. Była to część nie kończącego się konfliktu między federalnymi a stanowymi organami sprawiedliwości.

— Nie możemy mieć nowego procesu, Larry. Nienawidził prawa — i Muriel, kiedy stawała się jego tubą.

Mocno objął kolana ramionami i zapytał, czy mogą zawrzeć z Gandolphem ugodę, w

ramach której dostanie długoletni wyrok więzienia.

— To byłoby najlepsze rozwiązanie — odparła. — Ale jak to nazwałś Arthura? Królik Krzyżowiec*? Krzyżowiec myśli, że ma niewinnego klienta. Krzyżowiec prawdopodobnie będzie się twardo trzymał i doprowadzi go do procesu.

— Co się wtedy stanie?

Nie odpowiedziała. Larry podniósł się nagle i stanawszy na czworakach, chwycił ją za ramię.

— Muriel, nie chcę słyszeć, ile to lat on odsiedział, ani o niczym takim. Nie chcę oglądać tego faceta na ulicy. Wolałbym raczej zaryzykować w sądzie, stracić emeryturę, być oskarżonym o matactwo i wszystko inne. Mówię ci to, Muriel, zupełnie serio. Obiecuj mi, że się nie ugniesz.

— Larry...

— Obiecuj mi, do cholery! Jak się nazywał ten Grek, który toczył kamień pod górę i nigdy nie mógł go dopchać na szczyt? Syzyf? Nie jestem Syzyfem. To była klątwa bogów, Muriel. Rzucili ją na tego faceta. I to właśnie mi zrobisz.

— Próbuję cię uratować, Larry.

— Tak to nazywasz? - zapytał i chwycił swoje ubranie. Ale nagle przestała zwracać na niego uwagę. Znowu była

myślami gdzieś daleko. Upłynęła sekunda, zanim pojął, że wymyśliła, jak może to wszystko rozwiązać.

* Crusader Rabbit - bohater filmów rysunkowych (przyp. tłum.).

408

40

24 sierpnia 2001

Heroína

Recepcjoniści w kancelarii O'Grady'ego, Steinberga, Mar-coniego i Horgana poznawali już Gillian na pierwszy rzut oka. Wkroczyła do środka, kiwając im ręką i przeszła przez jasne pomieszczenia firmy, witana chłodnymi uśmiechami tych, którzy albo jej nie znali, albo znali aż za dobrze. Tak jak przewidywała, to, że Arthur ją wybrał, nie spotkało się z przychylnym przyjęciem jego współpracowników i wspólników. Zamiast odpowiadać na te uśmiechy, nie odrywała wzroku od swojej

nowej bransoletki na kostkę ze splecionego jak wąż łańcuszka, którą kupiła rano. Przez lata zmieniała pogląd na tego rodzaju modne drobiazgi. Jej matka mówiła, że bransoletki na kostkę są kiczowate, co dało taki rezultat, że Gillian nosiła je z uporem przez całą szkołę średnią, a potem wyrzekła się ich, uznając je za dziecinne ozdóbki. Ale teraz, pod koniec lata, kiedy się opaliła i mogła chodzić bez rajstop, ten łańcuszek na jej nagiej skórze krył jakąś zmysłową obietnicę. Był cieniutkim świadectwem czegoś i z jakichś nieokreślonych powodów przypominał jej o Arthurze. Zapukała we framugę drzwi jego gabinetu i zapytała głośno:

- Czas na obiad?

Siedział w swoim fotelu tyłem do niej. Miał opuszczoną głowę, pomyślała więc, że pewnie czyta, ale kiedy się odwrócił, zobaczyła łzy w jego oczach. Taki już był. Płakał przez cały czas. Nie poczuła najmniejszego niepokoju do chwili, gdy wypowiedział jedno słowo:

- Heroina?

Powtórzył to kilka razy, ale ona nie potrafiła wydobyć głosu, żeby mu odpowiedzieć.

- Dziś rano - zaczął - Muriel złożyła u Harlowa wniosek nadzwyczajny o ponowne otwarcie procedury przedstawiania dowodów i wezwanie ciebie do złożenia zeznań.

- Mnie?

- Ciebie. We wniosku utrzymuje, że zdajesz się mieć informacje korzystne dla obrony. Było to tak absurdalne i niskie, że nie chciałem cię denerwować i nawet ci o tym nie wspomniałem. Wszedłem na salę rozpraw, waląc z całej ostrej amunicji,

409

jaką miałem na podorędziu. „Tani chwyt”. „Teatralne zagranie”. „Nieetyczne”. „Brudne”. Słowa, jakich nigdy nie użyłem publicznie wobec innego prawnika. Co za pomysł, żeby próbować zmienić tę sprawę w coś osobistego! I na koniec, kiedy powiedziałem już wszystko, Muriel poprosiła sędziego o dziesięć minut przerwy, po czym wręczyła mi sześć dobrowolnych oświadczeń pisemnych, wszystkie od ludzi, którzy sprzedawali ci heroinę lub widzieli, jak ją kupujesz. Mimo to nie miałem zamiaru wierzyć na słowo ćpającym dziwkom. Ale spotkałem się z dwiema dziś po południu, Gillian, twarzą w twarz. Obie rzuciły nałóg. Jedna jest terapeutką w ośrodku leczenia uzależnień. Wcale chętnie tego nie mówiły. Nie miały nic do ciebie - jedną z nich przed laty sądziłaś i zawiesiłaś jej wykonanie wyroku, oddając ją pod nadzór ochronny, a ona doskonale wiedziała dlaczego. Zmierzam do tego, że one po prostu mówiły prawdę. Mówiły mi i prawdę o tobie. Czy możesz sobie wyobrazić, jak

się czułem? Jezu cholerny Chryste, Gillian, heroina?

Zakręciło jej się w głowie. Usiadła w pokrytym tweedem fotelu, ale nie miała pojęcia, jak tam dotarła. Czuła się tak, jakby była w windzie, która się urwała na wysokości kilkunastu pięter i roztrzaskała na dole. Spadała z ogromną szybkością, a potem się rozpląszczyła. Przez moment chciała odruchowo zaprzeczyć temu wszystkiemu, co jeszcze powiększyło jej rozpacz.

— Arthurze — odezwała się. — To tak bardzo wszystko pogarsza.

— Z pewnością.

— Mówię o sobie. Przez to wszystko moja hańba staje się jeszcze większa. A ja już przeszłam przez wszystko, co byłam w stanie znieść, Arthurze. Wiesz o tym. Rozumiesz to.

— Gillian, to była pierwsza rzecz, o którą cię spytałem. Powiedziałaś mi, że byłaś trzeźwa w czasie procesu Rommy'ego.

— Odpowiedziałam na twoje pytanie. Powiedziałam ci, że nie piłam nadmiernie. Byłam świadkiem, Arthurze, odpowiednio przygotowanym. Odpowiedziałam ci dokładnie na pytanie.

— A potem? Czy podczas ostatnich czterech miesięcy nie pomyślałaś choć raz... nie uświadamiałaś sobie, jaki to może być pieprzony problem prawny?

— Prawny?

— Dla Rommy'ego. Był sądzony przez osobę uzależnioną od heroiny.

— Nie jest pierwszym oskarżonym, który został skazany

410

przez niedysponowanego sędziego. W jego sprawie składano apelacje, Arthurze. Dwukrotnie. Bez końca ciągnęły się różne postępowania mające na celu zmianę wyroku. Żaden sąd nie dopatrył się niczego, co choć w przybliżeniu nadawałoby się do uznania za błędy odwracalne.

— A co z konstytucją?

Nie zrozumiała, do czego zmierzał.

— Konstytucja?

— Konstytucja, Gillian, obiecuje każdemu oskarżonemu sprawiedliwy proces. Czy

myślisz, że to oznacza proces przed sędzią, który codziennie popełnia przestępstwo? Nie tylko sędzią, którego zdolność myślenia musi być zakłócona, ale takim, który załatwia swoje sprawy na ulicy, a zatem ma silny motyw, by nie antagonizować prokuratorów i policji?

Ach. Wyprostowała się w fotelu. W ogóle się nad tym nie zastanawiała. Poświęciła tej sprawie przelotną myśl pierwszego dnia, kiedy spotkała się z Arthurem na kawie, potem rozmawiała trochę na ten temat z Duffym i przestała się tym zajmować. Sprawiedliwość interesowała ją wtedy o tyle, o ile dotyczyła jej samej. A przecież, gdyby choć przez chwilę się nad tym głębiej zastanowiła, dostrzegłaby, jakie konsekwencje wynikały z tego dla sprawy Gandolpha, sama doszłaby do tego, co wyłożył jej teraz Arthur. Miał rację, była winna.

— Muriel już zadzwoniła do mnie z pytaniem, co zamierzam zrobić — powiedział.

— I?

— I powiedziałem jej, że wniosę poprawkę do mojej skargi habeas corpus, uzupełniając ją o punkt stwierdzający, że twoje uzależnienie pogwałciło prawo Rommy'ego do sprawiedliwego procesu.

— Wezwiesz mnie na świadka?

— Jeśli będę musiał.

Przez chwilę chciała zasugerować, że zachowuje się jak komediant lub że reaguje zbyt impulsywnie. Jak mógłby przesłuchiwać kobietę, z którą sypia? Ale odpowiedź była oczywista. Nie potrafiła już tak szybko wyciągać wniosków jak kiedyś, pomyślała ze smutkiem. Najwyraźniej nie była już kobietą, z którą sypiał.

— Mój Boże, Gillian. Nie mogę znieść myśli, że ty w jakichś bramach kupowałaś od dziwek... a potem wracałaś, by osądzać

411

innych ludzi. Nie mogę sobie tego wyobrazić. A ty? Kim ty, na Boga, jesteś?

Tak, cóż. Wiedziała, że prędzej czy później będzie miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby zadać to pytanie.

— Spodziewasz się zwyciężyć, Arthurze, dzięki tej nowej taktyce? - Bała się, że to może zabrzmieć tak, jakby prosiła o litość. A potem uświadomiła sobie, że tak prawdopodobnie było.

— Chcesz wiedzieć, czy zrobiłbym to tylko po to, żeby się na tobie odegrać, Gillian?

Nie. Nie. Pamela zaczęła zbierać materiały. Jest absolutnie pewne, że moglibyśmy doprowadzić do nowego procesu. Ale ja uważam, że ponowna rozprawa jest wykluczona z uwagi na klauzulę zabraniającą podwójnego pociągania do odpowiedzialności za to samo przestępstwo. Państwo nie wypełniło swojego podstawowego obowiązku polegającego na zapewnieniu kompetentnego forum do rozstrzygnięcia tej sprawy. Muriel zdaje się podzielać ten punkt widzenia.

Przez sekundę Gillian wyobraziła sobie, jak to wszystko widzi Muriel. Nawet pokonana może się śmiać ostatnia. Rzadki sukces w sporze sądowym. Złamać serce przeciwnikowi...

— Podsumujmy, czy dobrze rozumiem — powiedziała. — Jestem kozłem ofiarnym. Potrójny morderca uniknie kary, ponieważ byłam uzależniona od heroiny. Czy tak to zostanie wytłumaczone w prasie?

Arthur nie odpowiedział, ale zapewne tylko dlatego, że nie było sensu zaprzeczać. Dotąd była dla ludzi nieszczęsną, żalonną kobietą, która zawiodła oczekiwania. Teraz jednak awansuje do kategorii potworów. Arthur, uświadomiła sobie, już ją tak postrzega. Jego zaczerwienione oczy wpatrywały się w nią z przerażającym obiektywizmem.

— To moja wina, Gillian. Ostrzegałaś mnie. Powiedziałaś mi, jak bardzo niebezpieczna byłaś dla mężczyzn, którzy coś znaczyli w twoim życiu. Przedstawiłaś mi nawet całą historię choroby. A ja i tak w to wskoczyłem.

Mimo że kompletnie rozkojarzona, poczuła nowe ognisko bólu, jakby jakiś mięsień został odcięty od kości tuż przy jej sercu. Było już pewne, że między nią a Arthurem wszystko skończone. Nigdy przedtem nie powiedział jej ani jednego okrutnego słowa.

Wyszła z jego gabinetu prawie po omacku, przebrnęła jakoś przez jasne sale i dotarła do windy. Zatrzymała się na chodniku. „Heroina”. To słowo, które wyszło z jego ust, wciąż do niej

412

wracało. Jak mogła to sobie zrobić? Musiała się mocno skupić, żeby to sobie przypomnieć, i po raz pierwszy od lat odczuła boleśnie, jak narkotyk spustoszył jej pamięć.

41

27 sierpnia 2001

Midway

Muriel i Larry szli pod długimi zielonymi ramionami dębów i wiązów na Midway, szukając ławki. Każde miało pod pachą zawiniętą w papier kanapkę, a w dłoni jasnoczerwony kubek z coca-colą. Ten wąski park, długi na wiele mil, założono tuż po wojnie secesyjnej jako miejski ogród ciągnący się po obu stronach drogi, po której niósł się stukot kopyt koni zaprzęzonych do powozów. Teraz nieustanny hałas z przebiegających w pobliżu dróg dwupasmowych, jednej na wschodzie, drugiej na zachodzie, zniechęcał do rozmowy, toteż nic nie mówili, dopóki nie znaleźli się przed ławką z rozszczepiających się belek, które ustawiono poprzecznie na betonowych podporach.

- Tutaj? - zapytała Muriel.

- Może być. — Nie miał ochoty na spacer i wciąż był gderliwy.

- Myślałam o nas, Larry, i uzmysłowiłam sobie nagle, że cały nasz wspólny czas spędziliśmy w zamknięciu. Zauważyłeś? Mówiłeś mi ciągle o ogrodach, ale my zawsze byliśmy w czterech ścianach. Sali rozpraw. Biura. Pokoju hotelowego.

W pobliżu przejechał wielki autobus, przyspieszając z rykiem silnika i plując trującymi gazami z rury wydechowej.

- Bardzo tu sielsko - odezwał się Larry. - Dlaczego, idąc tu z tobą Muriel, miałem wrażenie, że to mój marsz śmierci?

Nie potrafiła się zdobyć na uśmiech. Odwinęła z papieru swój lunch, ale położyła go na kolanach. Jakoś tak było, że następne zdanie wymagało dwóch wolnych rąk.

- Postanowiłam wystąpić o uwolnienie Rommy'ego Gandol-pha od zarzutu popełnienia morderstwa - powiedziała.

Nie wymagało to jakiejś skomplikowanej analizy. Z wykopalisk pod szopą Erna mieli sześć dodatkowych przedmiotów z odciskami Erdaia i Collinsa, ale ani strzępu dowodu przeciwko Wiewiórze. Mimo to bała się mu powiedzieć, co będzie musiała z tym zrobić.

413

Larry ugryzł wielki kawał sandwicza i żuł go w zadumie, ale poza tym siedział zupełnie nieruchomo. Jego krawat, ściągnięty sześć cali poniżej szyi, uniósł się nagle, porwany podmuchem wiatru, i przez chwilę wisiał równoległe do ziemi.

— Tobie pierwszemu o tym powiedziałam — ciągnęła Muriel. — To znaczy po

Nedzie.

Przelknął i zapytał:

— Ściągnąłeś mnie tutaj, żeby nikt nie słyszał, jak krzyczę? Tak?

Nie pomyślała o tym. Ale, jak zwykle, instynkt prawdopodobnie nie bez powodu zaprowadził ją w to miejsce.

— Chyba żartujesz, Muriel. Masz idealną sytuację. Powiedziałaś, że Arthur nie będzie chciał zawrzeć układu, ale teraz nie ma wyboru, jeśli nie chce zmasakrować swojej dziewczyny w sądzie.

Po tych wszystkich latach nie przyswoiła sobie jeszcze różnic między ich światami. Larry był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich знаła. Czytał książki. Potrafił myśleć abstrakcyjnie. Ale dla niego prawo było tylko taktyką. Nigdy nie zadał sobie trudu zaakceptowania, jak prawnicy, że musi być ono konsekwentne nawet w najbardziej nawet błahych szczegółach. Widział tylko wielki obraz, na którym praktycy wymyślali logiczne powody wszystkiego, co chcieli zrobić.

— Wątpię, żeby to zrobił — powiedziała. — Musiałby sprzedać swojego klienta, aby ocalić Gillian.

— Warto spróbować.

— To by było nieetyczne, Larry. Z jego... i mojej strony, gdybym to zaproponowała.

— Do kogo to mówisz, Muriel?

— Larry, nie jestem lepsza od innych ludzi, czasem się w coś uwikłam, ale próbuję. Wierzę w to, że nie można egzekwować praw, jeśli się nie żyje zgodnie z nimi. Poza tym - dodała i poczuła, że serce jej zadrżało - już nie wierzę, że Wiewióra jest winny.

Jeszcze zanim padły te słowa, wiedziała, co on powie, ale kiedy zobaczyła, jak się od niej odsuwa, poczuła, że pęka jej serce. Jego kręgosłup i twarz stwardniały na beton. Był jedynym mężczyzną na świecie, który kochałby ją tak, jak by chciała, i teraz stawał się jej wrogiem.

— Przyznał się do winy - powiedział cicho.

To było sedno tego wszystkiego. Ostatecznie mogła powie-

414

dzieć, że Larry wprowadził ją w błąd. Ale on, detektyw od ponad dwudziestu lat, musiałby przyznać, że sam siebie wprowadził w błąd. Mógł to być wynik albo

chwilowego odejścia od zasad uczciwości, albo zawodowego potknięcia. Albo po trosze jednego i drugiego. Przypisanie swojej pomyłki chęci zadowolenia jej byłoby, na tym etapie, czymś gorszym nawet dla niego.

Ostatnim razem pomyślała, że jest melodramatyczny, kiedy powiedział, że nie może mu tego zrobić. Jednak z częstotliwością, której nikt nie dorównywał, Larry często przeganiał ją w biegu do linii mety, i wtedy też tak się stało. Akceptując jej opinię, musiałby zniszczyć się we własnych oczach. Niczyje oddanie nie sięga tak daleko.

- Larry, wygląda to teraz tak, że wszystko spadnie na Gillian. Żadnego Dickermana. Albo Collinsa. Żadnych wątpliwości co do sposobu prowadzenia śledztwa. Nasza nieoficjalna wersja będzie taka, że nie mogliśmy ryzykować orzeczenia o podwójnym pociąganiu do odpowiedzialności za to samo przestępstwo, kiedy mogło to oznaczać, że trzeba będzie otworzyć bramy więzień dla wszystkich, których przez lata sądziła Gillian. Jeśli mamy toczyć tę walkę, nie możemy tego robić w sprawie o przestępstwo zagrożone karą śmierci, kiedy prawo procesowe jest tak rygorystyczne.

Przez cały czas, gdy to tłumaczyła, Larry ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku. W końcu wstał, przeszedł zaniechaną alejką kilka stóp do kosza na śmieci z metalowej siatki i wrzucił do niego resztkę sandwicza, a następnie wrócił.

- Wiesz co, Muriel, nie rób mi wody z mózgu. Zrzucenie tego na Gillian... w ten sposób znacznie bardziej chronisz siebie niż mnie.

- Sądzę, że to pomoże nam obojgu.

- Gdy tylko wypuścisz Rommy'ego, Arthur wystąpi z pozwem cywilnym na ogromną sumę... ta cała historia o Dickermanie i Collinsie wyjdzie na jaw podczas przedstawiania dowodów.

- Nie będzie żadnego przedstawiania dowodów, Larry. Nie zaryzykują składania zeznań przez Wiewiórę, bo nie sposób przewidzieć, co on mógłby powiedzieć. Ta sprawa zostanie rozstrzygnięta szybko i nieczysto.

- Zaraz po wstępnych oświadczeniach stron. Wiedziała, że nie widzi już w niej żadnych ludzkich cech.

W jego oczach była wyrachowana i nieczuła. Mimo to skinęła

415

głową w odpowiedzi. Była, kim była. I nie był to piękny portret. Zastanowiła się, czy warto mu powiedzieć, jak bardzo będzie jej go brakowało. Nadejdą okropne noce. Ale będzie bardzo zajęta pracą, co pomoże jej jakoś przetrwać. Najgorsze czasy

czekają ją prawdopodobnie za wiele lat.

Poprzedniego dnia modliła się gorąco w kościele. Dziękowała Bogu za jego błogosławieństwa. Za życie, które miało znaczenie. Za wnuka Talmadge'a. Nikt nie otrzymuje od losu wszystkiego. Ona nie miała miłości, ale prawdopodobnie było tak dlatego, że pragnęła jej mniej niż inni ludzie. Mimo to, wstając teraz z ławki, poczuła znowu zawrót głowy. Strasznie chciała objąć Larry'ego i przytulić się do niego. Ale wybrała samotność. Larry siedział pochylony, wspierając brodę na dłoni. Był zaczerwieniony z wściekłości. Wiedziała, że odtąd będzie ją pamiętał jako kobietę, która zrujnowała mu życie.

— Muszę iść. Mam spotkanie z Johnem Leonidisem — odezwała się. — W Paradise.

— Powrót na miejsce zbrodni — skomentował Larry.

— Właśnie.

— Nie prosz, żebym cię krył w tej sprawie. Przed nim. Lub moimi kolegami. Nie zrobię tego, Muriel. Będę mówił prawdę o tobie każdemu, kto zapyta.

Jej wróg. Jego prawda. Popatrzyła na niego ostatni raz i odwróciła się, żeby zatrzymać taksówkę.

Przeplakała cicho połowę drogi do restauracji. Potem, przez ostatnie kilka mil, zaczęła myśleć o tym, co powie Johnowi. Po chwili zastanowienia postanowiła, że wyjawi mu wszystko, wszystkie szczegóły. Nie należał do ludzi, którzy lubią paplać, a nawet gdyby to zrobił, niech tak będzie. Zastanawiała się także, jak mogłaby go pocieszyć. John Leonidis czekał ponad dziesięć lat na śmierć, która miała być zadośćuczynieniem za zabójstwo jego ojca. Nawet jeśli uda się jej go przekonać, że Erno zamordował Gusa sam, czego była już pewna - nawet wtedy John będzie nieszczęśliwy i zły, że Erdai umarł na własnych warunkach. Po dziesięciu latach oskarżania w sprawach o morderstwa i obcowania z rodzinami ofiar Muriel była przekonana, że większość z tych krewnych gdzieś w jakimś zakamarku swojej świadomości - tej pierwotnej części, w której krył się lęk przed ciemnością i głośnym dźwiękami - zakładała, że kiedy umrze winny zbrodni, ich oplakany bliski wróci do życia. Taka była żalosna logika zemsty, poznawana już w piaskownicy —

416

dziedzictwo ofiarnych ołtarzy, na których usiłowaliśmy wymienić życie za życie.

Widziała trzy egzekucje, reprezentowała na nich prokuraturę. Po pierwszej ojciec ofiary, matki dwojga dzieci zastrzelonej na stacji benzynowej, wyszedł rozgoryczony

i zły, gdyż to, co miało mu ująć bólu, tylko go powiększyło. Ale dwie rodziny twierdziły, że to doświadczenie coś im dało — poczucie, że dotarli do punktu, w którym światu przywrócono równowagę, a im dano przynoszącą spokój ducha pewność, że nikt już przez tego łajdaka nie będzie znowu cierpiał, jak oni cierpieli. Jednak teraz udręczona Muriel nie mogła zrozumieć, w jaki sposób wyrządzenie kolejnej krzywdy mogłoby uczynić życie lepszym dla kogokolwiek.

Kiedy zaparkowała obok ciężkich szklanych drzwi Paradi-se, przypomniała sobie wyraźnie, jak się czuła w ten upalny letni dzień, kiedy weszła tam ponad dziesięć lat wcześniej, a chłodne powietrze nagle owiało jej nagie nogi, które wciąż jeszcze drżały po tym, co robiła z Larrym zaledwie przed godziną. To wszystko przeminęło. Larry odszedł. Znowu musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Może sprawiła to myśl o nim i jego upieraniu się przy tym, co obecnie uważała za fikcję, ale w jej głowie pojawił się przelotnie Rommy Gandolph. W tym odrealnionym obrazie zobaczyła Wiewiórę jako postać z kreskówki, sympatycznego gryzonia siedzącego w wilgotnym lochu pod bladym światłem lampy. W pierwszej chwili chciała się roześmiać, ale w jakiś sposób ta lampa, którą wyobraziła sobie jako mały kinkiet werandowy, stała się pierwszym źródłem promieniowania ogarniającego jądółu. Całe dziesięciolecie, resztę życia, zajmie jej zmaganie się z tym, co mu zrobili, a przede wszystkim z tym, dlaczego to zrobili.

John, jak zwykle, przywitał ją bardzo ciepło. Uściskał ją, a potem zaprowadził na zaplecze, do biura, które kiedyś należało do jego ojca. Fotografie Gusa wciąż wisiły w tych samych miejscach na ścianach.

- Nie przynosisz dobrych wieści, zgadza się? - zapytał. W weekendowych gazetach czytał o Gillian. Ksywka nadana jej przez Airesa, „Ćpająca Sędzina”, była we wszystkich nagłówkach.

- Nie wiem, John. Nie wiem, jak to nazwać.

Słuchając jej, gryzł kciuk, aż Muriel zaczęła się bać, że pocieknie krew. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ale nie

417

miała prawa mówić mu, jak ma to wszystko znosić. Był jej, jak zawsze, oddany. Świetnie rozumiał, że takie dowody jak odciski palców i ślady krwi są ostateczne, i bardziej niż się spodziewała, był skłonny zgodzić się z jej opinią, że Gandolph nie miał nic wspólnego z tymi zabójstwami. Czy na to zasługiwała, czy nie, John, jak wielu innych, wierzył w nią jako prawnika. Pragnął tylko jednej pociechy, co przewidziała.

— Wystąpiłabyś o karę śmierci dla tego faceta? Dla Erdaia? Gdyby to wszystko powiedział, a potem dostał jakieś cudowne lekarstwo i nie umarł?

— Próbowalibyśmy ją uzyskać, John.

— Nie udałoby wam się?

— Prawdopodobnie nie.

— Ponieważ był biały?

Nawet teraz, po tym wszystkim, w pierwszym odruchu wynikającym z jej niezachwianej wiary w prawo powiedziała, że nie. Dla przysięgłych wagę zbrodni określała wartość życia ludzi, którzy zostali zamordowani. W tych rachunkach, jak wielu innych, rasa i pozycja społeczna stawały się nieważne. Duże znaczenie miałyby dla nich to, że ofiary Erna to byli ciężko pracujący ludzie i głównie żywiciele rodzin. Ale przeciwwagą tego była ich ocena zabójcy i kolor skóry sam w sobie znaczył tu niewiele.

— W ostatecznym rachunku przysięgli skazują na śmierć ludzi, których uważają za niebezpiecznych i całkowicie bezwartościowych. Na ich decyzję miałyby wpływ to, że Erno zrobił jedną dobrą rzecz - tłumaczyła Johnowi. — Nie pozwolił, żeby za niego umarł niewinny człowiek. Może nawet dwóch. Bardzo mu zależało na siostrzeńcu. — Ciało z mojego ciała. Krew z mojej krwi. Nie bez znaczenia mogło się okazać i to, że Muriel rozumiała jego uczucia.

— Jaki to ma sens? — zapytał John. — Szczerze. Czy cokolwiek z tego ma jakiś sens? Oni wszyscy nadal byliby martwi. Mój ojciec, Luisa i Judson. Z tego, co mówisz, wynika, że ten Erno był ostatnią mendą. Mordercą. Kłamcą. Krzywoprzysięcą. Złodziejem. Był szumowiną. Dwa razy gorszy od Gandol-pha. I on miałby żyć?

Trudno było coś na to powiedzieć. Erno był pokręcony jak mało kto.

— Tak to już jest w sprawach o przestępstwa zagrożone karą śmierci, John. To jest tak krańcowe: zbrodnia, stawka i uczu-

418

cia wszystkich obecnych. Próbujesz tworzyć zasady postępowania i tak jakoś się dzieje, że żadna z nich się nie sprawdza, a nawet nie ma sensu.

Przyniosła kopię tekstu przesłuchania Collinsa. John przerzucił kilka kartek, po czym oddał jej cały plik.

— Skończone — powiedział i głęboko westchnął. — Przynajmniej będziemy mieli świadomość, że już po wszystkim.

W drzwiach przeprosiła go jeszcze raz, że ona też przyczyniła się do tego, iż to wszystko ciągnęło się tak długo i było dla niego taką torturą, ale nie chciał słuchać.

— Nigdy nie pozwolę — powiedział z tą samą zaciekłością, z którą potępiał bezsensowność prawa - nikomu mówić, że nie robiłaś wszystkiego, co było w twojej mocy. Ty i Larry. Wy wszyscy. Nigdy.

Uściskał ją z taką samą energią, jaką okazał, kiedy weszła, i poszedł sobie zabandażować kciuk.

Za drzwiami stanęła i obejrzała się na restaurację, w której dziesięć lat temu trzy osoby poniosły straszną śmierć. Wiedziała, że już nigdy nie popatrzy na ten prosty niski budynek, na jego brązowe cegły i wielkie okna, nie odczuwając części przerażenia, którego w swych ostatnich chwilach doświadczyli Lu-isa, Paul i Gus. Stojąc tam, wyobraziła sobie jeszcze raz tę okropną, wręcz nie do zniesienia chwilę, kiedy każde z nich pojęło, że to życie, które kochamy ponad wszystko, ma się urwać w wyniku kaprysu innego człowieka. Że utrzymujące wszystko w równowadze siły rozumu i człowieczeństwa zawodzą, i nieodwołalnie zbliża się koniec.

John w środku powtórzył coś, co często mówił — że wciąż widzi krew na podłodze. Mimo to nie zamknął Paradise. Restauracja była pomnikiem Gusa, domem jego ducha. Jasne miejsce w ciemną noc. Ciepły kąpiel w mroźny dzień. Jedzenie dla głodnych. Towarzystwo dla samotnych. Życie kipiące w miejscu, gdzie ludzie usiłowali, tak jak Gus, być dla siebie przyjaciółmi.

Obiecała sobie, że będzie tu wracać.

419

42

30 sierpnia 2001

Zwolnienie

Ubranie, w którym Rommy Gandolph był sądzony i w którym oddano go we władzę systemu penitencjarnego, dawno już gdzieś zaginęło. Być może nie zawracano sobie głowy przechowywaniem odzieży Żółtków. Dlatego dojeżdżając do Rudyard, Arthur i Pamela zatrzymali się przy domu towarowym i kupili dla niego trzy pary fabrycznie spranych spodni oraz kilka koszul. Potem ruszyli w swoją radosną podróż na południe.

Kiedy dotarli do więzienia, zauważyli na parkingu dość znaczne obozowisko samochodów różnych stacji telewizyjnych i radiowych. Wielebny doktor Blythe udzielał właśnie wywiadów. Jak zawsze towarzyszył mu tłum zwolenników. Arthur nigdy nie mógł pojąć, skąd się biorą ci wszyscy ludzie wokół kaznodziei — niektórzy pracowali w jego kościele, kilku zapewniało mu ochronę, ale afiliacja pozostałych była absolutną tajemnicą. W przybocznej kohorcie Blythe'a był przyrodni brat Rommy'ego, o którego istnieniu Arthur dowiedział się dopiero przed tygodniem, kiedy gazety zaczęły spekulować na temat powództwa cywilnego. Ten cały legion Blythe'a był ożywiony i wyraźnie zadowolony zarówno z powodu okazji, która go tu sprowadziła, jak i tego, że dzięki swej liczebności oraz uwadze mediów udało mu się opanować część terenu należącego do więzienia.

Blythe stał na przenośnym podium. Najwyraźniej przywiózł je w bagażniku swojej limuzyny, która stała zaparkowana z dala od kamer telewizyjnych. Kaznodzieja był tak łaskawy, że zadzwonił do Arthura z gratulacjami po złożeniu przez Muriel wniosku o uwolnienie Rommy'ego od zarzutu morderstwa, ale od tego czasu ani wielebny, ani nikt z jego personelu nie odezwał się do Ravena. Dopóki Blythe nie zaczął mówić, ze swoją błyszczącą łysą głową i wielkim siwym wąsem wyglądał jak wcielenie dobrotliwości. Zbliżając się do podium, Arthur słyszał, jak kaznodzieja lamentuje nad niesprawiedliwością systemu, w którym uzależnieni od narkotyków sędziowie skazują niewinnych ludzi na śmierć. Miał co do tego rację, ale było coś dziwnego w tym, jak to przedstawiał.

Kiedy część reporterów rzuciła się w stronę Arthura, wie-

420

lebny zaprosił go na podium. Uścisnął mu mocno dłoń, poklepał po plecach i powtórzył jeszcze raz, że dobrze się spisał. To od Blythe'a, podczas ich ostatniej rozmowy, Arthur dowiedział się, że prokuratura przesłuchała siostrzeńca Erna i że Muriel po prostu broni się, zrzucając winę na Gillian. Jackson Aires, który dla dobra swego klienta upierał się przy zachowaniu jego zeznań w tajemnicy, ukrył Collinsa w Atlancie i odmówił potwierdzenia tego, czym według podejrzeń Arthura podzielił się prywatnie z Blythe'em. Aires ograniczył się do jednego szczegółu. „Twój człowiek tego nie zrobił. Nie było go tam. Reszta tego i tak nie ma znaczenia. Świetna robota, Raven. Nigdy nie myślałem, że masz jakiś potencjał jako obrońca procesowy, ale wygląda na to, że się myliłem. Świetna robota”.

Prawda o Collinsie mogła jeszcze wyjść na jaw w procesie cywilnym, zwłaszcza jeśli prokuratura nie chciałaby przystać na porozumienie. Arthur miał nadzieję porozmawiać w drodze powrotnej z Rommym o wniesieniu powództwa.

Poprzedniego dnia poinformował Raya Horgana, że najprawdopodobniej będzie się zajmował sprawą cywilną Rommy'ego i w związku z tym zamierza opuścić kancelarię.

Na wartowni Arthur i Pamela podali parę spodni i koszulę dyżurnemu porucznikowi, ale oficer nie chciał przyjąć ubrania.

- Ci tam na zewnątrz, od wielebnego Blythe'a, przynieśli garnitur. Za pięćset dolców, tak na oko. - Porucznik, który był biały, usłyszawszy sam siebie, rozejrzał się ostrożnie, niepewny, czy dobrze zrobił, mówiąc o tym.

Chwilę później przybył Blythe. Towarzyszył mu wysoki, przystojny i świetnie ubrany Afroamerykanin, którego Arthur skądś znał. Nie z miasta, tyle wiedział na pewno. Kolejny bohater, to wszystko, co przyszło mu do głowy, może sportowiec.

Porucznik podniósł słuchawkę i kilka minut później pojawił się naczelnik więzienia, Henry Marker. Także czarny, powitał Blythe'a z zauważalną serdecznością i poprosił całą grupę, żeby mu towarzyszyła. Za pierwszą bramą skręcili w stronę budynku administracyjnego z żółtej cegły, w którym Arthur i Pamela nigdy nie byli. Tu także były zamki i byli strażnicy, ale służyło to utrzymaniu więźniów na zewnątrz, a nie w środku.

Kiedy dotarli na pierwsze piętro, Marker wprowadził ich do swojego gabinetu, wielkiego, ale prosto urządzonego. Przed biurkiem dyrektora, w garniturze i pod krawatem, siedział Rommy Gandolph. Wiercił się niespokojnie z nisko spuszczoną

421

głową. Na ich widok zerwał się z krzesła i, jak można się było spodziewać, nie bardzo wiedział, co jeszcze powinien zrobić. Miał przystrzyżone i ułożone włosy, a kiedy rozłożył ręce w geście powitania, Arthur zauważył, że w końcu jest bez kajdanek. Nie mogąc się pohamować, Arthur, który w ostatnim tygodniu bardzo dużo płakał, znowu zaczął szlochać i zauważył, że Pamela poszła w jego ślady. Blythe tymczasem rzucił się na Rommy'ego i zaczął go ścisnąć z całej siły.

Naczelnik więzienia podsunął Rommy'emu kilka dokumentów do podpisania. Kiedy Arthur i Pamela usiedli, żeby je przejrzeć, Blythe odciągnął Gandolpha na drugą stronę gabinetu. Arthur słyszał, że najpierw się modlili, a potem z ożywieniem o czymś rozmawiali. Rommy nagryzmolił wreszcie swoje nazwisko na dokumentach i wszyscy zabrali się do wyjścia. Marker odprowadził ich do bramy frontowej. Zabrział brzęczyk i dyrektor, niczym kamerdyner, odsunął się na bok, żeby otworzyć drzwi. Gdy to robił, Blythe precyzyjnie przycisnął się z ręcznikiem obok Arthura oraz Pameli i stanął obok Rommy'ego w chwili, kiedy padło na niego światło dnia.

Kamerzyści, jak zwykle niesforni, zaczęli krzyczeć i rozpychać się. Blythe ujął Rommy'ego za łokieć i poprowadził go w stronę podium. Zaprosił na górę Arthura oraz Pamelę i ustawił ich w drugim rzędzie za sobą i Rommym. Pamela przygotowała dla Wiewióry krótkie oświadczenie, które trzymał w ręce, ale Blythe zabrał mu je i podał inną kartkę. Rommy zaczął czytać, ale po chwili bezradnie rozejrzał się dokoła. Przyrodni brat, stojący teraz obok niego, powiedział głośno kilka słów. Po raz pierwszy Arthurowi przyszło do głowy, ile to trzeba było prób, żeby Rommy zdołał przeczytać przed kamerą przyznanie się do winy, które przygotowano dla niego przed dziesięciu laty. Kiedy tam stał, nie wiedząc, czego się spodziewać, uzmysłowił sobie, jaką potworność wyrządzono temu biedakowi — i zaraz potem przepełniła go satysfakcja na myśl, że on i Pamela wykorzystali całą potęgę prawa dla jego dobra, że prawo naprawiło krzywdę, którą mu kiedyś wyrządziło. W tej chwili głęboko wierzył, że choćby nie wiem jak umysł zawodził go na starość, nigdy nie zapomni, że tego dokonał.

Gandolph wygłosił w końcu podsunięte mu oświadczenie. Spod stóp reporterów i techników tłoczących się na żwirowym parkingu wzniosły się tumany gryzącego kurzu i Rommy zaczął mrugać i trzeć oczy.

422

- Niewiele mogę powiedzieć oprócz tego, że wszystkim bardzo dziękuję — powiedział.

Reporterzy wykrzykiwali te same pytania: jakie to uczucie być wolnym, jakie ma teraz plany. Rommy odpowiedział, że chciałby zjeść dobry stek. Blythe ogłosił, że w jego kościele odbędzie się uroczystość z okazji uwolnienia Gandolpha. Konferencja dobiegła końca.

Kiedy Gandolph zeskoczył z podium, Arthur przepchnął się do niego. Przez telefon uzgodnili, że Rommy wróci do hrabstwa Kindle razem z nimi. Arthur rozglądał się za pracą dla niego. Musieli także omówić sprawę pozwu. Jednakże Rommy zatrzymał się, gdy Arthur chciał go poprowadzić w stronę swojego samochodu, który stał w tylnej części parkingu.

- Chciałem pojechać z nimi wszystkimi - powiedział Rommy. Jeśli zdawał sobie sprawę, że robi zawód Arthurowi, nie okazał tego. Ale twarz zmarszczyła mu się w wyrazie ciekawości. — Jaka macie furę?

Arthur uśmiechnął się lekko i podał mu markę oraz model. Rommy zdawał się przeszukiwać wzrokiem parking, ale jego oczy zaświeciły się na widok przedłużonej limuzyny.

- Nie, pojedę z nimi — stwierdził. Na jego ruchliwej twarzy widać było niepewność. Nieopodal ochroniarze Blythe'a powstrzymywali kilku reporterów. — Chcę wam podziękować za to, co dla mnie zrobiliście. Naprawdę.

Następnie wyciągnął rękę. Arthur uświadomił sobie, że po raz pierwszy, dotknie Rommy'ego Gandolpha. Jego dłoń była dziwnie stwardniała i wąska jak u dziecka. Wie wióra szurnął nogą przed Pamela, która pochyliła się, żeby go objąć.

- Mówiłem ci, żebyś się ze mną ochajtnęła - powiedział. -Będę miał żonę tak ładną jak ty, ale czarną. Będę też teraz bogaty. Kupię sobie trochę akcji. - W tym momencie przystojny, czarny mężczyzna, który towarzyszył Blythe'owi w więzieniu, podszedł po Rommy'ego. Gandolph odszedł z nim i nie obejrzał się ani razu za siebie, na swoich adwokatów.

Już wyjeżdżali z Rudyard, kiedy Pamela powiedziała mu, kim był ten mężczyzna - Miller Douglas, znany prawnik z Nowego Jorku specjalizujący się w sprawach o naruszenie praw obywatelskich. Nie było teraz wątpliwości, kto zajmie się cywilnym pozwem Gandolpha. Rommy podpisze z nim umowę w limuzynie - jeśli nie zrobił już tego w gabinecie naczelnika

423

więzienia. Arthur zatrzymał samochód na poboczu i siedział przez chwilę w milczeniu, próbując się z tym pogodzić.

— To straszne — powiedział w końcu.

Pamela, dość młoda, żeby nie przejmować się biznesową stroną prawa, wzruszyła ramionami, niezbyt zaskoczona.

— Nie uważasz, że ma teraz właściwego adwokata? — zapytała. — Nasza kancelaria nawet nie zajmuje się sprawami o naruszenie praw obywatelskich.

Arthur, który nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiał, myślał o ironii losu. Rommy był wolny. On nie. Horgan prawdopodobnie tylko się pośmieje i przyjmie go z powrotem, ale cenę za naiwność Arthur będzie płacił przez lata. Przynajmniej Ray poprosił go, żeby ponownie rozważył sprawę. „Ogólnie mówiąc, Arthurze”, powiedział, „może się jeszcze okazać, że zanim trafisz na następnego niewinnego klienta, czeka cię mała posucha. Jakies dziesięć lub dwadzieścia lat”. Arthur zastanowił się, jak powinien to wszystko przedstawić Rayowi, szybko jednak dał sobie z tym spokój. Na skali jego rozczarowań wybór innego adwokata przez Rommy'ego zajmował drugie miejsce. Pomimo wiru wydarzeń wywołanego przez wiadomość o zwolnieniu Rommyego, bezustannych telefonów od dziennikarzy,

euforii w kancelarii, gdzie Arthur teraz dowiadywał się, jak wielu ludzi zawsze go lubiło, jedno ognisko bólu było wciąż niezmiennie, wciąż bliski był tego stanu, w którym związał się w duchu w kłębek, odcinając się od świata, tak jak to znowu zrobił teraz.

Gillian. Moja Gillian, moja Gillian, pomyślał, i znowu zaczął płakać. Muriel po mistrzowsku przeprowadziła kampanię szkalującą. Już dwa dni po tym, jak zaczęła, „Tribune” zdobyła zdjęcie policyjne Gillian, zrobione w roku 1993, kiedy postawiono ją w stan oskarżenia, i umieściła je na pierwszej stronie wraz z liczącym kilka tysięcy słów reportażem o jej nałogu. Materiał pochodził z tak różnych źródeł, jak raporty agentów instytucji zwalczających handel narkotykami, relacje obrońców i opowieści narkomanów z ulicy. Historia o Ćpającej Sędzinie dotarła nawet do wielu dzienników o zasięgu ogólnokrajowym, zwłaszcza takich, które zwykle zajmowały się plotkami o znanych osobistościach. Tylko w kilku doniesieniach wspomniano, że Gillian zerwała z nałogiem i nie brała więcej zarówno wtedy, gdy ją skazywano, jak i teraz.

Jako adwokatowi Rommy'ego, Arthurowi było niezręcznie

424

dzwonić do niej ze słowami pociechy. Poza tym czuł się zbyt skrzywdzony, żeby to zrobić. Jeśli dobrze pamiętał, ona nawet go nie przeprosiła. Być może, mówił sobie, gdyby zdobyła się na wysiłek, by okazać swój żal za to, że go oszukała, może wtedy udałoby mu się znaleźć jakąś ścieżkę w tym niewiarygodnym gąszczu sprzecznych obowiązków wobec klienta. Przez wiele dni odsłuchiwał co pół godziny swoją pocztę głosową i nawet wyszedł w poniedziałek z biura, żeby sprawdzić, czy żaden list nie dotarł do domu. Może potraktował ją zbyt ostro, zwłaszcza tą ostatnią uwagą, której zresztą natychmiast pożałował, o jej „historii choroby”. Przypuszczalnie od prób skontaktowania się z nim powstrzymywała ją jej sytuacja prawna. Najbardziej prawdopodobne było jednak to, że po prostu się poddała, kiedy spełniły się jej przewidywania. Trzy dni temu obudził się z koszmarnych snów zdjęty lękiem, że wróciła do picia. Potem, po minucie, przypomniał sobie, że to nie alkohol był problemem. Obecnie jego fantazje stały się wręcz makabryczne. W wyobraźni widział niewyraźną sylwetkę Gillian, która krążyła po spływających deszczem ulicach, znikwała w ciemnych bramach, robiła Bóg jeden wie co.

Kiedy dotarli do miasta, Arthur zaparkował w pobliżu budynku IBM, ale zawahał się, kiedy miał tam wejść razem z Pamelą. Nagle dotarło do niego, że nie jest już adwokatem Rommy'ego Gandolpha. Pomimo rozczarowania w związku z kwestią powództwa cywilnego i tego, że wyraźnie przestało mu sprzyjać szczęście, w które, nieodrodny syn swego ojca, i tak nigdy nie wierzył, spłynęło na niego w tym

momencie uczucie czystej, niczym nie zakłóconej ulgi. Dźwigał na swych barkach ogromny ciężar, były chwile, gdy ugiął się pod nim, ale doniósł go do końca i z wielu powodów miał prawo czuć się odprężony.

Przed obrotowymi drzwiami biurowca Arthur pocałował Pamelę w policzek i powiedział jej, że jest świetnym prawnikiem. Potem, w strachu, przewidując najgorsze, przeszedł cztery długie kwartały ulic do sklepu Mortona. Gillian nie było przy ladzie. Argentina, jej koleżanka, pochyliła się ostrożnie nad szklaną gablotą, żeby nie zostawić na niej odcisków. Powiedziała cicho Arthurowi, że Gillian nie było przez cały tydzień, ani tu, ani w drugim sklepie.

- Reporterzy to prawdziwe zbiry - wyszeptała. - Myślę, że Gil zrezygnowała z pracy.

— Zrezygnowała?

425

— Ktoś tak powiedział. Nie spodziewają się jej z powrotem. Podobno wyjeżdża z miasta.

Wracając Grand Avenue, patrząc na wspaniałe sklepy i wysokie budynki, Arthur zastanawiał się, co robić. Nie miał absolutnie żadnego doświadczenia jako strateg w sprawach sercowych i nawet teraz był wciąż zbyt urażony, żeby wiedzieć na pewno, czego tak naprawdę chce. Ale był, w końcu, sobą. Arthur Raven nie potrafił działać ani subtelnie, ani z fantazją. Wiedział tylko, jak ze stałą szybkością posuwać się do przodu.

Przynajmniej jedna osoba w domu Duffy'ego Muldawera ucieszyła się na jego widok. Zobaczywszy Arthura przez okienko w bocznych drzwiach, Duffy rozpromienił się, zanim jeszcze zaczął majstrować przy łańcuchu.

— Arthur! — zawołał i objął go ramieniem, gdy gość wszedł do małego korytarza. Duffy nie puścił jego ręki i wyraźnie chciał wykorzystać szansę delektowania się szczegółową relacją o wydarzeniach ostatniego tygodnia i dzielenia radości obrońców, którzy mieli rzadką okazję do świętowania. Ale spojrzenie Arthura już padło na Gillian, którą zwabił hałas czyniony przez Duffy'ego. Najwyraźniej właśnie sprzątała i była ubrana tak niedbale, że Arthur, widząc jej blade nogi wylaniające się z pary wytartych szortów, pomyślał sobie, iż jeszcze niedawno założyłby się, że ona nawet nie ma czegoś takiego w swojej garderobie. Rękawy jej T-shirta były podwinięte aż po barki. Na rękach miała gumowe rękawice i — po raz pierwszy od czasu, gdy Arthur ją poznał — najwyraźniej nie zwracała sobie głowy makijażem. Za nią zobaczył walizkę.

— Już po wszystkim - powiedział. - Jest wolny.

Gillian pogratulowała mu i popatrzyła w górę oświetlonej słabym światłem klatki schodowej, po czym postawiła stopę na najniższym stopniu. W którymś momencie Duffy zorientował się, że powinien zniknąć.

— Czy mogę cię uściskać? — zapytała.

Mniej więcej po minucie oderwali się od siebie i usiedli na schodach. Mocno ścisnęła jego dłoń. Gillian, która nigdy nie uroniła łzy, rozszlochała się, a Arthur, zawsze gotów do płaczu, rozkoszował się tym, że ona znowu jest blisko niego. Siedząc, odkrył, że ma wzwód. Gillian także poczuła pożądanie, ale kiedy wziął ją w ramiona, w jego uścisku było coś, co wskazywało, że jest on raczej braterski. Oboje nie wiedzieli, co się teraz stanie.

426

- Dobrze się czujesz? — zapytał. Bezradnie podniosła rękę.

- Nie jestem naćpana, jeśli o to się martwisz. Duffy tego dopilnował.

- Wyjeżdżasz?

- Muszę, Arthurze. Patti Chong, koleżanka ze studiów, chce mnie wziąć na asystentkę w swojej kancelarii w Milwaukee. Może z czasem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę mogła, jak zasugerowałeś, wystąpić o przywrócenie mi prawa wykonywania zawodu. Ale muszę stąd wyjechać. - Pokręciła głową. — nawet ja w końcu czuję, że przecierpiałam już wystarczająco dużo. Musiałam wczoraj wysłać Duffy'ego do apteki, żeby zrealizował receptę. To zdjęcie! — Zacisnęła mocno oczy na myśl o nim. Na opublikowanej przez jedną z gazet fotografii, którą zrobiono, kiedy była wykończona i niewyspana po całej nocy przesłuchiwania przez agentów FBI, Gillian wyglądała jak za-puchnięta wiedźma. Włosy miała rozczochrane, a jej spojrzenie było, oczywiście, puste.

- Byłbym wdzięczny za telefon — powiedział. — Czułbym się okropnie, gdybym tu w końcu przyszedł i dowiedział się, że wyjechałaś.

- Nie mogłam, Arthurze. Nie mogłam cię prosić o współczucie, kiedy każdy cios, który na mnie spadał, przynosił korzyść Rommy'emu. Poza tym - dodała - za bardzo się wstydziłam. Za bardzo bałam się twojej reakcji. I byłam za bardzo zdezorientowana. Nie mogę tu zostać, Arthurze, i wiem, że ty nigdy stąd nie wyjedziesz.

- Nie mogę wyjechać - powiedział. - Moja siostra...

- Oczywiście.

Był zadowolony, że to powiedział, ponieważ coś się w nim nagle otworzyło na oścież. Uświadomił sobie, że to nie jest prawdą. Może wyjechać. Ludzie w Franz Center pomogą Susan uporać się z jego nieobecnością. Matka może w końcu wpadnie na to, jak mogłaby być użyteczna. A gdyby wszystko zawiodło, może po prostu zabrać Susan do siebie. Kancelaria miała filię nawet w Milwaukee. To mogło się udać. Wszystko mogło się udać. Nawet ich związek. Najlepsza i najbardziej odporna część jego osobowości, ta, która nigdy nie traciła nadziei, znowu przejęła kierownictwo.

- Nie wiem, dlaczego robię różne rzeczy, Arthurze - kontynuowała Gillian. - Od lat próbuję siebie zrozumieć. - Myślę, że

427

teraz idzie mi lepiej, ale mam jeszcze przed sobą długą drogę. Jednak naprawdę wierzę, że próbowałam się chronić. I było tak źle, jak przewidywałam. Musisz to przyznać.

— Byłoby łatwiej, gdybyś miała kogoś obok siebie, Gillian.

— To nie mogłeś być ty, Arthurze. To była część problemu. Dla niego zabrzmiało to jak wymówka i mogła to wyraźnie

odczytać z wyrazu jego twarzy. Ale nie miała wątpliwości, że w tej sprawie ma rację.

— Wiem, jak to jest, kiedy się chce kogoś skrzywdzić, Arthurze. Wiem to bardzo dobrze. Przysięgam, że nie chciałam sprawić ci bólu.

— Wierzę.

— Naprawdę?

— Jestem pewny, że o wiele bardziej chciałaś skrzywdzić siebie.

— Teraz mówisz jak Duffy.

— Mówię serio. Wciąż kopiesz pod sobą dołki. To naprawdę niezwykle.

— Daj spokój, Arthurze. Nie mogę już znieść analizowania mojego charakteru. Nie chcę tego. Ten okres w moim życiu był bardzo, bardzo ciężki, Arthurze. Przez wiele wieczorów tak zaciskałam ręce, że aż mi kostki białąły. Zapomniałam już, jak to jest, kiedy się chce odurzyć narkotykiem.

Arthur zastanowił się nad tym i wrócił do sprawy.

— Chce być z tobą, Gillian. Wyjechać z tobą. Żyć z tobą. Kochać cię. Chcę tego. Ale musisz zrozumieć, jak bardzo starałaś się zniszczyć samą siebie. Żebyś nam znowu tego nie zrobiła. Jeśli możesz obiecać, że to zrozumiesz i że będziesz z tym walczyć dla dobra nas obojga...

— Proszę, Arthurze, nie jestem ani głupia, ani ślepa. Wiem dobrze, że wyprawa, na którą wyruszyłam, jest rozpaczliwa, donkiszotowska. Że wspinam się, żeby spaść. Ale to, o czym mówisz, jest beznadziejne, Arthurze.

— Nie beznadziejne - odparł. - Wcale nie. Mogę ci dać to, czego chcesz.

— To znaczy? - Chciała być sceptyczna, ale ponieważ to był Arthur, uwierzyła mu natychmiast.

— Mnie. Jestem twoim mężczyzną. Mogę ci powiedzieć coś, czego, jak sądzę, nigdy tak naprawdę przedtem nie słyszałaś. - Wziął ją za rękę. - Spójrz teraz na mnie i słuchaj. Słuchaj.

428

Patrzył na jej piękną szczupłą twarz, którą zwróciła ku niemu, na jej jasne rzęsy i doskonale piękne, inteligentne oczy.

— Wybaczam ci — powiedział.

Przyglądała mu się przez jakiś czas, a potem poprosiła:

— Powtórz to.

— Wybaczam ci — powiedział, wciąż trzymając ją za rękę. — Wybaczam ci, wybaczam ci, wybaczam. — Powtórzył to jeszcze kilka razy.

Podziękowania

Jak zwykle nie dałbym sobie rady bez pomocy przyjaciół. Techniczne informacje Colleen Berk i Joego Tomaina o sprzedaży biletów lotniczych, Jeremy'ego Margolisa o broni palnej, Jaya Reicha o Węgrach, doktorów Michaela Kaufmana i Carla Boyara o anatomii patologicznej były wręcz nieocenione. Dużą korzyść dały mi też krytyczne uwagi kilkorga wymagających czytelników, Annette i Rachel, pierwszych, jak zawsze, a następnie Jennifer Arry, Debby i Marka Barrych, Leigh Bienena, Ellie Lucas, Jima McManusa, Howarda Rigsby'ego i niezwyklej Mary Zimmerman. Jestem ogromnie wdzięczny wszystkim tym osobom. Jon Galassi i Gail Hochman pozostają księżycem i gwiazdami mojego życia literackiego — a Laurie Brown będzie dla mnie zawsze kimś wyjątkowym. Moje asystentki, Kathy Conway, Margaret Figueroa i

Ellie Lucas, były wprost niezastąpione. Wszystkim wam dziękuję.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Śledztwo	9
1. 20 kwietnia 2001	
Obrońca i klient	11
2. 5 lipca 1991	
Detektyw	24
3. 4 maja 2001	
Była sędzia	37
4. 5 lipca 1991	
Prokurator	49
5. 3 października 1991	
Tropy.....	56
6. 15 maja 2001	
List Gillian.....	69
7. 4 października 1991	
Areszt	79
8. 8 października 1991	
Wiewióra.....	90
9. 22 maja 2001	
W środku	96
10. 8 października 1991	
Przyznanie się	104
11. 22 maja 2001	

Miły.....	114
12. 9 października 1991	
Z ostatniej chwili	121
13. 22 maja 2001	
Normalna.....	134
CZĘŚĆ DRUGA	
Postępowanie.....	139
14. 12 czerwca 2001	
Główny zastępca	141
15. 12 czerwca 2001	
Zeznania Erna.....	150
16. 12 czerwca 2001	
Z powrotem w sądzie	163
17. 13 czerwca 2001	
Historia.....	172
18. 13 czerwca 2001	
Erno w krzyżowym ogniu pytań	179
19.13 czerwca 2001	
Rodziny ofiar	195
20.13 czerwca 2001	
Susan	204
431	
21. 15-19 czerwca 2001 Collins.....	
22. 19 czerwca 2001	217
Rodzina Ravenów.....	

23. 19 czerwca 2001^31

Numer doktora Kevorkiana „

24. 25-28 czerwca 2001 °

Zeznanie Genevieve Carriere „ .

CZEŚĆ TRZECIA

Decyzja26g

25. 28 czerwca 2001

On to zrobił..... 271

26. 28 czerwca 2001

Bystry283

27. 29 czerwca 2001

Wróg289

28. 5 lipca 2001

Tajemnice Faraona298

29. Lipiec 2001

Razem.....303

30. 24 lipca 2001

Problem dla mnie.....310

31. Sierpień 2001

Sąd postanawia316

32. 7-8 sierpnia 2001

Oczywiste328

33. 8 sierpnia 2001

Morze338

34. 9 sierpnia 2001

Dawna znajoma	347	
35. 10 sierpnia 2001		
Bóg Odcisków Palców	353	
36. 17 sierpnia 2001		
Kraina Lincolna.....	363	
37. 17 sierpnia 2001		
Oni wiedzą	°'	
38. 22 sierpnia 2001		
Inna historia.....	°°	
39. 23 sierpnia 2001		
Najpierw.....	40(J	
40. 24 sierpnia 2001		
Heroina.....	409	
41. 27 sierpnia 2001		”
Midway.....	iLÓ	
42. 30 sierpnia 2001		„Q
Zwolnienie	•.....	
P A 1		•• 430
Podziękowania		